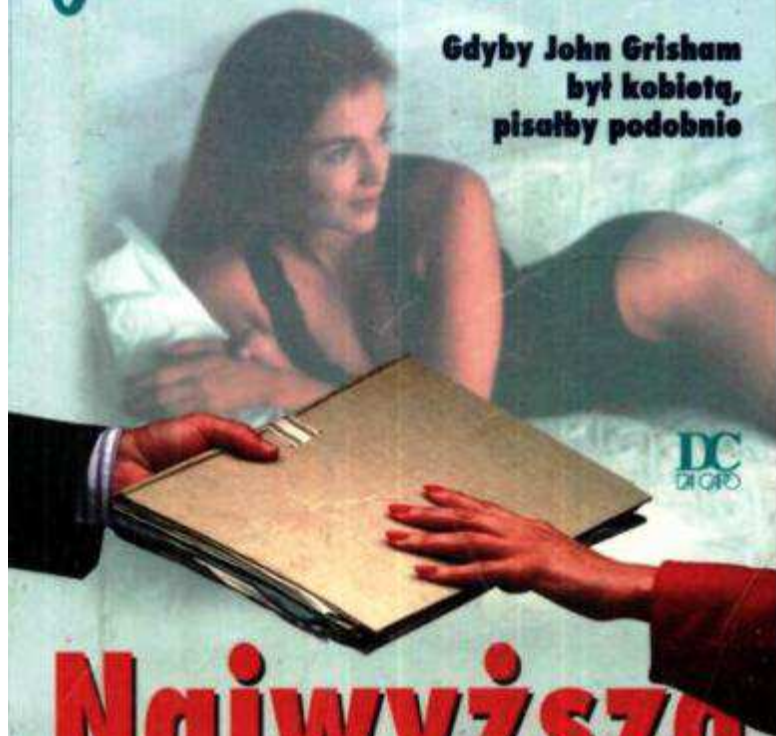


# JANET COHEN

Gdyby John Grisham  
był kobietą,  
pisałby podobnie



## Najwyższa oferta

# JANET COHEN

## Najwyższa oferta



DC  
ZGŁO

Janet Cohen, angielska pisarka publikująca również pod pseudonimem Janet Neel, po studiach prawniczych w Cambridge zamieszkała w Stanach, gdzie zajmowała się wymyślaniem strategicznych gier komputerowych i przez trzynaście lat była zatrudniona w Ministerstwie Handlu i Przemysłu. Po powrocie do Wielkiej Brytanii pracowała w jednym z wielkich banków jako specjalista do spraw prywatyzacji.

„Najwyższa oferta” to pasjonująca historia miłosna rozgrywająca się w świecie wielkiej polityki i finansjery.

Piękna, pomysłowa i piekielnie inteligentna Caroline Whitehouse, radca prawny i starszy wspólnik w jednej z kancelarii w londyńskim City, staje do przetargu na państwową firmę. Na drodze Caroline staje konkurent, którego trudno zlekceważyć, i romans z żonatym ambitnym politykiem. Zwycięstwo może zapewnić tylko najwyższa oferta.

ISBN 83-86611-33-2

JANET  
COHEN

Najwyższa  
oferta

Przełożył Paweł Korombel

DC  


Wydawnictwo Da Capo Warszawa 1995

Tytuł oryginału *THE HIGHEST BIDDER*

Copyright © 1992 by Janet Cohen

Redaktor

Mirosław Grabowski

Ilustracja na okładce

Agencja EAST NEWS

Projekt okładki, skład i łamanie grafik:

Mariusz Gładysz

For the Polish translation Copyright © 1995 by Paweł Korombel

For the Polish edition Copyright © 1995 by Wydawnictwo Da Capo

Wydanie 1

ISBN 83-86611-28-6

Printed in Germany by ELSNERDRUCK-BERLIN

*Dla mojego syna, Henry'ego*

# Rozdział pierwszy

**B**lask trzech kinkietów padł na wysoki sufit pokoju, w którym królowało ustawione dokładnie pośrodku ogromne łóże, i Lucy Friern schowała głowę pod kołdrę. Sypialnia była przestronna, wygodna, nie przeładowana meblami. Mieściła jedynie łóżko, stoliczki nocne, dwa fotele i eleganckie wiktoriańskie biureczko. Tuż obok niego były drzwi. Za ich uchylonym skrzydłem widniały szafy ścienne, w głębi blade lśniła ceramika. Londyńskie mieszkanie Friernów miało spore rozmiary. Rzecz zrozumiała, gdyż sir Matthew Friern był potężnym mężczyzną - zarówno posturą, jak i pozycją majątkową.

- Matt, dopiero siódma.

- Najwyższy czas wstać, jeśli mamy zdążyć na konferencję. Rozmawialiśmy o tym. Rusz się, Lu.

Lucy musiała przyznać mężowi rację. Chodziło o publiczne wystąpienie ministra w jednym z hoteli West Endu. Usiadła, postawiła stopy na podłodze i naciągnęła na siebie jedwabny szlafrok.

- Co ja zrobiłam z koszulą? - spytała rozglądając się po kątach.

Mąż wybuchnął śmiechem.

- Kochanie, na pewno leży pod łóżkiem. Włóż okulary.

Obserwował ją z rozbawieniem. Znalazła i nałożyła okulary, które wyglądały zupełnie niedorzecznie nad uwydatniającym kształtne ciało szlafroczkim. Niemniej jednak była piękna i ze szklami na nosie. Miała długie, prawie czarne włosy i duże

fiołkowe oczy. Przysiadła na skraju łóżka i stopami wymacywała pantofle. Szlafrok rozsunał się obnażając nogę. Lucy wyłowila zgubę pod fotelem.

Nie pomyślałabyś, że ta kobieta ma trzydzieści osiem lat - stwierdził po cichu z dumą mąż.

- Czy naprawdę musimy tam tkwić od początku? - spytała lokalizując drugi pantofel.

- Tak. Chcę go dopaść. Z programu wynika, że przyjedzie o dziesiątej i wypije kawę. Przydałoby się zamienić z nim słówko.

- O czym... to słówko?

- Wiedziałem, że nie słuchasz, kiedy o tym mówiłem. Lu, na litość boską, to ważne. - Wskoczył z łóżka poirytowany. Stał chwilę niezdecydowany i wreszcie poszedł do łazienki. Ze złością przekrzykiwał plusk wody. - Jedziemy na tę konferencję ze względu na przedsiębiorstwo, które może warto kupić. Zostało upaństwowione, bo faceci z Partii Pracy tak sobie wyobrażali ratowanie padających firm. Nasza partia chce z powrotem sprzedać je wszystkim osobom prywatnym.

- Źle cię słyszę - zimno oświadczyła Lucy. Przywykła do respektu u męża, chociaż był od niej osiem lat starszy i siedemdziesiąt funtów cięższy.

Matthew Friern zaklął i kontynuował:

- Nazywa się Prior Building Systems, ale mniejsza o szczegóły. - Wrócił do sypialni ze spodniami od piżamy w ręce. - Chcę się przekonać, czy rząd naprawdę zamierza je sprzedać, i cholernie zależy mi na tym, by wiedział, że my, firma Friern, jesteśmy zainteresowani kupnem.

Lucy uznała to za niegłupie. Spółka akcyjna Friern Construction była jedenastym kwitnącym przedsiębiorstwem budowlanym, założonym przez ojca Matthew. Syn, naczelny dyrektor i właściciel większościowego pakietu akcji, rozszerzył zakres usług na inżynierię lądową i wodną, dwukrotnie powiększył rozmiary firmy od śmierci ojca i stał się jednym z najbogatszych i najlepiej prosperujących ludzi interesu na północnym zachodzie kraju. Wcale nie zamierzał na tym poprzestać i w ciągu następnych dziesięciu lat szykował się podwoić kapitał przedsiębiorstwa. Wyglądało na to, że po nieoczekiwanym zwycięstwie

Partii Konserwatywnej, osiągnięty rok temu pod hasłem „Mniej upaństwowień!”, rząd jak najszybciej cofnie ostatnie zabiegi nacjonalizacyjne Partii Pracy.

- Po co jestem potrzebna? - spytała bez ogródek.

- Kochanie, tak zasugerował nasz bankier, Andrew Eames Lewis. Urzędnik służby cywilnej pilotujący sprzedaż to twój kolega z aplikacji. Clive Fieldman. Powiedziałem, że nie wiem, w jakich jesteście stosunkach, ale był na tym przyjęciu w Dorrington w ostatnie Boże Narodzenie, kiedy Partia Pracy wciąż stała przy żłobie.

- Clive? Och, doprawdy? Widziałam go jeszcze potem. Ale Andy mógłby z nim pogadać... też był u Smitha Butlera.

- Dopiero podczas tego weekendu okazało się, że Fieldman jest w to zaangażowany. Andy uznał, że twoja obecność mogłaby się przydać. Poza tym nasz Andrew jest czuły na twoje wdzięki.

Lucy przyjęła to ze zniecierpliwieniem. Męskie zainteresowanie nie robiło na niej żadnego wrażenia. Cóż, kwestia przyzwyczajenia.

- Pewnie jestem mu potrzebna, bo on i Clive nie przepadali za sobą na aplikacji.

- Ale na pewno obaj przepadali za tobą - stwierdził sucho mąż.

- Cóż, to miło wiedzieć, że ten rok aplikacji miał jakiś sens. Pamiętam, że jej nie cierpiałś.

- Nudy na pudy. - Lucy zjeżyła się na samo wspomnienie. - Nic tylko grzebanie w stosach papierzysk i ślęczenie nad umowami, których wciąż przybywało.

- Nigdy nie potrafiłem sobie wyobrazić cię w roli radcy - powiedział ze śmiechem Matthew.

- Clive też uważał to za nudziarstwo - rzekła z godnością Lucy. - Odszedł po roku, jak ja. A Andy rok po uzyskaniu uprawnień. To nie była żadna lekkomyślność z mojej strony. Naprawdę, radcostwo to nudziarstwo. Wystąpienie ministra też pewnie nie będzie porywające. Co mam tam robić, Matt?

- Po prostu pięknie wyglądać, podczas lunchu zabawiać rozmową Fieldmana i jeśli ci się uda, zostać przedstawioną ministrowi. Andy i ja zajmujemy się resztą.



Żona przyjrzała mu się z uwagą, odgarnęła z czoła ciemne loki.

- Planowałam lunch w mieście.

Objął ją.

- No, to zrób to dla nas, Lu.

- Mogłabym zażądać za to nagrody.

- Dostałaś nagrodę, no nie? Wczoraj wieczorem.

- Była całkiem niezła - odparła z nader cnotliwą minką.

Roześmiał się.

- Dostaniesz nagrodę, jeśli sprawa wypali. To dobre przedsięwzięcie.

- Chodźmy już na śniadanie. Słyszę Bridget w kuchni. Umieram z głodu. W porządku, Matt, ale muszę wyjść przed wpół do trzeciej. Fred może mnie zabrać.

Matthew Friern zgodził się prawie bez zastrzeżeń, by żona zabrała mu kierowcę - za tę cenę może skupi się na czekającym ją zadaniu - i skierowali się do jadalni korytarzem pokrytym puszystą wykładziną.

**G**odzinę później w dużym, ponurym gabinecie na najwyższym piętrze jednego z gmachów przy Marsham Street, w siedzibie Ministerstwa Środowiska, inny uczestnik konferencji bez szczególnego pośpiechu ładował dokumenty do teczki.

- Kawę, panie Fieldman?

- Proszę, panno Williams.

Służba państwowa nie była organizacją hołdującą staromodnej ceremonialności i normalnie Clive Fieldman mówił kolegom każdego szczebla po imieniu, lecz sekretarka Clive'a, osoba pod sześćdziesiątkę, zawsze spokojnie i dobitnie dawała do zrozumienia, że nie ma zamiaru zwracać się do niego inaczej jak „panie Fieldman” i oczekuje traktowania z równym dystansem. Clive, trzydziestoosmioletni urzędnik zajmujący najwyższe rangą stanowisko wśród kolegów równych mu wiekiem i bynajmniej nie zamierzający na tym poprzestać, przywiązywał wielką wagę do ludzkich oczekiwań i niezmiennie był skory je zaspokajać.

- Nie pali się, panno Williams. Sekretariat twierdzi, że pan Winstanley będzie gotowy za pięć minut.

Uśmiechnęła się do niego, wiedząc równie dobrze jak on, co oznacza ta wiadomość. W ministerstwie panuje chaos i utalentowany młodzieniec zarządzający biurem ministra budownictwa mieszkaniowego dwoi się i troi, informując na bieżąco wszystkie oddziały o rozwoju wypadków na froncie głównym.

- Do hotelu nie jest daleko - rzekła uspokajająco. Postawiła kawę na biurku zwierzchnika i zostawiła go samego.

Zabrał się do lektury przygotowanego wcześniej podsumowania i przeglądu ostatnich poprawek w przemówieniu, które szef wygłosi za niecałe pół godziny. O przemówienie był spokojny, wczoraj wieczorem przejrzał je z Winstanleyem, lecz należało sprawdzić, czy ten zapoznał się również z podsumowaniem i jest gotów do rozmów z zainteresowanymi stronami. W samochodzie będzie co najmniej dziesięć minut na egzamin. Winstanley był nowy, zastąpił kolegę, który zmarł na atak serca, lecz wszyscy ministrowie potrafili szybko przyswajać sobie fakty i zachowywać je w pamięci przynajmniej do końca dnia, w którym były potrzebne. Cóż, nie mieli innego wyjścia; albo to, albo koniec pieśni.

- Sekretariat informuje, że pan Winstanley jest gotowy i spotka się z panem na dole.

Bez zdziwienia zauważył, że minęło dwanaście minut. „Gotowy” było płynnym pojęciem. Oznaczało jedynie, że eskorta nie będzie skazana na czekanie w samochodzie ponad dziesięć minut. Poza tym oplotało się posłuchać plotek szofera; ludzie tej profesji zawsze wiedzieli, co w trawie, piszczy.

- Dobra. Minister zahaczy o lunch, panno Williams, ale wychodzi o drugiej, więc wrócę najpóźniej o wpół do trzeciej.

Czekał w samochodzie dziesięć minut, zanim minister budownictwa mieszkaniowego, John Winstanley, i szef jego biura wypadli z windy.

- Wybacz, że naraziłem cię na czekanie, Clive - przeprosił skrupulatnie Winstanley wsiadając do samochodu.

Clive uważnie ocenił go wzrokiem. Szef był znękanym i rozdrażnionym. Wreszcie załapał się na brygadziście, ale nie wyrabia się - pomyślał Clive, używając w porywie irytacji żargonu ojca, lecz uznał, że powinien zdobyć się na większą wyrozumiałość. Winstanley miał zadatki na porządnego szefa; zanim zdecydował się kandydować do parlamentu, przepracował osiem lat u Sheila i dwa w banku rezbursowym, więc przynajmniej otarł się o realny świat. Przed objęciem teki ministra stanu miał posadę sekretarza parlamentarnego, ale sprawował ją tylko przez pół roku i zajmował się wyłącznie prawodawstwem w dziedzinie ubezpieczeń społecznych. Niemniej jednak uczył się nowych zadań błyskawicznie i zasługiwał na cierpliwość oraz pomoc ze strony ambitnego pracownika służby cywilnej.

- A więc mamy pięć firm budowlanych lub zajmujących się inżynierią lądową i wodną, będących własnością NEB\* - rzekł zdecydowanie Winstanley. - Wszystkie one to worki bez dna. Zgadza się?

National Enterprise Board - agencja państwowa udzielająca pomocy finansowej przedsiębiorstwom (wszystkie przypisy tłumacza).

- Cóż, nie całkiem, panie ministrze. - To byłoby na tyle ze starannym podsumowaniem - pomyślał z rezygnacją. - Dwie przynoszą straty. Ale dwie są dochodowe, chociaż niedoinwestowane, i nadają się do sprzedaży na pniu. Piąta, Prior Building Systems, to najtwardszy orzech do zgryzienia.

Zrobił pauzę. Chciał mieć pewność, że Winstanley przynajmniej jasno uchwycił kategorie, ale minister podążał za własnymi myślami.

- Po co, na Boga, rząd w ogóle brał sobie na głowę takie przedsiębiorstwa?

- W owym czasie... to znaczy między siedemdziesiątym piątym i ósmym rokiem... uważano, że państwo lepiej zrobi przejmując funkcjonującą firmę, która chwilowo kuleje, niż zwiększając bezrobocie i zubożając infrastrukturę przemysłową w tych okręgach kraju, gdzie wskaźnik bezrobocia już był bardzo wysoki.

Z tych pięciu przedsiębiorstw trzy są na północnym wschodzie, a dwa na północnym zachodzie.

John Winstanley przyglądał się spod oka urzędnikowi. Pani premier, której słowom minister wierzył jak Biblii, często nawiądywała najbliższych współpracowników, by nie zapominali, że cała służba cywilna pracowała dla laburzystów od 1974 do 1979 roku i ile się dało rozciągała władzę państwa na obszary nie tknięte wielką nacjonalizacją końca lat czterdziestych. Co więcej, przy byle sposobności powiadała, że polityka Partii Pracy zbiegała się z przekonaniem urzędników, którzy mają we krwi lewicowość, korporacjonizm i chęć poszerzania własnych wpływów. Ten gość był bardzo młody jak na podsekretarza i skoczył w górę na fali awansów tuż przed zmianą rządu. Zapewne osobiście brał udział w przejmowaniu tych wszystkich firm przez NEB i prawdopodobnie poczuje się sfrustrowany, kiedy z powrotem zostaną rzucone na głębokie wody sektora prywatnego, gdzie utrzymanie się na powierzchni zależy będzie od zdolności właścicieli. Cóż, zobaczy się.

- W każdym razie powinny wrócić tam, skąd przysły.

- W ręce syndyka masy upadłości, panie ministrze? - Clive Fieldman miał po dziurki w nosie ministrów, którzy nie czytali przygotowanych podsumowań, i poczuł zadowolenie na widok zbitego z pantałyku Winstanleya. No, ale lepiej zbytnio sobie nie pogrywać - zdecydował po sekundzie. - Ta partia nie odejdzie tak szybko od żłobu.

- Miałem na myśli sektor prywatny - rzekł przez zęby Winstanley.

- Tak, naturalnie, panie ministrze. Żadne przesłanki nie przemawiają za tym, by te przedsiębiorstwa były pod zarządem państwa. Spodziewam się, że większość z nich znajdzie nabywców.

Winstanley zamruął, jeszcze bardziej zbity z pantałyku szybką ustępliwością. Pani premier najwyraźniej miała rację. Wystarczyła stanowczość.

- Jesteś z północy? - spytał ogólnikowo, zauważywszy wcześniej, że ten nader ambitny pracownik służby cywilnej wcale nie

przejmuje się swoim wyraźnym prowincjonalnym akcentem. Gość miał bardzo ciemne, prawie czarne włosy, był przystojny, szczupły i zapewne znakomicie grał w amatorskiej drużynie rugby.

- Tak, z Lancashire, panie ministrze. Znam te przedsiębiorstwa. Nie uczestniczyłem w podejmowaniu decyzji o ich nabyciu przez NEB, ale kiedy przejąłem departament tuż przed ostatnimi wyborami, odwiedziłem wszystkie pięć.

Zawodowiec - pomyślał z niechęcią Winstanley.

- Czy próbowaliśmy je sprzedać?

- Nie, panie ministrze. Nie mieliśmy wyrobionego zdania na ich temat. Podsumowanie, które tu pan ma, proponuje sprzedaż i prosi o pańską zgodę na prawidłową wycenę całej piątki.

I dostanie ją, cholera - powiedział sobie w duchu Winstanley. Wszystko na jednej stronie, konkluzja zaznaczona żółtym markerem przez biuro, bez wcześniejszych specjalnych poleceń ze strony szefa.

- I powinienem je przeczytać. - Uznał, że wypada przeprosić, i w odpowiedzi ujrzał szczerzy uśmiech pozbawiony wyrzutu. Facet był zdecydowanie przystojny, z tymi ciemnymi piwnymi oczami prezentował niemal włoski typ urody.

- Zawsze mam świadomość, że przeciążamy ministrów informacjami, ale na początku trudno ustalić objętość, do jakiej należy je ograniczyć.

- Już bardziej ograniczyć nie mogłem. Po prostu nie miałem czasu do tego zajrzeć. Wczoraj wieczorem byłem w Covent Garden. Obejście tych wszystkich łóż dało mi w kość. - Westchnął. - Co robiłeś przed służbą cywilną, Clive? Wiem, że byłeś w London School of Economics, ale gdzie wcześniej?

- Ducton Grammar School. Mój ojciec był brygadzystą w hu-cie.

- Mój służył w wojsku. Welsh Guard.

Clive, który jak większość wyższych pracowników służby cywilnej zajrzał do życiorysu ministra, powiedział, że słyszał o tym, i zadał kilka grzecznościowych pytań o stosunki w armii. Samochód kolejny raz utknął w korku i szofer wyraźnie przeżywał ciężkie chwile. Clive uznał, że wypada wrócić do spraw zawodowych.

- Panie ministrze, przedsiębiorstwo, którym może wypadałoby się zająć w pierwszej kolejności, to Prior Building Systems. Jeden z potencjalnych nabywców, który rozmawiał nieoficjalnie ze stałym sekretarzem ministerstwa, prawdopodobnie zjawi się na konferencji. To sir Matthew Friern z Friern Construction. Może usiłować przeciągnąć pana na swoją stronę.

- Co wedle ciebie mam mu powiedzieć?

- Między wierszami można napomknąć, że czemu nie, firma może zostać sprywatyzowana. Potem wysłucha pan, dlaczego nikomu nie oplaca się dać za nią dwóch pensów.

Winstanley wybuchnął śmiechem.

- Zetknąłeś się z nim?

- Znam go trochę. - Clive się zawahał. - To jeden z tych dziwnych przypadków. Lucy, jego żona, i ja robiliśmy praktykę radcowską w tej samej kancelarii.

- Czyżby? Więc byłeś radcą?

- Nie. Po roku uznałem, że wcale mi się to nie podoba, więc zdałem egzamin do służby cywilnej i zostałem przyjęty. A Lucy Friern też nie zrobiła aplikacji, bo zamiast radcą została żoną Matthew i matką jego dzieci.

Winstanley rzekł ponuro, że nie miał pojęcia, iż żyją jeszcze kobiety gotowe się podjąć takich niepostępowych, zwyczajnych zadań, a Clive szczerząc zęby zauważył, że teraz takich niewiast już nie ma, ale Lucy liczy sobie jakieś trzydzieści osiem lat, tyle co on, i w tamtych zamierzonych czasach kobiety były trochę mniej zawzięte.

- Mówimy o roku sześćdziesiątym czwartym, panie ministrze. Aplikację robiła minimalna liczba kobiet.

- Czy lady Friern była jedyna?

- Nie, poza nią mieliśmy jeszcze jedną koleżankę. Była z całym innym gładem. Tak, właśnie tu, Jim, to ten hotel.

- Dobra.

Obaj mężczyźni nieświadomie przybrali oficjalny wyraz twarzy i wcisnęli dokumenty do teczek. Limuzyna podjechała do krawężnika. Ledwie szofer się ruszył, by otworzyć drzwi, Clive

już wyskoczył zręcznie na zewnątrz i przytrzymał drzwi ministrowi.

- O drugiej, Jim, w tym miejscu - rzucił krótko.

Kierowca skinął głową i chciał odjechać, ale musiał gwałtownie zahamować. Przednie koła zaryły się w asfalcie, gdy taksówka prowadzona jak bolid wyścigowy dopadła krawężnika i zatrzymała się o włos przed limuzyną ministra. Z taksówki wyskoczyła wysoka dziewczyna z teczką pod pachą. Plisowana spódnica zawirowała odsłaniając długie nogi.

- Słuchaj, skarbeczku - powiedziała z pogroźką do pasażera taksówki, co spowodowało, że Clive i minister przystanęli. - Jean jest w domu. Czeka na ciebie. Masz odpocząć i nie gapić się w telewizor cały boży dzień!

Clive zbliżył się do taksówki, chwilowo zaniebując ministra, który zaciekawiony ruszył za nim. Dwunastoletni chłopczyk siedział przy oknie pojazdu. Był bardzo błady, nad prawą skrońnią miał opatrunek. Spoglądał w górę szeroko otwartymi błękitnymi oczami spod gęstej blond czupryny. Clive mrugnął do niego.

- Zaopiekuję się nim, ślicznotko. - Rozbawiony taksówkarz był łysiejącym bysiorem pod czterdziestkę. - Zasuвай na swoją konferencję. Zawiozę chłopaka do chałupy, spokojna głowa.

- Dziękuję. - Pochyliła się do dziecka, które bez żenady pocałowało ją w usta. - Nie będę późno - obiecała odprowadzając niespokojnym wzrokiem taksówkę, która odjechała w takim samym wyścigowym tempie, z jakim się zjawiała.

Dziewczyna odwróciła się i wetknięta niedbale pod pachę teczka upadła na chodnik. Rozsypały się papiery.

- Niech to jasna cholera! - zakłęła ze szczerego serca.

Clive wyszczerzył zęby. Przypomniał sobie, że towarzyszy ministrowi, ale Winstanley się śmiał.

- Wszyscy rycerze, wystąp - rzekł i zbliżył się do przycupniętej na chodniku dziewczyny. Nie przejmowała się tym, że sukienką zmiata kurz uliczny. Blond włosy świeciły jasno w styczniowym słońcu.

Clive przykucał obok.

- Pomogę ci, Caroline.

Odwróciła się. W ręce miała gruby plik. Uśmiechnął się do niej, wpychając dokumenty do teczki i stawiając ją na chodniku.

Oczywiście, to już nie dziewczyna - pomyślał patrząc na kurze łapki przy oczach i ostro zarysowane kości policzkowe. No cóż, jest w moim wieku.

- Clive. Clive Fieldman. Co ty tu robisz?

Ale sposób bycia ma taki sam jak przed szesnastu laty - pomyślał. Podniósł teczkę i pomógł Caroline wstać. Żadnych piśków typu „jak fajnie cię zobaczyć!” czy „serdeczne dzięki za pomoc!”

- Jestem z moim ministrem - rzekł, jak dawniej oddając Caroline inicjatywę i uznając, że musi od tej chwili zerwać z tym złym przyzwyczajeniem. - Panie ministrze, dama, którą pański widok rzucił na kolana, to Caroline Henriques... przepraszam, Caroline Whitehouse. Byliśmy razem na aplikacji. - Spojrzał spode łba na Caroline, nie spodziewając się żadnego uprzejmego gestu z jej strony, i przeżył autentyczny wstrząs, kiedy podała Winstanleyowi rękę i uśmiechnęła się promiennie.

- Jak się pan ma? To bardzo miłe z pańskiej strony, że przyszedł mi pan z pomocą. Nie mam dziś szczęścia. Mój najstarszy rozbił sobie głowę. Poczubił się z kolegą w szkole. Musiano mu założyć szwy i odesłać go do domu, więc się spóźniłam. Nie mogę się doczekać pańskiego wystąpienia.

Clive przyglądał się z niedowierzaniem starej przyjaciółce. Miał wrażenie, że odbywa podróż w czasie. Dokładnie biorąc, trudno byłoby mu nazwać Caroline Henriques starą przyjaciółką. Miała na to za dobre koneksje, była zbyt trudna i zbyt nieopahowana, kiedy wszyscy byli dwudziestodwuletnimi aplikantami w firmie, w której jej pradziadek ze strony matki osiągnął znakomitą pozycję. Grupa aplikantów liczyła sobie dwanaście osób na różnych etapach edukacji; wszyscy byli absolwentami Oxbridge\*, ale firma szczyliła się liberalnymi zasadami zatrudniania, stąd obecność Clive'a i dwójki dziewcząt. Rzecz jasna, teraz wyglądało to zupełnie inaczej; wielkie kancelarie w City,

\* Oxford lub Cambridge.



londyńskim centrum biznesu i finansów, uginając się pod nawałem pracy, w latach siedemdziesiątych, przestały ograniczać się do Oxbridge i przyjmowały najlepszych z byle uniwersytetu. Obecnie pięćdziesiąt procent aplikantów stanowiły dziewczęta, chociaż w dalszym ciągu bardzo niewiele z nich osiągało pozycję wspólnika. Dawniej Caroline Henriques nie była skłonna do wygłaszania pięknych słówek - prawdę mówiąc, ledwo zdobywała się na zwyczajną uprzejmość - a tu, proszę, czarowała Winstanleya, który stał na chodniku, plótł, co mu ślina na język przyniosła, i gotów był tu spędzić całe wietrzne przedpołudnie. Clive, nie musząc podtrzymywać konwersacji, przyglądał się uważnie Caroline i wyprostował się podświadomie. Była wysoka, dorównywała mu wzrostem. Miała pięć stóp osiem i pół cala, a on tylko pół cala więcej. Zadygotał lekko w podmuchu zimnego wiatru, przypominając sobie dzień, w którym ustalili tę różnicę. Był aplikantem od trzech miesięcy i wszystko, co łączyło się z tą zjadliwą wychowanką Oxfordu, doskwierało mu dotkliwie - od nie mieszczącego się w głowie braku szacunku wobec najstarszych wspólników do jej wybijającego wzrostu. Pewnego zimowego dnia znalazł się z nią sam na sam w staroświeckiej windzie. Caroline jechała na mecz siatkarskiej reprezentacji kancelarii. W krótkiej plisowanej spódniczce, pod którą nosiła spodnie od dresu, emanowała pewnością siebie.

Clive stwierdził nerwowo, że w tenisówkach nie wygląda na tak bardzo wysoką. Spojrzała mu prosto w oczy tym zimnym wzrokiem, który już wyprowadził z równowagi kilku klientów, zatrzymała windę na najbliższym piętrze, wywlokła Clive'a z kabiny, oznajmiając, że „najlepiej będzie, kiedy załatwimy to od ręki, na litość boską, Clive, masz zupełnie normalny wzrost”, i zmusiła jakiegoś zaskoczonego aplikanta, by ustawiwszy ich plecami dokonał pomiaru.

- No, masz pół cala więcej, Clive - stwierdziła chmurnie. - W porządku? Bo powinnam już robić rozgrzewkę. Nie jestem gotowa.

Poczuł, jak szkarłat z wolna wypełza mu na policzki, ale nie to było najgorsze. Oto bowiem nadciągnęło kolejnych trzech członków gangu aplikantów, w tym elegancki absolwent Eton, Andrew Eames Lewis, którego Clive szczególnie nie cierpiał.

- Czemu go mierzysz, Caroline? - zapytał, jednym rzutem oka ogarniając sytuację. - Sprawdzasz, czy będzie pasował do łóżka?

Clive chętnie zapadłby się pod ziemię, lecz Caroline była niewzruszona.

- Andy, w łóżku odległość od czubka głowy do stóp nie gra roli. Nie nauczono cię niczego pożytecznego w szkole?

- Przygotuj się, że zmierzy ci wszystko inne, Clive - stwierdził Andy, kłaniając się ceremonialnie głównemu wspólnikowi, który przemykał pod ścianą, pragnąc wysłiznąć się po cichu z biura.

- Spadaj, Andy - doradziła koledze Caroline, bynajmniej nie skrępowana obecnością zwierzchnika. Zdjęła spodnie, ukazując długie, opalone nogi, i zbiegła po schodach po dwa stopnie naraz.

Clive stał rozdarty między wściekłością i podnieceniem seksualnym, od którego nie mógł się opędzić przez cały dzień, a które wyjątkowo bruździło w sporządzeniu umowy kupna-sprzedaży. To uczucie pozostało niezaspokojone. Powoli zdał sobie sprawę, że wiele niezwyklej pewności siebie i bezpośredniości wobec mężczyzn Caroline czerpie z obopólnie wiernego związku z poznanym rok wcześniej mężczyzną, za którego potem wyszła za mąż. Kiedy Clive pracował u Smitha Butlera, Ben Whitehouse przebywał głównie na Harvardzie, ale Clive żywo pamiętał tę jedyną okazję, gdy poznał go odbierającego Caroline z pracy. Mówiąc językiem jego młodości, oczekiwał faceta jak wieża, żującego gwoździe i spluwającego rdzą i był ciężko zdumiony ujrawszy pierwszej klasy jurystę, szczupłego mężczyznę mierzącego poniżej sześciu stóp. Ben Whitehouse zginął w katastrofie samolotowej, wracając z jakiejś konferencji. Mimo zaledwie trzydziestu dziewięciu lat zasłużył na nekrolog w „Time-sie”. Clive przeczytał go wstrząśnięty i przesłał Caroline formalnie brzmiące kondolencje. To musiało być dwa lata temu - pomyślał.

- Jesteście podobni z synem jak dwie krople wody - zauważył podczas przerwy w konwersacji. Równocześnie uświadomił sobie, że musi dalej holować ministra. - I macie ten sam kolor włosów. - Przecież po tych wszystkich latach nie da się zastraszyć Caroline Whitehouse.

Uśmiechnęła się pokazując równe białe zęby, wytwór tego samego genetycznego dziedzictwa, co gęsta czupryna i błękitne oczy, które przed chwilą tak niespodziewanie objawiły się u chłopca w taksówce.

- Prawdę mówiąc, to wykapany Henriques - potwierdziła spostrzeżenie Clive'a. - Wygląda jak moi bratankowie. Córka to cały Ben. Powinniśmy wejść. Chyba chciałby pan zerknąć do notatek?

Przywołany do rzeczywistości Winstanley zgodził się z nią. Nie omieszkał jednak wyrazić głośno nadziei, że zobaczą się podczas lunchu. Clive jak zaczarowany patrzył na Caroline, która obejściem zupełnie nie przypominała aplikantki sprzed lat. Uśmiechnęła się wdzięcznie, pokazując dołeczki, i rzekła, że cieszy się na tę sposobność. Kiedy znikła pod markizą hotelu, Clive mógł opowiedzieć o nieżyjącym Benie Whitehousie, a pytania Winstanleya znacznie przekroczyły wymiar banalnej ciekawości.

Kilka minut później pojawiła się obok nich, już bez płaszcza. Pod pachą ścisnęła teczkę z materiałami na konferencję. Obdarzyła uśmiechem obu urzędników. Na identyfikatorze miała napis: „Caroline Whitehouse. Smith Butler - współnik”. Clive obserwował ministra, który kodował tę informację. Zdał sobie sprawę, że Caroline zamierza coś powiedzieć.

- Może któregoś dnia miałbyś ochotę wpaść na stare śmieci i zjeść lunch ze mną i moimi współnikami? - Wręczyła mu wizytówkę firmową. - Każę sekretarce zadzwonić, na wypadek gdybyśmy się już dziś nie spotkali.

Rozbawiony Winstanley popatrzył ironicznie spod oka na Clive'a, kiedy szli majestatyczną klatką schodową wyłożoną dywanem na pierwsze piętro, gdzie mieściła się sala konferencyjna.

- Wśród radców prawnych City nie ma wielu kobiet.
- Zgadza się. Zawsze była wyjątkowo zdolna.

To prawda. Pamiętał, jak błyskawicznie i bez wysiłku wchłaniała polecenia i przygotowywała staranne, wyważone umowy, przewyżając w ten sposób obiekcje najbardziej zrzedliwych starych wspólników wobec jej bezpośredniości, przerażająco wulgarnego słownictwa i całkowitego braku szacunku dla wieku i doświadczenia. Studiowała prawo w Oxfordzie i zdała drugą część zawodowych egzaminów końcowych, zanim przyszła do Smitha Butlera, więc i tak miała przewagę na starcie, Clive bowiem studiował w LSE stosunki międzynarodowe.

Doszedł do szczytu schodów i jak tego oczekiwał, natychmiast dojrzał sir Matthew Frierna. Zajmował strategiczną pozycję, z której miał oko na wejście, patrząc nad ramieniem niższego mężczyzny stojącego tyłem do schodów. Clive zerknął na zegarek; czasu wystarczyło akurat na szybką wymianę zdań, potem należy przepchać Winstanleya do prezydium. Znakomicie się złożyło - Matthew Friern miał prawo zamienić słówko z ministrem, a równocześnie każda rzeczowa dyskusja na tym etapie byłaby niepożądana. Dotknął ramienia Winstanleya.

- Panie ministrze, sir Matthew Friern... gość, który chce kupić Prior Building Systems... właśnie tam stoi. Chce pan zamienić z nim słówko?

- Tak, tak. Chętnie.

Winstanley zmienił kurs, wepchnął notatki do kieszeni uwalniając dłonie, odchrząknął. Clive - sprytny, żwawy i dawno wyzbyty jakiegokolwiek nieśmiałości - zastanawiał się wielokrotnie, jak czuje się człowiek, który zawsze musi być czujny, gotowy do uścisku dłoni i uprzejmego zachowania bez względu na osobiste poglądy. Doszedł do wniosku, że zawodowych polityków to nic nie kosztuje. Lubią to i czerpią soki żywotne z takich kontaktów.

Mężczyzna, z którym Friern rozmawiał, odwrócił się i Clive się zdumiał. Andrew Eames Lewis, jak zawsze elegancki, wyglądający

identycznie jak szesnaście lat temu, kiedy był aplikantem u Smitha Butlera, stał u boku Matthew uważny i spokojny. Pod identyfikatorem osobistym miał przypiętą plakietkę wielkiego banku reńbursowego. Chłodno skłonił się Clive'owi i cofnął się, nie spuszcżając oczu z Winstanleya.

- Panie ministrze, czy mogę przedstawić sir Matthew Frierna? - rzekł Clive.

- Chciałem pana poznać. - Matthew ujął dłoń ministra i skłonił głową jego towarzyszowi. - Pragnąłbym zamienić kilka słów na temat przedsiębiorstwa upaństwowionego przez Partię Pracy.

Wielki chłop z tego Matthew, zawsze o tym zapominał - pomyślał Clive. Pewnie odsłużył pięć lat w formacji, do której wybierają samych wielkoludów. Zapewne w gwardii. Porządna chłopska krew. Jasne włosy, czerwona gęba, dobre dwieście dziesięć funtów, oczy osadzone zbyt blisko siebie. Podobno twardy facet, ale nieprzeciętny. I żonaty z Lucy Friern, której zresztą wcale nie było widać u jego boku.

- A to Andrew Eames Lewis z firmy Walzheims, która jest naszym doradcą, jak pan zapewne wie.

Clive przyglądał się ministrowi, gdy ten wymieniał uścisk dłoni z Andrew. Oczywiście, ci obecni ministrowie zawsze okazali uprzejmość bankierom, w przeciwieństwie do poprzedniej administracji, która traktowała ich podejrzliwie i „per no-gam”. Więc Andrew też rzucił radcostwo; w takim razie, licząc ich dwóch oraz Lucy Friern, z grupy aplikantów pozostało tylko dwadzieścia pięć procent. Rzecz jasna, bank reńbursowy był o wiele bardziej naturalnym środowiskiem dla Andrew Eamesa Lewisa niż krąg radców prawnych reprezentujący klasę średnią.

Wrócił myślami do chwili bieżącej i rozmowy Winstanleya z Matthew Friernem. Zauważył, że Winstanley trzyma się podsumowania, potwierdzając, że ministerstwo zamierza wyznaczyć doradców finansowych, którzy następnie wespół z doradcami NEB rozpatrzą oferty dotyczące Prior Systems. Clive dał rozmówcom pięć minut, po czym grzecznie uwolnił Winstanleya, mrucząc - jak wypadało pracownikowi służby cywilnej - „panie

ministrze, notatki, przewodniczący konferencji czeka”. Napotkał wzrok Andrew Eamesa Lewisa i z niepokojem zauważył, że w jego oczach jest tyle samo złośliwego rozbawienia, co w tamtym dniu, gdy ów przyłapał go z Caroline i miarką.

Clive doprowadził Winstanleya do stołu prezydialnego, przedstawił przewodniczącemu i namówił jedną z roju zuniformizowanych młodych kobiet, by sprawdziła, czy mikrofony działają i czy minister ma szklanekę i dość miejsca na rozłożenie notatek. Ostatnią posadą Clive'a było szefowanie biuru ministra stanu, robota dla człowieka ambitnego, i nadal automatycznie sprawdzał wszystkie szczegóły techniczne: samochody, mikrofony, wodę, notatki, telefony, ubikacje. Rozejrzał się po wielkiej sali konferencyjnej pełnej mężczyzn w drogich garniturach, z przypiętymi identyfikatorami. Tylko gdzieś tam oko cieszyła obecność kobiet - było ich może tuzin na setkę panów. Większość płci pięknej miała na sobie parodię męskich ciemnych garniturów, ale przynajmniej można było dojrzeć zgrabne nogi, a co ładniejsze damy nałożyły makijaż. Pamiętał, że Caroline nosi żałobę, ale czerń bardzo korzystnie współgrała z jasnymi włosami i błękitnymi oczami. Przymknął powieki szukając Caroline, gdy barwna plama przy wejściu zwróciła jego uwagę.

- Lucy! - mocny głos Caroline rozszedł się po sali i ściągnął uwagę połowy mężczyzn.

- Caro! - Lucy Friern, znana wszem i wobec, z długimi do ramion ciemnymi włosami kołyszącymi się nad kołnierzykiem fioletowego kostiumu od Chanel, z łatwością znalazła sobie drogę idąc frontem sali. Uśmiechając się wdzięcznie, pocałowała Caroline. Zerknęła ku podium i pomachała niezobowiązująco Clive'owi, który w rewanżu obdarzył ją szerokim uśmiechem.

- Kim jest ta śliczna dziewczyna? Chodzi mi o tę drugą, nie o panią Whitehouse - szepnął Clive'owi do ucha minister.

- To lady Friern, żona sir Matthew. Mam dzień spotkań ze starymi przyjaciółmi, panie ministrze. Lady Friern, pani Whitehouse i Andrew Eames Lewis, którego dopiero co pan poznał

razem z sir Matthew, byli ze mną u Smitha Butlera. Lucy Lindfield... to jest lady Friern... i ja nie skończyliśmy aplikacji.

- To musiało być niezłe przeżycie mieć te dwie dziewczyny w firmie.

- Mhm.

Naturalnie, było to jakieś przeżycie, chociaż nie dałoby się go opisać w dwóch słowach. Clive'owi oszczędzono konieczności wyjaśnień. Sala ucichła, gdy przewodniczący uniósł się wygłaszając sakramentalne formułki wstępne. Wpierw ustalenia porządkowe: Jesteśmy zaszczytzeni obecnością Johna Winstanleya, po jego mowie następna; potem dyskusja panelowa, na nią czterdzieści pięć minut, nie przeciągać, w innym wypadku grozi opóźnienie lunchu; o drinkach mowy nie ma”. To wzbudziło nerwowe i lizusowskie śmieszki damskiej obsługi, ale napotkało mur obojętności doświadczonej widowni. Przewodniczący odmalował z detalami karierę Winstanleya - Clive, siedzący obok swojego podopiecznego, obserwował sardonicznie kątem oka, jak ten profesjonalnie przybiera skromną minę - po czym ciepło zajął się korzyściami, które zapewne wynikną z Nowej Roli Państwa i Stosunku Tegoż do Przyszłości Brytyjskiego Przemysłu; „jedno i drugie omówi obecnie pan minister”. Clive z zawodowo nijakim wyrazem twarzy pomyślał, że dokładnie biorąc, przemówienie nie obejmie wspomnianych tematów, niemniej jednak muśnię je w granicach przyzwoitości. Rozbieżności nikt nie zauważy. Winstanley z pewną miną podszedł do mikrofonu, gotów wyjaśnić intencje rządu, który niebawem zdejmie z każdej dziedziny brytyjskiego życia bezwładną łapę państwa, co spowoduje ożywienie brytyjskiego przemysłu, wzrost wartości funta, a - to było przeznaczone tylko dla tej publiczności - związki zawodowe i ich kierownictwo rozpedzi na cztery wiatry.

Clive'owi, którego ojciec przez większość życia szefował związkom zawodowym w hucie, udało się przekonać Winstanleya, by przynajmniej publicznie oddzielił przywódców odpowiedzialnych za politykę związkową od szarych członków. Była

to syzyfowa praca. Minister ogródkami, niemniej jednak wyraźnie dawał do zrozumienia, że wszyscy bonzowie związkowi i dziewięćdziesiąt procent szeregowych członków to rozrabiaki i napaleńcy, z których winy samotnych staruszek nie stać nawet na pogrzebanie swoich najbliższych. No cóż, tamtej zimy związki zawodowe same postarały się o utrwalenie takiego wizerunku: wielkie, nażarte, ponure chamidła uniemożliwiają przyciśniętym do muru ludziom dostęp do wszystkiego co koniecznie - choćby szpitalnego łóżka. Różni publiczni dyskutanci o płacach w sektorze publicznym z góry zionęli taką urazą i byli tak najeżeni, że zaskoczyło to wszystkich, w tym ojca Clive'a.

W każdym razie dzisiejsze audytorium kupuje to wszystko bez zastrzeżeń - zauważył, profesjonalnie śledząc swoją kopię mowy, gotów zaznaczać wszystkie odstępstwa od tekstu. Spojrzał na siedzące w trzecim rządzie Caroline i Lucy. Caro miała ironiczny wyraz twarzy, ale słuchała pilnie, Lucy po kryjomu czytała dziennik, a połowa słuchaczy pasła sobie oczy jej widokiem. Och, to wszystko doprawdy bardzo przypominało sytuacje sprzed szesnastu lat.

Wpatrywał się w tekst, ale myślami był gdzie indziej. Wspominał Lucy i Caroline w latach młodości. Pozornie bardzo podobne; obie wyjątkowo urodziwe, absolwentki dobrych liceów nastawionych zdecydowanie na produkcję surowca dla uniwersytetów, obie absolwentki Oxbridge - Caroline po Somerville, Lucy po Girton - obie z uprzywilejowanej klasy średniej, obie bardzo inteligentne.

W tym miejscu wszelkie podobieństwo się kończyło. Lucy, najmłodsze dziecko biznesmena, człowieka sukcesu z Newcastle, zdecydowała się poświęcić prawu. Rywalizując z Caroline zdołała skończyć Cambridge ze średnimi wynikami, lecz szybko spoczęła na laurach pod zajadłą presją egzaminów zawodowych i długich godzin pisania trudnych umów. Jednakże urzekająco piękna i łagodna w obejściu dostarczyła wszystkim u Smitha Butlera wiele niewinnej przyjemności, zanim opuściła kancelarię



wychodząc za Matta Frierna, mężczyznę osiem lat starszego, który odziedziczył w spadku zarówno tytuł baroneta, nadany ojcu za polityczne przysługi wyświadczone miejscowemu oddziałowi Partii Konserwatywnej, jak i kwitnące przedsiębiorstwo. Była z Lucy piękna i stylowa panna młoda. Clive na długo zachował w pamięci koleżeński pocałunek, jakim obdarzyła go na weselu.

Caroline tymczasem daleko było do kobiecości czy łagodności. Na swój sposób dorównywała urodą Lucy. Towarzysząca jej aura dobrego zdrowia i sprawności fizycznej, gęste jasne włosy i gładka skóra czyniły z niej piękność co się zowie. Ale - jak to Andrew Eames Lewis rzekł ze smutkiem pewnego wieczoru nad którymś z kolei piwem - można było spokojnie przyjąć jakąś śliczną, ustępliwą niewiastę, okazującą stosowną wdzięczność za dopuszczenie do męskiego grona, zamiast tej krwiożerczej kreatury, która uważała, że wszyscy mężczyźni, a zwłaszcza klienci, to tylko cholerne zawalidrogi, którym trzeba mówić, co mają robić. Każdy mu przytaknął, bo nawet główny wspólnik mógł powiedzieć niejedno o różnych okropnościach, które uszły Caroline na sucho. Wyrzucić jej z aplikacji nie pozwalała potęga nazwiska Henriques i, o czym nikt głośno nie mówił, niesamowita samodzielność; Caroline pozostawiona sama w krytycznej sytuacji w Wielki Czwartek, gdy zainteresowanego wspólnika wyłączyła choroba, a wspólnik zarządzający zabarykadował się w zasnutym dymem pokoju ślęcząc nad inną poważną umową, sfinalizowała trudną sprawę, masakrując radców drugiej strony i zdobywając trwały podziw zarówno swojego klienta, jak i jego kontrahenta. Mając do czynienia z narosłym przez rok problemem w sekcji rachunkowości funduszy powierniczych, w której przeszła trzymiesięczny przyspieszony kurs, pracowała bez wytchnienia czterdzieści osiem godzin ramię w ramię z dwoma biegłymi księgowymi i zaprowadziła porządek do ostatniego rachunku. Na każdego klienta czy wspólnika, którego śmiertelnie obraziła, przypadał inny, któremu na tyle zaimponowała, że zamawiał ją do następnego zlecenia. W końcu kancelaria Smith

Butler najwyraźniej uznała, że stać ją na zatrudnienie Caroline Whitehouse.

Clive drgnął i powrócił do rzeczywistości, nieomylnie zaalarmowany tonem ministra wieszczącym, że *résumé* blisko, i przekonał się, że dłoń dokładnie śledziła tekst, chociaż głowa była zajęta czymś zupełnie innym. Siedział bez ruchu z maską zainteresowania na twarzy, a jego podopieczny, rozgrzany obecnością słuchaczy, głądził przez pięć minut, po czym usiadł triumfalnie.

## Rozdział drugi

**M**ichael Appleton, główny wspólnik kancelarii radcowskiej Smith Butler, zszedł dwa piętra w dół solidnego georgiańskiego gmachu, poszukując pani Caroline Whitehouse. Osoby, które adresując list umieszczały przed jej nazwiskiem tylko „P.”, narażały się na poważne nieprzyjemności, bo „albo się jest panną, albo panią, oba zwroty zasługują na równe uznanie, a to feministyczne »P.« to drański, asekurancki, nic niewart wymysł”. Appleton zatrzymał się przez chwilę przy otwartych drzwiach, widząc, że jest tak skupiona, iż nie ma pojęcia o jego przybyciu. Zapewne ta umiejętność pozwalała jej prowadzić dom, wychowywać troje dzieci i być wspólnikiem w pierwszorzędnej kancelarii radcowskiej. Zawsze skupiała uwagę wyłącznie na bieżącym zadaniu. Teraz bez reszty zatonęła w papierach; zgarbiona nad biurkiem, trzymała pióro w prawej ręce, głowę wsparła na lewej, wsunąwszy palce w gęste blond włosy. Odczekał, aż starannie dopisze zdanie kończące stronę, i zawołał ją po imieniu. Podniosła nań nie widzący wzrok, przypominając sobie, z kim ma do czynienia.

- Przepraszam, Michael, ale musiałam iść na tę pierdoloną konferencję.

Zarówno słownictwo, jak i brak jakiegokolwiek grzecznościowego zwrotu powitalnego w rodzaju „dzień dobry” nie były go już w stanie poruszyć.

- Muszę z tobą porozmawiać o Prior Building Systems.

- Masz gości, Caroline - przypomniała sekretarka, stawiając na stoliku dwie filiżanki kawy.

- Korona im z głowy nie spadnie, jeśli zaczekają pięć minut. Dzięki, Susie. Chcę tylko, żeby Michael dobrze to wszystko zrozumiał. - Główny wspólnik zignorował obraźliwy podtekst tego oświadczenia, odnoszącego się do jego zdolności umysłowych, i czekał na dalsze wyjaśnienia. - Naszym potencjalnym klientem jest Peter Burwood. Główny dyrektor przedsiębiorstwa o nazwie Prior Building Systems, którego wszystkie akcje ma National Enterprise Board. Obroty około trzystu milionów funtów, w zeszłym roku nieco na plusie, spodziewany dochód tegoroczny: dwanaście milionów. NEB przejęła ich trzy lata temu, kiedy ogłosili upadłość.

- Po co im radca prawny? Przecież faceci z NEB... chyba Fleetwoods?... mogą ich reprezentować.

- Normalnie tak, ale grozi sprzeczność interesów i kierownictwo poprosiło o niezależne przedstawicielstwo prawne. Mike, rzecz w tym, że obecną polityką państwa jest wyprzedaż holdingów NEB, w tym lub nawet przede wszystkim Prior Building Systems.

- Więc interesy NEB i przedsiębiorstwa nie są wspólne? Przed chwilą powiedziałaś mi, że NEB ma wszystkie udziały.

Popatrzył na schyloną głowę Caroline. Kobieta pograżyła się w myślach.

- Cóż, Mike, podejrzewam, że interesy kierownictwa i NEB nie muszą być sprzeczne. - Przerwała, lecz on czekał, aż pierwsza się odezwie. Znał ją od szesnastu lat, jeszcze z czasów aplikacji, i wiedział dokładnie, kiedy nie czuje się pewnie. Spojrzała mu w oczy. - Kierownictwo chce zorganizować wykup i nie ma zielonego pojęcia, od czego zacząć. Spotkałam Petera Burwooda na przyjęciu... och, z kilka tygodni temu... i natychmiast się o tym zgadało.

Michael Appleton patrzył na nią nad szerokim blatem biurka. Uśmiechnęła się niewinnie.

- I powiedział ci, że szuka dobrego prawnika?  
Niebieskie oczy uciekły w bok.

- Niedokładnie tak. To ja mu powiedziałam, że będzie potrzebował dobrego prawnika. I ma pozwolenie, Mike. To znaczy, może wynająć naszą kancelarię. NEB zgodziła się ponieść koszty doradztwa na rzecz drużyny kierownictwa.

- Za normalne stawki? - Popił kawę.

Caroline poprawiła się w fotelu.

- No cóż, moglibyśmy się trochę zastanowić. Kurwa, Mike, ostatnim zleceniem zarobiłam dla nas fortunę i większość roboty odwaliliśmy aplikantami.

Spojrzał na nią z naganą.

- Tylko mi się tak wyspnęło - przeprosiła. - Wiem, że nie powinnam przeklinać, dzieci to podchwytują.

Mniejsza o poglądy moje czy klientów, ale dzieci są ważne - pomyślał z rezygnacją. Pomiął milczeniem przeprosiny. Siedział po drugiej stronie biurka sztywno wyprostowany, barczysty. Obserwowała go spokojnie. Przez lata nabrała zaufania do jego ocen w kwestiach podstawowych. Wiedział, czy opłaci się reprezentować danego klienta, czy też nie. Również, choć ze znacznie większymi oporami, pogodziła się z tym, że w kancelarii liczącej dużo współników obowiązują „procedury”. Nie można decydować wedle własnego widzimisie, brać każdego zlecenia, które się spodoba, nie licząc się z jego konsekwencjami dla płynności finansowej kancelarii. Przypomniała sobie, że pomięła pewien szczegół.

- Rządowi naprawdę zależy na sprzedaniu przedsiębiorstwa. John Winstanley... wiesz, wiceminister środowiska... przemawiał na konferencji. Nie wymienił tego przedsiębiorstwa z nazwy, ale potem sprawdziłam to w rozmowie z pewnym urzędnikiem. Nigdy nie zgadniesz, kto to był - Clive Fieldman. Pamiętasz go?

- Tak sobie. Nie skończył aplikacji. Nudny młody człowiek z północy. Jeden z twoich wielbicieli?

- Niedokładnie. I już nie nudny, z wiekiem i sukcesami nabrał luzu. Został podsekretarzem dwa lata wcześniej niż ktokolwiek inny. Za jakieś trzy tygodnie wpadnie tu na lunch. Mówi, że bez dwóch zdań przedsiębiorstwo idzie na sprzedaż.

Michael Appleton przyglądał się jej z uwagą, świadomy natężenia pracy w firmie. Zestawiał je z zapowiadającą się ciekawie pracą i całkowicie uzasadnioną uwagą Caroline o sukcesie finansowym, który odniosła przy okazji ostatniego zlecenia. Radcy prawni zwyczajowo byli wynagradzani wedle ilości czasu pracy, w przeciwieństwie do bankierów rebusowych, których honoraria były uzależnione od wartości transakcji i nawału zajęć. Jednakże gdy w grę wchodziła poważna transakcja, to nawet tym, którzy posługiwali się wskaźnikiem godzinowym, dużo łatwiej było określić wynagrodzenie, z grubsza szacując wydatkowany czas - i z grubsza szacując, czy to będzie czas. Tu zapowiadało się poważne zlecenie, a jednym z wielu talentów Caroline Whitehouse była umiejętność zapędzenia aplikantów do wielce efektywnej harówki. Byli zajęci na okrągło i dodatkowo w przyspieszonym tempie pobierali naukę. Wielu spośród pracujących u Caroline zostawało z nią na stałe, bo mając do czynienia z osobą kompetentną, bez wahania cedowała na nią pełną odpowiedzialność. Michael pewnego razu pogratulował jej przywiązania aplikantów, na co odparła, że wychowując trójkę dzieci, których ojciec przebywał poza domem miesiącami, i walcząc o pozycję wspólnika w poważnej firmie prawniczej - albo znajdowało się kompetentną pomoc i cedowała na nią własne prerogatywy, albo padało się na pysk przy garach. Uczciwie dodała, że przez te wszystkie lata nawet na myśl jej nie przyszło stanąć przy kuchence, ale chodzi o zasadę. Po rozmowie Michael był rozdarty między podziwem dla Caroline i samozadowoleniem, gdyż nigdy nie wymagałby od własnej żony równie ciężkiej pracy.

- Cóż, zależy nam na tych wykupach przez kierownictwa - rzekł. - To bardzo zyskowna dziedzina. A tu w grę wchodzi spore przedsiębiorstwo. Z tym że to bardzo polityczna sprawa, no nie?

- Och, bardzo. Ale posłuchaj, Michael, zależy nam też na udziale w prywatyzacji, mam rację? Szkoda, że nie słyszałeś Winstanleya, jak wczoraj przemawiał - oni naprawdę chcą sprzedać, co się da. Jest praca dla nas wszystkich.

- Co zamierzają przez pięć lat?

- Nie planuj dalej niż na cztery.

Przypomniał sobie, że krewny Henriquesów był przez kilka lat nie-tak-bardzo-wybitnym ministrem w ostatnim rządzie.

- Stać ich na wiele, jeśli szybko wezmą się do roboty. Jest masa łatwizny - udziały w BP i Cable and Wireless. No, o nich się mówi głośno, trzeba tylko pomachać ofertą sprzedaży. A poza tym firmy, które NEB przejęła przypadkiem. Wystarczy wymienić dwie - Fermati i Fairey. Wszędzie są potrzebne trzy grupy doradców; jedna dla przedsiębiorstwa, jedna dla rządu...

- ...i jedna dla NEB - rzekł z namysłem Michael Appleton.

- Zgadza się.

Caroline spojrzała na niego z uznaniem, na jakie zasłużyło pojętne dziecko, ale się tym nie przejął. Oczywiście, będzie wiele pracy i zlecenie, do którego usiłowała go zachęcić, zapowiadało się poważnie. Pół roku temu doszli do wniosku, że żadna licząca się kancelaria nie może dać się wykołegować z tej fali interesów. Już w tej chwili uczestniczyli w przetargu na doradztwo ogłoszonym przez dwa ministerstwa. Chodziło o prawne implikacje szeroko zakrojonych działań prywatyzacyjnych.

Podszedł do okna i spojrzał na Lincoln's Inn Fields. Był rześki styczniowy dzień, dochodziła pora lunchu i skwer wypełniali spieszący się ludzie. Wianuszek dziewcząt w krótkich plisowanych spódniczkach biegł w kierunku boisk do siatkówki. Chichotały i przerzucały między sobą piłkę. Patrzył na nie z nostalgią.

- Grasz dalej w siatkę, Caroline? - spytał nie odwracając się od okna.

- Michael. - Obejrzał się. Patrzyła na niego pobłaźliwie i z pewną irytacją. - Mam trzydzieści osiem lat. Może pamiętasz, że jestem współnikiem w tym interesie. Te siksy to osiemnastki, może sześć lat starsze od mojego pierwszego dziecka, i mają kondycję. Kiedy znalazłabym czas? Jakim cudem?

- Tak przeleciało mi przez głowę. Jakoś nie wyglądasz dużo starszej niż wtedy, kiedy zjawiałaś się tu pierwszy raz.

- Zawsze byłeś miły - przyznała mu ponuro. - Czy to wszystko

wstęp do odmowy? Musimy się za to wziąć, Michael. Nie utrudniaj mi życia.

Poruszyła się lekko i światło z okna padło na jej twarz. Tak, przypomniała mu, że doprawdy nie jest nieopierzoną, choć zdolną aplikantką, ale wielce doświadczoną, odpowiedzialną współpracowniczką, na której życiorysie ciąży permanentny brak snu, spowodowany pracą i wieloma obowiązkami. W Michaelu odczuwało się współczucie. Uświadomił sobie, że ona od lat na pewno nie dosypia - jej najmłodszy był zaledwie ośmiolatkiem. Brał za rzecz naturalną jej wytrzymałość i zdolności, ale koszty zaczynały być widoczne. Być może bardziej odpowiedzialny główny współpracownik odmówiłby przyjęcia tego zlecenia lub przekazał je komuś innemu.

- Szczerze mówiąc, wołałbym jedno z tych zleceń, o które się staramy. Bliższa firmie wydaje mi się praca dla Ministerstwa Przemysłu w sprawie British Layland albo dla Energii w sprawie gazownictwa - rzekł ostrożnie.

Pokiwała głową.

- To byłoby cudowne. Ale, Michael, pomyśl przez chwilę. Zaczniemy od tego, że musimy ubiegać się o oba te zlecenia. Jakie są wymagania? Oferta od wszystkich uczestniczących w przetargu. Potem zrobi się listę ostatecznych kandydatów. Ile będzie nas kosztowało, żeby chociaż dostać się na listę kandydatów Ministerstwa Przemysłu? Andy i Keith zostaną całkowicie oderwani od wszystkiego innego na tydzień, aby wkuwać wiedzę o samochodach i pisać strona za stroną tę ofertę... To nas będzie kosztowało dziesięć tysięcy funtów. Zgadza się? I wylądujemy zaledwie na liście kandydatów. To samo jest ze zleceniem dla Ministerstwa Energii. I powiem ci jeszcze jedno. Jeśli wreszcie dostaniemy któreś z tych zleceń, to pięknie, odwalimy ekstra robotę na wysokim poziomie, ale ująą nas na honorarium, to wyraźnie widać z zaproszenia do przetargu, a na samym końcu zostaniemy bez klienta. Kiedy tylko rząd pozbędzie się BP, czy to w całości, czy fragmentami, radcy pracujący dla BP będą mieli klientów. My figę.



Przyjrzał się jej uważnie.

- To do ciebie niepodobne, że siedziałaś jak trusia na nara-dzie, na której to wszystko było omawiane.

- Wtedy miałam urlop albo powinnam mieć. Nie, Michael, rzecz nie w tym, że nie powinniśmy podejmować prac dla rządu. Jasne, że powinniśmy. Tylko że należy brać i jedno, i drugie zlecenia. Niektóre robimy dla rządu, ale naprawdę tłuste, rozwo-jowe zlecenia to te, przy których zdobywa się stałego klienta. Dlatego chcę się za to wziąć. Jeśli się dobrze spiszymy, będziemy mieli znaczącego, wdzięcznego klienta na wieczność albo coś koło tego.

Pokiwał głową przyjmując ten punkt widzenia.

- Caroline, już jesteś przeciążona. Nie możemy tego dać in-nemu wspólnikowi?

- Po moim trupie - powiedziała zgodnie z jego oczekiwa-niami. - Przydziel mi tylko Marka Dwyera, porządnego aplikanta i dam sobie radę. Zacznę bez pośpiechu... spodziewam się wielu politycznych zawłości. Na to potrzeba czasu poza godzi-nami pracy.

- Zgoda. Wiesz, co to za ludzie?

- Zajmuję się tym. Wyglądają na porządnym. Sam się prze-konasz. Ściągnę ich na lunch, jeśli uda się nam go wepchnąć do twojego terminarza.

Sensowne zastrzeżenie - zgodził się ze znużeniem Michael Appleton. Główny wspólnik dużej kancelarii prawniczej ma mało czasu dla siebie i wszystkie lunchy zajęte na wiele tygodni naprzód na załatwianie takich czy innych spraw, krytycznych dla przyszłości firmy. W szczególnie złe dni podtrzymywał go na duchu obraz innego życia, w którym jadłby lunch w samotności, popijając szklanką piwa kanapkę z soczystą szynką. Niechętnie rozstał się z tą wizją. Caroline tymczasem zadzwoniła do jego biura, aby ustalić datę lunchu. Każdy inny wspólnik zleciłby swojej sekretarce ten obowiązek, ale Caroline zawsze sama wy-konywała robotę, jeśli uważała, że zrobi ją najszybciej. Zsunęła za ucho gęste włosy i Appleton bezwiednie uśmiechnął się na widok znajomego gestu; widział go u niej setki razy podczas wszystkich wspólnych lat. Zapewne odzyskała siły, bo nagle

wydała się bardziej elegancka, co zauważył z szacunkiem. Skończyła rozmowę, wstała zza biurka odprowadzając go do drzwi i zatrzymała się przed lustrem. Odgarnęła włosy z czoła i krytycznie przypatrzyła się swojej twarzy, zapomniawszy o jego obecności. Zakaszłał taktownie. Odwróciła się zaskoczona.

- Zrobiłam pasemka, Michael. Włosy nie wyglądają na farbowane, no nie?

- Ani trochę - odparł ogromnie zaskoczony. - Wyglądają znakomicie... Właśnie pomyślałem sobie, że wspaniale wyglądasz.

- Pasemka to cudowna rzecz. Prawdę mówiąc, włosy ściemniały mi trochę, a wtedy wyglądałam na zmęczoną. Zauważyłam to przeglądając się w lustrze razem z Timmym. Dawniej nasze włosy miały ten sam odcień, ale moje zrobiły się mysie.

- Więc przywróciłaś im naturalny odcień. - Michael Appleton zdobył się na szarmancki komentarz, oczarowany jej przyznaniem się do ludzkiej słabości.

- Pięknie to ująłeś. Tak.

Uśmiechnęła się do niego szeroko i zanim zdążył pomyśleć, co robi, zaproponował jej lunch, chociaż uznał dobre kilka tygodni temu, że nie należy wystawiać pewnego wyjątkowo dobrze wychowanego klienta na towarzystwo bezceremonialnej Caroline. Ku jego uldze odmówiła tłumacząc, że jest umówiona z przyjaciółką. Wrócił do gabinetu z nadzieją, iż nie popełnił błędu pozwalając swojej protegowanej wziąć się do Prior Building Systems.

Caroline załatwiła sprawy z gośćmi, podpisała listy podyktowane rano i wskoczyła do czekającej taksówki, która zawiozła ją na lunch. Wysiadła, podziękowała kierowcy i przemknęło jej przez myśl, że już zapomniiała, kiedy płaciła gotówką za przejazd, bo jedynie poświadczała przeogromne rachunki.

- Lucy! - zawołała.

Przyjaciółka rozglądała się mrużąc krótkowzroczne oczy. Caroline przypomniała sobie z mieszaniną czułości i rozdrażnienia,

że Lucy nigdy nie nosi szkieł; może było to wytłumaczalne, kiedy były dwudziestodwulatkami, ale na pewno nie teraz, gdy miały trzydzieści osiem lat, wychowywały dzieci i nie potrzebowały aż do tego stopnia dbać o swój wygląd. Jednakże należało przyznać, że uroda Lucy Friern była warta starań - ciemne, długie do ramion włosy, świeżo umyte i idealnie uczesane, muskały łagodnie kołnierzyk ślicznie skrojonego kostiumu z welenki w takim samym fiołkowym odcieniu co oczy Lucy.

- Ależ wyglądasz wspaniale, Caro! - wykrzyknęła. Wstała i ucałowała przyjaciółkę.

Wszyscy to teraz mówią - pomyślała chłodno Caroline. Po tragicznej śmierci Bena nawet jej najbliżsi przyjaciele nie wiedzieli, jak się zachować ani co powiedzieć. Być może w wieku trzydziestu sześciu lat jesteśmy jeszcze zbyt nie obcy ze śmiercią - uznała ucziwie, ale szok sprawił, że nawet osoby, które kiedyś były jej bliższe niż rodzona siostra, jak Lucy Friern, zachowywały się dziwacznie i obco. Ich postępowanie wahało się od takich niedorzecznych reakcji, jak natychmiastowe przedstawianie jej wszystkim wolnym kolegom, aż do głuchego milczenia. W pewien sposób stosunki z panami były łatwiejsze; niezwykła liczba mężczyzn, których znała i lubiła w roli mężów przyjaciółek, zaczęła się do niej przystawiać. Te próby podboju obejmowały pełne spektrum prostactwa. Od dzieciństwa nisko ceniąc płęć męską, miała mniej kłopotów ze zrozumieniem tego zjawiska.

- Wyglądasz znakomicie, Lucy. Fantastyczna sukienka. A to, co miałaś na sobie wczoraj, było po prostu urocze. Opowiedz mi o chłopcach.

Słuchała, autentycznie zainteresowana relacją Lucy o kłopotach z synami, i poczuła, że lody pękają. Lucy Friern rozluźniła się i dawne stosunki ponownie zostały nawiązane.

- Więc Mark zamierza iść do Eton i podejrzewam, że Jamie zrobi to samo. Ale, Caro, gdzie są twoi chłopcy? Jak sobie dajesz radę?

- Z trudem. Kiedy Ben zginął, myślałam, że powinnam wysłać

ich do szkół z internatem\*. Nie miałam pojęcia, jak sobie poradzę, zwłaszcza z dwójką chłopców.

\* W Wielkiej Brytanii są to szkoły z reguły cieszące się wyższym prestiżem niż zwykle (tzw. „dienne” szkoły).

- No, ale miałaś wcześniej braci - zainteresowała się Lucy.

- Tym bardziej byłam zdecydowana wysłać ich z domu! - stwierdziła ponuro Caroline. - No, ale potem przypomniałam sobie mojego ojca - idiotę, który głodził rodzinę, żeby wysłać nas do szkoły z internatem, nawet tych za głupich, aby mogli dostać stypendium, i zdecydowałam, że tego nie zrobię.

Lucy Friern jak zawsze poczuła się nieswojo, słysząc bezceremonialną wypowiedź Caroline o wybitnym profesorsze, sir Sholto Henriquesie.

- Jak się ma twój tato?

- Tak jak zawsze. Wałęsa się po świecie z wykładami i robi jakieś bzdurne zlecenia dla Partii Pracy. Do siedemdziesiątego drugiego roku życia nie zadbał o odpowiednią emeryturę i matka nie wie, jak ma związać koniec z końcem.

- Może podejmie się jakichś prac i nie będzie potrzebował emerytury? - zasugerowała Lucy.

- Drobne zlecenia dla Partii Pracy nie przynoszą poważnych pieniędzy. Podobnie jak rozważania o filozoficznych podstawach dostarczania przez państwową służbę zdrowia sztucznych nerek. To może posłużyć za temat interesującego artykułu w niedzielnym dodatku do gazety, ale nie zapewni nikomu, mojej matce również, bezpiecznej starości i nie pomoże w prowadzeniu domu teraz.

- Może matce jest to obojętne?

- Nie, nie jest jej obojętne, tylko nigdy nie potrafiła tego głośno powiedzieć. I nigdy nie cisnęła garów i nie poszukała sobie uczciwej pracy. Wolała wstąpić do ochotniczej organizacji pomocy kryminalistom w północnym Londynie. Przepraszam, Lu, pewnie jesteś znudzona moją rodziną, a ja snuję dygresję. Dlatego Timmy i Francis są w City of London School, porządnej dziennej szkole. Opowiedz mi o sobie. Od dawna uczciwie nie poplotkowałyśmy. Jak się ma Matthew?

- Cóż, wiesz. - Caroline patrzyła z pobłażaniem na przyjaciółkę bawiącą się kieliszkiem. - Cóż, ciągle praca i praca.

To znaczy, że Lucy Friern, która nie znosiła jakichkolwiek objawów obojętności, jak zwykle postarała się o niezłą rozrywkę, żeby nie czuć się niekochana - doszła do wniosku Caroline i powstrzymała się od komentarza.

- A jak ty sobie dajesz radę, Caro? Chodzi mi o mężczyzn.

Jak ja pod naciskiem mężczyzn, których lubię i podziwiam, stałam się trochę bardziej taktowna - pomyślała Caroline zmieszana, lecz rozbawiona - tak Lucy pod naciskiem czegoś lub kogoś stała się bardziej bezpośrednia, żadna przede wszystkim zaspokojenia ciekawości własnej.

- Nie daję sobie rady - odparła uznając, że postawione bez ogródek pytanie zasługuje na uczciwą odpowiedź. - Po śmierci Bena chwyciłam się wszystkiego; poszłam do łóżka z trzema facetami, którzy kręcili się koło mnie, kiedy byłam panną. Starzy zalotnicy całą gębą. Za każdym razem klęska albo coś blisko tego. Potem zdarzyło mi się parę przelotnych okazji z żonatymi. Więc dałam sobie spokój. Trójka dzieci i praca na pełny etat to wystarczy, żebym miała co robić. - Spojrzała z sympatią na przyjaciółkę. - Kiedy nie jesteś zachłanna tam, gdzie chodzi o seks, życie staje się prostsze. I mam mnóstwo przyjaciół wśród mężczyzn.

Przerwał im kelner przyjmując zamówienie. Caroline patrząc na gładkie włosy Lucy, kiedy ta wodziła nosem po menu, przypomniała sobie śniadania w pierwszorzędnej szkole, gdy połowa jadalni gapiała się na Lucy, śliczną nawet w nietwarzowym zielonym mundurku; pochylała się zwyczajem krótkowidzów nad różnymi półmiskami, jedną ręką trzymając włosy, odsłaniając gładką skórę i klasyczny profil. Nigdy nie chciała wkładać okularów; nosiła je niechętnie, przeważnie złamane albo sklejo- ne byle jak taśmą, tylko podczas lekcji, gdyż uznawała, że wtedy nikt nie zwraca na nią uwagi. Zawsze olśniewała panów w każdym wieku i każdej profesji; kiedy skończyła piętnasty rok życia, zastępy mężczyzn - od sędziego Sądu Najwyższego, który mógłby być jej dziadkiem, do

osiemnastoletniego muzycznego geniusza z miejscowej szkoły męskiej - słały się jej do stóp. Nie poszła do Somerville, więc studiowały osobno, lecz odwiedzały się regularnie i Caroline wiedziała o karierze Lucy w Cambridge, gdzie sprawy biegły podobnym trybem. I tam mężczyźni pchali się drzwiami i oknami, pukali do drzwi jej pokoju we dnie i w nocy, aż za często „przypadkiem” pojawiali się w tej kawiarni czy księgarni, o którą zahaczyła, lub okazywali jej podziw na najprzeróżniejsze sposoby, skutecznie utrudniając skupienie się na pracy w bibliotece przez te kilka godzin w tygodniu, które z trudnością sobie wykroiła. Z kolei Caroline z pełnym profesjonalizmem oddawała się pracy pięć godzin dziennie, mając na celu solidną ocenę końcową, oddawała wszystkie prace pisemne w terminie i nawet wybuch wojny nie zdołałby jej zdekoncentrować. Sprawy Lucy traktowała więc po prostu z osłupieniem i - jak musiała przyznać w skrytości ducha - miała do tego wszystkiego stosunek piczki-zasadniczki.

Oczywiście Lucy dostała dostateczną ocenę końcową i początkowo miała nawet kłopoty z przyjęciem na rozmowę wstępną do Smitha Butlera. Jednak coś przeważało, a ponieważ za tamtych przedpotopowych czasów komisja wstępna była w stu procentach męska, podanie Lucy o przyjęcie na aplikację spotkało się z jednogłośnym i entuzjastycznym poparciem. Lunche z Lucy często były wypełnione monologami o jej ostatnim facecie, gdy już padły kurtuazyjne zapytania o zdrowie i powodzenie przyjaciółki, ale ta lubiła Lucy i po cichu świetnie się bawiła różnymi historyjkami. Obserwacja autentycznej femme fatale była i na zawsze pozostanie interesująca.

- Więc powiedz mi, Lu - rzekła gładząc się na nieuniknione - kogo usidliłaś tym razem? Sięgnęłaś wyżej? Potem tylko dom panujący.

- Nie - odparła z pewnym żalem Lucy. - No cóż, Anthony i ja musieliśmy zerwać. Celia, jego żona, zrobiła się okropnie podejrzliwa, a ja, chociażbym była z Mattem na noże, nie zamierzam brać rozwodu, serdeczne dzięki, więc uznaliśmy, że lepiej

zrobimy dając sobie spokój. Poza tym ci koszmarni brukowi pismacy ciągle się koło nas kręcili.

Caroline uśmiechnęła się bezwiednie, słysząc nutkę niewinnej dumy w głosie przyjaciółki. Poczula się zobowiązana powiedzieć:

- Cóż, to normalne, no nie? Biorąc pod uwagę pozycję Anthony'ego...

- Tak. - Lucy zrobiła pauzę, podczas której przyglądała się przyjaciółce. - Więc zapewne rzecz można, że teraz sięgnęłam po kogoś z dołu listy. Prawdę mówiąc, znasz go.

- Kochanie, nie mów mi, że to któryś z moich współników...?!

- Nie, nie. Żaden z nich nie jest na tyle zachęcający.

- Och, nie wiem - zaprotestowała Caroline. - Jeremy Lewis?

- Bez pojęcia w łóżku.

- Lu! Ty chyba nie...

- Oczywiście, że nie. Ale dobrze wiem, co mówię. Jest zbyt prostolinijny. Och, dziękuję. - Uśmiechnęła się z roztargnieniem do kelnera, który drżącymi rękami postawił przed nią talerz i wycofał się niechętnie za wahadłowe drzwi, zza których nadal wybałuszał oczy.

- Co złego w prostolinijności? Nie, przepraszam, odwołuję pytanie - śmiała się Caroline. - Opowiedz mi o tym ostatnim. Skąd go znam?

- Ze Smitha Butlera.

- I to nie współnik? Lu, nie mów, że to któryś z niższych pracowników.

- Ale z ciebie snobka na punkcie wieku! Wiesz, tacy mają więcej czasu i energii. Pamiętasz Lea? Mało który umiał tak wspaniale się rżnąć. Nie, poproszę tylko zestaw firmowy.

Caroline przypatrywała się z ironią młodemu hiszpańskiemu kelnerowi, który wycofał się wstrząśnięty, niemniej jednak pełen uwielbienia.

- Jeśli jesteś w potrzebie, masz ochotnika, Lu.

- Kochanie, nie wiadomo, gdzie ci chłopcy się obracają, mówię szczerze. Wiesz, to przeważnie biseksy. - Lucy nie dała się zepchnąć z obranego kursu. - Nie, on już nie jest u Smitha Butlera, ale razem robiliśmy aplikację. Był wczoraj na konferencji.

Caroline odłożyła widelec i przebiegła w pamięci wczorajszy dzień. Po konferencji wróciła do biura i odwaliła ilość pracy, która komu innemu zajęłaby cały dzień, potem na łeb, na szyję pognąła do domu sprawdzić odrabianie zadań i wróciła do biura, aby asystować w trwających godzinami negocjacjach, które zdecydowanie wymagały wypoczętego umysłu. Lucy prawdopodobnie spędziła całe popołudnie u fryzjera albo w łóżku z kimś tam, a wieczór w Covent Garden - pomyślała z ukłuciem zazdrości. Mali Friernowie chodzili oczywiście do dobrej szkoły podstawowej z internatem, więc za sprawdzanie postępów w łacinie i grze na skrzypcach nie była odpowiedzialna ich matka. Wróciła myślami do konferencji.

- Andy Eames Lewis - oświadczyła triumfalnie, przejrząwszy możliwości. - Cóż, lokuje się na liście niewiele niżej niż Anthony.

- Nie, nie Andrew. Wiesz, dawniej było coś między nami, ale wtedy jeszcze Matt nie był moim mężem.

Caroline kiwnęła głową, przyjmując do wiadomości coś, co dawno podejrzewała.

- Więc kto tam jeszcze był? - spytała.

- Clive. Clive Fieldman.

Caroline wpatrywała się w nią z rozdziawionymi ustami, autentycznie zaskoczona.

- Święty Boże, Lu. Nie miałam pojęcia, że byliście w kontakcie... przepraszam, wróć... nigdy jakoś nie pomyślałam, że jest w twoim typie. Nie podobał ci się, kiedy byliśmy smarkulami, prawda?

- Nie za bardzo. Pamiętasz, był taki niewyrobitny.

- To fakt. Nudziarz. Ale miał w sobie coś, no nie? Wiedział, czego chce. Chyba się ożenił.

- Rozwiedziony. Dwoje dzieci. Jest prawdziwą gwiazdą w Ministerstwie Środowiska.

- Zgadza się. Zaledwie w naszym wieku, a ma rangę podsekretarza. Na Boga, Clive! Prawdę mówiąc, zwróciłam na niego uwagę, bo jestem zawodowo zainteresowana tym, co robi. Wywarł na mnie całkiem niezłe wrażenie. Naturalnie, zawsze był przystojny. - Ugryzła się w język. Już chciała przypomnieć, że



jako aroganckie dwudziestodwulatki uznały, że jest za mało szalowy dla którejkolwiek z nich, ale Lucy z kocim instynktem prawdziwej kobiety domyśliła się tego.

- Te sprawy nie mają już żadnego znaczenia, no nie? Byłyśmy głupie, prawda?

- Skończone kretynki. Jaki jest w łóżku? Wiesz... Clive.

- Cóż, trzeba go było trochę podciągnąć. Ale teraz spisuje się całkiem, całkiem.

- Och, dobra robota, Lu! Kolejny mężczyzna wykierowany na człowieka. Cóż za korzyść dla damskiej społeczności. Dobra z ciebie dziewczyna.

- No, kochanie, ktoś musiał zadać sobie ten trud. Masz mi to za złe?

- Przepraszam. Nie chciałam ci prawić morałów jak jakaś stara panna. Chyba jestem zazdrosna. Nie potrafię przyciągać mężczyzn jak ty i nie stać mnie na twoje wyczyny. - Zastanowiła się nad ostatnim zdaniem, dostrzegła wzrok przyjaciółki i zaczęła chichotać. - Przepraszam - powiedziała bezradnie, ale Lucy śmiała się razem z nią.

- Nie, posłuchaj, Caro - rzekła poważniejąc. - To ja jestem winna przeprosiny. Byłam małpa. Po śmierci Bena przestałam się odzywać i nie wysilałam się zbyt, żeby nawiązać kontakt. Znowu miałam depresję, ale to żadna wymówka.

Caroline uśmiechnęła się do niej wzruszona.

- Nie byłam bardzo otwarta wobec ludzi.

- No, nie, kochanie, ale to rozumiałe. Zawsze, kiedy sprawy układały się nie po twojej myśli, zachowywałaś się jak osaczony wilk. A może wilkołaczka. Czy to zupełnie coś innego?

- To zupełnie inny stwór. I nie wiem, o co ci chodzi.

- Och, Caro, kiedy zerwałaś z Francisem, byłaś nieznosna, gryzała każdego, kto znalazł się w pobliżu. Dlatego Ben potrafił cię zdobyć; w ogóle nie zwracał uwagi na to wszystko, tylko wciąż cię zapraszał, a inni odchodzili ciężko urażeni, żeby nie powiedzieć - zranieni. Zwróć uwagę, nie twierdzą, że po śmierci

Bena byłaś równie okropna, mówię tylko, że akurat ja powinienam bardziej się starać, a nie machnąć na ciebie ręką, bo byłaś wobec mnie niezbyt grzeczna.

- Jestem dużo grzeczniejsza. Wszyscy to mówią - zaprotestowała Caroline.

- Już gorsza być nie mogłaś - zauważyła Lucy, uprawniona do tej uwagi w imię starej przyjaźni, i Caroline uśmiechnęła się smutno.

- Nauczyłam się tego jeszcze dzięki matce.

Lucy zdumiała się. Przypomniała sobie ostatnie spotkanie z przemilą Pamelą Henriques i wyraziła uprzejme zaskoczenie.

- Tak, jak najbardziej - wyjaśniła z pewnym naciskiem Caroline. - Grzeczna dla wszystkich i dlatego zawsze pod pantoflem ojca i braci, bo nie mówiła im tego, co należało. Czy ty wiesz, Lu, że w pewnym okresie ojciec wydawał dwie trzecie dochodu netto na utrzymanie tych trzech idiotów w Winchester i zamieniał życie mojej matki w piekło, bo nie potrafiła przygotować wyszukanych posiłków dla sześciu osób za sześć i pół pensa tygodniowo? A powinna mu wygarnąć, niech przestanie rozkosznie odgrywać profesora zupełnie nieprzydatnej gałęzi filozofii i weźmie się za zarabianie jakichś przyzwoitych pieniędzy albo niech pošle chłopaków - przynajmniej dwóch, którzy nie dostawali cholernych stypendiów jak ja - do dobrej dziennej szkoły. Stale się przed nim tłumaczyła i wylewała łzy goryczy przede mną. Choć miałam dopiero osiem lat, wiedziałam, że jestem złym adresem, ale matka była ślepa i głucha na prawdziwe przyczyny swojego nieszczęścia i nie dała popalić mojemu ojcu.

- Swojemu mężowi.

- Niech ci będzie, swojemu mężowi. Dziwię się, że w ogóle udało mi się wyjść za mąż, mając ten przykład domowego szczęścia przed oczami. - Zrobiła pauzę, wspominała. - Mama łamała sprzęty, kiedy naprawdę się wkurzyła. Na naprawę potem trzeba było wydawać bająnskie sumy, co pogłębiało tylko biedę, ogólne napięcie i wzbudzało dalsze okropne kłótnie. Rany, jakie my mieliśmy Boże Narodzenie! A o całym dzieciństwie nie warto wspominać!

Lucy myślała o domostwie Henriquesów, które zawsze uważała

za nieprzyjemne, chociaż z innych powodów, gdy bywała tam jako nastolatka. Trzech starszych braci Caroline rozsadzała energia. Przystojni blondyni, dufni we własną inteligencję, rozbijali się po domu, strojąc niezrozumiałe dla niej studenckie żarty. Zmuszali ją do grania w hokeja z paczką ich przyjaciół obojga płci, dziećmi wybitnych intelektualistów, pozbawionymi fizycznej niezdarności i łagodności obejścia, tradycyjnie kojarzonych z tą warstwą. To prawda, kiedy teraz się nad tym zastanowiła, stwierdzała, że jedzenie było pospolite i nie zawsze go wystarczało, a dom, który od dwudziestu lat nie widział świeżej farby, wstrząsnął nią z lekka, gdy oglądała go z pozycji rozpierzczanego dziecka bogatego przemysłowca.

- Sądzę, że twoja matka mogłaby pójść do pracy.

- Oczywiście, że tak. Ale ona jest z Fisherów, a oni wszyscy bawią się tylko w bezinteresowne wtrącanie się w życie innych i rozkazywanie. Zorganizowała dom pomocy społecznej w północnym Londynie. To nami powinna się zająć. Mówiłam już o tym będąc nastolatką.

Lucy, która po raz pierwszy słyszała przyjaciółkę opisującą z taką pasją dzieciństwo, rozważała, czy zmienić temat, czy pozwolić go kontynuować, ale Caroline odbiegła myślami daleko, błękitne oczy przewiercały Bogu ducha winny widelec. Nagle podniosła głowę.

- Przepraszam, Lu, nie wiem, dlaczego zmuszam cię do wysłuchiwania tego wszystkiego. Byłam taka rozdarta po śmierci Bena, a chłopcy zachowywali się tak niezdalnie, że wszyscy poszliśmy do terapeutki od spraw rodzinnych i ona dokopała się tego wszystkiego. Wiedziałam połowę, to oczywiste, dlatego zawsze tak zależało mi na pracy, ale nie rozumiałam dokładnie, czemu tak było.

- Za ciężko pracujesz, Caro - orzekła trzeźwo Lucy. - Wiem, co sobie myślisz o moim nieróbstwie, niemniej jednak to prawda.

Caroline skinęła potakująco głową.

- Wiem, że masz rację, ale w powiedzeniu, że praca to narkotyk i pocieszenie, coś jest. Zawsze myślałam sobie, że czułabyś

się lepiej troszkę pracując - nie musisz być takim obsesyjnym szaleńcem jak ja. A teraz, proszę, opowiedz mi o Clivie. Nie mogę się doczekać. Gdzie go spotkałaś?

Lucy chętnie zmieniała temat, z łatwością wróciła do dawnych studenckich stosunków, kiedy to zabawiała Caroline, a prawdę mówiąc całą paczkę koleżanek, ostatnią przygodą erotyczną.

- Zeszłego roku na przyjęciu, kiedy Partia Pracy robiła dużo szumu i usiłowała zdobyć głosy na północnym wschodzie. Przyjechał z ministrem - to był Ted Lewis - na otwarcie nowego ośrodka kultury i ktoś potem wydawał obiad. No, sterczymy tam sobie w hrabstwie Cumberland, masa ludzi ze związków zawodowych, każdy ma pięć stóp wzrostu i kopci jak komin. - Zrobiła przerwę i zerknęła na Caroline, która skrycie dusiła się ze śmiechu. - I widzę Clive'a, stoi z ministrem i nudzi się śmiertelnie. Od razu go poznałam. Odwrócił głowę i zobaczył mnie. Trwało całe dwie sekundy, zanim sobie przypomniał, kim jestem. I uśmiechnął się od ucha do ucha. Wiesz, jak mały chłopiec.

Caroline nagle przypomniała sobie pewien wieczór sprzed szesnastu lat, kiedy uświadomiła sobie, że Clive też pracuje do późna i biorąc dla siebie kawę i kanapki, zadbała również o niego. Mając zajęte obie ręce, krzyknęła, by otworzył drzwi. Stał na progu mrugając oczami, blady, opalona twarz była szara ze zmęczenia, a ciemna, zwykle stercząca czupryna oklapnięta. Cofnął się spłoszony, a potem na widok jedzenia rozjaśnił się jak słońce i nawet teraz, po latach, poczuła ciepło na wspomnienie tamtego uśmiechu. Ujęta tym przywitaniem zjadła razem z Clive'em. Rozmawiali o jego rodzinie, chwilowo połączeni bezpośrednim koleżeństwem ludzi, którzy natykają się na siebie w biurze w środku nocy.

- Tak - rzekła ocknąwszy się ze wspominków. - Dobrze wiem. Jak dzieciak, którego matka niespodziewanie pojawia się podczas nudnej lekcji.

- Uhm. Podszedł do mnie bez żadnych ceregieli, zaczęliśmy rozmawiać i potem zmieniłam rozmieszczenie gości przy stole,

żeby siedział koło mnie. - Zaczęła się śmiać. - To spowodowało masę kłopotów. Niechcący posadziłam koło siebie dwóch śmiertelnych wrogów. Ale my mieliśmy to w nosie, gadaliśmy jak najęci. Pocałował mnie na pożegnanie - pamiętasz, jak powtarzał, że jesteśmy śmieszne, bo zawsze całujemy obcych? No, ale wtedy uznał to za dobry zwyczaj i obcałowywał te wszystkie panusie z Partii Pracy, które miały trwałą zrobioną w domu.

- Lu, dzisiaj już nie robi się trwalej w domu - zaprotestowała przyjaciółka. - Teraz obowiązkowo chodzi się do fryzjera.

- Cóż, kochanie, zawsze wiedziałas więcej o Partii Pracy ode mnie. - Lucy była w swoim żywiole i nie dała się zbić z tropu.

Caroline nie przejęła się tym docinkiem i wyjaśniła, że pogrzebała wszystkie swoje nadzieje związane z Partią Pracy tuż przed wyborami, kiedy wybrała się do matki i zastała dom pełen mężczyzn w średnim wieku zaczesanych „w pożyczkę”, wygłaszających opinie niezmiennie zaczynające się preambułą: „Moi członkowie tego nie przełkną”. Trzeba przyznać lady Henriques, iż wyznała córce, że jeśli działacze związkowi nie zmienią stylu myślenia, będą nie do przełknięcia dla większości zdrowo myślących wyborców, gdyż trudno dopatrzeć się korzyści dla społeczeństwa w polityce, która zmusza ludzi do przynoszenia własnych prześcieradeł do szpitala czy samodzielnego grzebania zmarłych. Zresztą to proroctwo okazało się prawdziwe i związkowe szychy, które tak fatalnie oceniły głoszący ogół, nadal z furią wygłaszały samousprawiedliwienia, żrąc się równocześnie między sobą.

- Przepraszam, Lu, więc staliście z Clive'em, nie mając żadnych szans na to, żeby paść sobie w ramiona, w środku przedwyborczego wiecu zajadłych socjalistów w Dorrington. Co wydarzyło się potem?

- Cóż, był weekend i nie miałam pojęcia, jak złapać Clive'a. Ale zadzwonił w poniedziałek i zjedliśmy razem lunch. Potem spotkaliśmy się na lunchu w środę koło Tate, niedaleko jego biura, i zaproponował, żebyśmy poszli obejrzeć obrazy.

- Clive i obrazy...?! Pamiętasz jego uwagi o National Gallery?

- Caroline nie mogła się powstrzymać, żeby nie przerwać przyjaciółce, ale pożałowała tego, gdy ta zmroziła ją wzrokiem.

- Zmienił się, przecież ci mówiłam. W każdym razie uznałam, że do niczego w ten sposób nie dojdziemy, i powiedziałam: „No cóż, Clive, z dziką rozkoszą obejrzę obrazy, jeśli ci na tym naprawdę zależy, ale gdybyś jednak wolał spędzić ze mną popołudnie w łóżku, rozejrzyjmy się za jakimś hotelem”.

Caroline spoglądała na Lucy pełna podziwu, czując się stara, ociężała i beznadziejnie staromodna.

- Co on na to?

Lucy zacisnęła arogancko kąciki ślicznych ust i odsunęła włosy za ucho.

- Przez minutę zupełnie nic, a potem powiedział, że proszę bardzo, z rozkoszą pójdzie ze mną do łóżka teraz i w każdym hotelu. Więc pojechaliśmy do takiego hoteliku w Pimlico. Znał go, więc robił to już wcześniej.

- Jak się nazywa? - spytała gwoli socjologicznej ciekawości Caroline i odnotowała nazwę. - Jesteś jedyną znaną mi osobą, która może mi powiedzieć o takich sprawach, więc zapisuję je sobie. Czy zawsze chodzicie do tego hotelu?

- Nie, teraz korzystamy z naszego mieszkania. W tygodniu Matt jest przeważnie w Dorrington.

Caroline z namysłem przyglądała się przyjaciółce. Rozważała, czy Matthew Friern coś podejrzewa.

- Potępiasz to, że się pieprzę z Clive'em? - spytała Lucy zważając to spojrzenie.

- Nie - odparła bez wahania Caroline. - Robisz to samo co ja, tylko w inny sposób. Nie pozwalasz mężczyznom narzucać reguł. Ale w dalszym ciągu uważam, że lepiej zrobiłabyś, łącząc to wszystko z karierą zawodową. A nawet lepiej, malując od czasu do czasu. Ale nie pozwól, żebym dalej piłowała w tym stylu.

Lucy uśmiechnęła się szczerze i uparła się zapłacić rachunek.

- A ty lepiej zrobiłabyś, dając sobie trochę luzu i znajdując jakiegoś faceta, nawet żonatego.

Razem podeszły do drzwi restauracji, przyciągając spojrzenia wszystkich, i zatrzymały się tuż przy wyjściu.

- Powinnyśmy się zamienić - zasugerowała ze śmiechem Caroline, kiedy się całowały. - Następnym razem, kiedy zagniesz parol na jakiegoś faceta, zapytaj samą siebie, czy nie lepszy będzie kurs projektowania wnętrz albo malowania pejzaży. A ja następnym razem, kiedy będę się zastanawiała nad kolejnym zleceniem albo wieczorowym kursem niemieckiego prawa handlowego, rozejrzę się za jakimś facetem.

## Rozdział trzeci

**P**eter Burwood, dyrektor naczelny Prior Building Systems, nie po raz pierwszy uznał, że widok z okna gabinetu na dwa z sześciu głównych placów budowy należałoby zdecydowanie zaliczyć do pasywów, nie zaś aktywów firmy. Zawsze odnosił wrażenie, że dałoby się tam coś usprawnić, a równocześnie wszystko to wydawało się mu zbyt odległe, by cokolwiek zdziałać. Tego przedpołudnia problem widniał jak na dłoni. Żuraw przy Northchapel ani drgnął od dwudziestu minut. Powinien nieprzerwanie przenosić prefabrykaty, więc albo nastąpiła nagła awaria, albo zawiodła dostawa. Peter stał i patrzył. Był szczupłym, niebieskookim mężczyzną pod czterdziestkę, o jasnorudych włosach, odziedziczonych po wikingach, którzy łupili wybrzeże wokół Dorrington.

Budownictwo z elementów prefabrykowanych to podjęta przez architektów próba uwolnienia przemysłu mieszkaniowego od archaicznej, czasochłonnej czynności kładzenia jednej cegły o wymiarach 9 x 4,5 x 4,5 cala na drugiej. Logicznie biorąc, domy powinny być wznoszone z większych wytwarzanych fabrycznie elementów. Domy z prefabrykatów, służące za tymczasowe siedziby pod koniec wojny, wiernie trzymały się tej logiki. Domy budowane systemem Arcona, które wyrastały wszędzie od 1945 roku i w których każdy komponent był robiony fabrycznie w postaci płyty, dało się w całości złożyć jednego dnia na przygotowanym placu. Prior Systems na przełomie lat czterdziestych i



pięćdziesiątych regularnie przeprowadzał tę operację na oczach zwiedzających. Pod koniec dniówki brygadzysta, zamiast odegrać finałowy tusz, częstował filiżanką herbaty parzonej na nowo postawionym piecu. Peter Burwood obserwował ten cud jako ósmioletni brzdąc trzymający się ojcowskiej ręki i ów obraz wrył mu się głęboko w pamięć.

Domy Arcona były to wolno stojące budynki, każdy na małej działce, przedmiot marzeń większości rodzin. Sąsiadów dzielił wąski pas ziemi. Były skromne, to prawda, ale znakomicie zaprojektowane; kuchnia i łazienka z modelu „V” Arcona znalazły miejsce w Science Museum „jako przykład - głosił cytat - pierwszego dobrego rozwiązania architektonicznego siedziby dla klasy robotniczej”.

Jednakże gdzieś po drodze pierwotna prostota tamtej wizji została zaprzepaszczone. Na początku lat pięćdziesiątych planiści uznali, że należy zintensyfikować wykorzystanie gruntów, i doprowadzając tę myśl do ekstremum, przyczynili się do wzniesienia potężnych betonowych kłoców, które teraz ponuro sterczały w wielkich miastach; szary cement na stałe pokrywała pleśń i wilgoć, windy i ciągi komunikacyjne niszczyli lokatorzy protestujący przeciw mieszkaniu w ogołconych pudłach, w połowie drogi do nieba i na głowach sąsiadów. Dawny styl do pewnego stopnia przywrócono, ale ponieważ władze miejskie nie dysponowały nigdzie wolnymi terenami, nie dało się wrócić do domków jednorodzinnych, których ludzie się domagali. Pojawił się więc kompromis w postaci mniejszych budynków - jedyny sposób zaspokojenia zapotrzebowania na tanie budownictwo mieszkalne.

I tak plac budowy w Northchapel przeznaczono pod pięć małych bloków, każdy nie wyższy niż na sześć pięter, plus kilka pojedynczych domów - a wszystko to na szczególnie ponurym, wietrznym terenie o grząskim, bagnistym podłożu. Grupka ubranych w waciaki mężczyźni przy żurawiu, który przyciągnął uwagę Petera Burwooda, garbiła się smagana wiatrem znad Morza Północnego; nogawki spodni trzepotały wokół kolan i łydek. Kiedy zawieje wichura, trzeba będzie czegoś więcej niż paru ze smakiem posadzonych drzewek, żeby uchronić okna przed wyrwaniem; przydałby się raczej spory lasek - pomyślał

ironicznie. Stał nieporuszony, obserwował grupę robotników, która rozstąpiła się, gdy żuraw obudził się do życia; pisk i zgrzyt maszynierii przebijał się nawet przez podwójne szyby. Mężczyźni na ziemi poruszyli się żwawo i fragment ściany z wolna uniósł się na próbę w powietrze i opadł, kiedy zespół na szczycie domu zamachał gwałtownie rękami.

- Cholerny wiatr - zaklął na głos Burwood. Doskonale znał ten problem: duże płyty miotane wiatrem dziesięć stóp nad ziemią po prostu nie słuchały ludzi. Prace zostaną wstrzymane, dopóki sztorm nie przejdzie. Westchnął nie spuszczać wzroku z placu budowy. Czekał na telefon.

Spodziewał się odpowiedzi od Caroline Whitehouse i był zdenerwowany. Rozmawiała z nim poprzedniego wieczoru, ale ostrzegła, że jeszcze nie załatwiła zgody głównego wspólnika.

- Lepiej opowiem ci, co już załatwiłam - rzekła. - Sprawdziłam listę naszych klientów. Reprezentujemy Mulliners i Garfield Bryant, ale to oczywiście inżynieria lądowa i wodna. Nie przeszkadza ci to? Dobrze. I są dwie firmy z budowlanki - jedna z Bristolu, druga z Liverpoolu. Rozumiem, że to nie konkurencja?

- Nie. Reprezentujecie Friern?

- Nie. - Zawahała się przez ułamek sekundy i Peter Burwood zwrócił na to uwagę. - Nie, nie reprezentujemy go, Peter, ale chodziłam do szkoły z Lucy Friern i nadal się blisko przyjażnimy. Czy to coś psuje?

- Friern chce nas przejąć, to znaczy, chce wykupić firmę od NEB.

- Ach, nie wiedziałam. Ale to przyjaciółka, nie klientka, i nie będę z nią rozmawiała o sprawach zawodowych. Nie widzę tu żadnej przeszkody, ale ty musisz się czuć nieskrępowany.

Peter Burwood zastanawiał się przez chwilę, zapalając papierosa.

- Jesteś tam jeszcze, Peter?

- Tak. Nie, w porządku, Caroline. To niczego nie psuje.

Skończyła wtedy rozmowę jak zwykle w pośpiechu i teraz oczekiwał wiadomości. Poznał ją na przyjęciu wydanym przez firmę zajmującą się wyszukiwaniem dyrektorów. Stał sam,

opierając się wysiłkom gospodarzy, aby przedstawić go ludziom, których nie miał ochoty poznawać, ale uroda Caroline zrobiła na nim wrażenie i zaczął się przesuwać ku niej, licząc na to, że jest hostessą mającą zabawić gości. Gdy do niej dobrnął, zmywała głowę jakiemuś dyrektorowi fabryki za wadliwą umowę. Popęłnił ten błąd, że usiłował ją udobruchać skarżąc się na kłopoty ze szkockim dostawcą. Peter Burwood słuchał, zachwycony precyzją i obcesowością jej wyjaśnień. Nieszczęsny dyrektor zmył się i zostali we dwoje.

- Prior Building Systems - odczytała z identyfikatora przypiętego do klapy jego marynarki. - Fabryka zabawek? Coś jak Lego?

Natychmiast zrozumiał, że nie podejrzewa go o kierowanie fabryką zabawek, ale po prostu wyładowuje irytację, do której doprowadził ją ostatni rozmówca. Zrewanżował się pytaniem, czy Smith Butler to dostawca sprzętu gospodarstwa domowego. Z przyjemnością zauważył, że drgnęła i wyraźnie zmieniła o nim zdanie. Przyniósł jej następnego drinka i wcisnęli się w kąt pokoju, udaremniając wszelkie próby przedstawienia innym zaproszonym, i zanim uświadomił sobie, co robi, już opowiedział jej o swoim marzeniu wykupienia firmy od NEB.

- Tylko że to duża firma - powiedział ostrzegawczo. - Plus minus trzysta milionów funtów obrotu. To znaczy, chyba za duża na wykup przez kierownictwo, no nie?

- Jeśli chodzi ci o to, że ty, twoi kumple i żona nie możecie wykupić wszystkich akcji, to zgadza się, nie możecie. Ale „wykup przez kierownictwo” to nietrafne określenie; zwykle oznacza transakcję, po której kadry kierownicze wchodzi w posiadanie, powiedzmy, dziesięciu czy dwudziestu procent akcji, a instytucje finansowe\* dostają resztę i zapewniają kredyt. - Zauważyła jego osłupienie. - Czy w ogóle się na tym znasz, Peter? Może to dla ciebie abrakadabra?

\* Oryg. *institution*, co w Wielkiej Brytanii oznacza ważną część rynku kapitałowego: Bank of England, tow. ubezpiec. Lloyda, rynek pieniężny.

- To wszystko jest dla mnie nowe - przyznał się od razu. - Znam się tylko na prowadzeniu przedsiębiorstwa.

- I tyle musisz wiedzieć. Każdy może być czarodziejem finansowym lub... no, nie każdy, ale wielu. I twoja firma nie jest zbyt wielka. Ostatnio zajmowałam się... skończyłam się zajmować... Alkit Engineering. Słyszałeś o nim? Ma trzysta pięćdziesiąt milionów funtów obrotu.

- Zjesz ze mną kolację? - nalegał, bo zrozumiał, że znalazł właściwego znawcę przedmiotu.

- Nie mogę. Mam troje dzieci, a opiekunka kończy o ósmej, więc muszę być z powrotem. Możemy umówić się jutro na lunch.

W tej sytuacji bez wahania zrezygnował z wszelkich planów na następny dzień i z miejsca zgodził się na jej propozycję. Lunch zajął im dwie godziny, podczas których rozmawiali bez chwili przerwy. Peter wchłaniał informacje jak gąbka.

- Jaka jest wartość przedsiębiorstwa, Peter? Obrót trzysta milionów funtów, szesnaście milionów dochodu tego roku - przed odliczeniem dywidendy i opodatkowaniem.

- Dochodu brutto, tak?

- Instytucje finansowe używają określenia PBIT albo EBIT - dochody lub zyski przed odliczeniem dywidendy i opodatkowaniem. Chodzi o to samo. Więc potrącamy cztery miliony dywidendy, odtrącamy podatek od spółek akcyjnych, zostaje nam jakieś osiem milionów, a pewnie twój wskaźnik cena/zysk \* wynosi plus minus siedem.

\* Stosunek ceny rynkowej akcji do rocznego dochodu z niej.

- Zgubiłem się, Caroline.

- Przepraszam. Zwykle wartość przedsiębiorstwa, które jest na plusie, obliczamy mnożąc dochody przed opodatkowaniem przez jakąś cyfrę i uzyskujemy cenę. Otóż, żeby znaleźć tę magiczną cyfrę, patrzymy do „Financial Times” pod „Budownictwo”. Z kolumny „cena/zysk” dowiadujemy się, że w przypadku wszystkich przedsiębiorstw ten wskaźnik wynosi od sześciu do ośmiu, z wyjątkiem Nelson Construction, gdzie wynosi on osiemnaście, co bardzo odbiega od przeciętnej. Oznacza to prawdopodobnie, że zanosi się na przejęcie firmy, więc cena

skacze w górę i możemy się nią nie przejmować. Cena/zysk w okolicach siedmiu wygląda znośnie.

Przyglądał się jej zaskoczony, ale z rezerwą.

- I już wszystko wiesz?

- No, są inne sposoby obliczania wartości firmy. Jakie są aktywa? Daj mi bilans. - Przesunęła palce w dół kolumn liczb. - Około pięćdziesięciu milionów, tego się spodziewałam. Cokolwiek byś robił, jest warte od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu milionów funtów za całość.

Peter Burwood usiadł wygodniej i przemyślał to. Tak, cóż, nawet przy największej uprzejmości każdego dyrektora banku suma, którą ten był gotów mu przyznać, nigdy nie przekraczała pięćdziesięciu milionów funtów. A bez względu na to, ile razy on i jego najbliżsi współpracownicy obciążyliby swoje nieruchomości hipoteką, nie zebraliby takiej sumy.

- Jaką część przedsiębiorstwa dostalibyśmy... to znaczy, ile dostałoby kierownictwo? I ile musielibyśmy wyłożyć... gotówką?

- To zależy. Ale generalnie w takich przypadkach da się wynegocjować dziesięć procent akcji natychmiast i następne dziesięć w razie dobrych wyników. A instytucje finansowe będą chciały wyciągnąć tyle, żeby upadek był dla ciebie bolesny. Zwykle dążą do tego, byś wiedział, że gra toczy się o twój dom i byt twoich dzieci.

Burwood nasrożył się.

- Nie zrobiłbym tego.

- Masz rację. Mówię ci tylko, od czego zaczynają. Sporo pieniędzy szuka lokaty i nie przejmuj się, podczas ostatniej transakcji nie pozwoliłam nikomu nawet się zastanowić nad oskubaniem kierownictwa.

Peter Burwood wziął do ręki bilans i przyglądał mu się uważnie, ale Caroline już przerzucała notatki z lektury ksiąg rachunkowych.

- Byłoby miło, gdyby udało się zrobić z ciebie uprzywilejowanego nabywcę, faceta, który ma czyste konto, i po prostu przekonać ich, żeby nie wystawiali firmy na sprzedaż. Wtedy nikt inny nie mógłby przedstawiać ofert - powiedziała zamyślna.

- To powinno się nam udać. Tylko my wiemy, co robić, żeby ta firma przynosiła pieniądze - tylko my umiemy składać te klocki.

Spojrzała na niego z ukosa.

- Czyżby? Mów do mnie jeszcze. Do budowania z prefabrykatów nie potrzeba czarodziejów. Kim są wasi konkurenci? Nie będą chcieli was kupić?

Bezczelna, cholerna baba - pomyślał z oburzeniem, ale odpowiedział:

- Tarmac, Shaw, Friern. Tarmac nie będzie zwracał sobie głowy - mają więcej zamówień, niż są w stanie zrealizować - i nie sądzę, żeby Shaw był aż tak zainteresowany. Ale Friernowi będzie zależało.

- No i proszę, masz - podsumowała go krótko i wróciła do notatek, jedząc spaghetti jedną ręką. - Muszę prędko zobaczyć się z waszym głównym księgowym - powiedziała odwracając stronę.

- Jeśli zwrócimy się do was o pomoc - odparł ostro, bo dopiekła mu do żywego.

Podniosła wzrok znad papierów i zmierzyła go błękitnymi oczyma.

- Przepraszam. Narzucam zbyt szybkie tempo?

- Tak. Nie. Rzecz w tym, że to wszystko jest dla mnie nowe i nasza trójka - Graham Gough, mój główny księgowy, Martin Williams, szef produkcji, i ja - zawsze wspólnie omawia każdą sprawę.

Zebrała papiery, zwróciła mu, zdecydowanym gestem dała znać kelnerowi, że chce zapłacić. Peter Burwood obserwował ją poruszony i nie wiedział, co ma powiedzieć. Pomimo tej wyzywającej, niewzruszonej pewności siebie chyba jest w moim wieku - uznał wzburzony. Spojrzała na niego i nagle się uśmiechnęła. Z sobowtóra kierowniczką jego podstawówki przemieniła się nagle w niezwykle atrakcyjną kobietę.

- Peter... Niedługo będziesz potrzebował naprawdę ostrego, rozpychającego się łokciami prawnika, który załatwi ci to wszystko. Nie powąchałeś jeszcze prochu, tu zapowiada się masa politycznych korowodów i negocjacji z instytucjami finansowymi, bankami i tak dalej. I jest niewielu ostrzejszych i bardziej

rozpychających się łokciami prawników niż ja. Może byś tak pogadał z Donem Martinem z Alkit? On ci powie.

Wyszczerzył do niej zęby, rozbrojony uśmiechem i naturalną, rzeczową pewnością siebie.

- Nigdy sobie nie wyobrażałem, że będę miał prawnika kobietę.

Spojrzała na niego tak groźnie, że strach go obleciał; Peter uznał, że ich stosunki nigdy nie obejmą sfery męsko-damskiej. Wziął głęboki oddech, przykrył dłonią jej dłoń.

- Ale wiem, że musiałaś być lepsza niż mężczyzna, aby zdobyć obecną pozycję, i chyba spadłaś nam z nieba. Kiedy uda mi się uzyskać od tych typów zgodę na własną obsługę prawną, ściągnę do ciebie Grahama i Martina. Dobra?

- A kiedy oni uznają, że jestem w porządku, zabieramy się do roboty - zakpiła.

- Zgadza się - odparł niewzruszenie, wyjął z jej rąk rachunek, zapłacił i dodał na tyle szczodry napiwek, by kelner dobrze go zapamiętał. - Zadzwoń do ciebie w tygodniu - oświadczył trzymając jej rękę w mocnym uścisku. - I dziękuję.

Jesteśmy prawie jednakowego wzrostu - uznał, ale miała na nogach szpilki. Przyjrzała mu się uważnie.

- Będziesz zadowolony - powiedziała z powagą. - Ale wpierv posmakujesz piekła.

Spojrzała na zegarek odwracając dłoń, bo nie wypuścił jej z uścisku, i wyrzekła słowo, którego nie słyszał z ust damy od wielu lat. Dziobnęła go ceremonialnie w policzek i popędziła w kierunku kancelarii. Kelnerzy po ojcowsku potrząsali głowami, jak to Włosi.

Graham i Martin polubili ją od pierwszej chwili. A raczej po pierwszych dziesięciu minutach zorientowali się, ile jest warta, i traktowali jak osobę równą sobie, godną zaufania. Przez chwilę zapanowała niewyraźna atmosfera, gdy Caroline, słusznie zresztą, oświadczyła Grahamowi, że opowiada bzdury, ale to minęło i choć potem Martin żałośnie zauważył, iż spędzili ostatnią godzinę wystawieni na ostry wicher, polubili ją. Peter zdobył się na odwagę i skrzytykował ją za to, że zbyt pędzi do przodu.

- Przepraszam. Wiem, że nie powinnam tego robić - powiedział: piekąc raka. Nagle przemieniła się w szesnastoletnią dziewczynę.

Graham i Peter uśmiechnęli się. Powinna to częściej robi - pomyślał Peter - ale chyba się na to nie zapowiada, no nie? Ta kobieta szła przez życie jak taran i większość mężczyzn odsuwała się od niej daleko, dziękując szczęśliwym gwiazdom, że się z nią nie ożeniła.

Telefon zadzwonił i Peter sięgnął po słuchawkę, nadal obserwując mężczyzn borykających się przy żurawiu.

- Peter, pani Whitehouse - oznajmiła sekretarka. Lekka nagana zaostrzyła ton jej głosu.

- Peter? Jeśli nadal masz chęć na moje usługi, mów. Doszłam do porozumienia z głównym wspólnikiem. Zgodził się na ustalone przez nas wynagrodzenie. Licznik zaczyna bić, kiedy tylko powiesz „tak”.

Żadnego „prowadzenie waszych spraw jest dla nas zaszczytem albo „spodziewamy się, że nasze stosunki okażą się twórcze dla obu stron” - pomyślał uśmiechając się szeroko.

- Czy twój przyjazd i obejrzenie placu budowy są płatne? - spytał z udawaną powagą.

- Jasne, że tak. Zawsze wypełniam kartę dzienną. Odcinki półgodzinne. Ale coś ci powiem: przyjadę pociągiem, po drodze zajmę się innym zleceniem i trochę się zaoszczędzi.

- Ile godzin liczy norma dzienna?

Nastąpiła pauza, a po niej rozległ się wybuch śmiechu.

- Mogłam się spodziewać, że dawny robotnik nie popuści w takiej sprawie. W naszych zestawieniach przyjmujemy siedem godzin dzień.

- Ile godzin pracujesz?

- To zależy. Już nie zarywam nocy. Na ogół nie więcej niż dziesięć.

- Więc twoja praca jest kalkulowana przy założeniu, że osiągasz zysk przy siedmiu godzinach, a faktycznie pracujesz dziesięć i tyle każesz sobie płacić.

- Bardzo dobrze, panie Burwood. Dlatego stać nas na pobieranie od pana dużo niższej stawki niż maksymalna.



- Sto funtów za godzinę to nie jest maksymalna stawka?
- Bynajmniej. Czy będziemy to dyskutować? Bo wpisuję czas pracy na karcie.
- Nic nie wpisujesz. Jeszcze nie powiedziałem „tak”.
- Jasna krew by zalała. Będę musiała kosztorysować według wartości transakcji. Nie cierpię tego.
- Caroline, jak ty się wyrażasz!
- Przepraszam. Mam jechać z tym koksem czy nie?
- Tak, masz jechać. Wpadnij najszybciej, jak się da, tylko nie podczas pierwszej zmiany. - Poczul wyrzuty sumienia. - Ale co z twoimi dziećkami?
- Mam stałą pomoc. Dlatego jestem taka droga. Utrzymuję niańkę i gosposię. Więc do jutra wieczór.

Bez żadnych ceregieli odłożyła słuchawkę, a Peter Burwood śmiał się w duchu. Caroline Whitehouse przysłuży im się o niebo lepiej niż jakiś goguś w szykownym garniturku.

**D**wadzieścia mil dalej sir Matthew Friern ponurym okiem ogarniał scenerię bardzo podobną do tej, która psuła humor Peterowi Burwoodowi. Wiatr wstrzymał również pracę wielkiego żurawia budowlanego Frierna. Zwalisty mężczyzna niechętnie odwrócił się od okna. Elegancki garnitur lśnił odbijając się w szkle wykuszu i opinał się na grubych biodrach.

- Pan Eames Lewis jest tu, Matthew - zawołała ze swojego pokoju sekretarka, nieskazitelnej uczciwości wdowa po sześćdziesiątce, prawa ręka ojca Matthew Frierna.

- Dzięki, Doreen. Wejdz, Andrew - spojrzał na swojego bankiera i podał rękę młodszemu mężczyźnie, który mu towarzyszył.

- Matthew, to John Michaels, jeden z moich kierowników od finansów spółek.

Sprowadził młodszego koleśka do odwalania brudnej roboty - pomyślał Matthew. Poczekał na kawę i przybycie głównego księgowego, po czym gestem dłoni zaprosił wszystkich do stołu,

zauważając z mieszaniną rozbawienia i pogardy, że nieznużony Andy tokuje o pilce nożnej z głównym księgowym. Gdyby życiową pasją tegoż było rzucanie strzałkami do tarczy albo kręgle, Andy tokowałby o tym.

- Chcę mieć Prior Systems - oświadczył krótko Matthew. - Chcę, żebyście powiedzieli mi, co waszym zdaniem mam zaproponować i jak powinniśmy to sfinansować. - Rozparł się i obserwował bankierów. Zauważył, że młodszy ma kilka teczek. Więc odrobił zadanie domowe. Spojrzał na niego wyczekująco, lecz ten obserwował zwierzchnika, a Andy nie zamierzał przekazywać żadnych dokumentów.

- Dokonałiśmy kilku obliczeń i porównań i możemy zasugerować widełki cenowe. Ale wszystko zależy od wielkości konkurencji, a tu masz lepsze rozeznanie od nas.

- Nie bierzemy pod uwagę konkurencji, Andy. Zależy nam na umowie negocjowanej. Zaoferujemy uczciwą cenę i ministerstwo powinno być cholernie wdzięczne, że będzie to miało z głowy.

- Matthew, minister nie powiedział dokładnie „tak”, kiedy się z nim widzieliśmy.

Przedsiębiorca spojrział na niego ostro.

- Ale znasz dobrze tego urzędnika, Fieldmana, no nie? Robiliście razem aplikację. Przecież możesz z nim pogadać. Lucy zna go nieźle

Andy cierpliwie pokiwał głową.

- Rozmawiałem z nim wczoraj. Złapałem go na krótką chwilę między naradami, ale był zupełnie szczerzy. Skontaktował mnie z Gruhnersem, który doradza NEB. No cóż, chodziłem do szkół z Johnem Martinem, więc pogadaliśmy sobie całkiem fajnie. John mówi, że mają już sygnały od nas, od Shawa i kierownictwa Prior Building Systems.

- Shawowi na tym nie zależy. Kręci się w pobliżu na wypadek gdyby przedsiębiorstwo było dawane za friko.

- John miał podobne zdanie. Ale kierownictwu naprawdę na tym zależy.

Matthew siorbnął kawę.

- Nie będą mieli gotówki.

Andy spojrział z uwagą na klienta.

- Oczywiście, że kierownictwo samo nie będzie jej miało. Ale ma poważną przewagę. Wykupy przez kadrę zarządzającą są bardzo modne - w City przewala się mnóstwo pieniędzy, które mogą to sfinansować. I z tego, co powiedział Clive Fieldman, wynika, że jego ministrowie... którzy zresztą muszą się na to wszystko zgodzić... chętnie patrzą na akcjonariat pracowniczy. O ile rozumiem tę sprawę, wszystko gra, dopóki można dokopać związkom zawodowym.

Matthew wpijał w niego wzrok z wyraźną niechęcią, lecz Andy wcale się tym nie przejął. Jego młodszy kolega zaczął się wiercić i wyrwał się ochotczo, że ludzie są bardzo chętni do finansowania tych wykupów, co potwierdziło się ostatnio przy wielkiej operacji z firmą inżynierii lądowo-wodnej. Andy nieznacznie uniósł dłoń ponad stół, by zamknąć mówiącemu usta, ale nie zdążył go uchronić przed wybuchem frustracji Matthew.

- To powinno być nielegalne! - wykrzyknął czerwony z oburzenia. - Przecież jeśli zarządzający firmą chcą jej dla siebie, to znając sytuację od środka postarają się nas wyrolować, no nie?

John Michaels zerknął przepraszająco na Andy'ego, który nawet nie drgnął, wygodnie rozparty w fotelu.

- Niekoniecznie, Matthew. Zacznijmy od tego, że NEB ma pełne prawo wywalić większość z nich, gdyby utrudniali sprzedaż. Nie będą ci rzucać kłód pod nogi. To przecież zupełnie prości goście, no nie? Mają żony, dzieci, hipoteki. Nie spieszo im iść na bruk, kiedy przejmiesz przedsiębiorstwo. A nuż będą całkiem chętni do zawarcia z tobą umowy, zwłaszcza jeżeli nie mają dosyć gotówki. Ludzie finansujący wykup akcji przez kierownictwo liczą na tanie koszty. Mogą nie palić się do wyłożenia takiej sumy, jakiej przedsiębiorstwo jest warte dla ciebie.

Matthew dolał wszystkim kawy i po namyśle uznał, że ten wywód jest nie pozbawiony racji.

- Poznałem Burwooda. Jego ojciec był kierownikiem stolarni u mojego starego. Mógłbym z nim pogadać, żeby wszedł w to z nami. Mógłbym go zatrudnić.

- Ale nie jako głównego dyrektora - wyrwało się Michaelso-  
wi.

- Nie. Mam na oku innego dyrektora. Wiem, o co ci chodzi.  
Ważniak może nie chceć się przyłączyć.

Andy się poruszył.

- Matt, czy nie za wcześnie na otwarte negocjacje z Burwo-  
dem? Gruhners przedstawią nam dokładną analizę przedsię-  
biorstwa, gdy tylko uporządkują papiery, i wtedy przekonasz się,  
w jakim stopniu Burwood może zadzierać nosa. Do przejścia tej  
firmy jeszcze długa droga.

Matthew Friern wstał i przechadzał się niespokojnie.

- Cholerna wichura - powiedział odchylając listwę żaluzji i  
zerkając na dwór. - Stracony dzień na budowie. Rzecz jasna,  
przy odrobinie szczęścia Prior ma nie lepiej. Czemu nie mach-  
nąć ręką na NEB, nie pójść wprost do Winstanleya i zaoferować  
mu dobrej ceny... powiedzmy dziesięć procent ponad przeciętną  
w zamian za wyłączność na opcję zakupu na jakieś dwa miesią-  
ce?

Andy miał wątpliwości.

- Delikatnie podsunąłem to Fieldmanowi. Nie wróżył mi  
sukcesu. Ale nie zaszkodzi pogadać z Winstanleyem; dawniej  
pracował w biznesie, może to kupi.

- Tak zrobię. - Matthew chodził po pokoju; potężny mężczy-  
zna szukający ujścia dla nadmiaru energii i napięcia. Andy lek-  
kim skinieniem głowy uspokoił podwładnego, który szykował się  
do zabrania głosu.

Matthew szybkim ruchem odwrócił się i spojrział na nich z  
ironią.

- Zaraz wyślę was na jedną z innych budów - tu wiatr nie  
pozwala na pracę żurawia. Damy wam jakieś ubranie.

Andy, który uważał, że ma na sobie garnitur odpowiedni na  
wizytę na placu budowy, wyglądał na lekko zaskoczonego, ale  
przystał na tę propozycję. Główny księgowy Matthew, dobrze  
zbudowany mężczyzna z hrabstwa York, ani na chwilę nie  
spuszczał oczu z papierów Johna Michaela. Teraz odchrząknął  
z nadzieją.

- Wicie, to dopiero przymiarka, jeszcze nie obejrzelśmy  
placu budowy - rzekł Michaels podsuwając księgowemu papiery.

Andy wycedził przez zęby:

- Jestem pewien, że Matt i George zrozumieją, że chciałbym jednak najpierw omówić z tobą całą sprawę.

Odszedł z podwładnym i gdy ubierali się w robocze stroje - wielkie ocieplane buty i watowane kurtki - wykorzystał okazję, by powiedzieć mu, że bynajmniej nie pochwala zostawiania klientowi papierów, które jeszcze nie zostały przedyskutowane. Naturalnie oznaczało to, że lepiej nie ujawniać faktu ich istnienia przed dyskusją.

Młody człowiek poróżowił, lecz trwał przy swoim.

- Myślałem, że będą zadowoleni wiedząc, że odwaliliśmy jakąś robotę.

- John, nam nie płaci się za robotę. Nam się płaci za myślenie. Robotę odwalają księgowi.

Michaels, który odbywał praktykę księgowego, stracił rezon, ale zapamiętał sobie tę naukę. Zawzięcie walczył o pracę u boku Andrew Eamesa Lewisa, znanej w City osobistości szykowanej na następcę szefa działu spółek u Walzheimsa, i zamierzał wykorzystać szansę. Z Eamesa był arogancki sukinsyn, ale równocześnie orzeł, który mógł wiele nauczyć. Michaels zagryzł zęby i wepchał do teczki papiery, nad którymi jego zespół pracował długo i do późna.

Tego wieczoru, zostawiwszy bankierów na King's Cross, Matthew jadł z żoną wystawną kolację „U Thomasa”. Uroda Lucy i jej znajomości w wielkim świecie zapewniły najlepszy stół. Restauracja była cichsza niż zwykle, bo sam szef był nieobecny; Lucy za nim przepadała i zwykle bardzo ją bawił, lecz Matthew nie cierpiał go z całego serca i dał się tu zaciągnąć dopiero po zapewnieniu, że Thomasa nie będzie. Lucy zmierzając do stolika, przystanęła, by wymienić pocałunki z kilkoma przyjaciółkami, wyraźnie z siebie zadowolona. Małżonek czekał cierpliwie. Złożyli zamówienie.

- I poproszę Chablis na czas czekania - rzekł i bynajmniej nie obniżając głosu dodał, że w tej restauracji zawsze zdążył osuszyć butelkę, zanim na stole pojawiło się coś do zjedzenia.

- Zamów paluszki, kochanie - powiedziała stanowczo Lucy uśmiechając się do odchodzącego kelnera. - Ułatwią ci czekanie. To miło zjeść kolację z tobą bez żadnego dodatkowego towarzysztwa, więc nie narzekaj.

Uśmiechnął się, jak zawsze urzeczony jej urodą.

- Znakomicie wyglądasz.

To prawda - pomyślał zauważając, że żona przyciąga wzrok zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Była uosobieniem nieskazitelnej elegancji. Czarne, zebrane z tyłu włosy upięła do góry; miała na sobie bładokremową jedwabną suknię, która kosztowała go kupę forsy.

- Chcesz porozmawiać o Korsyce? Powinniśmy. Wiem, że jeszcze wcześniej, ale jeśli nie zarezerwujemy samolotu teraz, to jak zawsze będziemy musieli nocować w Lyonie - przemawiała bez zbytej nadziei.

Matthew zamruczał. To była odwieczna wojna; nie cierpiał wyjazdów i nigdy nie można było go namówić na wcześniejsze przygotowania do podróży. Niechętnie ustępował w ostatniej chwili.

- Zarezerwuj bilety dla siebie i chłopców. Pozwól, że ja zarezerwuję osobno, kiedy będę wiedział, co mnie czeka - zasugerował, za co małżonka poczęstowała go karcącym spojrzeniem.

- Absolutnie się nie zgadzam. Utknęłam na tej cholernej wyspie na dwa tygodnie z nianią, chłopcami i dwójką ich małych przyjaciół, podczas gdy ty tkwiłeś w Dorrington. A kiedy pod koniec trzeciego tygodnia musiałam wrócić do domu z chłopcami, zacząłeś się pieklić. Nie wspomnę, że gdy się okazało, iż możesz wrócić do domu wyłącznie pierwszą klasą, to wprost dostałeś szału. Drugi raz nie zamierzam tego przechodzić. - Zapaliła papierosa i zagniewana odwróciła głowę w kierunku odległego kąta sali. Wyraz jej twarzy uległ zmianie, kiedy dojrzała znajomych.

- Lucy, bądź łaskawa nie zrywać się z krzesła. Muszę porozmawiać z tobą o czymś, co nie ma żadnego związku z Korsyką.

Zesztywniała i przez chwilę nie patrzyła na niego, co potwierdziło jego podejrzenia, że żona coś kręci na boku. Sam nie

był jej wierny i żeniąc się z piękną Lucy Lindfield pogodził się z myślą, że będzie musiał przymknąć oko na to i owo, lecz nie było mowy o tym, by jej pozamałżeńskie wyczyny miały mu przysporzyć autentycznych kłopotów. Godził się na stan faktyczny, bo uznawał, że nie ma on wielkiego znaczenia. W gruncie rzeczy byli dobraną parą, szczególnie w łóżku, gdzie zawsze zabawiała go nieźle, bez względu na wszelkie pozamałżeńskie wyczyny. A może to właśnie dzięki nim zabawiała go lepiej niż nieźle?

- Zrozum, że kupienie Prior jest dla nas bardzo ważne - rzekł. Zauważył, że odetchnęła. - Muszę do tego doprowadzić.

Skupiła się pilnie na jego słowach, ignorując uśmiechy i gesty dwóch mężczyzn, którzy zjawili się po drugiej stronie sali. Mąż nieczęsto omawiał z nią interesy, ale po ojcu odziedziczyła zainteresowania w tej dziedzinie, była wyjątkowo inteligentna i zwykle starała się wiedzieć o najważniejszych decyzjach.

- Ale to nie jest wcale taka wielka firma, prawda, Matt?

- Och, jest całkiem wielka. Obroty w granicach trzystu milionów. Bylibyśmy warci dobrze ponad miliard, gdzieś koło miliarda dwustu milionów. Zakup jest ważny sam w sobie. Ale naprawdę liczy się to, co oni robią.

Lucy pokiwała głową. Przysłuchiwała się podobnym rozmowom od dziecka.

- Ale my też budujemy z elementów prefabrykowanych, Matt?

- Tamten system jest najlepszy. Wiem, że musieli sporo się napracować, żeby zaczął działać, ale to чудо. - Przyjrzał się żonie. - Wiesz, fabryka jest nawet ważniejsza niż budowy wykorzystujące jej produkcję.

- No, oczywiście. Jeśli produkcja nie jest taka jak trzeba, nie da się szybko dopasować poszczególnych elementów. Jak te szafki kuchenne, które kupiliśmy z Caro, kiedy razem mieszkaliśmy na studiach. Nie pasowały. W końcu musiałyśmy wezwać stolarza i wydałyśmy majątek.

- Zgadza się. O to chodzi. Ale o ile pamiętam, próbowałyście z Caro złożyć tę stolarkę tępą stroną noża i pogiętym otwieraczem do konserw - zauważył odbiegając od tematu.

Na tamto wspomnienie zarówno dobry humor, jak i zadziorność Lucy wzrosły.

- W reklamie było: „Łatwe do złożenia”.

Uśmiechnął się ciepło.

- Więc fabryka jest bardzo ważna. Zaczniemy od tego, że jest lepiej wyposażona niż nasza, a ci Duńczycy, których ściągnęli, naprawdę się postarali, żeby wszystko grało. Wiesz, wyłazimy ze skóry, ale rozwinięcie pełnej mocy produkcyjnej zabierze nam jakieś półtora roku i nigdy nie osiągniemy ich standardu. Zawsze będą zgarniali nam kontrakty i gromadzili przyzwoity dochód. To może podciąć tę gałąź naszego biznesu.

Lucy zmarszczyła czoło, skupiona.

- Ależ, kochanie, oni przecież mieli koszmarnie straty. To dlatego NEB ich przejęła.

- Święta racja. - Był pod wrażeniem, lecz niezbyt zaskoczony jej orientacją; mimo całego znużenia regionem północno-wschodnim bardzo aktywnie uczestniczyła w tamtejszym życiu towarzyskim i umykało jej niewiele plotek. - Ale teraz idzie im cholernie dobrze i przy naszych kontaktach mieliby czyste konto. NEB nie bardzo siedzi w budownictwie, a faceci, którzy zarządzają firmą, nie znają nikogo poza Dorrington. - Patrzył na nią, chcąc się przekonać, czy uchwyciła istotę rzeczy, ale żona nie odzywała się przez chwilę.

- NEB ma wiele przedsięwzięć, czyż nie?

Lucy skończyła wędzonego łososia i popijała go białym winem, gryząc chleb. Jednego żonie nie mógł odmówić - doskonałego apetytu. Obserwował ją lekko mrużącą oczy i myślał, że raz przynajmniej wróca do domu o uczciwej porze. Zwykle kochali się ostro i oboje za tym przepadali, ale zaczynał mieć trochę dość tego, że zwykle zaczynali po północy, a potem musiał zrywać się na ósmą rano do pracy.

- Tak - rzekł wracając do spraw bieżących. - I masę nie znających się na niczym księgowych i urzędników, siedzących w Londynie.

Lucy pomyślała ze zniecierpliwieniem, że w jego ustach



„Londyn” brzmi jak „Clermont-Ferrant” lub „Buxtehude”, ale oczywiście miał rację. Młody człowiek wysłany z Londynu na prowincję nigdy nie zostanie zaakceptowany przez miejscowe siły, lokalnych biznesmenów, ich przyjaciół, synów i wspólników.

- Po zakupie szybko przeniosę przedsiębiorstwo poza północno-wschodni region. Równie dobrze można budować w środkowej Anglii albo na południu. Fabryka ciągnie tylko na jedną zmianę - może iść na dwie i łatwo podwoić produkcję. Wiem, jak znaleźć zamówienia. - Przerwał chcąc mieć pewność, że żona nadal go słucha. Była skupiona. - Jeśli się nam to uda, miałoby sens kupienie tu większego mieszkania albo nawet domu. Będę częściej w Londynie i będziemy musieli więcej bywać w towarzystwie. To ci się spodoba.

- Jak najbardziej. - Od lat usiłowała namówić męża na kupno większego mieszkania w Londynie. Obecność Matta niekoniecznie narzuci jej ograniczenia, i tak większość dnia spędzał w biurze. Odezwała się zdecydowanie, kontynuując własny tok myśli: - NEB ma wiele przedsiębiorstw. Byłam na tej nudnej konferencji i naprawdę słuchałam. Minister powiedział, że zależy mu na tym, by szybko wróciły do sektora prywatnego. - Matthew pokiwał głową chrupiąc paluszek. - Cóż, jeśli ci na tym zależy, dlaczego nie mógłbyś zaproponować wykupu wszystkich przedsiębiorstw budowlanych? Jest ich chyba pięć.

- Zgadza się. - Patrzył na nią pogrążony w myślach. - Słuchałaś, tak? Ale dwa z nich cienko pręda i tak naprawdę nie potrzebuję też tych dwóch zdrowych. Zależy mi na Prior.

Kelner dołał im wina. Lucy uśmiechnęła się do niego, wdzięcznie pokazując dołeczki, i odczekała, aż odejdzie.

- Mógłbyś sprzedać te, na których ci nie zależy.

Mąż utkwiał intensywny, lekko zachmurzony wzrok w niewinnym flakonie z kwiatami stojącym na stole i rzekł powoli:

- Mógłbym. Przynajmniej te dwa dochodowe. Jutro. Wiem, komu na nich zależy. A NEB niech zatrzyma słabeuszy albo da gotówkę na przeprowadzenie likwidacji. To byłoby urwanie głowy, ale przejmując całą grupę, dostalibyśmy tanio Prior.

Lucy rozumiała, że nie rozmawia już z nią, ale jest myślami gdzieś daleko, rozważa trudności. Czekala bez urazy, aż mąż się otrząśnie, i sączyła wino.

- Wiesz, z ciebie większy pożytek niż z cholernego Walzheimsa - powiedział wreszcie.

Uśmiechnęła się.

- No cóż, to Andy miałby urwanie głowy, a nie ty, prawda? Przecież mógłby zająć się sprzedażą.

- Zgadza się. - Matthew wyprostował się i poszukał wzrokiem kelnera. - Tylko nie wiem, czy udałoby mi się wpłynąć na polityków.

- Cóż, może zdołałabym ci pomóc - łagodnie zaoferowała się Lucy. - Co mogę zrobić?

Przyjrzał się żonie.

- Mogłabyś się zbliżyć do Winstanleya?

- Bardzo się zbliżyć? - Uśmiechnęła się do niego nad kieliszkiem.

- Za tę firmę byłoby warto. Nie, nie mówiłem poważnie.

- Wydaje mi się, że znalazłabym sposób. - Zawahała się. - Znamy przecież tego wysokiego urzędnika, Clive'a Fieldmana.

- On nie podejmuje decyzji.

Matthew uznał, że nie warto zajmować sobie głowy Clive'em, ale Lucy nie ustępowała.

- Jasne, że nie, Matt, ale będzie doradzał przy jej podejmowaniu. Chodzi o to, że może podsunąć ministrom, iż powinni wystawić tę firmę na otwarty przetarg, a my tego nie chcemy, prawda? Chcemy, żeby był to negocjowany kontrakt, bo tak będzie dla nas lepiej.

Matthew z przyjemnością wychwycił to „my” i „nas”. Aż za często kłopoty związane w prowadzeniem interesu zupełnie nie obchodziły pani małżonki. Prawdę powiedziawszy, traktowała je tak, jakby były specjalnie stwarzane po to, by ją dręczyć lub uniemożliwiać wyjazd do Londynu. No cóż, trzeba będzie co nieco zapłacić, jeśli Lucy zamierza użyć swojej wybitnej inteligencji i pomysłowości dla dobra interesu.

- Tak, masz rację. Skoro Clive jest twoim starym kumplem, mogłabyś zaprosić go na obiad razem z żoną, prawda?

- Jest rozwiedziony - wyjaśniła i kontynuowała nie przejmując się przesywającym wzrokiem męża: - Znajdę mu kogoś do pary. Może Caro? Uczyliśmy się razem i bardzo się ucieszyła widząc go na tej konferencji, na którą mnie zaciągnąłś.

- Sądę, że zaproszenie Caroline to dobry pomysł.

Matthew nigdy nie przepadał za Caroline. No cóż, najlepsze przyjaciółki żony zawsze budzą w mężczyznach mieszane uczucia - pomyślała.

- Teraz wiesz, dlaczego prosiłem cię, żebyś poszła na tę konferencję. Cholera, mam z tego prawdziwą korzyść. - Uśmiechnął się szeroko.

- Tak. Ale to było nudziarstwo.

- Jesteś grzeczna dziewczynka. Bardzo grzeczna. Dostaniesz za to prezent. Co byś chciała?

- Ten obraz Elizabeth Blackadder. - Nie potrzebowała nawet chwili do namysłu. Matthew zdał sobie sprawę, że sam się wpakował w pułapkę. - Nie stracimy na tym, Matt, ona się robi bardzo modna. I jest znakomitą malarką.

- W porządku. Ile to będzie kosztowało? Zgoda, możesz kupić go sobie jutro.

- Mogę zadzwonić do Charlesa dziś wieczór? Mam jego domowy numer. Chcę się tylko upewnić, że to dostanę.

Przyjrzał się żonie z namysłem, szczerząc zęby.

- Potem.

- Jesteś chciwy skurwieli.

- Ale to ci się podoba.

- Zgadza się.

## Rozdział czwarty

Czwartek następnego tygodnia był spokojnym, jasnym dniem. Ucichł wiatr, który zatrzymał pracę na budowach Prior Building Systems i Friern. Atmosfera w Ministerstwie Środowiska, w dużym gabinecie Winstanleya, była również spokojniejsza, chociaż nie wolna od napięć. Sześciu mężczyzn zgromadziło się przy stole - u szczytu John Winstanley ze swoim szefem biura, doświadczonym mężczyzną po trzydziestce, który miał sporządzać notatki. Richard Watts - nowy szef wydziału spółek w S.W. Fredericks, banku rembursowym, który po stuletnim okresie działalności w City uważał, że własne dostojęstwo nie pozwala mu w jakikolwiek sposób zaznaczyć głównego zakresu interesów w nazwie - i jego podwładny w randze zastępcy kierownika siedzieli po prawej ręce ministra. Miejsca po jego lewej stronie zajmowali Clive Fieldman i młodszy sekretarz, James Mather, który miał pilotować na bieżąco każdą sprzedaż.

Minister machinalnie zakładał, że jest osobą lubianą, i oczekiwał, że narada potoczy się gładko, chociaż wszyscy jej uczestnicy byli płatnymi doradcami. Ale pracownicy służby cywilnej pozostawali czujni, pełni rezerwy i pamiętali, kto za co bierze tu pieniądze. Richard Watts, jak wszyscy cieszący się powodzeniem doradcy finansowi, był wrażliwy na najsubtelniejsze zmiany nastrojów i miał przede wszystkim na uwadze reakcje Clive'a Fieldmana. Towarzysz Wattsa otrzymał wyraźne polecenie obserwowania pracowników służby cywilnej, przyglądania się, co

robią, i oczywiście zabroniono mu otwierać usta, co było w ostrym kontraście ze sposobem zachowania urzędników, od których, od najniższego rangą poczynając, oczekiwano aktywnego udziału w naradach.

Clive Fieldman, sam bardzo czujny, rozumiał znakomicie, co się dzieje, i był rozbawiony. Należy wspomnieć pewną zasadę: jedna osoba z zespołu rządowego zostaje uwolniona od przyjemności otwierania ust, mogąc obserwować, co kryją wypowiedziane słowa. Siedział więc zrelaksowany, uznając, że pozwoli ministrowi i Jamesowi Matherowi prowadzić naradę, podczas gdy sam będzie obserwował, gładko odwracając w ten sposób piramidę przydziału zadań i - jak miał nadzieję - wprowadzając zamieszanie do zespołu Frederickksa.

Richard Watts pierwszy wszedł do gry.

- Panie ministrze, poprosił nas pan o wycenę tych pięciu przedsiębiorstw i określenie szans ich powrotu do sektora prywatnego. Zostało to wykonane, lecz zanim zdamy oficjalny raport, pragniemy przedstawić panu i pańskim doradcom nasze poglądy.

Mogące zawierać sugestie, które absolutnie nie będą nam odpowiadały - pomyślał zamieniwszy się w słuch Clive.

Watts kontynuował:

- Jak pan wie, te pięć przedsiębiorstw bardzo różni się między sobą. Dwa - spółki z ograniczoną odpowiedzialnością O'Brien i Davecat - ponoszą wciąż rosnące straty. Obie firmy specjalizują się w dostawach dla przemysłu budowlanego i inżynierii lądowo-wodnej. Jak wiadomo, O'Brien to zakłady pracujące na zamówienie, a Davecat jest wytwórcą i dostawcą całych kuchni.

- Davecat? Śmieszna nazwa.

Wyglądało na to, że wiedza Richarda Wattsa jest w tym zakresie zerowa, i Clive zabrał głos.

- Połączenie imion właściciela i jego żony, panie ministrze.

- Och, rozumiem. - Najwyraźniej nowe horyzonty otwierały się przed Winstanleyem.

Richard odczekał, czy ktoś chce jeszcze coś dodać, po czym podjął przerwany wątek.

- Nie widzimy samodzielnej przyszłości dla żadnej z tych dwóch firm. Jest ona jedynie możliwa w ramach większej organizacji, lecz biorąc pod uwagę wysokość strat, jaką wykazują ich księgi rachunkowe, uważamy, że zanim jakkolwiek sprzedaż będzie możliwa, bez restrukturyzacji się nie obejdzie.

Clive po cichu miał nadzieję, że Winstanleyowi zostało w głowie tyle z podsumowania, iż przetłumaczy sobie to zdanie. Przedsiębiorstwa przynosiły straty, zanim NEB je przejęła, a następnie weszły w stadium jeszcze bardziej alarmującego upadku, kiedy zastosowano wobec nich jakieś przesadnie optymistyczne zasady rachunkowości. Zdolność kredytowa NEB była na tyle dobra, że banki pożyczłyby każdą sumę wszystkim jej podopiecznym, lecz nikt nie zamierzał przejąć tych dwóch firm, chyba że NEB spłaci większość, jeśli nie całość długu.

- Mhm. A pozostałe?

- Wszystkie są w różnym stopniu dochodowe. Carrs i SLG są bardzo dochodowe - jak na tę gałąź gospodarki - i uważamy, że w obecnym stanie nadają się do natychmiastowej sprzedaży. Prawdę mówiąc, zidentyfikowaliśmy prawdopodobnych nabywców. Prior Building Systems jest dochodowe, ale zapewne nie tak łatwo znajdzie nabywcę.

- To przedsiębiorstwo obciążone niekorzystnymi umowami?

- Tak, panie ministrze. Ale jedna jest zrealizowana, a dwie pozostałe będą zrealizowane w ciągu dwóch i pół roku. NEB uważa, że pomijając te kontrakty przedsiębiorstwo jest wysoce dochodowe.

- Ale przecież można sprzedać Prior na pniu. Kilka dni temu poznałem budowlanca, który ma na nie ochotę. To sir Matthew Friern.

- Doprawdy? - Richard, któremu Clive mówił o Friernie, okazał ostrożne zainteresowanie. - Cóż, to bardzo cenna wiadomość, panie ministrze. I przedsiębiorstwo jak najbardziej nadaje się do natychmiastowej sprzedaży, ale o ile się orientuję, moi koledzy z Gruhnersa sugerują NEB, że za dwa lata będzie ono warte znacznie więcej.

- Nie będziemy czekać dwa lata - ostro oznajmił Winstanley i cały stół przypatrzył mu się z uwagą. - Mowy nie ma. Powiedziałem pani premier, że bierzemy się do tego z kopyta.

Najszybciej, jak to możliwe.

Richard spojrzął na pracowników służby cywilnej i nie znajdując u nich pomocy wziął głęboki oddech.

- W takim razie, panie ministrze, będziemy usiłovali ze swej strony ustosunkować się do wartości Prior, określonej przez NEB na wypadek natychmiastowej sprzedaży.

- Tak - potwierdził zdecydowanie Winstanley.

Ach, więc teraz wiemy, na czym stoimy - pomyślał Clive. Nieodwołalna sprzedaż. Ta partia nauczyła się, że jeśli chcesz coś zrobić, musisz od razu wziąć się do rzeczy, natychmiast, bez względu na ewentualne przeszkody. Rzecz jasna, Richard traktował ministra jak klienta, którego poglądom należy ulegać, podczas gdy służba cywilna, teoretycznie podległa rządowi, nigdy nie honorowała tego układu. Mówiło się ministrom, co jest co, a potem z wolna dostosowywało się politykę, to tu, to tam, do ich partyjnych poglądów. Doradztwo lub, co gorsza działania „pod ministrów” nie praktykowano. Clive, który obserwował, jak członkowie laburzystowskiego rządu tracą siły w zmaganiach ze służbą cywilną, niezmiennie uprzejmą, lecz w razie zwarcia otwarcie wrogą, a przy tym skuteczną, poczuł nagły przypływ ostrego podniecenia. Szkoda, że nie został wyniesiony na zajmowany stołek przez ten rząd, ale życzył powodzenia każdej partii potrafiącej nagiąć fundamentalne instytucje angielskiego społeczeństwa, w rodzaju służby cywilnej, do realizacji polityki, która była im obca.

- A więc tak. - Winstanley wziął kierowanie naradą w swoje ręce. - W jakim najkrótszym terminie moglibyśmy przekazać tę grupę przedsiębiorstw do sektora prywatnego? Dlaczego NEB nie mogłaby dopuścić do notowania ich akcji na giełdzie?

Clive siedział beczynn timer, wiedząc, że zwierzchnika spotka zawód. Zapewne utkwił mu w głowie niedawny rozgłos towarzyszący sprzedaży Amersham International. Fartowny kolega ministra szczerzył się z podium prasowego w City, otoczony doradcami z banków rembursowych i ślicznymi dziewczynami rozdającymi formularze zakupu akcji. Niedzieln a prasa pełna była głosów podziwu. Jednakże podczas selekcji doradców Clive i

James rozmawiali z kilkoma bankami, zanim polecili Fredericka Winstanleyowi, i powiedzieli mu, że żaden bank nie jest gotów bez zastrzeżeń popierać rzucenia akcji firm na giełdę. Minister najwyraźniej nie miał ochoty uwierzyć w to, co mu oznajmiono. No cóż, niech teraz ci wysoko opłacani bankierzy pokażą, za co biorą niebotyczne honoraria.

Obserwował pogrążonego w myślach Richarda i poczuł lekki podziw; bardzo niewielu ludzi jest gotowych zrobić pauzę na zastanowienie się właśnie wtedy, kiedy jest im ono bardzo potrzebne.

- Krótko mówiąc, panie ministrze: nawet po restrukturyzacji zobowiązań - co oznacza odpisanie ich części w straty - każda sprzedaż akcji tych firm na giełdzie napotka wyjątkowe trudności. To bardzo zróżnicowana grupa. Obsługują mieszaną klientelę i należą do odmiennych gałęzi przemysłu budowlanego. Jednym słowem, nie ma między nimi żadnej współzależności, a stan finansowy każdego przedsiębiorstwa jest inny.

Zawahał się nie spuszczać wzroku z Winstanleya. Clive uświadomił sobie, że Richard usiłuje ocenić, czy ministrowi naprawdę zależy na pójściu tą drogą, bo w takim wypadku drużyna z Fredericka najzwyczajniej w świecie spróbuje go zadowolić.

- Czy chcesz przez to dać do zrozumienia, że my... to jest NEB... może nie dostać najlepszej ceny, jeśli spróbuje wystawić te firmy na giełdę?

- Powiedziałbym, panie ministrze, że bez znacznych ulg dla inwestorów NEB może w ogóle nie znaleźć kupców na tę grupę przedsiębiorstw. Jestem pewien, że zdanie doradców NEB będzie podobne.

Muszą zostać wystawione na sprzedaż na złotej tacy, ale jak chcesz, żebyśmy wzięli się za urabianie doradców NEB, wszystko się zrobi, byle klient był zadowolony - przetłumaczył to sobie Clive. Napotkał wzrok młodszego rangą pracownika Fredericka i ponownie zaczął się przyglądać swoim papierom. Zanim sprzeda się te przedsiębiorstwa, honoraria bankierów osiągną astronomiczną wysokość. NEB wiedząc, że będzie miała do czynienia z większą od niej potęgą, zaprzęła do pracy doradców



z banków rebusowych, kiedy tylko kazano jej zlikwidować holdingi. Oba ministerstwa mające do czynienia z NEB początkowo odniosły się z niechęcią do powiększania całej struktury o jeszcze jedną warstwę, lecz po wzajemnych konsultacjach doszły do wniosku, że ich ministrowie pozbawieni takiego rodzaju doradztwa, jakim dysponuje NEB, będą bezradni. „Już lepiej niech trafi kosa na kamień, no nie? - rzekł ze znużeniem odpowiednik Clive'a w Ministerstwie Handlu i Przemysłu. - Nikt, a już na pewno nie Public Accounts Committee w obecnym składzie, nie zaakceptuje tego, by sama służba cywilna dawała sobie radę w konfrontacji z wysoko opłacanymi bankierami”. I biorąc pod uwagę ogólny antagonizm między nową administracją konserwatywną a służbą cywilną i nieustanne publiczne wypowiedzi o potrzebie jej zmniejszenia, doświadczonym ludziom wydawało się, że ministerstwu, o samych ministrach nie wspominając, lepiej przydzielić do ochrony tych drogich doradców.

- Mhm. Cóż, w porządku. A co powiecie na sprzedaż całej piątki kupcowi z branży?

Richard Watts wyłowił następną kartkę papieru.

- Tu stosuje się to samo zastrzeżenie. Jak powiedziałem, panie ministrze, to bardzo zróżnicowana grupa. Trudno nam sobie wyobrazić, żeby ktoś chciał jej w całości.

- Nie możemy wystawić całej grupy na przetarg?

Clive Fieldman, który bez ogródek oznajmił Winstanleyowi, że rekomendacja tej drogi jest nieprawdopodobna, nie mrużąc oka przypatrywał się Wattswi, zaciekawiony, jak daleko się posunie, byle tylko zaspokoić pragnienia klienta.

- Sądzę, że należałoby przyjąć ograniczoną wersję tej procedury - rzekł Richard po kolejnej wyraźnej pauzie. - Widzi pan, panie ministrze, wystawiając na sprzedaż jakiś klejnot, wypuszcza się zawiadomienie o sprzedaży, siada się wygodnie w fotelu i patrzy, jak kupujący wala drzwiami i oknami. Ale te firmy to nie ta klasa. Muszę stwierdzić, że to bardzo ryzykowna strategia, bo a nuż zostanie pan bez żadnego nabywcy, a rynek nie okaże zainteresowania. W wypadku tych firm należałoby znaleźć właściwego nabywcę, który rozumie istniejące trudności i nie wycofa

się w ostatniej chwili, zaznajomiwszy się z kłopotami.

- Więc szukać jednego nabywcy i negocjować? - Z głosu Winstanleya przebijało zwątpienie.

- Panie ministrze, to częsta praktyka w przypadku trudnej sprzedaży. My, lub raczej doradcy NEB, Gruhnery, optowalibyśmy za wypuszczeniem bardzo... cóż, ogólnego zawiadomienia o sprzedaży, mającego na celu zidentyfikowanie, powiedzmy, trzech grup, którym można by przedstawić dużo więcej informacji, niż zwykle się ujawnia, a potem negocjować transakcję z jedną z nich. - Zawahał się, uważnie mierząc wzrokiem Winstanleya. - Naturalnie opisuję sytuację idealną, ale w tym przypadku jestem przekonany, że należałoby wszelkimi możliwymi sposobami szukać nabywcy na specjalnych warunkach.

Dobra robota, mój chłopcze - po cichu pochwalił bankiera Clive - i można to wszystko sformułować na piśmie i wytłumaczyć Public Accounts Committee za dwa lata, kiedy ten minister odfrunie na inne stanowisko, a my, dwaj biedni chrześcijanie, zostaniemy rzućni na pożarcie lwom, mając do obrony po widelcu na głowę.

- Cóż, to brzmi sensownie - powiedział z nadzieją Winstanley.

Clive zebrał się na odwagę i zniszczył miły nastrój zgody i postępu.

- Sądzę, panie ministrze, że będzie panu potrzebne porównanie cen tych przedsiębiorstw wystawianych do sprzedaży łączonej i indywidualnej. Sądzę, że sporządziłeś taką kalkulację, Richardzie?

Ten poszperał w papierach i zauważył patrząc na pojedynczą kartkę:

- Wedle naszej kalkulacji wartość Davecata i O'Briena jest ujemna, Carrs około siedemdziesięciu milionów funtów, SLG czterdzieści milionów, a Prior gdzieś między pięćdziesiąt i dziewięćdziesiąt, zależnie od pańskich poglądów na renegocjację kontraktów i przyszłość firmy.

- Licząc, że Davecat i O'Brien mają trzydzieści milionów długu do spłacenia, wartość grupy waha się między stu sześćdziesięcioma i dwustu milionami, zgadza się, Richard?

Clive interweniował na wypadek, gdyby Winstanley potrzebował czasu do namysłu.

- To bardzo szerokie widelki.

Bankier pokiwał głową.

- Tak.

I każdy kupujący całość będzie się spodziewał, że dostanie grupę za niższą cenę, co może się skończyć tak, że ja i mój zwierzchnik będziemy się tłumaczyć przed Public Accounts Committee, dlatego NEB dostała czterdzieści milionów mniej, niż gdybyśmy sprzedawali te przedsiębiorstwa pojedynczo - pomyślał Clive. Spojrzał z ukosa na Winstanleya, który medytował zachmurzony.

- Więc jeśli chodzi o wycenę, to Prior jest przedsiębiorstwem problematycznym - doszedł do wniosku minister. - W gruncie rzeczy wynika to z realizacji kontraktów, które są niedochodowe same w sobie.

- Całkowita racja - przytaknął z miejsca Richard.

- Czy przedsiębiorstwo nie może zerwać tych kontraktów? Jak mogło dojść do ich podpisania, Clive? - zapytał oskarżycielskim tonem Winstanley. Wezwany do tablicy zeszytniał, ale zaraz nakazał sobie spokój. Nie ma powodu do paranoidalnych lęków, chociaż ta administracja była przekonana, że służba cywilna jest odpowiedzialna za każdy idiotyzm popełniony przez wszystkich rządzących w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

- W siedemdziesiątym szóstym roku Prior, które było wtedy oczywiście firmą prywatną, zobowiązało się zbudować na zlecenie lokalnych władz siedemset mieszkań za możliwie najniższą cenę. Niemniej jednak uznało, że osiągnie zysk. O ile rozumiem, jeden z problemów polegał na tym, że system budowlany Prior, pochodzący z Danii, nie odpowiada lokalnym przepisom.

- Och - bąknął Winstanley.

Clive zdecydował, że nie warto zwracać ministrowi głowy szczegółami.

- Gdy dopasowano wszystko do miejscowych norm, oszczędność i prostota montażu zostały zaprzepaszczone. Chociaż doszło do pewnych przeredagowań kontraktów,

z uwzględnieniem konieczności poczynionych zmian, przedsiębiorstwo popadło w kłopoty i w siedemdziesiątym ósmym roku utraciło płynność finansową.

- Wielce nieszczęśliwy zbieg okoliczności. - Richard zachował się elegancko, zabierając głos w ciszy, której nikt inny nie był skłonny przerwać, i Winstanley pokiwał wyniośle głową.

Clive zdecydował, że najlepiej zrobi kontynuując.

- Właśnie. Obecnie te trudności zostały pokonane i firma ma dobre, dochodowe kontrakty nie tylko w regionie północno-wschodnim, ale również w Szkocji. - Zobacz listę w podsumowaniu, jeśli zapomniałeś albo mi nie wierzysz - pomyślał z irytacją.

- Więc można się spodziewać, że wiele przedsiębiorstw będzie chciało kupić Prior - zwrócił się wprost do Richarda Winstanley, nadając temu zdaniu formę twierdzącą.

- No cóż. - Ta udawana święta naiwność nie zrobiła na bankierze najmniejszego wrażenia. - Niedokładnie. Mimo obecnych sukcesów trzeba brać pod uwagę, że zastosowana technologia jest nadal świeża, a lista dotychczasowych osiągnięć nie skłania do zachwyty. Kierownictwo jest inne niż trzy lata temu, ale wszystkie dane zostały dostarczone przez firmę i niekoniecznie muszą się chlubić wiarygodnością. Dokładnie biorąc, nie jest to klejnot w koronie NEB.

- Ale nadaje się na sprzedaż.

- Och, tak. Prawdę mówiąc, poza firmą Friern, która, jak pan wie, ma bazę w Dorrington, zainteresowanie wykazał Shaw. Podobnie kierownictwo - na rzecz własną i pracowników.

- Wiem o tym również. - W głosie Winstanleya odezwała się irytacja i doradcy umilkli.

Więc to byłoby na tyle, panie ministrze - pomyślał Clive. Tak to wygląda. Zapewne możemy sprzedać tę grupę łącznie, ale tylko na specjalnych warunkach i w takim wypadku nie dostanie się zbyt dobrej ceny, bo jest pasztet z Prior Systems.

- Mhm - mruknął Winstanley w pełnej szacunku ciszy. - Więc wygląda na to, że numer polegałby na zamknięciu kiepskich firm i pojedynczej sprzedaży pozostałych. Na przetargu. Ile czasu to zabierze?

Richard Watts z wysiłkiem powstrzymał się od uwagi, że Gruhners i NEB potrzebowałiby na to o wiele więcej czasu niż Fredericks i Ministerstwo Środowiska, i rzekł:

- Cóż, jeśli zaczniemy jutro, cały proces zabierze od trzech kwartałów do roku.

Clive spoglądał na ponurego Winstanleya. Nadzieja na szybkie, politycznie efektowne załatwienie sprawy zmniejszyła się.

- Nie zapowiada się, byśmy mogli sporo więcej dzisiaj zrobić, prawda? - Winstanley spojrział na zegar ścienny.

Bankierzy, mocno wyczuleni na atmosferę, już podnosili się do wyjścia, mrużąc eleganckie formuły pożegnalne. Szef biura eskortował ich do drzwi wyjściowych. Clive jak zawsze trzymał się z tyłu, na wypadek gdyby minister miał jakieś polecenie.

- Nie spodziewałem się, że zajdziemy dziś daleko - oświadczył strapiiony Winstanley. Zawahał się i Clive czekał wiedząc, że to nie koniec. - Podoba mi się pomysł negocjowanej sprzedaży całego tego towaru. To ma swoje zalety.

- Och, jak najbardziej. Muszę tylko z przykrością stwierdzić, że nie wydaje się najlepszą drogą.

Spoglądał zamyślony siedemnaście pięter w dół, na ulicę. Winstanley podszedł i stanął obok. Imponujący niebieski Jaguar czekał przy linii zakazu postoju. Dwie pokraczne figurki spieszyły do limuzyny. Szofer w liberii wysiadł i usłużnie otworzył drzwi.

- I to oni pracują dla nas - powiedział sucho Clive.

- Mają lepszy wóz niż ja - roześmiał się Winstanley.

- I pensje - zauważył Clive.

- Jakież sześć razy, przynajmniej Watts. Pytałem jego szefa wczoraj na kolacji. Nie mam pojęcia, czemu my im na to pozwalamy.

**O** siódmej tego wieczoru Caroline gwałtownie poderwała głowę, gdy taksówka skręciła przy King's Cross mijając parking hotelowy i zatrzymała się w drugim szeregu pojazdów przy bocznym wejściu na stację.

- Zaczekaj sekundkę - powiedziała wpychając dokumenty do teczki. - Nie miałam pojęcia, że już jesteśmy.

- Nie ma gwałtu, pani Whitehouse.

Taksówkarz przypatrywał się źle prowadzonemu Jaguarowi, który wykręcał niebezpiecznie blisko karoserii taksówki. Caroline spojrzała w lusterko wsteczne chcąc rozpoznać twarz swego kierowcy. Wydawała się znajoma, lecz Caroline od dawna jeździła samochodami firmy Computer Cab.

- Jak ci leci? - spytała nie chcąc wyjść na gbura.

Uśmiechnął się wybacząco.

- Wiozłem panią kiedyś z pani małym ze szpitala. Podrzuciłem go potem do domu. Nie miała pani czasu.

- To prawda. Przepraszam, to był okropny dzień, udało mi się zapomnieć wszystkie szczegóły. - Zapanowała nad papierami, złapała płaszcz i torbę z rzeczami osobistymi. Nielegancko wyczołgała się z taksówki i położyła wszystko na ziemi, aby włożyć płaszcz.

- Zostawiła pani gazetę, panno Whitehouse. I parasolkę.

- Och, Chryste! Przepraszam.

Zgarnęła jedno i drugie, pomachała taksówkarzowi na pożegnanie, podziękowała i zerknęła na zegarek. Pięć minut do odjazdu pociągu, ale jak zwykle bilet tkwił już wciśnięty w torebeczki lub gdzie indziej. Nigdy nie była dystyngowaną, opanowaną podróżniczką; jak w przypadku większości pracujących matek zostawienie domu nawet na jedną noc wymagało od niej wielu drobnych, szczegółowych, cierpliwych zabiegów. W rezultacie zawsze wpadała na stację lub lotnisko grzebiąc w torebce, krążąc myślami wokół szkolnej wycieczki, listu do wychowawcy, zadania domowego i gosposi. Pewnego razu przyłapała się na tym, że leci do Manchesteru wpatrzona w obiad serwowany przez British Midland, kompletnie nie pamiętając, jak się dostała na pokład, tak była zaabsorbowana swoimi sprawami.

Minęła budkę biletera zaledwie minutę przed odjazdem pociągu i skierowała się do pierwszego wagonu. Odwróciła się, by zatrzaskać drzwi.

- Nie zamykać!

Wysoki mężczyzna biegł do pociągu i gdy szybko cofnęła się od drzwi, dostał się do wagonu jednym płynnym skokiem do brego sportowca. Zamknął za sobą drzwi, wychylił się przez zsunięte okno i pomachał komuś na peronie.

- Miły gość - powiedział towarzysko do Caroline, która sięgnęła po swoją torbę. - Przepuścił mnie nie sprawdzając biletu. - Z jego głosu przebijało zadowolenie, ale połączone z leciutką wyniosłością, jakby w pewien sposób względy mu się należały.

Oceńnięła go; był wysoki, bardzo atrakcyjny, ciemnokasztanowe włosy miał bardzo krótko przycięte. Zmrużył oczy, odpowiadając na jej spojrzenie. Mimo chłodu był bez płaszcza. Twarz wydała jej się bardzo znajoma, lecz nie potrafiła sobie przypomnieć, gdzie go poprzednio widziała. Zapewne kolega prawnik, zaraz sobie skojarzę - uznała. Szła przez wagon, aż znalazła swoje miejsce, rzuciła na fotel teczkę, płaszcz i torbę i nie obciążona skierowała się do wagonu restauracyjnego. To była prawie czterogodzinna podróż. Należało przynajmniej zjeść kolację i odpocząć przed następnym stosem dokumentów. Siadła przy dwuosobowym stoliku, wyjęła popołudniówkę. Obiecała sobie jednego drinka do kolacji. Gnębiło ją poczucie winy, bo uwolniła się od obowiązku sprawdzenia matematyki Timmy'ego, ćwiczeń skrzypcowych Susannah i wymowy Francisa. Przejrzała dział finansowy oczekując na whisky, a potem popijała ją w błogim nastroju czytając komiksy i swój horoskop, który obiecywał powodzenie w nowym przedsięwzięciu. Wzniosła milczący toast za Prior Building Systems i wróciła myślami do czekających spraw. Wyjęła z torebki długopis i notatnik, bez których nigdy nie wychodziła z biura.

- Czy to miejsce jest zajęte?

Zaskoczona podniosła wzrok.

- Nie, przepraszam. Proszę.

To był mężczyzna, który wskoczył do pociągu i którego na pewno widziała wcześniej, nie pamiętała tylko gdzie. Był od niej trochę starszy, może wspólnik w innej kancelarii radcowskiej lub co bardziej prawdopodobne - adwokackiej. Miał pewność

siebie i łatwość nawiązywania kontaktu osoby często występującej publicznie. Zamawiając drinka roztaczał więcej czaru, niż to było w ogóle konieczne, i pikolak rozanielony odszedł zrealizować zamówienie. Facet musiał być stałym klientem na tej trasie, by zasłużyć na taką obsługę. Zauważył spojrzenie Caroline.

- Gerry Willshaw - rzekł krótko, wyciągając dłoń nad stołem, co zmusiło ją do porzucenia notatek.

- Caroline Whitehouse - odparła uprzejmie i równie zwięźle, licząc na to, że pamięć ją oświeci.

- Proszę, panie Willshaw. - Pikolak ostrożnie postawił whiskey na stoliku i uśmiechnął się do gościa. - Widziałem pana wczoraj w telewizji.

Na pewno nie aktor - pomyślała Caroline przyglądając się grubym zmarszczkom w kącikach szerokich ust - wysławia się bezbłędnie, po aktorsku, ale jest zbyt świadomy własnego oddziaływania, zbyt władczy.

- Jaki jest naprawdę ten Robin Day? - spytał pikolak i Caroline, która po cichu protestując przeciw powierzeniu jej starszemu bratu wysokiego stanowiska w dziale aktualności BBC, rzadko oglądała coś poza ITV, powoli zorientowała się w sytuacji. Oczywiście, Gerry Willshaw był politykiem, wiceministrem w rządzie konserwatystów. Dobry Boże, prawdę powiedziawszy, był na jej liście osób, których dżentelmeni z Prior Building Systems będą musieli poznać. Wygrał po ciężkiej walce przedostatnie wybory, pokonując popieranego przez związki zawodowe laburzystę, który przesiedział w parlamencie piętnaście lat, nie odzywając się sensownie, a nawet w ogóle nie otwierając ust, ale wbił sobie do głowy, że na zawsze będzie dysponował bezpieczną większością głosów.

Nadal rozanielony pikolak wycofał się i Willshaw odwrócił się do Caroline.

- Mogę postawić pani drinka?

- Dziękuję, nie. Zasnęłabym albo zaczęła się obijać o ściany wagonu.

- Ach. No, nie chciałbym, żeby pani zasnęła.



Szybki - pomyślała z uznaniem. Skupił się na niej bez reszty i przyglądał się nie ukrywając wyraźnego zainteresowania. Niezwykle przystojny - jak by to określiła jej matka. Trochę za bardzo tego świadomy, lecz o ogromnym wdzięku, mającym jakiś związek z nieujarzmioną energią, która sprawiała, że nie potrafił usiedzieć spokojnie w fotelu. Zupełnie przypomina kogoś z mojej rodziny - pomyślała w nagłym przeblysku. Szerokie, ruchliwe usta, trójkątny, ostro zakończony podbródek, prosty nos jak u braci i u niej samej, ale zamiast blond czupryny i niebieskich tęczówek - ciemne włosy i oczy, ani piwne, ani zielone, o migdałowym wykroju pod wydatnymi kośćmi oczodołów.

- Jedzie pani do Dorrington? - zapytał.  
- Tak. Na spotkanie z klientami. Jestem radcą prawnym.  
- Co to za klient? Chodzi mi o pani specjalizację.  
- Prawo handlowe. Klienci prowadzą firmę budowlaną.  
- Którą? Siedzę w rządzie, mój okręg wyborczy obejmuje część Dorrington.

- Pracuję dla Prior Building Systems. To, jak sądzę, tuż poza pańskim okręgiem.

- Tak, zgadza się. Ale część wyborców tam pracuje. - Nie przestawał obserwować jej z wielkim zaciekawieniem. - Czy dużo kobiet zajmuje się prawem handlowym?

- Nie na poziomie wspólnika kancelarii. - Caroline nie widziała przyczyny, dla której miałyby pomniejszać swoje osiągnięcia, zwłaszcza przed tym audytorium. - Można nas policzyć na palcach jednej ręki.

- Sądzę, że nawet nie wszystkie palce byłyby wykorzystane.

- Wybuchnęła śmiechem zaskoczona. Uśmiechnął się do niej szeroko, nie kryjąc zadowolenia z siebie. - Ale właścicielem Prior jest NEB, prawda?

- Chwilowo tak. Jak wszystkie pozostałe przedsiębiorstwa planuje się je sprzedać w prywatne ręce. A może jest inaczej?

- Ależ absolutnie nie. Ma pani co do tego zastrzeżenia?

Otwartość tego pytania zaskoczyła ją. Przelotnie zdała sobie

sprawę, że jej własna bezpośredniość musi oddziaływać hamująco na ludzi.

- Jeśli chodzi o Prior, a prawdę mówiąc, wszystko, co jest pod zarządem NEB, nie mam żadnych zastrzeżeń. Sceptycznie podchodzę do prywatyzacji naturalnych monopolii, jak gazownictwo, woda czy poczta.

- Och, chyba wszyscy mamy tu wątpliwości. - Ta odpowiedź była automatyczna i miała na celu odwrócenie uwagi audytorium od trudnej sprawy. Zainteresowanie Caroline rosło. - Powinniśmy bardzo starannie zadbać o interesy odbiorców, zanim podejmiemy się decyzje o prywatyzacji tego sektora usług.

To „my” zupełnie nie przystaje do człowieka Partii Konserwatywnej. Ten mężczyzna chce być w przyszłości przewodnikiem stada - pomyślała. Będąc córką ambitnego ojca i siostrą trzech ambitnych braci - bez względu na to, co myślała o ich dziwaczkich aspiracjach - poczuła w tym momencie pod stopami znajomy grunt.

- Co sprawiło, że zajął się pan polityką? - spytała przybierając postawę bacznego podziwu.

Uświadomiła sobie, że ani na chwilę nie spuszcza z niej wzroku.

- Polityka zawsze mnie interesowała, więc po czternastu latach w wojsku zdecydowałem, że spróbuję, czym się to je. Mój pierwszy start do parlamentu to rok siedemdziesiąty czwarty. Przegrałem. Ale rozpracowałem większość wyborców kochanego Stana Flooda i podczas drugich wyborów przeciągnąłem ich na swoją stronę. Interesuje się pani polityką?

- Nie. - Zaprzeczenie zabrzmiało trochę za stanowczo i trochę go zmroziło. Westchnęła. - Przepraszam. Mam powody. Pochodzę z rodziny, która przez wiele lat była główną podporą Partii Pracy w Hampstead.

Znów skłonił się do przodu, rozbawiony i głęboko zainteresowany.

- Więc jesteśmy po przeciwnych stronach?

- Tego nie powiedziałam.

- Ach. Słusznie. Czy Whitehouse to pani rodowe nazwisko?

- Moje panięńskie nazwisko to Henriques.

- Ach. Tak, rozumiem. Jest was sporo, no nie? Pani ojciec... czy to możliwe? Tak się składa, że profesor Michael Henriques wykładał, kiedy byłem w Staff College. O stosunkach politycznych w Tajlandii.

- To wuj. Ojciec ma na imię Sholto i jest filozofem. Tak, jest nas sporo.

- Słyszałem również wykład pani ojca. Zrobił na mnie ogromne wrażenie. No, jasne, poznałem jeszcze jednego członka pani rodziny. Wczoraj wieczorem podczas „Question Time”. Zastępca szefa działu aktualności. Towarzyszył nam przy kolacji i przemawiał do publiczności, zanim rzucono nas na pożarcie.

- Jezus Maria! - Caroline odstawiła szklankę. - Felix miał rozgrzać publiczność?! A co jej opowiadał? Cytował regulamin prezentera? Opisywał dziejową rolę BBC? Tak czy inaczej, to musiał być przebój tygodnia. Felix jest moim najstarszym bratem.

Gerry Willshaw uśmiechał się szeroko.

- Nie słyszałem jego przemówienia. Siedzieliśmy ściśnięci w poczekalni, rozmawiając nerwowo i czekając na wejście. Ale kiedy znaleźliśmy się przed kamerami, czułem, że publiczność jest trochę chłodna i poważna.

- Raczej śmiertelnie znudzona. - Kiedy się do niego uśmiechnęła, przekonała się, że nadal skupia na niej całą uwagę, i pospiesznie mówiła dalej: - Ale co to za skromne wyjaśnienie pańskiego pociągu do polityki. Z grubsza chodzi o to, że organizując życie ludziom w wojsku, uznał pan, że potem wypada robić to samo. A że Partia Pracy jest z definicji niezorganizowana, musiała to być druga partia. - Zastanowiła się, czy whisky nie była błędem i zerknęła nerwowo na drugą stronę wąskiego przejścia, po której siedziało czterech solidnych ludzi interesu, czyniących poważne uszczerbki w zapasach trunków British Rail i przysłuchujących się otwarcie jej i Willshawowi. Najbliższy sąsiad wychylił się do przodu i wypatrywał okazji włączenia się do rozmowy.

- Powiem pani kiedyś - rzekł spokojnie Gerry Willshaw. - Ach, jedzenie. Napije się pani wina? Do jedzenia nie powinno pani zaszkodzić.

- To prawda.

Zauważyła, że jest łagodnie sterowana, i wychyciła obietnicę kolejnego spotkania. Muszę uważać na to, co piję - pomyślała czując igielki zdenerwowania. Była bardzo świadoma obecności tego mężczyzny. Obserwowała go, jak sprawnie sobie radzi z kelnerem od win i sąsiadem przy stoliku obok. Pasażer bowiem znalazł właściwy moment, przedstawił się i pogratulował ministrowi wystąpienia w „Question Time”, co było wstępem do właściwej sprawy. Starał się namówić Willshawa, aby przybył na uroczystość rozdania świadectw w szkole córki. Willshaw z tą samą nerwową energią, którą przejawiał na każdym kroku, grzecznie zamienił kilka zdań z barmanem i taktownie, z wdziękiem zareagował na zaproszenie.

- Może zechciałby pan porozumieć się z moim biurem poselskim w okręgu albo w parlamencie. Postaram się nie sprawić zawodu, choć muszę zauważyć, że podczas sesji nie jestem panem swojego czasu. - Zajął się z powrotem Caroline, a usatysfakcjonowany rozmówca wrócił na swój fotel.

- Przyjedzie pan na to rozdanie świadectw? - spytała cicho. Doskwierało jej wrażenie, że zachowuje się trochę jak przedstawicielka domu królewskiego, odpytująca członków jakiegoś dalekiego plemienia o zwyczaje.

- Jeśli będę mógł. - Nalał jej wina.

- Dużo będzie wyborców wśród rodziców? - Miała świadomość, że w pytaniu pobrzmiewa nagana, ale on tylko spojrział na nią z zastanowieniem.

- Tak. I przed uroczystością, podczas niej i potem będą mówili mi o szkole i swoim życiu. Po to mają posła.

Caroline poczuła, jak szkarłat zalewa jej policzki. Odstawiła kieliszek. Zasłużyła na to. Co wpadło jej do głowy, żeby wypowiadać niegrzeczne uwagi o pasji człowieka, którego na dodatek widzi po raz pierwszy w życiu? Nie mogła wydusić słowa, ogarnięta wstydem i wściekłością, przywołana nagle do porządku. Od dawna coś takiego mi się nie przytrafiło - pomyślała. Z wolna odzyskiwała panowanie nad sobą.

- Pani Whitehouse?

Niechętnie uniosła głowę. Przyglądał się jej. Był zatroskany, ale nieustępliwy.

- Przepraszam, nie chciałem być tak szorstki. - Starał się mówić cicho, by nikt go nie usłyszał w ogólnym hałasie.

- To wyłącznie moja wina - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Przepraszam. Klan Henriquesów nie dba o wyborców, pisze o polityce i dyskutuje o niej w nieskończoność między sobą, nie z wyborcami.

Popatrzyli na siebie nad stołem i nagle zakreśliło się jej w głowie.

- Czym zajmuje się mąż?

Odwróciła wzrok.

- Jestem wdową. Ben był adwokatem specjalizującym się w prawie międzynarodowym. Zginął w katastrofie samolotowej, wracając do domu z konferencji w Turcji dwa lata temu.

- Pamiętam.

Spojrzała na niego ukradkiem, szykując się na wszelkiego rodzaju nieprzyjemne zachowania po tym zawczasu przygotowanym oświadczeniu: zakłopotanie, zażenowanie, litość, znużenie lub raptowny, pełen nadziei błysk erotycznego zainteresowania, nad którym nawet najlepsi mężczyźni nie są w stanie zapanować, gdy pada słowo „wdowa”. Nauczyła się ignorować, wybaczać lub pomijać te reakcje. To była zawsze chwila mrożąca rozmowę. Ale ten mężczyzna nie okazał żadnego z tych uczuć; był pełen głębokiego przejęcia.

- I ma pani dzieci?

- Troje. Timmy ma dwanaście lat, Susannah dziesięć, a Francis osiem. W tych sprawach byliśmy mocno zorganizowani. - To też, oczywiście, było przygotowanym oświadczeniem, przypiętowanym żartem, który miał rozwiać litość, zakłopotanie lub zażenowanie, lecz Gerry Willshaw nadal okazywał zainteresowanie tą sprawą.

- Ale to znaczy, że musiała pani nieludzko ciężko pracować.

To oczywiście racja - pomyślała wpatrując się tępo w talerz z nagle niejadalną kostką pasztetu, serwowanego przez British

Rail - święta racja, „nieładzko”. To było nieładzkie - praca cały dzień, nieakceptowanie ani litości, ani krytyki, dawanie z siebie wszystkiego. To nie było w porządku. Jak Francuzi na to mówią? *Je fais mon possible* - staram się, jak mogę - i staram się sprostać wszelkim obowiązkom, pilnuję, żeby się dzieci uczyły, odrabiały lekcje, rozwijały się prawidłowo, tulę je, kiedy śnią się im koszmary. Ale nie zawsze potrafię się nimi zaopiekować i kochać je „po ludzku”. Zawsze towarzyszyło mi napięcie, nawet kiedy Ben był tu, niech Bóg ma go w swojej opiece, ale kiedy Ben przestał się mną zajmować, niewiele mogłam im dać. Jestem zbyt niespokojna i zbyt samotna, a one ciągną ze mnie krew przez cały czas, tak przynajmniej mi się wydaje. I nie będąc, absolutnie nie będę płakała na oczach wszystkich w tym pociągu tylko dlatego, że obcy człowiek znalazł właściwe słowo. Wzięła długi oddech i wyprostowała się.

- Wiele osób mi pomaga - rzekła niedbale. - Jedna ze szwagierek często zajmuje się moimi dziećmi i swoimi. Dzięki temu mam czasem chwilę wytchnienia I naturalnie od dawna sama nie gotuję, nie prasuję, nie sprzątam. Nie robię nic z tych rzeczy.

Udało się jej spojrzeć na Gerry'ego Willshawa. Patrzył jej prosto w oczy, opanowawszy całą swoją niespożytą energię w sposób budzący szacunek.

- Przecież pani zajęcie na pewno jest bardzo wyczerpujące?

- Akurat przyjęto mnie na współnika, kiedy Ben zginął. - Zawsze łatwiej mówiło się o pracy. - A kiedy się jest współnikiem w dużej firmie, chętni młodzi mężczyźni wykonują za ciebie męczące drobiazgi i prace, nad którymi siedzi się do późna w nocy. Podczas ostatnich dwóch lat miałam tego bardzo mało.

- Ale przecież w tej chwili podróżuje pani do klienta?

- To bardzo rzadki honor. Oni jeszcze tego nie wiedzą. Po prostu muszę obejrzeć ich miejsce pracy, żeby zrozumieć to, co usłyszę. Ale spodziewam się, że jedna wizyta wystarczy.

Kelner znalazł się w pobliżu, patrzył pytająco na jej nie zjedzony pasztet, ale Caroline już w dzieciństwie przywykła do zasady, że nie powinno się niczego marnować. Skinieniem ręki

odwołała kelnera i jadła szybko, bez apetytu. Gerry Willshaw nadal poświęcał jej uwagę i wreszcie zdołała odpowiedzieć mu spojrzeniem.

- A co z panem? Pańska żona pracuje?

- Cóż, opiekuje się mną, trójką dzieci i wyborcami - rzekł krótko.

- Praca na pełny etat - przyznała Caroline. - Ile lat mają dzieci?

- Są trochę starsze. Peter ma siedemnaście, Mike czternaście, Miranda dziesięć. - Zawahał się. - Chciałbym mieć czwarte, ale zawsze brakło stosownego momentu.

Caroline pozwoliła sobie na przelotną myśl: Ciekawe, co jego żona sądzi na ten temat?

- Zamierzaliśmy mieć czwarte, ale osłabłam.

- Trudno mi w to uwierzyć.

Szerokie usta zadrgały i pochyliła głowę, niechętnie przyznając mu rację. Mimo całego wyczerpania trójką dzieci, z których żadne nie skończyło pięciu lat, i pracą przez cztery dni w tygodniu, poszłyby na to; rzecz jasna, to Ben chciał jeszcze jednego dziecka, ale rozumiał, że ona i cały dom są w stanie przerażającego napięcia, i zmienił zdanie. W ich związku ona była liderem - niespokojna, mądra, prąca do przodu, ale on zawsze wiedział, jak powstrzymać ją przed wciągnięciem ich w nieszczęście. Kiedy powiedziała, że powinni mieć czwarte, przyznał, że byłoby to wspaniałe, lecz tylko wtedy, gdyby potrafiła się zdobyć na kilkuletnią przerwę w pracy. Z goryczą wspominała, że podjęcie decyzji odmownej zabrało jej jakieś dwadzieścia minut. I teraz okazało się, że postąpiła słusznie; co by zrobiła z czwórką dzieci i bez partnera w życiu? Coś innego, coś, co mogłoby się okazać na dłuższą metę lepsze dla ciebie i twoich dzieci - odezwał się w jej głowie cichy głos. Z pośpiechem wróciła do teraźniejszości i talerza z solą à la Colbert, który przed nią postawiono.

- Kim był Colbert? - spytał Garry Willshaw, który najwyraźniej poniechał tematu osobistej przeszłości.

- Ministrem finansów Ludwika XIV. Król odziedziczył go po mamusi. - Spróbowała ryby. - Nie pamiętam, czy tak powinna smakować.

- Na uniwersytecie studiowała pani historię?
- Nie, prawo. - Zerknęła na niego. Wyglądał na leciutko zniechęconego. - Moja zacna szkoła dbała o wiedzę ogólną. Kuliśmy wiele takich rzeczy. Pan zapewne uczęszczał do Sandhurst, uczył się rysowania map i strzelania z armat.
- Tak, to robiłem, ale prawdę mówiąc, spodziewałem się, że ma pani szeroką wiedzę.

O rany, standard tej rozmowy ostro jedzie w dół - pomyślała. Ale uświadomiła sobie, że powiedział to z żalem w głosie. Cóż, zapewne najbardziej nastawieni na naukę chłopcy nie zostają zawodowymi żołnierzami. Wiedziała o tym, gdyż wszyscy Henriquesowie jak jeden mąż byli nastawieni na naukę. Zdała sobie sprawę, że rozmowa tak ich pochłonęła, iż są w tyle z obiadem za całym wagonem, i przyspieszyli rezygnując z puddingu.

- Dorrington za pół godziny - rzekł Garry Willshaw, gdy pili kawę, statecznie gwarząc o pogodzie, oboje instynktownie rezygnując z początkowej intymności pytań i odpowiedzi.

Caroline wracając do przedziału przypomniała sobie, że Willshaw jest jej potrzebny. Na pomoście wykorzystała moment, sugerując, że może przyprowadzi Petera Burwooda na rozmowę.

- Ma pani wizytówkę albo coś w tym rodzaju?
- Oczywiście. - Podała mu służbową wizytówkę, czując ogromną ulgę, że nie zapomniała o uzupełnieniu portfela. W połowie przypadków wypisywała nazwisko i nazwę kancelarii na kartce wyrwanej z notatnika, który nigdy nie opuszczał jej torebki, lub brała wizytówkę drugiej strony i polecała sekretarce posłać swoją następnego dnia.

- Zadzwoń do pani.
- To uprzejme z pańskiej strony. Jeśli nie poznał pan do tej pory kierownika Prior Building Systems, może chciałby się pan z nim spotkać?

- Chętnie. Poza tym chciałbym się znowu spotkać z panią.

Nagłość i bezpośredniość, z jaką to powiedział, zaskoczyły ją, a gdy spojrzała na niego, okazało się, że przygląda się jej bacznie,



skupiwszy na niej całą swoją niespokojną energię. Wtem bardzo zapragnęła go dotknąć.

- Ja też bym tego chciała - rzekła tak lekko, jak tylko potrafiła się na to zdobyć.

Rozluźnił zaciśnięte usta.

- Kiedy będzie pani z powrotem w kancelarii? W poniedziałek? Zwykle podczas sesji parlamentu przyjeżdżam do Londynu bardzo późno w niedzielę. Zadzwoń. Powodzenia jutro.

Dotknął jej ramienia i odszedł. Patrzyła, jak zręcznie przeciska się przez zatłoczony wagon.

## Rozdział piąty

Caroline Whitehouse ocknęła się w hotelu w Dorrington, nie wiedząc, gdzie jest, przestraszona, jak często bywało w dzieciństwie, ale niepokój zmalął, kiedy rozpoznała otoczenie. Żle spała; dziecięca bezsenność, która powoli ustępowała z wiekiem, znów zaczęła ją prześladować po śmierci Bena. Wieczorem Caroline potrafiła zasnąć, ale w złe noce budziła się o wpół do czwartej, punktualnie co do minuty, spocona, nękana nieuchwytną grozą, jakby rozdzwonił się jakiś niesłyszalny alarm. W pierwszych okropnych miesiącach po śmierci męża zwierzyła się z tego terapeutce, która cierpliwie zajmowała się koszmarami sennymi Timmy'ego. Przyjrzała się jej i powiedziała, że ten wzorzec bezsenności świadczy o depresji, ale bynajmniej nie jest tak poważny, jak stany, które przeżywają ludzie nie mogący wieczorem zasnąć. „Oni lękają się śmierci i trudno im pomóc. Pani ma normalny depresyjny lęk przed samotnością; w miarę ustępowania depresji, sen powróci”. Caroline oznajmiła chłodno, że ta analiza wcale jej nie pomaga. Teraz zdawała sobie sprawę, że była niesprawiedliwa. Wiedząc, że bezsenność jest związana z depresją, mogła skutecznie sobie z nią radzić. Zamiast leżeć w łóżku i myśleć o życiu rozbierać włos na czworo, nauczyła się wstawać z rezygnacją po pół godziny i zajmować się jakąś pracą. Zawsze było coś do zrobienia: pisma do napisania, rachunki do zapłacenia, i co prawda nie była w najlepszej formie po nie dospanej nocy, ale przynajmniej bez względu na to, jak okropnie

się czuła, zaczynała dzień z paro-godzinnym wyprzedzeniem. Po kilku takich przebudzeniach samo wyczerpanie zapewniało jej w nocy sen. Czasami bogowie okazywali litość i po godzinie pracy potrafiła znowu zasnąć.

Ta noc była właśnie taka, lecz Caroline zasnęła po jakimś czasie i teraz miała wrażenie, jakby wracała z dna morza. Czując wyrzuty sumienia, znów zamknęła oczy i obudziła się po pół godzinie zła i z suchością w ustach. Miała dla siebie zaledwie czterdzieści minut, zanim klient się zgłosi. Niemniej jednak wizytacja obiektu była zawsze łatwą sprawą, bo klient był bardziej rozluźniony na własnym gruncie.

Myślała o Gerrym Willshawie, kontynuując refleksje bezsen-nych nocnych godzin, kiedy to usiłowała sobie przypomnieć jego wygląd i kolor oczu. On jest żonaty, i to od wielu lat - udzieliła sobie napomnienia. Niechętnie porzuciła ten temat i zajęła się wypychaniem koszuli nocnej, saszetki z kosmetykami, wczoraj-szej bielizny i bluzki do torby.

Siedziała w hallu recepcyjnym, gdy zjawił się Peter Burwood. Czuł się tam swojsko. Przystanął witając paru mężczyzn zawodowym, serdecznym uściskiem dłoni komiwojażera, lewa ręka po kolei poklepywała rozmówców po ramieniu. Caroline wstała na przywitanie, ciekawa, czy zostanie obdarzona klepnięciem, ale pocałował ją bez wahania, zadowolony z przyswojenia sobie nowego obyczaju towarzyskiego, lecz lekko zażenowany spoj-rzeniami rzucanymi z ukosa przez obsługę hotelu. Hm, najwy-rażniej w Dorrington nie uznawano powitalnego całusa za rzecz naturalną.

Zaprowadził ją do czekającego samochodu z kierowcą i ele-gancko pojechali na budowę. Auto zatrzymało się za wielkim nowym budynkiem, w istocie ogromną szopą z blachy. Graham Gough i Martin Williams już tam stali; wysiadając z Burwoodem z auta uśmiechnęła się do nich ciepło jak posiadacz na widok swojej własności. Martin był od niej dziesięć lat starszy, ale bez śladu siwizny na gęstych ciemnych włosach. Potężnie zbudowa-ny, inteligentny, doskonały inżynier wykorzystał swój talent projektując i instalując linię produkcyjną w fabryce. Graham,

główny księgowy, wysoki i rudy, wyglądał jak najlepszy w pływaku hrabstwie, co zresztą było zgodne z prawdą. Nowy w firmie, został przyjęty do Prior przed niecałym rokiem. Caroline nie miała o nim wyrobionego zdania, lecz rutynowo sprawdziła go po cichu; wystarczyła pogaduszka ze starym przyjacielem z wielkiej firmy audytorskiej badającej bilans Prior. Usłyszała hymn pochwalny. Obydwaj mężczyźni uśmiechnęli się na powitanie, a Martin śmiało ruszył do przodu i wycałował Caroline. Graham zachował rezerwę, podał tylko rękę, ale stanęła na czubkach palców i ucałowała go w policzek. Poczzerwieniał zażenowany, lecz zadowolony, i pogratulowała sobie w myślach. Chciał być traktowany na równi z dwoma pracującymi razem od lat dyrektorami, ale nie umiał się jeszcze do nich dopasować. To Ben, myślący, inteligentny, spostrzegawczy Ben, niezmiennie zachowujący lekki dystans wobec otoczenia, nauczył ją zwracać uwagę na takie szczegóły i była w tym coraz lepsza, a więc i skuteczniejsza. Och, Ben - pomyślała, tknięta nagłą tęsknotą, ale natychmiast skupiła się z powrotem na trzech mężczyznach obserwujących ją wyczekująco i odepchnęła wspomnienia. Peter podał jej rękę i przeszła po nierównym gruncie.

Udali się do barakowozu podzielonego na zapchane klitki; każdy ich cal był obwieszony płachtami papieru. Doszli do narożnego pomieszczenia, w którym stał stół na sześć osób i gdzie wszystkie wykresy, rysunki, różnokolorowe harmonogramy pobazgrane ołówkowymi dopiskami starannie przypięto pinezkami do ścian.

- Ja i Martin cię oprowadzimy - oświadczył stanowczo Peter. - Graham chce tymczasem sięść z księgowym budowy.

- Wyjaśnij jej tu montaż, Peter, błysnijmy tą odrobiną wiedzy, na którą nas stać - zasugerował Martin, starszy i bardziej obyty niż pozostałych dwóch, i podał kawę.

- Nie wiem, w jakim stopniu Caroline orientuje się w podstawowych sprawach - zaczął lodowato Peter. Westchnęła w duchu. Chociaż to właśnie Peter ją wybrał, najwyraźniej miał nieszczerze zdanie o kobietach.

- Więc może wytłumaczycie mi jak prostemu człowiekowi?

Peter z założonymi rękami przyglądał się jej z drugiej strony pokoju, po czym nagle oderwał się od ściany.

- Dobra, chodź tu - rozwinął wykres i Caroline niezwłocznie się zbliżyła. - Cała sprawa polega tu na dostarczaniu właściwych elementów i składaniu ich we właściwym tempie. Przychodzą z naszej fabryki - pójdziemy tam po lunchu.

- Znakomicie.

- No cóż, rzecz w tym, że wielkie elementy, to jest ściany i podłogi, przyjeżdżają ciężarówkami. Zdejmujemy je i składamy za pomocą żurawia.

- Rozumiem.

- No i zacznijmy od tego, że się to chrzani - oświadczył triumfalnie.

- Właśnie nieuprzejmie sobie myślałam, że tak być musi - stwierdziła ze spokojem. - Jak to w życiu. Więc musicie mieć magazyn.

- Magazyn mamy i tak, na mniejsze elementy. Problem z dużymi. Dwukrotny przewóz kosztuje więcej. Zdejmowanie z ciężarówek, składowanie, znowu ładowanie. To podwaja czas pracy żurawia, rozumiesz, nie można ich przemieszczać inaczej. Więc stawiamy duże elementy wprost z ciężarówek, jak długo się da. - Wskazał ręką za okno.

- Ach! - wyrwało jej się na widok napiętych lin żurawia, który uniósł płytę z długiej, niskiej ciężarówki w zimne, styczniowe powietrze, a potem wywindował na wysokość pięćdziesięciu stóp. Caroline patrzyła jak zaczarowana, a płyta z wolna sunęła ku trzem robotnikom, którzy umieścili ją w odpowiednim miejscu, odhaczyli i odrzucili liny.

- Jeśli wszystko idzie dobrze, w trzy dni stawiamy kondygnację gotową do ostatecznego wykończenia - rzekł Peter. - Zwróć uwagę, jesteśmy uzależnieni od fabryki; tu można tylko trzymać tempo. Ale mieliśmy złą pogodę, robiliśmy kondygnację w pięć dni, więc fabryka nas wyprzedziła i czeka tu na nas masa płyt.

- Na ile ustalaliście przerób w kontrakcie?

Mężczyźni wymienili między sobą spojrzenia.

- Kontrakt zakładał przerób: jedna kondygnacja na trzy dni  
- rzekł gładko Graham.

- Naprawdę?

- To stary kontrakt. Jest renegotjowany. Jesteśmy konkurencyjni wobec każdej firmy potrzebującej pięciu dni. Przeciętnie na aktualnych budowach potrzebujemy czterech, ale nie trąbimy o tym na prawo i lewo.

Caroline przyjrzała się klientom i uznała, że teraz nie czas ani miejsce na poważną rozmowę.

- W porządku - rzekła krótko. - Znam podstawową zasadę, a podczas oglądania dowiem się wystarczającej liczby szczegółów.

- Uśmiechnęła się do Petera, który z powątpiewaniem spoglądał na jej sukienkę i szpilki. - Zawsze staram się przyjechać elegancko ubrana, ale mam ze sobą džinsy i kozaki. Widzę, że to prawdziwa budowa.

Peter odpowiedział uśmiechem i przekazał Caroline sekretarce, po czym spojrział bez słowa na kolegów.

- To bardzo inteligentna dama, Peter.

- Od razu zahaczyła o przerób, no nie? - zauważył Graham.

- Rozpytałem się, zanim ją wynajęliśmy. Mówiłem wam. To jedna z najlepszych specjalistek od prawa handlowego w City.

- Jest na to za ładna - rzekł Martin.

- W ogóle nie myślę o niej jak o kobiecie - odparł zdziwiony Peter. - Pewnie, jest niczego sobie, ale to równie dobrze mógłby być facet.

Koledzy popatrzyli na niego z niewiarą. W tym momencie otworzyły się drzwi i wkroczyła zjawia tonąca w obszernym waciacu, który sięgał jej do kolan. Na plecach miała napis dużymi czerwonymi literami: GOŚĆ PRIOR. Biały hełm, z podobnym napisem, opadał na czoło.

- Peter, wygląda na to, że to jedyny strój dla gości - oświadczyła zjawia. - Kto was tu odwiedza, Marsjanie?

- Ten hełm można dopasować - oświadczył Martin wybuchając śmiechem i ruszając jej z pomocą.

Zanim doprowadzono strój do porządku, wszystkie pozostałości skrępowania znikły bez śladu i cała grupa wychodząc na przejmujący chłód gwarzyła jak starzy kumple.

- Ta brygada robi cały pierwszy montaż - rzekł Peter wskazując ręką na szóstkę mężczyzn rozsypanych po różnych zakątkach szkieletu budynku. - Przewody elektryczne, kanalizacja. Oczywiście co, jest na prąd.

- Cholernie drogie w eksploatacji. Tu wszyscy korzystają z gazu, no nie?

Martin westchnął.

- Tu właśnie jest pies pogrzebany. Ale ten system zaprojektowano na prąd. Tutejsi konsumenci chcieli mieć gaz, bo jest tańszy w eksploatacji. Kiedy braliśmy się do zmiany systemu, nie znaliśmy go tak dobrze. Prędko spostrzegliśmy, że przeróbki załatwiły wszelkie oszczędności montażu, ale rada miejska miała do dyspozycji firmy, które były gotowe zrobić wszystko, byle dostać zamówienie, więc musieliśmy spróbować. - Martin zatrzymał się między dwoma stosami betonowych płyt, gestykował szukając słów na opisanie tego, jak wpakowali się w kozi róg, i Caroline obserwowała go ze zrozumieniem.

- To dlatego pierwsze kontrakty przynosiły straty? - skierowała pytanie do Petera.

Westchnął.

- Tak, to jeden z powodów. Realizujemy nadal dwa niedochodowe kontrakty. Usiłowaliśmy trochę się odkuć, ale można było się załamać. Nawet zasuważąc bez chwili przerwy ledwo wychodziliśmy na zero. A tacy goście, jak Friern czy Shaw, są gotowi w każdej chwili podłożyć świnię. I nie tylko świnię. - Zatrzymał się i spojrzał na Martina. - Może nie powinienem mówić tego wszystkiego.

- Pracowałam dla firmy z inżynierii lądowo-wodnej, stąd wiem, ile trzeba się nagimnastykować, żeby dostać zamówienie - rzekła łagodnie Caroline. - Powiedzcie mi, co się tu dalej dzieje po przeprowadzeniu kanalizacji i elektryki? O sprawach handlowych możemy pogadać później.

Obaj mężczyźni się rozluźnili. Poprzedni temat wyraźnie ich usztywniał. Podprowadzili ją do następnego bloku.

- Ciężko pracują, no nie? - krzyknęła do ucha Peterowi. - Nikt się nawet nie ogląda.

- Wiedzą, że tu jestem! - odkrzyknął.

Uśmiechnęła się za podniesionym kołnierzem waciaka. Miał oczywiście rację, był tu jak pan na włościach. Rzecz jasna, dzisiejszymi czasy nikt nie kłaniał się w pas, ale może zarządzanie wielką budową stwarzało przyjemność podobną do tej, jakiej zaznawał posiadacz ziemski idący wraz z ławą żniwiarzy i wykrzykujący słowa zachęty. Być może trochę za różowo sobie to wyobrażam - pomyślała, kiedy współczesny żniwiarz okutany w waciak, w helmie na głowie, ześliznął się z rusztowania i szedł do Martina wykrzykując coś niezrozumiałego, chodziło o pomoc lub informację. Martin nachmurzył się i wyrzucił z siebie zawły ciąg poleceń.

- Coś się popierdoliło? - spytała. W naglej ciszy słowa padły z żenującą wyrazistością.

- A gdzie ty się tego nauczyłaś, Caroline? - zapytał z naganą.  
- Pewne od tego gościa z inżynierii lądowo-wodnej. A teraz spójrz tu. Po hydraulikach przychodzą elektrycy, ciągną przewody peszlami. Ale mają już wycięte otwory na peszle i puszki, więc kiedy zrobią swoje, jest po robocie - pokój gotowy. Łazienki i kuchnie robi się trochę inaczej, ale całe pomieszczenie jest przygotowywane w fabryce i brygada wykańczająca wstawia wszystko gdzie należy.

Caroline patrzyła zafascynowana na robotników. Brali płyty ze stert utworzonych na środku każdego pomieszczenia i przykręcali je śrubami do ścian.

- Dostarczone żurawiem?

- Tak, zgadza się. Kiedy tylko zamocuje się panele zewnętrzne, przed położeniem stropu składa się w stosach panele wewnętrzne, uszczelnienie i peszle.

- Wszystko musi się zjawić w odpowiednim czasie.

- Tak.



- I musi pasować. Przepraszam za moją głupotę. Gdyby nie pasowało, musielibyście przy tym grzebać.

- Jeśli nie pasuje, rosną koszty. Mówię robotnikom: „Odsyłajcie płyty z powrotem, żeby się to nie powtarzało”, ale oni starają się dopasować.

- To oczywiście. W swoich domach robiliby tak samo.

Martin zatrzymał się jak wryty.

- Zgadza się. To właśnie im mówię. „Nie budujecie własnej chałupy”. - Spojrzał na nią z ukosa. - Zimno ci?

- Tak - przyznała z wdzięcznością. Spodziewała się, że on, nie Peter, to zauważy. - Ale nie zawracajmy. Muszę wszystko obejrzeć.

- Już prawie obejrzałaś. Następny blok jest już wykańczany od środka.

Minęli wiatrołap i odetchnęła z ulgą nie czując ostrego zachodniego wiatru. Tupiąc szła po schodach, niewygodne buty ślizgały się po stalowych stopniach.

- Tu nakładają płyty wewnętrzne, które przychodzą pomalowane podkładówką. Wpasowujemy je, malujemy i wszystko gra, zrobione. Linoleum na podłogę jest wcześniej przycięte.

- Zgrabnie - potwierdziła stan faktyczny Caroline. I przytulnie, porównując z komunalnymi mieszkaniami londyńskimi - pomyślała - mimo że tu okna wychodzą jedynie na ponure wydmy, a jedyne urozmaicenie stwarzały dalekie przebłyski szarego Morza Północnego.

Szła za swoją eskortą przez trzy dalsze identyczne piętra, grzecznie chwaliła, a w duchu tęskniła za jakimś gorącym posiłkiem, najlepiej teraz. Dygotała, kiedy znów wyszli na wiatr i wracali do barakowozu. Jeśli nie chce zrazić potencjalnych inwestorów do całej umowy, najlepiej zrobi doradzając im włożenie wełnianej bielizny; jej samej przydałyby się ciepłe reformy za kolana.

Wyszła poprawiając spódnicę i Jaguarem Petera pomknęli do gabinetu w miejscowym country clubie. Była to osiemnastowieczna budowla, w której stały wygodne, tapicerowane perkalem

fotele i panowała atmosfera oszczędności, ale bez popadania w skąpstwo. Zauważyła, że Peter czuje się jak u siebie w domu, podobnie Martin, natomiast młodszy od nich Graham rozglądał się wokół, wielce rad ze znalezienia się w tym miejscu.

Caroline opadła na kanapę, podniesiona na duchu komfortem i kwiatami, ale nie traciła trzeźwości umysłu; oto nadchodziła chwila, w której należało przekonać klienta, że opłaci mu się wyłożenie bardzo poważnych pieniędzy za wynajęcie Smitha Butlera. Zahaczyła wzrokiem o gazetę leżącą na stoliku. „Akcje Prior Systems rzucone na rynek” - głosił tytuł. Rozłożyła dziennik z okrzykiem, który zwrócił uwagę trzech mężczyzn.

- Niech to cholera. - Peter był przejęty.

- Nie, to wcale nie takie straszne. - Caroline, z natury i wykształcenia zachłanna czytelniczka, w niecałą minutę przeleciała wzrokiem trzy kolumny tekstu. - To czysta spekulacja, facet z nikim nie rozmawiał. - Siadła wygodnie, o włos unikając zderzenia z Martinem, który czytając trzy razy wolniej zaglądał jej przez ramię. Rzekła z pewnością siebie: - Nie przejmowałabym się tym. Naprawdę, nie ma mowy, żeby NEB znalazła poręczyciela emisji akcji, chyba że za psie pieniądze. Więc akcje nie wylądują na parkiecie.

Trzej mężczyźni zamyśleni popijali drinki.

- Więc będą zmuszeni sprzedać nam firmę? - spytał z nadzieją Peter.

Caroline wolno odstawiała swój sok pomidorowy.

- Wam nie, ale w ogóle tak. Z tym że pamiętajcie, mówimy tu o majątku publicznym i NEB musi być przekonana, że dostanie dobrą cenę.

- My damy jej dobrą cenę - rzekł Peter. Na jasne policzki wystąpiły rumieńce. - Postaramy się o wycenę przedsięwzięcia i zapłacimy, ile się należy. Twoim zdaniem to jest około sześćdziesięciu milionów funtów, no nie, Caroline?

- Mhm. Dżentelmeni, gdybyście mieli sprzedać przedsięwzięcie, jak byście się do tego zabrali?

Zapanowała głucha cisza, którą przerwał Graham.

- Zaczęlbym od reklamy. Dałbym zawiadomienie o sprzedaży. Tak jak robiliśmy w Deloitte. - Spojrzał na nią z ukosa, ale ona nadal przyglądała się nachmurzonemu Peterowi. Czekala. - Jak możemy ich od tego powstrzymać, Caroline? - spytał wreszcie.

- To jest właściwe pytanie! A jeśli nie znajdziemy na to sposobu, w jaki sposób uzyskamy pewność, że nasza propozycja jest najbardziej atrakcyjna?

- Zaproponujemy im więcej pieniędzy niż ktokolwiek inny? - podsunął odpowiedź Martin.

Uśmiechnęła się do niego, ale się nie odezwała.

- Może nas na to nie stać - odparł prosto z mostu Graham. - Jeśli Friern lub Shaw będą chcieli nas przejąć, stać ich na o wiele większe przebicie. Mogą wyłożyć na to trochę grosza.

Peter spojrział na niego tak, jakby księgowy był gotów oddać w ofierze najstarszego syna.

- Strach cię oblatuje, Graham?

- Stwierdza fakt handlowy, taka jest rola głównego księgowego - uznała za właściwe interweniować Caroline. - Peter, musisz pogodzić się z tym, że w szerokim świecie jest ktoś, kto może wyłożyć za przedsiębiorstwo więcej od ciebie. Instytucje finansowe zwykle nie płacą najwyższych cen; gdyby chciały tak postępować, nie miałyby dochodu.

Pojawił się kelner z zaproszeniem do stołu i wiadomością, że czeka pierwsze danie, ale żaden z mężczyzn nie drgnął. Wszyscy byli skupieni na tym, co usłyszeli, i Caroline musiała im uprzytomnić, że jest zmarznięta i głodna, by zerwali się na nogi. Zdecydowała się raczej jeść niż mówić, bo Michael Appleton kiedyś wbił jej do głowy, że „na miłość boską Caroline, lepiej niech klient myśli”.

- Moglibyśmy odmówić współpracy przy sprzedaży. - Peter pochłaniał pasztet miejscowego wypieku.

- Rzykujesz zwolnieniem - odparła Caroline z ustami pełnymi krewetek z konserwy. - Wybijcie to sobie z głowy.

- Więc jeśli nie pieniędzmi, to czym uczynić propozycję najatrakcyjniejszą, Caroline? - zapytał spokojnie Martin.

- W gruncie rzeczy przedsiębiorstwo jest własnością rządu, no nie? Oprócz pieniędzy na czym jeszcze mu zależy?

- Patrzy łaskawym okiem na przejęcie firmy przez kierownictwo, no nie? - spytał Graham.

- Tak. Patrzy. Takim sobie „łaskawym okiem”. Może nie nadzwyczaj łaskawym.

- Ma również przychylny stosunek do szerszego akcjonariatu - rzekł Martin zerkając na szefa. - To znaczy, jeśli część pracowników chciałaby wykupić akcje, rządowi by się to podobało.

Przeżażony Peter odłożył widelec.

- Jeśli wciągniesz w to związki, czekają nas same kłopoty. Dopiero co dałem po nosie tej hołocie. Ani mi się śni, żeby znowu miała coś do gadania.

- Cóż, akcjonariat pracowniczy mógłby przynieść nam prawdziwe korzyści przy prowadzeniu interesu. Pracownicy, inwestując własne pieniądze w firmę, ogromnie by się z nią związali. To byłby fantastyczny bodziec do poprawy wydajności.

- Związki są przeciwne prywatyzacji - protestował uparcie Peter.

- Czytałeś tego gościa w gazecie... no jak mu tam?... mówił, że jego członków nie przekupi się tanimi akcjami.

- Bzdura - zwięźle osądziła Caroline. - W przeciwieństwie do was, džentelmeni, wychowałam się wśród takiego bicia piany. Wasi robotnicy kupią akcje, jeśli będzie im się to opłacało. Nie są tacy głupi. Niech ich przywódcy myślą sobie, co chcą.

Peter zerknął na nią, ale Martin pokiwał głową.

- Zgadzam się. Problem w tym, że nasi robole nie mają gotówki - to znaczy aż takiej gotówki, żeby stać ich było na wykup wszystkich akcji.

- W dalszym ciągu potrzebne są wam instytucje finansowe z prawdziwego zdarzenia, dysponujące ciężką gotówką, to oczywiście - zgodziła się z nim niezwłocznie.

- Ale przyciągnie je fakt zakupu akcji przez pracowników - rzekł z nadzieją Martin.

- Nie, mylisz się. Znacznie woleliby tylko was trzech. Uważają,

że akcjonariat pracowniczy to straszna zawada - cóż, już samo posiadanie akcji przez osoby fizyczne to dla nich męka. To jedna z najpotworniejszych rzeczy, które wydarzyły się temu krajowi, że wszystkie pieniądze są w rękach instytucji finansowych, którymi przeważnie rządzą kompletni palanci.

- Ale nie na tej widowni nam zależy - rzekł Peter. Godne podziwu, że zdołał przyswoić sobie całkowicie obcą ideę w niecałe dwadzieścia minut i teraz najwyraźniej przeszedł do dokładniejszej analizy. - Usiłujemy przekonać rząd. On jest sprzedawcą.

- Jak najbardziej - zgodziła się myśląc, że nie ma to jak dogłębne studia marketingu i sprzedaży.

- Musimy złożyć NEB ofertę nie do odrzucenia - oświadczył Martin mrużąc oczy.

Pałeczkę przejął Peter.

- Wykażemy jej i rządowi korzyści. Taka umowa poszerza akcjonariat, zapewnia zbywającemu uczciwą cenę, daje w kość związkom. Zgadzam się z Martinem, to potęga.

Trzej mężczyźni kontemplowali tę wizję w zachwyceniu.

- Wy, chłopaki, oczywiście dostaniecie akcje. - Caroline uznała, że nadszedł czas pomachać im przed nosem inną motywacją.

Peter spojrział na nią z niepokojem.

- Za darmo?

- Część. Mówiłam wam, trochę kupujecie i dostajecie więcej, jeśli wam dobrze idzie. To się nazywa ratchet\*. Standardową praktyką w tych sprawach jest podwojenie wielkości posiadanych akcji po spełnieniu pewnych kryteriów.

\* Brak polskiego odpowiednika. Dosł. „zapadka”. Chodzi o ustalony stały wzrost wynagrodzenia w stosunku do osiągniętego zysku, tak jak stały jest skok koła zapadkowego, bądź też o automatyzm tego procesu.

- Jak przyrost zysku?

- Do pewnego stopnia tak. Zysk to piękna sprawa, ale tym wielkim macherom chodzi o kilkakrotne pomnożenie włożonego wkładu i wycofanie zysków.

Grupka przyglądała się jej nieprzyjaźnie.

- Chcesz powiedzieć, że będą chcieli nas sprzedać komuś innemu?

- Chodzi o to, że po jakichś trzech, czterech latach będą chcieli odzyskać część gotówki - tłumaczyła cierpliwie. - Może uda wam się wypuścić akcje na giełdę i spłacić inwestorów, może do tej pory uda się wam odkupić z zyskiem część akcji. Jeśli nic nie wyjdzie, to owszem, będą chcieli was odsprzedać za gotówkę komuś z branży. - Nic nie stoi na przeszkodzie, by przypomnieć, że dwa i dwa to cztery - pomyślała radośnie.

- Słuchajcie, jeśli nie uda nam się wypuścić na giełdę akcji i nie osiągniemy takich zysków, żeby je odkupić, to nam przecież będzie zależało na sprzedaży! - uświadomił z naciskiem kolegom Peter.

Caroline z wysiłkiem zapanowała nad sobą i pozwoliła reszcie się wygadać. Jej cierpliwość została nagrodzona, gdy pozostali dwaj z różną szybkością przemyśleli to, co usłyszeli, i przytaknęli.

- Jakich dochodów oczekują inwestorzy? Z oczywistych względów pewnie chcą więcej niż punkt ponad stawkę zasadniczą, ale ile więcej? - spytał Graham grzebiąc po kieszeniach za kawałkiem papieru. Westchnął.

- Wybijcie sobie z głowy stawkę zasadniczą. Oczekują stałego dochodu w wysokości czterdziestu procent rocznie. Oczywiście, zawiera on przyrost kapitałowy, ale jest bardzo wygórowany.

Wpatrzeni w nią słuchacze byli wstrząśnięci.

- Czterdzieści procent rocznie? To lichwa!!!

- Uprą się, że to uczciwa zapłata za ryzyko. Muszą osiągać takie zyski z pewnych inwestycji, by spłacić inne, które kończą się klapą.

- Ale jak to funkcjonuje? - Graham, jak wszyscy wyśmienici księgowi, był gotów do natychmiastowego rachowania.

- Cóż, powiedzmy, że przedsiębiorstwo jest teraz warte sześćdziesiąt milionów funtów. To dla ułatwienia obliczeń - dodała zdecydowanym tonem, gasząc w zarodku interwencję Petera. - Więc pożyczacie góra pięćdziesiąt milionów, bierzecie dziesięć milionów z instytucji finansowych, zapewne dwa miliony

w akcjach zwyczajnych, osiem milionów w uprzywilejowanych lub pożyczce nie zabezpieczonej. Tu nie stać was na zapłacenie zbyt wysokich odsetek, więc instytucje finansowe dostaną, powiedzmy, siedem procent przy dziesięciu milionach funtów inwestycji. Mogą zarobić dziesięć procent na obligacjach rządowych gwarantowanych przez skarb państwa, więc rozglądają się za akcjami, które pewnego dnia staną się warte dużo forsy.

- Cholera, te instytucje będą miały fortunę, jeśli wyduszą zysk rządu czterdziestu procent rocznie - zaprotestował Peter.

- Tak, ale przy tych wykupach fortuna rozkłada się równo - odparła natychmiast Caroline. - Słuchajcie, teraz osiągniecie jakieś osiem i pół miliona funtów dochodu, więc przedsiębiorstwo jest warte sześćdziesiąt milionów funtów przy wskaźniku cena/zysk równym siedem. Jeśli doprowadzimy do wykupu, to większość waszych zysków w roku pierwszym pójdzie na pokrycie odsetek i dywidendy, ale nie minie rok trzeci i możecie się spodziewać skoku dochodu po opodatkowaniu do osiemnastu milionów. W tym momencie możecie zrobić wszystko - rzucić akcje firmy na giełdę, sprzedać konkurentowi czy cokolwiek. Nawet przy wskaźniku cena/zysk równym siedem przedsiębiorstwo będzie warte sto dwadzieścia sześć milionów funtów. Odejmijcie akcje uprzywilejowane i dług, a okaże się, że akcje zwyczajne, wycenione kiedyś na dwa miliony, są warte około stu milionów.

- A my, mam na myśli kierownictwo, ile dostaniemy?

- Wy i pracownicy zaczęliście od dziesięciu procent zwyczajnych akcji, za które zapłaciliście dwieście tysięcy. Podwoicie liczbę akcji, jeśli uda się wam sprzedać przedsiębiorstwo w ciągu czterech lat, więc macie dwadzieścia procent warte około dwudziestu milionów, to jest sto razy więcej niż wkład początkowy. - Zrobiła przerwę, żeby mieli czas przyswoić sobie te rachunki. - Oczywiście, w życiu nigdy nie jest tak pięknie, ale tak wygląda zasada. Wszyscy idą do banku ze śpiewem na ustach.

Nastąpiła długa, pełna oszołomienia cisza, podczas której trzej mężczyźni wchłaniali wizję różnej przyszłości.

- Dlaczego nie możemy kupić ponad dziesięć procent? Przy takich cenach wziąłbym hipotekę na własne dzieci. - Martin otrząsnął się pierwszy.

Caroline uśmiechnęła się do niego szeroko.

- Instytucje finansowe nie pójda na to. Pamiętajcie, ich akcje uprzywilejowane warte osiem milionów nie mają żadnego przyrostu kapitałowego. Więc pozwolą wam kupić tylko ograniczoną liczbę tego, co w języku branżowym nazywa się „tłustymi akcjami”, to jest zwyczajnymi. Ale masz rację, Martinie, do tego sprowadzają się negocjacje z instytucjami finansowymi - ile tłustych akcji uda ci się dostać.

Peter siedział zgarbiony. Miał podejrzliwą minę.

- Dlaczego wszystkie kierownictwa nie organizują takich wykupów?

Pochyliła się, zsunęła włosy za uszy.

- Ach. Powinno to być przedsiębiorstwo, które zdecydowanie przynosi zyski, a nie przejada je, bo musicie płacić wysokie odsetki. Na przykład to przedsiębiorstwo przejadało gotówkę aż do zeszłego roku. Ponościło ciężkie koszty badań i wdrożeń i miało deficytowe umowy. I upadło właśnie dlatego, że nie było gotówki, chociaż zyski były całkiem wysokie. Ale teraz poczyniliście wszystkie inwestycje w fabryce, niekorzystne kontrakty są prawie na ukończeniu i może nawet wydłebicie jakąś dodatkową gotówkę po renegocjacjach - więc dosłownie każdy funt, którą zarabiacie, możecie przeznaczyć na spłatę odsetek. Takich przedsiębiorstw jest bardzo niewiele.

Przerwało jej pojawienie się czterech sporej wielkości steków. Talerze wypełniały po brzegi ziemniaki z wody, pieczarki, pomidory i dwa rodzaje świeżych jarzyn. Tu u nas, w Dorrington - pomyślała z podziwem - wszystko wali się na talerz, panienko. Mowy nie ma o żadnych idiotyzmach w rodzaju *nouvelle cuisine*.

Wzięli się za steki i zapadła cisza.

Nagle Peter wygłosił z pełnymi ustami uwagę, że im więcej uda im się pożyczyć, tym mniej będą musieli wziąć od instytucji



finansowych i tym większą część przedsiębiorstwa zachowają dla siebie.

- I tym więcej ryzykujecie. I tak źle, i tak niedobrze - rzekła Caroline łykając całego ziemniaka. - Pamiętajcie, trzeba płacić odsetki od pożyczki. Przedsiębiorstwa upadają właśnie z braku gotówki. W każdym razie żaden bank nie da wam pożyczki na wykup całości - banki muszą dostać miłą, gwarantującą spokojny sen część akcji.

Uznała, że na razie wystarczy. Jej grupka wyglądała na oszłomioną i wyczerpaną. Wszyscy pili nie patrząc na to, co spływa im do gardła.

- Co powiecie na milutką wizytę w fabryce? - spytała kończąc przed Peterem jarzyny i ostatnie kawałki steku. - Jeśli chcecie, żeby zganiała tu inwestorów, muszę ją obejrzeć. Nie stać mnie na wygłaszanie ogólników.

W zamieszaniu płacenia rachunków, odszukiwania płaszczy i wzywania kierowców wyrósł u jej boku Peter.

- Te obiecujące liczby są pewne? - spytał.

- Nawet jeśli podzielisz je przez dwa, będą znakomite. Sztuka w tym, żeby zawrzeć umowę. Innym będzie zależało na tym samym.

- Więc myślisz, że będziemy potrzebowali wsparcia politycznego?

- Jestem o tym przekonana. - Caroline zawsze była szczerą aż do bólu i nie zamierzała zmieniać tej strategii. - Znasz posła z sąsiedniego okręgu? Wiceministra. Nazywa się Gerry Willshaw.

- Widziałem się z nim raz.

- Wczoraj wieczorem poznałam go w pociągu. Naturalnie, nie kaptowałam go, ale powiedziałam mu, kim jestem i co robię. - Zrobiła pauzę. - Znaleźliśmy wspólny język - użyła możliwie najbardziej powściągliwego określenia.

- Przystojniaczek - rzekł Peter Burwood.

- Nie spodobał ci się?

- Niezbyt.

- Zmień zdanie, Peter. Myśl o bogactwie i władzy.  
Pokiwał poważnie głową.
  - Jestem gotów go wielbić. Możesz ściągnąć go, żeby obejrzał budowy? Najszybciej jak potrafisz?
- Objął ją ramieniem i stali zadowoleni jedno z drugiego. Czekali, aż Jaguar Petera podpłynie do drzwi.

## Rozdział szósty

Clive Fieldman siadł ciężko i nalał sobie czystą whisky, ignorując głos rozsądku, który przypominał mu, że alkohol wzmacnia depresję, zwłaszcza w kilka godzin po tym, jak dopadła człowieka. Miał za sobą zimny, wyczerpujący weekend. W sobotę przeżył przygnębiające doświadczenie: przejechał sto osiemdziesiąt mil tam i z powrotem, aby się spotkać ze swoim starym kumplem z LSE, i okazało się, że Alan ożenił się z nudną kobietą, której małżeństwo nie odmieniło ani na jotę. W niedzielę odebrał dwójkę dzieci z domu byłej żony i dzień nie potoczył się gładko. Małżeństwo z Lindą rozpadło się z wielu przyczyn; przetrócił żonę i niebawem stał się nieszczęśliwy. Usiłował pozbyć się uczucia dotkliwego niezadowolenia pracując ciężko i długo, czego ukoronowaniem był stołek szefa biura, i uwikłał się w pozbawiony przyszłości romans z jedną z sekretarek, sprytną dwudziestoosmiolatką. To było gwoździem do trumny rozkładającego się małżeństwa. Żonie nie pozostawało nic innego, jak znaleźć sobie kogoś - rozwiązanie, które Clive częściowo akceptował. Był wtedy wściekły na siebie. Zagubił się. Okazało się, że nie chce się ożenić ze swoją młodą przyjaciółką, a i ona wcale nie paliła się do związku z mężczyzną, na którym ciążyły obowiązki wychowywania dwójki dzieci, za czym szło uszczuplenie dochodów. Linda znalazła sobie dobrze opłacanego biegłego księgowego i szybko, rok po roku, obdarzyła go dwójką potomstwa. W tej sytuacji bardzo chętnie godziła się na to, by Clive zabierał dzieci, gdy tylko miał ochotę.

Zawsze starał się znaleźć dla nich czas, z przykrością uświadamiając sobie, że stracili nie tylko ojca, ale w dużej części także matkę, która musiała zajmować się dwójką maluchów i ich ojcem. Zdarzały się niedziele - i ta do nich należała - gdy dzieci były nieszczęśliwe i niegrzeczne, a on miał wrażenie, że zawiódł zarówno jako ojciec, jak i człowiek.

Na szczęście jutro przypada poniedziałek i Clive Fieldman będzie potrzebny, wręcz nieodzowny przez cały dzień, a Lucy Friern wróci do Londynu. Bardzo tęsknił za rozmową z nią, ale nie mógł zatelefonować do Dorrington. To jedno z ograniczeń, które od początku narzuciła ich romansowi. Do londyńskiego mieszkania Friernów mógł dzwonić jedynie w bardzo precyzyjnie określonych okolicznościach. Wstał nalać sobie kolejną whisky. Odezwwał się telefon i Clive niechętnie podniósł słuchawkę.

- Kochanie? Masz wciąż dzieci?

- Lucy! Nie, już ich nie ma. Gdzie jesteś?

- W Londynie. Matt wyjechał na parę dni, więc odwiozłam chłopców do szkoły i przyjechałam. Co powiesz na obiad?

- Jadłem. U McDonalda... jakieś dwie godziny temu. - Uśmiechał się błogo. Depresja poszła precz. - Ale przyjadę i będę patrzył na ciebie, jak jesz, chyba że wolisz tu wpaść. Nie? Już jestem u ciebie.

Ożywiony wrzucił do walizki garnitur, czystą koszulę, krawat, piżamę, saszetkę z kosmetykami i pogwizdując zbiegł do auta. Przejechał ulicami Londynu, zadzwonił dwa razy. To był umówiony sygnał. Lucy otworzyła drzwi przytrzymując poły frotowego szlafroka. Zamknął drzwi i przyciągnął ją do siebie. Szlafrok się rozchylił.

- Jadłaś kolację?

- Nie mam apetytu... przynajmniej nie na jedzenie. - Rozpięła mu pasek, zaczęła manipulować przy zamku błyskawicznym.

- Chryste. - Wsunął dłoń między pośladki Lucy, pochylił głowę i zaczął ssać sutkę. - Zaczekaj - powiedział odrywając się od niej. - Chodźmy do łóżka. Spodnie mi spadają.

- I o to chodzi. - Pieściła jądra.

Kopnięciami pozbył się butów, jedną ręką ściągnął spodnie i majtki, drugą nadal tarł Lucy. Uwolniła się z jego uścisku, ukłękła na podłodze, wzięła w usta członek, podczas gdy Clive zdjął koszulę i zsunął jej z ramion szlafrok.

- Spuszczę się, jak będziesz tak dalej robić - powiedział odciągając ją za włosy. - I chcę być w tobie.

Cofnęła usta. Ukłękł, położył ją na dywanie, podciągnął jej nogi w górę.

- Chcę teraz - ponagliła go, zaczerwieniona, z szeroko otwartymi oczami.

Nie odrywając wzroku od twarzy Lucy, wsunął dłoń między jej uda. Przyłgnęła do niego.

- Och, jesteś cudowna. Cała wilgotna.

Wszedł w nią łagodnie. Poruszała się swobodnie we wspólnym rytmie, a on czujnie ją obserwował, aż przegięła głowę w tył. Poczł konwulsyjny uścisk wokół członka i sam doszedł do końca, tak wyzwolony i swobodny, że w oczach stanęły mu łzy rozkoszy.

- To było miłe. - Polizała go po ramieniu.

- Tak. Czuję się naprawdę podle, kiedy zadzwoniłaś.

- Nie mogłam wcześniej. Telefon w samochodzie jest spieprzony, więc musiałam odczekać do przyjazdu.

Clive, który zgodnie z najlepszą tradycją służby cywilnej używał pięcioletniego Volkswagena i nie mógł nawet marzyć o telefonie komórkowym, uśmiechnął się do Lucy z wyrozumiałą czułością.

- Zawsze odpowiadał mi związek z dziewczyną, która ma telefon w aucie.

- To bardzo pożyteczne - odparła usprawiedliwiająco. Zrozumiała, że z niej żartuje, i szarpnęła go za włosy. - Odstawiasz ubogiego kochanka bogatej pani?

- Zgadłaś, moja lady. - Pocałował ją, przyniósł z łazienki chusteczki higieniczne i podał jej garść. Przyglądała się, jak owijał dla zabawy chusteczkę wokół członka; zawsze tak robił.

- Przepraszam. Powinniśmy wyczyścić dywan.

Zerknęła na mokrą plamę i roześmiała się radośnie na widok jego miny i gęstwiny czarnych kędziorów nad prostą linią nosa. Sięgnął po okulary, których pozbył się w jakimś momencie, i pomyślała z uczuciem, że jest jedynym przystojnym mężczyzną całkowicie wyzbytym afektacji; nie widział dobrze bez szkieł, więc ich używał, nawet jeśli jedyną rzeczą którą poza nimi miał na sobie, była para skarpetek. Uśmiechnął się do niej pytająco.

- Myślałam, jaka byłam głupia w młodości - rzekła.

Bez trudu odczytał jej myśli.

- Aha, chodzi ci o to, że nigdy nie dałaś mi zielonego światła, kiedy wszyscy mieliśmy dwadzieścia dwa lata, a ja byłem sprężony i gotowy.

- Byłam idiotką, ot co. Ale Caroline nie różniła się ode mnie.

- Ona też mi się podobała, ale łydki trzęsły mi się na jej widok. Tobie wystarczyło kiwnąć palcem i już mogłaś mnie mieć.

Szybko pozbierał garderobę. Lucy wyciągnęła rękę i pomógł jej wstać. Patrzyła na niego czule i z satysfakcją. Wodą z syfonu spryskał wyraźną plamę na dywanie, ruchy miał zręczne, oszczędne. Wyprostował się, pocałował Lucy. Był zaledwie o cal wyższy, ich oczy znajdowały się na tym samym poziomie. Objęła go. Przyjemnie dotykało się szczupłego, twardego ciała po miękkiej masywności Matta.

- Teraz, kiedy posiadasz me kształtne ciało, mogę zjeść? - Włożył majtki i dżinsy. - Te Big Macki zniknęły we mnie bez śladu. Nie zwracaj sobie mną głowy, sam przetrząsnę spiżarnię.

- Nie, lubię cię karmić. Może być omlet?

Przygotował nakrycia. Znał tę kuchnię jak swoją własną. Od czasu, do czasu obejmował Lucy i gładził jej piersi, podczas gdy ona wyjmowała jajka, sól, pieprz i zioła. Zjedli żarłocznie i osuszyli pół butelki wysmienitego Chablis.

Za wiele sobie pozwalam - pomyślał atawistycznie. Nie dość, że rzną gościowi żonę, to jeszcze wypijam najlepsze Chablis.

- Muszę przynieść butelkę - rzekł. Jak zawsze, gdy się koncentrował, głęboka zmarszczka między brwiami stała się jeszcze wyraźniejsza. - Chyba zawsze opróżnimy twoje zapasy.

Pewnie Lucy znając jego myśli zadrwiłaby, że to robociarski punkt widzenia, niemniej jednak zapamiętał sobie, by następnym razem przynieść coś do picia.

- Zostaję na noc?
- Bridget przychodzi jutro, ale nie przed dziewiątą.
- Mam konferencję o wpół do dziewiątej, więc już mnie nie będzie. W porządku?
- Naturalnie. Lubię, kiedy jesteś rano.

Siedział zmęczony i zadowolony z siebie, a ona cicho poruszała się po kuchni. W takich chwilach zastanawiał się, czy zdołałby ją przekonać do porzucenia męża i wspólnego zamieszkania, ale jak zawsze trzeźwo myśląc, zdawał sobie sprawę, że miałyby trudności w dostosowaniu się do standardu życiowego podsekretarza w Służbie Państwowej Jej Królewskiej Mości. Z ciekawości zajrzał do bilansu firmy i nie był zaskoczony tym, że pewien dyrektor, którym musiał być sir Matthew Friern, zarabia ponad sto pięćdziesiąt tysięcy funtów rocznie, nie wspominając o akcjach i opcjach. Sam Clive miał trzydzieści tysięcy rocznie, z czego musiał łożyć na dzieci, spłacać mocno obciążoną hipotekę i utrzymywać pięcioletniego Volkswagena. Na żonę zostawało niewiele. Jak się spokojnie zastanowić, to właściwie nie mógł powtórnie się ożenić, chyba że znalazłby kobietę dokładającą nieco do rodzinnej kasy. Rzecz jasna, mógł przyjąć jedną z posad oferowanych przez sektor prywatny, ale nie był pewny, czy nawet wtedy zaspokoiłby wymagania Lucy. Zawsze narzekała, że Matthew jest kutwą, ale Clive'owi trudno było się dopatrzeć jakichś objawów skąpstwa. W kuchennych szafkach londyńskiego mieszkania stały drogie alkohole, które otwierało się swobodnie, jak butelki z mlekiem, a dobrze opłacana gosposia zjawiała się każdego ranka. Pewnego dnia zaproponuje pięknej, czarującej Lucy, by dzieliła z nim swój los, ale przez skórę czuł, że nie ma co liczyć na pozytywną odpowiedź.

Usiadła po drugiej stronie stołu, stawiając przed Clive'em filiżankę kawy. Poglądził Lucy po policzku, lecz myślami była daleko.

- Clive. Słuchaj. Zamierzamy zaprosić tu na obiad Johna Winstanleya. Chodzi tylko o to, że Matt chce z nim porozmawiać o Prior Building Systems.

- Nie może po prostu złożyć mu wizyty w biurze?

- Mattowi zależy na nieformalnej rozmowie, bez udziału pracowników służby cywilnej. Kochanie, mówię ci o tym dlatego, żebyś nie myślał, że coś robię po kryjomu.

Pokiwał głową z urazą, ale miał zbyt duże doświadczenie, żeby czuć się zaskoczony.

- Z czym Matt chce wyjechać?

- Dokładnie nie wiem. - Spojrzała na niego z przesadną szczerością, szeroko otwierając oczy, jak zwykle gdy częstowała go niewinnym kłamstwem, i zasmucił się.

- Chce zyskać uprzywilejowaną pozycję przy zakupie Prior Systems. W innym wypadku po prostu napisałby do ministerstwa, tak jak inni, którym zależy na tym zakupie.

- Och, jest ich tak dużo?

- Paru.

Obserwował ją spod rzęs.

- Chyba masz rację - rzekła krótko, dolewając sobie kawy. - Ale na tym w gruncie rzeczy polega załatwianie interesów. Kiedy tatuś kupował Autoparts od Allied, spotkał się z prezesem rady nadzorczej, uzgodnił cenę i dostał sześciotygodniową opcję zakupu na rozeznanie, czy transakcja ma ręce i nogi. Miała... z tym że tatuś zapłacił troszkę mniej, niż początkowo ustalano, bo wypatrzył kilka felerów - ale Allied było zadowolone. I jego akcjonariusze też.

Zawsze zapominam, ile ta piękna, seksowna istota wie o biznesie. Jest przecież córką jednego człowieka sukcesu i żoną drugiego - pomyślał ponuro Clive.

- Mój minister ma zapewne nieco bardziej wymagających akcjonariuszy niż prezes Allied. Musi być absolutnie przekonany, że zadbał o interesy podatników najlepiej, jak się dało.



- To oznacza najwyższą cenę, prawda? No, to dostanie od Matta dobrą cenę. Na pewno... Matt może zminimalizować koszty stałe i nie musi mocno się zapożyczać, może zapłacić akcjami.

- Kochanie, NEB będzie chciała gotówki. Tej partii zależy na zmniejszeniu deficytu budżetowego, więc liczy się żywy szmal.

- A jakże. - Lucy uczyła się tego i Clive zdał sobie sprawę, że realizuje starannie opracowany plan. - Jeśli zależy im na gotówce, mogą ją dostać. Ale NEB chce bardzo szybko sprzedać wszystko?

- Tak. - Przypatrywał się jej z uwagą.

- No, to jak sądzę, Matt może zaproponować kupno wszystkich przedsiębiorstw budowlanych, jeśli to coś da. Kupno łączne.

Clive nagle wstał od stołu i przed nosem wyrosła mu reprodukcja „Kobiet na targu” Pissarra, którą w normalnych okolicznościach oglądał z przyjemnością. Ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w łagodne krzywizny.

- Przecież chyba nie stać go na kupno całości?

- No cóż, niewykluczone, że będzie zmuszony sprzedać jedno przedsiębiorstwo, które w gruncie rzeczy nie jest mu wcale potrzebne - Carr. - Wkładała talerze do zmywarki i nie widział jej twarzy. - I mówi, że na dwóch nikomu w gruncie rzeczy nie zależy.

Clive przysiadł na brzegu stołu i z uwagą przypatrywał się swojej uwielbianej kochance, gdy pochylona sprzątała resztki z talerza.

- Czy jest gotowy je przejąć i zrobić porządek? Zamknąć albo sprzedać?

Wyprostowała się.

- Jego zdaniem NEB mogłaby zamknąć to od kuchni... nie pamiętam, jak się nazywa.

- Davecat.

- Mniejsza z tym.

- Mhm. - Clive wstał i włożył swój kieliszek do zmywarki. - Czy Matt rozmawiał już z moim ministrem?

- Dopiero zaczął się nad tym zastanawiać. Dlatego przygotowuję obiad. - Odwróciła się i zarzuciła mu ręce na szyję. - Nie bądź taki naburmuszony. Mówię ci, żebyś wiedział o tym przed ministrem. Wtedy dojdzie do wniosku, że jesteś bardzo sprytny.

I będę mógł go zmiękczyć - pomyślał z rezygnacją Clive i spojrzał surowo na ukochaną.

- To dlatego mnie tu dziś ściągnęłaś?

- Och, Clive, nie bądź głuptasem. - Rozgniewała się szczerze. - Chciałam się z tobą spotkać. Przystaniesz wreszcie być taki naburmuszony?

- Nie jestem naburmuszony - powiedział usprawiedliwiająco, ale wrodzona szczerłość wzięła w nim górę. - Tak, jestem. Ta partia ma silną tendencję do robienia interesów ze swoimi kumplami. Wiem, wiem, tamta robi interesy ze swoimi kumplami ze związków. Chodzi mi po prostu o bezstronny rząd i transakcję, na której podatnicy uczciwie zarobią. - Z rozdrażnieniem wyswobodził się z jej objęć, wypił kawę nie czując smaku.

Stała za nim, objęła, wtuliła podbródek w jego bark. Clive dał się ugłaskać.

- Dlaczego tobie każe zająć się obiadem? - spytał nie odwracając się. - Przecież poznał Winstanleya osobiście. Przedstawiłem mu go.

- Kiedy byłeś żonaty, kto się zajmował przygotowywaniem przyjęć?

- Nie żyliśmy dokładnie na takiej stopie, lady Friern.

- Och, na litość boską, nie rób z siebie prostaczka. Kto zapraszał członków waszego skromnego kółka na szklanekę domowego piwa?

- Tak, masz rację.

- Lepiej, że ja ci to powiedziałam?

- Tak. Lepiej. I przygotowuję ministra, żeby dał sobie radę z pochlebstwami Matta. I twoimi.

- Spotkałam się z nim raz. Prawdę mówiąc, zrobiłam na nim całkiem duże wrażenie.

Clive uwolnił się z uścisku Lucy, odwrócił ją płynnym ruchem, przyparł do lodówki i ucałował.

- Grzeszna z ciebie kobieta.
- Takie ci się podobają.
- Tu masz całkowitą rację. Tym razem w łóżku?

**A**ndy? Matt Friern. Przepraszam, że zawracam ci głowę w niedzielę wieczór. Jestem teraz w Dorrington, ale jutro lecę prosto do Dusseldorfu. Chciałem pomówić z tobą o Prior Systems.

Andy naciągnął do maksimum przewód telefonu, wyjął z szafki szklankę i nalał sobie szczerze whisky. Dał znać żonie, iż rozmowa zabierze trochę czasu, i pochylił się całując pięcioletniego syna, który został odeskortowany na górę. Mały ssał kciuk, a na drugiej ręce miał pajacyka, z którym nie chciał się rozstać nawet wtedy, gdy lalka prosiła się o wypranie.

- Tak, Matt - zachęcił rozmówcę do przedstawienia sprawy.
- Nowy plan. Myślałem o tym, co Winstanley powiedział na tej konferencji o szybkiej potrzebie prywatyzacji. Dlaczego by nie zaproponować NEB kupna wszystkich pięciu przedsiębiorstw budowlanych?

Andy sięgnął po notatnik i zaczął wypisywać liczby.

- Nie zrobiliśmy wyceny, Matt, bo nas o to nie prosiłeś, ale to musi być... jakieś sto pięćdziesiąt milionów funtów.
- Ten rząd.

Andy wpatrywał się w notatnik. Nagle opuścił go niedzielno-wieczorny letarg.

- Chciałbym pogadać z twoimi brokerami. W grę wchodzi wypuszczenie nowych akcji.
- Niekoniecznie, jeśli dostaniemy dwa kiepskie przedsiębiorstwa za darmo, sprzedamy je albo zamkniemy i jeśli najszybciej jak się da sprzedamy Carr i SLG. Moglibyśmy wziąć pożyczki.

Nie tak hop-siup - pomyślał Andy analizując błyskawicznie sprawę. Żaden bank nie będzie się palił do udzielenia większej pożyczki, niż pozwalają na to ogólne zasady takich operacji, jedynie opierając się na wierze, iż pożyczkobiorca - nawet gdyby

było nim dobre przedsiębiorstwo - jakoś wyprzeda część świeżego nabytku. Wszystkie banki już to przeszły: udzielenie pożyczki z wizją natychmiastowej sprzedaży części zakupu, a potem niemożność ściągnięcia pożyczki, bo ujawnił się jakiś feler albo rynek się wypiął, albo jedno i drugie. Ale Friern było dobrym przedsiębiorstwem o zadowalającej płynności finansowej i dałoby się znaleźć bank - lub dwa - chętne do udzielenia pożyczki. Za dobrą cenę. Walzheims dostanie niezgorsze honorarium i zlecenie sprzedaży. Bardzo miła działka bankowego biznesu.

- Tak - rzekł. - Jutro porozmawiam z moimi kolegami od pożyczek, dowiem się, co oni na to. Naturalnie, będą musieli poszukać zabezpieczenia.

- Dobrze. Więc zabierz się do tego.

Andy wpatrywał się w obliczenia, które wypełniały jego notatnik, i niechętnie uznał, że należy powiedzieć kilka słów.

- Matt... Wyobrażam sobie, że moglibyśmy wspólnie zabezpieczyć tę transakcję - pewność będę miał dopiero jutro - ale to bardzo ryzykowna strategia dla twojej firmy. Jeśli się przejeździesz, zostaniesz w długach z dwoma przedsiębiorstwami, na których ci nie zależy, i dwoma śmieciami. Zapewne warto rozbić się o Prior. Zdaję sobie sprawę, że twoim zdaniem to ważny nabytek. Po zobaczeniu tych budów w Dorrington rozumiem, że bardzo by ci się przydało. Ale może powinieneś poszukać bardziej bezpośredniej drogi?

- Jeśli ją znajdziesz, wal śmiało, Andy. Ale Prior prędko będzie dla nas bardzo ważne. Ważniejsze, niż to sobie wyobrażasz.

- Pod którąś budową biegnie żyła złota? - spytał Andy z nadzieją, że zdołał ukryć powątpiewanie w głosie.

- Można tak rzec. Muszę z tobą o tym pogadać jak trzeba, nie przez telefon, ale na razie niech wystarczy ci wiadomość, że stosunki z radą miejską w Dorrington na pewno mielibyśmy znacznie lepsze niż Peter Burwood. Tam gdzie chodzi o budownictwo kwaterunkowe, wszystko sprowadza się do odpowiednich kontaktów, no nie?

- Możesz to jakoś wycenić, Matt? Potrafiłbyś wyznaczyć jakąś górną granicę?

- To jak nie byłoby minimum sześć milionów funtów rocznie.

Raczej osiem - natychmiast uznał Andy na podstawie długoletniej znajomości klientów, którzy nigdy nie ujawniali doradcom finansowym pełni możliwości. W każdym razie nie od razu.

Ale to podwoiłoby zysk handlowy z bieżącego roku i oznaczałoby prawie to samo w roku następnym. W ten sposób Matthew informował Andy'ego, że Prior było warte dla Friern o wiele więcej niż sześćdziesiąt milionów funtów. Rzecz jasna, było tu wiele „ale”. I żaden rozsądny inwestor nie brałby pod uwagę kontaktów Frierna z radą miejską; tego nie dało się wyliczyć - mierzyło się jedynie w „skali nadziei”. Ale zapowiadał się całkiem przyzwoity interes. Warto było się wziąć porządnie za Prior. Andy, zamiast podjąć należne proceduralne zabiegi na rzecz szacownego klienta, poczuł przypływ adrenaliny.

- Skąd ten dodatkowy dochód, Matt? - spytał świadomy, że milczał nieco za długo.

- Część z renegotjacji starych umów. Reszta z naszych kontraktów, które gwarantują nam przyzwoitą cenę za następne budowy.

Andy poprawił się w fotelu; zachciało mu się sikać - niezbity dowód, że wszystkie ważniejsze organy się ocknęły.

- Kiedy wrócisz, musimy pogadać. Czy jest możliwe, że inni - kierownictwo lub pozostali chętni - dostrzegą te zalety?

- Wątpię. Ujmijmy to tak: nie mieli do czynienia z ludźmi w radzie, a już na pewno nie dłużej ich znają niż ja.

Więc jednak pod tymi odległymi wzgórzami kryje się złoto - pomyślał Andy. To rzuciło nowe światło na historię Prior Building Systems. Nic dziwnego, że podpisało kontrakty przynoszące straty; stwierdziło, że musi żądać bardzo niskiej zapłaty, by otrzymać zlecenie, tak niskiej, że nie dało się go zignorować lub pominąć, mimo wielu kontaktów Frierna z radnymi, którzy chcieli jego zatrudnić. I ten gambit zawiódł; przy żądanej zapłacie Prior nie osiągało zysków, weszło w stan upadłości i przejęła je NEB. Ale gdyby kupił je Friern, jego kontakty umożliwiłyby renegotjację wysokości starych umów i uzyskanie dobrych cen

na nowe. Naturalnie, ta sama droga otwierała się przed kierownictwem, ale o ile Andy sobie przypominał, ci goście byli młodszy i nie mieli zaplecza Frierna ani jego... hm... dojść na tym terenie. Spojrzał na notatnik. Napisał: „Rada miejska, kontakty, KONTRAKTY”, jedno pod drugim. Oderwał kartkę, zmiął i celnie cisnął do kosza na śmieci w przeciwległym kącie pokoju. W tej sprawie należy zachować daleko idącą ostrożność.

- Zapowiada się, że będziemy musieli wiele ci zaufać w tej sprawie - zaczął ostrożnie. - Trudno tu o ocenę ilościową lub weryfikację. W dużej mierze będziemy polegać na twoim sądzie.

- A będziecie. - W głosie Matthew zabrzmiało ponure rozbawienie. - Nie przejmuj się, powiem wam, na ile nas stać, nie zdradzając za wiele, dlaczego tak jest. Skupcie się tylko na znalezieniu forsy.

Andy skrzywił się; żaden bankier nie lubił, kiedy traktowano go jak tragarza od przynoszenia skrzyń z pieniędzmi, bo wtedy trudno było o najwyższe stawki, od których zależał byt jego firmy, premie i status danego urzędnika.

- Mógłbym się przydać w sferze politycznej - zaproponował.

- Jak wiesz, utrzymuję kontakty z Clive'em Fieldmanem, a to zdecydowanie jego działka. Będzie mu bardzo zależało na tej sprzedaży, to pokazowy kawałek prywatyzacji.

- Lucy też go zna - sucho rzekł Matthew. - Powiedziałem jej, że wolę już rozmawiać z dyrygentem niż gościem z orkiestry. Staramy się zaprosić Winstanleya do nas na obiad. Chodził do szkoły z bratem Lucy.

- Rzekłbym, iż bardzo trudno ocenić, kto w tej sprawie nadaje ton - zaprotestował Andy. - Sam wiesz, że służba cywilna ma ogromne wpływy, jest w stanie staranować każdą inicjatywę, która się jej nie spodoba. Przydałoby się mieć Clive'a po swojej stronie.

- Więc pomów z nim. - Matt był wyraźnie nie przekonany, ale gotowy zaakceptować zaoferowaną pomoc. I Andrew napisał na dziewiczo czystej stronie: CLIVE FIELDMAN.

Pogawędzili przez chwilę. Matt najwyraźniej nie miał nic lepszego do roboty w Dorrington w ten niedzielny wieczór, co

sprawiło, że Andrew po odłożeniu słuchawki zaczął się zastanawiać, gdzie przebywa piękna Lucy. Nalał sobie drugiego drinka i myślał o niej, co często mu się zdarzało od tamtego przelotnego, tygodniowego romansu, tuż przed jej ślubem z Matthew.

Wtedy Lucy była już po zaręczynach - do ślubu zostało zaledwie dwa miesiące - i formalnie skończyła aplikację u Smitha Butlera. Andy, pracował do późna. Usłyszawszy na schodach hałas, wstał sprawdzić, kto rozrabia w biurze. Natknął się na Lucy, zaróżowioną i chwiejącą się na nogach.

- Andy... - rzekła mrużąc oczy. Była wstawiona. - Bawiłam się niedaleko na przyjęciu i pomyślałam, że zabiorę część rzeczy. Wzięłam samochód.

- Matthew też wzięłaś?

- Nie. A powinnam?

- Chodziło mi tylko o to, czy możesz w tym stanie bezpiecznie prowadzić - rzekł nie reagując na zaczepkę. Miał siostry, one go zahartowały. - Przyjęcie się udało?

- Nie - odparła. Nagle lzy stanęły jej w oczach.

- Masz ochotę na kawę? Zrobię ci kawę, a potem pomogę zebrać rzeczy.

Tylko pokiwała głową. Gdy wrócił, łkała siedząc na stopniach, śliczna i bezradna. Teraz uśmiechnął się do siebie smutno, wspominając, jak serce wrywało mu się do niej. Zwykł uważać to powiedzenie za metaforę, ale wtedy było fizycznym faktem. Ostrożnie usiadł w odległości trzech stóp i podał jej kawę, którą wypila nie przestając cicho szlochać.

- Mogę coś zrobić?

- Nie, nic. Ale i tak dziękuję ci, Andy. - Lucy wysiąkała nos i posłała mu przepaszający uśmiešek.

Poczuł, jak jakaś nieprzeparta siła ciągnie go do niej. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, nadal pociągając nosem, i bezwolnie wyciągnął ku niej rękę, zapominając absolutnie, że jest zaręczona, a sam ma dziewczynę, z którą od dawna chodzi.

Odwiózł ją do domu samochodem, zostawiwszy w pracy

większość rzeczy, po które przyjechała, i padli razem do łóżka. Nastąpił szalony tydzień, podczas którego dręczona poczuciem winy Lucy zrywała i natychmiast wznawiała namiętne stosunki, tydzień, podczas którego stwierdzał, że jest w biurze nie mając pojęcia, jak się w nim znalazł i co ma robić. Nawet po tak długim czasie poszczególne wydarzenia tamtego okresu wynurzały się z jego pamięci świeże jak sprzed godziny: Lucy kiwająca mu na pożegnanie z progu mieszkania, ubrana tylko w przezroczystą nocną koszulę; Lucy decydująca, że nie chce go wypuścić do pracy, odciągająca od drzwi i spuszczająca suwak rozporka. I myśląc o tym, co wydarzyło się szesnaście lat temu, ujrzał jak na z wolna wywołującej się fotografii Caroline Henriques i Clive'a Fieldmana zwracających się do niego po odbiór umowy, którą miał przygotować, i mieszaną grozy oraz frajdy, gdy zdali sobie sprawę, że jej nawet nie tknął. Z bólem wspominał pełne wstydu, nieudane poszukiwania właściwego precedensu, które prowadził sztywny od niewyspania oraz lęku, i urągliwą swobodę, z jaką Caroline znalazła precedens na tyle bliski, że można było się nim posłużyć, i jak wprowadziła szybko kilka poprawek tworząc przyzwoitą pierwszą wersję. A Clive zakreślił się koło maszyny, która została do bardzo późna - jasne, w tamtych czasach nie było pecetów. Wtedy Andy czuł do nich niejasną wdzięczność, ale poza Lucy reszta wydawała się nierealna. A osiem dni później wszystko się skończyło, bo Matthew wrócił z tego Bóg-wie-skąd, gdzie się podziewał, i Lucy ani spojrzawszy za siebie zdecydowała, że to jednak Friern jest dla niej odpowiednim mężczyzną, i odfrunęła w korowodzie przymiarek u krawcowej, zaproszeń i przyjęć zaręczynowych. Nigdy nie udało mu się zdobyć na podziękowanie Caroline i Clive'owi. Wrócił do swojej dziewczyny, o której istnieniu całkowicie zapomniał przy Lucy, i nigdy nie przyznał się jej ani komukolwiek innemu do tamtej przygody; bał się, że wszyscy słusznie uznają go za durnia. Ani on, ani Lucy nigdy nie wrócili do tego tygodnia; pod pretekstem choroby nie przyszedł na ślub. Dopiero kiedy poznał Matthew, dziesięć lat później, gdy piął się po drabinie sukcesu u Walzheimsa, ważniejsze stało się pozyskanie szacownego,



aktywnego klienta niż unikanie kontaktu z Lucy Friern de domo Lindfield.

- Okropnie się zamyśliłeś. Nie czas do łóżka? Dzieci już zasnęły.

Przez chwilę wpatrywał się nie widzącymi oczami w swoją Emmę - śliczną, smukłą, jasnowłosą i godną zaufania. Ona nigdy nie rzuciłaby jego ani kogokolwiek innego po tygodniu najgorętszego, przepełnionego uczuciem romansu, lecz też nie potrafiła sprawić jednym rzuconym z ukosa spojrzeniem, że serce mu tajało, do czego zdolna była Lucy Lindfield.

- O co chodzi?

- Przepraszam. Zamyśliłem się. Ta transakcja Frierna robi się coraz ciekawsza. I trudniejsza.

Położył dłoń na ramieniu żony i pocałował ją, zadowolony, że nie jest Lucy Friern. Idąc do sypialni przystanęli ciesząc się widokiem dzieci, które spały tak głęboko, że tylko ledwo zauważalne falowanie kółderek wskazywało, iż maleństwa żyją.

**M**inister budownictwa mieszkaniowego wszedł do swojego małego zimnego mieszkania w południowym Londynie. Spieszył się, bo słyszał dzwoniący telefon. O tej porze w niedzielę to będzie kolega minister, który chce porozmawiać nie mając na karku, pracowników służby cywilnej.

Podniósł słuchawkę.

- John Winstanley.

- Tu Gerry Willshaw, John. Przepraszam cię, nie za późno na telefon?

- Nie, nie, Gerry - zapewnił rozmówcę zastanawiając się, co, na Boga, wschodząca gwiazda Ministerstwa Transportu chce omówić z nim prywatnie. Nową drogę, która ma przebiec przez sam środek budowy Ministerstwa Środowiska? - Właśnie wróciłem. Zawsze wsiadam do tego siódma trzydzieści.

- W niedzielne popołudnie marzy mi się, żeby mój okręg był trochę bliżej Londynu - rzekł ciepło Gerry. - Reprezentowanie

wyborców to przyjemność, ale podróż zabiera mi trzy i pół godziny, a pociąg zawsze się spóźnia.

- No, kto jak kto, ale ty powinienesz to załatwić, Gerry. Inaczej po co siedzieć w Ministerstwie Transportu?

- Chyba nie muszę tego tobie mówić, John, że minister chcąc coś załatwić ma związane ręce, jeśli jego sekretarz stanu nie jest tym zainteresowany. A my tu, w Ministerstwie Transportu, bynajmniej nie jesteśmy zainteresowani kolejną. Biedny Jim ma kręcka na punkcie wybudowana ogromniej sieci dróg i znalezienia na to funduszy. Jak ci leci w mieszkaniówce?

- Chyba trochę lepiej niż tobie z kolejami. Mój szef jest trochę zainteresowany tym, co robię. Widzę to już po sześciu tygodniach.

Winstanley przerwał, żalując, iż zwierzył się z czegośkolwiek Gerry'emu Willshawowi, który piął się bardzo szybko i o którym mówiono, że czekają go dalsze awanse. Willshaw później wszedł do Izby niż Winstanley, za drugim podejściem, w 1974 roku, przełamując ogólny trend, i stał się niezbędny dla Partii Konserwatywnej, gdy była w opozycji; fotogeniczny, z natury towarzyski i niez mordowany, znał wszystkich, był wszędzie podczas tych pięciu lat i został nagrodzony posadą ministra, nie musiał jak Winstanley terminować jako zastępca sekretarza parlamentarnego, zajmować się furą niewdzięcznych spraw. Nie ma potrzeby doręczać facetowi kolejnych atutów, bez względu na jego potrzeby; jeśli dostanie swój fotel w gabinecie, wyłduje stopień wyżej od ludzi z dłuższym stażem w Izbie i partii. Ale niekoniecznie. Ministerstwo Transportu było grobem dla wybitniejszych niż Gerry Willshaw i można było zaufać losowi, iż postara się o to kolejny raz. To prawdziwe madejowe łoże - pomyślał błogo Winstanley, wciąż się zastanawiając, dlaczego facet dzwoni.

- Słuchaj, John, każesz NEB wziąć się do sprzedaży przedsiębiorstwa o nazwie Prior Building Systems, zgadza się? Nie, to nie mój okręg, ale tuż za miedzą, działka Alberta Derveya. Tak, on sprzeciwia się jakiegokolwiek sprzedaży, przynajmniej tak twierdzi miejscowa prasa. Nie gadałem dużo z facetem. Z mojej lokalnej gazety wynika, że zastanawiasz się nad wypuszczeniem akcji firmy na giełdę.

- Coś takiego? - Ta wiadomość obudziła czujność Winstanleya. - No cóż, nie rozmawiałem jeszcze z NEB, ale zapewne jest raczej skłonna pozbyć się tej firmy sprzedając ją komuś z branży. Masz przy sobie egzemplarz tej gazety, Gerry? Byłbym zobowiązany. Spodziewam się interpelacji w tej sprawie. Każ swojemu biuru mi to przesłać.

- Zrobię to zaraz jutro rano - obiecał solennie Gerry Willshaw. Zawahał się i John Winstanley czekał na odsłonięcie kart. - John, z moich lokalnych źródeł informacji wynika, że kierownictwo zmierza do wysunięcia oferty kupna. Nie uważasz, że to całkiem po naszej myśli? Posłowie bardzo optują za akcjonariatem pracowniczym, a przecież pracownicy nie mają wiele szans na akcje, jeśli NEB zdecyduje się sprzedać to kupcowi z branży.

Kolega minister myślał o Gerrym Willshawie i jego trzytyśięcnej większości wyborczej.

- Czy kierownictwo to twój wyborcy, Gerry?

- Całkiem niewykluczone. Jeszcze ich nie poznałem. Wielu pracowników głosuje w moim okręgu i jeśli dostaną akcje, to zapewnimy sobie parę głosów więcej. Na Boga, to się nam przyda w tym zakątku.

Właściwa uwaga - przyznał w myślach Winstanley. Im dalej na północ, tym bardziej ludność była skłonna trzymać się Partii Pracy, mimo braku osiągnięć tej ostatniej. Tylko dynamiczne działanie i więcej charyzmatycznych przywódców, takich jak Gerry Willshaw, odbierze głosy laburzystom w regionie i należy zrobić to w takim stylu, by trend się utrwalił. Równocześnie Winstanleyowi ani się śniło wspomagać politycznie tego zadzierającego nosa ekswojaka. Wszystkie zasługi przypadną ministrowi, który pobłogosławi transakcję. Willshaw mógł spokojnie liczyć na to, że on nim będzie.

- Nadal jesteśmy w lesie, Gerry - rzekł ostrożnie. - Oczywiście musimy zadbać o to, by interes załatwiono z największą korzyścią dla podatnika.

- Patrząc z nieco dłuższej perspektywy, to niekoniecznie musi pokrywać się z najwyższą ceną.

Nie musisz mi tego mówić - pomyślał z irytacją Winstanley.

- Miejscowa firma jest zainteresowana - odparł uprzejmie. - Friern, spory rodzinny biznes, prowadzony przez sir Matthew Frierna. Znasz go?

- Tak. Jest z mojego okręgu. Nie miałem pojęcia, że się o to stara.

- O ile wiem, bardzo mu na tym zależy. Moi doradcy twierdzą, że każdy kupiec z branży będzie w stanie wyłożyć więcej niż kierownictwo. I oczywiście, Gerry, musimy rozważyć, kto najlepiej zajmie się Prior Systems, a prawdę mówiąc - wszystkimi pięcioma przedsiębiorstwami. Zrobilibyśmy z siebie durniów, gdybyśmy oddali firmę kierownictwu - czy komuś innemu - a ona przed następnymi wyborami ogłosiłaby upadłość.

- Ależ oczywiście. - Gerry Willshaw poparł to natychmiast i całym sercem.

Winstanley wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu, ale Willshaw nie dał się łatwo zbyć.

- Byłoby równie potworne, gdyby tym nieborakom groziło drugi raz w ciągu paru lat znalezienie się na bruku.

Winstanley przytaknął, lekko zagryzając zęby. To właśnie ten uparcie demonstrowany wzgląd na ludzi zamienił Willshawa z nie znanego ekswojskowego, walczącego o wysadzenie z ciepłego fotela laburzystowskiego posła, w konserwatywnego ministra pięć lat później.

- Ani przez chwilę o tym nie zapominam - oświadczył sztywno.

- Miło wiedzieć, że znalazłeś coś, co może się przydać, w razie gdybyśmy uznali, że to ma potoczyć się tą drogą Gerry - dodał sardonicznie.

Mężczyzna po drugiej stronie słuchawki wybuchnął śmiechem.

- Tak, to sprawa nas wszystkich, John. Słuchaj, to twój teren, ale nie zapominaj o nas, biednych wyrobnikach z północnego wschodu, dobra? Oczywiście nie znam wystarczająco tej sprawy, ale sądzę, że wykup przez pracowników będzie dla nas korzystny, pokaże tamtejszym nieborakom, ku czemu zmierza nasza polityka. Szkoda byłoby zmarnować taką szansę. Nie za wiele średniej wielkości przedsiębiorstw nadaje się do sprzedaży pracownikom, no nie?

- Cholernie mało - przyznał Winstanley. - To jest całkiem spore. Z tego, co mi mówią, wynika, że jest warte około sześćdziesięciu milionów, nawet przy tych kłopotliwych kontraktach.

- Wiem, w czym rzecz. Wielu moich wyborców czeka na te mieszkania.

To prawda i trzeba uczciwie przyznać Willshawowi, że dokładnie zna tych ludzi - zgodził się Winstanley. To właśnie upoczywa, sumienna, ciężka praca w tych niewdzięcznych okręgach, jak również osobisty urok Willshawa powiększyły tamtejszą skromniutką większość, ile się tylko dało. W dużej mierze był to wynik dobrej organizacji; Willshaw skutecznie wykorzystał zarówno wielkie koszty idące na szkolenie armii, jak i swoją silnie narzucającą się osobowość, stworzył zaplecze i przyciągnął nowych ludzi - między innymi wiele kobiet. Opowiadano, że tej samej soboty odbywał cztery wiece w różnych częściach okręgu; no cóż, było to nie do przeprowadzenia bez wydajnej pracy ochotników; chyba że posiadało się sztukę dzielenia się na czworo i posyłania każdego kawałka w inne miejsce. I co godne pochwały, wykorzystał lata laburzystowskiej administracji, aby sponzorować, popierać, zachęcać i wprowadzać spore zastępy konserwatywnych radnych do magistratów.

- Istotniejsze jest, byśmy postarali się o ludzi, którzy sprawnie poprowadzą tę firmę, Gerry.

- Och, to nasz obowiązek. - Lekki akcent na „nasz” wyraźnie zabrzmiał w uchu Winstanleya. - Ale słyszałem, że na budowach praca wre. Obecne kierownictwo musi być dobre. Muszę postarać się o spotkanie, żebyś miał niezależny pogląd. Będę w kontakcie, John. Pamiętaj, jeśli mógłbym w czymś pomóc na moim terenie, służę z prawdziwą przyjemnością.

Pożegnał się krótko i Winstanley nie miał żadnych wątpliwości, że każdy kolega z rządu, który zignoruje uzasadnione interesy Gerry'ego Willshawa, uczyni to na własną zgubę.

## Rozdział siódmy

*B*onjour, madame. Vous n'avez pas resere?

- Bonjour, Jean Paul, ça marche? Non, on m'a invité. Willshaw. Il n'est pas encore arrive?

- Już jest. Przepraszam za spóźnienie.

Zapomniałam, jaki jego głos jest lekki i matowy - pomyślała odwracając się.

- Zamierzałem stawić się pierwszy, lecz widzę, że czujesz się tu jak w domu. Opowiadano mi, że to bardzo elegancki lokal. Widzę, że mój informator miał rację.

- Jest modny - przytaknęła powstrzymując bicie serca i przyglądając mu się uważnie. Był wyższy, niż zapamiętała, i szerszy w ramionach. - Ale nie dlatego czuję się tu tak dobrze. Zajmowałam się stroną prawną, kiedy ten interes się rozkręcał. Nie jest ci zimno?

Był bez płaszcza. Zapewne zimny dojmujący wiatr mu nie dokuczył. Promieniował zdrowiem, grube kasztanowe włosy zwichrzyła wichura.

- Przyjechałem autem - rzekł przepraszająco i przypomniała sobie, że ministrowie są wożeni na spotkania.

- Oczywiście. Jean Paul!

Recepcjonista, który przyglądał się z uznaniem Gerry'emu Willshawowi, wziął krótki tweedowy płaszczyk Caroline i zawiesił go, nadal nie odrywając oczu od jej towarzysza. Z rozbawieniem zauważyła, że Gerry jest ciut zażenowany; na pewno

świadom swojej powierzchowności, musiał być przyzwyczajony do tego rodzaju obserwacji ze strony zarówno kobiet, jak i mężczyzn, szczególnie w londyńskich restauracjach, w których część najsympatyczniejszej i najlepszej obsługi stanowili geje.

- Czy naprawdę doglądałaś od strony prawnej zakładania tego interesu? - spytał, kiedy szli za szefem sali, który skręcił w ostatniej chwili i zaproponował im narożny stolik.

- To moja praca - przypomniała mu krótko. - Zakładam firmę i spisuję umowy. Jeden ze wspólników zajmował się przeniesieniem tytułu własności.

- Jestem pod wrażeniem - rzekł łagodnie.

Caroline zdecydowała ponuro, że trzeba przestać głądzić. Rozłożyła serwetkę, kiwnęła głową znajomym przy następnym stoliku i dostrzegła, że patrzą z zaciekawieniem na jej towarzysza. Wspólnik z konkurencyjnej kancelarii odsunął krzesło i podszedł.

- Caroline... Przepraszam, ale usiłowałem złapać cię przez telefon w sprawie naszych wspólnych znajomych. Czy możemy przesunąć piątkową naradę o godzinę?

- Nie mam zielonego pojęcia, Peter. Moja sekretarka będzie zorientowana.

Ruchem ucinającym rozmowę podniosła menu, ale kolega po fachu nie dał się zbyć i zwrócił się do Willshawa.

- Z przyjemnością obejrzałem „Question Time”. Moja matka głosowała na pana i program ogromnie się jej podobał. Peter Cairns.

- Gerry Willshaw - powiedział wstając. - Jak to miło z pańskiej strony, że zechciał pan podejść i powiedzieć o tym.

Obaj mężczyźni spojrzeli z ukosa na Caroline. Miała na tyle srogą minę, że Peter Cairns ograniczył się tylko do jeszcze jednej rundy grzecznościowych uwag. Ze zmarszczonymi brwiami patrzyła za nim, gdy oddalał się do stolika.

- Przepraszam. Naprawdę nie mogłam mu powiedzieć, żeby spływał.

- Ale powiedziałaś mu, skarbie. - Gerry walczył ze śmiechem. - I na dodatek nie owijałaś tego w bawełnę.

- I bardzo dobrze - powiedziała wyzywająco. „Skarbie” brzmiało echem w jej głowie. - Czy zawsze jesteś nagabywany przez nieznanomych?

Wyraz dezaprobaty, jaki pojawił się na jego twarzy, dziwnie kontrastował z regularnymi, wyrażającymi pewność siebie rysami.

- No cóż, problem polega na tym, że chyba jestem dość znany.

- Mam wrażenie, że ci się to podoba - osądziła.

- Czasem. Czego się napijesz?

Przechodzący kelner postawił szklankę wody mineralnej z plasterkiem cytryny przed Caroline i stał wyczekująco. Caroline i Gerry Willshaw wpatrywali się w szklankę, nie wiedząc, co począć.

- Przepraszam - powiedziała zakłopotana. - Jestem tu stałą klientką i dostaję poczęstunek na koszt lokalu. Jestem pewna, że też możesz dostać szklankę tej pysznej wody.

- Myślałem, że to dżin z tonikiem - rzucił swobodnie. - Właśnie to poproszę.

Żadnego kretyńskiego *kiru* czy czegokolwiek innego, co mogłoby się wydawać ostentacyjne we francuskiej restauracji - pomyślała, ale ugryzła się w język, uznając, że komentując zamówienie Gerry'ego okazałaby dziecinną złośliwość.

Starannie przeglądał menu.

- Na co masz ochotę? - spytał czując jej spojrzenie.

- Na stek i frytki - odparła automatycznie i dodała: - Proszę.

- Jest tu dobry, prawda? - Nie spiesząc się doczytał kartę do końca i zamówił kaczkę.

Caroline przeklinała swoją decyzję. Coś w tym mężczyźnie sprawiało, że stale popełniała błędy, i kiedy popatrzył na nią ponad stołem, musiała przyznać, że nie radzi sobie z tą sytuacją, bo od pierwszej chwili poczuła do niego przemożny pociąg. To było natychmiastowe zachłyśnięcie się, bardziej przystające do szesnastolatki niż odpowiedzialnej wdowy, matki trojga dzieci, liczącej sobie trzydzieści osiem lat. Odpowiedziała mu pełnym powagi spojrzeniem, nerwowo szukając tematu do rozmowy.

- Nosisz zegarek na prawej ręce - rzekł swobodnie.



- Tak - odparła z ulgą. - Rozbiłam szybę w oknie, kiedy byłam dzieckiem; została mała blizna, ale swędzi mnie pod zegarkiem. - Wykręciła ramię pokazując mu to miejsce. Przesunął palcami po bliznie.

- Znakomita robota.

Poczuła, jak oblewa się rumieńcem.

- Tak - odparła nie mogąc złapać tchu. - Cierpliwy lekarz. Siedział nad tym godzinami.

Potańczała kciukiem cienką białą linię. Obserwowała jego dłoń, kiedy sięgnął po drinka. Nie miała siły spojrzeć mu w twarz.

- Ile miałaś lat?

- Sześć. Tłukłam się z jednym ze starszych braci. Wkurzył mnie.

- A ile on miał lat?

- Dziewięć. I wkurzał mnie na okrągło. Nadal mu się to udaje.

- A jak skończyło się to dla niego?

- Wyleciał przez to okno. Złamał nos, co jest moją wyłączną zasługą. Masz rodzeństwo?

- Tak, troje. Ale ja jestem najstarszy. Nie przypominam sobie, żeby któraś z siostr próbowała wyrzucić mnie przez okno.

- Ja nie próbowałam. Wyrzuciłam go - podkreśliła.

Przyszedł kelner z zamówieniem i cała nerwowa energia Gerry'ego skupiła się na jedzeniu.

- Masz ochotę na trochę moich frytek? - spytała, by coś powiedzieć.

- Nie, dziękuję. I tak za dużo jem i za mało się ruszam.

Rzeczywiście, potężny chłop z niego - pomyślała patrząc na wielkie dłonie, długie i silne palce, szerokie ramiona. Miał również grube kości, jak Henriquesowie, i jak oni z łatwością przybrałby kilkadziesiąt funtów, gdyby naprawdę jadł za dużo. Ale ten mężczyzna nie robił tego, panował nad sobą i nie zasłaniał się żadnym z męskich usprawiedliwień, w których celowała płęć brzydka jej rodziny.

- Gdzie ty to wszystko mieścisz? - spytał zaciekawiony, gdy przełknęła pełny widelec frytek.

- Zawsze mogłam jeść bez ograniczeń. To musi być genetycznie uwarunkowane. Po matce. Przez jakiś rok byłam bardzo chuda, ale teraz przybrałam na wadze.

- Nadal jesteś trochę chuda - powiedział łagodnie. Schyliła głowę czując coś niewiarygodnego, lży kręcące się w oczach.

- To minie - powiedziała sucho, kiedy mogła coś z siebie wydusić. Poszukała wzrokiem kelnera. Zrezygnowawszy poprzednio z wina, chciała teraz napić się wody. Opamiętała się i poprosiła Gerry'ego, żeby zamówił wodę.

Popatrzył na nią, przez chwilę znieruchomiał, a potem uśmiechnął się szeroko. Rozbawienie rozjaśniło mu twarz.

- Och, jak elegancko - rzekł śmiejąc się.

Wystarczyło mu tylko odwrócić głowę, a kelner wyrósł u jego boku. Zdała sobie sprawę, że są pod obserwacją połowy restauracji, a co więcej, dwaj kelnerzy zajmują się tym rewirem.

Zdenerwowana kruszyła bułeczkę. Wtem przypomniała sobie, że prawdę mówiąc, wie bardzo mało o tym mężczyźnie. Została przecież wychowana w domostwie Henriquesów, gdzie konserwatywnych polityków uważano bądź za złowrogich przeciwników, bądź obiekt dowcipów.

- Gerry, obiecałeś, że pewnego dnia opowiesz, dlaczego załąłeś się polityką.

- I ten dzień nadszedł, czy tak?

Przyglądał się jej z czułym rozbawieniem wytrącającym ją z równowagi.

- Tak. Jak byś to sam ujął: wystarczą cztery akapity, przyswajalne dla największej fajtlapy z tylnego szeregu.

- Fajtlapy stawia się z przodu, żeby mieć na nie oko - zauważył bystro i przez chwilę ujrzała starannego oficera, na którego można było liczyć. - Jak większość ludzi zająłem się polityką, żeby polepszyć stan rzeczy - odparł gładko.

- W jakim sensie? Co to znaczy „polepszyć”? Jaka jest twoja definicja dobra?

O Boże, gładzę jak mój ojciec - pomyślała. Z niepokojem przyglądała się Gerry'emu, ale nie przejął się pytaniem.

- No cóż, gdybym miał krótko to określić, powiedziałbym, że zależy mi na tym, by każdy miał najlepszą możliwość robienia tego, na co ma ochotę, a nie realizował tego, co wymyśli dlań biurokracja państwowa, jak było za laburzystów.

- Każda prawicowa polityka zaczyna się od wyliczania zastrzeżeń - powiedziała pogardliwie, odzyskując pewny grunt. - Ale jak chcesz osiągnąć ten cel? Jak postarasz się o to, by nie odebrać ludziom nadziei ograniczając ich na starcie? Ile czarny nastolatek analfabeta z Brixton może osiągnąć dla siebie w tym społeczeństwie własnymi siłami?

- Ten nastolatek nie powinien być analfabetą. To system oświaty Partii Pracy postarał się, żeby tak było. Nie przyjmowali do wiadomości, że chcąc nauczyć, trzeba wymagać. I nie akceptowali kontroli jakości, która jest niezbędna, by nauczyciele - a zresztą wszyscy - byli na poziomie. To nazywa się konkurencja i jeśli brak dla niej miejsca, wszelkie działania będą nieskuteczne. Jaka byłaby państwowa obsługa prawna?

- Tu masz rację. My wiemy, jak by to wyglądało. Wystarczy spojrzeć na sądownictwo. Jedna potworność. - Zawsze była poruszona sposobem działania jurysdykcji; potęga systemu objawiała się tym, że wszystkie sądy - od najniższych do najwyższych - były nieefektywne i opieszale.

- Nie miałem o tym pojęcia - zainteresował się poważnie Gerry. - Mówiłem sobie i wszystkim innym, że nasze sądownictwo jest najlepsze na świecie. Nie jest tak?

- Absolutnie nie. Uprzywilejowane, nieskuteczne, powolne, zmanierowane, zawzięcie sprzeciwiające się wszelkiemu postępowi. Żaden porządny radca prawny nie dopuści klienta do sądu, z obawy że sprawa utknie na lata.

- Jarndyce i Jarndyce wieczni żywi. - Zdziwiła się, ale zdała sobie sprawę, że śmieje się z niej. - Nauczyłem się czytać.

- Och, to dobrze - szybko odzyskała rezon. - Moja rodzina nie bardzo interesowała się siłami zbrojnymi i myślałam, że porozumiewaliście się tylko alfabetem Morse'a. Tak, Dickens opisał to całkiem trafnie, ale nie podejmuję się zanalizować,

dlaczego tak jest; pewnie dlatego, że przywileje są trwałym elementem systemu. Wiesz, sądownictwo to nomenklatura Zjednoczonego Królestwa.

- Czy nie działa powoli, powodowane interesem niewinnych?

- System się tym nie przejmuje. Kiedy byłam młoda i miałam czas, bywało, że pracowałam ochotniczo dla bezpłatnego ośrodka porad prawnych. System prawa karnego został wykoślawiony przez kolejną nomenklaturę, dokładnie przez policję. - Z uwagą dobieżała słów. - Moje wiadomości są trochę przestarzałe, minęło kilka lat, od czasu, kiedy się w to bawiłam, ale w połowie lat siedemdziesiątych policja miejska była bardzo skorumpowana. I to dotyka biednych i niewykształconych i tego nie wyleczy się wolnym rynkiem.

- Chyba policja nie jest aż tak zdeprawowana.

- Tylko nie wmów sobie, że odzywa się we mnie lewicowa paranoja. Też zakładałam, że ojciec przesadza, ale nie miałam racji.

Poruszony skinął ponuro głową. Przypatrywała mu się z niepokojem.

- Nie chciałam przerwać twoich uwag o polityce konserwatyistów.

- Nie przerwałaś. Zdałem sobie sprawę, że jest kolejna sfera, której musimy się przyjrzeć i którą należy uprzętnąć.

- Zgadzam się z tym, co twoja partia myśli o związkach zawodowych - oświadczyła pospiesznie. - Obrosły w przywileje po uszy. Nawet Sholto - mój ojciec - tak myśli.

- Na ich temat mam bardzo wyrobione poglądy - rzekł nabierając rozpędu. - Od tego chciałbym zacząć, znieść bariery w efektywności gospodarczej i kształceniu zawodowym, zmienić te wszystkie sprawy. Ale do tego potrzeba działań legislacyjnych. W moim okręgu nie brak ludzi, którym związki zawodowe obiecały pracę do końca życia w stoczniach, ale nie potrafili pracować efektywnie, ponieważ uniemożliwiały im to umowy zbiorowe zawarte przez związki, więc stracili pracę nawet pod rządami Partii Pracy i te same związki nie pozwalają nam ich przekwalifikować. Wielu stało się bezużytecznymi i są jak kaleki.

Popatrzył na nią, a potem na stygnącą kaczkę.

- Przepraszam, mówię za dużo.
  - Wcale nie. Chciałam się dowiedzieć. Więc co robisz w transporcie?
  - No, to też jest ważne. Taką mam robotę. Na państwowej posadzie robisz to, co ci każą.
  - Jak w wojsku?
  - Tak. Jak w wojsku. Tak dobrze, jak tylko potrafisz.
  - Bez tego czegoś, co się nazywa „pieniądze”? Bez których, co każdy ci powie, żaden postęp w transporcie nie jest możliwy?
  - Skrzywił się. Dotknęła jątrzącej rany. - Przepraszam, nie pozwalam ci jeść.
  - Jeść mogę zawsze. Nie, transport to ciężka sprawa i nie tym chciałem się zajmować.
- Popatrzyła niechętnie na swój stek; był jak zawsze wyśmienity; sos różowy od wina, śmietanka i papryczki dobre jak zwykle, frytki równocześnie chrupiące i rozpluwające się w ustach, lecz nie mogła się zmusić do przełknięcia czegokolwiek. Gerry dłużej przy kacze, odsunął mięso i nakładał zielony groszek. Zdecydowanym ruchem odepchnął resztę na bok i popatrzył zatroskany na jej talerz.
- Niesmaczne?
  - Bardzo smaczne. Po prostu chyba nie jestem taka głodna, jak myślałam.
  - Ani ja.
- Spojrzeli na siebie.
- Marnotrawstwo niedostatek rodzi - rzekła nerwowo.
  - Ach. I może kiedyś powiem: „Och, jakbym zjadł tę suchą kromkę...
  - ... którą odrzuciłem wprzódy” - zakończyła czterowiersz.
  - Skąd to znasz? - spytali równocześnie i Caroline wykazała się lepszym refleksem.
  - Moja matka chodziła do szkoły prowadzonej przez kwaków. Nauczyła mnie, że to wcale nie żart.
  - Ja nauczyłem się tego od niani - powiedział rozbawiony.
  - Opowiedz mi o swojej matce.

Odłożyła widelec na znak, że nie zamierza pokonać steku, i westchnęła.

- Nie wiem, czy zdołam. Urodziła się w pewnej wysoce intelektualnej, uniwersyteckiej, niezbyt poważnej rodzinie w Hampstead i weszła do innej podobnej, też niezbyt poważnej, różniącej się od tamtej doprawdy niewiele. Wiodła bardzo żalosne życie, kiedy wszyscy byliśmy młodzi, bo zawsze znajdowała się pod presją i martwiła się o pieniądze, a i teraz jest nie lepiej, za sprawą mojego durnego ojca, który zadziera nosa wykonując wysoce intelektualne prace za marne pieniądze, przeważnie dla Partii Pracy. - Popatrzyla na niego z rozpaczą. - Nigdy tego nie pojmiesz.

- Ja też miałem niełatwych rodziców. Ojciec z uporem maniaka prowadził rodzinną fabryczkę tekstyliów, która ledwo zipsała, skazując siebie i matkę na wyjątkowe połączenie nudy i finansowej niepewności. Ale jego ojciec - mój dziadek - był sędzią i kimś wybitnym.

- Więc zdecydowałeś się na wojsko, żeby mieć pewną posadę?

- Nie miałem zacięcia do nauki, a i tak musiałem odbyć służbę wojskową. Zostałem powołany do piechoty, wysłany na Cypr podczas rozruchów i okazało się, że mi się to podoba. Dostałem stypendium i poszedłem do Sandhurst.

- Ja też miałam stypendium. W Lady Eleanor's, pełne. I w Somerville.

- Boże święty. - Teraz uśmiechał się z wyraźną czułością i rozbawieniem.

- Przepraszam. - Poczula się jak sześciolatka. - I potem zająłeś się polityką, kiedy już poczucie bezpieczeństwa nie było tak ważne, i mogłeś przywrócić blask rodzinnemu nazwisku, a poza tym czynić dobro.

Szeroko otworzył oczy, zaskoczony. Widocznie po raz pierwszy to sobie uświadomił.

- Zgadza się. A ty jesteś prawniczką, bo nadal potrzebujesz poczucia bezpieczeństwa i wcale nie musisz dodawać blasku nazwisku Henriques.

- I muszę zarabiać dużo forsy.

Dotknęła innego bolesnego miejsca. Żalosne ministerialne pensje cieszyły się złą sławą. Caroline przynosiła do domu trzy razy tyle co on. Takiemu mężczyźnie nie mogło się podobać, że nie dorasta do pięt kobiecie zarobkami. Zerknął na zegarek, uniósł rękę prosząc o rachunek i serce w niej zamarło. Nie ma potrzeby tak mocno podkreślać swoich dokonań i statusu - powiedziała sobie, ale było za późno. Gerry Willshaw czarował wyprężonego na baczność starszego kelnera.

- Wybacz, muszę iść - rzekł do niej. - Debata nad transportem jest trzecia w dzisiejszym porządku obrad i muszę być w Izbie, kiedy mój sekretarz stanu zmęczy się odpowiedziami na pytania. - Zastanowił się nad tym, co powiedział. - Jeśli się zmęczy - dodał. W tym momencie ujrzała, jak irytująca jest dla niego obecna pozycja w rządzie.

Rzekła coś uprzejmego, ale bez związku. Uśmiechnął się i wrócił myślami do chwili bieżącej.

- Chciałem ci powiedzieć, że pogadałem z Johnem Winstanleyem o Prior Building Systems. Mówi, że NEB zapewne nie będzie próbowała rzucić akcji tej firmy na rynek.

- Nie sądzę, żeby mogła to zrobić - przytaknęła.

Zamknij się - powiedziała sobie przerażona, widząc jego zamkniętą twarz.

- Ale on optuje raczej za normalną sprzedażą niż za wykupem przez kierownictwo. Szkoda, bo akcjonariat pracowniczy to politycznie atrakcyjny pomysł, zwłaszcza biorąc pod uwagę naszą słabość na północy.

Wciągnęła oddech i uspokoiła się.

- To bardzo uprzejme z twojej strony, że tak sprawnie go odpytałeś. No cóż, mnie i mojemu klientowi nie pozostaje nic innego, jak przekonać ministra. Muszę doprowadzić do tego, żebyś spotkał się z kierownictwem. To znakomici fachowcy.

- Już zaaranżowałem takie spotkanie w przyszłym tygodniu. Dziś rano moje biuro poselskie się o to postarało.

Caroline przyzwyczajona do organizowania życia wszystkim dokoła, przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć.

- Cudownie - rzekła wreszcie. - Przekonasz się, ile są warci.

- O to mi chodziło - oświadczył z przesadną skromnością i oboje wybuchnęli śmiechem.

- Muszę jechać. Zabierzesz się ze mną? Kierowca cię podrzuci.

Przeszli przez restaurację, wszyscy oglądali się za Gerrym, który zachowywał się swobodnie i wesoło. On za tym przepada, jest jak bożyszcze szkoły, pławi się w podziwiewie - pomyślała, gdy wróciła jej powaga.

Wyszli na chodnik, smagani wiatrem i z podziwem spojrzęła na ministerialny samochód, ale podziękowała za podwiezienie via Izba Gmin. Z niedowierzaniem stwierdziła, że ma dziesięć minut do następnego spotkania. Dzięki Bogu, jedno z nich pilnowało zegarka.

- Caroline?

Odrzuciła się do niego, a on niezdarnie cmoknął ją w policzek.

- Chciałbym pocałować cię w mniej braterski sposób - rzekł bez uśmiechu, patrząc na nią z lekko odchyloną do tyłu głową. - Ale tu nie mogę.

- Och, Gerry - westchnęła, ogarnięta pragnieniem, by go dotknąć.

- Zadzwoń.

Pogładził ją po ramieniu na pożegnanie i ruszył do samochodu, który natychmiast wystartował, tak że zapamiętała profil Gerry'ego, gdy pochylał się instruując kierowcę. Jego uwaga już skupiła się na celu podróży.

**N**a północy dął wiatr silniejszy niż w Londynie, ale w urzędzonym nowocześnie biurze dwóch mężczyzn tym razem nie zwracało uwagi na wysiłki brygady dźwigowej, widocznej za wielkim oknem jak na panoramicznym ekranie.

- Caroline nie zasypia gruszek w popiele, no nie? - powiedział z podziwem Martin Williams, zapadając się w jeden z foteli przeznaczonych dla gości. - Więc ten Gerry Willshaw przyjeżdża spotkać się z nami w ten weekend. Co mówił?

- Nic nie mówił. Sekretarka ustaliła szczegóły. Chciałem



rozmawiać z nim osobiście, dowiedzieć się, czego dokładnie chce, ale nie połączyła mnie z nim, tylko powiedziała, że pan Willshaw chciałby obejrzeć budowę i - jeśli się da - porozmawiać z kierownictwem. - Peter Burwood był najeżony, od dawna nie zdarzyło się, by jego gość nie przedstawił dokładnie celu wizyty.

- On jest ministrem, Peter. Pewnie w ogóle nie było go w biurze.

- Tak mi powiedziała, kiedy ją naciskałem. - Burwood był nie przekonany.

Martin przyglądał mu się z pobłażaniem. Był prawie dziesięć lat starszy, miał czterdzieści osiem - przy trzydziestu dziewięciu szefa. Został wprowadzony do firmy pięć lat przed Peterem, który wtedy był młodym kontrolerem produkcji. Pewność siebie Petera oddziaływała inspirująco na Martina i szanował jego wytrwałość, wspomaganą niezłą dozą ostrożności oraz ostrym politycznym węchem, który umożliwił mu nie tylko przetrwanie w firmie, ale i zdobycie posady dyrektora, kiedy Prior Building Systems dotknęła katastrofa i zostało przejęte przez NEB. Ale Peter zawsze czuł się niewygodnie w sytuacji, w której nie wiedział dokładnie, kto czego chce, w przeciwieństwie do Grahama, który w tym momencie pojawił się w drzwiach, jak zawsze rozluźniony. Został sprowadzony przez Petera, ale całkiem niedawno; odbito go jednemu z dostawców, gdy stało się jasne, że trzeba poświęcić głównego księgowego jak i prezesa rady nadzorczej, a także głównego dyrektora, by NEB czuła, że jej wysiłki nie idą na marne. Graham umieścił swoje długie na sześć stóp i cztery cale ciało w drugim fotelu, spróbował ukryć parę ogromnych stóp i poddał się przepaszająco, pozwalając sekretarce niosącej kawę przejść nad nimi. Zrobiła to z przyjemnością; dziewczęta zawsze mile reagowały na Grahama Gougha, bo był z niego kawał przystojniaka i miał przyjemne, relaksujące obejście. Za powierzchownością łagodnie uśmiechniętego olbrzyma krył się niezwykle kompetentny główny księgowy i bezlitosny realista; nigdy nie pozwoliliby sobie na uwikłanie się w kłopoty jak jego zaprzątnięty szczegółami poprzednik, który nie potrafił zrozumieć, czym jest dla przedsiębiorstwa płynność finansowa.

Pod pozornie niedbałym przywództwem Grahama gotówka była stale wyciskana skąd się dało, więc gdy pod koniec roku się okazało, że przedsiębiorstwo zapłaciło znaczne odsetki, stworzył jeszcze rezerwę finansową.

Gdy Martin obserwował Grahama leniwie gawędzącego z sekretarką, doszedł do wniosku, że w istocie jest on tak samo sprytnym i zdolnym do manipulacji operatorem jak Peter, jedynie lepiej się maskuje.

Dobry zespół - pomyślał. - A biorąc pod uwagę imponującą szybkość, z którą Caroline przeprowadziła analizę ich problemu i ściągnęła wpływowego ministra, ona również okazała się tym, kogo właśnie było nam potrzeba.

- Dobra - rzekł Peter odprowadzając wzrokiem wychodzącą z pokoju sekretarkę. - Słuchajcie. Dzwonił do mnie Ron Jenkins z NEB. Chce spotkać się z nami w sprawie planu ogólnego. Zamierzam go przedstawić bankierom doradzającym Ministerstwu Środowiska.

- Dlaczego? - Graham na moment osłupiał.

- Ron mówi, że bankierzy kwestionują prognozy, chcą wiedzieć, gdzie leży ryzyko, czy zapowiadają się zyski, a jeśli tak, to gdzie. Szczególnie zależy im na przedyskutowaniu prognoz wyciążenia gotówki przy renegeacji obecnych kontraktów.

- Mhm. - Graham sięgnął po gruby plik dokumentów, który wcześniej położył na niskim stoliczku obok. - Przewidywaliśmy, że uda nam się dostać jeszcze jeden procent... to jest półtora miliona funtów... od Clayhangera, Alleyns i Betts Quay razem za ten rok. Około półtora miliona z tegorocznego dochodu przed opodatkowaniem, wynoszącego osiem milionów. To ostrożne wyliczenie, ale takiego się spodziewają. Nikt nie umieszcza wszystkich zysków w prognozach. Ale to samo robi się ze stratą - po prostu liczysz na to, że jedno wyrówna drugie.

- Powiedz mi, który czynnik straty udało się nam pominąć, Graham. - Martin zdecydował, że czas osadzić tę rozmowę w rzeczywistości.

- Zagrożenie huraganowe? - spytał z kamienną twarzą Graham i wszyscy trzej spojrzeli mimowolnie w kierunku okna.

- No cóż, to byłby jedyny - rzekł sucho Peter. - A co z wysokością renegotjacji kontraktów? Powiemy im?

Zapanowała ostrożna cisza, gdyż zarówno Graham, jak i Martin woleli się nie odzywać, ale Peter nie zamierzał pozwolić im na ten luksus.

- Martin?

- No, właściwie nic się zmieniło od chwili napisania tych prognoz, no nie? - rzekł wymijająco Martin.

- Tak, to prawda. Znamy tylko plotki i pogłoski - zgodził się z nim Peter.

- I nadzieje - dodał Graham wskazując dokumenty.

- Ale to wszystko. - Peter skierował uwagę na księgowego. - Nie chciałbym nawet wspominać bankierom o tym czynniku, jest taki wąty. - Rozłożył ręce, patrząc na kolegów z całą szczerością. Przyglądali mu się nieufnie.

- Zanim przedyskutujemy, co będziemy mówić, jaki naszym zdaniem jest potencjalny zysk? - Szef Martina spojrział z urazą na mówiącego. - Peter, moim zdaniem wcale nieźle jest zacząć od prawdy.

Bazylijskowy wzrok Burwooda zgasł. Wyglądał teraz pięć lat młodziej.

- No trudno, jeśli nie da się podejść do tego inaczej...

- Może jednak. Ot tak, dla śmiechu - wtrącił Graham, przyczyniając się do dalszej zmiany nastroju i wszyscy trzej rozluźnili się, czując się swobodniej we wzajemnym towarzystwie.

- Jeśli Hughes ma rację, możemy się zgodzić w negocjacjach na cztery procent zysku z tych trzech kontraktów - powiedział Martin.

- Ile to będzie? Plus minus cztery miliony tego roku, Graham.

- Cztery tego roku, trzy w roku drugim i trzy w trzecim - oświadczył Graham nie zaglądając w papiery. - Tegoroczny dochód przed opodatkowaniem wyniesie zamiast dwunastu milionów - szesnaście. Trzymając się tych założeń, wartość przedsiębiorstwa sięgnie około siedemdziesięciu milionów.

Spojrzeli po sobie. Martin odezwał się pierwszy.

- I każdy inwestor... to znaczy, każdy, z którym byśmy gada-  
li... tak samo wyceni firmę.

- Każdy, kto będzie wiedział, że mamy szansę na dodatkowy  
zysk, zda sobie sprawę, że sześćdziesiąt milionów za przedsię-  
wzięcie to zaniżona cena - potwierdził bez owijania w bawełnę  
Graham.

Peter pokiwał głową i opuścił wzrok. Pozostali nie odrywali  
od niego oczu. Graham wiercił się na fotelu - nie ze zdenerwo-  
wania czy niewygody, ale ponieważ potrzebował ruchu. To kara  
za te klasyczne wymiary wysokiego, potężnego mezomorfa -  
pomyślał sucho Martin. Spojrzał na niego ostrzegawczo. Nie  
chciał, by przerwano Peterowi myślenie, i Graham zmusił się do  
niewygodnego bezruchu. Przemyślenia szefa zawsze zabierały  
czas, bo nawet otwierając usta w towarzystwie przyjaciół i po-  
pleczników, lubił wpieryć ocenić wszechstronnie każdy aspekt  
trudnego tematu.

- NEB potraktowała nas uczciwie - rzekł wreszcie Peter i  
Graham zmienił pozycję stękawszy z ulgą. - I my odwzajemni-  
liśmy się jej tym samym. Ale teraz sytuacja się zmieniła. Ona  
chce sprzedać przedsiębiorstwo, a my chcemy je kupić. Ona jest  
właścicielem wszystkich akcji, a my nie jesteśmy niezastąpieni.  
Tak przynajmniej uważa Caroline.

- Weź innego radcę - zasugerował z kamienną twarzą Gra-  
ham. - Nie płaci się prawnikowi za mówienie takich rzeczy.

Peter uśmiechnął się niechętnie.

- Ona ma rację. Powiedziała, żebyśmy nie zapominali, że  
nasze odejście może być bardzo na rękę kupującemu z branży.  
Zresztą prawdopodobnie ma jakichś ludzi do kierowania firmą,  
których może wsadzić na nasze miejsce. I nie musi nam dawać  
odprawy.

- Chryste! - Graham, który miał na utrzymaniu czworo dzie-  
ci, był poruszony.

- Żadnego z nas na to nie stać - uspokoił go Peter. - A zresz-  
tą to byłoby głupie. Jeśli nie możemy kupić tej firmy, musimy  
zatrudnić się u kogoś, dopóki nie znajdziemy innej do kupienia,  
no nie?

Martin zamrugał. Dawno ustalili z Peterem, że chcą prowadzić własne przedsiębiorstwo, ale nie miał pojęcia, że ten plan obejmuje teraz Grahama. Oczywiście potrzebowali dobrego głównego księgowego, ale znając ostrożność Petera nie spodziewał się, że beztrojski Graham po niecałym roku stanie się ich najbliższym współpracownikiem. Zaskoczenie i wdzięczność, które pojawiły się natychmiast na twarzy Grahama, wskazywały jasno, że te same myśli przeleciały mu przez głowę.

- Tak - powiedział Martin otrząsając się szybko. - Znam nawet jedno, które moglibyśmy przejąć.

Peter machnął ręką.

- W porządku. Ale, wiadomo, zależy nam na tym. Zarzynaliśmy się, żeby wyciągnąć je na plus, i ani mi się śni oddawać firmę jakiemuś sępowi, który krąży i czeka, aż znów nam się noga powinie. Więc co robimy z tymi prognozami?

- Myślę, że usiłujemy wyważyć otwarte drzwi - rzekł powoli Martin. - Jest wiele przedsiębiorstw, w których dzieją się dziwne rzeczy i w których występuje jakiś czynnik mogący radykalnie zmienić przyszłość firmy.

- Posłużymy się tą formułą. Może spytamy Caroline? - Graham uniósł się z fotela, przeciągnął się z ulgą i odbył długi spacer w kierunku biszkoptów.

Peter wydał polecenie sekretarce i w trzy minuty później wszyscy mężczyźni uśmiechnęli się szeroko, gdy przez głośnik konferencyjny dobiegł ich wyraźny głos Caroline, przekazującej instrukcje podwładnemu:

- ...i nie dopuszczaj klienta na tę naradę, Mark, inaczej będzie katastrofa. W porządku... Peter, cześć!

- Pewnego dnia usłyszę, jak mówisz komuś, żeby nie dopuścił nas na naradę - rzekł rozbawiony.

- Mowy nie ma.

- Pewnie postarasz się, byśmy tego nie usłyszeli? - zasugerował Martin.

- Tak. Czym mogę służyć?

Martin uśmiechnął się w duchu, rozbawiony brakiem grzecznościowych pytań o zdrowie i powodzenie.

- Mamy tu kłopot, Caroline. - Peter przerwał, żeby zebrać myśli, i głośnik konferencyjny zachował pełne szacunku milczenie. - Kiedy robiliśmy nasz plan ogólny, musieliśmy przedstawić wszystkie możliwe oceny; jest wiele czynników, które należy wziąć pod uwagę, i ruszamy głową ile się da.

- Tak - odezwał się niecierpliwie głośnik.

Peter wyprostował się nagle i spojrzał na niego nieprzychylnie.

- Najtrudniejsze do oceny są te trzy niekorzystne kontrakty, które właśnie realizujemy.

- To oczywiste - uciął głos. - Przyjęliście, że dostaniecie nieco ponad półtora miliona zwrotu w roku bieżącym. W czym kłopot - dostaniecie sporo więcej?

Martin zaczerpnął gwałtownie tchu. Peter, dobrze znany z tego, że nie cierpiał, kiedy przerywano mu myślenie, wpatrywał się w głośnik, jakby ten go ugryzł.

- Tak - powiedział zakładając ręce na piersi i Martin odechnął swobodniej.

- Dlaczego?

- Naszym zdaniem dochodzimy do przełomu w negocjacjach. Ale nie jesteśmy pewni.

- Ile więcej możecie dostać?

- Kilka milionów rocznie przez trzy lata.

- W porządku. Rozumiem.

Zapadła cisza i trzech mężczyźni patrzyli wyczekująco na głośnik.

- Kiedy daleś NEB wasz plan?

- Trzy miesiące temu. Chce go omówić z nami i z Fredericks, doradcami Ministerstwa Środowiska.

- To całkiem zrozumiałe. NEB jest waszym akcjonariuszem, robicie to, co ona chce. Tak decyduje prawo spółek w tym kraju.

Znowu pauza. Caroline szeleściła papierami.

- Słuchaj, Peter, NEB będzie miała prawo was wyłączyć, jeśli się okaże, że ukryliście coś poważnego. Więc powiedzcie, że jest potencjalna nadwyżka zysku, ale nie musicie być bardzo dokładni.

- Czy będzie chciała więcej pieniędzy za przedsiębiorstwo? - Peter wrócił do swojej najgorszej zgryzoty.

- Zapewne. Te renegocjacje to cholerna uciążliwość, bo wszyscy robią się niespokojni i chciwi, ale nic się na to nie poradzi, Zaproponujemy umowę z odroczoną płatnością, powiedzmy iks milionów, jeśli wynik renegocjacji będzie zgodny z obecnym planem, i iks milionów plus coś tam, jeśli będzie inaczej.

- Czy NEB pójdzie na taką transakcję? - spytał ostrożnie Peter.

Caroline westchnęła.

- Kiedy reprezentuję sprzedającego, bardzo usilnie się staram, by klient nie uczestniczył w tych zabiegach, bo wiem, że biedaczysko pakuje się w straszną rozróbę. I ktoś powie NEB to samo. Wasza propozycja nie będzie faworytem, ale jak już wam to, dżentelmeni, mówiłam poprzednio, musimy podkreślać, że nie jest to normalna sprzedaż dla zysku i z pewnych powodów górujecie nad kupującym z branży. I transakcja z odroczonym terminem zapłaty jest również użyteczna z przyczyn kosmetycznych, jeśli wyjdzie na jaw, że nie możemy wyłożyć z miejsca tyle, ile każdy kupiec z branży.

- I to jest sposób załatwienia naszego małego problemu - chodzi mi o renegocjacje.

- Zgadza się. Droga uczciwości jest zwykle drogą najgładszą.

- To prawda - wtrącił się Graham i zarumienił się lekko, napotkawszy spojrzenia pozostałych dwóch mężczyzn.

- Dziękuję, Caroline. - Peter niezwłocznie przejął pałeczkę i Graham zapadł się z powrotem w fotel. Kończyny olbrzymia spozcęły jak popadło. - Musimy przemyśleć to wszystko i przedyskutować we trójkę. Ale bardzo nam pomogłaś. - Zrobił pauzę. - Co u ciebie? - spytał grzecznie.

- Wszystko dobrze. Prawdę mówiąc, wspaniale.

Wszyscy trzej roześmieli się, napięcie opadło.

- Tak to odbieramy - rzekł rozbawiony Peter. - Skontaktujemy się jutro.

- Spodziewam się.

## Rozdział ósmy

Po tygodniowych wczasach Clive Fieldman był lekko zaskoczony liczbą pism czekających na przejrzenie. Jeśli podsekretarz ważnego wydziału jest nieobecny w urzędzie z powodu sesji parlamentu, trzech czy czterech asystentów musi przejąć większość jego obowiązków, gdyż prace parlamentu nie mogą być wstrzymane, a wymagające przygotowania trudne debaty nie mogą zostać odłożone, aż szef wydziału zjawi się i zajmie się nimi. Ale gdy Clive niechętnym wzrokiem ogarniał stos pism, wydawało mu się, że wszystkie pozostawiono nie tknięte do jego powrotu. Segregując pisma doszedł jednak do wniosku, że przynajmniej jednego podwładnego nie docenił; utalentowany, energiczny James Mather, ze skutecznością i pewnością siebie byłego szefa biura ministra, gracko i bez pudła załatwił wszystkie pisma skierowane w jego ręce, w tym parę interpelacji poselskich, które łatwo dałoby się zepchnąć na kogoś innego; jego udział w stosie czekającym na Clive'a stanowiły głównie kopie do wiadomości pana Fieldmana, zgodnie z ortodoksyjnym stylem pracy służby cywilnej.

Wracając po tygodniu urlopu z przyjemnością obszedłbym się bez przyjmowania ich do wiadomości, James, stary koniu - pomyślał niewdzięczny Clive - lecz z drugiej strony wiem, w czym maczałeś palce podczas mojej nieobecności.

Druga kupka była mniejsza, ale przypatrywał się jej z niepokojem. Janice O'Brien, kolejna łebska pracowniczka, wreszcie



ukończyła opinię przyszłych kontaktów ministerstwa z dużymi firmami i organizacjami pracowniczymi. Zapowiadała się konieczność wnikliwej lektury. Trzeci stos był najwyższy i po prostu irytujący - tygodniowy rezultat pracy Michaela Watsona, pracownika o stażu siedemnaście lat dłuższym niż pozostałej dwójki, awansowanego w stosunku odwrotnym do jego zdolności i rzetelności, który odsyłał wszystko wyżej po długich, bolesnych dumaniach, a otrzymawszy polecenie powtórnego prze-myślenia, wypijał zwykle podczas lunchu dwa drinki za dużo, co tym bardziej redukowało jego już minimalne umiejętności.

Wyróżniającą cechą służby cywilnej było to, że po dwuletnim okresie próbnym zostawało się w niej do końca życia. Ta zasada była mocno zakorzeniona; pierwotnie miała zabezpieczyć urzędników przed partyjnymi naciskami polityków, którzy mogliby się domagać zwolnienia hardych pracowników. Efekty uboczne takiego układu były jednak nieuniknione i doprowadzały do wściekłości. Clive miał właśnie nieszczęście trafić na ich żywy przykład. Jedyne, co można było uczynić z Michaeliem Watsonem teraz czy w ciągu ostatnich dziesięciu lat, to przesunąć go na emeryturę najuprzejmiej jak to możliwe, ale schemat organizacyjny służby cywilnej dopuszczał jedynie brutalną i przewlekłą procedurę, orzekającą o „ograniczonej użyteczności”. Niedawno wprowadzono tryb, umożliwiający starszym stażem pracownikom dobrowolne przejście na emeryturę w wieku pięćdziesięciu pięciu lat, ale nie miał on żadnych szans zastosowania w przypadku Watsona; nieprzydatny i niezdolny do jasnego myślenia w pracy, był absolutnie zależny od urzędniczej rutyny. Ślepy by dostrzegł, że będzie walczył jak osaczona mysz, żeby zostać. Jeśli któryś ze zwierzchników nie zdecyduje się poświęcić czasu i energii na wyrzucenie Watsona, zostanie on, utrudniając wszystkim pracę, aż za cztery lata sześćdziesiąte urodziny wyznaczą kres obecności niedorajdy, podobnie jak w przypadku wszystkich pracowników służby cywilnej - zarówno utalentowanych, jak i głupich.

Clive - mądry, zdolny i pracowity - bez wahania zdecydował, że ta sarta bzdur jest ostatnim gwoździem do trumny wałkonias;

wypchnie Watsona na emeryturę tak szybko, jak na to pozwala procedura. A kiedy będzie miał pod sobą ministerstwo, zadba z całą stanowczością, by wydział organizacyjny dokładnie wiedział, że szef nie zamierza tolerować zbędnego balastu; podatnicy na to nie zasłużyli. Wyobraził sobie ironiczną wersję wywiadu, udzielanego na emeryturze przez sir Clive'a Fieldmana, komandora Orderu Łązni: „Co rzekłby pański stary ojciec? Całe życie poświęcił, żeby wałkonie mieli zatrudnienie”. Co prawda, klienci ojca nie bardzo mieli zastukać o pomoc, podczas gdy Watson potrafiłby zatruć życie zarówno oficjelowi ze związku pracodawców, jak i samym pracodawcom relaksującym się na polu golfowym. A Clive tymczasem zasugeruje utalentowanemu, niecierpliwemu młodemu podwładnemu, który niedawno został skierowany do jego wydziału, by przekazywał pisma bezpośrednio jemu, pomijając Watsona. Jeszcze chłopak zupełnie zniechęci się do pracy. To był kolejny dobry powód usunięcia Watsona; nie tylko doprowadzał do wściekłości zwierzchników, ale na pewno kilka pokoleń rzetelnych podwładnych załamało się z jego winy.

Clive zaczął brnąć przez plik Watsona, tam gdzie uważał za stosowne pisząc cierpkie adnotacje - niedawanie facetowi ostrzeżeń nie miało sensu - a potem przeczytał z uznaniem kopie młodego Jamesa. Można było znaleźć lepsze replikę na pewną interpelację i zastępcę ministra, bezpośredni zwierzchnik Clive'a dokonujący redakcji, chociaż przeciążony pracą, znalazł sposób. Za jednym zamachem odparł zręcznie atak i wyraził uprzejme zdumienie, że facet w ogóle czepia się rządu. Ale większość pism Jamesa była doskonała; skuteczna i dobrze wyważona. Musi mu to powiedzieć. Weszła sekretarka z korespondencją. Ocenił stos listów; przy odrobinie szczęścia odwali go przed naradą wyznaczoną na jedenastą. Pracę Janice oceni podczas lunchu.

- Pana Mathera nie będzie do jedenastej, panie Fieldman. - Etykieta panny Williams rozciągała się również na niższych urzędników. - Pamięta pan, miał umówione spotkanie. Pan ma lunch w kancelarii radcowskiej Smith Butler. Czy to nadal aktualne? Powiedziałam, że jest pan nieobecny i może odwołać

przybycie, bo to będzie pana pierwszy dzień po powrocie. Wyglądało na to, że taka formuła całkiem im odpowiada.

- Mhm. Tak, to jest aktualne, panno Williams, pojedę. Z pewnością do południa będę miał już dosyć. Byłbym zdziwiony, gdyby ich lunch przeciągnął się do późnego popołudnia - to zajęci ludzie, podobnie jak my. Większość z tego już załatwiłem. Przepisanie zajmie pani kilka godzin.

Odziedziczywszy po ojcu ciekawość wobec ludzi ustalił, że jego godna podziwu sekretarka, podobnie jak zdumiewająca liczba starszych kobiet pracująca w służbie cywilnej, opiekuje się niedołęzną matką dłużej, niż na to pozwala ludzka wytrzymałość, poświęcając staruszce wszystko poza prawem do dobrego wykonywania pracy sekretarki. Mamusia nadal trzymała się krzepko i Clive, z natury zorganizowany zwierzchnik, zatrzymał pannę Williams po godzinach najrzadziej jak to było możliwe, wiedząc, że słono zapłaci za późne przybycie w domu.

- Tak sobie myślałam, że będzie pan miał dosyć - rzekła. - Wygląda na to, że pan Watson przesłał panu dużo pism.

- Całą swoją pocztę - rzucił z goryczą. Była dyskretna i bardzo inteligentna i byłaby dużo lepszą asystentką niż Michael Watson. Doszedł zresztą do wniosku, że uczciwość wymaga ujawnienia niedołęstwa.

Zdecydowanym gestem wybrał numer kolegi w wydziale organizacyjnym i wszczął procedurę ograniczonej użyteczności.

- Musisz, Clive? - usłyszał prószący głos szefa wydziału. - To koszmarnie pracochłonne. Nie mógłbyś zaczekać kilka miesięcy? Niebawem powinniśmy... musimy... wszcząć ogólny program wczesnego wysyłania na emeryturę i wtedy będzie o wiele łatwiej. Ta partia wydaje się absolutnie przekonana o konieczności ograniczenia wyższej służby cywilnej i jak jeden mąż wyjaśnilimy, że na krótki dystans to będzie kosztowne. Zrozumieli to, jest na to dosyć ludzi interesu w gabinecie, ale bez entuzjazmu, bo w tym roku jest krucho z gotówką. Nie, nie wiem dlaczego ani czy w ogóle im się zgadza budżet; jest daleko bardziej prawdopodobne, że w Ministerstwie Skarbu panuje zamęt, odjęli cyferki,

bo tak najpierw wydawało im się rozsądnie, a potem wstawili. No dobra, musisz, to musisz. Każę komuś wyciągnąć akta Watsona. Naturalnie, że są, drogi chłopcze; chyba nie wyobrażasz sobie, że jesteś pierwszą osobą, która chciała go usunąć? Zwykle przesuwano się go na inne stanowisko, wiesz. Pewnie mógłbym to zrobić, jest dużo zmian w planowaniu. Nie?

- Nie - odparł Clive i odłożył słuchawkę. Był ponury, lecz swoje wiedział.

Watson pojawił się w departamencie dwa miesiące przed nim. Poprzednik Clive'a zajmował to stanowisko trzy lata i nie zawracał sobie głowy usuwaniem niekompetentnego pracownika, a prawdę powiedziawszy, zapewne uznał, że będzie z korzyścią, jeśli zwolni marsz w górę swojego następcy, który zajął w tak spektakularnie młodym wieku wysokie stanowisko. No cóż, i tu się pomylił.

Clive nadal miał głowę zaprzątniętą tą sprawą, gdy zjawił się na umówionej naradzie wraz z Winstanleyem, który wygłosił sardoniczną uwagę o wyższych urzędnikach służby cywilnej chętnych do tygodniowego urlopowania się w czasie sesji parlamentu.

- Zwykle tego nie robię - wyjaśnił spokojnie Clive. - Ale byłem w pracy przez całe Boże Narodzenie, bo wszyscy podwładni chcieli się urwać, a w zeszłym tygodniu moje dzieci miały przerwę międzysemestralną.

Ponieważ wszyscy członkowie Izby w czwartek lub piątek przed świętami wyjeżdżają i nie pojawiają się wcześniej niż po dwóch tygodniach, ufając, że ich ministerstwa zajmą się przesyłaniem dokumentów i rutynową obsługą rządu, był na bezpiecznym gruncie. Fakt, że dzieci nie mieszkały z nim i nie były uchwytnie podczas świąt, bo Linda zabrała wszystkie pociechy na dwa tygodnie do Szkocji, mógł spokojnie pozostać nie zauważony.

- Ale jesteś na bieżąco? - spytał Winstanley.

- Mam znakomitych pracowników - odparł Clive. Nadal myślał o Watsonie.

Winstanley wybuchnął śmiechem.

- Sam wiem, jak to jest. Chciałem pomówić o firmach budowlanych pozostających pod nadzorem NEB. - Zrobił pauzę. - Jest bardzo ważne dla całego programu prywatyzacyjnego, byśmy przeprowadzili tę sprzedaż jak należy.

Clive nie po to spędził piętnaście lat w służbie cywilnej, by nie wiedzieć, że „jak należy” w tym kontekście ma znaczenie polityczne, a nie moralne, i natężył uwagę. Było nieuniknione, że względy polityczne wpłyną na sprzedaż, ale dobrzy pracownicy służby cywilnej sumiennie postępowali tak, jakby obecny rząd na serio brał własne słowa o handlowej skuteczności i swobodnym oddziaływaniu sił rynkowych. Więc Ministerstwo Środowiska i NEB wybrało doświadczonych doradców finansowych, by oświecili ich co do działania tychże sił, i można było bezpiecznie założyć, że rady - które w chwili wyjazdu Clive'a na urlop wydawały się zbieżne - zostaną wzięte pod uwagę. Co wydarzyło się podczas jego nieobecności i dlaczego do tej pory nie ujrzał skrawka papieru, na którym byłoby to uwiecznione? Czy jeden z tych przepłacanych osobników pożarł się z drugim i przedstawił odmienny punkt widzenia, czy co? Dlaczego James Mather go nie ostrzegł?

- Czy w zeszłym tygodniu było spotkanie z Fredericksem? - spytał najbardziej neutralnym głosem, na jaki potrafił się zdobyć. Bo jeśli tak, to nie otrzymał o tym notatki i ktoś zawałił sprawę.

- W piątek - wyjaśnił Winstanley i jego szef biura dodał pośpiesznie, że oczywiście od razu podyktował notatkę, ale obawia się, że może jeszcze nie dotarła do Clive'a, za co przeprasza.

Będziesz musiał bardziej się starać, koleżko - pomyślał krytycznie Clive. On sam będąc szefem biura nigdy nie wychodził z pracy nie przedyktowawszy notatki o wszystkich naradach z tego dnia. Zostawiał brudnopis nocnej maszynistce, podpisywał wszystko o wpół do ósmej następnego rana i jak Bóg przykazał, upewniał się, czy posłańcy roznieśli wszystkim kopie przed dzieśnią. Trzeba przyznać, że zawdzięczał te przyzwyczajenia Smithowi Butlerowi; jeśli była potrzeba, pracowało się tam przez noc, by dostarczyć klientowi szkic umowy czy gotowy dokument.

Fakt, że Clive nie pozwalał sobie na sen, jeśli było coś pilnego, dawał mu w służbie cywilnej na każdym szczeblu przewagę nad kolegami.

- Co się stało, panie ministrze?

- Och, ta narada nie była żadnym kamieniem milowym, ale zrobiliśmy krok do przodu. Oba banki są absolutnie przeciwne łącznemu wystawieniu na giełdę przedsiębiorstw, ale spodziewaliśmy się tego, prawda? I oba zespoły bankierów są zgodne, że prawdziwy problem wyceny dotyczy tylko jednej firmy - Prior. To pokrywa się z naszymi oczekiwaniami. - Stuknęła niecierpliwie w luźną końcówkę paska od zegarka piórem kulkowym.

Ale ta gra z jakiegoś powodu jest niewarta świeczki, nie opłaca ci się - zauważył z rosnącą czujnością Clive. Ten godny podziwu racjonalny proces myślowy nie jest wystarczająco *sexy* politycznie. A może jest jakiś faworyzowany kupiec, któremu to nie leży?

Nie udało mu się zamienić słowa z Lucy Friern przez prawie dziesięć dni. Nigdy nie mógł z nią rozmawiać w weekendy, a wieczorami ostatniego tygodnia nie miał jak pozbyć się dzieci i zatelefonować; kiedy jedyny raz zdobył dwadzieścia minut dla siebie, nie zastał jej w domu. Czy podczas tej rozłąki zdołała zorganizować przyjęcie i Matthew przedstawił na tyle zachęcające warunki kupna, że Winstanley usiłuje ustawić pod nie analizę?

- Będzie pan musiał wybrać kryteria sprzedaży - rzekł ostrożnie.

Winstanley poderwał głowę.

- Założyłem, że w przypadku każdego przedsiębiorstwa za najważniejsze kryterium przyjmujemy cenę, bez względu na to, kto zaoferuje najwięcej.

- No cóż, są poza tym względy polityczne, panie ministrze - zauważył Clive. Ciekawe, w jakim stopniu szef jest zainteresowany sprzedażą łączną?

- Oczywiście. Na przykład możliwie najszybsze przywrócenie tych przedsiębiorstw do sektora prywatnego - z nadzieją rzekł Winstanley.

- Jak najbardziej, panie ministrze. Plus przyzwoita cena i

dobry gospodarz.

- O Boże, tak. Nie możemy pozwolić, żeby te firmy znowu upadły.

- I naturalnie liczy się utrzymanie zatrudnienia - rzekł Clive. Kiedy Winstanley usłyszał podstawowe hasło uprzednio rządzącej partii, natychmiast na jego twarzy pojawiła się podejrzliwość. Clive rozwiął ją dodając: - Chodzi mi o to, że trzy porządne firmy mają bazę na północy i ktoś tam na pewno będzie budował domy; biorąc pod uwagę ogólny stan miejscowej gospodarki, źle by się stało, gdyby zyski i miejsca pracy przypadły innemu regionowi.

- Och, racja absolutna - odetchnął Winstanley. Zawahał się.  
- I oczywiście mogą być inne względy polityczne; myślę tu o poszerzeniu akcjonariatu.

- Szczególnie akcjonariatu pracowniczego.

- Właśnie.

No, proszę, to coś naprawdę interesującego - pomyślał Clive. Kierownictwo Prior Systems pod wodzą Petera Burwooda musiało nawiązać porozumienie, chociaż kiedy spotkałem się z Burwoodem zeszłego roku, odniosłem wrażenie, że nie za dobrze orientuje się w niuansach polityki.

Pochylił głowę, wyjął długopis. Współ ze starszymi kolegami doszedł do wniosku, że słabością Winstanleya jest, iż zmienia zdanie w zależności od tego, z kim ostatnio rozmawiał. Jednakże tego rodzaju postawa nie była urzędnikom nie znana i umieli sobie z nią radzić.

- Panie ministrze, sądzę, że musimy szybko ustalić właściwie kryteria sprzedaży. Wydaje mi się, że bankierzy, zarówno Gruhners jak i Fredericks, szukają wskazówek postępowania i bez kryteriów nie ruszą. Czy spiszemy prowizoryczną listę, by miał się pan nad czym zastanowić?

- No, bardzo by się przydała. - Winstanley miał trochę nieprzytomny wyraz twarzy, lecz z wyraźną ulgą przyjął sposób rozwiązania problemu. - Chyba powinniśmy też zdecydować, które są najważniejsze, uporządkować je w jakiś sposób.

- Tylko bardzo luźno. Całkiem niewykluczone, że dojdzie pan do wniosku, że trzy czy cztery kryteria są równie ważne i

górują nad pozostałymi. I tak to spisujemy - Clive, prawdziwy profesjonalista, sporządzał notatkę. - James spróbuje się z tym uporać, ja przejrzę wersję roboczą, ale najważniejsze kryteria w dowolnej kolejności to: tempo sprzedaży, cena, dobry gospodarz. Utrzymanie lokalnego zatrudnienia i poszerzenie akcjonariatu w drugiej kolejności. Jeśli okaże się to konieczne, każdy, w tym Public Accounts Committee dostanie, czarno na białym, dlaczego nie przyjęliśmy po prostu najwyższej oferty - takie były kryteria, rozumiecie. I to bankierzy - nie my - wyjaśnią, dlaczego wybrali te, a nie inne spośród kilku kryteriów, z których przynajmniej dwa wykluczają się nawzajem.

Wycofał się, zostawiwszy Winstanleya w o wiele bardziej różowym nastroju niż na początku rozmowy. Wezwał Jamesa i podał mu ramowe wytyczne.

- Czysta robota. - James wyszczerzył zęby w uśmiechu.
- Zasada stara, ale nadal użyteczna - zgodził się Clive. - Chciałbym to dostać jutro. Potrzebujemy kawałka wprowadzenia. Ja je machnę, wiem, co napisać. Poustawiaj jak trzeba te kryteria. Gdybyś utknął, wpadnij, będę od wpół do czwartej.

**W**yszedł przed ponure gmachy ministerstwa przy Marsham Street, po której jak zwykle nie poruszał się żaden publiczny transport. Służba cywilna nie korzysta z udogodnień, które są zwykłym atrybutem świata interesów; nikt poniżej stałego sekretarza nie ma auta z kierowcą i nikt, ale to nikt nie dostaje samochodu do prywatnego użytku. W rezultacie wyżsi urzędnicy - przynajmniej z Ministerstwa Środowiska - zwykle spóźniają się na lunch poza stałym miejscem pracy. Marsham Street jest sporadycznie obsługiwana przez linię autobusową nr 88. Od dawna w ministerstwie wierzono święcie, że na końcowych przystankach odbywa się kurs karciany, dla kierowców i konduktorów, bo tylko to tłumaczyło, dlaczego 88-ki jeżdżą wyłącznie parami w piętnastominutowych odstępach.

Clive pojawił się w biurach Smitha Butlera tylko nieznacznie



spóźniony. Przez piętnaście lat ani razu nie zawitał do tego sympatycznego zakątka Lincoln's Inn Fields ani do przestronnego gmachu, którego szerokie schody przemierzał przez rok po kilka razy dziennie. Na dobrą sprawę nie żywił niechęci do aplikantury, ale wiedział, że nie jest dla niego. W Ministerstwie Środowiska - przeciwnie, z miejsca poczuł się na właściwym miejscu; tu natomiast często doznawał wrażenia obcości i czuł się niekompetentny. I zapewne część tych wrażeń zrodziła się z winy dziesięcioletniej gospodyni. Tym razem prędzej mnie diabli porwą, niż dam się stłamsić - zdecydował. Był prawie najmłodszym podsekretarzem w służbie cywilnej, z pewnymi widokami na najwyższe stanowiska, a jego kochanka była ładniejsza niż Caroline Henriques. Był tak pogrążony w myślach, że minął recepcję nie zatrzymując się. Został uprzejmie przywołany i zidentyfikowany. Czekał dodając sobie animuszu, przygotowany na jakąś irytującą wypowiedź Caroline, ale zjawiała się niemal natychmiast, uśmiechnięta, i ucałowała go. Niechętnie przypomniał sobie, że zawsze była punktualna i tym trudniej przeżyła się jej zagrywki szesnastu lat temu.

- Jak to miło z twojej strony, że wpadłeś, Clive. Michael Appleton, który bardzo chce znowu się z tobą spotkać, zajmuje miejsce gospodarza. Jest teraz głównym wspólnikiem. Poza mną jest czterech wspólników. Poznasz ich. Gości jest pięcioro. Mam nadzieję, że Susie dała twojej sekretarce listę uczestników. Dobrze.

Pochlebiali mu, że znalazł się po prawej ręce wspólnika zarządzającego. Z drugiej strony miał Caroline. Pozostali goście tworzyli mieszaną grupę, ale wyższą od niego stanowiskami, byli wśród nich dwaj główni dyrektorzy sporych przedsiębiorstw. Wymieniając uprzejmości z Michaeliem Appletonem ocenił, że starannie dobrano towarzystwo; co najmniej dwóch gości interesowało się sprawami będącymi w gestii Ministerstwa Środowiska i Clive, aż do zeszłego roku szefując biuru sekretarza stanu, był dobrze przygotowany do rozmowy. Prawdę powiedziawszy, rozmawiał tak długo, że spóźnił się na posiłek, gdyż wszyscy skończyli główne danie i zastanawiał się, czy po prostu nie zrezygnować z obiadu.

Caroline poruszyła inny temat, który jeden z dyrektorów poczuł się zobowiązany kontynuować, i Clive zdołał skończyć wspaniale przyrządzonego kurczaka. Jedząc myślał o Caroline; nie przypominał sobie, by dawniej była delikatna lub grzeczna. Szarogęsiała się jak cholera, ale szesnaście lat może bardzo zmienić człowieka.

- Obudź się, Jerry, rozlej wino - niecierpliwie skarciła przy-ciszonym głosem kolegę. Ten szybko wypełnił obowiązek i Clive uśmiechnął się szeroko. Poczul się pewniej. Miał przyjemną świadomość, że gdyby teraz tak odezwała się do niego, wręczyłby jej butelkę i kazał samej nalewać. Padła nazwa Prior i za-strzygł uszami. Spojrzał pytająco na Michaela Appletona.

- Przepraszam, nie zdążyłam powiedzieć Clive'owi - odezwała się bez cienia wyrzutów sumienia w głosie Caroline. - Właśnie zostaliśmy wybrani do reprezentowania Prior Building Systems. Skoro NEB otrzymała polecenie sprzedania Prior, wydawało się właściwe, by przedsiębiorstwo miało innych doradców prawnych niż sama NEB. I to my jesteśmy tymi doradcami, czy też raczej ja. Dobrze wiem, że wchodzimy na twój obszar, i niniejszym deklaruję zainteresowanie kupnem, zanim ktokolwiek inny zgłosi chęć przejęcia firmy.

Clive był dobrze obeznany z podobnymi sytuacjami i wcale nie stracił głowy. Jak większość wysokich urzędników służby cywilnej godził się z tym, że deszcz zaproszeń na lunche i natrętne wypytywanie o kierunki działań rządu, za których realizację był odpowiedzialny, to część jego pracy. Jednakże czuł i niską radość, że Caroline jest zmuszona szukać u niego pomocy. Tej radości towarzyszył przelotny żal, iż nie tylko dla jego pięknych oczu zdecydowała się odnowić starą znajomość.

- To dlatego byłaś wtedy na konferencji.

- Po części. Byłam tam po to, żeby jak zawsze sprawdzić, czy nie ma jakichś okrucichów do skubnięcia.

- Niezbyt to ładnie tak mówić o prezie Electricity Council - zręcznie przyciął jej Clive, zauważywszy, że przed lunchem przywitała wzmiankowanego dygnitarza pocałunkiem.

Zaskoczona wybuchnęła śmiechem i zakrztusiła się biszkop-tem. Zachwycony Clive klepał ją po plecach i z udawaną troską częstował wodą. Kaszłała i krztusiła się. Dwóch współników ze Smitha Butlera obserwowało tę scenkę z niemym podziwem i Clive uśmiechnął się do nich szeroko.

- Naturalnie, miał pan praktykę razem z Caroline, prawda? - spytał z zazdrością w głosie jeden z nich i Clive kątem oka ujrział, że Michael Appleton uśmiecha się jak pozostali.

Caroline doszła do siebie, napomniwała groźnie współników, by zajęli się własnymi sprawami, po czym spojrzała z zainteresowaniem na Clive'a.

- Czego dotyczą twoje rady, Caroline? - spytał ją cicho, niesłyszalnie dla reszty, która rozmawiała na kilka tematów naraz.

- Organizacji wykupu. Rzecz jasna, nie dysponuję innymi danymi poza dostępnymi publicznie; zaczęłam od oznajmienia kierownictwu, że nie może podawać mi żadnych danych bez pozwolenia NEB.

- Bardzo ortodoksyjne podejście.

- Bardzo ostrożne podejście. Kierownictwa już leciały za takie sprawy. - Zawahała się. - W tych warunkach zakładamy - to znaczy ja i chłopaki - że będziemy mogli złożyć przyzwoitą ofertę wykupu przedsiębiorstwa, jeśli twój szef nie zdecyduje się wypuścić akcji firmy na giełdę.

- Jak do tej pory nie została wydana żadna decyzja przekreślająca dopuszczenie notowań akcji przedsiębiorstwa na giełdzie - rzekł sztywno.

Pełne wrogości zniecierpliwienie, które zabłysło w jej oczach, sprawiło, że poczuł się szesnaście lat młodszy, ale nie dał się zbić z tropu.

- To przedsiębiorstwo ma dobre prognozy. Jest na tyle duże, że może być notowane na giełdzie - podkreślił.

- Ma kompletnie przesrane dorobek. I nigdy nie namówisz tych tępaków z banków rembursowych, żeby gwarantowali emisję papierów, chyba że w Ministerstwie Środowiska jest Gwiazdka i będziecie rozdawać akcje darmo, ładnie opakowane, o co was nie podejrzwam.

Zacisnął mocno zęby, żeby nie uśmiechnąć się szeroko na to brutalnie szczere podsumowanie skrupulatnych rad bankierów.

- Caroline, moja droga - w głosie Michaela Appletona zabrzmiała dezaprobata. - Jak widzisz, Clive, nadal mamy kłopoty z jej językiem.

- Tak, ale wszyscy jesteście z niej zadowoleni i bardzo dobrze potraficie się z nią obchodzić. Znalazła tu swój dom, tak jak ja w służbie cywilnej.

- Wydajesz się zadowolony ze zmiany, której dokonałeś przed laty, czy mam rację, Clive? - spytał cicho Michael Appleton.

- Absolutnie. - Zawahał się szukając słów na opisanie tego, co znalazł, bez pomniejszania Smitha Butlera, lecz Caroline podrażniona męską protekcyjnością odezwała się pierwsza.

- Jasne, że mu się tam podoba, Michael. Tkwi w centrum pajęczyny i snuje nitki.

- Nie dostajemy tyle pieniędzy co wy - odplacił się Clive i zaklął w myślach, aż za dobrze pamiętają spory z czasów, kiedy byli aplikantami.

- Nie, ale nie musicie się tak zwijać jak my. Najprościej mówiąc, my przez cały czas sprzedajemy, podczas gdy wy, chłopaki, stale kupujecie. I na emeryturze dostajecie góry forsy dzięki posadkom w radach nadzorczych całego znacjonalizowanego przemysłu.

Michael Appleton zamknął na moment oczy, jakby się modlił, i Caroline to zauważyła. Urwała, odetchnęła i z energią zmieniła temat dyskusji.

Clive, który z każdą chwilą czuł się coraz lepiej, świadomie zdecydował się pomóc Caroline; położył rękę na jej dłoni i rzekł:

- Więc opowiedz mi o tych chłopakach z Prior. Jak ich poznałeś?

Spojrzała podejrzliwie na jego dłoń.

- Petera Burwooda poznałam na przyjęciu. Zaczęliśmy rozmawiać. Zastanawiał się wtedy, jak podejść NEB i ogólnie biorąc, co zrobić.

- I wzięłaś go?

- No, poznałaś go. On nie z takich, którzy dają się wziąć.

- Więc wzięliście się nawzajem? - Musi ostrzec Winstanleya, że kierownictwo Prior zdobyło znakomitego sojusznika.

- Już raczej tak. - Uśmiechnęła się do niego rozbawiona i - jak sobie to uświadomił z przyjemnością - pełna szacunku.

- Clive. Czy możesz mi powiedzieć... nie rób tego, jeśli nie możesz... czy decyzja jest blisko? Mam na myśli decyzję o wystawieniu akcji firmy na giełdę. Dla Petera i dla nas byłoby o wiele łatwiejsze, gdybyśmy wiedzieli, kiedy wyścig się zacznie... i czy się zacznie.

Clive rozważył pytanie i doszedł do wniosku, że uczciwość nie pozwala mu ostrzec Caroline, iż jego minister rozważa sprzedaż łączną Prior wraz z pozostałymi przedsiębiorstwami budowlanymi, co oznaczałoby, że kierownictwo zostanie na lodzie. Przecież zawsze mogłoby próbować dobić targu z kupującym. Nikt jeszcze się nie zastanawiał nad ogłoszeniem sprzedaży, ale jeśli ministrowie chcieli to uczynić formalnie w Izbie, należało traktować ze szczególną uwagą prośby o informację. Zdradzenie się z czymkolwiek przedwcześnie byłoby złamaniem „przywileju parlamentu”, co spowodowałoby zawieszenie lub prawie zawieszenie oferty dla wszystkich zainteresowanych. Natomiast zgranie w czasie niekoniecznie musi być tajemnicą państwową. Rutynowo zostawił sobie luz, mówiąc:

- Za jakieś kilka tygodni ogłosimy publicznie ofertę sprzedaży. - Przyłapał się na tym, że zastanawia się niespokojnie, czy Caroline domyśla się, kiedy faktycznie może to nastąpić.

- Dzięki. Ta informacja się przyda, i to bardzo, przy planowaniu pracy kancelarii. Kierownictwo Prior to nie mój jedyny klient. I jeśli zostanie dopuszczone do przetargu, muszę poszukać jakichś inwestorów.

- Peter Burwood nie zamierza skorzystać z doradztwa banku?

- Powiedziałam mu, że to niepotrzebne. Ja w połączeniu z dobrym centrum kapitału inwestycyjnego, działającym w roli inwestora strategicznego, wystarczymy w zupełności. Załatwiłam dużą transakcję na tej zasadzie i chyba skorzystam z tych samych facetów. Bank przysporzy tylko zamieszania i dodatkowych kosztów.

Zauważył w jej pewności siebie nowy element - szczyptę zdrowego rozsądku. Caroline Henriques zawsze była pewna siebie, ale jak instruktor spadochroniarstwa zapewniający wszystkich nowicjuszy, że skok to „żadna sprawa, ruszajcie się, każdego na to stać!” Teraz na swój sposób była jeszcze bardziej wyzywająca niż za młodu. Oceniał ją z uwagą, starając się nie pokazać, że z całego serca zgadza się z jej poglądami na dublowanie zespołów doradców. Rozluźniony popijał kawę.

- Clive, czy cena będzie podstawowym kryterium w tych prywatyzacyjnych sprzedażach?

Mogłem się spodziewać, że ta uparta baba nie przestanie wiercić dziury w brzuchu - pomyślał parząc sobie język. Odstawił filiżankę, wziął miętową czekoladkę, żeby zyskać czas do namysłu.

- Jeśli spojrzysz na ostatnią dużą sprzedaż, przekonasz się, że poza ceną inne względy odgrywały poważną rolę.

- Na przykład jakie?

Zirytowany przypomniał sobie, że kłopot z Caroline polegał na tym, iż nie dawała ci czasu, nie nadużywała słów, w związku z czym od razu wyrastał przed tobą następny płotek do przeskożenia.

- Och, jest ich kilka. Możliwie najszybszy powrót przedsiębiorstw do sektora prywatnego, stabilizacja sytuacji w firmie, potrzeba utrzymania lokalnego zatrudnienia i ogólna polityka rządowa poszerzania akcjonariatu.

Jeśli minister będzie kontynuował obecnie przedstawiony plan działań, to przecież Caroline i tak zobaczy bardzo zbliżoną listę kryteriów. Clive dowiedział się od szefa biura Winstanleya, że minister ma być na kolacji u Friernów w przyszłym tygodniu, więc przygotuje się go, aby powiedział coś bardzo podobnego Matthew Friernowi.

- Ach. Więc wypadałoby się przyszykować do działania z prędkością światła i nie brać zbyt wysokich pożyczek na podniesienie produkcji, bo chłopaki z forszą gotową do inwestowania mogą się nami nie zainteresować. Lokalne zatrudnienie i tak zapewniamy, a już powiedziałam moim chłopakom, że akcje oprócz kierownictwa powinni też kupić pracownicy. Więc

wszystko gra, ale co będzie, jeśli jakiś kupiec z branży zaproponuje dwadzieścia pięć procent więcej?

- Będzie ciężko. Słyszałaś o Public Accounts Committee?

- Tak. To znaczy wiem, czym się zajmuje. Natomiast nie za bardzo wiem, jak jest ważny.

Clive zdał sobie sprawę, iż większa część siedzących przy stole mniej czy bardziej otwarcie słucha, i uznał, że wypadłoby palnąć Wykład o Podstawowych Prawach i Obowiązках Obywatelskich.

- PAC jest komitetem składającym się z ostatnich posłów obu głównych partii i posła partii liberalnej, jeśli uda się takiego wytrzasnąć. Strona rządowa zawsze przewyższa opozycję, ale nie więcej niż o jedną czy dwie osoby. Jak wszystkie komitety Izby, PAC ma tę władzę i przywileje, którymi dysponuje sam parlament. Jest to stały komitet, to znaczy obraduje nieprzerwanie \*. - Zrobił pauzę na uprzejmy śmiech. Caroline nie uznała za konieczne się do niego przyłączyć. - Może zajrzeć wszędzie tam, gdzie w grę wchodzi publiczne pieniądze. I jeśli mu się spodoba, może wezwać każdego, w tym wyższych urzędników służby cywilnej i ministrów, i zażądać wyjaśnień.

\* Gra słów, dosł. Jest to s t o j a c y komitet, to znaczy bez przerwy s i e - d z i ”.

- Czy to się odbywa publicznie?

- Niekoniecznie. Ale ma to znaczenie co gorsza, w połowie przypadków zwykle odpowiadasz za nie swoje zbrodnie, to znaczy gość, który się tłumaczy, ponosi bieżącą odpowiedzialność, a tego, który miał ją w chwili wyniknięcia problemu, dawno nie ma.

- To samo jest w kancelariach prowadzonych przez kilku współników - zauważył przysłuchujący się z wielkim zainteresowaniem Michael Appleton. - Ale ogólnie biorąc, to dobry zwyczaj ze względów taktycznych.

- Powiedzmy: „To zapewne Pyszałek, mój współnik, zajmował się tym przypadkiem. Zachodzę w głowę, dlaczego uważał za konieczne zredagowanie umowy w tej formie?”

- Zgadza się. Potem idziesz, wyciągasz Pyszalka z ukrycia pod ławką w Izbie Lordów i wyduszasz z niego prawdę - śmiał się Michael. - Kiedy ja miałem aplikację, wiele zwałało się na szkody wojenne.

- Och, zapomniałem. My oczywiście musieliśmy już z tego zrezygnować. Prawdę mówiąc, biuro nie zostało zbombardowane - wyjaśniał ogólnie siedzącym przy stole Michael - ale skwer tak, w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim. Główny wodociąg pękł, połowa suterenu po tej stronie była zalana i musieliśmy wyrzucić masę akt. Przyszedłem tu dopiero w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym, ale wciąż znajdowaliśmy teczki tak beznadziejnie sklezione, że diabeł by ich nie rozdzielił, co dopiero człowiek. Wszystko, czego się nie dało znaleźć, zwalano na wojnę.

- Pamiętasz Lawrence'a, Clive? - spytała Caroline. - Nie był zbyt lotny, teraz prowadzi gdzieś klub golfowy. Kto to przypomniał mu, że dokument z późnych lat pięćdziesiątych z definicji nie mógł zostać zalany podczas potopu?

- Ty - odparł Clive szczerząc zęby. - Ale i wtedy nie od razu zrozumiał, w czym dowcip.

Michael ukrócił te kpiny wyjaśniając zaintrygowanym słuchaczom, że dawno temu, na początku lat sześćdziesiątych, kancelarie radcowskie przyjmowały na aplikację młodych mężczyzn, którzy poza tym, że byli krewnymi szacownych klientów, nie reprezentowali sobą niczego. Caroline spojrzała na niego z taką naganą, że był zmuszony spytać, czy źle się wyraził.

- Nie, Michael, masz rację. Tylko że automatycznie użyłeś słowa „mężczyźni”. Nikt wtedy, ani teraz, nie bierze głupich córek szacownych klientów.

- Och, nie wiem - rzekł z zastanowieniem Michael. - Byłście tu razem z Lucy Lindfield, no nie?

- Ona wcale nie jest głupia. Po prostu tu nie pasowała - zaprotestowała Caroline. - A zresztą i tak wzięliście ją z innych powodów. Moja przyjaciółka Lucy - zwróciła się do całego stołu - była i jest nieprzeciętnie ładna. Mężczyźni przyjęliby ją wszędzie, gdziekolwiek by chciała. Gdyby zapragnęła uczyć się fizyki nuklearnej, na pewno jakiś instytut przyjąłby ją z rozkoszą.

Clive, który przez chwilę siedział cicho jak mysz pod miotłą,



okazał zainteresowanie.

- Nie była prawniczką, to pewna. Co powinna robić, Caroline?

- Malować. Z łatwością została najlepszą plastyczką w szkole, a mieliśmy kilka naprawdę zdolnych osób. Och, powinna prowadzić galerię. Ma z natury cudowny smak, dobre oko i przy zakupie każdy by zaufał jej sądowi. Ale ojciec Lucy, stary dinozaur, nie chciał, żeby poznała się z lachmaniarzami z akademii sztuk pięknych, i uznał, że prawo to coś poważnego i godnego szacunku.

- No cóż, przynajmniej czegoś ją nauczyliśmy. - Michael Appleton, wyrobiony gospodarz, dostrzegł oznaki zniecierpliwienia przy drugim końcu stołu i zakończył lunch. Podziękował wszystkim za przybycie, a tym, którzy zostali, zaproponował drugą filiżankę kawy.

Clive niechętnie uznał, że lepiej zrobi wracając, i Caroline odprowadziła go do schodów.

- Dzięki za przybycie, Clive. Czy po ogłoszeniu sprzedaży mogę wpaść do ciebie i pogadać? Wykup przez kierownictwo lub pracowników byłby bardziej politycznie wskazany, czy nie tak? Wiesz, poznałam w pociągu Gerry'ego Willshawa, którego okręg wyborczy jest tuż obok, i wyglądało, że Willshaw tak sądzi.

Clive zrozumiał, kto zapewne nawiązał kontakt z jego ministrem.

- On jest politykiem, Caro. Jest gotów zgodzić się ze wszystkim, co mu powiesz.

Popatrzyła na niego z powagą i zastanowieniem.

- Chcesz powiedzieć, że nie umie powiedzieć „nie”?

- W interesie polityków nie leży sprzeciwianie się jakiegokolwiek propozycji, chyba że są na to absolutnie skazani.

- To musi odnosić się tylko do tej partii. Nikt z laburzystów nie ma nic przeciwko temu, żeby sprzeciwić się jakiegokolwiek propozycji, również takiej, z którą zgadzał się w zeszłym tygodniu.

- Tak, ale tylko wtedy, kiedy biorą się za łby między sobą, nie wtedy, kiedy mają do czynienia z wyborcami - zauważył.

- Chyba nigdy nie widziałam ich przy czymś innym niż wzajemne darcie pierza.

- To nie różni się od tego, co było w Hampstead, no nie? Jak twój tato?

- Jak zwykle zajęty filozoficznymi idiotyzmami. Teraz praktyczną polityką zajmuje się głównie Caspar, jeśli przynależność do laburzystowskiego oddziału w Hampstead można określić tym terminem. Felix musiał przestać politykować. Był jedynym członkiem rodziny naprawdę zainteresowanym polityką a ponieważ obecny rząd jest przekonany, że BBC to wylęgarnia komuchów, nie zniósłby go w aktualnościach, gdyby był chociaż trochę aktywny. A Marcus jest w Doncaster. Wystarczy o nich, opowiedz mi o sobie.

- Jestem rozwiedziony. Mam dwoje dzieci - dziesięcioletnią dziewczynkę, ośmioletniego chłopca. Widzimy się co drugi weekend.

- Jest ci ciężko?

- Tak. Sprzedaliśmy dom, moje mieszkanie jest przyciasne i z dziećmiakami jest niewygodnie w Londynie. Ale dajemy sobie radę.

- Ja też nie za świetnie radzę sobie z moimi weekendami - zauważyła Caroline, w typowy dla siebie sposób przyznając się do słabości. Zawahała się. - Miałbyś ochotę spotkać się z moimi rodzicami? Zawsze w niedzielę kończy się tak, że lądujemy u kogoś w domu na lunchu, bo dzięki temu moja trójka regularnie spotyka się z kuzynami, wujkami i dziadkami, ale prawdę mówiąc, jest znacznie przyjemniej, jeśli uda się nam ściągnąć kogoś spoza rodziny - wiesz, jak to jest. Nie w tym, ale w przyszłym tygodniu przypada moja kolej i jeśli tak się złoży, a nawet jeśli się nie złoży, że twoje dzieci będą z tobą to rozładujecie trochę rodzinną atmosferę.

- Z tą dodatkową trójką nie będziesz miała za dużo dzieci?

- Zwykle jest nas nie więcej niż dziesięcioro lub dwanaścioro. Zwykle przychodzi Caspar, który ma dwójkę trochę starszą od moich, plus rodzice. Marcusa nie ma w Londynie. Żona Felixa nie przepada za nami... cóż, rozumiem, co czuje... więc on wpada tylko czasami. Ale jeśli przyjdą wszyscy i nasz tłum będzie liczył... ilu to?... siedemnaścioro, to po prostu dwa razy

nakryję do stołu, najpierw dzieciom, potem dorosłym. Wszystko będzie dobrze.

To przyjemność - pomyślał ze smutkiem Clive - chmara ludzi, dzieci, zamiast pływalni i lunchu „U Garfunkela”. Popływać zawsze można. I chociaż nigdy by się do tego nie przyznał Caroline, żywił wielki podziw wobec profesora sir Sholto Henriquesa, którego analizy problemów politycznych stojących przed demokratycznym rządem, zmieniły w latach studenckich cały pogląd Clive'a na świat.

- Czy naprawdę nie sprawimy kłopotu? - spytał powstrzymany wspomnieniem matki czerwonej z zakłopotania, starającej się wygospodarować obiad dla niespodziewanych gości, kuzynki z trójką dzieci.

- Skądże. Mówimy o szesnastym lutego, tak? - Szybkim ruchem otworzyła kalendarzyk i opierając się o balustradę zrobiła zapis. Clive pomyślał, że Caroline pasuje jak ulał do imponujących schodów, wcale nie zdziwiłby go widok służby gotowej na przyjęcie pani. Gdy schodził, zatrzymała go pewna myśl.

- Wiesz, że Friern jest wśród starających się o Prior?

- Chłopaki mi powiedziały. Jak sądzisz, ma poważne zamiary?

Zawahał się niepewny, powstrzymany wspomnieniem o niedawnym wspólnym lunchu Lucy i Caroline.

- Na tyle poważne, że zgłosił swoje zainteresowanie w ministerstwie - znalazł odpowiednią formułę.

- Mhm. Dzięki. Spytam Lucy. - Uśmiechnęła się do niego kpiąco.

- Widzimy się szesnastego lutego - rzekł stanowczo i poszedł w kierunku stacji metra przy Holborn.

## Rozdział dziewiąty

**C**aroline? Peter Burwood.

Gdy przed chwilą okazało się, że nie ma sekretarki, podbiegła do telefonu, lecz kiedy podniosła słuchawkę, przez chwilę czuła zawód tak potężny, że nie mogła wykrztusić słowa. Spodziewała się Gerry'ego Willshawa. Opanowała się.

- Właśnie o tobie myślałam - mówiła szybko, żeby pokryć rozczarowanie. - Właśnie miałam lunch z urzędnikiem, który zajmuje się waszą sprawą, Clive'em Fieldmanem. Mówiłam mu o tobie. Jest zupełnie jasne, że Ministerstwu i NEB odradzono wypuszczenie waszych akcji na giełdę. I jest równie jasne, że są gotowi wziąć pod uwagę inne czynniki niż cena, na przykład utrzymanie lokalnego zatrudnienia i poszerzenie akcjonariatu, a wszystkie te elementy grają na naszą korzyść.

Zapanowała cisza i Caroline poniewczasie przypomniała sobie, że Peter przemyśla wszystko powoli i starannie i że to on do niej zadzwonił.

- Przepraszam, Peter. Jakie wieści?

On jednak skupił się już na tym, co właśnie usłyszał.

- To dobrze. Czy mówił, o ile ważniejszy będzie dla nich akcjonariat pracowniczy niż cena?

Peter był uparty i w danej chwili myślał tylko o jednym - wspaniałe cechy u dyrektora firmy przeżywającej ciężkie chwile, ale utrapienie, kiedy chciało się zmienić temat. Tymczasem

Caroline zapomniała w zdenerwowaniu, że podczas weekendu Gerry odwiedzał budowy Petera.

- Nie wspominał o tym - odparła trzymając nerwy na wodzy.  
- Byłabym zdziwiona, gdyby zostało to ustalone. Na razie wystarczy, że przyjęli kryteria; to dla nas bardzo pomocne. - Zrobiła pauzę.

- Przepraszam, powinnam zacząć od tego, że ministerstwo w ciągu następnych kilku tygodni ogłosi przetarg. Słowa Clive'a.

- To korzystne - ostrożnie ustosunkował się do tego głos po drugiej stronie słuchawki. - Zastanówmy się, Caroline. Co możemy zrobić, żeby wyskoczyć przed pozostałych? Przed ogłoszeniem jakiegokolwiek decyzji, o to mi chodzi.

- Też się nad tym zastanawiałam.

W każdym razie w dwie minuty po rozpoczęciu tej rozmowy - pomyślała samousprawiedliwiająco - ale przecież były inne rzeczy, które najpierw musiałam rozważyć.

- Sugeruję, że warto byłoby się spotkać z szefem transakcji - gościem, który zorganizuje inwestycje w postaci akcji - i jego zespołem. Nie możemy podać im żadnych liczb, ale przynajmniej obejrzą budowy i zorientują się w sytuacji. A gdybyście znienawidzili się od pierwszego wejrzenia, będę miała czas znaleźć kogoś innego.

- To będzie dobra transakcja, Caroline. Nie zamierzam pracować z kimś, kto nie przypadnie mi do gustu. Czy nie moglibyśmy spotkać się z kilkoma zespołami i dokonać wyboru?

Westchnęła w duchu. Typowe, na początku tych wykupów kierownictwo ze łzami wdzięczności w oczach dziękowało każdemu, kto był gotów zainwestować forszę. Następnie szybciej lub wolniej dochodziło do wniosku, że inwestorzy będą walili drzwiami i oknami, i żądało przedstawienia sobie kilku grup. Zgarbiła się przy telefonie. Woląaby odbyć tę rozmowę bezpośrednio.

- Rzecz w tym, Peter, że faceci z kapitałem inwestycyjnym są trochę inni niż bankierzy rebusowi, ludzie z *public relations* czy prawnicy mojego pokroju pracujący na zlecenie. Gdy się wybiera kogoś z nas, prowadzenie rozmów kwalifikacyjnych ma sens. My sprzedajemy usługi, więc liczymy się z tym, że

będziecie wybrzydzać. - Rezolutnie zignorowała fakt, że Peter wybrał ją po pierwszym spotkaniu. Taktownie uznała, że rozmawiał z innymi. - Ale ludzie dysponujący kapitałem inwestycyjnym kupują, nie sprzedają. Oni mają coś - w tym wypadku gotówkę - co jest potrzebne tobie i musisz traktować ich w inny sposób, zwłaszcza że nie możemy podać żadnych liczb. Jeśli przedstawimy tę transakcję kilku różnym osobom, każda pomyśli, że ktoś nas odrzucił. I jesteśmy ugotowani.

Po drugiej stronie linii zapanowała długa, wyrażająca brak przekonania cisza.

- Najdroższy Peterze - powiedziała Caroline wkładając w słowa całą duszę. - Zaufaj mi. Ostatnim razem ta taktyka zaowocowała. Mogę sprowadzić ci mojego kolegę, Hamisha Browna, który zarządza bardzo przyzwoitej wielkości funduszem w całości przeznaczonym na wykupy i który ma powód, aby ufać moim klientom. Jeśli go znienawidzisz, to oczywiście będziemy musieli spróbować u kogoś innego, bo powinniście się polubić od pierwszego wejrzenia. - Wsparła głowę na ręce. Usiłowała przegonić z wyobraźni obraz Petera chodzącego po City z propozycją transakcji, wyjaśniającego, że się tylko rozgląda. Wszyscy spryciarze z City przyglądają się mu nie kiwnąwszy palcem i informują się wzajemnie, ledwo wyjdzie za próg.

- Muszę to obgadać z pozostałą dwójką - rzekł w końcu.

Caroline ciężko odetchnęła z ulgą. Przynajmniej Martin ją zrozumie. Cichcem zadzwoni do niego do domu i omówi, co trzeba. Z taką sprawą nie ma się co zdawać na przypadek.

- Znakomicie, Peter. Ale wkrótce należy sprowadzić ci ludzi albo ty przyjedziesz tu na naradę - obojętne. Clive podał maksymalny czas oczekiwania na ogłoszenie o sprzedaży. Może ono nastąpić za dwa lub trzy tygodnie. W każdym razie przepraszam. Zamieszałam ci w głowie. To ty miałeś do mnie sprawę. - Zerknęła na zegarek. Serce ścisnęło się jej w piersiach. Gerry zapewne był w drodze do Izby i mało prawdopodobne, by zadzwonił z samochodu, w którym siedzą szofer i szef biura. Odsunęła na bok te rozważania i skupiła się na słowach Petera.

- ...żeby Martin i Graham też posłuchali. Już przełączam na głośnik, czekaj.

Rozbawiona słuchała serii trzasków i przekleństw. Nigdy nie zdołała opanować tajników posługiwania się swoim hipersuper-nowoczesnym telefonem i była zachwycona faktem, że nieskończenie bardziej od niej kompetentny w sprawach techniki Peter Burwood też jest bezradny.

- Twój przyjaciel, Gerry Willshaw, był tu w sobotę.

- Och, świetnie. Przypadliście sobie do gustu?

- No cóż, oprowadziliśmy go po Eastleigh - największej budowie, tej, którą ty obejrzałaś. Był ładny dzień, wszystko szło jak po maśle, po czym jeden z łańcuchów żurawia poszedł i wszystko stanęło.

- O rany.

- Nie, nie. Willshaw powiedział, że to jego wina. Ledwo został ministrem, zawsze coś nawala podczas jego wizyty; wystarczy, że się pojawi, pociągi stają, lotniska są zamykane. Tak mówił. Fajny gość, pogadał z każdym. Musiało to nas kosztować sporo roboczogodzin na budowie.

- Zawsze znajdziesz dziurę w całym! No, ale przecież żuraw i tak stanął.

Martin i Graham śmiali się.

- Willshaw był bardzo przyjacielski - wtrącił się Graham. - Najwyraźniej ma o tobie jak najlepsze zdanie.

- No, miło mi się z nim rozmawiało. Pewnie nie poznał innej kobiety prawnika. - Uśmiechnęła się do słuchawki, bardzo podniesiona na duchu i rozbawiona oczywistym faktem, że Gerry wywarł wrażenie na Burwoodzie.

- Sekretarki oszalały na jego punkcie - dodał sucho Martin. - Są dwie, mają tylko robić kawę i przyjmować telefony. Mówią o nim na okrągło.

Wcale mnie to nie dziwi - pomyślała. Ze zdumieniem poczuła przyływ niewątpliwej zazdrości.

- Caroline? - Peter przejął kontrolę nad rozmową. - Jego zdaniem akcjonariat pracowniczy jest bardzo ważny. Rząd będzie się starał do tego zachęcać i Willshaw osobiście udzieli tej

polityce silnego poparcia.

- To dopiero może się nam przydać! Willshaw nadaje temu większe znaczenie niż Clive. Musimy na to zwrócić szczególną uwagę.

- Szkoda, że to Winstanley, nie Willshaw siedzi w Ministerstwie Środowiska - zauważył Martin.

- Nie może być wszędzie - rzekła stanowczo, zahipnotyzowana mrugającym światelkiem na aparacie, co znaczyło, że sekretarka ma kogoś na linii i usiłuje zwrócić uwagę Caroline. - Peter, słuchaj, czekałam na telefon i chyba się doczekałam. Mogę do ciebie zadzwonić? Czy Willshaw mówił coś ważnego? Tak, jeśli mógłbyś przysłać notatkę, byłabym wdzięczna. Pogadamy później. - Skończyła tę rozmowę i sekretarką szepnęła jej do ucha:

- Pan Willshaw, Caroline.

- Dzięki, Susie. Cześć.

- Boże, ale ciężko cię dopaść. Dzwoniłem w niedzielę wieczór, ale było zajęte.

- To prawda. Moja piekielna rodzinka. Jedno po drugim. Muszę założyć drugi numer.

- Słuchaj. Teraz idę do Izby. Dziś wieczór jestem wolny. Umówiłem się z gościem z opozycji, że nie głosujemy. Czy ty możesz?

- Tak.

- Znakomicie. Zamówiłem stolik w „Seeleys”. Edgington Street. Możesz tam dojechać na wpół do ósmej?

- Tak, oczywiście.

- To do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę. Potrząsnęła głową, zdumiona tym, co się z nią dzieje już od dwóch tygodni, od chwili poznania Willshawa. Żywo pamiętała, gdy w Oxfordzie w podobny sposób straciła głowę dla pierwszego kochanka. Z Benem nigdy tak nie było, nigdy nie czuła się, jakby żyła na innej planecie, cierpiąca na bezsenność, głodna, ale pozbawiona apetytu, kiedy siadała przy stole, na przemian opryskliwa i nadmiernie pobłażliwa wobec



dzieci. Siedziała przy biurku wlepiając wzrok w najlepszy jedwabny kostium zawieszony na drzwiach gabinetu, myślała o Gerrym Willshawie. Zostawił ją bez tchu po pierwszym wspólnym lunchu i zadzwonił trzy godziny później umawiając się na drinka w tygodniu. Tym razem była wcześniej, dręczona niepokojem, i mogła dokładnie mu się przyjrzeć; znów zjawiał się bez płaszcza, kasztanowe włosy miał krótsze, niż pamiętała, zatrzymany został dwukrotnie przez znajomych lub wielbicieli, gdy szedł ku niej. Zaprowadził ją do narożnego stolika, zamówił dżin z tonikiem, który piła tylko dlatego, że była zdenerwowana. Siedzieli i patrzyli na siebie.

- Przepraszam za to prostackie dowalanie się - rzekł opryskliwie, wcale nie przepraszając. Patrzył na nią z ukosa.

- Nie musisz przeproszać. - Usiłowała dorównać jego obcesowości i zarumieniła się jak piwonia. Wreszcie zdołała spojrzeć mu w oczy.

- Nie czułem się tak od niepamiętnych czasów. Nie mogę w to uwierzyć.

- Ja też. Poprzednim razem miałam chyba osiemnaście lat. Roześmiał się zaskoczony, ale autentycznie rozbawiony.

- Tak, zgadza się. To jakby poczuć się znowu nastolatkiem. - Łagodnie gładził bliznę na jej przegubie. - Muszę powiedzieć, że to będzie bardzo ryzykowny romans.

- Bardziej dla ciebie niż dla mnie.

- Nie, dla nas obojga. Też nie chciałabyś być na wszystkich stronach „Private Eye”. A jeszcze dochodzi to, że nie jestem panem swojego czasu - nie mogę ci opowiedzieć, ile zabiegów kosztuje mnie wykrojenie dla siebie chociaż chwili.

- W porządku, panie Willshaw, przekonał mnie pan. Wycofuję się.

- Och, Boże, nie, nie to miałem na myśli. To może być nieuczciwe i staram się wytłumaczyć, że to trudne, ale bardzo cię pragnę. Od kiedy cię poznałem, nie mogę spać.

Pochłaniała Gerry'ego wzrokiem pragnąc go dotknąć, ale miała pełną świadomość, że cała sala otwarcie im się przygląda.

- Ze mną też wcale niełatwo mieć romans - rzekła sięgając

po szklanke. Mało nie połknęła cytryny pływającej przy krawędzi. - Za dużo dzieci i za dużo pracy.

- No cóż, musimy być cierpliwi. I wykorzystywać każdą okazję. - Patrzył na nią z takim samym niedowierzaniem, jakie zobaczyła dziś rano w lustrze.

- Masz dużą praktykę? - spytała zdecydowanie.

- W romansowaniu? Moje życie nie było idealnie cnotliwie, ale w najmniejszym stopniu nie zdarzyło mi się coś tak poważnego. Od... dawna. A jestem żonaty prawie dwadzieścia lat.

- Wiem. Sprawdziłam cię. - Ustaliła, że jest pięć lat od niej starszy, ma adres w Londynie i Dorrington. Oczywiście możliwe, że dzielił londyńskie mieszkanie z innym posłem lub żona przyjeżdżała w tygodniu, co stworzyłoby prawdziwy problem. Musiałaby tłumaczyć dzieciom, że mamusia ma kochankę, ale nikt nie może się dowiedzieć, kto nim jest. Praktycznie biorąc, to nawet nie problem, to było po prostu niemożliwe.

- Musiałeś być szczawikiem idąc do ślubu.

- Miałem dwadzieścia dwa lata. Byłem wystarczająco dorosły. W jakim wieku ty wyszłaś za mąż?

- Dwadzieścia cztery. Ale od razu miałam dzieci.

- My mniej więcej tak samo.

Siedzieli patrząc na siebie. Spadek emocjonalnej temperatury przyniósł im chwilową ulgę. Spojrzał na zegarek.

- Kochanie, muszę iść głosować. Od tej chwili będziemy cierpliwi, powinienem dać ci kilkanaście numerów telefonów, żebyś zawsze mogła mnie złapać. Muszę ci też powiedzieć, że przez resztę tego tygodnia jestem absolutnie nieuchwytny. Po niedzieli lecę do Paryża na konferencję poświęconą przemysłowi stocznioowemu, potem do Brukseli. Ale za dwa tygodnie w poniedziałek jestem wolny. Możesz zjeść ze mną obiad?

- Oczywiście. - Zawahała się i poszła na całość. - W moim domu są zawsze piastunki, gosposie, dzieci. Sami wścibscy obserwatorzy.

- Mam mieszkanie. Jest małe i sąsiedzi są trochę zbyt serdeczni, ale jest.

Odprowadził ją do metra, pocałował po bratersku zachowując towarzyskie maniery, jak przystało na ministra i ponętą przedstawicielkę wyborców. Oboje tak bardzo się starali, by wyglądało to naturalnie, że była zupełnie nie przygotowana na napływ ostrego pożądania, po którym poczuła klasyczną wręcz słabość w kolanach.

- Zadzwoń do ciebie - powiedział, drżącą ręką pogładził ją po dłoni i odszedł. Patrzyła za nim jak dziecko.

Otrząsnęła się ze wspomnień tamtego i tego tygodnia. Udało mu się zadzwonić do niej dwukrotnie, za każdym razem z poczekalni lotniska, raz z Paryża, raz z Brukseli, i nie wyrzekł słowa miłości czy pożądania, chciał tylko wiedzieć, jak się ma i co porabia. Zbył pytania, jak mu idzie, ale przecież każdy czytelnik „The Times” mógł się tego dowiedzieć. Dowiedziała się więc, że trwa kryzys w europejskim przemyśle stoczniovym, każdy kraj stara się zabezpieczyć własne dotacje. Wielka Brytania była w tym sporze głosem rozsądku i liberalizacji, ale jak wszyscy musiała w końcu wziąć w obronę własne państwowe firmy. Podczas tego tygodnia, w którym Caroline myślała tylko o jednym, prawie doszła do wniosku, że to nie wypali, on jest żonaty, to romans bez przyszłości, ona i dzieci potrzebują solidnego męża i ojczyma, a skoro się taki do tej pory nie znalazł - to wystarczy, jeśli będą wieść spokojne życie. Czasami serce pękało jej z żalu na myśl o dzieciach rozpaczliwie tęskniących za Benem, ale mimo to uważała, że i tak powiodło się im lepiej niż tym ich szkolnym kolegom, których rodzice się rozwiedli. Tamci stracili ojca - który założył nową rodzinę - i matkę - która szukała innego mężczyzny. Za nic nie chciała stać się jedną z nich - zaćmioną alkoholem, przychodzącą zbyt późno po dzieci albo pojawiającą się na szkolnym przedstawieniu w stanie zbyt wielkiego roztrzęsienia lub podniecenia, by zaopiekować się zdenerwowanym dzieckiem. Ale nie mogła też udawać, że nie stało się nic poważnego; każdy, w tym pięciu mężczyzn, z którymi chodziła do łóżka w dwuletnim okresie po śmierci Bena, obudził w niej jedynie chwilowe ożywienie i z rezygnacją pogodziła się z długim wdowieństwem, przypominającym samotność królowej Wiktorii. I

od razu, niemal od pierwszego momentu, w którym zobaczyła Gerry'ego Willshawa, wiedziała, że to też nie wypali.

Wpatrywała się nie widzącymi oczami w gruby plik dokumentów do przejrzania. Wreszcie zaczęła czytać. Od razu wyłowiła wzrokiem nieudany akapit. Sięgnęła po czerwony długopis leżący po prawej stronie i przepisała wstęp, przejrzała całą umowę szukając miejsc, w których należało konsekwentnie wprowadzić zmiany. W chwilę później była głęboko pogrążona w pracy, a cały świat skurczył się do biurka i czytanego dokumentu.

**L**ucy Friern weszła do mieszkania i zatrzymała się w progu, dając znak filipińskiej sprzątacze odkurzającej hall. Kobieta natychmiast przerwała pracę i przyciągnęła do siebie milczący odkurzacz.

- Sir Matthew być tu. W salonie.

O kurczę, to znaczy, że dziś wieczór nici z Clive'a - pomyślała Lucy.

- Kochanie? A co ty tu robisz? Myślałam, że nie przyjedziesz przed środą.

Matthew pocałował ją roztargniony.

- Dziś wieczór mam spotkanie w Londynie. - Zapisywał liczby w notatniku. Zamknął go, kiedy zobaczył, że Lucy zerka w tym kierunku.

- To dla ciebie utrapienie. - Clive wieczorem mógł jednak być osiągalny. - O której musisz tam być?

- To kolacja. Ósma wieczór w Gildhall. Ale wrócę bardzo późno. Potem muszę iść do klubu.

- Nigdy nie zrozumiem, po co mężczyźni chodzą do tych klubów. Przecież jeśli macie ochotę na panienkę, łatwiej byłoby kazać ją sobie podesłać. Tak jest przecież bezpieczniej, więc po co tam wpadać?

- Zdarzają się dobre artystki.

- Gdzie tam. Nie mają nic do pokazania poza cyckami i tyłkiem.

- No cóż, to właśnie się nam podoba. - Matthew przyciągnął żonę do siebie, położył ręce na jej pośladkach.

- Z kim się spotykasz? - spytała. Miała nadzieję, że nie naszło go właśnie teraz.

Zawahał się. Odsunęła się, żeby spojrzeć mu w twarz.

- Matthew, to nie dziewczyna?!

- Nie, nie. To Williamson. Z Dorrington.

- Radny Williamson. I to-moja-kochana-żoneczka?

- To porządny gość. Tylko nie ma twojego wyrobienia.

- Matt, dlaczego spotykasz się z nim tu, a nie w Dorrington? Czy jest coś więcej, o czym nie wiem? - Śmiała się całkowicie spokojna, bo chociaż wiele dało się zarzucić Matthew, jedno nie spędzało jej snu z powiek - był heteroseksualistą.

- Wszystko zauważysz. Nie, przyjechał, by oderwać się od swojej kochanej żoneczki. O wiele łatwiej się z nim rozmawia, kiedy jest sam i bardziej na luzie.

- O czym będziesz z nim rozmawiał?

- Och. O tym i owym. - Przyciągnął ją do siebie i zaczął gładzić po piersiach. - Może wypełnimy polisę ubezpieczeniową? Jeśli teraz się pobzykamy, nie będę miał sił na żadną, która będzie trzęsła nade mną cyckami później.

- Ależ oczywiście, Matt, jeśli tylko ci na tym zależy. Ale pamiętasz, chciałeś, żebym przygotowała tę kolację z Winstanleyami. Prawdę mówiąc, dręczyłeś mnie tym podczas weekendu.

- Tak. - Zatrzymał się niezdecydowany. - Czniciać to. Najpierw chodź do wyra. - Wziął żonę do łóżka, ale była rozdrażniona rozbitym dniem, duchem nie uczestniczyła w akcie. - Co z tobą, Lu? - spytał ostro. - Może lepiej bym zrobił, gdybym zerwał coś dziś wieczór, jeśli to wszystko, na co cię stać. Gdzie jesteś?

- Przepraszam - odparła przywołana do porządku i skłamała: - Jeśli musisz wiedzieć, to planuję tę kolację.

- To przestań planować. - Szybko wysunął się, odwrócił ją i przyciągnął do siebie. - Lepiej?

- Tak, dużo lepiej - odparła zaskoczona.

Zaśmiał się, przełożył rękę pod spód, tarł żonę czekając cierpliwie, aż krzyknie, wysunął rękę, przyciągnął Lucy bliżej i poczuła, jak kończy w niej tryskając długimi strugami.

- Dobrze poszło - powiedziała rozbawiona i pełna podziwu, kiedy się rozłączyli.

- Tak. Teraz mogę obejść się bez panienki dziś wieczór. Muszę się zaraz zwijać. - Poprawił jądra, tak by leżały nie uciskane, i ucałował żonę. - Więc co z tym przyjęciem? Czy z biura Winstanleya dzwonili?

- Tak. Ma wolną środę z przyszłym tygodniu, ale pani Winstanley nie będzie w Londynie.

- Mhm. Trzeba zaprosić kogoś do pary, prawda? Kto poza tym przyjedzie?

- Jennerowie i Warrenowie, tak jak prosiłeś. Potem pomyślałam o Timie i Alison, żeby rozruszali całe towarzystwo. Wiesz, lubię Petera Jennera, ale bardzo ciężko go ruszyć.

- Jak na wiceministra w konserwatywnym rządzie - to jeszcze nie tak ciężko. Peter jest przewodniczącym lokalnego oddziału partii gdzieś na północ od Dorrington. Winstanley pewnie go poznał.

- To prawda. W porządku, więc Tim i Alison dla mojej rozrywki. Ten Winstanley i jakaś kobieta. To dziesięć. Stół jest trochę za ciasny na tuzin osób. Narzekałeś ostatnim razem.

- Tak. Więc może Caroline Whitehouse? To przecież kobieta, która traktuje swoją pleć obojętnie; Winstanley nie poczuje się zażenowany jej towarzystwem ani zmuszony do żadnych gestów wobec niej.

Problem z mężczyznami i przyjaciółkami ich żon polega na tym, że są zazdrośni o lata wolności, które te przyjaźnie symbolizują, i oczywiście mężczyźni czują przez skórę, że kobiety mówią sobie rzeczy, których żaden mężczyzna, a już na pewno mąż, nie usłyszy - pomyślała Lucy. Zaproszenie Caroline na przyjęcie w wąskim gronie było ustępstwem ze strony Matta. Ale cóż, była to propozycja, której Lucy nie śmiała przyjąć.

- Kochanie, miło, że to zasugerowałaś. Ale nie sądzę, byś

chciał ją oglądać tym razem. Podjęła się reprezentowania kierownictwa Prior Building Systems.

Wstał z łóżka, by pójść do łazienki, lecz zatrzymał się jak rążony gromem.

- Tak? Reprezentuje go? Ale Prior jest własnością NEB... po co mu prawnicy?!

- Matt, nie ma potrzeby krzyczeć. Zapewne rzecz w tym, że interesy przedsiębiorstwa i NEB przestały się pokrywać z chwilą, gdy NEB otrzymała polecenie sprzedaży. Przedsiębiorstwu zezwolono więc wynająć prawników i wybrało ono kancelarię Caroline.

Wrócił, siadł w nogach łóżka i wpatrywał się w żonę rozwścieczonym wzrokiem.

- Co ona dla nich robi? Powiedziała ci?

- Rozmawialiśmy tylko przez chwilę - skłamała ściskając palce pod koldrą. Musi zadzwonić do Caroline, kiedy tylko Matt wyjdzie. - Kochanie, ja naprawdę się na tym nie znam, ale chyba spotkała się dziś na lunchu z Clive'em Fieldmanem. Powiedział, że jeśli nie da się skierować akcji przedsiębiorstwa na giełdę, to oczywiście kierownictwu będzie wolno złożyć ofertę kupna, tak jak wszystkim. Sądzę więc że Caro to organizuje.

Przerwała. Chyba wytlumaczyła, dlaczego nie powinno się dostarczać Winstanleyowi Caroline dosłownie na talerzu, i chyba nie zdradziła, iż to wcale nie Caro, lecz Clive opowiedział jej, co się dzieje. Z uwagą obserwowała męża; był wyraźnie wściekły. Udane pieprzenie wypadło w samą porę, rozbroiło tę żywą bombę.

- Ci skurwiele na górze dobrze się zorganizowali. I powiem ci, za czyje pieniądze. Za nasze. Twoja przyjaciółka Caroline jest opłacana z pieniędzy podatników. - Miotał się po pokoju napędzany irytacją.

- Ach, mniejsza z tym, nie będą mogli zaproponować tyle co my; nikt nie będzie zainteresowany wykładaniem pieniędzy za ludzi, którzy wpakowali przedsiębiorstwo w to całe bagno.

- Myślałam, że tamtych już nie ma i nowe kierownictwo postawiło firmę na nogi.

Spojrzał na nią ostro.

- Pewnie Caroline ci powiedziała.

Nie odpowiedziała, nie chciała mnożyć drobnych kłamstewek. Z niechęcią myślała o Prior. Stawało jej kością w gardle. Za każdym razem, kiedy Matthew czy Clive otworzyli usta, mieli do niej pretensje. To właśnie dlatego tak nie cierpiała aplikacji; nie tylko wymagano od niej przerażającego wkładu pracy, ale także zawsze miała do czynienia z rozgniewanymi mężczyznami. Nie nawidziła tego. Caroline przeciwnie. Co pozazdroszczenia godne, gromada rozwścieczonych facetów nie potrafiła wyprowadzić jej z równowagi. Lucy nie mogła zapomnieć pewnej narady, na której ustalaniu każdego słowa kontraktu towarzyszyła zażarta kłótnia. Spotkanie z nieprzyjemnego zamieniało się w ohydne, drugi zespół doradców i ich klienci sięgali szczytów chamstwa, a wspólnik ze Smitha Butlera z każdą chwilą stawał się coraz bardziej czerwony i rozsierdzony. Tymczasem Caroline zachowywała się tak, jakby nic do niej nie docierało. Sporządziła listę dóbr, zredagowała testament, czym obciążono ją w ramach aplikacji, i nagle zabrała głos w środku dziwkiej wymiany zdań poświęconej ustaleniu opcji na akcje, wskazując, że klauzula, nad którą się rozwodzone, jest zbyteczna, biorąc pod uwagę zapis trzy akapity wstecz, a poza tym jest pora na lunch. Narada uspokoiła się; jedynie Caroline, zbesztana przez wyprowadzonego z równowagi wspólnika za zabieranie głosu poza kolejnością, powiedziała gniewnie, że winien dokładnie czytać dokumenty.

Ale Lucy nie była Caroline i nie zamierzała spokojnie znosić sytuacji, w których ludzie drą się na nią z powodu interesów.

- Nie ma potrzeby złościć się na mnie, Matt. Robię tylko to, o co mnie prosiłeś. I myślałam, że powinnam ci powiedzieć o Prior. Ale jeśli będziesz na mnie zły, to w przyszłości nie będę zwracała sobie głowy takimi rzeczami.

- Przepraszam - powiedział dla świętego spokoju i narzucił na siebie szlafrok. - Słuchaj, ściągnij tę jak-jej-tam z V&A\* dla Winstanleya. I chcę, żeby tu byli Andy Eames Lewis i Emma.

\* Victoria and Albert Museum.



Jeśli Caroline będzie chciała pociągnąć za sznurki polityczne, po prostu przypomni się Winstanleyowi, że mamy za sobą pieniądze. Nie znajdzie nikogo takiego jak Walzheims, kto miałby konszachty z kierownictwem Prior.

Westchnęła.

- Zamiast Tima i Alison czy z nimi?

Odkręcił kurki przy wannie. Głos przygłuszał łoskot wody.

- Zamiast. Nie cierpię, kiedy kelnerki nie mogą swobodnie przejść z tacami. Rozumiem, że je zamówiłaś.

- Tak, ale muszę potwierdzić datę! - odkrzyknęła. - Zrobię to, kiedy będziesz gotowy.

**W**ychodzę już, Caroline, chyba że chcesz coś jeszcze.

Drobna brunetka była gotowa do wyjścia i pytanie miało jedynie rytualne znaczenie. Caroline zawsze uprzedzała sekretarkę o swoich planach kilka godzin wcześniej. Dziewczyna początkowo miała pewne opory przeciwko pracowaniu dla kobiety, ale po pierwszych dwóch tygodniach zmieniła zdanie. Może brakowało jej lekkiego erotycznego dreszczyku, jakiego przysparza praca dla przystojniejszych młodszych współpracowników, ale te sprawy prędko przestają być odczuwalne. Wszyscy współpracownicy byli z gruntu wiernymi małżonkami i tak ciężko pracowali, że widzieli w kobiecie wyłącznie przedłużenie maszyny do pisania. Caroline też była zapracowana, ale nie traciła głowy; do dziewiątej rano starała się podyktować wszystko, co powinno być wykonane danego dnia, i jeśli prosiła o pozostanie do późna, robiła to przed trzecią po południu, więc można było się przygotować.

- Dzięki, Susie, nic mi nie potrzeba. - Caroline z uśmiechem podniosła głowę znad papierów.

- Wychodzisz dziś wieczór? - spytała Susie zerkając na kostium.

- Tak.

Susie z ciekawością zauważyła, że Caroline wygląda pięknie. Miała nową fryzurę i zrobione paznokcie.

- W jakieś miłe miejsce?  
- Mam nadzieję. Dobrze, że zajrzałaś... Muszę się przebrać.  
Dzięki, Susie, do jutra.

U Smitha Butlera możliwości odświeżenia się były prymitywne, ale Caroline stwierdziła, że nie jest w stanie udać się do domu i spędzić nerwowej godziny z dziećmi, kiedy napięta jak struna wyczekuje spotkania z Gerrym. Postarała się o klucz do prysznicza głównego wspólnika na najwyższym piętrze. Wyszła mokra i zaróżowiona. Przejrzała się w lustrze. Uznała, że wygląda na rozgorączkowaną, podnieconą i ma wytrzeszczone oczy. Surowo nakazała sobie zająć się konkretami, nałożyć makijaż i uczesać włosy. Po powrocie do gabinetu zastała dzwoniący telefon. Metodyczna Susie zamówiła wcześniej taksówkę, która teraz czekała, by zabrać Caroline do restauracji. Rozejrzała się po gabinecie, odruchowo sprawdzając, czy nie zostawiła na wierzchu poufnych dokumentów, prosząc życzliwe bóstwa porządku i ładu o opiekę.

Przed restauracją była pięć minut wcześniej, lecz uznała, że wewnątrz lepiej nad sobą zapanuje i nieco ochłonie. Podziękowała więc taksówkarzowi, wysiadła i Gerry Willshaw wyrósł u jej boku.

- Cześć - powiedziała bez tchu. Wydawał się jej znajomy i równocześnie trochę inny; trochę cięższy, niż go zapamiętała, ubrany w ciemny, zapięty płaszcz, trochę przypominający szynel. Tryskał nieujarzmioną energią.

- No, wreszcie udało mi się być pierwszym.

Wojskowa etykieta zaszczipiona młodemu żołnierzowi. Facet zawsze musi zjawić się przed damą, jeśli towarzyszy jej w miejscu publicznym.

- Jestem z wcześniej - wyjaśniła przepraszącąco. - Taksówka przyjechała bardzo szybko. A co zrobiłeś ze swoim wymuskany autkiem?

- Używam go tylko w oficjalnych sprawach. Przeszedłem się. To niedaleko. Powinienem zażywać ruchu.

To około dwóch mil od jego biura - pomyślała, kiedy wziął ją pod ramię, umożliwiając przejście małej grupie w strojach wieczorowych.

Popatrzył uważnie na Caroline i zdała sobie sprawę, że mimo zewnętrznych objawów pewności siebie też jest zdenerwowany.

- Głodna?

- Nie - odparła śmiało, decydując się na skorzystanie z podręcznika Lucy Friern. - Wcale nie, ale mogę skubnąć listek sałaty, jeśli ty jesteś głodny.

Zacisnął konwulsyjnie rękę na jej ramieniu.

- Ja też nie jestem głodny. - Zawahał się. - Moglibyśmy podjechać do mnie na drinka.

- Dobry pomysł - rzekła z radością, dziękując w myślach przyjaciółce za naukę.

- To całkiem blisko. Wezwę taksówkę.

Już miała powiedzieć, że mogą się przejść, ale pojawiła się taksówka i Gerry otworzył drzwi. Siedział obok niej na tylnym siedzeniu. Był spięty, nie dotykał jej i zrozumiała, że jak zwykle taksiarz rozpoznał jego twarz.

- Opowiedz, jak ci minął dzień - powiedział stanowczym głosem i z niedowierzaniem zdała sobie sprawę, że nawet w stanie ostrego napięcia potrafiła się skoncentrować.

Taksówka zwolniła. Gerry wyjął portfel i zapłacił.

- Bardzo tu spokojnie - rzekła, kiedy szli schodami na pierwsze piętro.

- Trochę daleko od Izby, ale dojazd samochodem zajmuje mi około dziesięciu minut - odparł równie grzecznie.

Przekręcił klucz w zamku, uchylił drzwi i przepuścił Caroline, po czym zamknął drzwi na klucz. Rozpięła guziki płaszcza. Nagle w ciepłym wąskim korytarzu zrobiło się jej zbyt gorąco. Gerry odwrócił się i uśmiechnęła się do niego, zdenerwowana, ale i z głęboką ulgą. Oto wreszcie znaleźli się za zamkniętymi drzwiami i nie podgląda ich połowa świata.

- Och, Boże - westchnął, upuścił na podłogę klucze i płaszcz, objął ją i przylgnął policzkiem do jej twarzy. - Strasznie mi Ciebie brakowało. I na dodatek nie mogłem połączyć się z tobą w niedzielę, a nie ośmieliłem się dzwonić po północy.

- Dzwonił. Od chwili gdy cię poznałam, źle sypiam.

Pocałował ją w usta i wsunął ręce pod jej płaszcz; zrzuciła go

z siebie nie przerywając pocałunku. W ślad za płaszczem zsunął się na podłogę elegancki żakiet, torebka. Mogła teraz swobodnie wsunąć ręce pod jego marynarkę. Poczwała zaskakująco szczupłą klatkę piersiową. Cała jego muskulatura musi tkwić w ramionach - pomyślała - i nie nosi kamizelki w tę pogodę. A może zdjął ją na tę okazję. Wypuścił Caroline z objęć i odsunął się, by się jej przyjrzeć.

- Płynmy dalej.

- Mhm. - Przesunęła dłońmi po jego barkach i ramionach. Tak, tam skupiły się mięśnie, to one nadawały mu wygląd siłacza. Błogo oparła swój policzek na jego policzku. - Pachniesz mydłem.

- Ty też. I to przyjemnym - rzekł wzmacniając uścisk i oboje zaczęli się śmiać.

- Zakradłam się pod prysznic głównego współnika - zwierzyła mu się do ucha.

- A ja skorzystałem ze wspólnego natrysku, którego używamy z dwoma innymi ministrami i stałym sekretarzem transportu - pochwalił się.

- Wszyscy razem?

- Też pomysł. - Poczwała, że trzęsie się ze śmiechu. - Z tobą tak łatwo się rozmawia - rzekł uszczęśliwiony. - Chodź, napijemy się. Może być szampan?

- Aha. Wiedziałeś, że tu przyjdziemy.

- Wiedziałem, że tu przyjdziemy albo eksploduję. Nie wiedziałem, że zamierzasz skierować nas tu aż tak wcześnie. Szampan się nie schłodził.

- Prawdę mówiąc, spragniona też nie jestem - odparła opierając się o krawędź kuchennego stołu i z przyjemnością obserwując, jak zgodnie z jej oczekiwaniami mięśnie na plecach Gerry'ego napięły się pod tradycyjną białą koszulą w szare paseczki, gdy schylił się do lodówki.

- Wypijemy szampana z lodem.

Rozluźniał atmosferę nie czekając na jej komentarze. Uznała, opracowana przez Lucy technika zaganiaania mężczyzn do że łóżka nie zawsze się sprawdza. Ten osobnik postępował po

swojemu i w takim tempie, jakie jemu odpowiadało.

- Proszę - rzekł krótko, podając jej kieliszek. - Przejdźmy do salonu.

Posłusznie szła za nim.

Stuknął kieliszkiem o jej kieliszek.

- Za nas.

- Za nas - odparła trzeźwiejąc na chwilę, ale pocałował ją w usta.

- Kochanie. Na podłodze w korytarzu leży koperta, której jakoś nie mogłem podnieść, kiedy weszliśmy. Jest w niej przemówienie. Muszę je przejrzeć i przesłać z poprawkami do biura, zanim wszyscy pójdą do domu. To cena za dzisiejszy wolny wieczór.

- Gdybyś tu nie przyszedł i wieczór minąłby zgodnie z twoimi planami, musieliby czekać znacznie dłużej.

Usta zadrgały mu z rozbawienia i wzmocił uścisk.

- Załatwię to teraz i będziemy mieli resztę wieczoru wolną.

- Nie przywykłam ustępować przemówieniu, panie Willshaw.

- Ach. No cóż, będziesz się musiała do tego przyzwyczać. - Pocałował ją. Śmiał się, ale był niewzruszony; przytuliła się do niego, uciszona jego pewnością siebie.

Podsunał jej wygodny fotel, podał popołudniową gazetę. Czytała nie rozumiejąc. Artykuły o rewolucji w Peru, zmianie rządu we Francji i gospodarczych niepokojach w kopalniach południowej Walii przesuwały się przed oczami, podczas gdy cała jej uwaga była skupiona na Gerrym, o wiele za dużym na małe biurko, które najwyraźniej zostało wybrane jako jedyny mebel pasujący do niewygodnego kąta. Gerry był absolutnie skupiony, całą uwagę poświęcał papierom, które miał przed sobą. Skończył po dziesięciu minutach i zadzwonił do biura, żeby odebrano tekst.

- Przepraszam - powiedział przechwytyjąc jej wzrok, ale nie dała się zwieść.

- Wcale nie jest ci przykro.

- Ależ jest. Samochód zjawi się tu za dziesięć minut i będzie po wszystkim. Napij się jeszcze.

- Opowiedz mi o Ministerstwie Transportu. - Zrozumiała, że nie ma innego wyboru i musi poczekać, a chcąc zachować trzeźwe wspomnienie tego, co miało nadejść, zrezygnowała z alkoholu.

Skrzywił się, co potwierdziło jej wcześniejsze wrażenie.

- No cóż, oczywiście to zawsze była polityczna bocznica.

- Chyba tak - przytaknęła. - Sholto mawia, że ministrowie transportu dostają cięgi za nie swoje winy, bo stale będą jakieś wypadki, za które zawsze, ale to zawsze winić się będzie rząd.

- Bo „oni” nie poszerzyli dróg. Albo wydali wszystkie pieniądze na nową linię kolejową. Albo zbudowali nowy pięciomilowy superbezpieczny pas startowy na Heathrow - potwierdził ponuro.

- Sholto poza tym twierdzi, że transport jest jak państwowa służba zdrowia. To znaczy, że zapotrzebowanie zawsze przekroczy podaż. - Spojrzała na niego szukając potwierdzenia. Nagle wydał się zmęczony i przybity. - Przepraszam, przepraszam. Nie chciałam cię martwić, na pewno doprowadzisz do tego, że wszystko ruszy z kopyta.

- Jestem bardziej niż zmartwiony - rzekł sucho. - Wiedziałem, że to nie będzie łatwe - wolałbym już wszystko inne niż transport; ale bierzesz to, co dają. Nie mam wyboru - liczyłem na mieszkaniówkę, kiedy biedny Jim Fielder zmarł, ale premier wolała awansować Johna Winstanleya. - Wstał nie mogąc znaleźć sobie miejsca i wyjrzał na ulicę. - Już jest samochód. Przekażę tekst i powiem kierowcy, że wychodzę. Nikt już nam nie przeszkodzi.

Wziął papiery, wsadził je do koperty i usłyszała trzask drzwi wyjściowych. To jasne, że Gerry utknął w drodze ku wielkim celom i niecierpliwie szuka wyjścia z sytuacji. Podstawową rolę odgrywał wiek. Gerry był od niej pięć lat starszy i obserwując ludzi na podobnym etapie, zdała sobie sprawę, że czterdziestka to bariera oddzielająca tych, którzy dojdą na szczyt, od tych, którym zabraknie... paru cali. Niespokojny etap - pomyślała i uznała, że lepiej poniechać rozmów z Gerrym o Ministerstwie Transportu.

- W porządku. Załatwione. Wróciłem.

Swobodnie ukląkł przy niskim fotelu, wyjął jej kieliszek z ręki

i zaczął rozpinąć guziki śliskiej jedwabnej bluzki. Trzymała jego pochyloną głowę w dłoniach i czuła krótką, sterczącą czuprynę.

- Jestem przy tobie okropnie zdenerwowany - powiedział, przerywając na chwilę pocałunki. To była prawda.

- Ja też jestem przy tobie bardzo zdenerwowana, ale damy sobie radę.

Łagodnie pocałował ją w usta.

- Chodźmy do łóżka.

Objęci przeszli do sypialni. Zauważyła ze wzruszeniem, że zasłony są zaciągnięte i jest czysta pościel. Jaki z niego zręczny, kompetentny planista - pomyślała starając się spojrzeć na wszystko z dystansu. Zdejmował z niej resztę ubrania, podczas gdy ona rozpięła guziki jego koszuli.

- Pończochy. Podobają mi się, są o wiele przyjemniejsze niż rajstopy. - Pocałował ją tuż nad pończochą, siadł na skraju łóżka, trzęsącymi się rękoma rozpiął klamrę paska.

- Pójdzie bardzo dobrze - stwierdziła nagle spokojna i rozradowana, zrzucając z siebie bieliznę.

- Powiniennem się przekonać - rzekł wstając i zdejmując spodnie. Podsunęła się, by go pocałować. Wzięła ją w uścisk tak silny, że nie mogła złapać tchu. - Chodź do łóżka.

Nie zdjął spodenek; i przez chwilę zastanawiała się, czy nie ma kłopotów, ale kiedy je zerwał, członek wyskoczył jak sprężyna; wszystko było wyraźnie w jak najlepszym porządku. Pchnął Caroline na łóżko, ukląkł, całował ją wsuwając dłoń między nogi. Czuła jego niepokój i w tym momencie przypomniała sobie słowa brata, z którym zawsze wymieniała największe sekrety; kiedyś wyjaśniał jej, jak bardzo mężczyzna potrzebuje serdecznego przyjęcia. No, kochany Gerry był przyjmowany bardziej niż serdecznie. Łagodnie odciągnęła jego dłoń, przesunęła się w dół łóżka i całowała cudownie płaski brzuch, a potem wzięła w usta członek.

- O Boże, och, kochanie.

Poczuła, jak Gerry cały sztywnieje. Podciągnął ją wyżej, tak że znalazła się pod nim, i klęknął całując ją między nogami. Po

chwili podniósł głowę, ocenił ją wzrokiem, sięgnął w kierunku nocnego stolika i zręcznie nałożył prezerwatywę. Wszedł w Caroline i natychmiast doznała orgazmu. Czuła go w całym ciele tak, że żadna samotna masturbacja, choćby nie wiem jak przyjemna, nie mogła się z tym równać.

- Och, kochana - odezwał się tuż przed wytryskiem. Krzyczał z rozkoszy i uśmiechnęła się do siebie trzymając go mocno. - Och, kochanie. Było cudownie. - Stoczył się z niej, silny i zręczny jak zwykle, i patrzyła z miłością, jak zgrabnie zdejmuje prezwatywę. Z uznaniem oceniła zawartość.

- Mnie też. Mówię poważnie.

- Ach. Ciesz się. Teraz mów. Mów mi o sobie. Najwspanialsze w tym wszystkim jest to, że mogę z tobą rozmawiać.

- Najwspanialsze? - Przeciągnęła się rozkosznie na poduszkach.

- Najwspanialsze wśród samych wspaniałości. Miałabyś ochotę na herbatę? Tak? Zaparzę.

Słyszała go w kuchni. Wrócił z herbatą i wzięła filiżankę. Popatrzył z powagą na Caroline.

- Wiesz, wciąż denerwuję się przy tobie. Coś z twojej pewności siebie sprawia, że nie czuję się w pełni mężczyzną.

- Wcale nie jest tak, jak mówisz - zaprzeczyła zaskoczona i urażona. Uściskał ją.

- Zastanawiałem się, czy było w porządku.

Zapewniła go, że było lepiej niż w porządku, i potarła policzek o jego pierś.

- Opowiedz mi o swojej rodzinie. Wiem, że masz trzech braci. Sprawdziłem cię - lub raczej sprawdziłem twojego ojca. Trzech synów, jedna córka.

- Wszyscy są starsi ode mnie. Poznałeś jednego w „Question Time”, Felixa. Zarozumiały głupek, ale lewicowy zarozumiały głupek, co jest rzadszym przypadkiem, i jak wiesz, zawodowo krytykuje w BBC. Ojciec trojga dzieci. Potem jest Marcus, biedny nieboraczek, który również krytykuje, ale wszystko, co wydarzyło się po tysiąc trzysta piętnastym roku. Ma również trójkę.



Potem idzie Caspar, który jest naprawdę w porządku i krytykuje jedynie monetaryzm. Jest ekonomistą, członkiem Partii Pracy. Rozwiedziony, ma dwóch synów, starszych niż mój Timmy.

- Czy będą krytykowali i mnie?

Spojrzała na niego z namysłem.

- Ciebie? Och, zapewne. Przecież jesteś konserwatystą, jednym z wrogów. I byłeś w wojsku.

Zmarszczył brwi.

- Ależ, kochanie, oni wszyscy musieli odbyć jakąś służbę wojskową. - Zauważył jej kose spojrzenie. - Nie musieli? Twój ojciec musiał być na wojnie.

- Skądże. Był w Bletchley. Wiesz, w rezydencji koło Oxfordu, w której trzymali wszystkich ludzi z wywiadu.

Pokiwał głową, kwaśno rozbawiony.

- Naturalnie, wiem. Domyślam się, że pracował przy „Ultrze”, urzędzeniu deszyfrującym „Enigmę”.

- Tak myślimy. Ale nigdy nie pisał słówka o tym, co naprawdę robił, a pytany zaczyna opowiadać o krzyżówce z „Timesa”.

- A twoi bracia? Musieli odbyć służbę wojskową.

- Coś w tym rodzaju. To znaczy odbyli, ale to chyba nie było to, czego się spodziewasz. Zaliczyli trzy miesiące szkolenia podstawowego i potem przez następne dwa lata kuli rosyjski. - Roześmiała się. - Mówię ci, Gerry, jeśli Ruscy przeprowadzą inwazję, pożałują gorzko. Na linii frontu będzie Felix opowiadający o obowiązkach telewizji publicznej. Marcus wyłoży podstawy średniowiecznej gospodarki rolnej, a Cas opowie o wadach monetaryzmu - wszystko po rosyjsku. Wyobrażasz sobie, w jaki Rosjanie wpadną popłoch? Poddadzą się natychmiast. Ja bym to zrobiła.

Śmiał się, ale zauważyła, że jest trochę zaskoczony.

- Domyślam się, że cała trójka nie cierpiała szkolenia podstawowego.

- Wcale nie. Oficjalnie twierdzą, że było o wiele bardziej cywilizowane i mniej wyczerpujące fizycznie niż pierwsze lata w prywatnej szkole w Winchester.

Spojrzeni na siebie z wymuszonym uśmiechem.

- Więc ich zdaniem nie byłbyś dla mnie wymarzonym kandydatem. Wcałe. Nawet w innych okolicznościach.

- Mhm. No cóż, ja też chyba nigdy się nie spodziewałem, że będę miał córkę Henriquesa. - Poruszył się niespokojnie. - Jesteś teraz głodna? Ja tak.

Zastanowiła się.

- Umieram z głodu.

- Moglibyśmy wyjść na kolację.

- Mogę coś przygotować. Omlety?

Spojrzał na nią z zabawną miną winowajcy.

- W domu nic nie ma. Tu jem tylko płatki na śniadanie. Nie potrafię się zmusić do zajęć w kuchni.

- To nie przystaje do oficjalnej linii twojej partii. Lepiej nie przyznawaj się do tego publicznie - inaczej kobiety przestaną na ciebie głosować.

- W ogóle mało jem - powiedział mitygująco, ale nie zrobiło to na niej wrażenia.

- A jeśli twoja żona choruje? Jest skazana na głodowanie?

- Wygląda na to, że nigdy mnie nie ma, kiedy choruje - przyznał ze skruchą.

O wiele bardziej konwencjonalne małżeństwo niż moje - pomyślała. Jemu zapewne żona podsuwa ciepłe kaptcie i robi za niego wszystko.

- Bardzo dbam o czystość. I umiem odkurzać - rzekł samousprawiedliwiająco i wyśliznął się z łóżka. - Chodź, kochanie, ubierzmy się i zróbmy coś do jedzenia. Wyjdę do sklepiku na rogu, jeśli naprawdę jesteś gotowa coś upichcić.

- Pójdę z tobą.

Zastygł z palcami na guzikach koszuli.

- Lepiej nie - powiedział z żalem, ale nieodwołalnie.

Naturalnie - pomyślała zmrożona. Wspólne zakupy to wyraźny dowód wspólnego pożycia. Nie wolno nam się ujawniać. Pochylił się i pocałował ją.

- Przepraszam. Chciałbym pójść z tobą, ale naprawdę musimy być ostrożni. To nie paranoja; jestem pewien, że kiedy byliśmy w opozycji i kwestionowałem politykę w hutnictwie, obserwowano mnie. Jeśli zagrażasz potężnym interesom - a zagrażałem i może będę zagrażał w przyszłości - przeciwnicy użyją wszelkich środków.

Podawała mu listę potrzebnych rzeczy i poruszona odprowadziła go wzrokiem. Wykorzystała jego nieobecność na umycie się i ubranie. Czula się trochę zbyt oficjalnie w nieskazitelnym jedwabnym kostiumie, odpowiednim na kolację w restauracji. Uczesała się, nałożyła lekki makijaż. Usłyszała klucz w zamku. Podeszła, wzięła zakupy i zaczęła przygotowywać posiłek. Gerry w dobrym nastroju usiadł przy stole i nalał jej resztkę szampana.

- Opowiedz mi o Prior - rozkazał bez wstępu. - Byłem u nich. Spodobali mi się.

- Oni też byli oczarowani. Szczególnie dziewczęta.

- Dziewczęta? Nie było żadnych dziewcząt. Och, sekretarki. No cóż, było sympatycznie.

Uznał to za naturalne - pomyślała uspokojona. Ale to oczywiście. Wzięła się do szykowania kolacji. Równocześnie opowiadała, co zamierza zrobić z Prior.

- Kto dostanie akcje?

- Instytucje, kierownictwo i niektórzy pracownicy.

- Nie wszyscy?

- Ta transakcja będzie finansowana przez instytucje, a one nie są zainteresowane pracownikami.

- Dlaczego?

Łagodnie odepchnęła go podchodząc do kuchenki.

- Nie myśl w tych kategoriach. Robotnicy to po prostu część każdej firmy i albo pracują, albo nie. A jeśli nie, to jest zawsze wina związków i nie ma żadnego powiązania z bezużytecznym, niekompetentnym kierownictwem.

Poczuła, jak kręci się niespokojnie.

- To związki często niszczyły firmy - rzekł. - Szczególnie stocznie.

- Dyrekcje stoczni w tym kraju to było gniazdo nieróbstwa, niekompetencji i korupcji - rzekła zadziornie. Roześmiał się obejmując ją od tyłu. - Przepraszam - rzekła rozkoszując się jego dotykiem. - Dywaguję. Mówiliśmy o akcjonariacie pracowniczym. Instytucje nie są zainteresowane tą ideą, nie widzą jej potęgi. I wierzą, zapewne z połową twojej partii, kochanie, że robotnikom nie został ani grosz, kiedy już kupili pełną wannę węgla i urznęli się do nieprzytomności w pubie. Ale też nie są temu przeciwnie. To znaczy, myśl o akcjonariacie pracowniczym nie przejmuję ich zgrozą, byle tylko udziały pracowników nie przekroczyły nieprzyjemnej bariery dwudziestu pięciu procent.

Pocałował ją w ucho.

- Wiesz, nigdy nie miałem wiele wspólnego z City. To dla mnie rzecz nowa, cały ten przepływ pieniądza i sposoby finansowania. Czarna magia.

- Nie, nie. To to samo co polityka czy prawo. Potrafisz czytać bilans?

- No cóż, nie.

- Będziesz musiał. Pokażę ci. Ja też nie potrafiłam, kiedy zaczynałam jako prawnik, ale to rzecz niewybaczalna.

- W wojsku nie było to konieczne. Ale musieliśmy umieć kierować ludźmi.

- Pewnie żołnierze strzelaliby wam w plecy, gdyście nie umieli.

- Raczej daliby się zastrzelić w jakiś zupełnie bezsensowny sposób - rzekł ponuro i przypomniała sobie, że będąc w czynnej służbie, nieraz poznał smak niebezpieczeństwa, chociażby na Cyprze.

- I zupełnie nie ma tu miejsca na związki zawodowe.

- Nie ma. To niepotrzebne, bo wszyscy się starają - albo powinni się starać - dążyć do jednego celu. Taka jest podstawa idei akcjonariatu pracowniczego. Wszyscy są zaangażowani w powodzenie przedsiębiorstwa i mają nad nim częściową kontrolę.

- Tak - powiedziała zaskoczona. - Ta sama idea była kołem napędowym własności państwowej.

- Która była zbyt bezosobowa.

- Zbyt ogromna - rzekła zdecydowanie. - I okazała się podatna na korupcję. Moi bliscy nie mogli pojąć ani zaakceptować tej prawdy. Boże, doprowadzali mnie do szału, zwłaszcza mój zbzikowany stary ojciec.

- Wiesz, dziwne, nie pamiętam, żeby był zbzikowany czy stary. Słuchałem go zaledwie cztery lata temu.

- Może publicznie wypada lepiej - powiedziała posępnie, podając mu omlety. Rzucił się na nie wygłodniały.

- W każdy razie, kochanie, rzecz tak wygląda - rzekł z pełnymi ustami. - Bez względu na to, co instytucje finansowe myślą po cichu, lepiej dla nich będzie, jeśli ze względu na realia polityczne zainteresują się akcjonariatem pracowniczym w Prior.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. Im bardziej, tym lepiej. Miałbym o wiele łatwiejsze zadanie - a zająłbym się tą sprawą, nawet gdybyś nie miała z nią nic wspólnego - jeżeli byłby to wykup przez pracowników, a nie tradycyjny wykup przez kierownictwo. Czy to do załatwienia?

- Tak. Przy wykupie akcji pewni pracownicy są równiejsi od innych.

- Nie ma to wielkiego znaczenia, jeśli będę mógł powiedzieć, że pracownicy i kierownicy dostaną przyzwoity udział. Wspólnie.

- Dotarło.

Popatrzyli na siebie nad stołem i zaparło jej dech w piersiach.

- Posprzątajmy to - powiedział, z werwą przystępując do działania. Zgrabnie poukładał wszystkie naczynia w zlewie, zlał gorącą wodą. Stała posłusznie obok, wycierała naczynia i czasem gładziła go.

- Wracamy do łóżka - powiedział, krótko kończąc mycie ostatniej filiżanki.

Dbaj o czystość, tak jak powiedział - zauważyła. Wpółobjęci wrócili do sypialni. Potem zasnęli.

Obudził ją ostry dźwięk budzika. Gerry leżał obok. Ocknął się natychmiast, zupełnie trzeźwy.

- Kochanie? Jest dwunasta i muszę zawieźć cię do domu.

- Mhm - westchnęła niechętnie. - Strasznie nie chcę, ale to prawda - muszę.

- Wkrótce uda się nam wygospodarować noc - zapewnił ją. - Musi się udać.

Zawiózł ją do domu, wysadził dyskretnie na rogu, ale rozstanie nagle wydało się Caroline nie do wytrzymania i popatrzyła na niego, by się przekonać, czy czuje to samo. Wyglądał na rozbitego i zmęczonego.

- Ta robota! Nie mam czasu do następnego tygodnia, ale jeśli tylko będzie to w ludzkiej mocy, muszę spotkać się z tobą wcześniej. Zadzwoń. - Pocałował ją krótko i odjechał.

## Rozdział dziesiąty

Lucy Friern krążyła wokół stołu pięknie zastawionego błyszczącymi ciężkimi srebrami i udekorowanymi płóciennymi serwetkami. W lewej ręce trzymała wyimaginowaną tacę. Kiedy obchodziła szczyt stołu i pochyliła się obsługując z lewej strony niewidzialnego gościa, otarła się pośladkami o komódkę. Zawsze się tak działo, gdy stół był rozsunięty do maksimum, i zawsze o tym zapominała. Cudownie byłoby mieć w Londynie jadalnię, w której usadzenie dziesięciu osób nie wywoływałoby takiego ambarasu - pomyślała rozjątrzona. Wezwała Bridget do pomocy przy przesunięciu komody. Salon też, prawdę mówiąc, nie był dość wygodny, nie wystarczał nawet dla dziesięciorga ludzi, którzy chcieli na siedząco wypić kawę. To śmieszne przy pieniądzach Matta. Sir Matthew i lady Lucy z pewnością było stać na porządne mieszkanie w Londynie. Nawet nie zależało jej na dużym domu, jakimi dysponowały jej bardziej eleganckie przyjaciółki. Miała dosyć obowiązków przy zarządzaniu szykowną rezydencją na obrzeżach Dorrington, gdzie w jadalni - ongi średniowiecznym hallu - można było wygodnie usadzić dwudziestkę gości, nie odbierając pomieszczeniu imponującego wyglądu, i gdzie często urządziła przyjęcia. Ale tęskniła za uczciwych rozmiarów jadalnią i salonem w Londynie oraz podwójnym pokojem gościnnym, w którym goście mogliby się zatrzymywać podczas ferii szkolnych, tak by chłopcy nie musieli się gnieść w jednym pokoju, czego nie cierpieli. Rozejrzała się z niesmakiem po

urządzonej bez zarzutu jadalni, starannie oświetlonej, o ścianach pokrytych ciemnymi tapetami w chińskie wzory. Marcia Warren, żona tego ważniaka od, *public relations*, Pata, mówiła na nią „uroczy pokoik”. Jak powszechnie wiadomo, w ten uprzejmy sposób określa się pomieszczenie zbyt małe jak na swoją funkcję. Warrenowie mieli spory apartament za Harrodssem. „Cóż, to oczywiście - zauważył kiedyś niecierpliwie Matthew - to był dla nich dobry interes, no nie?” Ale w Londynie niekoniecznie kierowano się takimi względami przy zakupie mieszkania. Otoczenie twojego domu świadczyło o tobie. To, że miało się jedną z najprężniejszych firm na północnym wschodzie, było bez znaczenia. Jeśli ceną za zmianę mieszkania miało być dla Matthew Prior Systems, to Lucy całym sercem przyłoży się do zdołania tej firmy.

Z pomocą Bridget dokonała ostatnich poprawek w kompozycji salonu i uznała, że może wyjść. Dwie młode kobiety odpowiedzialne dziś wieczór za kuchnię i podawanie były już na stanowiskach. Przywitała się z nimi wcześniej i upewniła, że nie brakuje niczego. Miała kilka godzin wolnych przed fryzjerem, ubranie było przygotowane i jeśli się pospieszy, może wyskoczyć do Liberty i wybrać nowe zasłony do trzeciego pokoju gościnnego w Dorrington. „Nie wyobrażam sobie, kiedy znalazłabym czas na pracę zawodową - tłumaczyła się swej przyjaciółce, Caroline, której głos czasami słyszała w takich chwilach. - Mam dwa domy do prowadzenia, w poniedziałki sprawuję obowiązki sędziego pokoju, nie wspominając o wszystkich przyjęciach, które muszę organizować”.

Może nie jest to dokładnie to, do czego przygotowywano je w Lady Eleanor's, ale szkole zawsze bardzo zależało na wypuszczaniu „odpowiednich kobiet”, które staną się podporą dla mężów, zajmą się wychowaniem dzieci i będą pomagać lokalnej społeczności nie biorąc za to pensa. No cóż, jej życie w dużej mierze na tym polegało. Wspomniała opinię Shirley Conran, że można pogodzić pracę zawodową i męża lub męża i dzieci, lub pracę zawodową i dzieci, ale nie wszystko to jednocześnie i po raz któryś uznała, że opinia ta jest słuszna w odniesieniu nie tylko do niej samej, ale do wszystkich kobiet; to Wielka Prawda i



nawet błyskotliwa Caroline nie zdołała jej obalić. Za życia Bena jej ognisko domowe rozlatywało się w regularnych odstępach czasu, a teraz tylko dlatego funkcjonowało z takim powodzeniem, że po śmierci męża zapewne wstąpiła do zakonu. O wiele lepiej mieć męża, dwa domy, czas na wybieranie zasłon i drobne obowiązki względem lokalnej społeczności - pomyślała z pogardliwą wyższością, wprawnie rozkładając materiał. Szukała granatu, który przelotnie ujrzała dwa dni temu i natychmiast skojarzyła z wzorem widzianym w V&A.

To byłoby cudownie móc urządzać nowe mieszkanie - pomyślała dwie godziny później, kiedy za pomocą suszarki układano jej ciemne włosy, a manikiurzystka nakładała lakier szybko, bez wysiłku i wprawnie, czego sama Lucy nigdy nie potrafiła dokonać. Okrężną drogą wróciła do domu, kupując przy okazji świeczki, pogrążona głęboko w myślach. Zadzwoiła na znany numer, od razu dostała połączenie z Clive'em Fieldmanem - oboje doznaliby wstrząsu dowiadując się, że pani Williams przejrzała naturę ich kontaktów w tydzień po tym, jak się o nich dowiedziała - porozmawiała z nim przez dziesięć minut, następnie zadzwoniła do Walzheimsa i poprosiła Andrew o przybycie kwadrans wcześniej przed resztą gości.

Trzy godziny później nie była tak pewna, czy miała dobry pomysł. Zostawiła wiadomości mężowi, ale nie dotarły do niego i pojawił się w domu zaledwie na tyle wcześniej, że zdążył jedynie wziąć kąpiel, przebrać się i jak to zawsze robił, osobiście przygotować wina i przedkolacyjne drinki. Gdy zjawił się Andrew (punktualnie co do minuty), Matthew usiłował napęłnić kubelki lodem, narzekał na temperaturę bordo i zmieniał wina deserowe - wszystko jednocześnie.

Andy jednym spojrzeniem ogarnął sytuację i podniósł brwi proponując Lucy rezygnację z wcześniejszych planów, ale uparła się przy swoim.

- Matthew, kochanie, postaraj się słuchać tego, co teraz powiem, bo mam ci do przekazania coś ważnego o Johnie Winstanleyu i Prior. Poprosiłam Andy'ego, żeby powiedzieć wam to obu od razu i żebyście mogli zdecydować, jak go podejść.

Mąż był rozwścieczony i wyprowadzony z równowagi, ale

kiedy przemowa żony do niego dotarła, wsadził butelki z powrotem do lodówki, kazał Bridget zrobić porządek z lodem, rzucił ostatnie groźne spojrzenie na karafkę z bordo i udał się do gabinetu.

- W porządku, Lucy.
- Rozmawiałam dziś z Clive'em Fieldmanem - zaczęła śmiało. Przeprobowała ten wstęp, aż potrafiła go wygłaszać nie czując wyrzutów sumienia. - Pomyślałam, że kontakt z nim będzie przydatny. - Przerwała chcąc mieć pewność, że jej słuchają.

Rozmowa z Clive'em nie była łatwa. Okazywał denerwującą powściągliwość, chociaż Lucy rozumiała, że to tylko przejaw normalnej dyskrecji. Ale była uparta i przekonała się, że jej ambitny Clive nie jest przeciwko niej, lecz jedynie nie chce w niczym przeszkodzić planom swojego ministra.

- Myśli, że Winstanley zdecydowanie wolałby sprzedać wszystkie pięć firm łącznie, ale nie ma jednoznacznego zdania, czy bez względu na wszystko domagać się najwyższej ceny - oznajmiła.

- Ceny, którą mógłby obronić - rzekł z namysłem Andy.
- Tak. I... - podniosła rękę udaremniając mężowi zabranie głosu - ...i mówi, że ktoś popiera kierownictwo Prior dążące do wykupu pracowniczego.

- To twoja przyjaciółeczka Caroline. - Matthew spurpurowiał ze złości.

- Czy to istotne, że teraz wykup pracowniczy jest bardziej ceniony niż wykup przez kierownictwo? Przepraszam za wejście w słowo, Lucy - wtrącił się zręcznie Andy, pozornie nie zwracając uwagi na furię swojego klienta.

- Clive nie wypowiedział się o tym konkretnie i ja nie pytałam. - Lucy wyglądała na załamana.

- Myślę, że się jednak wypowiedział - łagodnie rzekł Andy. - Kiedy kilka tygodni temu z nim rozmawiałem, mówił o wykupie przez kierownictwo. Słowa się zmieniły; to znaczy, że myślenie też.

Lucy pamiętała, że Andy ćwiczył w Oxfordzie lingwistykę na przykładzie jakiegoś bardzo trudnego języka - sanskrytu?

- Nie ufam służbie cywilnej. - Rozgniewany Matthew wiercił się w fotelu.

- Mam dalej mówić czy nie? - spytała zimno.

- Tak, jedź.

Andy, który dobrze poznał Lucy, ocenił sucho, że najwyraźniej potrafi manewrować małżonkiem.

- W każdym razie wygląda na to, że poseł z sąsiedniego okręgu, a poza tym minister i wschodząca gwiazda, Gerry Willshaw, jest bardzo za wykupem pracowniczym. I to się dopiero liczy, bo on podobno ma dojście do pani premier i najprawdopodobniej następnym razem wejdzie do gabinetu. Zwiedzał budowy, pracują na nich ludzie z jego okręgu.

- To cholerny idiotyzm. Co ci palanci zrobią z akcjami? W ogóle się na nich nie znają. Nie włożą gotówki w kawałki papieru, nie w Dorrington. A może akcje będą rozdawane za darmo? - Szkarłat Matthew nabrał niepokojącego odcienia. Żona i bankier z obawą spoglądali na biznesmena.

- Kochanie, zgadzam się, to brzmi głupio, ale Clive twierdzi, że takie są założenia polityki rządu. To część programu wyborczego i Clive mówi, że nowy rząd przez pierwsze półtora roku musi bardzo uważać na dotrzymanie obietnic wyborczych.

- Słuchaj, Matt, spróbujmy stworzyć jakiś chytry plan. Pracownicy tego przedsiębiorstwa mogliby na przykład dostać udziały w twojej firmie - rzekł z namysłem Andy. - Oczywiście w grę wchodziłaby znikoma część akcji, znacznie poniżej trzech procent twojego udziału. Może warto to zrobić, chociażby po to, żeby korzystniej się zaprezentować.

Ta sugestia chwilowo odebrała Matthew mowę, co dało jego żonie szansę kontynuowania.

- Jednakże Clive uważa również, że bardzo trudno byłoby wyznaczyć niską cenę za to przedsiębiorstwo, a zresztą za inne też, bez względu na wszelkie korzyści polityczne. Więc każda propozycja pracowników musi być wsparta przyzwoitą ceną.

- I zapewne pan Winstanley zapytany powie to wszystko i musimy mieć swoje argumenty do przedłożenia, by pokonać

uroki pracowników Prior - zauważył Andrew.

Lucy siadła wygodnie. Niech teraz on otworzy przed Matthew nowe horyzonty, jak ujęłaby to dyrektorka Lady Eleanor's.

- Na pewno usłyszysz ode mnie, że robotnicy w Dorrington nie kupią dość akcji, żeby sfinansować wykopanie byle rowu, co dopiero prowadzenie całego przedsięwzięcia. Jeśli myślą inaczej, to bujają w obłokach. - Matthew nie był w nastroju do kompromisów i Lucy zerknęła niespokojnie na zegarek. Pięć minut po ósmej, ale z pewnością nikt nie zjawi się wcześniej niż kwadrans po ósmej.

- Mógłbyś zrobić to łagodniej, Matt. - Andy wyciągnął się na fotelu pozornie rozluźniony. - Sam możesz się domyślić, ilu pracowników - szczególnie pracowników Prior - w ogóle ma oszczędności i czy ktokolwiek z nich jest gotów zainwestować w miejscowe przedsiębiorstwo, które ogłosiło kiedyś upadłość.

Matthew pokiwał z wolną głową i Lucy się rozluźniła. Nie można było odmówić mu sprytu, i jeśli dostrzegał dla siebie korzyść, umiał rozgrywać interesy na długim dystansie.

- I oczywiście możesz podsunąć mu, że nawet przy współudziale pracowników zespół kierowniczy nie jest w stanie zaproponować ceny, która umywałaby się do wydatków, jakie podatnicy ponieśli na to przedsiębiorstwo.

Matthew znowu skinął powoli głową.

- To jest dobre - rzekł z powagą. - Muszę określić to własnymi słowami, ale rozumiem, o co chodzi. A może przypomnę mu, że zeszłego roku jako firma wyłożyliśmy księgowane sto pięćdziesiąt tysięcy funtów na fundusz jego partii, nie wspominając innych dodatków.

- Co to za dodatki, Matthew? - spytała zaciękwiona Lucy i Andrew odmówił w myślach modlitwę, żeby Friern trzymał gębę na kłódkę. Andy absolutnie nie chciał wiedzieć o żadnym innym wsparciu Partii Konserwatywnej niż wykazanej w rocznym bilansie spółki akcyjnej Friern Constructions.

Zadźwięczał dzwonek i gospodynię wywiało z pokoju w chmurze granatowego jedwabiu.

- Lucy ucięła sobie bardzo użyteczną pogawędkę - odważył

się stwierdzić Andy, zostawszy sam na sam z klientem i butelką wina.

- Sprytna dziewczyna. I zawsze ma gdzieś jakiegoś wielbi- ciela, którego potrafi zmusić do przysługi. - Matthew wstał, aby sprawdzić kieliszki, a Andy zastanawiał się, jak i wcześniej by- wało, czy Matthew wie o jego krótkiej przygodzie z Lucy.

- Lepiej chodźmy - powiedział Matthew i ruszył pierwszy, wielki i zwalisty.

Dziwne - pomyślał z zainteresowaniem Andy - ale najpoważ- niejsi klienci Walzheimsa są również potężni fizycznie. Tu krył się jakiś istotny związek. Choć nie sposób było nie zauważyć sukcesów, jakie często odnosili drobni mężczyźni, Andy w tym momencie nie potrafił sobie wyobrazić głównego dyrektora, którego dałoby się nazwać niskim. Konserwatywni ministrowie to też spore chłopy - pomyślał witając Johna Winstanleya, który przyjechał służbowym samochodem i był czarowany przez Lucy. Andy pocałował żonę, która nie wyglądała najlepiej - zapewne miała kłopoty z opiekunką do dzieci. Jej delikatną urodę blond- dynki przyćmiewał blask brunetki - Lucy. Muszę sprawić Emmie brylanty; duże, prawdziwe brylanty, takie jak naszyjnik i kolczy- ki Lucy - pomyślał. Zręcznie przesunął się na bok, pozwalając Peterowi Jennerowi, przewodniczącemu lokalnego oddziału Partii Konserwatywnej gdzieś z północnego wschodu, rozpocząć wymianę zdań z Winstanleyem, co polegało na wygłoszeniu kilku nie wiążących się ze sobą uwag o polityce partii: co za ulga mieć swojego posła po latach rządów tych upiornych facetów z Partii Pracy; oczywiście Dorrington to trochę koniec świata, ale każda pomoc się przyda. I znakomicie, że Gerry Willshaw jest ministrem, dzięki niemu ludzie tam nie czują się zapomniani.

Wspominanie o Willshawie było chyba niezbyt taktowne - pomyślał Andrew i nie ruszając się z miejsca obserwował, jak Matthew zręcznie wyciągnął Winstanleya z grupy, przedstawił go pięknej kobiecie z V&A i po raz drugi napełnił mu kieliszek.

Po stosownej pauzie, na tyle długiej, by chętni na drugiego głębszego mogli go wychylić, poproszono do stołu i Andrew znalazł się między kobietą z V&A, która reprezentowała sobą same zalety, i żoną Petera Jennera, o której nie dało się tego powiedzieć. Z aprobatą zauważył, że jego Emma siedząca po drugiej stronie obok Winstanleya zabawia go świetnie, wysłuchując na przykład politycznych anegdot, kiedy Lucy jest zajęta czymś innym. Pod koniec znakomitej kolacji Friernowie zgrabnie dali znak do odejścia od stołu; Lucy pociągnęła za sobą panie i dwóch panów, zostawiając Andy'ego, męża i Johna Winstanleya przy portu i bardzo dobrych cygarach.

- Panie ministrze... John... cieszę się z twoich odwiedzin - zagał swobodnie Matthew. - Jak wiesz, bardzo zależało nam na konserwatywnym rządzie i jesteśmy przekonani, że jest to z korzyścią dla kraju - naprawdę nie wiem, do czego byśmy doszli - i oczywiście prowadząc przedsiębiorstwo budowlane jestem szczególnie zadowolony, że wróciliście do władzy.

Trudno o bardziej rzetelny sąd - pomyślał Andy podziwiając tę płynącą z serca wypowiedź.

- Z przyjemnością wysłuchałem twojego przemówienia na konferencji kilka tygodni temu - kontynuował płynnie Matt, spoglądając na koniuszek swojego cygara. - I zupełnie zgadzam się z tym, co powiedziałeś o uwolnieniu od NEB wszystkich przedsiębiorstw i że zresztą nigdy nie powinny się znaleźć poza sektorem prywatnym. - Zrobił pauzę pozwalając Winstanleyowi na komentarz.

- Pani premier, wiem o tym, przywiązuje do tego wielką wagę. Zaledwie wczoraj powiedziała, że musimy być bardzo stanowczy, że ta nasza polityka napotyka wiele oporów.

- Och, to dla mnie nie nowina. - Matthew dołał portu. - Wielu ludzi chowało się w przedsiębiorstwach państwowych ze strachu przed światem. - Zawahał się przez chwilę. - Właśnie zastanawiałem się, John... No cóż, wiesz, że jesteśmy zainteresowani kupieniem Prior Systems, jednego z przedsiębiorstw NEB. W grupie budowlanej jest ich jeszcze cztery i dla każdego z nich

coś znajdě. Dla kaźdego z wyjątkiem Davecat. Ale zdejme ci z głowy ten kłopot i zamknę je - łatwiej mi to zrobić niż tobie. Czy jest możliwe, byś wziął pod uwagę zakup całej grupy?

Sam bym lepiej tego nie ujął - pomyślał Andy, profesjonalnie utrzymując kamienny wyraz twarzy i obserwując dwa nieprzeniknione oblicza po przeciwnych stronach stołu.

- To bardzo pociągające rozwiązanie - rzekł z wyrazem przyjemnego zaskoczenia John Winstanley, chociaż jego polityczne czułki musiały zasygnalizować mu trzy zdania temu, ku czemu zmierza ta konwersacja. - Oczywiście, koniecznie należałoby spytać o radę naszych bankierów.

- Jasne. Ja również korzystam z rad Andy'ego.

Ta wzmianka zwróciła uwagę na Andy'ego, pochylił się więc do przodu, gotów zabrać głos, ale Matt kontynuował.

- Sugerowałbym, John, w razie gdyby ten pomysł ci się spodobał, doprowadzić do spotkania naszych doradców. Myślę o przedstawieniu oferty opartej na uzgodnionej wycenie, ale by to zrobić, potrzebuję opcji na wyłączność zakupu na okres... ilu?... czterech tygodni... Andy?

- Czterech do sześciu tygodni, panie ministrze. Właściwe przygotowanie ofert będzie trochę kosztowało Friern.

- Czy będziesz musiał powiadomić giełdę?

- Tak - odparł śmiało Andy. - Kiedy przejdziemy do szczegółów. Ale oczywiście nie wcześniej, nim osiągniemy tymczasowe porozumienie.

- Muszę się nad tym zastanowić - powiedział Winstanley po kolejnej pauzie. - Ale dziękuję. To korzystna oferta. - Wyprostował się i zaczął się wiercić, wyraźnie licząc na to, że udadzą się do pań, ale Matthew zamierzał wyłożyć wszystkie swoje poglądy i minister, zrezygnowany, opadł na fotel.

- Domyślam się, że kierownictwo Prior stara się przygotować ofertę? - spytał Matthew podsuwając orzeszki.

- Tak mi powiedziano. - Winstanleyowi wyraźnie ulżyło, kiedy ta sprawa została postawiona jawnie. - I chociaż z jednej

strony wszyscy jesteśmy za udanym akcjonariatem pracowniczym, musimy pamiętać, że zaangażowano tu wiele pieniędzy podatników. Nie ulega żadnej wątpliwości, że kupujący, ktokolwiek by to był, musi zaproponować uczciwą cenę i końcowy rezultat musi zapewnić przedsiębiorstwu stabilność. Zakup nie może być obciążony zbyt wysokim kredytem.

Czas pokazać, że nie biorę tu pieniędzy za darmo - pomyślał Andy.

- Wiele tych wykupów było obciążonych bardzo wysokim kredytem, panie ministrze. Mnie, finansście pracującemu na rynku spółek, włos się jeży.

- Zgadza się. Byłem u Schrodersa przez dwa lata.

- Pamiętam. Znakomici fachowcy. - Pozwolił na krótkie interludium. Mówili o wspólnych znajomych, rozlano następną kolejkę porto. Zdecydował, że znów należy spróbować poruszyć temat wykupów pod zastaw akcji nabywanego przedsiębiorstwa.

- Kłopot z tymi wykupami polega na tym, że muszą być bardzo wysoko kredytowane, aby instytucje i kierownictwo dostały tyle, ile chcą.

- Przypuszczam, że gdyby chodziło o pracowników, byłoby tak samo?

Andy wprawnie pochwycił tę niespodziewaną zdobycz.

- Och, kredyt byłby nawet jeszcze wyższy, bo pracownicy współzawodniczą z kierownictwem o same akcje, więc zwracają się do instytucji inwestujących o ustąpienie większej liczby akcji przy utrzymaniu długu na tej samej wysokości. W związku z tym instytucje prawdopodobnie nie uzyskują spodziewanych zysków.

- I nie są skłonne kredytować wykupu.

- Są bardziej skłonne nalegać na bank, żeby same nie musiały wykładać tak dużego kapitału pożyczkowego, przez co cała operacja stawałaby się bardziej ryzykowna.

- Lecz wiele tych wykupów wieńczy powodzenie, prawda? - spytał Winstanley.



- O, tak, jak najbardziej. - Podał porto. - Naturalnie, o niepowodzeniach słyszy się jedynie na spotkaniach zarządów banków.

- To musi być szalenie krępujące dla ludzi popierających te wykupy, prawda? - dopytywał się z nadzieją Winstanley.

- No cóż, panie ministrze, obawiam się, że niezupełnie jest tak. Mamy wydział inwestycyjny, stąd wiem, że jeśli któraś z tych transakcji się powiedzie, zyski inwestorów są ogromne. W tych okolicznościach jesteśmy skłonni pogodzić się z totalnymi wpadkami, które zdarzają się od czasu do czasu i w wyniku których przedsiębiorstwo upada, traktując to jako przejaw bogactwa życia.

Winstanley pokiwał z wolną głową, z profesjonalnie nijakim wyrazem twarzy, i Matthew otworzył usta, by dołożyć ostateczny wniosek, ale opamiętał się.

- Lepiej chodźmy do pań - oświadczył. - Lucy będzie na mnie wściekła. - Przepuścił przed sobą Winstanleya.

- Dobra robota, Andy - rzekł mijając go.

Zarobiłem na dzisiejsze wynagrodzenie - pomyślał Andy. Winstanley dostał to w jednej pigułce; prawdziwe firmy, mające renomę i dbające o karierę swojego dyrektora, nie podejmują ryzyka; jesteś z nimi bezpieczny. Z drugiej strony wolni strzelcy z biznesu inwestycji budowlanych podejmują duże ryzyko za cenę wysokich zysków i nie są to ludzie, którym można by zaufać swojej polityczną karierę. Wypełnił swój obowiązek; jeśli tylko Winstanley nie będzie miał do niego pytań, może zostawić Matthew i Peterowi Jennerowi omówienie reszty politycznych aspektów transakcji, a Lucy niech czaruje gościa - do czego już się zabrała. Z energią wziął się do zabawiania pani Jenner.

W pół do ósmej następnego rana mniejsze i trochę mniej wytworne towarzystwo również omawiało sprawy Prior Building Systems. Czworo ludzi siedziało przy kołyszącym się stoliku, zbyt małym, żeby mogły się na nim zmieścić śniadania serwowane w wagonie restauracyjnym i dokumenty.

Caroline Whitehouse i jej asystent Mark Dwyer siedzieli po jednej stronie stolika, a wielki brunet, starszy od niej, o którym za kilka lat niewątpliwie będzie można powiedzieć „grubas”, i milczący, niewiele młodszy jego podwładny zajmowali miejsca naprzeciwko.

- Nie czytałeś dokumentów, Hamish, leniwy skurwielu - oświadczyła zimno Caroline nalewając kawę.

- Cholera, przeczytałem. O tyle, o ile można było coś wyczytać, biorąc pod uwagę, że nie było w nich żadnych godnych uwagi danych.

- Nawet się nie połapałeś, że to wszystkie dane, jakie są dostępne bez pozwolenia NEB.

- Czytałem, Caroline.

Podwładni popatrzyli na siebie nerwowo, ale zwierzchnicy nie zwracali na nich uwagi.

- To powinieneś się połapać, że to transakcja z odłożonym terminem płatności. Jest o tym mowa na stronie numer jeden. Podaj mi sól, proszę.

- Rzecz nie w tym, że się nie połapałem, Caroline; mówię ci tylko, że to nie zaskoczy. - Głos Hamisha urósł do chrapliwego skrzeku, jaki emitują zestresowani mieszkańcy rejonu Glasgow, i pół wagonu rozejrzało się.

Hamish, syn sklepikarza, pochodził z miejsciny spod Glasgow. Starszy brat przejął sklep, a Hamish zaczął od pracy kancelisty w banku w Clydesdale, gdzie korzystając z wrodzonej łatwości w nawiązywaniu kontaktów i wyrazistego temperamentu, połączonych z umiejętnością dyrygowania ludźmi, doszedł w wieku trzydziestu pięciu lat do stanowiska kierownika, a potem dyrektora naczelnego. Zostawił daleko w tyle brata i resztę rodziny. Pracował w szkockim oddziale pewnego banku inwestycyjnego z Londynu, będącego głównym pożyczkodawcą przy modnej operacji, wykupie, i odkrył w sobie talent do tego rodzaju roboty. Główny dyrektor zjechał z Londynu na sfinalizowanie umowy i zaoferował mu posadę w dziesięć minut po złożeniu podpisu pod dokumentami. Wszyscy pili szampana, tylko nie Hamish, którego jowialność bazowała na ścisłej abstynencji. Poprosił o tydzień do namysłu i przyjął ofertę.

Jego zachowanie było pozbawione wszelkiej impulsywności. W samolocie z Edynburga zdecydował, że nie zmieni swojego image i wymoczkowate karzelki umysłowe w Londynie mogą go wziąć takiego, jaki jest, albo pal ich licho. Teraz był szycią w świecie kapitału inwestycyjnego, miłym, uśmiechniętym chuliganem, doskonałym mówcą i bezlitosnym, doskonałym organizatorem. Poznał Caroline podczas transakcji, kiedy reprezentowała drugą stronę, sprzedawcę przedsiębiorstwa, które chciał kupić. Hamish zaczął od przyciężkich zalecanek, jakby była jedną z kasjerek banku Clydesdale, i jak to sam z humorem nazwał, w odpowiednim momencie uchronił ją przed przytraśnięciem.

- Orznęła nas na cenie i na zabezpieczeniach - zgłosił pracodawcom, dodając przy tym: - Ale zwróćcie uwagę, to nadal dobry interes. Z tym że gdyby miała marnego klienta, musielibyśmy dać dużo więcej. Następnym razem wolałbym ją mieć po swojej stronie.

W wyniku tej oceny Caroline była radcą prawnym jego firmy przy trzech okazjach i ponieważ za każdym razem Hamish był z niej równie zadowolony, korzystał z jej usług, ile się tylko dało. Ale w grę wchodziła wymiana dwustronna; radcy przysparzali ci interesów i jeśli zawsze korzystałeś z tego samego radcy, odcinałeś się od innych owocnych źródeł transakcji. To była pierwsza propozycja, którą Caroline mu przyniosła, i przyglądał się życzliwe prawniczce, nie urażony jej komentarzami. Prawdę powiedziawszy, nie przeczytał zbyt wiele, podwładny wykonał tę robotę. Na tym etapie nie było potrzeby, by obaj obciążali sobie głowy.

- A cena i tak jest zbyt wyśrubowana, nawet przy tych paru bezużytecznych danych, które byłaś łaskawa nam podsunąć - rzekł uprzejmie, zniżając głos. - Przedsiębiorstwo nie ma osiągnąć; z tego, co mi mówisz, to wymuszona sprzedaż. Sama wiesz, nie znam się na polityce w tamtym kawałku kraju.

- Zawracanie dupy - powiedziała Caroline, odwiedzona od głównego tematu rozmowy. Nabrała oddechu. - To wymuszona sprzedaż, Hamish, ale mamy konkurencję, innych ludzi z branży, którzy chcą zdobyć firmę.

- Przebiją nas, stać ich na wyłożenie większej gotówki.
  - Teraz mówisz z sensem. Ten wyścig zależy nie tylko od gotówki, chodzi o politykę rządu. Ale gotówka musi być. Dlatego wpadłam na pomysł odroczonej zapłaty.
  - Chodzi ci o to, że dziesięć funciaków od razu i pięć, jeśli słonko będzie im świeciło przez następne trzy lata, to to samo co piętnaście funciaków dziś.
  - Wiedziałam, że jesteś naprawdę inteligentny.
  - Czy to chwyci? - Obaj podwładni przerwali jedzenie, widelce zastygły zębami do góry. Padło najistotniejsze pytanie.
  - Tak sądzę. Jeśli będzie wyglądało jak trzeba - jeśli dwa zespoły bankierów potrafią się nawzajem przekonać, że rząd ma prawdziwą szansę na dobrą cenę za zrobienie czegoś politycznie popularnego, jesteśmy górą. Tylko my potrafimy przeprowadzić wykup pracowniczy.
  - Uśmiechnięte twarzyczki, żonusia demonstruje akcję nabytą z oszczędności na zakupach.
  - Prawie, Hamish. Dźwigowi jak dęby drą legitymacje związkowe, przysięgają wierność do grobowej deski przedsiębiorstwu i Partii Konserwatywnej za stworzenie im takiej możliwości.
  - Widzę to. Jakie jest to kierownictwo?
  - Nawet nie chciało ci się zajrzeć do życiorysów. Gdzie utknąłeś - na spisie treści?
  - Są dosyć młodzi, prawda? - powtórzył pytanie Hamish.
  - Peter Burwood ma trzydzieści dziewięć, główny księgowy, Graham Gough, trzydzieści siedem, a szara eminencja, Martin Williams, trzydzieści osiem. Myślę, że są dobrzy, bo inaczej nie prosiłabym, byś przyłączył się do naszej wesołej gromadki, ale nie ma sensu cię urabiać.
- Hamish pokiwał głową. Wszyscy specjaliści od kapitału inwestycyjnego potrafią ocenić interes i zminimalizować ryzyko transakcji. Ale podstawową zmienną pozostaje kierownictwo. Jedną z nieprzeniknionych tajemnic jest, dlaczego jedna grupa potrafi osiągnąć sukces w nie zapowiadającym powodzenia interesie, kiedy wszystko przysięga się przeciw niej, podczas gdy

inna, wydawałoby się identyczna, rozleci się, a przedsiębiorstwo razem z nią.

- Pomyślałam, że ryzyko zawodowe jest tu niewielkie. - Caroline nie spuszczała z niego oka.

- Jabłuszko dojrzałe do zerwania. - Hamish doszedł do identycznej konkluzji po dyskusji z podwładnym. - Jestem wdzięczny, że zaproponowałaś nam ten interes, Caroline. Jeśli dane będą w porządeczku, zagwarantujemy emisję i rozprowadzimy akcje. Możemy to zrobić z naszego nowego funduszu.

- Nie chcę, żeby wisiała im nad głową opłata za gwarancję emisji - zareplikowała szybko i spojrzała na nią spod długich rzęs. - Słuchaj, Hamish, to nie idioci, wiedzą, że mają dobrą transakcję, i jeśli będziesz próbował ich obciążyć opłatami za gwarancje, to mogą poszukać kogoś innego. Na ile liczyłeś, na jeden procent? Sześćset tysięcy funtów?

- Coś w tym rodzaju.

- Transakcję szlag trafi.

- Możemy nie wspominać o tym na tym etapie - zostawmy to na później, co?

- Reprezentuję przedsiębiorstwo. Żadnego owijania w bawełnę tam, gdzie chodzi o koszty.

- Mhm. Każdy będzie chciał jakiegoś okruszka za gwarancje.

- Zapłacimy okruszek, nie sześćset tysięcy. Akcje zwykle powinny kosztować nie więcej niż dziesięć milionów i spodziewam się, że przedsiębiorstwo będzie mogło załatwić pożyczkę.

- Muszę skasować ich na jeden procent akcji.

- To robi sto tysięcy. Zgadzam się. Nie wspomnę, że czekają was inne przyjemności.

Po wstępnych ustaleniach grupka w milczeniu skończyła śniadanie. Hamish skupił się na zasadniczych punktach transakcji i szybkiej lekturze danych o karierach trójki menedżerów.

- Przyjrzałaś się temu starannie, Caroline?

- Jeśli chodzi o chłopaków, tak. Rozmawiałam z kolegą w Tarmac, gdzie Peter Burwood był poprzednio, rozmawiałam z gościem w Deloitte o Grahamie Goughu, rozmawiałam z ICL o

Martinie Williamsie. Wszędzie dobrze o nich mówiono. Jeśli chcesz tego jeszcze raz wysłuchiwać, dam ci namiary.

- A co ze sprawami politycznymi?

Oboje rozmawiali bardzo cicho, zachowując dyskrecję, i podwładni natężali słuch, by coś usłyszeć.

- Tak naprawdę, sprzedaż jest właśnie ważna ze względów politycznych; żadne „jeśli” i „ale” NEB nie będą tolerowane. Ona bardzo chciałaby sprzedać to pracownikom, ale wszyscy inni chętni muszą mieć równe szanse, a przynajmniej takie musi być wrażenie.

Mówiłam ci.

- Masz jakieś poparcie?

Zawahała się.

- Gerry Willshaw, minister transportu, poseł z sąsiedniego okręgu. Wielu jego wyborców pracuje dla Prior.

- Może się przydać. Znasz go dobrze?

- Wystarczająco.

Rzucił jej szybkie spojrzenie, ale ona wpatrywała się zaskoczona w wąskie przejście między stolikami.

- Matthew!

Hamish poszedł za jej wzrokiem. Potężny mężczyzna wpatrywał się w Caroline, równie zbity z tropu jak ona.

- Cześć. Jak się masz?

Zerwała się na nogi i pocałowała faceta, zasłaniając go Hamishowi. Bardzo nie chce go przedstawiać - pomyślał ten i pochylił się nad stolikiem, zadając asystentowi pytanie, na które znał odpowiedź. Równocześnie obserwował kątem oka znajomego Caroline. Jego towarzysz pchał się do przodu, najwyraźniej pałając chęcią włączenia się do rozmowy, i uśmiechał się do Caroline, a ten jakiś-tam Matthew najwyraźniej nie kwapił się go przedstawiać. Hamish wyprostował się na krześle pełen ciekawości i czekał na rozwój sytuacji.

Caroline poddała się pierwsza.

- Matthew, znasz Hamisha Browna z Martins? Nie? Hamish, poznaj Matthew Frierna. Pan Brown, sir Matthew Friern.

Nieczęsto słyszy się właściwe formułki prezentacyjne, gdy powtarzanie stosownych tytułów sprzyja, by każdy mógł się zorientować, kto jest kim - pomyślał Hamish, który przeszedł praktykę w banku dbającym o staromodne zasady. Od razu zorientował się, że sir Matthew Friern to prezes potencjalnego rywala starającego się o Prior. Friern niechętnie i niewyraźnie przedstawiał tłustego przyjaciela. Grubasek rozanielony złapał rękę Caroline.

- Radny Williamson - zabuczał. - Miło mi panią poznać.

Matthew Friern zacisnął usta i na jego jasne policzki wyraźnie wystąpił rumieniec.

- Co tu robisz, Caroline? - spytał. Ton jego głosu był prawie impertynencki.

- Jadę na spotkanie z klientem, Matt.

- Kto nim jest? - Radny Williamson najwyraźniej zdecydował, że musi wziąć udział w tej rozmowie.

- Prior Building Systems. - Caroline wyprostowała się i rozłożyła ciężar ciała równo na obu stopach jak bokser.

Radny przeżył chwilę zabawnego zaskoczenia i nie mógł się powstrzymać od poszukania wzrokiem pomocy u Matthew, który nie odrywał oczu od Caroline.

- Prawdę mówiąc, właśnie o tym rozmawialiśmy - rzekł nie okazując emocji. - Zapewne wiesz, Caroline, że jesteśmy zainteresowani kupnem, jeśli NEB będzie sprzedawała.

- Słyszałam. Reprezentuję przedsiębiorstwo, nie NEB.

- Po co przedsiębiorstwu własny prawnik? - Williamson odzyskał kontenans.

- Sądzi się, że interesy firmy i NEB niekoniecznie muszą być zbieżne - uprzejmie wytłumaczyła Caroline.

- Należałoby się spodziewać, że wezmą miejscowego prawnika - gderał Williamson.

Caroline z irytacją zacisnęła ręce za plecami.

- Podejrzewam, że musiała zachodzić sprzeczność interesów - rzekła ostrożnie. - Zapewne wiele miejscowych kancelarii pracuje na zamówienie rady miejskiej. A Prior realizuje umowy dla rady.

Na pewno bardzo by ci grało, chłoptasiu, gdyby Prior doradzała kancelaria, która wisi u klamki rady - pomyślał Hamish. Poznał tego rodzaju układy jako kierownik lokalnego banku.

- Nie powinniśmy cię zatrzymywać, Matt. Blokujemy przejście - mówiła opryskliwie Caroline. - Ucałuj Lucy. Jestem z nią umówiona na lunch w przyszłym tygodniu. Bardzo się cieszę, że mogłam pana poznać. - Zgrabnie zajęła z powrotem miejsce przy stoliku i patrzyła za odchodzącymi w głąb wagonu. Zwróciła się do Hamisha: - Nie powinni nas usłyszeć, no nie?

- Nie, nie. Chyba że używają podsłuchu. Nie za bardzo ucieszył ich twój widok, no nie?

- No, nie skakali do góry z radości. Nigdy nie przypadliśmy sobie do serca, chociaż jest mężem mojej najlepszej koleżanki szkolnej.

- Nie chciał cię przedstawić swojemu tłustemu kumplowi.

- Radnemu Williamsonowi. Nie chciał, zgadza się. Muszę sprawdzić szacownego radnego.

- Pewnie się dowiesz, że jest przewodniczącym komisji budownictwa mieszkaniowego.

Spojrzała na niego ostro i uśmiechnął się widząc, że jej przebiegły umysł w lot uchwycił tę myśl.

- To właśnie nazywałam polityką. Mniejsza o facetów w stolicy, potrzebni są miejscowi chłopcy.

- Nie znam nikogo w radzie miejskiej.

Prawie słyhać, jak te trybiki wirują jej w mózgu - pomyślał rozbawiony.

- Znajdę kogoś. W porządku, dzięki Hamish. Dotarło.

**P**ięćdziesiąt jardów dalej Matthew Friern i radny Williamson siedzieli twarzą w twarz. Zabezpieczyli się przed ewentualnymi sąsiadami, rozrzuciwszy bałaganiarsko walizki i płaszcze na dwóch wolnych fotelach.

- Nie powinna nas usłyszeć, no nie?

- Nie miała co słyszeć, Bill. To była kumplowska rozmówka.



- Tak, oczywiście. Ten facet jak szafa, który z nią był, to kto?  
- To figura. Specjalista od wykupów, Hamish Brown. Ona ciągnie go na spotkanie z kierownictwem Prior, aby uzgodnić finansowanie. I tak nie będą w stanie wyłożyć tyle co my. Ale to jeszcze nie znaczy, że jesteśmy gotowi zarzącać się cenowo za tę czy za inną firmę. - Wstał niespokojnie, rozejrzał się po korytarzu i siadł z powrotem.

- Więc wszystko jasne, Bill? Wiesz, co masz robić. Chcę, żeby ta sprawa odleżała się trzy miesiące. Potrafisz się za to wziąć?

- Jestem przewodniczącym tej komisji wystarczająco długo, Matthew.

- Zgadza się. I jesteś naszym dobrym przyjacielem. Kiedy to Sharon wychodzi za mąż? - Zanotował. - W porządku. Wszystko gra. Załatwione. Muszę zadzwonić, zanim dojedziemy.

Po dziesięciu minutach pociąg wjechał na stację i oba towarzysza przywołały na twarze sztuczne uśmiechy, zmierzając razem do wyjścia. Caroline rozejrzała się za szoferem z Prior i zdziwiła się na widok samego Petera Burwooda, kiwającego do niej ze środka małej grupki oczekującej przyjezdnych. To na cześć Hamisha, nie na moją - pomyślała. Matthew szedł obok niej, zmierzał w to samo miejsce, i gdy ucałowała Petera, Matthew był u jej boku, wręczał teczkę swojemu kierowcy. Dopełniając zasad grzeczności przedstawiła Burwooda Friernowi, czując się jak drugorzędna postać z Szekspira. Przydałoby się jeszcze tylko parę wierszy dialogu, by publiczność wiedziała, kto jest kim - pomyślała ponuro. Matthew był apodyktycznie wylewny. Poszukała wzrokiem Williamsona. Oddalał się pośpiesznie w towarzystwie niższego mężczyzny, może kierowcy, gdyż niósł on bagaż radnego. Woli nie być widziany z Friernem, przynajmniej nie przez Petera Burwooda - uznała z namysłem, patrząc na znikające plecy Williamsona.

# Rozdział jedenasty

Clive Fieldman stał u szczytu schodków; trzymając dzieci za rączki sprawdzał numer domu, ogarnięty nieśmiałością, która - jak mniemał - opuściła go przed laty.

- Chyba nacisnę dzwonek, bo inaczej ona nigdy nie otworzy - usłyszał zza pleców rozbawiony, pewny siebie głos. Odwrócił się i zobaczył męską wersję Caroline - te same gęste blond włosy, niebieskie oczy i matową, lekko opaloną skórę.

- Jestem bratem Caroline. Caspar Henriques - przedstawił się mężczyzna. - Poznaliśmy się już. Jakieś sto lat temu. To moja dwójka, Peter i Jeremy. - Machnięciem ręki wskazał dwóch długonogich nastolatków, typowych Henriquesów, minimalnie różniących się od dorosłych.

- Pamiętam cię. Moja córka Samantha i syn William.

Dzieci skinęły głowami przyglądając się sobie z uwagą.

Caroline otworzyła drzwi.

- Clive, jak miło cię zobaczyć. Cześć, Caspar, cześć kochani. - Ucałowała obu mężczyzn i kuzynów, z powagą wymieniła uściski dłoni z dziećmi Clive'a, zaprosiła je do kuchni na lemoniadę. Poszły, lecz rozglądały się ostrożnie i dodawały sobie ducha trzymając się za ręce. Sprawiały wrażenie bardzo drobnych i ciemnowłosych przy wysokich chłopakach Henriquesa. Clive z niepokojem odprowadził malców wzrokiem.

- Moja Susannah i Francis są w wieku twoich. Gdzieś się tu kręca. Jest i Arabella Felixa. Też ma dziesięć lat.

- Dobry Boże, Felix jest tu? I Marianne? - spytał Caspar.

- Tak, są. Marianne nie przepada za zgromadzeniami Henriquesów. To jedyny punkt zrozumienia między nami.

- Coś z nią nie tak? - spytał Clive, dodając sobie kurażu łykiem schłodzonego białego wina.

- Z nią jest wszystko w porządku, Clive - uspokoił go Caspar. - Rzecz rozbija się o to, że według mojej siostry obowiązkiem każdej kobiety jest urzędować na męskiej posadzie przynoszącej grubą forszę, a Marianne wierzy, że matki powinny siedzieć w domu. I głosuje na Partię Pracy. Naturalnie, nie mają z Caro wspólnego języka. - Otworzył inną butelkę. - Czy staruszkowie są już, kochanie?

- Tak. Mama jest pochłonięta wnuczkami. Sholto poszedł z Felixem do ogrodu.

- Biedny tata. Wezmę Clive'a, butelkę i zajmiemy się wywrotową samczą rozmową, podczas gdy wy, drogie panie, przygotujecie lunch. - Uniknął dobrze wymierzonego kopnięcia w kostkę i podał tyły zabierając Clive'a, który niepokoił się o dzieci. W głębi domu, w wielkiej kuchni-jadalni-salonie, zastał Samanthę pijącą lemoniadę i paplającą z dwiema, mniej więcej dziesięcioletnimi dziewczynkami. Jedna z nich była czystą Henriquesówną, druga szczupłą, delikatną rudowłosą pięknoską.

- Ta ruda to moja Susannah - odezwała się zza pleców Clive'a Caroline. - Mój Francis, lat osiem, jest pod stołem z twoim Williamem i synem Felixa, Michaeliem, który ma już siedemnaście. Nie pojmuję, co on tam robi. Mamo, czy po tych wszystkich latach pamiętasz Clive'a Fieldmana? Chyba się poznaliście?

- Tak. Lady Henriques nie zmieniła się wiele; wysoka i szczupła, uśmiechała się szczerze. Clive zawsze się dziwił, jakież to kukulcze piskłę wyhodowała ta kobieta.

Caroline tymczasem przebierała wśród wiszących w kuchni rondli.

- Czy Marianne też poszła do ogrodu?

- Tak, kochanie. Nie może znieść tego hałasu.

- Nie mam o to do niej pretensji. Ścisz zaraz to cholerstwo, Tom.

Średni Henriques uciał płynącą z radia ludową piosenkę i zapadła względna cisza.

- Niezbyt krzepiące słowa - przerwał milczenie wyraźny, pewny siebie dziecięcy głos. - Dziwne, bo melodia była całkiem wesoła.

Clive starał się nie wytrzeszczać oczu na Susannah, podczas gdy Caspar z pełną powagą odpowiadał siostrzenicy.

- Zgadza się, kochanie. Taka jest właśnie archetypiczna piosenka ludowa. Śmierć i nieszczęście pokrywane wesołą nutą, nuconą przez, wysoki czysty sopran.

Dziecko spojrzało na wujka. Zaśpiewało na nutę *All Things Bright and Beautiful*:

*Zarzęłam mamusią i tatusia,  
Głowę dała ciocia Jill.  
Przydał mi się toporeczek,  
Do piekła pójdę z nim.*

- Zgadza się. One wszystkie są podobne - potwierdził rzeczowo Caspar, a Susannah zachichotała, jak na dziesięciolatkę przystało, i wróciła do zabawy.

- Uczy się dobrze? - spytał Clive.

- Niezbyt. - Caroline była rozbawiona. - To urocze dziecko, ale jak Ben nie będzie robiła rzeczy, które jej nie interesują. Więc nie będzie przewodniczącą klasy ani drużynową skautów, ani dyżurną, powie tylko najuprzejmiej: „Nie, dziękuję”, i wróci do tego, co ją zajmuje. W szkole doprowadza nauczycieli do szału. Boże, zazdroszczę jej.

- Czy kiedykolwiek robiłaś coś, czego nie chciałaś? - spytał zaskoczony Clive.

Caspar wybuchnął śmiechem.

- Do szesnastego roku życia była z niej niezła konformistka. Głowa domu, kapitan eskadry.

- Zmęczyłam się tym - powiedziała ponuro Caroline. - A może wreszcie pojęłam, że tracę czas. Zachowywałam się tak, bo

wy wszyscy byliście tacy dziwacznymi. Wybrałam konwencjonalność.

Clive z podzięką przyjął następny kieliszek i ukradkiem przyjrzał się Casparowi. Na czym mogła polegać jego dziwaczność? Był profesorem zwyczajnym na LSE i prezentował ze wszelkich miar konwencjonalne poglądy, kiedy się go słuchało optującego za utrzymaniem wydatków publicznych na obecnym poziomie czy za zmianą sposobu księgowania.

- Caroline! - z ogrodu odezwał się kolejny władczy głos. - Przy płocie czeka goniec na motocyklu. Ma dużo światełek, telefon komórkowy i dźwiga zalakowaną paczkę. Przyjechał aż z City, ale ty zapewne nie przejmujesz się tym, ile kosztują takie hece.

- Mógłbyś podpisać za mnie, Felix, jeśli to twoja kolej na używanie długopisu BBC w ten weekend? - Głos Caroline bez wysiłku wznosił się ponad ogólnym gwarem, kiedy mrużąc oczy spojrzała na mężczyznę cięższego o kilkadziesiąt funtów od Caspara i o nieco rzadszych włosach, niemniej jednak bardzo podobnego do brata.

- Już to zrobiłem. Ma jeszcze tuzin przesyłek do rozprawienia, tak mówi. Czy którekolwiek z was przeczyta, co jest w środku? A może sensowniej byłoby położyć wam to na biurku w poniedziałek? Zaoszczędziłoby się kilkaset funtów.

- Nie mogę odpowiedzieć za kolegów z czterech różnych firm, Felix, ale dla mnie osobiście jedyną porą, kiedy mogę się zapoznać z tymi dokumentami przed naradą, jest dzisiejszy wieczór. Mniemam, że wy w BBC pracujecie na trochę wolniejszych obrotach.

Ewentualna riposta Felixa została ucięta wejściem profesora sir Sholto Henriquesa. Przez te szesnaście lat, które minęły od czasu, gdy Clive widywał go w LSE, wcale się nie posunął.

- Ten młody goniec jest zapewne lepiej opłacany niż naukowiec.

- To zapewne jest naukowiec, tato! - Caroline odstawiła z hałasem rondel. - Personel tej służby kurierskiej składa się w połowie z pracowników operacyjnych policji, a w połowie z

bardziej przedsiębiorczych członków akademii, którzy dorabiają, aby móc się poświęcić ezoterycznym, osobistym zainteresowaniom, na przykład roztrząsaniu natury Boga. Cas, zechciałbyś, proszę, otworzyć wino? Zapomniałam o tym, a powinno pooddychać.

Caspar położył jej rękę na ramieniu.

- Uspokój się, kochanie, celowo się z tobą drażnią. Nie przedstawiałaś Clive'a reszcie.

Caroline, zaróżowiona i prezentująca się o wiele młodziej niż w pracy, odetchnęła głęboko.

- Przepraszam. Tato, to jest Clive Fieldman, podsekretarz w Ministerstwie Środowiska. Poznałeś go, kiedy byliśmy dziećmi. Clive, mój ojciec Sholto i brat Felix. I jego żona Marianne.

Clive wymienił ze wszystkimi uścisk dłoni i powiedział coś grzecznego sir Sholto o jego wykładach, co zostało przyjęte z wyraźną przyjemnością. Sholto był jeszcze bardziej dominującą fizycznie postacią, niż Clive to pamiętał, potężny mężczyzna, z solidnymi barami i dużymi szerokimi dłońmi, odpowiednimi do pracy fizycznej, ale o ile się Clive orientował, używanymi jedynie do trzymania pióra. Umysł miał tak sprawny jak ongi; Sholto analizujący jakiś problem przypominał znakomitego chirurga przy pracy. Caroline miała tę samą umiejętność; niewdzięczna dziewczyna, tak szorstka wobec ojca, który miał więcej ogłady i wdzięku niż ona. I był mniej drapieżny; robił to, co lubił i w czym był dobry. Szczęśliwy człowiek, który zawsze zajmował się właśnie tym, czego chciał.

Clive porozmawiał z Marianne, wysoką, pełną ironii kobietą. Caroline nie powiedziała mu, że szwagierka zajmuje się pisaniami monografii o szczególnie trudnej i dostępnej dla wąskiej grupy specjalistów dziedzinie sztuki - ceramice osiemnastowiecznej Turcji. Felix, o którym siostra mówiła równie skąpo, okazał się człowiekiem dobrze poinformowanym, może trochę zbyt obsesyjnym, ale bynajmniej nie zasługującym na tak surową cenzurkę, jaką mu wystawiła. Clive bawił się nieźle i dopiero po pewnym czasie zdał sobie sprawę, że jest obiektem uważnej obserwacji całego klanu.

- Pewnie znasz Caroline od wieków - rzekł ironicznie Felix.

- Do zeszłego miesiąca nie spotykaliśmy się przez szesnaście lat, ale byliśmy razem na aplikacji.

- Czy twoim zdaniem złagodniała przez te wszystkie lata? - zapytał sir Sholto, przerywając rozważania nad odpowiedzialnością wobec ubogich.

Clive zastanowił się głęboko.

- Tak. Tak sędzę. Na pewno za czasów naszej wspólnej młodości była bardziej zażarta.

Ujrzał niedowierzanie w czterech parach oczu, a Sholto Henriques zmienił temat i zapytał o politykę Ministerstwa Środowiska w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego. Clive skupił się, nie zapominał, że rozmawia z doradcą Partii Pracy, który zaczął od bezkompromisowego ideologicznego założenia, że każdy ma prawo do własnego darmowego domu. Byli głęboko pogrążeni w problematyce subsydiowania budownictwa, kiedy zauważył ironiczny wzrok Caroline; siedziała po drugiej stronie gawędząc z Casparem, podczas gdy matka oganiała się od wnucząt i pilnowała gotujących się jarzyn.

- Dziesięć minut do lunchu i wszyscy poniżej dwunastu lat do małego stołu! - zawołała groźnie, rozwiązując problem, który zaczął dręczyć Clive'a: jak siedemnaścioro ludzi zmieści się przy jednym stole. Zaoferował się z pomocą, ale potrząsnęła głową i wróciła do rozmowy z bratem, który obserwował z zainteresowaniem ich wymianę spojrzeń.

- Twoja sympatia chyba dogaduje się z tatą - zauważył.

- To nie sympatia.

- Użyłem tego określenia w luźnym znaczeniu. Stary kumpel.

- Bardzo zyskał z wiekiem. Tak, masz rację... O Boże, myślisz, że tato będzie żywił jakieś nieuzasadnione nadzieje?

- Nie. Wiem, że nie cenisz taty wysoko, ale on zna cię bardzo dobrze. Nie wyglądacie z Clive'em na parę kochanków. Nie iskrzy między wami. Ale z drugiej strony, wyglądasz prześlicznie, siostrzyczko. Chowasz gdzieś jakiegoś amanta?

Caroline ku swojej zgrozie poczuła, że oblewa się pąsem, i Caspar pochylał się zasłaniając ją przed siedzącymi przy drugim końcu stołu.

- Więc czemu go tu nie ma?
  - Cas, zamknij się.
- Bardzo rozbawiony przyglądał się siostrze.
- Nie pamiętam, kiedy widziałem cię tak zdenerwowaną. -
- Uśmiech zgasł. - Och, wiem. On jest żonaty.
- Znam samych żonaty.
  - Poza mną, tym Clive'em i masą nam podobnych. Nie opowiadaj mi takich bzdur. Caro, nie rób tego.
  - Dlaczego?
  - Wiesz dlaczego. Zawsze miałaś sił za dziesięciu, bo twoje serce jest czyste, jak mówi stare powiedzenie. Jesteś skoncentrowana, nie ładujesz się w dwuznaczne sytuacje. Zawsze ci tego zazdrościłem i dlatego cię podziwiałem.
  - Myślisz, że wyłysię?
  - Zacznesz pić albo twoje dzieci zaczną wachać klej. Kochanie, jasne, że potrzebny ci mąż, ale własny. Dzisiejszymi czasy nawet ja nie wchodzę w małżeńskie trójkąty; na tej drodze czyha rozpacz.
  - Drogi Cas. Zawsze taki miły. Nawet nie myślę, żeby za niego wychodzić - to mój kochanek. Wyłącznie do zabawy.
  - Nie przekonasz mnie, siostrzyczko.
  - Nie nazywaj mnie tak - zachowujesz się, jakbyś był postacią z tych okropnych sztuk Czechowa, w których wszyscy są z góry przegrani.
  - To samo cię czeka, jeśli się nie zmienisz. Dlaczego to robisz, Caro?
  - Zakochałam się w nim na zabój od pierwszego wejrzenia. No, może od drugiego.
  - Na innych nie patrzyłaś?
  - Jeśli musisz wiedzieć, to od śmierci Bena nie. Bardzo łątwo prowadzić uporządkowane życie, kiedy się ma dobrego męża. Gdy był, nie ulegałam żadnym pokusom. Ale on nie żyje.
  - Mhm. - Caspar ze smutkiem przypatrywał się siostrze. - Kim jest ten gość?
  - Nie powiem. Jest żonaty, więc to nie tylko moja tajemnica.
  - Narazasz się na ból.



- Skąd wiesz?! Masz zupełnie konwencjonalne poglądy na kobiety. Dlaczego nie miałabym zerwać kwiatka i pójść sobie dalej, jak wasza hultajska trójka?

- Och, kochanie. Zacznijmy od tego, że nikt w naszej rodzinie nie jest dobry w zrywaniu takich kwiatków. One w naszych rękach zamieniają się w truciznę, schną i umierają, a my zostajemy wierni temu, co przepadło. A ty musisz dodać do tej dziedzicznej ułomności fakt, że jesteś kobietą. Może znam jednego czy dwóch szczęściarzy, którzy fruwać z kwiatka na kwiatek, ale nie uwierzę, że jest kobieta, której udawałaby się ta sztuczka.

- Może uwierzysz. - Wstała i odstawiła rondel z jarzynami.

- Dwie minuty - powiedziała zdecydowanie. - Podzieliś mięso dla dzieci? Felix zajmie się dorosłymi.

- Jak często się z nim spotykasz? - Nie dawał się zbyć. Zesztywniała.

- Tak często, jak to możliwe. Rzecz jasna, to niełatwe.

- Co? W obecności dzieci?

- Nie, korzystamy z jego mieszkania. - Wprawnie odsączyła brokuły. Unikała wzroku brata.

- Gdzie jest jego żona?

- Na wsi.

- Znalazłaś sobie „kapitana przemysłu”?

- Nie. Przestań wiercić dziurę w brzuchu, Cas.

Patrzył, jak starannie wyklada półmiski.

- Caro, kochana. - Położył jej rękę na ramieniu. - Przynajmniej znajdź kogoś, kto mógłby być z tobą. Znam z autopsji to, co przeżywasz, wiem, jak to jest. Widujesz go rzadko, a kiedy masz trochę czasu, tak jak dzisiaj, on ma żonę na karku.

- Odpiernicz się, Cas. Muszę to robić. - Gwałtownie się wyrwała. - Biegnę, kiedy tylko gwizdnie. Może to niebyt godne, ale żeby nie skłamać, tak w tej chwili, o pierwszej po południu, w Londynie, w Anglii, takie są fakty, mój drogi. - To był ich wspólny stary żart, ale miała łyżę w gardle, a on nie był rozbawiony. Przeszła obok Caspara wołając starszego brata, żeby pokroił za nią mięso.

- Mogę się do czegoś przydać? - Clive, który zjawił się u jej boku, wyglądał na szczupłego przy roślach Henriquesach.

Podawała mu stos talerzy i kazała przygotować stół dla dzieci, przy którym siadła jej trójka, jego dwójka, jeden z chłopców Casa i córka Felixa. Dziesiątka została skierowana do dużego stołu: siedmioro dorosłych i dwoje nastolatków Felixa oraz najstarszy Caspara, zaliczeni do starszych. Poza chwilową przerwą wywołaną uwagą Felixa o przesadnym wynagrodzeniu, jakie jest konieczne, by karmić ich dwiema karkówkami nie oddzielając polędwic, posiłek przebiegł płynnie.

Clive został usadzony obok lady Henriques i czuł się dobrze. Mali Fieldmanowie łatwo znaleźli wspólny język z resztą dzieci. Drugi syn Caspara bardzo starał się zwrócić uwagę Samanthy, która jednakże była dużo bardziej zainteresowana śliczną Susannah. William Clive'a i Francis Caroline bawili się dobrze razem. Pod koniec lunchu dzieci dołączyły do dorosłych. Susannah zawładnęła kolanem Caspara i z tego punktu obserwacyjnego skupiła uwagę na Clivie.

- Cas ma futro na rękach - zagaiła. - Ty też?

- Jeśli odpowiedź na to pytanie brzmi „nie”, nie czuj się załamany - śmiał się Cas. - Uznała, że to dodaje mężczyźnie urody, ale mówimy jej, że inne cechy są równie ważne.

Clive rozgrzany znakomitym winem podwinął rękawy, ukazując przedramiona zadowalająco pokryte czarnym włosami, a dziecko pochyliło się ze swojego stanowiska celem dokładniejszej lustracji i śmiało przejechało ręką po jego ciele.

- Bardziej je widać, bo są ciemne, ale Cas ma prawie tak samo gęste - oceniła dziewczynka analitycznie.

Clive podniósł wzrok i zobaczył Caroline spoglądającą na córkę. Miłość i rozbawienie odmieniły matkę. Dostrzegła jego spojrzenie i uśmiechnął się do niej nad głową Susannah. Ostro, z bólem wspomniawszy podobne chwile rodzicielskiej przyjemności przy obserwacji dziecka.

- Chyba byłaś mi niewierna - stwierdził grobowym tonem Cas i rozbawiona dziewczynka pocałowała go na pocieszenie.

Synowie Caroline zbliżyli się chcąc być w środku wydarzeń, stęsknieni za ciepłem, i Cas, jakby robił to nie po raz pierwszy, udostępnił jedno kolano Timmy'emu, podczas gdy Clive przygarnął Francisa. Ogarnięty poczuciem winy rozejrzał się za własnymi dziećmi, ale zaopiekowała się nimi lady Henriques i były kompletnie pochłonięte grą w karty; William swobodnie oparty o starszą panią ssał kciuk, co mu się zdarzało w chwili zmęczenia. Clive siedział zadowolony czując przyjemny ciężar Francisa na kolanie, flirtował łagodnie z Susannah, która zaproponowała, że później zagra mu na skrzypcach, i słuchał sir Sholto i Felixa, włączyny się do negatywnej, ostrej analizy polityki obecnego Ministerstwa Skarbu. Była to dobra akademicka rozprawa, której można było się spodziewać po poziomie wcześniejszej dyskusji. Clive bez trudności bronił swoich racji. Podano herbatę. Potem goście zaczęli się rozchodzić. Felix z rodziną i starsi Henriquesowie nalegali ciepło na Clive'a, żeby przyszedł, kiedy na nich przypadnie kolej zorganizowania rodzinnego lunchu. Pochlebilo mu to.

- *Chez nous* będzie skromnie, rozumiesz, żadnej karkówki w niebotycznej cenie - rzekł Felix nie spuszczać oczu z siostry - ale mam nadzieję, że będziesz się czuł dobrze...

- ...nie próbując ich codziennego obiadu z łupin, którego świnia by nie tknęła - rozsierdziła się Caroline.

- To bardzo niegrzecznie, kochanie - napomniała stanowczo córkę lady Henriques. - Marianne zawsze wydaje smakowity lunch.

Marianne nie przejęła się uwagą szwagierki, dziękowała Caroline i szykowała dzieci do drogi. Po ich wyjściu zapadła cisza i Clive niechętnie uznał, że powinien przynajmniej zgłosić chęć pożegnania się.

- Zostań, Clive - poprosił go gościnnie Cas. - Ja zawsze zostaję, dopóki nie muszę odwieźć dzieci, Caro wie o tym.

- Nie idź - powiedziała Susannah patrząc na niego spod rzęs. - Nie słuchałeś moich skrzypiec.

Więc został, posłuchał gry Susannah i pomógł Caroline wyładować zmywarkę. Zastanawiał się, dlaczego okazała taką zawziętość.

Może po prostu była mniej akademicko zorientowana niż reszta rodziny. Podsunął tę teorię Casowi. Ten jednak przekreślił ją z pogardą.

- Caro dostawała same celujące za eseje z prawoznawstwa i prawa międzynarodowego - wiem to od jej opiekuna na roku. Po prostu zdecydowała się wykorzystać głowę do osiągnięcia bogactwa i władzy, prawda, kochanie?

- Zdecydowałam się nie zadawać z nieudacznikami. Myślę, że mama marnuje czas na prace społeczne, i nie cierpię jedzenia lupin.

- Zawsze dajesz się podbechtywać Felixowi. Kierownictwo aktualności zarabia całkiem nieźle.

- Ale jak jest z Marcusem?

- Zgadza się, to smutna sprawa. Marcus to nasz średni brat, który bieduje na wyżynach ducha w Doncaster. Żyje z gromadką dzieci i wyklada za jakieś sześćset funtów rocznie o dwunastowiecznym życiu monastycznym. Nigdy nic innego go nie interesowało. Dostał tytuł profesora, co trochę mu pomogło, ale ma nie więcej niż dwóch uczniów i zgorzkniał, bo doskwiera mu brak szacunku.

- Wszyscy musimy posyłać ubrania jego dzieciom - powiedziała Caroline, z dumą spoglądając na swoje dobrze odziane pociechy.

- Ja daję sobie radę, bo jestem ekonomistą i nie brak zapotrzebowania na moje wykłady - wyjaśnił Clive'owi Cas. - Wiesz, Caro, żadne prawo nie nakazuje nam zarabiać gór forsy.

- Wolę wszystko inne niż ciągnąć jak mama i tato.

Cas przyjrzał się siostrze.

- Nigdy nie potrafiłaś zrozumieć tego, że mama kocha tatę. Może użala się przed tobą, ale nie chciałaby być nigdzie indziej.

Spojrzała na niego z głęboką niewiarą i widząc ciekawskie spojrzenia Clive'a, zdecydowanie zmieniła temat. Poleciała dzieciom doprowadzić trochę mieszkanie do ładu. Na własnych śmieciach wygląda o wiele mniej imponująco - pomyślał z rozbowieniem Clive - o wiele bardziej upodabnia się do innych matek.

Przejrzała jego myśli i nachmurzyła się. W tejże chwili odezwał się telefon. Pomknęła do aparatu.

- Cześć - powiedziała bez tchu, odwracając się plecami do towarzystwa. - Tak, jestem tu. Mhm. Jak najbardziej. Tak, to świetny pomysł. No, to spotykamy się tam o tej porze. Tak. Cudownie.

Powoli odłożyła słuchawkę i wróciła do nich w promiennym nastroju.

- Kolejni goście, kochanie? - spytał Caspar.

- Na razie nie, ale wyjdę na drinka po kolacji. - Uśmiechnęła się do niego, nagle pełna radości. - W porządku, przygotujmy coś do zjedzenia. Clive, co zjesz? Jajka? A jeśli nie jajka, to jajka?

Clive zgodził się, że jajka to dobry pomysł. Krążyła po kuchni.

- Mamusia wychodzi? - spytała niespokojnie zza pleców Caroline piękna Susannah.

- Dopiero gdy będziecie w łóżkach i nie na długo - odparła szybko Caroline. - Jean jest w domu, pójdiesz do niej, kiedy się obudzisz i mnie nie będzie.

Cas objął dziewczynkę.

- Mamusia musi czasem gdzieś wyjść - powiedział stanowczo i Clive, widząc zaskoczone, pełne winy i wdzięczności spojrzenie Caroline, zrozumiał natychmiast, że facet Caroline musi być z jakiegoś powodu niechętnie widziany. Naturalnie jest żonaty, prawda? Ta rozmowa w niedzielę wieczorem oznacza, że wrócił z weekendu. Układ podobny jak jego i Lucy, tylko że odwrócony.

Pomyślał z żalem: Powodzenia, Caroline.

Czuł się tak rodzinnie z klanem Henriquesów, jak nigdy się nie czuł z własną rodziną, od kiedy skończył podstawówkę. Ciekawe, że to ze strachu przed takimi jak banda Henriquesów zrezygnował ze studiów w Oxfordzie lub Cambridge. Wiedział, że poradzi sobie w LSE; pełno tam było sprytnych chłopaków jego pokroju, pochodzących z klasy robotniczej, i chwalić Boga, nie trafiały się typki ze szkół prywatnych. Nie rozumiał tego, że wykształcone rodziny zawsze wybierały sobie przyjaciół sądząc ich raczej po tym, co mieli w głowach, a nie po wyglądzie ich drzew genealogicznych i wielka szkoda, że późno odkrył, iż cała grupa społeczna, wobec której żywił głębokie podejrzenia, jest

otwarta i pozbawiona uprzedzeń.

Dręczony ciekawością przyglądał się Caroline. Umiejętnie przygotowywała sadzone jajka i „wagoniki” smarowane ostrą pastą, których uparcie domagał się Caspar. Zastanawiał się, kim był telefonujący. Trawiony zazdrością na poły tylko nieświadomie spytał, jak idzie transakcja z Prior Systems. Chciał, by Caroline wróciła myślami do chwili bieżącej.

- Jak to „idzie”? - Obudził w niej podejrzliwość.

Zamrugął.

- No, raczej, jak się posuwa?

- Ach, rozumiem - odetchnęła z ulgą. - W sekundzie, w której NEB dmuchnie w gwizdek, będziemy na mecie z wywieszonymi ozorami. Specjalista od wykupów w Martins jest cały za, przynajmniej w teorii. Oczywiście, nie byliśmy w stanie przedstawić mu utajnionych danych, ale jak pewnie wiesz, bilans bynajmniej nie jest zachęcający, a dane tegoroczne i prognozy wskazują duży postęp. Więc myślę, że wszystko w porządku - to znaczy, będziemy mogli zaproponować NEB uczciwą cenę.

**T**rzy mile dalej Andy Eames Lewis zaparkował swojego niebieskiego Jaguara pod mieszkaniem Friernów i nacisnął dzwonek. Lucy Friern w dżinsach i białym swetrze otworzyła drzwi. Włosy miała wyszczotkowane i gładko uczesane. Z kuchni dolatywał niebiański zapach.

- Andy... - powiedziała i ucałowała go ceremonialnie. - Matt to zwierzę, skoro każe ci przyjeżdżać w niedzielę. Biedna Emma. Ale ma dla ciebie pilną wiadomość. Nie przeszkadza ci, że zaproszę cię do kuchni? Tu jest swobodniej.

Wszedł za nią do nowoczesnej, luksusowej kuchni, całej z nierdzewnej stali i czarnego drewna. Hockney (zapewne oryginalny) wisiał na ścianie w głębi nad ogromnym czarnym stołem, na którym cieszyła oko butelka dobrego Sancerre w naczyniu do chłodzenia wina i trzy kieliszki. Matthew Friern mówił do czarnego telefonu. Lucy ruchem głowy wskazała Andy'emu, by z nim Matt skończy rozmowę, otworzył i rozlał wino. Zajął się

tym. Natężył uwagę usłyszawszy swoje nazwisko.

- Powiem mu. Tak. I spytam się, jak najlepiej to rozegrać. Ale pomówisz ze mną sam na sam, Bill, zgoda? Dobrze. - Matthew odłożył słuchawkę i uśmiechnął się wilczo do Andy'ego. - To załatwi tę zadzierającą nosa hołotę. Słuchaj, Andy, to był mój stary przyjaciel z rady miejskiej. Mówi mi, że zamierzają przyznać Prior spore dodatki za te trzy kontrakty.

- Na jakiej podstawie, Matt?

- Dopłaty, zwracanie dupy przez klientów, wszystko, czego dusza zapagnie. I premia za skończenie budowy.

- Nic nadzwyczajnego.

- Nic. Ale słyszę teraz, że ustalenia co do wypłacanych sum będą odłożone. Lub raczej narada komisji rady miejskiej, która za dwa tygodnie ma rozważyć rekomendację urzędników, będzie odłożona.

- Dlaczego?

- No cóż, Bill Williamson - mój stary przyjaciel - niebawem zachoruje. Jest przewodniczącym komisji i nie ruszą bez niego. A kiedy mu się polepszy, co zabierze miesiąc lub dwa - rozumiesz, chodzi o jego serce, nic poważnego, ale potrzebuje odpoczynku - on i niektórzy jego kumple w komisji ujawnią poważne zastrzeżenia co do tej rekomendacji. To będzie dużo pieniędzy, które niekoniecznie trzeba wypłacić, i tak dalej. - Zajął się z apetytem nóżką kurczaka. - Ponieważ to pewnie nie ułatwi zmiany tych kontraktów, niektórzy macherzy stojący za wykupem przez kierownictwo zaczną trząść tyłkami.

Andrew z przyjemnością skosztował kurczaka. Lucy zawsze była dobrą kucharką.

- To obniży wartość przedsiębiorstwa - powiedział ostrożnie.

- Obniży cenę, którą NEB spodziewa się otrzymać od kupującego.

Żuł metodycznie, nagle jedzenie przestało mu smakować.

- Ale rozumiem, że gdy twój przyjaciel Williamson zupełnie wydobreje, to jednak może być skłonny dojść do wniosku, że rekomendacja była słuszna.

- Jeśli do tej pory będziemy właścicielem przedsiębiorstwa, to tak. Zgadza się. - Wyciągnął rękę przed nosem żony i napełnił kieliszek Andy'ego. Podniesione kąciki ust biznesmena świadczyły o satysfakcji.

- Rozumiem - rzekł Andy pociągając spory haust Sancerre. Zdecydował, że musi zadać pytanie. - Mniej więcej jaka suma wchodzi w grę?

Matt sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął z portfela kawałek papieru i spojrział na niego marszcząc brwi.

- Ponad cztery miliony funtów w roku pierwszym, trzy w drugim i trzy w trzecim.

Tak, to byłaby prawie czysta gotówka - Andy skinął w milczeniu głową. Prior miało w sumie takie straty, że nie płaciło podatków za dodatkowe zyski. Nawet przy dyskontowaniu to będzie jakieś cenne osiem milionów, nie licząc wydatków koniecznych na zabezpieczenie tej sumy. Zdecydował, że nie będzie dalej pytał. Wszelkie wypłaty z rączki do rączki pozostawiał swojemu klientowi; a może nie były to wypłaty z rączki do rączki, może Friern płacił rachunki za różnych ludzi, ale to sprawa między nim i jego audytorami - nie ma potrzeby, żeby doradca z banku rembursowego się w to mieszał. Nie da się pracować z firmą budowlaną lub poważnym eksporterem, nie wiedząc, że prowizja przy sprzedaży może być wysoka i przybierać niezwykle formy. Ale te dodatkowe osiem milionów w połączeniu z oszczędnościami, które Friern mógł osiągnąć łącząc Prior Systems ze swoim interesem, dawały mu autentyczną przewagę w staraniach o Prior. Uśmiechnął się do klienta.

- No cóż, to umożliwi ci podbicie ceny.

Lucy, która przysłuchiwała się temu, zauważyła niedbale, że Caroline, rzecz jasna, nadal pozostaje jej bliską przyjaciółką.

- Lepiej nie wygadaj się przed nią z tą sprawą - jednoznacznie ostrzegł mąż.

- Nie bądź niemądry. Ale ona jest bardzo, bardzo sprytna i ma bliski kontakt z Clive'em Fieldmanem. Zaprosiła go dziś na rodzinny lunch.



- Nie ma znaczenia, co kto sobie pomyśli - rzekł z zadumą Andy.

- Nawet gdyby Prior dostało w końcu każdego pensa, na który liczy, teraz go nie ma i inwestorzy z zewnątrz nie uwierzą w napływ gotówki, o której wiemy my. Matt, zrobimy na tej podstawie nowe obliczenia - oczywiście nie przejmuj się, to wszystko będzie tajne - i pomówię z tobą, kiedy wrócisz z Paryża, tak?

- Dzięki, Andy. Przepraszam, że zepsułem ci wieczór, ale rozumiesz, dlaczego nie chciałem tego załatwiać przez telefon.

- Naturalnie. Jeśli dalej chcemy to utrzymać w tajemnicy, lepiej wróć i będę udawał, że się nic nie stało, sam wiesz.

Lucy odprowadziła go do drzwi, z wdziękiem ponowiła wyrazy wdzięczności. Stała na palcach, całując go konwencjonalnie, i poczuł zapach perfum. „Diorissimo” - przypomniał sobie bez wysiłku. Cofnęła się i przyłapał się na tym, że nie zdążył przybrać obojętnego wyrazu twarzy.

- Bardzo miło było cię widzieć, Andy. Śpij dobrze.

Wsiadł do samochodu, czując suchość w ustach i pot na plecach. Nie mógł się opędzić od wspomnienia jej błękitnych oczu patrzących na niego z ukosa.

## Rozdział dwunasty

Caroline wpatrywała się nad biurkiem w asystenta.

- Niech to cholera, Mark. Naprawdę to zrobiłam. Dawaj. Jasny gwint! - Z niewiarą wpatrywała się w zaznaczony akapit. - Skleciłam to dokładnie na odwrót, no nie? Czulałabym się z pyszna, gdyby tak wyszło z kancelarii.

- Wierz mi, przyszedłem tylko sprawdzić, czy o to ci chodziło - powiedział przeprasząco.

- O coś absolutnie przeciwnego. - Kolejny raz przebiegła wzrokiem zaznaczony passus. - Musiałam być zmęczona, kiedy robiłam tę wersję. Ale jestem trzepnięta.

Mark szukał słów na wyrażenie opinii, że większość współników u Smitha Butlera robi głupoty o wiele częściej niż Caroline, i zdecydował, że lepiej z tym nie wyjeżdżać. Wyglądała na zmęczoną i spiętą. Dzieci - pomyślał mętnie, kiedy otrząsała się z szoku.

- No cóż, Mark, klient przeżyłby chwile zgrozy, stwierdzając, że umowa nie zapewnia mu zabezpieczenia, chociaż na tym najbardziej mu zależało. Bądź tak dobry i przejrzyj całość w moim imieniu. Nie zakładaj, że miałam powód wpisywać jakieś wariac-two, zmień je albo przyjdź i każ sobie wyjaśnić. Nie zamierzamy przesuwac granic zawodowego niedbalstwa ani o krok dalej.

Usiłowała wykrzesac uśmiech, ale bez powodzenia. Była najwyraźniej poruszona i wściekła na siebie, uznał więc, że najlepiej

zrobi zabierając papiery i wychodząc. Odprowadziła go wzrokiem - szczupłego bruneta, pewnego siebie harującego twardziela, który prawdopodobnie za dwadzieścia lat zajmie stołek wspólnika zarządzającego. Ukryła twarz w dłoniach. Była naprawdę zmęczona; organizowanie i planowanie czasu, konieczne, by w ogóle być z Gerrym, rozbiło jej uporządkowane życie i w ciągu kilku tygodni od początku romansu udało im się spotkać tylko trzy razy; raz wtedy wieczorem, raz późno w nocy po odrzuconej debacie, co poprzedziła lawina telefonów, wystarczająca do zorganizowania inwazji w Normandii, i raz późno w niedzielę. Na pierwszy rzut oka składanie winy za ten błędny fragment umowy na Gerry'ego wydawało się nierozsądne; prawdę mówiąc, pracowała nad nią dwa wieczory temu, gdy zadzwonił, przepraszając gorąco, ale zobowiązał pojawić się w „Newsnight”, co znaczyło, że jakakolwiek szansa na spotkanie tamtej nocy przepadła. Myślała, czy nie pójść do domu i nie wytłumaczyć wszystkim, że ważną kolację w biurze, na którą niby się wybierała, odwołano w ostatniej chwili, ale nie potrafiła się na to zdobyć. Zresztą i tak miała poważne zaległości, została więc w biurze i pracowała nad tekstem umowy i w przynajmniej jednej ważnej klauzuli zrobiła poważny błąd. Siedziała z opuszczoną głową i słyszała głos terapeutki wyjaśniającej, że nieoczekiwane bezprecedensowe obniżenie poziomu wyników zdolnego Timmy'ego wypływa z gniewu na ojca, który opuścił go umierając. Ale Timmy miał do tego prawo - kontrargumentowała żąrcie niewidzialnej rozmówczyni - jego tatuś odszedł na zawsze, podczas gdy ona została zawiadomiona o odwołaniu randki, z prośbami i słowami miłości. Zrozumiała z goryczą, że targało nią to samo, równie silne uczucie. Kochała Gerry'ego, a że wystawił ją do wiatru, kiedy chciała się z nim spotkać, spieprzyła umowę. Za każdym razem, kiedy musi wybierać między spotkaniem ze mną i czymś ważnym dla jego dalszej kariery, wybiera karierę. Ale po znakomitej, starannej Caroline nie spodziewano się takich błędów. Niewątpliwie waliła tego rodzaju byki po śmierci Bena, ale Smith Butler zajął się nią; zabroniono jej przychodzić do biura przez trzy miesiące, a kiedy uparła się, że wróci, dano jej dwóch bardzo dobrych asystentów, którzy zapewne

sprawdzali każde napisane przez nią słówko. Wstała gwałtownie. Nie mogła wytrzymać siedzenia bez ruchu. Wrzuciła złą umowę do kosza przeznaczonego do niszcarki. Ostro zaterkotał telefon. Poderwała słuchawkę.

- Cześć. Jak się masz? Naprawdę bardzo przepraszam za srodę. Musiałem się tam pokazać.

- Gerry, znam ludzi, którzy odmawiają pokazywania się w „Panoramie”. Na przykład mój ojciec.

Nastąpiła trwająca ułamek sekundy przerwa, podczas której zdecydowała, że nie dba o to, czy podoba mu się jej krytycyzm, czy też nie.

- Kochanie, twój ojciec nie jest ministrem transportu. Była tak przemęczana, że wybuchnęła śmiechem.

- Jestem Królem Piratów.

- Co?

- *Piraci z Penzance*. „Bo ja jestem Królem Piratów i to jest, to jest cudowna sprawa - Królem Piratów być”.

Podczas kolejnej pauzy zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

- Wielu ludzi mi zaufało.

- To nie przepraszaj. Nie mówisz tego na serio.

- Wiem, że cię to wyprowadza z równowagi. Ja też czuję się podle, ale temu się poświęciłem. Posłuchaj, kochanie, powinienem być na następnej konferencji, ale chciałem ci powiedzieć, że udało mi się coś wykroić na następny tydzień. Czy możesz być wolna w sobotę wieczór? Cudownie. Zadzwoń później.

Spojrzała na prawą dłoń. Przedziurawiła piórem sześć arkuszy bibuły. Pospiesznie przykryła to papierami i zadzwoniła. Peter Burwood, który odezwał się z drugiej strony, był ledwo słyszalny.

- Przepraszam, Peter, połączenie szwankuje. Mów głośniej.

- Poczekaj, jestem w samochodzie, zjadę na bok. Lepiej? Słuchaj, Caroline, chyba mamy kłopot. Graham poszedł zobaczyć się z Mikiem Moodym z rady miejskiej, miał pomóc mu przygotować umowę do tych kontraktów, ale posiedzenie jest odwołane. Przewodniczący komisji budownictwa mieszkaniowego zachorował - podejrzewa się kłopoty z sercem. Dało się

zrozumieć tylko tyle, że posiedzenie nie może się odbyć bez niego i nikt nie ma odwagi zażądać, żeby się stawiał. Boją się, że wyciągnie kopyta.

Caroline zastanowiła się nad tą wiadomością.

- To tylko zwłoka, no nie? Posiedzenie wkrótce się odbędzie.

- Tak. - W głosie Petera dźwięczała obsesyjna nuta. - Chciałbym tylko wiedzieć kiedy. Rzecz w tym, Caroline, że Mody ma pewne podejrzenia co do Williamsona. To znajomy Frierna - podobno razem chadzają na wyścigi.

- Myślę, że w tym coś jest - rzekła powoli Caroline. - Co dziwne, jechał pociągiem, którym przyjechałam z Hamishem. Był z Mattem Friernem.

- Mhm. - Peter był zbyt doświadczonym przedsiębiorcą budowlanym, by odrzucić możliwość przekupstwa. Caroline zastanawiała się nad tą sprawą, ale nic mądrego nie przychodziło jej do głowy.

- Słuchaj, Peter, może nie ma się czym przejmować. Poczekajmy kilka dni i zobaczymy, co się wydarzy.

- Może masz rację.

Zachowuje się jak paranoik - pomyślała.

- Ale jeśli Friern robi jakieś parszywe gierki, wyprostujemy go - dodał.

- Pewnie, że tak. Pomyślę o czymś - obiecała.

Oby Peter się wyłączył, wtedy będzie mogła myśleć o Gerrym.

**W** swoim gabinecie, mieszczącym się w połowie wysokościowca przy Marsham Street, Clive Fieldman pracował nad zleconą przez Winstanleya analizą przedsiębiorstw będących pod zarządem NEB. Praca nie szła mu łatwo, niemal co słowo zjawiały się poprawki i zmiany. Tekst zaczynał się tradycyjnym: „Dla Sekretarza Stanu...” - i długą listą inicjałów osób, które dostaną kopie. Ze względu na problemy polityczne, których dotyczyła analiza, lista obejmowała wszystkich ministrów i ośmiu najwyższych urzędników Ministerstwa Środowiska. Dalej następowała uświęcona formuła: „Celem tej analizy...”

No, tak, temu służy porządny trening intelektualny - pomyślał kwaśno Clive. Należy w dwóch pierwszych akapitach zaprezentować problem i sposób jego rozwiązania. Jeśli nie umiałeś tego zrobić, to twoje przemyślenia były niekompletne lub nie wystarczające i/lub twoje rozwiązanie było błędne. Dziś przed południem chyba obie możliwości wchodziły w grę. Siadł wygodnie w fotelu, poprosił panią Williams o kawę i jeszcze raz zastanowił się nad analizą.

Dwa dni temu niespodziewanie wezwał go John Winstanley i poinformował, że najlepszym sposobem pozbycia się pięciu przedsiębiorstw budowlanych będzie sprzedaż łączna. Co więcej, idąc za radą Fredericksa chce zrobić to w drodze sprzedaży negocjowanej, na uzgodnionych zasadach, a nie drogą przetargu. Z wyższością dodał, że ma chętnego kupca - sir Matthew Frierna. Clive opuścił gabinet z Jamesem Matherem depczącym mu po piętach, natychmiast zadzwonił do Fredericksa, zaprosił bankierów na spotkanie i bardzo starannie omówił z nimi sprawę, by mieć zupełną pewność, iż podtrzymają ustną opinię. Potem czekał na potwierdzenie pisemne tego stanowiska. Przyszło dziś rano pocztą i nie było wcale tak jednoznaczne, jak on sam ani - jak podejrzewał - Winstanley się spodziewali. Kilka wymijających sformułowań towarzyszyło radzie Fredericksa, że negocjacje z jednym kupującym są najlepszym sposobem sprzedaży przedsiębiorstw. Ale to przecież wcale nie musi być „najlepszy” sposób - pomyślał. Bankierzy podpiszą się pod każdym poglądem, byle był rozsądny i przemyślany. Co mniej więcej zostało zaznaczone w liście.

Poczuł się raźniej, zmiął kartkę i zaczął po raz drugi:

*Analiza ta proponuje, by zgodził się pan na negocjowanie przez NEB sprzedaży pięciu przedsiębiorstw budowlanych i budownictwa lądowo-wodnego spółce akcyjnej Friern Construction, dużej firmie budowlanej z siedzibą w Dorrington. Jako załącznik „A „ przedstawiam projekt listu do kancle-rza skarbu, przedyskutowany uprzednio oficjalnie z jego urzędnikami.*

Co faktycznie nastąpi, kiedy tylko projekt zostanie napisany. Clive zdecydował, że to może poczekać.

*Rozważałem najlepszy sposób włączenia tych pięciu przedsiębiorstw do sektora prywatnego. Po zastanowieniu się i zasięgnięciu w pierw opinii doradców Ministerstwa, pracowników banku rezbursowego Fredericks, doszedłem do wniosku, że powinno to nastąpić w drodze sprzedaży łącznej wszystkich przedsiębiorstw. Rzeczne przedsiębiorstwa mają bardzo różne wyniki; dwa są dochodowe, dwa ponoszą znaczne straty, podczas gdy piąte ma niewielki dochód, ale zdaniem NEB w następnych latach będzie osiągało znaczne zyski. Mając to na uwadze przyjąłem do wiadomości radę bankierów, że sprzedaż negocjowana wszystkich pięciu firm jest lepszym rozwiązaniem niż pozbywanie się ich pojedynczo. Otrzymałem ogólną ofertę od...*

Nie, cholera, lepiej nie; tu trzeba użyć bardziej oficjalnego tonu:

*Poważny przedsiębiorca budowlany, sir Matthew Friern, prezes i główny dyrektor spółki akcyjnej Friern Construction, zgłosił się do NEB i po dyskusjach z doradcami z banku rezbursowego i z Fredericksem przedłożył luźną ofertę w wysokości 150-180 mln funtów za pięć przedsiębiorstw.*

Winstanley za radą Clive'a wziął Matthew Frierna prosto do Fredericksa i pod skrzydłem bankierów zawiedziono go do NEB i ich doradców z Gruhnersa, tak że cały proces przebiegał sprawnie i w sposób kontrolowany. W każdym razie na tyle, na ile to było możliwe. Clive z posępną miną przeczytał dwa pierwsze akapity. Jak do tej pory - w porządku. Ten plotek został przebyty w sposób zadowalający.

*Sir Matthew oznajmił NEB, że zamierza zamknąć jedno z pięciu przedsiębiorstw, Davecat - przynoszącego straty wytwórcę szafek kuchennych i łazienkowych, oraz zamierza*

*poszukać nabywcy na wycenioną znacznie poniżej rzeczywistej wartości spółką z o.o., O'Brien, fabryką produkującą na zamówienie, która także przynosi straty. NEB również doradzała zamknięcie lub pozbycie się tych przedsiębiorstw.*

I to też było w porządku. Prawdę mówiąc, w tym ujęciu miało ręce i nogi i list bankierów mógł, a raczej powinien, opisać szczegółowo organizacyjne plusy przekazania firm w kompetentne ręce Matthew Frierna, zamiast kazać się zajmować indywidualnie tymi firmami dwóm zespołom pracowników służby cywilnej i dwóm zespołom bankierów. Mogło to trwać wieki. Problem rodziła oczywiście cena. Matthew Friern, jedyny kupiec dopuszczony do przetargu, miał znakomitą wręcz sytuację, na tyle znakomitą, że mogło to wzbudzić publiczną krytykę. No cóż, Bóg świadkiem, że dwa zespoły bankierów powinny zapobiec wywinięciu numeru przez Frierna. Już chociażby to, że siedziały mu na karku, stwarzało bardzo solidne zabezpieczenie dla ministerstwa i NEB. Sięgnął po pióro, by napisać coś w tym rodzaju bardziej powściągliwą prozą. Stwierdził jednak, że nie potrafi, i zastygł poirytowany. Niechętnie zdał sobie sprawę, że robak zwątpienia podgryza wygodną tezę bankierów. Prawdę mówiąc, od samego początku wiedział, że banki rebusowe przystosowują się do klientów; wkładają wiele wysiłku w dowiedzenie się, na czym klientowi zależy, i dostarczają mu to. I czasami wyglądało na to, iż nie ma dla nich znaczenia, że swymi radami narażą klienta na poważne kłopoty - pomyślał kwaśno, wracając wspomnieniem do niektórych nagłówków dzisiejszego „Financial Times”. W tym przypadku Fredericks i Gruhners zorientowali się, że Winstanleyowi rozpaczliwie zależy na szybkim, precyzyjnym, jednoznacznym posunięciu, które podniosłoby jego akcje u pani premier. Jako że zgoda na niższą cenę i układanie się z jednym kupcem nie było głupim pomysłem, poszli za ministrem, niewątpliwie uznawszy, że Winstanley lepiej oceni polityczne ryzyko takiego postępowania. Naturalnie, była to prawda, z tym że zawierała jedno „ale” - Winstanley niewątpliwie wierzył, iż



zdola obronić się przed polityczną krytyką zasłaniając się radami bankierów. Było to fatalne, nieprzyjemne błędne koło, z którego Clive nie dostrzegał wyjścia; jeśli spróbuje zapisać swoje wątpliwości na kawałku papieru, będzie wyglądało, że sprzeciwia się rozsądnej pod względem handlowym decyzji ministra. Wahał się i wreszcie zdecydował, że jeszcze raz spotka się z Winstanleyem twarzą w twarz, by ten rozwiął jego niepewność, i zabezpieczy tyły swoje i możliwie wielu innych, cytując, z całą dosłownością, litera po literze w załączniku słowa użyte przez Fredericksa. Biorąc pod uwagę, jak bardzo rada bankierów obciąża publiczne fundusze, każdy, w tym kanclerz skarbu, powinien mieć szansę się z nią zapoznać.

Po pokonaniu tej przeszkody pozostałe części analizy składnie się dopasowały. Clive wezwał pannę Williams, przedyktował całość i kazał przekazać Jamesowi Matherowi z prośbą o komentarz.

Następnie cierpliwie zniósł bombardowanie, jakiemu Lucy poddała go przez telefon, i wreszcie bez ogródek musiał jej przypomnieć, że jest pracownikiem służby cywilnej i nie zamierza zdradzać tajemnic państwowych. Zgadza się, oferta Matthew została wzięta pod uwagę, tak jak o tym mówił. Decyzja zostanie podjęta niebawem. Nie potrafi powiedzieć, kiedy i jaką przyjmie formę. Lucy wysłuchała tego ze sporym niezadowoleniem i spytała zgryźliwie, jak mu się podoba powrót do pracy z Caroline.

- Caroline też niczego się ode mnie nie dowiaduje - powiedział z irytacją. Przypomnił sobie, że z niepokojem oczekiwał reakcji Caroline, gdy okazało się, że jej plany wykupu są zagrożone.

Rozmowę skończyli chłodno, Lucy była irytująco nieprecyzyjna co do możliwości spotkania się w tygodniu. Przez chwilę poczuł się podniesiony na duchu myślą, że kochanka stała się zazdrosna z racji odnowienia jego znajomości z Caroline, ale przypomniał sobie, że niezmacona przyjaźń obu pań opierała się na przyrzeczeniu, że nigdy, ale to nigdy nie zainteresują się tym samym mężczyzną, i jedna traktowała podboje drugiej z tolerancyjnym rozbawieniem. Nie mieściło mu się też w głowie, że Caroline traktuje go inaczej niż miłego kolege; podczas lunchu

okazało się aż nadto jasno, że jest jakiś stały zalotnik, prawdopodobnie żonaty, którego darzyła prawdziwym zainteresowaniem. I Lucy powinna o tym wiedzieć. Kiedy wreszcie zobaczy się z Lucy, spyta ją, kim jest kochanek Caroline. Clive'owi od dawna dokuczwała beznadziejna jednostronność jego romansu. Lucy miała Matthew i synów - on nikogo innego. Zdecydowanie pochylił się nad pismami wpływającymi. Jako ukoronowanie ciężkiej połówki dnia pracy miał w południe spotkanie z Michałem Watsonem.

Watson przybył pięć minut wcześniej, niespokojny i równocześnie potulny. Poproszony o zajęcie miejsca przysiadł na krawędzi fotela i okrągłymi, czujnymi oczami spoglądał na Clive'a. Wygląda jak zwierzę złapane w światło reflektorów - pomyślał Clive i przez chwilę poczuł się niewyraźnie. Ostro przywołał się do porządku. Jak wynikało z akt, człowiek siedzący po drugiej stronie biura skutecznie oparł się dwukrotnym próbom zwolnienia. Znieczuliwszy w ten sposób serce, Clive zaczął prosto z mostu:

- Michael, jak wiesz, przyszedł czas sporządzania corocznego raportu o stanie kadr i muszę oświadczyć, że nie zamierzam wystawić ci zadowolającej oceny. Z przykrością stwierdzam, że ogólnie biorąc nie utrzymałeś standardu wymaganego od asystenta, w związku z czym zaleciłem skierowanie cię na wcześniejszą emeryturę. Poinformowałem Philipa Williama, że może spodziewać się z mojej strony takiego postawienia sprawy, i chociaż bardzo chętnie przedyskutuje oceny raportu, to jego zdanie nie odbiega od mojego. O ile wiem, pracowałeś do niedawna w wydziale pozostającym pod jego nadzorem i twój poziom pracy jest mu znany. - Przerwał dając szansę Watsonowi na strawienie tego, co usłyszał, i zebranie sił, o ile było go na to stać. Z tym że Watson nie miał wiele na swoją obronę; zastępca sekretarza, Philip Williams, odpowiedzialny za kontrasygnatę i akceptację corocznego raportu o stanie kadr, bez wahania podtrzymał opinię Clive'a.

- To niesprawiedliwe.

Clive'a zlał zimny pot. Facet miał lzy w oczach i głos mu się łamał.

- Przykro mi, że tak to odbierasz - oświadczył urzędowo. - Oczywiście ministerstwo przeszło wielki wstrząs i wyższe szczeble administracji zostały obciążone znacznie większymi obowiązkami. Po prostu uważam, że nie radzisz sobie z nawalem pracy.

Użył tego sformułowania, by ugłaskać dumę Watsona i dać mu szansę honorowego wyjścia z sytuacji, ale zanim skończył mówić, uświadomił sobie, że błędnie ocenił faceta. Watson z obłądnym błyskiem nadziei w oku złapał tę oliwną gałązkę dwoma rękami i wykoślawił ją, wyjaśniając pospiesznie, że musiał podolać zbyt wielu obowiązkom, w tym - dorzucił z nadzieją - nadzorował nowo powołany inspektorat. Prawdę mówiąc, żadnego inspektoratu wymagającego nadzoru nie było. Na razie ciało to ograniczało się do komisji, której obowiązkiem było stworzenie odpowiedniego schematu organizacyjnego. Komisja spotkała się trzykrotnie, Clive za każdym razem przewodniczył obradom, sprawozdanie sporządzał najlepszy sekretarz Watsona i zawsze przekazywał je wprost Clive'owi do zatwierdzenia. Stąd też obowiązki Watsona sprowadzały się do obecności na dwóch spotkaniach. Clive ponuro wypomnił podwładnemu ten fakt, dodając skrupulatnie, że wcale nie chce analizować szczegółów i że jest pewien swojego stanowiska.

- Jak wiesz, Philip Williams również będzie chciał omówić z tobą raport.

- Ale ty już podjąłeś decyzję. A on posłucha tylko ciebie. - Watson wyłamywał ręce.

- Michael, przykro mi, nie zamierzam zmieniać zdania. To nie jest publiczna procedura, dostaniesz wcześniejszą emeryturę i jeśli chcesz, będziesz mógł podjąć inną pracę. Kiedy się nad tym zastanowisz, dojrzyś pewne korzyści.

- Nie chciałem tego zajęcia; to nie moja specjalność. Prosiłem o przydział na prowincję.

Clive westchnął.

- W raporcie napiszę, że uważam twoją pracę za nie zadowalającą i po rocznej obserwacji nie rokujesz istotnej nadziei poprawy.

Michael Watson wpatrywał się w niego z pobladłą twarzą. Za ledwie dzień wcześniej pani premier stwierdziła w przemówieniu,

że służba cywilna musi być zredukowana, i wiadomo było, że stali sekretarze szykują dziesięcioprocentowe cięcia etatów. Tradycyjną metodą było okrojenie sił biurowych, co w przypadku głównych ministerstw dało się szczególnie łatwo przeprowadzić, ponieważ od jakiegoś czasu zaangażowanie obsługi biurowej w centralnym Londynie było praktycznie niemożliwe. Ta metoda napotka naturalne ograniczenia; dobrze opłacani absolwenci uniwersytetów spędzali wiele czasu obsługując kserokopiarki i było jasne, że następna fala redukcji obejmie stanowiska administracyjne. W tym klimacie starsi pracownicy służby cywilnej, których praca została źle oceniona, widzieli jasno, że koniec ich kariery jest tylko kwestią czasu. Watson walczył zawzięcie, chwytając się wszelkich sposobów. Wreszcie użył żenujących posunięć - lez i personalnych gróźb. Clive wytrzymał to stoicko przez dwadzieścia pięć minut, uważając, że facet za długą służbę zasłużył sobie przynajmniej na wysłuchanie. W pewnym sensie nie była to wina nieboraka; pozostając zwykłym sekretarzem w jakimś cichym zakątku, mając za obowiązek, powiedzmy, wydawanie spinaczy, spisywałby się całkiem dobrze, ale dział polityki aktywnej, w którym pełnił funkcję asystenta, bezlitośnie obnażył braki i Watson stał ciężkim balastem, ciężarem dla kompetentnych pracowników, przeszkodą w działaniu. Clive nie miał innego sposobu pozbycia się go, jak oświadczyć, że oczekuje następnego gościa. Zamknął drzwi za Watsonem i ciężko opadł na fotel. Po kilku minutach wyjrzał z ciekawości przez okno. Watson chyłkiem przemycił się do pubu. No cóż, teraz wiadomo, jak przebiegnie dzisiejsze popołudnie. Należy powiadomić sekretarzy podległych Watsonowi, by wszystkie pilne sprawy przekazywali wprost do Clive'a.

**U** Walzheimsa Andy Eames Lewis cierpiał na coś w rodzaju przesytu Prior Systems, ale udało mu się wyprawić klienta z powrotem do Dorrington i zaatakował rozliczne inne problemy, które się spiętrzyły.

- Przepraszam, Andy - powiedziała sekretarka - ale dzwoni sir Matthew Friern.

Andy zaklął bezgłośnie, ale posłusznie podniósł słuchawkę.

- Tak, Matt.

- Zostawiłem Lucy trochę szpargałów - wycinki prasowe, dane i tym podobne. Zadzwoń do niej, wyślij gońca, czy jak chcesz, jasne? To tyle.

Odłożył słuchawkę, a Andy wpatrzył się w dokumenty leżące przed nim na biurku. Od czasu tamtej konferencji Lucy Friern wielokrotnie jawiła mu się w myślach, ale to było igranie z dynamitem. Kreślił po notatniku i kolejny raz powtarzał znane argumenty; jest teraz starszy i chroniony mocnymi więzami małżeńskimi, poradzi sobie z Lucy Friern, jeśli by go zechciała i odnowiła związek, jakże stanowczo zerwany przed wielu laty. Ale jej małżonek był klientem w ważnej sprawie, mającej spore implikacje finansowe dla banku i dla niego osobiście. Oczywiście transakcja sama w sobie była poważna, honoraria wysokie, ale jeszcze ważniejsze było pozyskanie na stałe dobrego klienta. Wobec inflacji i skaczącej niebotycznie w górę stopie kredytu chuchało się i dmuchało na klienta z jajami przy każdej transakcji, szczególnie wielkich rozmiarów, jak ta. Niemniej jednak lunch z Lucy to żadne przestępstwo, szczególnie kiedy się miało tak idealną wymówkę. Zaczął wystukiwać numer, ale zdecydował, że załatwi to oficjalnie.

- Złap mi lady Friern, dobrze? - poprosił i czekał, aż Lucy się zgłosi.

- Lucy? Matthew mówi, że masz jakieś papiery dla nas. Muszę być w twojej okolicy podczas lunchu. Emma chce, żeby jej coś przywieźć z Harrodsa. Masz czas zjeść ze mną? „San José” ci odpowiada? Za pół godziny?

- Cudownie, Andy. Naprawdę sam robisz zakupy Emmie?

- Nie, oczywiście, że normalnie tego nie robię. - Uśmiechnął się. - Muszę kupić koszulę, więc powiedziałem, że załatwię też jej sprawę. Mogłabyś mi pomóc.

Odłożył słuchawkę, czując lekki zawrót głowy z podniecenia, i zdecydował, że Emma wyznaczyła mu za zadanie kupno alkoholu dostępnego tylko w Harrodsie; musi być taki, na litość boską! Zapewne szkocki i niewyobrażalnie drogi. Powoli, powoli, Lucy może robić do mnie piękne oczy tylko dlatego, że się pokłóciła z Matthew - udzielił sobie ostrzeżenia. Przymusił się do pracy starając sobie wyobrazić, że ma spotkanie z przyjaciółką jednej z siostr, i wprowadził się we właściwy, dobroduszny nastrój, godny dobrego wujaszka, zanim zjawił się w „San José”. Nastrój natychmiast prysł, kiedy zobaczył Lucy. Nietypowo dla siebie zjawiła się wcześniej i siedziała z przesadnie skromną miną czytając gazetę. Miała na nosie koszarne okulary i wyglądała na osiemnaście lat. Podniosła głowę, zobaczyła go, zerwała błyskawicznie szkła, schowała do torebki i zanim stanął przed nią uśmiechnięty od ucha do ucha, zmrużyła oczy krótkowidza.

- Przepraszam za spóźnienie - rzekł.

- Nie spóźniłeś się. Ja przyszedłam wcześniej, więc siedziałam sobie z gazetą. Tu są rzeczy, które Matt zostawił dla ciebie. Na litość boską, zabierz je od razu. Przez tę transakcję dostał lekko bzika. Podejrzewam, że z tobą jest podobnie.

- Gość, któremu prowadzimy interes, zawsze bardziej się ekscytuje. - Zawahał się i złożył na jej policzku lekki, konwencjonalny pocałunek. - A jak ty się miewasz? Wyglądasz wspaniale.

Spojrzała na niego łagodnie z ukosa i powiedziała z przesadną skromnością, że też się cieszy ze spotkania. Poczuł, jak coś ścisnęło go w gardle.

Lucy przeglądała menu i rozmawiali o dzieciach. Będąc mężczyzną doświadczonego, zastanawiał się, dlaczego kobiety zawsze zaczynają mówić o dzieciach, kiedy spotkają się w miejscu publicznym z facetem, który się im podoba. Ostro przywołał się do porządku. Wlepiął w nią gały, jakby była szczególnie smakowitym kąskiem. Całą uwagę skierował na zamówienie posiłku.

- Czy to wszystko się uda, Andy? To znaczy, czy Matt w końcu

dostanie Prior? - spytała go z tym samym łagodnym neutralnym zainteresowaniem, z jakim rozważała szanse dostania się syna do Eton.

- Nie jestem tego absolutnie pewny. - Andy z rozpędu stał się szczery. Poczul na sobie baczne spojrzenie Lucy. - Z tego, co wiem od Richarda Watta, sprawa idzie do komisji rządowej, więc jest jakiś postęp. Ale twoja przyjaciółka Caroline trochę nam bruzdzi.

- Jest bardzo sprytna, to nie nowina. I siedzi w polityce, a przynajmniej można to powiedzieć o jej rodzinie.

- Tylko po złej stronie - zauważył z namysłem.

- Nie wydaje mi się, żeby to miało znaczenie. A tobie?

- Nie. Zapewne masz rację.

- I oczywiście zna Clive'a. Ale wszyscy go znamy - podkreśliła Lucy.

- To prawda. Odnoszę jednak wrażenie, że ona trochę to wykorzystuje. Znam jednego z jej współników. Powiedział, że Clive był niedawno u niej na lunchu w biurze.

- Tak, był. I na lunchu z rodziną Caroline. I na lunchu z samą Caroline.

Spojrzał na nią ostro. Uśmiechnęła się do niego i przypomniał sobie, że Lucy i Caroline znają się od wieków.

- To ciekawe. Zastanawiam się, czy nie jest trochę wspomaganą z tej strony. Niemniej jednak Matthew udało się nakłonić Winstanleya, żeby postąpił po jego myśli.

- Bardzo w tym pomogłeś, Andy, to było przechytne. Dzięki tobie zupełnie przeszedł mu ten pomysł z wykupem przez kierownictwo - dodała ciepło.

- To było miłe. - Uśmiechnął się do niej zachwycony, że wyłapała subtelności. - Ale może nie wystarczyć. - Zastanawiał się nad doбором słów. - Lu, trochę się martwię tą sprawą z radą miejską. Jeśli coś z tego przecieknie na zewnątrz, całą transakcję szlag trafi. Gdybyś uznała, że Matt dostaje bzika, powiesz mi o tym, dobrze? To znaczy, moglibyśmy razem wykombinować coś sensownego, żeby go powstrzymać.

- Wiesz, Andy, sprawy tego rodzaju są na porządku dziennym w Dorrington - powiedziała niecierpliwie. - Tam jest inaczej.

- Nawet nie potrafię sobie tego wyobrazić. Ale ta transakcja jest bardzo poważna, musimy uważać, kochanie. - Urwał nagle, zaskoczony słowem, które mu się wymknęło, ale uśmiechnęła się do niego bez urazy, spokojnie, z pełną kobiecą wyrozumiałością.

- Och, Andy, kochanie, nie pozwolę mu na żadne głupstwo, już ty się nie martw.

Odetchnął zdumiony do głębi i pełen ostrożności, ale Lucy z pełnym spokojem zamawiała dodatkową wodę mineralną u niezwykle usłużnego kelnera.

- Co z zakupami dla Emmy? - spytała pobłażliwie. - Może lepiej, byśmy się nimi zajęli i zrezygnowali z puddingu?

- Tak, racja. I moimi koszulami, jeśli masz czas. Potrzebuję pół tuzina. I krawaty.

- Emmie nie będzie przeszkadzało, że pomagałam ci przy wyborze?

- Po prostu pomyśli, że gust mi się poprawił. - Szklanką wody mineralnej wzniosł toast na cześć Lucy i ta skromnie opuściła oczy, obserwowana z podziwem przez trzech kelnerów, którzy ignorowali wszelkie wysiłki mniej urodziwych pań starających się zwrócić ich uwagę.

- Naprawdę chciałabym, żeby Matt w końcu dostał Prior - powiedziała, w inteligentny sposób sprowadzając go na ziemię. - Ale mógłby kupić inne firmy, prawda? Przedsiębiorstwa, które już tam są. Jak Harrison czy Cosway.

Andy okazał zaskoczenie, ale skupił się bacznie na tej sugestii.

- Tak. Ale one trochę kosztują.

- Jeśli kupiłby coś, co przynosi solidny dochód, opłaciłoby się.

- To prawda. - Zawahał się. - Czy sądzisz, że Matt przymierzy się do kupna Harrison czy Cosway?



- Nie. Wie, że kupno Prior może być wspaniałą transakcją, i jest tym pochłonięty. Ale ja uważam, że skoro Matt jest w nastroju do kupowania, warto mieć na oku coś innego, gdyby sprawa z Prior upadła.

Andy siadł wygodniej i przyjrzał się z podziwem Lucy.

- Dobrze, że na to wpadłaś. Rzecz jasna, ocenialiśmy inne firmy, w tym wspomniane przez ciebie, ale każę któremuś z chłopaków porównać dane właśnie z tymi dwiema. Nie posyłać jeszcze analizy Mattowi?

- Nie, nie. Przecież sprawa z Prior może wypalić. Ale naprawdę martwię się trochę, Andy. Nie chcę, żeby za bardzo się zaangażował.

Pokiwał głową.

- Powiem ci, co zrobimy. Pogadam z nim, powiem, że jest sporo do zarobienia na przedsiębiorstwach budowlanych - to prawda - i zasugeruję, byśmy jeszcze raz przejeździł cały sektor. A nuż gdzieś jest złota żyła, którą przegapiliśmy w całym rozgardiaszu.

- Tak - rzekła z przekonaniem. - To jest naprawdę sprytne. Ale właśnie tego spodziewałam się po tobie. To miło z twojej strony, że zaprosiłeś mnie na lunch. A teraz, ruszmy się. Biedna Emma, musimy zrobić te zakupy. - Prześliznęła się po nim wzrokiem. - Co my takiego kupujemy, Andy?

- Butelkę. Uparła się przy jakiejś whisky - nie pamiętam nazwy. Obym tylko przypomnieli sobie, kiedy ją zobaczę - skłamał gładko, po czym wyszedł z nią na wietrzne marcowe powietrze, czując się znowu tak jak wtedy, kiedy miał dwadzieścia dwa lata.

**W** Ministerstwie Środowiska Clive nadal pracował; wersja robocza analizy poszła do „czerwonego kufierka” \* i powędruje do londyńskiego mieszkania Winstanleya, by czekać na powrót ministra z kolacji, ale załatwienie tej jednej sprawy zajęło Clive'owi cały dzień, a zgodnie ze swoim odwiecznym przyzwyczajeniem chciał odwalić wszystkie bieżące sprawy.

\* Tradycyjny schowek dokumentów rządu brytyjskiego podczas transportu. Przed ósmą skończył i udał się do pubu. Po piątej kafeterie w

Ministerstwie Środowiska i pozostałych głównych resortach są zamknięte, w związku z czym zawałone pracą biura ministrów ciągną do dziesiątej w nocy na tłustych, stygnących hamburgerach donoszonych z jadłodajni. Ale jeśli dysponowało się wolną półgodziną, to w pubie naprzeciwko dało się smacznie zjeść. Clive był stałym klientem. Zamówił obfitą porcję chili con carne i smażonych ziemniaków, ostrożnie, by nie wysypać siekanego mięsa na wyblakły chodnik, zaniósł talerz do narożnego stolika i z przykrością się przekonał, że ma stamtąd niczym nie zmacony widok na Michaela Watsona. Był pijany w sztok, tak pijany, że najwyraźniej zalewał pałę od chwili, w której Clive podpatrzył go wymykającego się przed lunchem z pracy. Bardzo krępujący widok, nieprzyjemny wszędzie, a szczególnie w pubie, często odwiedzanym przez pracowników ministerstwa.

Nie jest to przykład do naśladowania - pomyślał ponuro Clive, jedząc szybko i bez apetytu. Moim zdaniem ten wybryk to kolejny gwóźdź do trumny faceta.

Ogólnie biorąc, w przeszłości służba cywilna była tolerancyjna wobec nadużywających alkoholu, ale te dni szybko odchodziły w przeszłość. Kątem oka zauważył dwóch pracowników biurowych, śliczną dziesięcioletką i trochę starszego chłopca, obserwujących ciekawie Watsona.

To nie uchodzi - pomyślał. Muszę kazać palantowi pojechać do domu, bo tak się doprawił, że gotów tu tkwić do zamknięcia interesu i szlochać. Nie mogę wymknąć się chyłkiem, kiedy te dzieciaki patrzą, zwłaszcza że jeszcze mogę być obwiniony o doprowadzenie gościa do takiego stanu.

Zbierał siły i zastanawiał się nad najlepszym, nie budzącym sensacji sposobem wyciągnięcia Watsona za drzwi, gdy wtem problem stał się nagły. Pijany pochylił się nad barem zamawiając kolejną whisky i barman spokojnie odmówił obsługi. Kiedy Watson wrzaskliwie sprzeciwił się tej decyzji, barman wezwał kolegę i podniósł klapę. Clive poderwał się. Błyskawicznie, bez hałasu wyrósł obok Watsona. Zrobił to w stylu, który

dawno temu pozwalał mu przemykać między potężniejszymi zawodnikami na boisku do rugby. Skinął głową barmanowi i ten się wycofał.

- Michael. - Facet skupił na nim wzrok i wytrzeszczył oczy. - Wezwę taksówkę. Rusz się.

Watson zatoczył się i oparł o Clive'a, który pewnym chwytem wziął go pod ramię. Barman chciał ruszyć z pomocą, ale Clive potrząsnął ostrzegawczo głową i pociągnął nie stawiającego oporu Watsona do drzwi.

Naturalnie nie było żadnej taksówki, ale Clive wcześniej rozważał tę ewentualność i zaholował podwładnego przez ulicę, obok wytrzeszczającego oczy gońca, wpakował do męskiej toalety na parterze północnego gmachu i zajął się wydzwanianiem po taksówkę firmy obsługującej ministerstwo. Wyjaśnienie kosztownego przewozu do Surbiton, chociaż krępujące, przysłuży się sprawie pozbycia się tego koszmarnego Watsona - pomyślał.

Po załatwieniu tej czynności ostrożnie zajrzał do toalety. Miał nadzieję, że facet nie zemdleł. Dochodzący zza uchylonych drzwi okropny charkot, po którym rozległ się odgłos spuszczonej wody, wskazywał, że Watson był na tyle trzeźwy, że wymiotował we właściwym miejscu i stara się po sobie sprzątnąć. Clive wiedział, że zatwardziali pijacy są sławni z tego, iż potrafią dojść do siebie i zatrzeć ślady - to jedna z przyczyn, dla których tak trudno się ich pozbyć. Czekał cierpliwie, oparty o umywalkę. Zauważył, że w koszmarnym świetle sam też wygląda fatalnie, i kiedy hałasy ustały, od razu zawołał, by Watson doprowadził się do porządku. Ujrzał żaloszny widok: facet biały jak płótno, z zaczerwienionymi oczami, ale jako tako panujący nad sobą.

- Wezwałem taksówkę, Michael. Dasz sobie radę, czy chcesz usiąść na chwilę i wypić kawę?

- Chcę kawy. - Było to trzeźwe, praktyczne stwierdzenie, bez litowania się nad sobą, i Clive poczuł ulgę.

- Przyniosę. Siądź w poczekalni.

Watson wypił trzy filiżanki gorzkiej czarnej kawy. Nie odezwał się, nie podziękował, nie spojrzął na Clive'a, który

niewzruszony czytał popołudniową prasę. Watson wszedł do taksówki nadal blady, ale częściowo odzyskał ludzki wygląd. Clive podał kierowcy adres i wytłumaczył mu patrząc twardo w oczy, że pasażer nie czuje się dobrze i trzeba jechać ostrożnie. Taksówkarz zrozumiał dokładnie podtekst tych słów i z jego miny wynikało, że ma po dziurki w nosie takich klientów. Do Watsona wszystko to nie docierało, skulił się w kącie, żałosna kupka nieszczęścia.

- W porządku? - zagadnął Clive ni w pięć, ni w dziewięć.

Watson zbył go kiwnięciem głowy.

Clive dał taksówce znak odjazdu.

## Rozdział trzynasty

Caroline.

Podniosła głowę znad papierów. Mark Dwyer nieśmiało zaglądał przez próg gabinetu.

- Co z Prior? Nie ma tam nic do roboty? Przekopałem się przez cały stos pism Kapuleta i dotarło do mnie, że jeden z naszych klientów uciekł.

- Tak, czy to nie cudowne? Chyba tydzień minął, odkąd kiwnęłam dla niego palcem. Cieszę się, że odwaliłeś tę orkę dla Kapuleta. Właśnie dzwonił Peter Cairns; został ściągnięty przez zespół Montekia i chce się dziś spotkać. Wyhamowałam go, żebyśmy się mogli zorientować, gdzie jesteśmy. Mam tu gdzieś statut spółki. - Kiwnęła głową w kierunku jak zwykle porządnie ułożonych stosów pism.

Oczywiście klient Smitha Butlera naprawdę nie nazywał się Kapulet, a klient Petera Cairnsa - Monteki, ale bankierom rembursowym niedostaje wyobraźni, gdy przychodzi do nadawania kryptonimów. Kierownikowi transakcji wydało się szczególnie fortunnym zbiegiem okoliczności, że prawdziwa nazwa firmy klienta zaczyna się na „M”, a przedsiębiorstwo, z którym zamierza się on połączyć, ma w początku nazwy „C”. Gdy Caroline dowiedziała się o kryptonimach, stwierdziła: „Nigdy nie mogłam dobrać do końca tej historyjki. Ale na to potrzeba zaliczyć Eton”. Wielkie fuzje zżerały czas i ludzi, ale były niezmiernie dochodowe i ona, Mark Dwyer, a także dwaj inni wspólnicy oraz

ich asystenci siedzieli nad tą transakcją na okrągło. Bez żenady przeciągnęła się, wyprężyla i Mark pomyślał, że wygląda na wyčerpaną, ale w lepszej formie niż tydzień temu.

- No, dobrze. Dzięki Bogu, że to piątek! Przez ten weekend dużo nie zrobimy, a gdyby coś się pojawiło, spadnie na was. Wyjeżdżam bez dzieci na sobotę wieczór i nie ma sposobu, żebym to odwołała.

Święta prawda - pomyślała. Nie po tym, co przeszła. Gerry nietypowo i najwyraźniej po wielu manewrach miał spędzić ten weekend w Londynie. W piątek wieczór miał kolację na cześć Ministerstwa Transportu, a w niedzielę na cześć Partii Konserwatywnej. W tej sytuacji sobota pozostawała wolna. Zaproponował Caroline wspólny weekend w londyńskim mieszkaniu. Rzuciła się na tę szansę, ale życiowe przeszkody mało jej nie pokonały. Nigdy od piętnastu lat, od chwili urodzenia Timmy'ego, nie wychodziła na noc nie zostawiając numeru telefonu, na który należało dzwonić w nagłych wypadkach, ale jak tu wytłumaczyć, że zostaje gdzieś w Londynie, miast wrócić do swojego wygodnego łóżka? W każdym razie żywiła niejasne przeczucie, że nie zdoła przekonać Gerry'ego, by ujawnił swój numer; wiedziała, że jest kochana, ale jego mechanizmy obronne pracowały pełną parą i romans toczył się ściśle według ustalonych reguł; żadnych listów, telefony skrócone do niezbędnych ustaleń, a jeśli już w ogóle dochodziło do spotkania, absolutna minimalizacja ryzyka. Sama też nie chcesz skandalu - powiedziała sobie stanowczo - ale jest jakaś chłodna kalkulacja w tych środkach ostrożności, które zastosował wobec siebie, a także swej żony i dzieci. Przy najmniej ma o kogo być ostrożny, w przeciwieństwie do mnie.

I z jakiegoś powodu, którego nigdy nie potrafiła pojąć, uwaga Sholto, że posłowie konserwatystów mają o wiele więcej erotycznych przygód niż laburzyści, ale płacą znacznie wyższą cenę, kiedy zostaną przyłapani, była absolutnie prawdziwa. Przy najmniej dwaj laburzystowscy ministrowie spośród koszmarnych przyjaciół Sholto byli jawnymi, notorycznymi cudzołożnikami, ale wszyscy traktowali to jak drobną przywarę w rodzaju nieumiarkowanego pociągu do kieliszka. Minister z Partii

Konserwatywnej przyłapany na podobnym występku mógł zostać zmuszony do rezygnacji.

Więc w końcu po dwóch dobach przelewania z pustego w próżne zadzwoniła do Caspara i bez żadnych wyjaśnień spytała go grzecznie, czy spędziłby sobotnią noc u niej w domu i przejął pełnię rodzicielskiej odpowiedzialności na wypadek wszelkiego nieszczęścia. Obiecała, że zadzwoni do niego o jedenastej w sobotę wieczór i o dziesiątej w niedzielę rano, skracając czas, w którym na dom mogłaby spaść nie przewidziana katastrofa.

- Och, Caro - powiedział ze smutkiem. - Musisz?

- Tak. Nie będę miała wielu możliwości.

- W czasie weekendu trudno o to. Sam dobrze pamiętam.

On nawet nie pozwala ci podawać swojego numeru telefonu?

- Zamknij się, Cas. To znaczy, chciałam powiedzieć „proszę”.

Zgodził się nie robiąc trudności, więc przynajmniej to było w porządku. Ale fuzja Kapulet/Monteki mogła nie dojść do skutku, gdyby sprawa wymagała działania ze strony Caroline między sobotnim lunchem i niedzielnym podwieczorkiem. Otrząsnęła się więc z zamyślenia i poprosiła Marka, by siadł i rozważył wspólnie z nią wszelkie pułapki w memorandum i umowie Montekiego. Pół godziny później tkwili po uszy w papierach, gdy Susie wsunęła głowę przez drzwi.

- Caroline? Mogłabyś wpaść do pana Appletona?

- Co ja takiego zrobiłam? - Caroline podniosła głowę z niepokojem. - Ostatnio na pewno nic - powiedziała i Mark uśmiechnął się.

Zauważył, że twarz ma bladą i ściągniętą. Co prawda, wcale nie wyglądała przez to mniej atrakcyjnie; będąc o dziesięć lat od niej młodszy zawsze uważał ją za ładną, ale szczególnie *sexy*. Obecnie ciągle przyłapywał się na rozważaniach, jak byłoby z nią w łóżku. Jednak doświadczenie mówiło mu, by wiedzieć, że jej korzystniejszy wygląd nie oznacza zachęty pod jego adresem.

- Zaraz wrócę - powiedziała. Niechętnie wstała i machinalnie, nie zwracając na niego uwagi, poprawiła spódniczkę, podciągnęła pończochy. Poza tym nie zdobyła się na żadne zabiegi

przed spotkaniem z głównym wspólnikiem, nawet nie zerknęła w lustro wiszące na ścianie, i Mark niechętnie odrzucił obiecującą fantazję o późnym romansie między Caroline i Michaeliem Appletonem.

- Ach, Caroline. Kawy?

- Mhm. Czym mogę ci służyć, Michael?

Był to już pewien postęp od „Czego chcesz?”, jej ulubionego nawiązania rozmowy, i Michael Appleton z rezygnacją podsunął Caroline cukierniczkę.

- Zgłosił się do mnie John Sanderson-Smith, członek wszystkich rad nadzorczych świata.

- Sir John? Poznałam go kiedyś na lunchu.

- I najwyraźniej wywarłaś na nim wrażenie. Co takiego zrobiłaś, Caro, może pamiętasz?

Marszczyła czoło wbijając wzrok w piórnik.

- O ile sobie dobrze przypominam, wykazałam różnicę między czynem przestępnym a odpowiedzialnością za szkodę wywołaną czynem niedozwolonym. On chyba uważał, że British Rail powinny być oskarżone o przestępstwo za niesprzątanie śmieci na peronie. Jego teściowa skrzyła sobie na nich kostkę. Wyjaśniłam mu, że do wszczęcia postępowania karnego konieczne jest udowodnienie winy umyślnej.

- W każdym razie chciał, żebyśmy działali jako przedstawiciele starającego się o Prior Building Systems.

- Czyli...?

- Frierna. Sir John jest u niego członkiem zarządu nie mającym obowiązków kierowniczych.

- To bez sensu, Michael. Przecież na pewno skonsultował się z Matthew Friernem i kto jak kto, ale Matt wie, że reprezentuje kierownictwo.

- Sam byłem zaskoczony. Ale przed udzieleniem ostatecznej odpowiedzi postanowiłem sprawdzić w naszym archiwum głównym. Wygląda na to, że nie ma tam podpisanego pełnomocnictwa klienta, Prior Systems, co mocno zmienia postać rzeczy.



- Jest w koszyku pism przychodzących. Nie spieszyło im się.  
- Mówiła nadal do piórnika i Appleton spojrział z naganą na czubek jej blond głowy. Kiedy podniosła wzrok, była wyraźnie wzburzona.

- Do cholery, Michael, pracowaliśmy dla Prior przez tydzień, uzbierało się tyle godzin, i wszystko to na marne? Nie zmienia się koni podczas przeprawy, mowy nie ma. Co ten Matt wyprawia?

- Chce, żebyś reprezentowała jego interesy, nie rywala. Prawdopodobnie uznał, że kierownictwo mu zagraża, i chce się go szybko pozbyć. Szkoda, że wcześniej na to nie wpadł; praca dla Frierna sownie by się opłacała. Dał wyraźnie do zrozumienia, że może przenieść do nas wszystkie swoje interesy. - Drgnął, gdy wyprostowała się jak struna i przeszła go wzrokiem.

- I tobie dam potęgę i wspaniałość tego wszystkiego\* - zadeklamowała rozwścieczona.

\* Słowa Szatana podczas kuszenia Jezusa (tłum. wg *Biblii Tysiąclecia*).

Dopiero po chwili zrozumiał aluzję. Wpadł w gniew.

- Caroline, to niesłuszne. Nie mam rogów i ogona i nie sugeruję porzucenia małego klienta na korzyść większego, jednakże kwestionuję nawiązanie formalnego stosunku z klientem. To znaczy, nie wydaje mi się, by kierownictwo Prior zgodziło się zaangażować nas na naszych warunkach.

- A właśnie, że się zgodziło. - Złość i zażenowanie sprawiły, że Caroline spurpurowiała i Appletonowi jak żywy stanął przed oczami wizerunek jego nastoletniej córki.

- No cóż, prawdę mówiąc wymruczałem, że jestem całkiem pewny, że ich reprezentujemy.

- Wiedziałaś, że ich reprezentujemy, Michael. Przedyskutowaliśmy to. W zeszłym tygodniu witałeś się w windzie z Peterem Burwoodem.

- Mógłbym zasugerować, że załatwimy inną transakcję dla Frierna.

Ze znużeniem opadła na fotel.

- Michael, jasno zrozumiałam po tym wszystkim i ty też powinieneś, że jeśli wygram tę sprawę, a zamierzam ją wygrać, Friern nie zleci nam żadnej innej transakcji. Nigdy. Nie można mieć wszystkich klientów.

- Może to i racja. Chciałbym jednak mieć pewność, że ci, którzy są naszymi klientami - płacą. Może przekazałaś mi dziś akta? Wtedy mógłbym zadzwonić do sir Johna.

- Oczywiście.

Wstała rozgniewana i wymaszerowała zostawiając wściekłego Appletona.

To bardzo niepodobne do Caroline - wykonać masę pracy nie mając czarno na białym zobowiązania klienta - pomyślał. I nie musiała prawić mi takich morałów, łząc w żywe oczy o pełnomocnictwie.

Dotarła do swojego gabinetu nadal zdenerwowana i okazało się, że czeka na nią telefon od Petera Burwooda. Zanim zdążył powiedzieć, z czym dzwoni, skoczyła jak ranna lwica.

- Pełnomocnictwo, Peter! Chcę je mieć podpisane. Właśnie jeden z twoich konkurentów zwrócił się do nas z prośbą o reprezentowanie jego interesów i mój główny wspólnik odkrył zgodnie z prawdą, że nie podpisaliście pełnomocnictwa. Muszę je mieć już.

Zapadła długa cisza. Caroline zagryzła zęby i zrozumiała, że powinna się wpięrować i wysłuchać, co Peter ma jej do powiedzenia.

- Wydaje mi się, że mamy kłopot z pewnymi sformułowaniami, nie mówiąc o innych rzeczach - rzekł z ogromnym dystansem Peter.

Caroline wzięła głęboki oddech.

- Peter, jestem bardzo zażenowana z powodu tego, co się tu wydarzyło. Powinna wyczyścić z tobą te sprawy dobrych kilka tygodni temu. Możemy to zrobić teraz?

Nastąpiła kolejna długa pauza i Caroline rzuciła pełne zniecierpliwienia spojrzenie na Marka, który porzucił wszelkie pozory i otwarcie słuchał.

- Naturalnie, że możemy, Caroline. To my tu namieszaliśmy.

Odetchnęła z ulgą i ciepło zapewniła skrupulatnego, rozsądnego klienta, że nie, nie, jest wręcz na odwrót, to ona dopuściła do zaniedbań. Zgodziła się na drobne poprawki, na których mu zależało.

- Kto by chciał, żebyś go reprezentowała?

Początkowo chciała zachować się zasadniczo i odmówić tego rodzaju informacji, ale po zastanowieniu spytała:

- Pełnomocnictwo wysłane?

- Caroline!

- Nie udzielę odpowiedzi na twoje pytanie, dopóki się nie dowiem, czy jesteś moim klientem - odparła zgrzyliwie. - Zadzwoń do mnie, kiedy zostanie wysłane.

Odłożyła słuchawkę i nie zwracając uwagi na Marka sortowała pisma przychodzące. Czekala. Wreszcie telefon zadzwonił.

- Wysłaliśmy.

Nie przejęła się ponurym i wrogim tonem głosu Petera.

- To był członek zarządu firmy Friern nie pełniący obowiązków kierowniczych. Poznałam go na przyjęciu. Zwrócił się do głównego wspólnika w mojej kancelarii. Kiedy z nim rozmawiałam, nie wiedziałam, że ma powiązania z Friernem.

- Chcieli cię przekupić!

- Tak. To oznacza, że dobraliśmy się do nich. Są poruszeni. Czym popędziliśmy im kota?

- Zamknij się, Caroline, dobrze? Są tu Martin i Graham. W porządku, jesteśmy na głosniku konferencyjnym. Czy twoja linia jest czysta?

- Nasze telefony są regularnie sprawdzane na wypadek podsłuchu - potwierdziła zaskoczona. - Co się dzieje?

- No cóż, nie mamy pewności. Zadzwoń do ciebie, bo musisz wiedzieć, że wszyscy zostaliśmy formalnie powiadomieni przez NEB, iż nie wolno nam z nikim rozmawiać o przedsiębiorstwie, z tobą również. Prawdę mówiąc, może nie powinienem podpisywać tego pełnomocnictwa.

Caroline i Mark wymienili spojrzenia.

- Peter, bez względu na to, co się dzieje, NEB to wasz akcjonariusz - przypomniała mu z naciskiem. - Macie robić, co wam każe, bo możecie pójść na zieloną trawkę. Pamiętaj, że ci to mówiłam.

- Słyszałem. Ale wczoraj powiedziałem Ronowi Jenkinsowi, że nie mam zamiaru ich słuchać; to byłoby nie w porządku. - Brwi Caroline podskoczyły w górę. Wiedziała, że to wyraz najwyższej dezaprobaty ze strony Petera. - Oznajmiłem mu, że

zwyczajna grzeczność wymaga, żebyś wiedziała o przerwie w negocjacjach, aż do czasu poinformowania nas przez NEB. Klócił się, usiłował mnie przekonać, że nie mogę tego zrobić, ale spuścił z tonu. No cóż, nie mam zamiaru tak postępować wobec zawodowców.

Caroline i Mark spojrzeli po sobie oszołomieni. Głucha cisza, która zapadła po drugiej stronie słuchawki, w niczym im nie pomogła.

- Coś mi świta - w końcu przemówiła niezbyt poprawnie Caroline. - Kręcą z kimś innym.

- Tak - potwierdził bez ogródek Peter.

- Z kim?

- Nie wolno mi tobie powiedzieć.

- Rozumiem. - Caroline szarpnęła się za grzywkę, co miało pomóc przeciążonemu mózgowi. - Friern albo ktoś w tym rodzaju?

Długie milczenie przywitało tę sugestię i Caroline rzuciła chmurnie:

- A to sukinsyny.

- Caroline - napomniął ją Peter.

- Wszystko pięknie ładnie, ale czegoś tu nie rozumiem. Dlaczego dopuszczają Frierna, a tobie odmawiają szansy? Nie, nie komentuj, wiem, że nie możesz. Och, zaczekaj. Dlatego że Matthew proponuje coś, czego ty nie masz, nie pieniądze... coś. - Skoncentrowała się, zmrużyła lekko oczy. Mark przypatrywał się jej z respektem. - Jestem głupia, nie mogę dojść, o co chodzi - powiedziała nagle. - Dowiem się, nie martw się, Peter, i znajdę na to sposób. Oduczę skurwieli przekupywania mojego głównego wspólnika.

- Caroline, jak ty się wyrażasz!

- Słuchaj, mogę przecież dla własnej ciekawości dowiedzieć się, co jest grane. Bądź dobrej myśli, nigdzie nie wychodź. Kawaleria przycwałuje. - Zerknęła na Marka, który pomyślał, że wygląda na niezbyt pewną siebie. - Zapewne moi szpiedzy, którzy są wszędzie, nie przypełzną wcześniej niż w poniedziałek. Więc nie przejmuj się za bardzo, dobrze?

- Uważaj na siebie, Caroline.

- Będę.

Później tego popołudnia, podczas gdy Caroline i Mark czwartą godzinę z rzędu naradzali się z prawnikami Montekia, Matthew Friern siedział w małym londyńskim biurze Friern Construction. Pił herbatę i był w podłym nastroju. Popatrzył ze złością na dzwoniący telefon, ale podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Matthew, tu Andy. Chciałem tylko, żebyś wiedział, gdzie można mnie złapać. Biegli rewidenci zaczynają jutro we wszystkich pięciu przedsiębiorstwach. Kierownictwom kazano trzymać gęby na kłódkę.

- Ci faceci z Prior dobrze zrobią, kiedy się do tego zastosują.

- O ile wiem, wszystko gra. Każdy dostał mój domowy numer i do przyszłego tygodnia niewiele możemy zrobić. Skończą nie wcześniej niż w czwartek.

- Czemu tak późno? Zaoferowaliśmy NEB cholernie dobrą cenę.

Andy westchnął cicho.

- To tylko pięć dni, Matt. Jak na biegłych rewidentów to prędkość naddźwiękowa. - Zawahał się. - Gruhners poprosił nas, byśmy zastanowili się szczególnie nad renegotjacją tych kontraktów przez Prior. To znaczy, oni wiedzą, że tam może skapnąć trochę ekstra gotówki, i spodziewają się, że w naszej ofercie poruszymy ten punkt. Chcą też, byśmy otwarcie ocenili szanse zdobycia przez Prior dużego kontraktu, w sprawie którego złoży ono ofertę w przyszłym miesiącu. Chodzi o Marsh Lane.

- To proste. Jeśli w ogóle dostaną coś po renegotjacji kontraktów, to nie wcześniej niż za kilka miesięcy. I nie dostaną kontraktu na Marsh Lane. My go mamy, Friern.

- Sądzę, że biegli rewidenci zażądadają jakichś obiektywnych dowodów w obu sprawach - spróbował wyciągnąć dokładniejszą odpowiedź Andy, ale bez rezultatu. - Matt? - spytał ostrożnie.

- Jestem. Muszę cię o coś spytać, Andy. Potrzebuję dobrego, doświadczonego detektywa, a nie chcę korzystać z moich ludzi. Znasz kogoś?

Andy popatrzył na telefon, jakby go ugryzł.

- Po co, Matt? To znaczy, o jakie zlecenie chodzi? - sprecyzował pytanie.

- Chcę mieć pewność. Nie ufam tym skurwielom z Prior. Trzeba mieć na nich oko. Mniejsza z tym, Andy. Jeśli nie znasz nikogo, popytam się.

Andy znalazł się między młotem a kowadłem. Uznał, że najlepiej zrobi podsuwając Matthew kogoś zdyscyplinowanego.

- Jeden z naszych klientów wynajął pewną firmę i został dobrze obsłużony. Nie mogę przedstawić żadnych referencji, Matt, bo oczywiście nie wolno mi zdradzić nazwiska klienta, ale gość nazywa się James Edwards. Były policjant. To również nazwa firmy. - Podał numer telefonu. - Sam musisz się z nim spotkać. - Zawahał się. - Nie jestem pewien, czy to ma sens, Matt.

- Ja też nie wiem. Pogadam z Edwardsem.

Zamyślony odłożył słuchawkę. Siedział wpatrując się w nazwisko i numer telefonu, kiedy aparat znowu ostro zadzwonił.

- Matthew?

- John. To miło, że się odezwałeś.

- Dzwonił do mnie Michael Appleton. Ze Smitha Butlera. Nie mogą nas reprezentować, bo są już zaangażowani przez kierownictwo. Michael bardzo żałował, ale jego zdaniem nie należy zmieniać klienta podczas transakcji.

- Mhm. Szkoda.

- Tak, ta młoda kobieta wywarła na mnie doskonałe wrażenie. Niewiele takich pracuje w firmach w City.

- Niewiele, niewiele. No cóż, dziękuję ci, John.

Na zakończenie rozmowy życzyli sobie nawzajem przyjemnego weekendu, a po kilku chwilach Matthew zadzwonił pod podany numer. Niezwykle kompetentna sekretarka zapewniła go solennie, że pan Edwards oddzwoni w ciągu godziny.

**S**obotni poranek był zimny, deszczowy i Caroline, zmęczona naradą ciągnącą się bezproduktywnie do dziesiątej wieczór, znalazła się w obliczu domowego buntu.

- Nie chcę, żeby Caspar zostawał - powiedział zagniewany Timmy, dodając płatki kukurydziane do mleka i siejąc przy tym po całym stole.

- Przepraszam, słoneczko - odparła czując się winna. - Wróć jutro.

- Dlaczego musisz wyjechać w weekend? Wczoraj wieczorem też cię nie było. - Susannah była równie niezadowolona.

- Właśnie, że byłam - zaprzeczyła z oburzeniem Caroline. - Akurat się obudziłaś, kiedy cię całowałam.

- Phi - powiedział niegrzecznie Timmy i wymienili z matką wrogie spojrzenia.

- Dzieci! - Caroline zdobyła się na swój najbardziej surowy ton. - Muszę wyjść; nie traćmy czasu. Kto nie dostał kieszonkowego i jak wyglądają wasze zadania domowe? - Odepchnęła krzesło i zamarła wstrząśnięta widokiem milczącego Francisa, któremu łzy spływały po policzkach.

- Obiecałaś, że pójde na podwieczorek do Billa.

- O Boże. Tak, obiecałam.

Łzy przestały ciec i spojrzał na nią pełen nadziei.

- Caspar cię zawiezie - rzekła ponuro.

Uznała, że brat jakoś musi zdobyć się na podróż, trwającą czterdzieści pięć minut w jedną stronę, do najlepszego przyjaciela Francisa. Z taką samą niechęcią wykonała niezbędne telefony, sprawdziła zadania domowe całej trójki i ćwiczenia skrzypcowe Susannah. Zajęło to dwie godziny. Zanim więc przywitała Caspara i usiadła w samochodzie, była spięta, niespokojna, w dodatku złamała paznokieć otwierając drzwi wozu. Dobry początek utęsknionych dwudziestu czterech godzin z kochankiem - pomyślała znużona.

Zaparkowała w podziemnym garażu i ulicami na tyłach sklepów dla wojska i marynarki wojennej przeszła do małego bloku, w którym Gerry wynajmował mieszkanie. Niosła tylko teczkę, na wypadek gdyby spotkała kogoś znajomego. Czuli się wystawiona na widok publiczny i przez chwilę zaczęła się zastanawiać, jak się tu znalazła i dlaczego. W tym momencie dojrzała Gerry'ego.

Ubrany w brązowy sweter kupował gazetę. Ludzie odwracali głowy, jak zawsze na poły go rozpoznając. Serce żywiej zabiło jej w piersiach. Ze zwykłym pośpiechem wrócił do siebie. Odczekała i po kilku minutach poszła w jego ślady. Od razu zareagował na dzwonek. Rzuciła mu się w ramiona. Całe napięcie znikło i nagle poczuła, że jest wyczerpana.

- Wyglądasz na zmęczoną - rzekł i pomyślała, że jest naprawdę bardzo niewiele mężczyzn, którzy potrafią to powiedzieć nie dając ci równocześnie do zrozumienia, że wyglądasz beznaściejnie. - Zabieram cię na lunch.

- Cudowny pomysł - odparła szczerze, wspominając te rzadkie soboty, w które załatwiali z Benem opiekę nad dziećmi i chyłkiem wymykali się na lunch we dwoje, upijali się troszeczkę i wymieniali wiadomości o tym, co robili w tygodniu.

Chciałabym mieć znowu męża, chciałabym znowu tak żyć - pomyślała z nagłym ostrym bólem, patrząc na Gerry'ego, który przesunął rygiel zamka. Odwrócił się szybko, czując na sobie jej spojrenie.

W restauracji było lepiej. Siedzieli i nie odrywali od siebie wzroku.

- Nie mogę uwierzyć, że mamy dla siebie cały dzień i noc - powiedział. - Zacząłem myśleć, że to nigdy się nam nie uda.

- Och, ja też. Zaczęłam się zastanawiać, komu się poskarżyć i jak. Uznałam, że napiszę bardzo urzędowy list zaczynający się od słów: „Szanowna Pani Premier...”

- A potem byłby o wiele mniej urzędowy. - Śmiał się, ale przez chwilę miał duszę na ramieniu. - Więc co robiłaś?

Zastanowiła się nad swoim tygodniem i uznała, że popełniła by niedyskrecję opowiadając o transakcji Monteki/Kapulet, nawet posługując się kryptonimami, i starała się sobie przypomnieć, co jeszcze się wydarzyło. Oczywiście wynikł problem z Prior, ale teraz nie miejsce ani czas na to, żeby go roztrząsać. Uśmiechnęła się smętnie do swojego towarzysza, dostrzegając przy tym kątem oka, że kilka młodych kobiet jedzących wspólny lunch przygląda się Gerry'emu. Jej również poświęcały sporo uwagi. Wyprostowała się i starała się przybrać wygląd bepcłciowej



profesjonalistki, umówionej na lunch ze znajomym z kręgów rządowych.

- Zajmowałam się fuzją. Może nie dojść do skutku. Jak to nazywa Sholto, należy do kategorii „przed przeczytaniem zjeść”. A co z tobą?

Opowiedział jej ze swadą o swoim tygodniu i przyglądała mu się z miłością i podziwem. Jej samej nie brakowało energii ani napędu, ale on nigdy nie potrzebował chwili oddechu i pod koniec tygodnia, wypełnionego podróżami i spotkaniami z ludźmi od ósmej rano do północy, nadal wyglądał na świeżego i nie zmęczonego, kipiał ledwo utrzymywaną w ryzach, niespożytą energią.

- Niegłodna? - spytał i zdała sobie sprawę, że przełknęła ledwie odrobinę doskonałej ryby, i zajęła się jedzeniem. Poczula nawrót sił.

- Zbyt ciężki tydzień - rzekła przepraszącąco. - To było mi potrzebne.

- Wracamy?

- Mhm.

Poczula, jak rozplywa się pod jego spojrzeniem, i zdała sobie sprawę, że on czuje to samo. I tak mam szczęście, wydawało mi się, że już nigdy więcej tego nie przeżyję - pomyślała zdecydowanie.

Zapłacił rachunek i ruszyli z powrotem do jego mieszkania. Ostrożność kazała im zachowywać nonszalancję; plotkowali unikając zbliżenia, aż drzwi mieszkania zamknęły się za nimi i Caroline przytuliła się do Gerry'ego, wsuwając mu dłonie pod sweter.

- Do łóżka? - zasugerował. - Moglibyśmy nawet po prostu pospać.

Odsunęła się i spojrzała na niego.

- Wolałbyś?

- Nie. Ale wyglądasz na wycieńzoną i chciałbym mieć pewność, że się wyśpisz. Potem.

Więc poszli spać wpółobjęci - zaraz potem - i ocknęła się na chwilę, kiedy łagodnie uwalniał się z jej uścisku.

- Śpij. Zaparzę herbatę.

Zamknęła oczy i gdy się obudziła, światło się zmieniło i w mieszkaniu zalegała cisza.

- Gerry?! - zawołała z niepokojem.

Stała w drzwiach.

- Byłaś naprawdę wycieńczona. Jest prawie szósta.

- Nie chce mi się wierzyć.

Przez chwilę ogarnęło ją straszne rozczarowanie, bo przespała dwie i pół godziny cennego czasu z Gerrym, lecz przyglądał się jej z tym samym czułym rozbawieniem, który wzruszył ją podczas drugiego spotkania. Rozluźniła się i uśmiechnęła.

- Przepraszam. Ale ze mnie nudny gość.

- Odwaliłem wszystkie pisma przychodzące i wychodzące - rzekł z pychą. - Więc do jutrzejszego popołudnia nie mam żadnego zajęcia.

- Poza mną.

- Poza tobą. Teraz? To znaczy jeszcze raz? Nie wolałabyś herbaty?

- Bardzo proszę herbatę.

Wrócił z zapelnioną tacą, postawił ją na łóżku obok Caroline i przysiadł się bezceremonialnie. Włączył telewizor. Oglądali kanclerza skarbu zapewniającego naród, że osiągnięto punkt zwrotny. Przypatrywała się Gerry'emu, myśląc, że jest niezwykle przystojny nawet w spranej białej koszuli. Trzymał Caroline za rękę, ale jego uwaga była skupiona na przemawiającym koledze z rządu, napięta twarz świadczyła o koncentracji.

- Bardzo by się nam przydał jakiś sukces - rzekł, gdy kanclerza zastąpił szef policji, tępo wyjaśniający zagmatwane szczegóły napadu na bank. - Opowiedz mi o swoich przyjaciółach w Prior.

- No, chciałabym. Ale coś się tam popsuło.

- Nie powinienem o to pytać. Znowu jesteś zmęczona, a kiedy się obudziłaś, wyglądałaś, jakbyś znów miała szesnaście lat. Ale skoro już zacząłem, to lepiej jedźmy z tym. Co się popsuło?

Zawahała się.

- Jasne jest, że NEB stara się szybko zawrzeć transakcję z kimś innym. To znaczy nie z kierownictwem.

- Naprawdę? - Skupił się bez reszty na tej sprawie. - Co to, interesik na boku?

- Nie aż tak grzeszny, jak to brzmi w twoich ustach - zauważyła

chłodno, żałując, że zainicjowała temat. - NEB jest właścicielem firmy i chce ją szybciotko sprzedać komuś innemu - to dozwolone. To znaczy, prawdziwe przedsiębiorstwo mogłoby tak postąpić. Tylko że to cios dla moich klientów.

- To politycznie niemożliwe. - Płonął ciekawością. - Nie możemy NEB na to pozwolić.

- No, dobrze, żeby ktoś się tym zajął.

- Zapewne Ministerstwo Środowiska. To działka Johna Winstanleya. - Siedział na łóżku, chwilowo nieświadomy jej obecności, mrużył oczy skoncentrowany. - Bardzo interesujące - powiedział otrząsając się z zamyślenia. - Kiedy się to stało?

- Wczoraj. Przepraszam, wczoraj się o tym dowiedziałam. To dziwne, no nie? Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny nie miałam czasu, żeby o nich pomyśleć, za dużo spraw na głowie.

Objął ją, ale jego ręka nadal niespokojnie się poruszała, poklepywała Caroline po ramieniu.

- Kochanie, zadzwonię... nie, nie przejmuj się, to nie potrwa długo. Potem zrobimy to, na co będziesz miała ochotę. Kino? Koncert... - Zawahał się. Zdała sobie sprawę, że zastanawia się, czy to roztropna propozycja, i uśmiechnęła się do niego wybaczące

- Możemy tu zostać?

- Zaraz o tym pomówimy.

Poszedł do pokoju dziennego i zrozumiała, że nie powinna mu towarzyszyć. No cóż, sama będzie musiała później zatelefonować, sprawdzić, czy w domu wszystko w porządku. Ubrała się szybko, skończyła herbatę, nalala sobie następną filiżankę, wypila, a potem cicho zaniósła filiżankę do kuchni. Usłyszała odgłos odkładanej słuchawki. Otworzyły się kuchenne drzwi.

- Caroline, kochana... - Interesujące, był trochę poruszony. - Czy jest możliwe, że NEB sprzedaje wszystkie pięć przedsiębiorstw budowlanych łącznie?

Stał w progu pełen energii jak szumiący agregat. Zmusiła się do myślenia.

- Tak. Niech to drzwi ścisną.  
- Dlaczego „niech to drzwi ścisną”?  
- Bo to wcale niegłupi pomysł. Powinnam na to wpaść, ale te przedsiębiorstwa są całkiem różne. I nikt, w tym cholerny Clive, nawet słówkiem nie pisał. Cholera, cholera, cholera! W tej sytuacji moje chłopaki nie będą miały wielkich szans. Każde przedsiębiorstwo, mogąc upłynnić pięć nie chcianych pozycji za jednym zamachem, skorzystałoby z tej możliwości, a nie pozbywało się ich pojedynczo.

Był wyraźnie zawiedziony.

- Czy w ten sposób osiągną najlepszą cenę?  
- Niekoniecznie. Kupujący będzie liczył na jakiś upust. Niemniej jednak to wcale niegłupi pomysł. Szybkie rozwiązanie bez niepotrzebnego urwania głowy. Gównu. - Zerknął na nią z naganą. - Przepraszam. Słuchaj, czy wystawiają całą grupę na przetarg - ktoś coś mówił?

Zawahał się.

- Wygląda na to, że nie. Jest jeden kupujący.  
- To pewnie cena nie będzie najwyższa. Ale mimo to pomysł nie jest zły. - Siadła pogrążona w myślach. Matt Friern okazał się bardzo sprytny. Ale ona ma w tej chwili swojego kochanego Gerry'ego i wszyscy muszą po prostu poczekać. - Kochanie, moglibyśmy o tej całej sprawie nie rozmawiać? Chce mi się wyc.

- Przepraszam, przepraszam. - Postawił ją na nogi i wziął w ramiona. - Jak moglibyśmy się zabawić?

- A jak jest na dworze? - spytała i zerknęła mu przez ramię w okno.

- Leje jak z cebra.

- Co ty na to, żebyśmy zostali i zjedli kolację?

Spojrzał na nią i pocałował łagodnie w usta. Rozchyliła wargi pod jego pieszczotę.

- Ach - szepnął po długiej chwili i zaczął rozpinać jej bluzkę.

- Tobie tylko cycki w głowie, że użyję powiedzenia służby - rzekła ciepło.

- Cała siedzisz mi w głowie - odparł, zsunął jej biustonosz

i łagodnie pieścił sutkę. - Ale mam trudności z dotarciem do reszty. - Zręcznie rozpiął biustonosz drugą ręką i przykrył jej piersi dłońmi. Brakowało mu tchu, ale starał się mówić niedballym tonem. - Kłopot w tym, że chcę zdjąć z ciebie całe ubranie. - Wsunął rękę za pasek jej dżinsów z tyłu, a nie mogąc sobie poradzić z opiętymi spodniami, drugą dłonią rozsunął suwak zamka i włożył ją do majtek Caroline.

- Jesteś cudowna w dotyku.

- Cała mokra.

- Tak, chodź. - Wysunął dłonie i przezornie zapiął zatrask dżinsów. Uporządkowany mężczyzna, pieprzy się w sypialni i nie zdejmując garderoby, dopóki tam nie wejdzie - pomyślała z miłością, idąc za nim.

Niecierpliwie zrywał z siebie ubranie. Ona na dobrą sprawę miała zdjętą bluzkę i biustonosz, ale postanowiła go zabawić nie spiesząc się ze zdejmowaniem reszty; szczególnie powoli i uwodzicielsko zsuwała skarpetki. Zgodnie z jej oczekiwaniami rzucił się na nią i razem padli na łóżko.

- Kochanie. Zaczekaj. - Bez wysiłku przygwoździł jej ramiona do poduszki. - Słuchaj, mogę się spuścić lada chwila. Jeśli będziesz się tak zachowywała, to już teraz. Ale ja nie chcę. Dla mnie przyjemność polega na dawaniu rozkoszy. Dobrze? - Pogładził ją nie odrywając wzroku od jej twarzy.

- O, tak - odparła czując, że jeszcze słowo, a się rozplacze. - Och, kochany Gerry.

Ale coś rodziło w niej opór, koncentracja i podniecenie słabły, a napięcie rosło. Przerwał i pocałował ją.

- Nie działa?

- Przepraszam - powiedziała uciekając wzrokiem.

- Wiem, dlaczego się tak dzieje. - Odwrócił jej głowę, tak że musiała spojrzeć mu w oczy. - Nie bardzo lubisz, kiedy się coś dla ciebie robi, wolisz kontrolować.

Chciała zaprotestować, ale nie zdołała wydobyć słowa i spróbowała zepchnąć Gerry'ego. Stawił opór; nie był zły, jedynie bardzo poważny.

- Hej, to ja. Kocham cię.

- Przepraszam - powiedziała dusząc łzy. - Masz rację. Nie moglibyśmy po prostu spróbować inaczej?

- Z tobą na górze? - Był rozbawiony. - Może do tego dojdzie, ale jeszcze nie.

Całował ją w usta, aż się rozluźniła. Zsunął się w dół; jedną dłoń trzymał rozpostartą na jej brzuchu, drugą łagodnie rozsunął nogi. Poczula jego język. Nie pozwalał się jej ruszyć i tarł ją językiem, powoli, jakby czas stanął w miejscu, i bez wysiłku ze swojej strony poczuła potężny orgazm, a wtedy Gerry wszedł w nią, objęła go i skończył w niej szybko i łatwo. Łagodnie przetoczył ich oboje, tak że teraz spoczywał na niej całym ciałem, i raczej poczuła, niż ujrzała, że uśmiecha się do siebie.

- Tak, to naprawdę było przyjemne - powiedziała zdecydowanie.

Roześmiał się głośno. - Przepraszam, że tak długo trwało - dodała.

Szarpnął ją za włosy.

- Kochanie, ja tak lubię. I większość facetów, jeśli tylko może. - Spojrzała na nią uważnie.

- Wiem, że to prawda.

- Ale ty zawsze robiłaś to, co się tobie podobało.

- To też prawda.

- Wykąpię się. Możesz iść pierwsza - dodał szybko, zauważwszy jej spojrzenie.

- Lepiej tak, jeśli chcesz coś zjeść na kolację. Utrudnienie tego związku - dodała z rozmarzeniem, idąc do łazienki - polega na tym, że mamy tu dwoje urodzonych przywódców. Ciekawe, jak by im szło w małżeństwie. - Spojrzała na niego pytająco, ale miał twarz bez wyrazu. - Całkiem koszmarnie, jestem pewna - powiedziała dotknięta, ale usilnie starając się zachować lekki ton. - To nie potrwa długo.

Nie bądź nachalna - pomyślała ze złością, kładąc się w wannie tak, by nie zmoczyć włosów. Masz go teraz, ciesz się tym, co jest.

Usłyszała dźwięk podnoszonej słuchawki i zastanowiła się z bólem, czy Gerry dzwoni do domu. No cóż, ona też musi to zrobić. Obiecała Casparowi.

Wytarła się i włożyła z powrotem rzeczy, w których przyszła. Jedynym wyjątkiem były przyniesione w teczce czyste majtki. Przeszła korytarzem do kuchni. Rozmowa Gerry'ego zdawała się trwać wiecznie i Caroline pomyślała, że najlepiej zrobi biorąc się do szykowania kolacji. Ciekawe, jakiego to niezbędnego produktu Gerry nie kupił tym razem.

- ...nie, Richard, z jednej strony to nie ma dla mnie takiego znaczenia, jeśli tylko firma i pracownicy będą bezpieczni. Ale wydaje mi się, że John Winstanley ma tu problem - i oczywiście Peter - więc reprezentując północ jestem trochę niespokojny. To terytorium wroga, sam wiesz.

Niechętnie, ale zgodnie z zasadami, w jakich ją wychowano, Caroline zamknęła drzwi do pokoju i zaczęła sondować lodówkę. Niewiele czasu zajęło ustalenie, że brakuje chleba i mleka, co oznaczało, że należy wykluczyć z menu sadzone jajka na grzance. Właśnie zastanawiała się nad wartościami odżywczymi jajek na bekonie z jogurtem owocowym, gdy Gerry stanął w drzwiach i mogła wysłać go szybko do Hindusa na rogu, nim zamknie sklep. Tymczasem zadzwoniła do Caspara i dzieci.

- Dzięki, Cas - powiedziała z wdzięcznością, słysząc wracającego Gerry'ego. - Zrobię dla ciebie to samo.

- Wcale nie zrobisz. Za dobrze cię znam.

- Odpiernicz się - zakończyła ze śmiechem i odłożyła słuchawkę.

- Czy to był twój brat? Niezbyt pięknie się do niego odzywałeś.

- On jest moim bratem - odparła z irytacją i wbrew temu, co postanowiła, powiedziała: - Mówiłeś o Prior. - Zarumieniła się pod jego spojrzeniem. - Podśledzałam niechętnie.

- Nie mam pretensji o to, że jesteś ciekawa. Może postępowanie Winstanleya jest rozsądne pod względem handlowym, ale to polityczny idiotyzm. Jeśli sprawa się wyda, wszyscy będziemy oskarżeni o korszachy z naszymi przyjaciółmi.

- No, w końcu na pewno się wyda - zauważyła.

- Wtedy sytuacja może się już przejaśnić. Ale teraz idzie nam fatalnie. Według badań opinii publicznej jesteśmy siedem punktów za laburzystami.

- Czy w ogóle się przejmujecie tymi wynikami?
- Niby nie, ale Bogiem a prawdą zatruwają nam życie.
- Zapewne wszyscy wyrazili zgodę na tę sprzedaż - powiedziała z namysłem. - To znaczy, w gabinecie.

Spojrzała ostrożnie na Gerry'ego. Uśmiechał się pod nosem.

- Niekoniecznie - rzekł po pauzie.

Patrzyła na niego czujnie, gdy wkładał zakupy do szafek.

- Więc gdy pozostali członkowie gabinetu się dowiedzą, nie wpadną w szal i nie staną okoniem?

- Niekoniecznie.

Ale mogą, jeśli się rozniesie, że Friern miał poufny dostęp do bilansów wszystkich przedsiębiorstw. Nic dziwnego, że NEB zażądała od chłopaków z Prior utrzymania tajemnicy. Przyglądała się kochankowi, jego wielkim dłoniom, które tak umiejętnie pieściły ją przed niecałą godziną.

- Byłaby z tego niezła sensacja w prasie.

Dłonie zamarły nie wypuszczając płatków śniadaniowych, a potem znowu się poruszyły.

- Byłaby. Dlatego rozmawiałem z kolegą. Zaczynasz przygotowywać kolację czy znów muszę po coś iść? Napijesz się czegoś mocniejszego?

- Bardzo chętnie. Dżin.

Przyjęła do wiadomości, że to było ostatnie pytanie, które pozwolił jej zadać. Z ulgą porzuciła ten temat skupiając się na kolacji.



## Rozdział czternasty

Clive Fieldman zdał sobie sprawę, że uparte brzęczenie to telefon, nie budzik. Na pewno pomyłka. A może coś przydarzyło się dzieciom - pomyślał walcząc z kółką. Złapał słuchawkę. Nieprzytomny zauważył, że jest dopiero za kwadrans siódma.

- Clive? Tu Jim Morrison. Przepraszam, że cię budzę, ale pomyślałem, że lepiej będzie, jak zaczniesz z kopyta ten miluchny poniedziałek. „Financial Times”, strona pierwsza, kolumna trzecia. Nie masz? W porządku, przeczytam ci.

Clive nałożył okulary i zdołał znaleźć kawałek papieru. Rzecznik prasowy ministerstwa głośno okazywał zniecierpliwienie.

- Słucham cię, Jim. - Przez okulary Clive zobaczył, że stolik nocny jest zakurzony i poplamiony śladami po filiżankach. Lucy narzekała, że jego mieszkanie jest przygnębiające. Niewątpliwie miała rację. Przydałaby się sprzątaczką.

- „NEB negocjuje sprzedaż pięciu przedsiębiorstw budowlanych” - wyrecytował dramatycznie Jim Morrison i Clive jęknął ze zgrozą.

- Wystarczy, stary - powiedział krótko. - Już startuję.

- Daj mi tylko przeczytać najlepszy kawałek - głos z akcentem z Yorkshire kontynuował żalobnie: - Trzeci akapit niżej. „Jest wiadome, że urzędnicy NEB udostępnili na zasadzie wyłączności wgląd w rozliczenia i inne podstawowe dane pięciu przedsiębiorstw potencjalnemu kupującemu i zespół biegłych

rewidentów z City, Fisher Price, rozpoczął w sobotę pracę w tych przedsiębiorstwach”

- Jezu. Jest jakiś wstępniak?

- Nie. Tylko informacja i trochę spekulacji, kim jest ten szczęściarz. Ludzie z *public relations* u Tarmaca i Wimpeya zaprzeczają, jakoby to o nich szło. Zapewne ucieszy cię, że u Harrisona i Frierna nie było nikogo, kto mógłby skomentować wiadomość. Czy możesz znaleźć sir Matthew?

- Tak. Zajmę się tym teraz. Czy minister wie?

- Samochód odbiera go z dokumentami za pięć minut. Może chciałbyś do niego zadzwonić.

Clive'owi jak do tej pory udało się jako tako przyzdiać w koszulę i spodnie. Rozważył to pytanie.

- Nie. Muszę znaleźć sir Matthew. Załatw to, Jim, tylko łagodnie; powiedz ministrowi, co robię, a ja się postaram, żeby za godzinę wszyscy byli w biurze, Friern też, jeśli mi się uda. Gdzie jest sekretarz stanu? Chwała Bogu. Tam jest druga w nocy - nikt go jeszcze nie będzie pytał.

**W** rezultacie była prawie dziewiąta, zanim udało się zebrać grupę decydentów i przedyskutować nagle zagrożenie. Matthew Frierna nie było w jej szeregach, gdyż miał kłopoty z dojazdem z Dorrington. Zgodził się, że on sam i wszyscy pracownicy jego firmy będą nieosiągalni dla prasy przez następne kilka godzin. Winstanley, z zaciśniętymi ustami, rozwichrzoną czupryną, każdą uncją ciała emanując wrogością, siedział u szczytu stołu, z boku mając sir Francisa Templetona, stałego sekretarza ministerstwa - innymi słowy, dyrektora zarządzającego - który został zaalarmowany dziesięć minut po Clivie. Po prawej stałego sekretarza zajmował miejsce rzecznik prasowy, który jak zwykle wyglądał tak, jakby właśnie wstał z łóżka w hotelu robotniczym, następnie Clive i James Mather, podczas gdy szef biura ministra przycupnął z notatnikiem po drugiej stronie stołu. Richard Watts z Fredericksa czekał w pobliskim Pokoju, każąc sobie słono za to płacić. Wraz z nim czekali równie zaniepokojeni koledzy z Gruhnersa i wicedyrektor zarządzający NEB, ale wszyscy

byli zgodni, że grupa ministerialna powinna ustalić stanowisko przed spotkaniem z resztą.

- Przede wszystkim chcę wiedzieć, jak oni się o tym dowiedzieli - rozpoczął Winstanley i czterej pracownicy służby cywilnej westchnęli w duchu, a szef biura wbił ponury wzrok w źle wypastowany czubek buta.

To ci dopiero ważny punkt obrad - pomyślał ze znużeniem Clive. Roztrząsanie go to czysta strata czasu.

Ale Winstanley był mocno poruszony. Najwyraźniej groziła mu strata punktów w dzikiej walce o władzę i wpływy między ministrami. A pracownikom służby cywilnej nie opłaca się, gdy ich szef traci wpływy.

- Doprawdy jest to wielce niefortunne, panie ministrze - rozpoczął uspokajająco Clive, sięgnąwszy po najdobitniejsze w służbie cywilnej określenie żalu i dezaprobaty - ale nie jest możliwe, by pięć zespołów biegłych rewidentów rozpoczęło pracę w całkowitej tajemnicy. Poszczególne kierownictwa wiedzą tylko tyle, że biegli w ramach przygotowania do sprzedaży przekazują raporty NEB. I jak pan wie, taki jest faktyczny cel ich pracy. Pracują dla NEB - z tym że firma Friern jest gotowa polegać na tych raportach.

- I rewidenci wiedzą, że mają odbiorców poza NEB - dodał James Mather.

- Więc poszczególne kierownictwa nie zostały poinformowane, że inne przedsiębiorstwa mogą zostać włączone do sprzedaży. Tak jak to ustaliliśmy. - Winstanley najwyraźniej ocenił zasięg kanonady.

- No cóż, oni wszyscy wiedzieli, że NEB planuje sprzedaż i wszyscy niewątpliwie rozumieli, że raporty są częścią przygotowań - rzekł ostrożnie Clive. - Ale, jak to również ustaliliśmy, zabroniono im o tym mówić. Panie ministrze, kiedy będzie pan rozmawiał z NEB, sądzę, że zechce się pan dowiedzieć, jaką formę przyjęło to ostrzeżenie. - Czas przypomnieć szefowi, że to NEB prowadzi całą sprawę.

- Ale kierownictwa nie mogły wiedzieć, że NEB ma do czynienia z kupującym całą piątkę - upierał się Winstanley.

Clive zawahał się i sir Francis zabrał głos.

- Inteligentni i podejrzliwi ludzie mogli zgadnąć, że, po pierwsze, pozostałe przedsiębiorstwa z tej grupy wchodzi w grę i, po drugie, zgłosił się konkretny kupujący.

To bardzo trafne określenie - pomyślał ponuro Clive. Przy najmniej w odniesieniu do trzech dżentelmenów na szczycie Prior Systems, nawet jeśli szefowie pozostałych czterech firm to gamonie.

- Ale nikt nie wymienił żadnych nazwisk, panie ministrze - podkreślił. - Zgodnie z tym, co ustalono.

- „FT” też nie podał żadnego nazwiska, to znaczy wymienił całą listę.

Jim Morrison poruszył się śmiejąc popiołem z papierosa.

- Obawiam się, że mogły zadecydować względy techniczne, panie ministrze. Będą chronić źródło informacji wsadzając Frierna w środek listy.

Winstanley przyjrzał mu się z obrzydzeniem.

- Wiadomo było, że jedynym przedsiębiorstwem, na którym zależy Friernowi, jest Prior, prawda?

- Zgadza się, panie ministrze - bezzwłocznie potwierdził Clive.

- Więc przeciek jest stamtąd - upierał się Winstanley. - Czy to nie ta twoja znajoma, radca prawny. Jak jej tam...? Ich pełnomocnik.

- Caroline Whitehouse - odparł Clive starając się nie okazać konsternacji. - Ona nie powinna o tym wiedzieć. To znaczy, jeśli jej o tym powiedzieli, wyraźnie naruszyli swoje obowiązki.

Winstanley wiercił dziurę w bibularzu.

- Ona wiedziałaby, z kim porozmawiać w „Financial Times”.

- O, tak.

- Jest twoją starą znajomą. - Winstanley nadal rył w bibularzu. Clive z roztargnieniem potwierdził ostatnie spostrzeżenie, a potem wyprostował się, jakby sens tej pozornie błahej uwagi nagle dotarł do niego, ale ubiegł go sir Francis.

- Panie ministrze, obawiam się, że z naszego doświadczenia wynika, iż tego rodzaju przecieki pochodzą raczej z parlamentu niż biur rządowych.

Teraz z kolei Winstanley poderwał się jak sprężyna i spojrzal na sir Francisa, jakby ten go ugryzł. Minister wyglądał na niedoświadczonego młokosa w porównaniu z opanowanym, siwowłosym stałym sekretarzem. Otworzył usta, by zadać kolejne pytanie. Zgasło mu jednak na wargach, gdy napotkał dworsko-uprzejme zaciekawienie sir Francisa i ostentacyjną nieuważę reszty zgromadzonych.

- No cóż, ważne jest, co teraz poczniemy, nieprawdaż? - rzekł wyzywająco, zbierając myśli, i potoczył piorunującym wzrokiem po urzędnikach, którzy odnieśli się do tej sugestii ze skupieniem, jakie zwykle przysługuje niekonwencjonalnemu, niemniej jednak wcale przydatnemu pomysłowi.

- Nie zaszkodzi, jeśli NEB zażąda przyspieszenia raportów rewidentów. - Clive'owi udało się wygospodarować dziesięć minut z Richardem Wattsem i był na pewnym gruncie. - To normalny początek każdej sprzedaży. Może pan to powiedzieć. Pozostaje pytanie, czy NEB może kontynuować negocjacje z jednym kupującym na zasadzie wyłączności.

- Nie może. Byłoby to możliwe, gdyby doszło do podpisania umowy wstępnej, ale tego, co jest, nie mogę obronić. Nie na tym etapie. - Winstanley zacisnął usta w wąską linię.

No cóż, to wystarczająco jasne - pomyślał z ulgą zaskoczony Clive. Spodziewał się, że tę konkluzję poprzedzą wpierw długie godziny bezużytecznych kłótni. Spojrzal pytająco na sir Francisa, któremu siwizna i powaga przydawały wyjątkowego wręcz dostojęństwa.

- Niestety, to słuszne podejście, panie ministrze. Decyzja bolesna, ale właściwa. Teraz musimy znaleźć równie właściwy sposób jej ogłoszenia.

Uchyliły się drzwi i niski rangą urzędnik przemknął do szefa biura, wręczając mu płaską pomarańczową teczkę. Ten spojrzal na maszynowy napis i przekazał ją bez słowa sir Francisowi. „Osobista interpelacja Alexa Neila, Partia Pracy, Withlington”.

- Davecat ma tam siedzibę - od razu poinformował Clive. - No cóż, tego należało się spodziewać, prawda?

Osobiste interpelacje nie zawsze są przyjmowane przez dziennik podawczy, ale jeśli to nastąpi, odpowiedź musi być udzielona tego samego dnia.

- Chciałbym potwierdzić, że NEB zleciła rewidentom sporządzenie raportów, i zaprzeczyć wszystkiemu innemu - rzekł prosto z mostu Winstanley.

- Potwierdzić i powiedzieć, że nie ustalono żadnej decyzji w sprawie sposobu sprzedaży i że raporty biegłych rewidentów są istotną częścią jej procesu. Zobowiązać się do wygłoszenia oświadczenia najszybciej, jak to będzie możliwe - podsunął Clive, pisząc szybko notatkę. Kątem oka dostrzegł aprobujące kiwnięcie głowy sir Francisa.

- Tak lepiej - zgodził się Winstanley.

- Musimy wytłumaczyć się przed NEB i Friernem - zauważył Clive. - Chce pan to nam zostawić?

- Panie ministrze, sam powinien się pan spotkać z Matthew Friernem - oznajmił tonem nie znoszącym sprzeciwu sir Francis i Clive zaklął pod nosem. Naturalnie, racja. Zagalopował się, przedobrzył. Nie ulega wątpliwości, że należy osobiście ugłaskać Matthew Frierna, zwłaszcza że minister gościł pod jego dachem. Odchrząknął i przypomniał zebrany o NEB czekającej za ścianą.

- Spotkam się z nimi za pięć minut - powiedział z irytacją Winstanley. - Francis, to uprzejmie z twojej strony, że przyszedłeś, ale czy koniecznie musisz się z nimi spotykać? Nie?

- Nie - odparł sir Francis i dodał, że w razie potrzeby będzie w ministerstwie do południa. Wyszedł zabierając ze sobą Jima Morrisona, który z biura rzecznika musiał ocenić głębokość zadanych ran. James Mather i szef biura ministra zostali skierowani do szybkiego sporządzenia odpowiedzi na interpelację, bez czego nie mogła się odbyć następna narada, i przekazania ustaleń zebrany w poczekalni.

Clive został z ministrem.

- Naprawdę chciałbym się dowiedzieć, jak się to rozniosło - powiedział mściwie Winstanley wyglądając przez okno.

Zaniepokojony Clive starał się udzielić odpowiedzi godnej sir Francisa.

- Panie ministrze, w ciągu ostatnich czterech lat ustalono sposób badania tego rodzaju problemów - powiedział ostrożnie. - Został nazwany „premierowską procedurą przecieku” - samorzutnie podsunął informację, kiedy uznał, że bezpiecznie może to zrobić.

- O Boże. No, nie będę się tego chwycił. - Winstanley poruszył się gwałtownie i wpił rozwścieczony wzrok w zasłonę, jakby chciał w nią grzmotnąć.

Clive czekał w nieprzychylniej ciszy.

- Twoja przyjaciółka, Caroline Whitehouse, pochodzi z politykującej rodziny. Czyba tak mówiłeś?

- Jej ojciec to profesor sir Sholto Henriques.

- Ach, on. Ach, oni. Partia Pracy.

- Tak.

Znów zapadła nieprzychylna cisza. Clive głęboko się zaniepokoił implikacjami tej wypowiedzi, ale nie chciał zabierać głosu nie pytany. W końcu Winstanley był zmuszony postawić pytanie.

- Czy zrobiłaby to z powodów politycznych? Jeśli klienci powiedzieli jej, co się dzieje?

- Nie - odparł Clive, nagle odzyskując pewność siebie. Przypomniał sobie Caroline szesnaście lat młodszą, wykładającą prawo człowiekowi o wiele od niej starszemu. - Nie, nie mogła narażać swoich klientów na ryzyko, wprost czy pośrednio. Zawsze powtarzała, że ludzie powinni się spodziewać po przyzwoitej kancelarii przynajmniej jednego - że nie będą narażeni na kłopoty. - To przekonało Winstanleya i Clive kontynuował. - Poza tym klan Henriquesów nie wierzy, że cel uświęca środki.

- Wielkie nieba! - Winstanley był porażony. - Jak oni dają sobie radę... no cóż, laburzyści. Nic dziwnego.

Clive nadal krztusił się kawą, gdy James Mather i szef biura ministra pojawili się z roboczą wersją odpowiedzi na interpelację i notami dodatkowymi. Każde słowo należało uzgodnić z Matthew Friernem, NEB, doradcami z banków rebusowych, biurem sekretarza stanu i zapewne również z siedzibą pani premier. Clive i Winstanley byli przy tym uwiązani do południa.

Caroline Whitehouse rozpoczęła poranek od wizyty z dwójką dzieci u okulisty. Ben był krótkowidzem. Dwunastoletni Timmy nosił szkła od ósmego roku życia i pogodził się z tym. Susannah mając dziesięć lat musiała w końcu wyznać prawdę, że widzi tablicę tylko z pierwszej ławki, i rozpląkała się, gdy wyszło na jaw to, o czym wszyscy chcąc nie chcąc wiedzieli: czeka ją beznadziejny półroczny okres próbny i należy się spodziewać, że będzie musiała nosić okulary. „Tak, to niesprawiedliwe - zgodziła się z córką Caroline. - Powinnas mieć moje oczy, nie tatusia, i on powiedziałby to samo, ale tak już jest. Za to masz po tatusiu śliczne rude włosy”. To poprawiło humor Susannah, która przykładała wielką wagę do swoich długich rudoblond włosów.

Caroline czuła się całkiem zadowolona z siebie, gdy zjawiła się w pracy o nietypowej porze, po dziewiątej. Wydawało się, że gabinet jest pełen ludzi, ale kiedy rozpoznała poszczególne postaci, okazało się, że cały tłum tworzyli Michael Appleton, Mark Dwyer i Susie.

- Najwyraźniej nie czytałaś „FT”. - Michael wskazał artykuł i rzuciła się do lektury. - Czy to może twoi faceci z Prior?

Caroline znalazła w piątek dziesięć minut, by zawiadomić Appletona na piśmie, że Prior podpisało udzielenie pełnomocnictwa, i dodała ustnie, że z niewiadomego powodu szacownemu klientowi zabroniono rozmawiać z jego radcą prawnym.

- Prior nie wiedziało, że wszystkie pięć firm idzie pod młotek. Och, zaczekaj chwilę, może wiedziało - zachowywali się bardzo zasadniczo, a ja byłam zbyt zajęta, by zgadnąć, co się za tym kryje. Więc NEB była gotowa sprzedać całość Friernowi, tak? Ale nie sądzę, żeby to - stuknęła w gazetę - był Peter. Naprawdę, ostrzegłam go, że ma robić to, co NEB każe, a on jest bardzo subordynowany. Powinnam do niego zadzwonić; może być pod presją. Szukał mnie, Susie? - Zamarła z ręką na słuchawce. - Chyba masz inne zajęcia, Michael?

- To prawda. Pomyślałem tylko, że przydałaby ci się jakaś pomoc. Domyślam się, że będą telefony z innych redakcji.

- No cóż, nie udzielamy komentarzy, prawda?

- Nie, a jeśli już, ja to zrobię.



- Jestem pewna, że lepiej ode mnie - powiedziała uprzejmie Caroline i Mark Dwyer przymknął na moment oczy.

- Dziękuję, Caroline. Daj mi znać.

Pozostawiona sam na sam z Markiem, Caroline przyłapała się na tym, że unika jego spojrzenia.

- To nie byli oni, jestem pewna - powiedziała wbijając oczy w bibularz. Podniosła wzrok. - Ani ja. - Wróciła do artykułu. - To definitywnie załatwia ten niezwykle genialny pomysł NEB, no nie?

- Tak mi się wydaje. Artykuł jest bardzo krytyczny.

- Mhm. Zostań tu, porozmawiam z Prior.

Gdy się połączyła, byli zdezorientowani, uniesieni i całkowicie przekonani, że to ona rozmawiała z „FT”.

- Nigdy nie naraziłabym was na takie ryzyko - zaprotestowała.

- A teraz jesteście zagrożeni, bo NEB pewnie pomyśli, że to wy. Powiecie po prostu, że to ktoś inny.

- Już to zrobiliśmy. Są wściekli, ale nic nam nie mogą zrobić.

- To odezwał się sprytny Martin, który zorientował się, jakie będą skutki artykułu. - Nawet gdyby myśleli, że to my, nie mogą nas wyrzucić. Pomyśl, co „FT” by napisał.

- O, tak - rzekła powoli. - Tak, to prawda, jesteście bezpieczni.

- Caroline. - Peter był wyraźnie zjeżony. - To nie byliśmy my. Podobna niesubordynacja jest nie w naszym stylu.

Zdumiała ją, jak śmiertelnie nudnie, drętwo i oschle może wypaść całkiem rozsądna ocena moralna. Zupełnie jakby wyszła z ust Sholto głoszącego literę prawa.

- Nie myślałam, że to wy - powiedziała szczerze, zastanawiając się, kiedy jej ukochany Gerry znalazł w sobotę czas na rozmowę z „FT” i całkowicie zmaćcił plany politycznego rywala. No cóż, jemu też nie powiedziałam - klóciła się sama ze sobą, niezupełnie przekonana o swej racji - jedynie odpowiadając na pytanie wspomniałam, że jest problem, i Gerry już dowiedział się reszty. To chodziło o jego wyborców - wyjaśniła głosowi, który słyszała w głowie - gdyby tylko stał z boku i obgryzał paznokcie

albo zachowywał się tak godnie jak Prior, to chłopaki mogłyby w końcu wylądować na liście płac Frierna.

Pożegnała kierownictwo Prior. Zauważyła, że Peter jest nadal urażony, że ktoś może powątpiewać w jego uczciwość albo brak subordynacji. Niech mnie Bóg zachowa, żebym jeszcze miała pracować z klanem Henriquesa - pomyślała gniewnie i wygoniła z gabinetu Marka, obładowując go stosem dokumentów.

Na szczęście pertraktacje Monteki/Kapulet utknęły podczas weekendu w martwym punkcie. Konkretnie szło o skład zarządu połączonego przedsiębiorstwa. Była to zwykła kwestia wyboru między siedemnastoosobowym zarządem, co nie budziło żadnych uraz i gruntownie uniemożliwiało kierowanie przedsiębiorstwem, a zarządem ośmioosobowym, co pozwalało skutecznie działać dla dobra firmy i wywoływało wiele złej krwi. Caroline, zwolenniczka natychmiastowego przecinania wszelkich narzmiących wrzodów, doradziła klientowi, aby optował za małym, funkcjonalnym zarządem, a wynikiłe spory zostawił prawnikom, pozwalając kierownictwu kierować. Ta rada, wsparta przez Montekia, okazała się zbyt trudna do przyjęcia dla reszty i weekend zajęły coraz bardziej gorączkowe narady z poszczególnymi dyrektorami, z których żadna nie posunęła fuzji do przodu. Cały poniedziałek był przewidziany na Montekia/Kapuleta i ponieważ jedyna narada została przesunięta na czwartą po południu, Caroline wyjątkowo nie miała wiele do roboty. Mogła więc rozmyślać o ostatnich wydarzeniach związanych z Prior. I o mężczyźnie, który był ich istotną sprężyną.

Przejrzała zgłoszenia telefoniczne, zatrzymała się dłużej przy nazwisku Hamisha Browna, ale zgodnie z tym, czego się spodziewała, nie było nic od Gerry'ego. Powiedział, że zadzwoni we wtorek. Brakowało jej śmiałości, by samej zrobić to wcześniej. Zresztą, co mogła mu powiedzieć? Zrezygnowała z zamiaru, czując się niewyraźnie, poprosiła o kawę, pogrzebała w pismach przychodzących i na próżno wymawiała się od nie zasłużonych, pełnych szacunku gratulacji Hamisha Browna, głęboko przekonanego, że jej imperium obejmuje „Financial Times”; zgodnie z instrukcją skierowała dociekliwego reportera „Evening

Standard” do Michaela Appletona. Miała jeszcze godzinę do lunchu i dłużej nie mogła już unikać myślenia o Gerrym.

Wyteśkniony weekend skończył się źle, ponieważ w niedzielne popołudnie, gdy już Gerry podwiózł ją ostrożnie na róg ulicy i ucałował szybko i ostrożnie, oładnęła nią samotność. Caroline, nie spiesząc się, poszła do domu i przejęła opiekę nad dziećmi, ale Cas, niech go Bóg błogosławi, został i podał wszystkim podwieczorek, ułatwiając jej powrót na rodzinne łono. Ale chciała mieć Gerry'ego - nie swoje dzieci. W dodatku wyobraziła sobie, że coś strasznego, ale bliżej nie określonego spotkało jego żonę. Kiedy Cas poszedł, dzieciaki rozrabiały, wyczuwając jej nastrój, i niedzielny wieczór wypełniły spory, po których ogarnęła ją bezsilność, złość i poczucie głębokiego zakłamania, bo była świadoma, że zaniedbuje dzieci. I była bardzo zła na Gerry'ego, który nigdy niczego nie obiecał, który kochał ją, ale wydzielił jej bardzo ograniczoną część swojego życia i nie zostawił nawet kawałka pola do negocjacji. Dostała tyle, ile było w ofercie.

Muszę się poddać - pomyślała - ta cała sprawa to Nie Ja; to nie nasza gwiazda, matka trojga dzieci, nie-mam-pojęcia-jak-ona-sobie-z-tym-wszystkim-radzi - Caroline Whitehouse. Ben byłby przerażony - stwierdziła z goryczą.

Nie mogąc znaleźć sobie miejsca, rozejrzała się za czymś, za czymkolwiek do pracy, i przeczytała po raz drugi artykuł w „FT”, podziwiając wyważone sformułowania. Widziała za nimi Gerry'ego tak wyraźnie, jakby on je pisał. Nie dał jej żadnego sygnału, co było rozsądne, bo nie powodowało kłopotliwych sytuacji, ale i trochę odpychające, biorąc pod uwagę intymność, w jakiej spędzili czas. Po sobotniej kolacji obejrzel późne wiadomości, bezpiecznie spleceni na kanapie; zadzwonili do domów i poszli do łóżka. Spali głęboko przez trzy godziny, a gdy się zbudziła, Gerry leżał przytulony, niezbyt jeszcze rozbudzony, ale trzymał dłonie na jej piersiach i członek miał twardy. Przesunęła się i otworzył oczy.

- Teraz ty decyduj. Podoba ci się w ten sposób?

- Z tobą każdy sposób mi się podoba.  
- To nie całkiem prawda - powiedział rozbawiony, gładząc ją po plecach.

- Potem naprawdę mi się podobało.

Odwróciła głowę, żeby go pocałować, podciągnęła kolana umożliwiając mu wejście. Rozluźniona snem poczuła natychmiastową rozkosz, gdy znalazł się w niej trzymając za biodra, i prawie natychmiast miała orgazm, krzyczała z rozkoszy i poczuła, że on przeżywa to samo.

- Ach, cudownie - powiedział tuląc się do jej pleców. - Jasna cholera - dodał po chwili - wylatuje.

Siadł i przetoczyła się. Patrzyła na niego, kiedy schłodnie zdejmował prezerwatywę. Zawsze, zawsze ją wkładał; wiedział, że Caroline bierze pigułki antykoncepcyjne i że on jest jedyną osobą, z którą sypia, ale to była kolejna z jego niewzruszonych zasad - trzeźwy, służący ochronie obojga, fundamentalny znak świadczący, że romans ma się toczyć w wyznaczonych granicach. Gerry nie przyjmował do wiadomości najmniejszego nawet ryzyka i komplikacji.

Spojrzała na swoje ręce, zaciśnięte w pięści na bibularzu. Rozluźniła je, wyprostowała plecy. Zadzwonil telefon i z ulgą złapała słuchawkę. Dzisiejsi goście na lunch przybyli - czy wejdzie na górę?

Wyobraźmy sobie, że nie miałabym nic innego do roboty, tylko tęsknić za Gerrym - pomyślała chłodno, przeczesując włosy. To jest nie do zniesienia; doprowadzi mnie do załamania.

I wtedy nagle i ostro przypomniała sobie jego profil, kiedy siedział obok przy kuchennym stole, przeglądał niedzielne gazety trzymając ją za rękę, i zrozumiała, że w żaden sposób nie może się z nim rozstać. Świat się zmieniał, gdy tylko Gerry był obok; dzień miał inną barwę. Nijak nie potrafiła się zdobyć na rezygnację z tej niespokojnej, olśniewającej energii i dotyku jego dłoni na swoich dłoniach. Wciągnęła oddech, pocieszając się, że zaakceptowała fakt, iż jest w pułapce i nie ma drogi ucieczki.

O Panie, niech ona jeszcze nie otworzy się przede mną - potwórzyła w myślach słowa świętego Augustyna i poszła na górę, pokonując po dwa stopnie, zamiast wsiąść do windy, jak przystało współnikowi.

**T**o chyba najdłuższy poniedziałek mojego życia - pomyślał ze znużeniem Clive Fieldman, chociaż była dopiero siódma wieczór. Wersja głosząca, że NEB najzwyczajniej w świecie po gospodarstwu przygotowuje sprzedaż przedsiębiorstw, została obroniona i Winstanley przetrzymał nieprzyjemne dziesięć minut w Izbie. I jeszcze bardziej nieprzyjemne dziesięć minut rozmowy z rozwścieczonym sekretarzem stanu wydzwanianym z Nowego Jorku. Ministrowie ze środowiska ewidentnie zjechali kilka punktów w dół, chociaż opozycja i tak nie wykorzystała wszystkich możliwości. Laburzystowski poseł, w którego okręgu miał siedzibę Davecat, dał się zwieść na boczny tor, przeprowadzając długi i źle przyjęty wywód poświęcony konieczności przejęcia przez państwo jeszcze większej liczby przedsiębiorstw. Na tle tej przemowy i dziwnie defensywnego wystąpienia Winstanleya poseł z okręgu sąsiadującego z Prior, Gerry Willshaw, wypadł szczególnie dobrze; odpytywany przez dziennikarzy telewizyjnych zaraz po Winstanleyu, zaprezentował znakomitą formę, pochwalił szybkość działania NEB i stwierdził, że jego wyborcy, z których wielu to pracownicy Prior, z nadzieją wypatrują bezpiecznej przyszłości dla siebie i tego znakomitego przedsiębiorstwa, które absolutnie winno się znaleźć w sektorze prywatnym. „Bardzo pomocne” - wymamrotał Winstanley przez zaciśnięte zęby, patrząc na Willshawa z otwartą niechęcią, i służba cywilna taktownie wycofała się jak najszybciej, gdy tylko ten temat został wyczerpany. Clive i James Mather doszli do wspólnego wniosku, że minister transportu wypadł jak zwykle dobrze i że znakomicie zasignalizował poparcie dla wykupu pracowniczego, nie mówiąc słówka, które mogłoby zaszkodzić przyciskanej mocno NEB.

Spojrzał ze znużeniem na telefon. Tęsknił za spotkaniem z

Lucy...właściwie, powiedzmy szczerze, tęsknił za spokojną kolarcją i pójściem do łóżka z Lucy, ale nie za cenę dyskusowania wydarzeń dnia. Poza tym dopomógł nieco Winstanleyowi podczas przykrych rozmowy z Matthew Friernem, który wreszcie około jedenastej przybył z Dorrington w złym humorze, syjąc propozycjami usprawnienia sieci dróg, w tym wizją sześciopasmowego strumienia betonu, który zmiółłby z powierzchni ziemi kilka prowincjonalnych miasteczek. Za skarby świata nie chciał przyjąć do wiadomości, że jego ustalenia z NEB są odwołane, zaniechane, przekreślone na zawsze. W końcu Winstanley musiał mu powiedzieć wprost, że osobiście nie zamierza podejmować ryzyka kontynuacji negocjowanej sprzedaży całej piątki. Niestrudzony Matthew zaproponował wystawienie wszystkich razem na przetarg i tu również spotkał się z odmową. Winstanley w którymś momencie przedpołudniowej narady zdecydował, że nie podejmie żadnego dalszego ryzyka. Bankierzy stwierdzili - tym razem jednoznacznie odpowiadając na postawione wprost pytanie - że sprzedaż łączna oznacza niższą cenę, co grozi położeniem głowy pod topór. Ani on, ani oni nie palą się do tego.

- Wciąż się tu uczymy, co możemy, a czego nie - rzekł Winstanley w rzadkim u niego, choć bezpłodnym odruchu szczerości. - A właśnie nauczyliśmy się, że wszystko musi być sprzedawane za najlepszą cenę. Matthew, to nie opozycja; to twoi *confreres* spalą nas żywcem, jeśli popełnimy błąd.

Ten godny podziwu, otwarty sąd nie został przyjęty tak dobrze, jak na to zasługiwał, i Clive musiał wymyślić naradę z udziałem Winstanleya, by wypchnąć Matthew z pokoju.

- Zupełnie jak goryl potrzęsający każdym mijanym drzewem - dowcipnie zauważył zafascynowany James, sporządzający notatkę z narady.

- Sądzę, że potrzeba masy czasu, żeby zdobyć w ten sposób choć jeden kokos - odparł rozbawiony przez chwilę Clive, ale to był jedyny pogodny moment dnia. Reszta była nużąca, zniechęcająca i poniżająca, tak że wszyscy zainteresowani zakończyli go wyczerpani i ze świadomością, że nie stanęli na wysokości zadania.

Ale nim to wszystko nastąpiło, Clive i Lucy uzgodnili, że spotkają się wieczorem. Teraz mógł do niej zadzwonić. Matthew chmurny jak burza gradowa oznajmił Winstanleyowi, że odlatuje prosto do Dorrington.

- Kochanie... - Wydawało się, że Lucy jest równie znużona jak Clive. - Bardzo chętnie się z tobą spotkam, ale jeśli mam być absolutnie szczerą, to wolę z tego zrezygnować, jeśli zamierzasz mówić o Prior, NEB, Matthew albo Ministerstwie Środowiska.

- Och, obiecuję, że słówkiem nie pisnę. Zastanawiałem się, jak cię poprosić, żebyś ty o tym nie mówiła. Będę u ciebie za pół godziny.

- Możemy zjeść w mieście? To był taki cholerny dzień, że nic nie kupiłam. Potem byśmy wrócili do mnie.

- Nie ruszaj się. Już jadę.

I stał się cud, Clive dotarł szybko. Wybiegł z ministerstwa i jego oczom ukazała się wolna taksówka. Poczuł, jak serce rośnie mu w piersiach. Przyjechał, lekkim krokiem wbiegł po schodach do mieszkania Friernów i gdy Lucy otworzyła mu drzwi, pochwyił ją w mocny uścisk. Zaskoczona opierała się, ale po chwili uległa; objęci stali w korytarzu, wsłuchani w swoje oddechy.

- Naturalnie, że zabiorę cię na kolację, ale mam pomysł - powiedział całując ją.

- Co to za pomysł?

Szepnął jej do ucha i przygryzła wargę.

- O, tak, zróbmy to.

To jedna z naszych najlepszych zabaw - pomyślał uśmiechając się do siebie, gdy przywiązywał jej dłonie do łóżka. Zanim poznał Lucy, nie potrafił wyobrazić sobie czegoś takiego bez paraliżującego skrępowania.

Zabawa polegała na tym, że Lucy jest niezwykle spragnioną mężczyzny niewolnicą, która dotąd nie miała naprawdę dobrego kochanka. Zwykle łatwo osiągała po tym orgazm. Nie tym razem. Gdy podniósł głowę, przekonał się, że jest spięta i bez humoru.

- Niedobrze? - spytał podciągając się w górę i całując ją w uroczą „solniczkę”.

- Pewnie jestem po prostu zmęczona.

Rozwiązał ręce Lucy, a potem odwrócił ją tak, że znalazła się na nim.

- Tak, może.

Też był zmęczony i gdy poruszała się na nim, zdał sobie sprawę, że nie wytrzyma długo, i szybko zaczął liczyć do tyłu, jak go uczyła, ale to nie pomogło i skończył szybko, nie czując rozkoszy ani ulgi.

- Do diabła. Przepraszam.

- Moja wina - powiedziała smutno.

- Och, kochanie, nie bądź głupiutka. Jestem wykończony.

Po powrocie znowu spróbujemy, nie mogę pozwolić, żebyś szła spać nie pocieszona, kwiatuszku.

Wzięli wspólnie prysznic. Przyjrzał się jej z niepokojem; wyglądała na nieobecna myślami i zmęczoną, chociaż była piękna jak zawsze.

- Ważę coraz więcej - powiedziała ze złością, wchodząc na wagę.

- Za gruby ręcznik? - zasugerował, ale wcale nie była rozbawiona. Westchnął. Uniesienie, które zaprowadziło go tu, opadło. Czuł się wyczerpany i miał lekkie zawroty głowy, zresztą nie wywołane nawet głodem.

Humor poprawił się obojgu przy kolacji w eleganckiej, bardzo drogiej włoskiej restauracyjce, za którą Lucy przepadała. Kivnęła głową różnym znajomym i Clive przyłapał się na tym, że się zastanawia, czy rozsądne jest pokazywanie się tu z żoną Matthew Frierna, i zdecydował, że nie. Zmusił Lucy do szybkiego zakończenia kolacji sugerując kawę w domu. Ustąpiła jedynie z łaski, uznając niechętnie, że odwaga powinna ustąpić dyskrecji. Pili kawę w uciążliwym milczeniu, podczas gdy Clive rozważał, czy zdoła wykrzesać w sobie tyle uniesienia, żeby porwać ją do łóżka, i czy w ogóle stanie na wysokości zadania.

Po takim dniu przydałaby się żona, kot, na którym można by wyładować złość, i wszystkie stereotypowe wygody małżeństwa, a nie naburmuszona kochanka dostępna zaledwie raz w tygodniu - pomyślał ze smutkiem.



- Przepraszam, po prostu miałem zbyt przeładowany dzień - powiedział.

- Ja też - odparła rozluźniając się. - Słuchaj, wiem, że obiecaliśmy sobie nie mówić o Prior, i wcale mi do tego nie spieszo, ale Matt był koszmar. Jest wściekły - rzadko kiedy widuję go w takim nastroju. Wrócił klnąc na czym świat stoi na biednego Johna Winstanleya i na ciebie. Wreszcie udało mi się wbić mu do głowy, że to nie twoja wina, że „FT” się dowiedział. Przecież to musiało być bardzo kłopotliwe dla ministerstwa, prawda?

- Mało powiedziane.

- No cóż, on uważa, że strasznie tchórzycie nie chcąc kontynuować. Będzie się starał o spotkanie z panią premier.

- Ona nie polegnie za tę sprawę.

- No pewnie, nie mam co do tego wątpliwości. I koniec końców Matt pewnie też. I wtedy zaczął używać sobie na kierownictwie Prior. Myśli, że to oni powiedzieli „FT”. Grozi poważnymi konsekwencjami.

Clive wyprostował się.

- Jakimi konsekwencjami?

- Och, kochanie, co to ma za znaczenie? Handlowymi, czy to jasne? Uspokoi się, ale na razie jest nie do zniesienia. Przy okazji powiedziałam mu, że byłam z tobą na drinku; pomyślałam, że tak będzie lepiej. Mam wam dać jasno do zrozumienia, że czuje się zdradzony przez Ministerstwo Środowiska i rząd. I nie ma pojęcia, po co tak szczerze wspomagał fundusz partyjny przez te wszystkie lata.

Clive miał do wyboru - ukryć twarz w dłoniach albo nalać sobie kawę. Zrobił to drugie.

- No cóż, dziękuję za przekazanie tej wieści.

- Przepraszam. Ale rozumiesz? Przeżyłam trzy godziny tej męki, zanim wpakowałam go do samolotu.

Clive rozważał wizję Matthew Frierna rozbijającego się po Dorrington w poszukiwaniu guza.

- No cóż, kochanie, powiedzieliśmy mu. Będzie ogłoszony

przetarg, ale Matt musi zająć bardzo dobrą pozycję na liście ofert, jeśli chce kupić Prior. - Zastanawiał się zmęczony i zły. - No, a co on może zrobić chłopakom z Prior?

- Nie wiem. Ale poświęca temu całą energię; nie mogę z niego wyciągnąć ludzkiego słowa.

Clive, dość bystry, żeby rozpoznać zakamuflowane zaproszenie, nie tracił czasu. Wziął Lucy w ramiona i szepnął jej w ucho namiętnie:

- Obejrzymy dziennik?

Wybuchnęła śmiechem.

- Naprawdę spryciarz z ciebie. Właśnie na to mam ochotę - sięść przed telewizorem. Ale nie chcę wiadomości. Czy ci to przeszkadza? Jest stary Clint Eastwood, obejrzałabym go jeszcze raz. Zrobię kawę.

- Wolałbym herbatę. My, robociarskie chłopaki, nigdyśmy nie przywykli do kawy, wiesz.

- Wiem. A jak się kąpiecie, to nie wyjmujecie węgla z wan-ny. Jaką chcesz herbatę?

- Żeby łyżeczka stała w kubku, dziewczyno, żadnych wymyślnych pachnidel. Pomogę ci zaparzyć. Ty pewnie nawet nie wiesz, jak się za to wziąć. - Z rozczarowaniem zlustrował półki. - No, ja też nie wiem. Tu są tylko fikuśnie opakowane śmieci.

- Jest herbata ekspresowa dla Bridget.

Zaczął się śmiać. Przyłączyła się do niego, kiedy zdała sobie sprawę, co powiedziała.

Stali objęci.

To jest to - pomyślał z ulgą - sięść w przytulnym mieszkanku przed telewizorem, potem fajnie się podupczyć, a po długim śnie w wygodnym łóżku dostać przed wyjściem do pracy porządne śniadanie.

No cóż, jeśli Matthew Friern nie potrafi docenić szczęścia, jakie go spotkało, to może jednak Lucy pewnego dnia zdecyduje się dać szansę jemu, Clive'owi, żeby okazał się lepszym mężem, niż był kiedykolwiek dla Lindy.

## Rozdział piętnasty

To naprawdę bardzo angielskie - pomyślała Caroline powstrzymując nerwowo chichot i skinieniem głowy powitała Matthew i Lucy Friernów oraz Andy'ego Eamesa Lewisa, który siedział obok nich, dwa rzędy przed nią, Peterem Burwoodem, Martinem Williamsem i Grahamem Goughiem. Całkiem naturalne, że po dwóch gorączkowych tygodniach, które minęły od czasu artykułu w „FT”, kontyngent z Friern zdecydował się zająć miejsca na galerii dla publiczności i wysłuchać oświadczenia rządu. Caroline i jej drużyna zjawili się tu w tym samym celu. Zauważyła ruch w głębi Izby, za fotelem przewodniczącego. Włożyła okulary i poznała Clive'a, który siadał w czymś, co zupełnie przypominało kościelną ławkę. To właśnie on jej powiedział, że podczas sesji parlamentu osoby postronne mają wzbroniony wstęp do Izby, ale istnieje konwencja pozwalająca pracownikom służby cywilnej zajmować miejsce za przewodniczącym; formalnie ich tam nie ma, ale obsługa ministrów może odbierać i przekazywać wiadomości, a w wypadku gdy nikt w ławce nie zna odpowiedzi, pracownik służby cywilnej może się niepostrzeżenie wymknąć i wyjaśnić wątpliwości.

Trąciła Petera i szeptem zwróciła mu uwagę na Clive'a, podczas gdy sekretarz stanu do spraw środowiska męczył się udzielając odpowiedzi na ustalone wcześniej pytania, mocno atakowany przez Partię Pracy. Peter był szalenie zaciekawiony i szeroko otwartymi oczami spoglądał na rząd panów w średnim

wieku reprezentujących gabinet Jej Królewskiej Mości. Winstanley siedział obok swojego sekretarza stanu, jego starannie uczesane, gęste blond włosy były żółte w ostrym świetle. Caroline patrzyła na grzebiącego w papierach Winstanleya i zastanawiała się, czy jest zdenerwowany, czy też to dla niego rutynowe zajęcie, a potem zaparło jej dech w piersi, gdy Gerry Willshaw po cichu zasiadł w ławce, dwa miejsca od Winstanleya, kłaniając mu się uprzejmie. Wyciągnął długie nogi, skrzyżował je elegancko w kostkach i wbił wzrok we własne papiery. Rozpostarł długie palce, przytrzymując kartki, i pochylił ciemną głowę. Caroline zastygła, poruszona tym nieoczekiwanym zjawiskiem, a potem szybko przywarła plecami do oparcia krzesła, podczas gdy drużyna z Prior wskazywała jej na różne sposoby, że ten miły człowiek, który zwiedzał ich budowy, jest tam, popatrz! Uśmiechnęła się słabo, potwierdzając otrzymanie informacji, i nadal przyglądała się Gerry'emu, zadowolona, że może na niego choćby popatrzeć, znajdując przyjemność w tym, że później wieczorem spotkają się naprawdę; wcześniej to obiecał, a dwie godziny temu potwierdził. Nie mówili sobie, czym będą się zajmowali w ciągu dnia, i prawdę powiedziawszy, nie była przygotowana na najście kierowniczego tria, które zaraz po spotkaniu z NEB przybyło w stanie wielkiego podniecenia, żądając zabrania do Izby. Po zastanowieniu uznała, że wysłuchanie stanowiska rządu to dobry pomysł. Chłopaki i tak najwyraźniej zniszczą jej porządek dnia, poza tym dzieliła ich zabobonne przekonanie, że powinni być na miejscu w chwili ogłoszenia startu do wyścigu o przedsiębiorstwa. Patrzyła na Gerry'ego przewracającego strony. Siedział zgarbiony i zdała sobie sprawę, że będzie przemawiał później i z tego powodu jest spięty. Nagle przypomniała sobie z poczuciem winy, że dwa tygodnie temu absolutnie zabronił jej pojawiać się w parlamencie, gdy będzie zabierał głos podczas pewnej odroczonej debaty. Szczerze przyznał, że jest wystarczająco zdenerwowany przemawianiem w Izbie i obecność Caroline zupełnie zbije go z tropu. Była rozżalona, bo bardzo chciała go zobaczyć, ale posłuszna. Kiedy Gerry mówi ci, żebyś czegoś nie robiła, to chociażby czynił to z największą łagodnością, jakoś zawsze w końcu się do tego stosujesz - uznała. Ponuro zdecydowała,

że to się chyba nazywa autorytetem. Poprzednio nie uświadamiała sobie, jak użyteczna i uwodzicielska jest ta cecha charakteru - zarówno w polityce, jak i życiu osobistym. Ześliznęła się, najniżej jak mogła, w dół krzesła, na wypadek gdyby podniósł wzrok. Nie zdejmowała okularów licząc, że ją zamaskują. Używała ich tylko w teatrze i samochodzie i Gerry nigdy jej w nich nie widział. Winstanley szykował się do zabrania głosu. Peter i Graham pochylili się do przodu i siedząca w środku Caroline zniknęła za ich plecami. Słuchali z wytężoną uwagą, Peter usiłował robić notatki.

- Będzie jutro w Hansardzie \*, słowo w słowo - powiedziała mu cicho zza pleców. Wiedziała o tym od Clive'a. - Nie zwracajcie sobie głosu, bawcie się.

\* Hansard - oficjalny zapis przebiegu sesji brytyjskiego parlamentu.

Kiwnął głową i uspokoił się, podczas gdy Winstanley z namaszczeniem opowiadał o przeszłości i przyszłości pięciu firm budowlanych pozostających pod zarządem NEB i potwierdził, że dwie z nich jako nie rokujące nadziei będą niebawem zamknięte. Rzecz jasna, wszyscy wierzyciele zostaną w całości spłaceni. Mówił następnie, że NEB otrzymała już raporty wymagane przez rząd. Trzy pozostałe przedsiębiorstwa bezzwłocznie powrócą w bezpieczne ręce właścicieli prywatnych i uwolnione z krępujących więzów własności państwowej będą się rozwijać i prosperować. Aby nastąpiło to jak najszybciej, wystawi się je na oddzielne przetargi. Nie zwracając najmniejszej uwagi na stękania laburzystów, minister wyraził przekonanie, iż każdy z szanownych posłów życzy przedsiębiorstwom wszelkiego powodzenia.

Dobra robota - pomyślała z uznaniem Caroline odwróciwszy uwagę od Gerry'ego Willshawa - pięknie przygotowana.

Winstanley stał nadal, podczas gdy przedstawiciel opozycji uniósł się ciężko i zapytał, dlaczego rząd zamyka przedwcześnie dwa dobre przedsiębiorstwa (nie miał w ręku bilansu Davecata - pomyślała z naganą Caroline) i dlaczego tak pospiesznie sprzedaje firmy, które dopiero co zostały postawione na nogi. Czy

rząd zawiera prywatną umowę ze swoimi przyjaciółmi? Caroline z miłością i ciekawością przyglądała się Gerry'emu, ale trzymała głowę opuszczoną, stwarzając wrażenie, że nawet nie przyśluchoje się temu, co się dzieje dwa miejsca dalej, gdzie Winstanley fachowo powtarzał fragmenty oświadczenia wiążące się z pytaniami. Inny mężczyzna, siedzący za Winstanleyem, po prawej, wstał i uważnie odczytał z kartki:

- Czy pan minister potwierdza, że sprzedaż zostanie przeprowadzona w taki sposób, by zapewnić kierownictwu i pracownikom Prior Systems - których wysiłkom złożył pan hołd w oświadczeniu – pełną szansę w staraniach o przedsiębiorstwo?

Caroline wyprostowała się jak struna, a potem szybko opadła na krzesło. Dyrektorzy z Prior odwrócili się i spojrzeli na nią pytająco. Uśmiechnęła się do nich jak sfinks, gdy tymczasem Winstanley zapewniał wszystkich obecnych, że kierownictwo i pracownicy każdego przedsiębiorstwa będą mieli równe szanse w przetargach. Dodatkowe pytanie ze strony opozycji umożliwiło mu powtórzenie tego raz jeszcze wraz z uwagą o poszerzeniu akcjonariatu. Ona tymczasem wpatrywała się w Gerry'ego, zafascynowana, pochlebiona i urzeczona. Nie mówiąc jej nic o tym, umiejętnie przetał drogę kierownictwu, zrobił coś, co dla niej samej było nie do przeskoczenia. Nigdy czegoś takiego nie znalazła - bez żadnych ustaleń zajęto się częścią jej życia. Z Benem łączyło ją autentyczne partnerstwo, bolesny proces podejmowania decyzji był dzielony, ciężar obowiązków - równo rozłożony. Podczas czternastu lat małżeństwa żadne z nich nie przedsięwzięło poważnego kroku, nie skonsultowawszy się z drugą stroną, i ich efektywny, oparty na miłości związek, był Pozbawiony niespodzianek. Pomyślała, że przyzwyczajenie do przyjmowania poleceń i wyręczanie się kimś innym może wejść w nałóg. Uśmiechnęła się ciepło do Petera i Martina, którzy szeptem złożyli jej gratulacje i zwrócili uwagę, że w Izbie dzieje się coś nowego związanego z ich sprawami.

- Czy pan minister potwierdza, że rozpatrując oferty pod adresem Prior lub innych przedsiębiorstw, zapewni się w pełni

zysk podatnikom, którzy zainwestowali znaczne sumy w te przedsiębiorstwa? - Pytanie to zadał pięćdziesięcioletni osobnik o krwistej twarzy, zajmujący miejsce po rządowej stronie parlamentu, i drużyna z Prior jak jeden mąż wbiła w niego nieprzychylnie spojrzenia.

- Jak zaznaczyłem w oświadczeniu, zysk podatnika będzie jednym z głównych kryteriów selekcji nabywcy.

W sumie i tak jeden-zero dla nas - pomyślała z uniesieniem Caroline. Potwierdzono publicznie, że kierownictwo jest mile widziane w przetargu; teraz trzeba ściągnąć Hamisha Browna. Kierownictwo pokaże mu wszystkie dane i obliczy, ile naprawdę przedsiębiorstwo może zarobić, jeśli rozkręci się na całego.

Wyglądało to na koniec dyskusji w tej sprawie i trąciła Petera na znak, że mogą iść, ale w tej chwili Gerry zaczął przesuwać się do mównicy. Pokusa usłyszenia go w Izbie była zbyt silna i szepnęła Peterowi, że tylko chce posłuchać mowy otwierającej następny punkt obrad. Ma to związek z innym klientem - dodała bałamutnie.

- To on załatwił nam to pytanie, no nie? - Nie kto inny, tylko oczywiście Martin, kochający mąż i troskliwy ojciec, dla którego ludzkie postępowanie nie kryło tajemnic, zdał sobie z tego sprawę.

- Tak - odparła śmiało. - Był na tyle uprzejmy, że zgłosił się z pomocą.

- Znakomita robota - pochwalił Martin niczego nie podejrzewając.

- To zgodne z jego planami - powiedziała cicho.

To była prawda; kochała go i na pewno on ją kochał, ale był utalentowanym politykiem, który zaszedł wysoko i mierzył jeszcze wyżej. Przypatrywała mu się, głęboko pogrążona w myślach; rozpoczął debatę nad finansowaniem British Rail i Izba powoli się wypełniała; najwyraźniej był to ważny problem, ale Gerry nie powiedział, że się nim zajmuje. Zapewne żonie też o tym nie wspominał; robił swoje, co było dla niego równie oczywiste jak męski trud i kobiece łyzy, chociaż jedna z jego kobiet była doświadczonego radcą prawnym. Mówił spokojnie, z wycuciem, wciągając słuchaczy, ale brakowało mu pełnego luzu, wyteżał naturalnie dźwięczny głos i napięcie strun głosowych udzieliło

się Caroline. I nie cierpiał, kiedy mu przerywano; szydercze komentarze z drugiej strony Izby wybijały go z rytmu i denerwowały. No cóż, wtręty były nieprzyjemne, lecz tu uznawane za rzecz najnormalniejszą w świecie i można by się po nim spodziewać, że puści je mimo uszu. Oczywiście, to dawała o sobie znać niekorzystna strona wojskowego uryłu. Tradycja przerywania dowódcy, gdy mówił o szansie ataku, jakoś się w armii nie przyjęła. Potrzebuje obycia - pomyślała profesjonalnie. Jak wszyscy nowocześni prawnicy została nauczona, że przemawiając należy mniej czy bardziej dyskretnie zachwalać usługi własnej firmy. Powtarza te same gesty i intonacje - pomyślała zawiadziona, ale przecież prezentuje się tak cudownie, więc czy to ma jakieś znaczenie? I oczywiście po tym, jak ujrzała go w migawce telewizyjnej, gdy przemawiał na rzecz Partii Konserwatywnej, zdawał sobie sprawę, że najlepiej wypadł walcząc o ideę; miał znacznie mniejsze pole do popisu analizując przepis regulujący restrukturyzację bilansu British Rail.

- Nie, nie ustąpię - powiedział chrapliwym, wysilonym głosem i po chwili skończył z wyraźną ulgą fachową mowę. Siadając zerknął w kierunku ławki służby cywilnej. Clive i jego koledzy znikli i zostali zastąpieni przez kolegów niewątpliwie należących do ministerstwa Gerry'ego. Sprawdziła jeszcze, czy nie zabierze powtórnie głosu, i trąciła łokciem Martina, dając znak do wyjścia. Szła skulona, wręcz przykucnięta, by w razie czego Gerry nie mógł jej zobaczyć.

- Ruszajcie się, drodzy panowie - popędziła ich krótko, kiedy mrugając wyszli na światło dzienne i znaleźli się obok długiej, przestępującej z nogi na nogę kolejki do wejścia. - Hamish spodziewa się nas w ciągu kwadransa. Możemy jechać? Graham, masz dane?

Graham potwierdził, że z pełnym błogosławieństwem NEB ma najważniejsze informacje, które zostaną rozesłane innym ewentualnym kupującym.

- Wszystko jest w wozie - wyjaśnił, gdy spojrziała pytająco na jego puste ręce. - Tam, czeka na nas.

Zajęli miejsca w samochodzie, usadzając Caroline pośrodku z



tyłu i z bezceremonialnością, którą rodzi przyjaźń, cisnęła jej na kolana płaszcze i teczki.

Tu się sprawdzam - pozwoliła sobie na chwilę refleksji - może nie sprawdzam się w szukaniu następnego męża, ale potrafię wejść w męskie towarzystwo i stać się jednym z paczki szybciej niż jakikolwiek znany mi kolega prawnik. Dałoby się to chyba nazwać umiejętnością nawiązywania braterskich kontaktów. A teraz siedźmy cicho, podczas gdy ci faceci spróbują swoich kłów na innej grupie moich zawodowych braci.

Samochód ruszył od krawężnika. Caroline, zaalarmowana jakimś szóstym zmysłem, obejrzała się i zobaczyła kontyngent z firmy Friern czekający na swój samochód.

**A**ndy Eames Lewis opadł na siedzenie Rolls-Royce'a Frierna, obok Lucy, która miała po swojej drugiej stronie Matthew. Rolls, na pierwszy rzut oka nieco zbyt ostentacyjny środek transportu dla przewodniczącego rady nadzorczej, okazał się znacznie bardziej odpowiedni, gdy całe sześć stóp cztery cale i dwieście dziesięć funtów Matthew znalazły się w śroaku; wtedy wydało się, iż duży samochód ma całkiem zwyczajne rozmiary.

- Wyszliśmy cię, Lucy - powiedział Matt tonem nie dopuszczającym dyskusji, ale była na to przygotowana.

- Przy sklepie Harvey Nichols, proszę, kochanie - oświadczyła pogodnie i odwróciła się do Andy'ego pytając o dzieci, podczas gdy mąż ciężko nachylił się do szybki oddzielającej pasażerów od kierowcy i polecił mu zawrócić.

- Do widzenia, kochani - rzekła grzecznie po dwudziestu minutach, gdy kierowca przedzierał się przez dwa pasma ruchu, by wysadzić ją dokładnie tam, gdzie chciała, a potem zmagął się z dużym samochodem zawracając do londyńskiego biura Frierna.

- Wejdz na chwilę - mam ci kilka rzeczy do powiedzenia.

Andy szedł potulnie, powstrzymując się od jakichkolwiek uwag o pracy czekającej go w biurze, i usiłował stworzyć wrażenie

człowieka, który nie ma nic innego do roboty, jak zajmować się swoim klientem. Matthew wrzasnął do sekretarki, by zrobiła herbatę, i szczelnie zamknął za nią drzwi, kiedy wyszła zostawiając tackę.

- Dziękuję za przedstawienie Edwardsowi - rzucił opryskliwe i Andy musiał postawić filiżankę na stoliku.
- Mam nadzieję, że się przydał.
- Stara się jak może. Jak do tej pory niczego nie znalazł, ale to początek.

Andy usiłował przybrać wyraz twarzy łączący uprzejmie zadowolenie z absolutną niechęcią do wysłuchiwanie dalszych szczegółów.

- Żaden z tych trzech najważniejszych gości w Prior nie ma kochanki ani żadnych podejrzanych rachunków bankowych - przynajmniej niczego takiego do tej pory nie znaleźliśmy. Ludzie Edwardsa zarzucają sieci trochę szerzej.

Andy mieszał wytrwale cukier, ale wreszcie po chwili musiał podnieść głowę i z ulgą się przekonał, że jego klient wpatruje się w okno.

- Wiem, że to Burwood jest autorem przecieku do „FT” - powiedział nie odwracając się. - Zapłaci za to, cholerny tupeciarz.

Przez ostatnie dwa tygodnie ten teren został przeryty jak pole bitwy podczas pierwszej wojny światowej - pomyślał znużony Andy - i tym razem mój komentarz na pewno jest zbyt techniczny.

Matthew odwrócił się, popatrzył na niego i Andy jednak poczuł się zmuszony zabrać głos.

- No cóż, Matt, to oczywiście możliwe, ale nigdy nie zdołamy tego dowieść. A jak wiesz, jest najbardziej prawdopodobne, że to robota kogoś z Londynu.

- Kogoś ze służby cywilnej, komu nie odpowiada ta polityka. Fieldman wyglądał dziś na bardzo zadowolonego z siebie - widziałeś go, no nie? W ławce.

Andy, który wcale nie zauważył Clive'a, przytaknął zastanawiając się, czy kiedykolwiek uda mu się stąd wyrwać, ale ku jego uldze Matthew zmienił temat.

- No cóż, jedno mogę ci powiedzieć - oni nie dostaną tej firmy. My ją będziemy mieli. - Obszedł biurko zatrzymując się, żeby poprawić kalendarz i popielniczkę. - Zaczniemy od tego, że bardzo długo poczekać na rozpoczęcie negocjacji tych starych umów. To kłoda pod nogi kierownictwa. Nie będzie miało gotówki, żeby wejść do gry. Żywa forsa jest dla niego dużo ważniejsza niż dla nas. Nasze pożyczki są na tak niski procent, że żaden bank nie będzie się martwił, jeśli będziemy musieli trochę przepłacić.

To prawda - z wolna doszedł do wniosku Andy. Pociuszające, że klient jest tak przekonany, iż te dodatkowe osiem milionów nie wpadnie do kieszeni Prior, przynajmniej do czasu, gdy jest ono zarządzane przez obecne kierownictwo. Oby tylko Matthew miał rację.

- I nie dostaną następnych kontraktów na Marsh Lane. - Tym razem Matthew przemawiał do blatu biurka grzebiąc po szufladach. Wyciągnął papierosy. - A to spory kęs - muszą go mieć albo za dwa lata zrobi im się cholernie duża dziura w księdze zamówień.

- Nadal jesteś pewien, że twoja firma dostanie to zamówienie? - spytał ostrożnie Andy.

- Tak. - Matthew zaciągnął się papierosem. Zaciął usta i wchłonął dym głęboko w płuca. - Tak. Dostanie. I to przed zgłoszeniem ofert na Prior.

Andy wlepił wzrok w filiżankę. Zdecydowanie zaniechał wszelkich ewentualnych pytań, skąd klient czerpie taką pewnością, że wygra ten kontrakt.

Lepiej się za bardzo nie dopytywać - powiedział sobie. Friern działa na tym terenie od dawna.

- A te sukinsyny z Prior pewnie będą trąbić o swoich prognozach. Skichają się, kiedy będą starały się wytłumaczyć, jak zrównoważą koszty handlowe w drugim i trzecim roku prognoz.

- Matthew ogarniała coraz większa pasja i Andy pospiesznie zadał neutralne pytanie.

- Ile warte jest Marsh Lane?

- Dwieście milionów funtów rozłożone na dwa i pół roku.

- Tak, rozumiem.

To było dwadzieścia pięć procent rocznych obrotów Prior i jeśli firma nie dostanie tego zamówienia, zapowiadała się naprawdę bardzo nieprzyjemna dziura w jej prognozach. Prior nie osiągnie wielkiego dochodu, a już na pewno nie zdoła unieść ciężaru spłaty odsetek, jakie obciążą zespół dokonujący przejęcia.

Matthew całym sobą wskazywał gotowość do udzielenia wyjaśnień i Andy z pośpiechem zatamował ten potok słów.

- Zastanawiam się, czy Caroline Whitehouse nie miała czegoś wspólnego z tym artykułem w „FT” - rzucił na próbę, mając nadzieję, że choćby na chwilę odwróci uwagę Matthew i z ulgą obserwował, jak ten daje się sprowadzić na inny tor.

- Jest prawniczką - rzekł z namysłem. - Nie wystawiałaby klienta na ryzyko.

- Mogłaby to zrobić dla dobra transakcji - powiedział bez wielkiego przekonania Andy, choć szczęśliwy, że udaje mu się kontynuować temat.

- Warto się nad tym zastanowić, no nie? - Matthew zgarbił się. Jego oczy, pozornie skupione na gałce od drzwi, wyrażały koncentrację. - Na pewno zna ludzi w „FT”.

Andy zgodził się z nim, zachwycony, że tak skutecznie odwrócił uwagę Matthew od poprzednich spraw, i spojrzał nieco ostentacyjnie na zegarek - na tyle, by było to widoczne.

- Matt, przepraszam, ale muszę wracać.

- Jasna sprawa.

Z ulgą zdał sobie sprawę, że Matthew przestał się nim interesować, i w ciągu pięciu minut udało mu się wyjść z biura i znaleźć się w taksówce.

**T**ymczasem spotkanie w banku Martins zaczęło się źle. Hamish Brown miał utrudniony przejazd z lotniska i zanim lekko zdyszany wpadł, by zabrać ich z poczekalni, poirytowany Peter Burwood postukiwał w obudowę okna, podczas gdy Martin Williams głośno spekulował nad przeciętnymi kosztami położenia parkietu. Graham Gough, jak wypadało głównemu

księgowemu, był pogrążony w rozliczeniach z bankiem i w chwili, w której Hamish otworzył drzwi, zauważył zszokowany, że co najmniej sześciu dyrektorów banku zarabia ponad sto tysięcy funtów rocznie, dwa razy więcej niż osiągał którykolwiek z dyrektorów Prior Systems.

- E, no, tyle to wyciągają chłopaczki z działu spółek, nie pracownicy faceci z kapitału inwestycyjnego - powiedział nie przejęty tym Hamish, rzucając ostre spojrzenie Caroline, która wpatrywała się w przestrzeń nie marnując niepotrzebnie energii.

- Oczywiście dla Hamisha jest jasne, że wasze pensje zostały sztucznie zaniżone, gdy przedsiębiorstwo było w rękach państwa - wyjaśniła swoim klientom, błyskawicznie wracając do rzeczywistości.

Wstała i ruszyła za gospodarzem do sali konferencyjnej. Usiadła zdecydowanie w środku, między Peterem i Martinem. Graham siedział nadal obok Petera.

- W porządku, Hamish. Kierownictwo ma obecnie formalną zgodę NEB na przekazanie ci bilansu z ostatniego roku, nie zweryfikowanego przez audytorów, bilansu kierownictwa z tego kwartału i prognoz na cały ten rok i następne trzy lata. Mówię jasno, że NEB i jej doradcy również widzieli te prognozy, podobnie jak Ministerstwo Środowiska i jego doradcy. Więc zaczynamy z tego samego punktu.

Skinęła głową Grahamowi, który przesunął trzy oprawione kopie po stole. Hamish przekazał dwie podwładnym siedzącym u jego boków i skoncentrował się na swojej. Liczby mówiły mu więcej niż słowa i wiedział, że szybciej pojmie istotę działania przedsiębiorstwa niż młodzi, wyuczeni w City księgowi.

- Zarobicie dwadzieścia milionów gotówką podczas następných trzech lat, zgadza się?

Młodzieniec, który nadal wpatrywał się w krzywą dochodu, zdziwił się, ale Graham miał gotową odpowiedź.

- Zgadza się. I może być jeszcze trochę nadwyżki.

- Dobra. - Hamish poderwał głowę i spojrzał na Petera. - Skąd?

Peter wyglądał na zdezorientowanego i Caroline westchnęła. Kłopot z drogiem Peterem polegał na tym, że lubił działać po swojemu. Poza tym był zły na Hamisha z powodu spóźnienia i nieszczęśliwy, że kierownictwo narady wymyka mu się z rąk.

- Hamish, może byłoby warto poprosić Petera i Grahama, żeby zarysowali nam tło tych prognoz. - Spojrzała groźnie na Hamisha, który nie ukrywał zniecierpliwienia tą zwłoką, jednak niechętnie ustąpił.

Posłała mu szybki pocieszający uśmiech i siadła wygodniej, rozważając kolejne etapy podróży do domu i wyjazdu na randkę z Gerrym, którą miała o ósmej piętnaście u niego. Zdecydowała, że nie musi myć głowy, ale musi znaleźć zestaw gier dla Susanah, przypomnieć Francisowi, że zostawił w szkole „korki”, i powiedzieć gosposi, że w tym tygodniu pranie poszło dzień wcześniej. Wróciła do rzeczywistości w samą porę - Peter kończył wyjaśniając Hamishowi, że tajemnica powodzenia leży w zaangażowaniu pracowników i stworzeniu im motywacji na każdym szczeblu, co bankiera absolutnie nie interesowało.

- I naturalnie dzięki wysiłkom Petera wszyscy robotnicy mają pojęcie, jak ważne jest ścisłe liczenie się z groszem - powiedziała po pauzie.

Hamish z wdzięcznością uchwycił się tego podsuniętego mu non sequitur.

- Peter, nie musisz mi mówić, że pożyczkę i odsetki spłaca się gotówką i że przy transakcji dźwigniowej \* to się najbardziej liczy. Więc wszystkie wieści, jakie przyniesiesz nam z tego frontu, będą przydatne.

Polegającej na zapożyczeniu się pod zastaw własnych akcji co pozwala nie wyzbywać się kapitału akcyjnego.

Rozłożył szeroko ręce. Słuchacze przypatrywali mu się z namysłem.

Graham chciał zabrać głos, ale zerknął na Petera i zdecydował się siedzieć cicho.

Spodziewaliśmy się dobrych wiadomości pod koniec tego tygodnia, to znaczy liczyliśmy na pieniądze, jakie się nam należą w wyniku renegocjacji kontraktów. Zebranie komisji w tej sprawie zostało odroczone, więc jeszcze nic nie mamy na pewno. Ale

wiemy, jakie sumy rekomendowano: cztery miliony w tym roku, trzy w następnym i trzy w roku trzecim. W sumie to dziesięć milionów więcej, niż pozwoliliśmy sobie wpisać w tych prognozach.

- Na czysto to jakieś... osiem milionów funtów.
- Osiem sto - potwierdził Graham.
- Ale to jeszcze nie zatwierdzone, no nie? Zebranie komisji odwołano. - Szkocki akcent Hamisha uwydatnił się mocno.
- Przewodniczący komisji budownictwa mieszkaniowego jest chory - powiedziała bez wyrazu Caroline.
- Na co? - spytał Hamish. - Cierpi na nieuleczalne schorzenie - ma nóż pod łopatką?
- Podobno kłopoty z sercem - wyrwał się Graham.
- Można to i tak nazwać. To zawsze przydatna wymówka.
- Cóż to ma za znaczenie - zaprotestował Martin. - To przecież i tak wszystko jedno. Żaden z nas nie może liczyć na te pieniądze.

Hamish wrócił do kontemplacji bilansu.

- To zależy, kto pociąga za sznurki - zauważył. - Jeśli to Friern, to może wycisnąć więcej gotówki niż wy. On już się dobrze orientuje, jak tam wszystko biega. - Sprawdził, czy Caroline zrozumiała aluzję, i nie zdziwił się, widząc kamienną twarz i zaciśnięte w wąską linię usta. - Ten Friern to twój stary kumpel, no nie? - przyjaźnie zadał retoryczne pytanie.
- Nie. Jest żonaty z moją starą kumpelką. Powiesiłby mnie na suchej gałęzi.

Hamish spojrział na dyrektorów. Byli pogrążeni głęboko w myślach.

- Peter, masz jakichś przyjaciół w tej radzie?
- Jednego czy dwóch. - Rumieniec wystąpił na bladą twarz.
- Ale rada zachowuje się nieporządnie. Powinniśmy to napiętnować.
- Jak? - ostro spytała Caroline zaalarmowana tym „nieporządnie”.

- Co mamy zrobić, Peter - poskarżyć się gazetom, że ten Williamson tylko dlatego ma kłopoty z sercem, żeby nam przeszkodzić? Wyjdziemy na idiotów.

Peter wbił w nią spojrzenie.

- Powinniśmy zmusić ich do odbycia tego zebrania.

- Tak - zgodziła się. - To jest cel, któremu podporządkujemy nasze wysiłki. Ale nie będziemy teraz zajmować czasu Hamisha, pomyślimy nad tym później. Co cię jeszcze interesuje, Hamish?

Hamish kiwnął głową w jej kierunku i zajął się analizą prognoz, starannie oceniając podstawowe założenia. Obaj jego podwładni gromadzili stopy notatek. Caroline doszła do wniosku, że drużyna z Prior dobrze się wywiązała z zadania; bardzo starannie przemyślała założenia i nie popełniła błędu zawyżając przyszłe zyski ani nie zlekceważyła możliwości pomyłki. Przyjęła wysokość kredytu o pół punktu niższą niż Hamish, ale dobrze uzasadniła swoje stanowisko. Caroline wiedziała, że Hamish uzna postawę Martina za nadmiernie ostrożną.

- A teraz przyjrzyjmy się tym założenkom stopy zysku w przyszłych umowach - jowialnie zagaił Hamish.

Zesztywniała. Ten wesoły nastrój w połączeniu z „założenkami” to wyraźne oznaki niebezpieczeństwa.

- Zakładamy dwadzieścia procent zysku brutto, bo niżej tej stopy nie podpisujemy umowy - powiedział zdecydowanie Peter.

- Nigdy w świecie?

- Może dawniej. Nie teraz. To dlatego wyłożyliśmy się poprzednio.

- Zgadza się. Zastanawiam się, skąd u waszych poprzedników taki optymizm?

- To był jedyny sposób zdobycia pracy - wyrwał się zaskoczony Martin.

Caroline usiłowała zachować profesjonalnie obojętny wyraz twarzy. To zawsze był śliski temat i już lepiej, że pojawił się teraz niż potem. Siedziała nieporuszona, podczas gdy Martin przejrzał na oczy i zdał sobie sprawę, jaką to pułapkę sam sobie wykopał.

- Co z tymi prognozami, jeśli nie zdobędziecie kontraktów z taką stopą zysku? - Jeden z podwładnych Hamisha wskoczył na ring.

- Potraficie obniżyć koszty stałe?



Na podstawie doświadczenia i konkretnej wiedzy dotyczącej sposobu działania Prior Systems Caroline, wiedziała, że odpowiedź na to pytanie na pewno brzmi „nie”. Problem każdego interesu, który zaczynał się od fabryki, polegał na tym, że tylko wtedy był konkurencyjny, gdy fabryka szła na pełnych obrotach albo prawie. Jeśli nie potrafiłeś obniżyć stopy zysku, to kończyło się tak, że fabryka szła na, powiedzmy, dwie trzecie pary, co niebotycznie zawyżało koszty, bo dalej miałeś na utrzymaniu budynek, maszyny i większość załogi. Trochę łatwiej było na budowach; mogłeś zwolnić robotników - standardowe posunięcie w budownictwie - ale kiedy najlepsi stawali ci się znów potrzebni, to szukałeś wiatru w polu. I budowa też miała koszty stałe - dźwigi, pakamery dla robotników, nadzór.

Caroline czekała bez ruchu, ciekawa, co klient z tym pocznie. Martin i Graham przypatrywali się Peterowi, nie mieli ochoty zaczynać sami.

- Możemy je obniżyć tylko do pewnego poziomu - rzekł chłodno.

- Ale rzecz w tym, że mamy całkiem inną pozycję niż trzy lata temu. Nasz system działa. Możemy zejść dziesięć, piętnaście procent poniżej oferty każdego konkurenta i osiągnąć zysk. I mamy renomę. - Zrobił pauzę i popatrzył na nieustępliwą twarz Hamisha, zwalistą sylwetkę nieruchomą jak kamienny mur. - Budujemy lepiej niż ktokolwiek inny na północnym wschodzie. I to się liczy; ludzie to rozumieją. Nasza oferta jest lepsza - dostajesz budynek, który nie wymaga stałych remontów.

Hamish został nieporuszony.

- Budynki radnego Hugginsa, które nie szarzejają i nie pokrywają się zaciekami, kiedy pada? - podsunęła.

- Zgadza się - przytaknął Peter nie odrywając oczu od Hamisha.

- No. Może. - Hamish zajrzał do notatek. - Ale jakieś... dwadzieścia pięć procent waszego dochodu jest z tego kontraktu z Marsh Lane w drugim, trzecim i czwartym roku prognoz.

- Och, on jest nasz - oświadczył wprost Peter Burwood. - Konstrukcje są dokładnie te same co na budowie w Edgington,

tylko że ta jest cztery razy większa. Wiemy, jak się do tego zabrać; możemy zażądać dwadzieścia procent mniej za to zamówienie niż inni. Jesteśmy spokojni.

Hamish powoli zrobił notatkę. Kierownictwo Prior przyglądało mu się niecierpliwie, a Caroline myślała o Gerrym.

W dwie godziny później narada dobiegła końca i uczestnicy luźną grupą pospieszyli do windy wśród ustaleń, które auto dokąd się udaje.

Caroline, zmęczona dniem, przysunęła się do Hamisha.

- Przyjemnie mieć uczciwego klienta.

- To nie jest uczciwy interes, Caroline, mówiłem ci. Nie z tymi lokalnymi władzami. Musisz załatwić tego Williamsona.

- Miałeś rację. Popracuję nad tym. Ale muszę się stąd wyrwać, bo inaczej tego nie ruszę.

Pocałowała dyrektorów, ale nie Hamisha, gdyż uznawała go za kolegę po fachu, i rozpoczęła trudny wyścig z czasem: pędem do domu, pędem z domu, żeby nie spóźnić się na umówione spotkanie. Okazało się, że jest kłopot z łaciną Timmy'ego. Chłopiec ociągał się i nie chciał skończyć zadania. Zaczęła poganiać syna, co kompletnie zahamowało wszelki postęp.

- Ciągle się teraz gniewasz, mamusiu - powiedziała z naganą piękna Susannah.

Caroline, uderzona tą uwagą, spojrzała na córkę.

- Nonsens - odparła chowając się w skorupę nieczułości. - Timmy się guzdra, ale chyba jest zmęczony. Skończymy to przy kolacji, Tim, dobra? - Pochyliła się, żeby pocałować chłopca. Zagniewany odsunął się. Typowo męska reakcja; potem, żeby zwrócić na siebie uwagę matki, będzie rozrabiał tak długo, aż ta się nim zajmie. Wybaczcie mi wszyscy - pomyślała patrząc na nadąsaną twarzączkę - muszę to zrobić, choćbym miała wzbudzić nie wiem ile niechęci.

Poczuła, jak łzy gniewu i bezradności kręcą się jej w oczach, i uciekła do łazienki. Kolacją dla dzieci zajmie się gospoia. Przyjechała do Gerry'ego tuż po ósmej. Nacisnęła dzwonek i czekając

coraz dłużej, w panice zaczęła się zastanawiać, czy nie pomyliła godziny; wreszcie usłyszała kroki i Gerry stanął w progu.

- Przepraszam, miałem telefon.

Był zmęczony i rozczelstany, ale jak zwykle panował nad sytuacją. Wziął Caroline w ramiona i zamknął drzwi. Z ulgą przytuliła się do niego. Od wspólnej nocy widziała go tylko raz, i to publicznie. Wdychała jego ciepły zapach.

- Tęskniłem za tobą - powiedział urywanym głosem.

- Nie miałeś na to czasu - odparła opryskliwie, tuląc policzek do jego twarzy.

- Nic innego nie robiłem. Narada za naradą myślałem o tobie. Wejdz, wejdz, napij się, a potem pomyślimy, co będziemy robić. Umówiłem się z posłem z opozycji, że nie głosujemy. Jestem wolny.

- Jak ci się to udało?

- Powiedziałem naganiaczowi \*, że muszę mieć wolny wieczór na wyrównanie zaległości w papierach.

\* Oryg, *whip* (dosł. „bat”) - poseł pilnujący dyscypliny partyjnej kolegów.

Zajrzał do lodówki.

- Nie mogłeś mu powiedzieć, że musisz mieć wolny wieczór dla mnie. Jak inni się tłumaczą?

Odstawił butelkę i przyciągnął Caroline do siebie.

- Jacy inni?

- Czy inni posłowie nie mają kobiet, które nie są ich żonami?

- Ależ oczywiście, mają. Tyle że przeważnie sekretarki albo współpracowniczeki.

- Tak zwane współpracowniczeki.

Wzięła drinka. Usiłowała mówić lekkim tonem. Oczywiście Gerry'emu byłoby o wiele łatwiej i mniej ryzykowałby, gdyby pracowała dla niego lub zaliczała się do tego szczególnego klubu noszącego nazwę Izba Gmin. Nagle poczuła ucisk gdzieś głęboko poniżej serca; ich romans napotyka większe przeszkody, niż się spodziewała; będąc osobą z zewnątrz stawiała się bardziej podejrzana.

- Mogłabym uchodzić za doradcę w sprawie nowej ustawy - powiedziała z namysłem, patrząc na jego profil.

- Prawdę mówiąc, to powiedziałem głównemu naganiaczowi. Widział nas, kiedy po raz pierwszy umówiliśmy się na drinka, i spytał, kim jesteś. - Zerknął na nią. - No cóż, jesteś o wiele za piękna, żeby przejść nie zauważona. I oczywiście zaczął się zastanawiać.

- A co by zrobił, gdybyś powiedział, że tak, jestem twoją kochanką?

Jego żywa twarz znieruchomiała na sekundę. Roześmiał się.

- No wiesz, kazałby mi usiąść, postawiłby drinka i zarysował przede mną różowe perspektywy.

- Kazałby ci zerwać. - Choć wołałaby nigdy nie zaczynać tej rozmowy, nie potrafiła się powstrzymać.

- Albo być bardzo, bardzo ostrożnym.

- Przecież jesteś bardzo, bardzo ostrożny, no nie? - powiedziała i opróżniła szklankę akurat w tym momencie, w którym się odwrócił, niecierpliwie szykując sobie następnego drinka.

- Przepraszam. Opowiedz, co robiłaś. Jak się udał lunch? Czy powinienem być zazdrosny o tego Clive'a?

W tym tygodniu była na lunchu z Clive'em. Chciała się tylko upewnić, czy kierownictwo Prior jest przychylnie oceniane przez ministerstwa.

- Było przyjemnie. I nie, nie powinieneś. Ale moja córka się w nim podkochuje.

- Ten śliczny rudzielec. Opowiedz mi o niej.

Gerry był rzadkim przypadkiem wśród mężczyzn; bardzo interesował się tym, co ona miała do powiedzenia. To smutne - raz w życiu całkowicie wystarczyło jej siedzieć i słuchać, obserwować tę żywą, wyrazistą twarz, z której teraz opadło zmęczenie i na którą powracał rumieniec. Siadł w kącie niewygodnej kanapy i przyciągnął Caroline do siebie, tak że spoczęła na jego piersi. Nie miała mu już nic więcej do opowiedzenia i odwróciła głowę, by go pocałować. Spojrzał na nią zmrużonymi oczami, przyciągając podbródek do piersi.

- Powinniśmy coś zjeść.
- Było jej dobrze, więc powiedziała:
  - Nie jestem strasznie głodna. A co z tobą? Ugotuję albo usmażę, co tam masz w lodówce, bo pewnie będziemy musieli żywić się jak rozbitkowie.
  - Nie jest tak źle - zaprotestował. - Kupiłem jajka, chleb i różne rzeczy.
  - Pójdziemy najpierw do łóżka?
  - Kobiety są bardzo nieromantyczne. Pewnie, już.
- Ten silny fizyczny pociąg między nami wystarcza za wszystko - pomyślała z rozkoszą.
- Gdy zdejmował z niej biustonosz i pochylał się, żeby ją pocałować, wydał się jej idealnym mężczyzną. Jak zwykle, ubrania już po chwili były porzucane po małej sypialni.
  - Poczekaj - powiedziała, kiedy wszedł w nią.
- Roześmiał się i zmienił pozycję, tak że teraz Caroline była na górze.
  - Łatwiej czekać - powiedział. - Powiesz mi, kiedy. Boże, jak miło.
- Patrzyła na niego z miłością, krzyżując ramiona na piersiach.
  - Tak? Chciałbym, żebyśmy mieli więcej czasu.
  - Ja też. Muszę go wytrzasnąć. Takie życie jest nie do zniesienia
  - jestem pędzony z miejsca na miejsce.
  - Podoba ci się to - powiedziała ostro, poruszając się na nim.
  - To podoba mi się jeszcze bardziej. - Zmienił pozycję nie odrywając wzroku od jej twarzy. - A jeśli będę dalej tak robił...
  - O, tak...

**T**ym razem ja zrobię herbatę.

- Nie, ja. Za chwilę.
- Nie chciałam się ruszać, ale pomyślałam, że powinnam się zgłosić na ochotnika. - Leżała na jego ramieniu, zadowolona i wcale nie śpiąca, z przyjemnością czując jego mięśnie. - Teraz mam apetyt.
- Co, znowu?

- Na coś do zjedzenia, bęcwale. - Poglądziła go po policzku. Zauważyła głębokie zmarszczki wokół oczu. - Ciekawa jestem, czyby ci tak świetnie szło, gdybyś nie był taki przystojny?

Uśmiechnął się zadowolony i nie zawstydzony i poczuła roz-bawienie zmieszane z niechęcią. Znała ten uśmiech, widziała go u Lucy, która z racji swojej urody uważała się za upoważnioną do przyjmowania wszelkich oznak podziwu i każdej pomocy.

- No, to chodź - powiedział rzeczowo, odrzucając koldrę. - Zróbmy coś do jedzenia.

Tym też mnie oczarował - pomyślała. Jesteśmy tacy podobni. Porusza się tak szybko, reaguje tak szybko i tak jak w moim przypadku - dokładnie wiadomo, czego chce.

Zajęła się kolacją. Siedział obok niej przy stole, pomagał, jakby robili to przez połowę swojego życia.

- Pewnie nasze kłótnie byłyby straszne - stwierdził nagle.

- Też coś takiego chodziło mi po głowie - powiedziała trzeźwo. - Prawdę mówiąc, jesteśmy bardzo podobni - nasz program dnia jest na czterdzieści osiem godzin. - Ostrożnie rozbiła jajka. - I nie wyobrażam nas sobie jako małżeństwa, nawet gdybyśmy się przedtem znali.

- Nie byłabyś zachwycona losem żony żołnierza - przytaknął.

- To dla mnie niewyobrażalne. I nie jestem przyzwyczajona do wleczenia się za czymś rydwanem, a tak pewnie wygląda życie twojej żony. - Miał lodowaty wyraz twarzy. - To nie krytyka, to komentarz.

- Pomyślałem sobie, że jedna z rzeczy, które tak strasznie mnie do ciebie przyciągają, to fakt, że zawsze jesteś równo ze mną albo krok dalej. Trudno ci wskazywać drogę.

- Zamęczylibyśmy się wzajemnie - zasugerowała tonem naj-lżejszym z możliwych, myśląc ze zgrozą o nieodpartej, niewy-słowionej przyjemności wypełniania jednoznacznych poleceń w miejsce ciągłego podejmowania wielu ważnych i błahych decyzji, z których składało się jej życie. Zdecydowanie odepchnęła od siebie tę wizję.

- Być może - powiedział niecierpliwie, otwierając lodówkę.

Położyła omlet na talerzu.

- Trochę za bardzo przysmażony, przepraszam - powiedziała, kiedy jadł z wilczym apetytem. - Czy opowiadałam ci kiedyś o kwestorze z mojego starego college'u, który był żołnierzem jak ty? Kiedyś miałam okazję pogratulować mu z okazji bankietu na uczelni, a on odparł z melancholią, że gratulacje należą się nie jemu, lecz kucharzowi; jemu nigdy nic nie smakowało, jeśli nie jadł na stojąco z menażki.

Gerry przełknął ostatni kęs i wybuchnął śmiechem.

- Och, zupełnie zgadzam się z tym facetem! To musiał być jeden z nas. Przepraszam, kochanie, wiem, że jem za szybko. Zrobię kawę.

Postawił czajnik na kuchence, a ona nie przejmując się stygnącym omletem, oparła głowę na ramieniu Gerry'ego. Gładził ją po policzku. Zadzwoił telefon i Gerry drgnął całym ciałem.

- Nie odbieraj!

Czekał napięty. Telefon dzwonił, przestał i znowu się odezwał.

- Muszę - powiedział i bez wahania podniósł słuchawkę. - Tak. Nie, w porządku. O Jezu! Ile ofiar? Nie. Mam tu swój wóz. Będę za dziesięć minut. Powiedz pani premier, że mnie znalazłeś. Tak. - Cisnął słuchawkę na widełki. Odwrócił się do Caroliny kipiąc nerwową energią. - Kochanie, muszę jechać. Zdarzyło się nieszczęście - cysterna wypadła z zakrętu na M1 i zapaliła się. Nie znamy nawet liczby ofiar. Muszę wpaść do ministerstwa. David jest w Portugalii na konferencji, więc to na mnie spada.

Poczula okropny zawód.

- Naturalnie, że musisz. - Odezwało się w niej poczucie dyscypliny. - Zbierz się. Ja zmyję naczynia.

Znikł i przełknęła pospiesznie omlet nie czując smaku, umyła naczynia i odłożyła na suszarkę. Uwijał się niczym derwisz, ale zręcznie, nie obijając się o meble jak jej krewni. Ogarnął wzrokiem kuchnię i podszedł do Caroline, schował talerze i szklanki. Uświadomiła sobie z bólem, że zaciera ślady obecności drugiej osoby w mieszkaniu.

- Dobra - rzekł. - Masz wszystkie swoje rzeczy?

Kiwnęła głową nie mogąc wykrztusić słowa. Z nim byłoby bezpiecznie na wojnie - pomyślała dławiąc pragnienie, aby się i płakać - nie pozwoliliby nikomu zapomnieć o skarpetkach ani o amunicji. O niczym potrzebnym.

Spojrzał na nią po raz pierwszy od chwili odebrania telefonu.

- Przepraszam. Boże, bardzo przepraszam.

- Nic na to nie poradzisz. - Jak otępiała włożyła płaszcz.

Gerry automatycznie pospieszył jej z pomocą. Zeszli do samochodu, on pierwszy. - Wyrzuć mnie przy ministerstwie. Złapię taksówkę.

- Zamierzałem podwieźć cię do domu.

- No, ale nie możesz, prawda? Nie przejmuj się mną.

Zamknął za nią drzwi, wsiadł do samochodu. Oparła się o siedzenie powstrzymując łzy.

- Słyszałam cię dzisiaj w Izbie - powiedziała, gdy odzyskała panowanie nad głosem. - Poszłam posłuchać oświadczenia Winstanleya.

- Boże, wydaje się, że to było tydzień temu.

Szybko prowadził samochód na zakrętach, ale nie przekraczał dozwolonej prędkości.

- Mnie też. Czy to ty się postarałeś, żeby ten gość spytał się o wykup?

Przez moment się zawahał i pożałowała pytania. Nigdy nie rozmawiali o artykule w „FT” i może lepiej było nie wspominać i tej sprawy.

- Tak. Sam nie mogłem tego zrobić, rozumiesz.

- Zdałam sobie sprawę. Wszyscy jesteśmy niezmiernie wdzięczni.

- Przystań tak na mnie patrzeć. Ja też nie chcę tam jechać. - Nic nie potrafiła na to odpowiedzieć, pogładziła go tylko. - Ci twoi faceci podobają mi się. Myślę, że dobrze prowadzą interes. I udana prywatyzacja połączona z szerokim akcjonariatem pracowniczym przyniesie nam tam wiele dobrego.

- I pomoże ci zdobyć wyborców.

- To też. Kochanie, jesteśmy na miejscu. Wsiądziesz na rogu, tak będzie w porządku? - Zawahał się i pocałował ją w policzek. - Zadzwoń do ciebie. Jeśli się uda, to później tej nocy.



Patrzyła za niknącymi w bramie światłami pozycyjnymi i przez chwilę stała oparta o latarnię, oślepiona łzami, drżąc na wietrze. Zatrzymała taksówkę. Czuła się rozbita i było jej wszystko jedno. Kierowca tylko spojrzął na nią i nie odezwał się słowem podczas jazdy. Zapłaciła drobnymi. Panowała nad sobą, odkładając chwilę słabości do momentu, w którym znajdzie się w łóżku i będzie mogła się wypłakać.

- Dziękuję, pani Whitehouse - odezwał się taksówkarz i zaskoczona podniosła głowę.

- Przepraszam, nie poznałam cię.

- Zimna noc.

- O tak, bardzo - odparła spokojnie i zdobyła się na uśmiech. Czuła jego wzrok na sobie, kiedy szła do drzwi i szukała kluczy. Nie odjeżdżał, dopóki nie przekroczyła progu. Pomachała mu, wzruszona tym drobnym ludzkim gestem.

- Był wypadek na M1. - Młoda gosposia, pojętna, pulchna dziewczyna z Lancashire, była ogromnie podniecona.

Caroline wzięła głęboki, długi oddech i wyprostowała się.

- O rany, gdzie?

- Na południe od Birmingham, tuż koło miasta. Jest w wiadomościach.

Caroline stała w drzwiach salonu chłonąc przyjazną atmosferę. Jean i jej przyjaciółka Sheila dotrzymywały sobie towarzysztwa jedząc czekoladki, a gazety i sycie były rozłożone po całej wielkiej kanapie. Potem nagle Gerry pojawił się na ekranie, poważny i zmęczony. Mówił, że to najwyraźniej wypadek i że nie, nie może potwierdzić żadnych doniesień, właśnie zostanie poinformowany przez władze.

To niewiarygodne - pomyślała. Nic w jego zachowaniu nie zdradza, że niecałą godzinę temu na wpół goły śmiał się ze mną w kuchni.

Ciemne włosy zaczesane, wszystkie guziki koszuli zapięte, krawat wiszący prosto. Nagle z całą ostrością zdała sobie sprawę, że narzuciła na siebie rzeczy byle jak. Patrzyła zmrożona, jak

grzecznie i z powagą reaguje na pytania, a potem znika w grupie zdenerwowanych i nieporządnie ubranych mężczyzn.

- Ale przystojniak - rzekła z podziwem Jean.

- To prawda - powiedziała Caroline tłumiąc zwariowany impuls, żeby się jej zwierzyć. - Muszę iść do łóżka. Wróciłam trochę wcześniej, bo czuję się podle... nie, nie wstawaj, sama zrobię sobie herbatkę.

## Rozdział szesnasty

**N**ie minął trzeci tydzień marca, a wróciła typowa zima. Clive patrzył przez okno sekretariatu Winstanleya na tumany śniegu ponuro spowijające gmachy.

- Zechcielibyście wejść?

Kiwnął głową młodemu asystentowi szefa biura i wraz z Jamesem Matherem wszedł do gabinetu Winstanleya.

- Uznałem, że należałoby porozmawiać, zanim zjawią się ludzie od Fredericksa. Skoro Prior Systems cieszy się teraz tak szerokim zainteresowaniem, czy naprawdę powinienem się spotykać z kierownictwem?

Clive zasugerował Caroline, że kierownictwo Prior może odwalić swoją kolejkę u Winstanleya. Uznał, że zwyczajna przyzwoitość wymaga stworzenia mu tej samej możliwości co Matthew Friernowi i innym zainteresowanym stronom, które ujawniły swoje intencje. Trzy dni później trzyakapitowy list do sekretarza stanu podpisany przez Petera Burwooda wylądował na biurku Clive'a wraz z adnotacją ministra, proszącego o radę. Clive śmiał się w duchu; być może list spisała ręka Petera Burwooda, ale za precyzyjnymi sformułowaniami kryła się Caroline Whitehouse. Rozbawiony doradził Winstanleyowi spotkanie z kierownictwem.

- Tak, panie ministrze. Będzie pan miał możliwość oświadczyć im to, co trzeba. Niech nie liczą na żadne względy. Myślę, że może pan wiele skorzystać na tym spotkaniu.

- Dobrze. - Winstanley na szczęście wiedział, kiedy trzeba przestać zwlekać z decyzją. - Czy powinienem zabrać na to spotkanie ludzi od Frederickksa?

- Tak.

- No cóż, należy im przypomnieć, że są potrzebni. Jenny, zechciej wezwać pana Wattsa, jest w poczekalni. - Odprowadził ją wzrokiem do drzwi. - Płacimy tyle tym facetom, że ani mi się uśmiecha, by mieli się tu bezczynnie wałęsać. Czy twoja przyjaciółka, pani Whitehouse, zjawi się z tymi ludźmi z Prior?

- Tak sądzę, panie ministrze. Przygotowała ich kampanię. List z prośbą o spotkanie jest bardzo w jej stylu.

- Naturalnie jesteście starymi kolegami. - Powiedział Winstanley rzucając Clive'owi kose spojrzenie, ale ten nie stracił pewności siebie.

- Choćby dlatego to spotkanie z panem może być przydatne. Dowiedzą się od pana o podstawowych zasadach, bo a nuż nie zdołałbym ich wyrazić wystarczająco jasno.

- Nie wyobrażam sobie, że mógłbyś coś pogmatwać, Clive, ale wygarnięcie prosto z mostu starym kumplom zawsze sprawia trudność. Ach, wejdźcie, Richard, Tim. - Dopełniając zasad grzeczności wstał i przywitał się z doradcami. Obaj wyglądali na przemęczonych. - Domyślał się, że przybywacie prosto z lotniska. Uprzejmie z waszej strony, że przylecieliście.

Richard nadmienił, że obecnie stale lata do Nowego Jorku w niedziele wieczorem i wraca w środy. Prowadzi męczącą, ale bardzo ciekawą transakcję. Te przepłacane eleganciki umieją harować, trzeba im to przyznać - pomyślał z niechęcią Clive.

- Oferty sprzedaży Carr i SLG wyszły wczoraj. Carr wyceńniony na mniej więcej siedemdziesiąt, czterdzieści za SLG. Wygląda na to, że wszyscy spodziewani chętni się zgłosili i NEB liczy na dwie szybkie sprzedaże.

- Mhm. A co z Prior?

- Dostaliśmy trzydzieści pięć próśb o przesłanie ofert, panie ministrze. Dwadzieścia z banków działających teoretycznie w imieniu klientów. Część z tego to będą prawdziwi klienci, w innych przypadkach chodzi o kopię do biblioteki. Pięć próśb

z banków zagranicznych. Pozostałe dziesięć pochodzi od firm budowlanych. Osiem ma siedzibę w Zjednoczonym Królestwie, jedna we Francji, jedna w Niemczech.

- Nie chcę, żeby Prior przypadło zagranicznikowi - powiedział zaalarmowany Winstanley. - Wystarczy ostrzał, jaki dostałem przy okazji tej sprzedaży.

- Mamy skreślić te propozycje, kiedy do nas dojdą, panie ministrze? - zasugerował Clive. - Rzecz jasna, to nasi partnerzy ze Wspólnego Rynku.

- Francuzi znaleźliby sposób powstrzymania naszego przedsiębiorstwa przed zakupem u nich. Cholerne Szwaby też - trysnęła żółcią Winstanley.

Richard Watts zachował profesjonalną obojętność. Clive użył natomiast następującego sformułowania: w razie jakiegokolwiek nacisku ministerstwo i Fredericks wykażą taką samą obstrukcję co obce rządy.

- Mniejsza z tym, panie ministrze. - Richard Watts rozsądnie uznał, że trzeba iść dalej. - Wszyscy chętni mają trzy tygodnie na ujawnienie się, przedstawienie ceny minimalnej, prezentację planów co do przedsiębiorstwa i ustosunkowanie się do podstawowych wymogów sprzedającego - utrzymania lokalnego zatrudnienia, uczestnictwa kierownictwa i pracowników we własności akcji i tak dalej. W końcówce tego etapu Gruhners sporządzi krótką listę do dyskusji. Oczywiście zespół kierowniczy też okazał chęć kupna.

- Kierownictwo ma się ze mną spotkać. Jesteście mi potrzebni.

- Naturalnie, panie ministrze.

Winstanley spojrział z namysłem na doradców.

- Jest jakaś niespodzianka na liście, Richard?

- Walton nas zaskoczył. Wydaje się, że bardzo zależy mu na zakupie. Starał się zrobić jak najlepsze wrażenie na Gruhnersie i NEB. To nie jego profil. Wyszedłby poza swój obecny zakres prac.

- No cóż, to bardzo duża i ciesząca się sporym szacunkiem firma, prawda?

- Duża, owszem.

Klient nie w typie Fredericksa - pomyślał Clive. Zerknął na zegar i się skrzywił. Na załatwienie bieżących spraw przed lunchem z Lucy pozostała godzina. Dała jasno do zrozumienia, że ma niewiele czasu. Bardzo tęsknił za Lucy. Przez ostatnie trzy tygodnie Matthew siedział w Londynie niemal bez przerwy, a jedyny wolny wieczór, jaki Lucy znalazła, przypadł na dzień, w którym zarówno Clive, jak i Matthew uczestniczyli w corocznym bankiecie Federacji Budownictwa Mieszkaniowego, więc spędził kilka godzin nie z tą połową małżeństwa, na której mu zależało.

Winstanley żywił wobec sprzedaży tyleż niepewności co niechęci i domagał się od Richarda Wattsa opinii. Ten słusznie unikał zajęcia stanowiska, łagodnie przypominając ministrowi, że za trzy tygodnie, kiedy intencje każdego chętnego zostaną do pewnego stopnia zbadane, wszystko będzie o wiele jaśniejsze. Winstanley, który - jak to sobie Clive z ulgą uświadomił - wcale nie był głupim ministrem, zwolnił ich po kilku minutach, głośno oświadczając, że prośenie ich o pomoc miało tyleż sensu, co szukanie wsparcia w źdźbłe trawy.

Gdy Clive wrócił do siebie, okazało się, że właśnie dzwoni szef działu kadr.

- Clive? Porządnie namieszałeś, wiesz. Przekazałem stałemu sekretarzowi to, co ty i Philip sądzicie o Watsonie, i nie minęły dwadzieścia cztery godziny, a oceny wróciły z adnotacją, że tak, zabrać się do roboty, wdrożyć procedurę ograniczonej użyteczności najszybciej jak to możliwe — wszystko tym jego pajęczym pismem, więc jak zwykle musiałem skorzystać z lupy, żeby się przekonać, czego chce. A po dwóch godzinach dzwoni i mówi, że powinienem wysłać okólnik przypominający wszystkim podsekreтарzom o istnieniu procedury ograniczonej użyteczności. No, ale broń Boże nie miało to być tak prosto załatwione. Mam włączyć ten okólnik do *aide-mémoire* przy corocznej ocenie kadr.

- Naprawdę? Rety!

- Oczywiście wyciąganie jakichkolwiek wniosków o związku tej sprawy z chęcią zredukowania o dziesięć procent całej

obsługi biurowej byłoby szczytem cynizmu.

- Ale nie pozbawionym słuszności. Lepiej już byłoby wyrzucić miernoty.

- Święta racja. Jestem tylko nieco zaskoczony, drogi chłopcze, bo jak znakomicie wiesz, zwykłą praktyką było zachęcanie naszych najlepszych i najbardziej użytecznych ludzi do podejmowania pracy w sektorze prywatnym, gdzie dostawali dwa razy większe pobory. Wyrzucanie miernot, jak to byłeś łaskaw określić, to wielce nowatorski pomysł.

Kiedy ja zostanę stałym sekretarzem, ten wielce nowatorski pomysł stanie się powszechną praktyką - pomyślał stanowczo Clive.

- Czyżby się więc zapowiadało, że Watson zniknie nam z oczu już wkrótce?

- Och, nie odważyłbym się na aż tak jednoznaczne określenie. Ale ta procedura raczej potrwa miesiące niż lata, jeśli stały sekretarz nie zmieni zdania. Przy okazji - oznajmił, że sam spotka się z Watsonem, co jest nieoczekiwanym, acz wielce pomocnym zbiegiem okoliczności.

- Cudownie. No, to możecie szukać mi kogoś na jego miejsce. Powiem wam, kogo mi potrzeba.

- Nie, nie powiesz. Masz dwóch pierwszej klasy asystentów w osobach Jamesa Mathera i Janice O'Brien i twoim numerem trzy będzie ten, kogo ja wyznaczę. To znaczy, jeśli nie zdecydujemy się na całkowitą likwidację etatu Watsona w związku z wymaganą dziesięcioprocentową redukcją.

Clive już chciał coś odpalić, ale zdecydował, że lepiej zrobi załatwiając tę sprawę z rozważą.

- Z przyjemnością byłbym gotów uznać, że zyskując dodatkowego pracownika biurowego mogę rozłożyć obowiązki Watsona na barki dwóch asystentów - rzekł ostrożnie. - Zgadzam się z tobą, są bardzo sprawni. Kłopot w tym, że ten wydział dotyczy wycinka polityki, którym pani premier jest osobiście zainteresowana. Prawdę mówiąc, to był prawdziwy powód, dla którego uznałem osłanianie Watsona za niewłaściwe.

Oby niebiosa nie raziły go gromem za to łgarstwo.

- Bardzo ładnie, Clive - rzekł z uznaniem głos w słuchawce. - To mi się podoba. Nabierałem cię, jak mówią dzieci. Pójdiesz na bal. Watson będzie miał następcę. Ale pozwolisz nam go znaleźć, hm?

- Sir!

- Tak lepiej.

Clive wypadł z biura z uśmiechem na ustach, sprzątnął tak-sówkę sprzed nosa koledze podsekretnarzowi i zjawił się w mieszkaniu Friernów z zaledwie dwuminutowym spóźnieniem. Chętnie darowałby sobie lunch na rzecz pójścia z Lucy do łóżka, ale zdał sobie sprawę, że nie jest to przewidziane programem. Była bez zarzutu ubrana i umalowana, gdyż wybierała się na pokaz mody, i lunch przygotowała w jadalni, a nie w kuchni.

- Mógłbym zaprosić cię na lunch do Harrodsa - rzekł przeprasza-jąco, nadal lekko dygocąc po przejściu paru kroków w śnieżnej zawiei.

- Nie, kochanie, pogoda jest taka okropna. - Ucałowała go ciepło. Wzięła ją w ramiona, nagle czując się dużo, dużo lepiej. - Przepraszam, za pośpiech, ale tak to jest. Powiedz mi, co się dzieje. - Wręczyła mu kieliszek wina i nalała zupę.

- Wracam właśnie ze spotkania Winstanleya z bankierami. Jest około trzydziestu chętnych na szczegółowe informacje o Prior Systems, nie licząc kierownictwa. Rzecz jasna, Matt jest jednym z nich.

- Mam po dziurki w nosie tego przedsiębiorstwa. Sam wiesz, jak Mattowi na nim zależy. Chce, żeby klienci Caroline zostali odprawieni z kwitkiem. Muszę przyznać, że to dla mnie jakiś zupełny idiotyzm. Doprowadza go do szału, że kierownictwo zgłosiło ofertę.

Skończyła zupę i zmieniła talerze, po czym przyniosła suflet w starannie owiniętym ściereczką garnku. Sprawnie rozdzieliła potrawę i Clive zaczął jeść ze smakiem. Przyjechał do pracy na siódmą, chcąc wyrównać zaległości Michaela Watsona. Byłoby



dowodem optymistycznej głupoty spodziewać się, że ktoś, nad kim wisi zaszerogowanie do grupy osób o ograniczonej użyteczności, będzie się przykładał.

- Szczerze mówiąc, nie odważyłam się wspomnieć Mattowi, że zaprosiłam cię na lunch, kochanie. Jest na ciebie wściekły; podejrzewa, że masz konszachty z wrogiem. To z powodu twojego lunchu z Caroline. - Zauważyła jego spojrzenie. - Chyba wypsnęło mi się też, że byłeś na lunchu z jej rodziną.

- O wiele lepiej nie ukrywać takich spraw. Caro nie ciągnie z naszej znajomości żadnych specjalnych korzyści, tak jak ty nie osiągniesz nic dla Frierna. Jest umówiona ze swoimi chłopakami na spotkanie z Winstanleyem, ale to rutynowa narada. W tych okolicznościach zawsze spotkałby się z kierownictwem.

- Ale doradziłeś mu to?

- No cóż, tak.

- Caro zawsze ci się podobała, prawda?

Zastygł z pełnymi ustami. Wybałuszył na nią oczy, a potem przełknął kęs.

- Lucy? O co ci chodzi? Ty zawsze bardziej mi się podobałaś. I to z tobą chodzę do łóżka. Kiedy masz czas.

Lepiej zrobiłby nie dodając tego zastrzeżenia. Zabrzmiało oskarżycielko, gorzko i Lucy zeszywniała.

- Przecież jestem zamężna. Wiesz o tym.

- Oczywiście. Gdybym myślał, że jest jakaś szansa... Słuchaj, na litość boską, wiesz, że ożeniłbym się z tobą, gdybyś chciała rozwieść się z Mattem. Ale tobie się do tego nie spieszy, no nie?

Piękną twarz wykrzywił grymas. Wyraźnie była gotowa iść na udry, ale czuła, że brak jej argumentów.

- No wiesz, mógłbyś ożenić się z Caro.

Uznał, że najlepiej zrobi kierując jej uwagę na inne tory.

- Caro ma chłopca. Mocno podejrzewam, że żonatego, ale jest nim bardzo zainteresowana. I nikim innym. Powinnaś ją widzieć, kiedy zadzwonił; urosła o kilka cali i zaczęła fruwać nad podłogą. - Czuł, że postępuje trochę nielojalnie, ale za to wspomniało mu się rozchmurzyć nie wiedzieć czemu pozbawioną

humoru kochankę. Ożywiła się.

- Niemożliwe. Nie pisnęła ani słówka. Zawsze stwarzała wrażenie, że żyje jak mniszka.

- Prawdę mówiąc, mnie też nic nie powiedziała. Byłem tylko przy tym, jak odbierała ten telefon.

- Skąd wiesz, że jest żonaty?

- No, przecież to on powinien być na tym niedzielnym lunchu, a nie ja. I Caspar, jej brat - na pewno go znasz - miał jej bardzo za złe.

- Cas nie ma nic do gadania. Chodził z żoną laburzystowskiego posła. W kwaterze głównej przy Hampstead rozegrały się straszliwe kłótnie. Caro opowiadała mi o tym wszystkim. Bardzo go potępiała. Potem tamta zostawiła Casa i wróciła do męża.

- No, może dlatego on ma tak za złe Caro. Bo sam w końcu został odprawiony z kwitkiem. - Patrzył łakomie na Lucy i uważał drobne szczegóły, które umknęły mu początkowo. Nałożyła bardzo jaskrawą, czerwoną szminkę, za którą nie przepadał, bo uważał, że nie pasuje do klasycznych, ciemnoniebieskich oczu i czarnych włosów; miała bez zarzutu pomalowane paznokcie i szpilki na wyższym niż zwykle obcasie. Przysunął się bliżej z krzesłem, położył dłoń na jej kolanie i podsunął w górę sukienkę.

- Powiedz mi jeszcze o tym facecie Caroline - rzekła odpychając jego rękę. Wstała i zajęła się parzeniem kawy.

- To wszystko, co wiem. A to i tak tylko zgadywanki. Ale na pewno ma żonę i przyjeżdża skądś w niedzielę wieczorem, ale nie zawsze, bo się go nie spodziewała. Ten związek trochę przypomina nasz.

Lucy wsypywała kawę do dzbanka. Na tę uwagę wyprostowała się sztywno.

- Często myślałam, że to może być dla ciebie męczące - powiedziała z dystansem i nieprzyjemne wrażenie, które doskwierało mu podczas całej wizyty, wzrosło.

- Kocham cię, wiesz - powiedział. Wstał, objął ją od tyłu,

niespokojnie wdychając nowe perfumy, które pojawiły się w miejsce znajomych „Diorissimo”.

- Przestań, Clive, bo przez ciebie stłukę filiżanki.

Urażony cofnął ręce i odsunął się. Trzymając tackę Lucy odwróciła się nie patrząc mu w oczy. Poczul zdenerwowanie.

- O co chodzi, Lu?

- O nic. Po prostu jestem trochę zmęczona.

- Mną?

- Nic wiem. Po prostu nie wiem, co ze sobą zrobić.

Elegancko siadła na krześle po drugiej stronie stołu, daleko poza zasięgiem Clive'a. Przypatrywał się jej kompletnie rozstrojony.

- Co się stało? Masz kogoś innego? Zawsze obiecywaliśmy, że powiemy sobie, gdyby komuś z nas się to zdarzyło.

- Nie, nie w tym rzecz. Słuchaj, Clive, myślę, że przez jakiś czas nie powinniśmy się widywać, dopóki nie dojdę, czego chcę.

- Czy chodzi o Matthew? Coś naprawdę podejrzewa?

- Nie.

- Nie mów, że jesteś zazdrosna o Caro!

Zawahała się, a potem spojrzała mu w oczy.

- Nie, nie jestem. Nigdy nie podobali się nam ci sami mężczyźni i my nigdy nie podobałyśmy się im. I założę się, że zakochała się w kimś zupełnie niewydarzonym. Powinieneś zobaczyć tego upiornego aktora, który był przed Benem.

- Co się z nim stało? - spytał Clive pragnąc zmienić bieg tej coraz bardziej nieprzyjemnej rozmowy.

- Reżyseruje sztuki dziecięce w telewizji. Kiedy nie jest na odwyku. Znam jego żonę.

Spojrzała na niego prosząco. Poczul bezradność.

- Muszę iść na ten pokaz. Zadzwoń do mnie jutro, Clive. Proszę. - Wyraźnie zadzwieczała błagalna nuta. Wzięła Lucy w ramiona.

- Powiem ci coś - szepnął jej do ucha. - Potrzeba ci oddechu; cała ta afera z Prior za dużo cię kosztuje. Wyjedźmy na kilka dni - załatwię to. Moglibyśmy się zatrzymać w „Garden House”. Powiedziałaśbyś, że jesteś u koleżanki, tej, która uczy w St. Hilda's.

Obejmował ją z niepokojem. Po chwili się rozluźniła.

- Tak, dobrze. Zróbmy to. Przepraszam cię, pewnie masz rację, to po prostu nadmiar Prior. Nie masz pojęcia, jaki jest ten cholerny Matt. Ciągłe wisi na słuchawce albo załatwia sprawy. Wolalabym, żeby nigdy się nie dowiedział o istnieniu tego przedsięwzięcia.

Pomyślał niezdecydowanie, że powinien wziąć ją prosto do łóżka, ale miał mało czasu przed konferencją o wpół do czwartej, a Lucy czesała włosy gotowa do wyjścia. Poświęci czas przed naradą na załatwienie spraw bieżących, co pozwoli mu wziąć kilka wolnych dni i zabrać Lucy do usytuowanego w pobliżu Oxfordu hotelu, który tak lubiła. Niech tylko wspólnie spędzą trochę czasu w miejscu, które on wybierze, a wszystko będzie w porządku.

Razem wyszli z mieszkania i wsadził ją do taksówki. Sam rozglądał się za drugą, gdy zobaczył Caspara Henriquesa, który z głową pochyloną nad gazetą stał na przystanku autobusowym. Clive zawahał się i Cas pod wpływem jakiegoś telepatycznego przekazu podniósł głowę i dostrzegł go.

- Clive... - powiedział z wyraźną przyjemnością, składając gazetę i wsadzając ją do kieszeni modnej skórzanej kurtki. - Właśnie o tobie myślałem. Mówiłem Caro, żeby cię zaprosiła, ale jest w tych dniach trochę zabiegana. Jasne, ma nawał roboty. Urządzam lunch w pierwszą niedzielę maja. Nie w moim mieszkaniu, jest bardzo małe, ale w domu rodziców. Pewnie już tam byłeś? Caro się zjawi i powiedziała, żebym cię zaprosił. Co tu robisz?

- Przyjdę z przyjemnością - odparł Clive ignorując całkowicie ostatnie pytanie. Wyjął terminarz. - Będę z dziećmi, bo nie mogę ich mieć na Wielkanoc. Co mam przynieść?

- Butelkę - rzekł prosto z mostu Cas. - Bardzo się cieszę. Koło wpół do pierwszej? Wspaniale. Jest mój autobus.

**M**ichael Watson siedział przy narożnym stoliku w pubie naprzeciwko ministerstwa. Zbierał siły na powrót do pracy. Zjadł porządny lunch - stek i trzy rodzaje jarzyn - żeby dać radę

butelce. Wiedział, że nie będzie w stanie jej sobie odmówić. Za pół godziny powinien się zjawić na konferencji, ale był na tyle przewidujący, że kazał asystentce zaczynać bez niego, jeśliby się nie zjawił. Nie chciał wracać do ministerstwa, nie chciał wracać do domu, do swojego ponurego mieszkania; prawdę powiedziawszy, nie przychodziła mu na myśl ani jedna rzecz, której by chciał. Wpatrywał się osowiały w płatki śniegu i doszedł do wniosku, że powolutku wychyli koniaczek, skończy krzyżówkę, a potem zobaczy się, co dalej. Trochę niepewnym krokiem podszedł do baru, z trudem wdrapał się na stółek i uprzejmie kiwnął głową nie rzucającemu się w oczy mężczyźnie, który siedział nieco dalej i mu się przyglądał.

...wieczór - powiedział grzecznie nieznajomy. - Ohydna pogoda, prawda? Też nie mogę się zebrać, żeby wyjść na dwór.

Michael Watson, który czuł się tak, jakby nikt nie powiedział do niego miłego słowa od lat, spojrzał na trochę starszego niż on, siwowłosego i skromnego mężczyznę, nie przypominającego rozbieganych, pewnych siebie niegrzecznych młodzieńców, od których mrowiło się w ministerstwie.

- Chciałem zamówić koniak, żeby się nie przeziębic - rzekł pogodnie.

- Wspaniały pomysł. Też to zrobię. - Nieznajomy zerknął na gazetę. - Jeśli mogę zapytać, czy ma pan trzymaście pionowo?

Watson odwrócił stronę i sprawdził.

- „Recesja” - powiedział.

- Ależ oczywiście. Wspaniale, dokończę później. Słuchaj pan, ja stawiam ten koniak. Utknąłem beznadziejnie.

Poszli z kieliszkami do narożnego stolika i Michael Watson, którego prawie czterdziestoletnia praca w służbie cywilnej nauczyła ostrożności, spytał nowego znajomego, czym się zajmuje.

- Właśnie przeszedłem na emeryturę - odparł ten skromnie. - Ciągle wpadam jeszcze trzy razy w tygodniu przed południem - do agencji ubezpieczeniowej na Horseferry Road. Dzisiaj właśnie wypadło mi przyjść. Gdzie ty pracujesz? Och, w środowisku? To dopiero musi być interesujące.

Mile polechtany Watson wyjaśnił, dzięki czemu jest to interesujące, zwiększając swój udział do tego stopnia, że postronny obserwator miałby trudność z ustaleniem, co kolejni sekretarze stanu do spraw środowiska mieli jeszcze do roboty, ale nowy przyjaciel wykazał uprzejme zainteresowanie.

- Zazdroszczę ci - rzekł. - Myślałem, że emerytura mi się spodoba, ale nie. Rozumiem, że ty jeszcze trochę pociągniesz?

- No cóż - zawahał się Michael Watson, którego zranione serce ukoił kontakt z pierwszą od miesiący współczującą osobą. - Jest presja, żeby nas, starych pracowników, pozbyć się wcześniej. Wiesz, rząd w ten sposób sprawdza swoją męskość. - Słyszał, jak stały sekretarz, zwykle wzór dyskrecji, używa tego sformułowania poirytowany cięciami przy obsłudze programów budownictwa mieszkaniowego.

- Och, to dopiero niefart. - Mężczyzna zawahał się i skinął głową w kierunku baru. - Zdążysz jeszcze jednego?

- Ja to załatwię - powiedział dla przyzwoitości Watson i kiwnął się usiłując wstać, ale jego nowy przyjaciel załatwił dwa następne koniaki jednym uniesieniem ręki.

- Czy twoja część ministerstwa też będzie redukowana? - spytał ostrożnie, gdy barman się oddalił.

- Tak, na to wygląda. - Poczul okropną, pełną znużenia ulgę, gdy wreszcie przyznał, że ta straszna rzecz naprawdę nastąpi. - Jestem jednym ze starych pracowników. Jasne, dostanę wcześniejszą emeryturę, to łapówka, żebyśmy sobie poszli. Ale wiesz, to nadal boli, kiedy się pracowało trzydzieści... nie, kłamię, trzydzieści siedem lat... i przychodzi nowy rząd, i nagle albo się spodobasz, albo fora ze dwora.

- W czym siedzisz?

- W mieszkaniówce. Jestem asystentem.

- To całkiem wysoka funkcja, no nie?

- Tak, a zaczynałem jako pomoc biurowa w starej Radzie Przemysłu. Nie było tam ludzi po maturze, co dopiero po studiach.

- To jest coś.

Odezwał się dzwonek na zamknięcie pubu i Michael Watson rozejrzał się wkoło mętnym wzrokiem.

- Powinienem wracać.
- To musi być ciężko zasuwać dalej, kiedy człowiek widzi, jak rzeczy, na których mu zależy, idą nie tak.

Watson spojrział na niego z wdzięcznością.

- Prawda.

Nieznajomy uniósł się bez pośpiechu i kiwnął na barmana.

- Jutro też idę popracować. Zwykle jadam tu lunch koło pierwszej, tak mi pasuje. Może byśmy się spotkali? Jestem bardzo zobowiązany za pomoc w krzyżówce.

Taktownie pomógł Watsonowi utrzymać równowagę w zacinającym śniegu. Poszli. Watson - podstarzały i nie przyciągający uwagi, przedreptał przez ulicę sunąc do gmachów, nie bacząc na ruch uliczny, otulony w palto i szczęśliwszy niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich tygodni. Nieznajomy - równie nie wpadający w oko, drobny i łysiejący, odprowadził go wzrokiem, a potem skierował się w lewo ku Horseferry Road.

## Rozdział siedemnasty

**T**ak, Peter, zgadzam się. Mamy problem. - Caroline zamilkła, świadoma, że okazała pośpiech i niecierpliwość, ale ten dzień zdawał się ciągnąć w nieskończoność, chociaż była dopiero dziesiąta. Ona i Mark Dwyer mieli wstępną naradę z kierownictwem Prior przed kolejną konferencją z Hamishem Brownem. Kolejne zapchane przedpołudnie.

Od czasu oświadczenia rządowego Caroline wydawało się, że Prior Systems nie opuszcza jej we dnie ni w nocy. Dyrektorzy przeżyją niemiły szok, kiedy zobaczą rachunek za dotychczasową pracę. Wbiła chmurne spojrzenie w bibularz, przypominając sobie, że powinna wysłać rozliczenie w zeszłym tygodniu. Zrobiła notatkę i zganiała się w myślach. Każdy wspólnik miał wpojone, że należy pilnować wysyłania rachunków, zwłaszcza za takie usługi. Co się z nią dzieje? No cóż, odpowiedź na to pytanie była prosta: Gerry Willshaw. AU nikomu nie wolno było tego zgadnąć. Był szalenie zajęty po tamtym wypadku drogowym i miała wrażenie, że nie można włączyć telewizora, by nie ujrzeć Gerry'ego - zaabsorbowanego, w środku wydarzeń, popychającego dochodzenie, otoczonego rodzinami ofiar, udzielającego wywiadów na prawo i lewo. Przez ostatnie kilka tygodni spotkała się z nim tylko raz, na parę godzin, i tęskniła za nim bardzo.

Dotarło do niej, że Martin stara się złagodzić ogólnie napiętą atmosferę.



- Trochę ciężko sobie z tym poradzić. Williamson jest przewodniczącym komisji i wedle ostatnich wieści ma wrócić za dwa tygodnie. Ale to samo mówiło się dwa tygodnie temu. I wiele dzieje się za kulisami - ludzie wyłazą ze skóry, byśmy nic nie dostali przy renegotjacji tych kontraktów.

- To trudne - powiedziała Caroline starając się zażegnać konflikt. - Też nie wiem, co z tym zrobić. - Nie ugięła się pod potępiającym spojrzeniem trzech par oczu. - Nie mam wielu nieuczciwych radnych wśród moich klientów, przykro mi. Co wy byście zrobili? Gdyby mnie nie było i nie przeprowadzalibyśmy razem wykupu?

- Szepnęłoby się słówko lokalnej prasie - oświadczył niewzłocznie Peter. - Zawsze jest szczęśliwa, kiedy może opublikować artykuł o korupcji w magistracie.

- Mhm. - Pomruk Caroline wyrażał wątpliwość.

- Pogadałoby się z kimś w radzie - pospiesznie zaproponował Martin, starszy i bardziej cierpliwy niż pozostali dwaj.

- Na przykład z kim? - Caroline skoncentrowała się na tej sugestii.

- W Dorrington jest spora mniejszość konserwatywna. Na tyle silna, żeby rządzącej grupie nie było za łatwo. Musiała wycofać plan rozwoju dróg w zeszłym roku, pamiętasz, Peter? To zasługa tego gościa Malverna. Czekać, czekać, on jest za pan brat z Gerrym Willshawem. Wszystko mi się przypomina. Willshaw uczestniczył w rewizji tego planu.

Wszyscy spojrzeli z nadzieją na Caroline. Dołała sobie kawy, zachowując profesjonalnie nijaki wyraz twarzy.

- Mhm - wymruczała wreszcie, gdy podniósłszy oczy stwierdziła, że wszyscy się w nią wpatrują, i uznała, że wypadałoby jakoś zareagować.

- Chyba mógłbym go zapytać. - Peter uznał, że Caroline skończyła wypowiedź. - Przecież odwiedził budowy.

- Czy jesteśmy skazani wyłącznie na niego? To znaczy, czy nie moglibyście bezpośrednio skontaktować się z tym Malvernem? Coś mi się zdaje, że powinniśmy trzymać ciężką artylerię w odwodzie.

Trzej mężczyźni powoli skinęli głowami. Caroline kamień

spadł z serca. Dobrze wiedziała, że nic bardziej nie podkopie jej związku z Gerrym i nie odstręczy go od popierania tego wykupu niż prośba o podjęcie jakiejś niewdzięcznej akcji.

- Trochę znam Malverna - rzekł nie pytany Martin. - Działam w sąsiednim okręgu. Mógłbym z nim pogadać.

- Nie naciskaj go za mocno - surowo doradziła Caroline. - Zwierz się tylko z najgorszych obaw, bąknij, że to może paranoja, a potem spytaj, co masz robić.

- Myślałem o czymś podobnym - rzekł łagodnie Martin.

Caroline tak ulżyło po odciążeniu ich uwagi od Gerry'ego, że przestała trzeźwo myśleć. Zdała sobie z tego sprawę.

- Przepraszam, Martin, przepraszam. Jak cieba jeść jajeczko? Tak mi pokazywałaś, babciu. - Przepraszająco pogładziła go po ręce. Wybuchnął śmiechem, ujęty jej zachowaniem.

- Mamy jeszcze inny problem - powiedział Peter wbijając w nich obsesyjne spojrzenie. - Dziś rano rozmawialiśmy z NEB. Oferta sprzedaży poszła do dwudziestu ośmiu odbiorców.

- Nie ma się czym przejmować, Peter - oświadczyła stanowczo Caroline. - To naprawdę nie powód do zmartwień. Każdy bank w City chce mieć kopię, żeby móc się na nią powołać. Większość tego zainteresowania nie jest na serio.

To można by zgrabniej wyrazić - delektował się w myślach niezbyt zręcznym sformułowaniem Caroline Mark Dwyer, obserwując twarz Petera.

- Rozumiem przez to, że zainteresowanie wyraziły grupy ludzi zbyt małe, zbyt słabe lub działające w sferze zbyt odległej od waszego biznesu, by móc zgłosić realną ofertę względem Prior - uściśliła.

Caroline również zauważyła minę Petera i by zatrzeć poprzednią wypowiedź, oświadczyła, że muszą jechać, i bez żadnych już gaf zjawili się przed potężnym nowoczesnym budynkiem - siedzibą Hamisha Browna i jego zespołu.

Natychmiast ich wprowadzono, i to nie do gabinetu Hamisha, gdzie rozmawiali poprzednio, ale do sali konferencyjnej.

- Poważna sprawa - oświadczyła Caroline rzucając teczkę na najbliższy fotel. - To znaczy, że Hamish ma przygotowany cały

zespół. Pewnie to już nie będą zwykłe gryzpiórki; džentelmeni, weźcie się w garść. Siądźmy razem plecami do światła. Mark obok mnie.

- Gdzie ja mam być? - spytał lekko obrażony Peter.

- Jak danie główne w menu. Dokładnie pośrodku. Graham obok ciebie, a dobrze będzie, kiedy ja znajdę się z twojej drugiej strony. Dzisiaj czeka nas ciężka przeprawa.

Drzwi otworzyły się i wskoczył Hamish Brown, jowialny i przyjacielski; za nim sunęła mała armia ubranych w szare garnitury mężczyzn. Przeciął pokój i przywitał się z Peterem. Caroline przypatrywała się im. Prezentowali całkiem różne typy: Hamish - ciemny, tęgi, pewny siebie, nieskończenie sprytny Gal, i Peter - szczupły, jasny, o delikatnych rysach i rudych włosach, zapalczywy wiking. Skupiła się na reszcie: trzech podwładni Hamisha, sami Szkoci, akcenty zróżnicowane, od Glasgow do Aberdeen. Tym razem musi postarać się zapamiętać ich nazwiska. Dwaj starsi mężczyźni trzymający się trochę na uboczu całego towarzystwa. Poza tym jedna znajoma twarz, Peter Cairns, wspólnik u Andrewsa Johnstona, przeszkodził jej podczas pierwszego lunchu z Gerrym. I w końcu, co wcale nie znaczy, że najmniej ważny - wysoki, potężnie zbudowany, siwy mężczyzna, cierpliwie czekający na końcu kolejki. Spotkali się wzrokiem i podsunął się ku niej, podczas gdy ona zdecydowanie wzięła Petera za rękę.

- Bardzo się cieszę, że możemy się znowu spotkać. Należą ci się nasze podziękowania za nawiązanie tego kontaktu.

- William, to jest Peter Burwood. Pan Burwood, sir William Eyre. Peter, zapewne znasz sir Williama, prezesa Martins. Jak mniemam, nie zostaniesz na naradzie, William?

- Niestety, inne obowiązki wzywają. Ale chciałem się pokazać i poznać kierownictwo firmy. Bardzo się cieszymy, że zostaliśmy zaproszeni do współpracy; to niezwykle ekscytująca możliwość.

Drużyna z Prior, nie bardzo wiedząc, jak się zachować, wymruczała różne grzecznościowe formułki pod czujnym okiem Caroline. Sir William opuścił salę po pięciu minutach.

- Czy zawsze jest uprzejmy wobec kierownictwa? - Martin spytał półgłosem Caroline.

- Tak. A raczej na tym etapie. - Uśmiechnęła się szeroko. Sprawdziła, gdzie wszyscy zajęli miejsca, i zebrała swój zespół koło okna. - Fakt, że ściągnęli go do nas, wskazuje, że Hamish zdecydował się poprzeć was na całego. Nie znaczy to, że nie będzie wybrzydzał ile tylko się da, ale jest po naszej stronie.

- Bo, cholera, powinien być - rzekł wojowniczo Peter.

- Tak. Ale miło o tym wiedzieć. Dobra. Najpierw chcę ustalić cenę transakcji, potem udziały kierownictwa. Jak powiedziałam, będą zgłaszali niską ofertę. Nie wściekajcie się. Działajcie według planu. To jedziemy.

Wszyscy usiedli i z tej pozycji jeszcze raz przedstawili się z powagą. Caroline profesjonalnie naszkicowała plan i przekazała go Peterowi.

- Po co ściągnęli jeszcze jednego prawnika? - spytał cicho, podkreślając kciukiem nazwisko Petera Cairnsa.

- Pracuje dla grupy Hamisha. Ma dbać o to, żebyśmy nie obdarli ich ze skóry. Pamiętaj, ja jestem po waszej stronie.

- Czy oni mu płacą?

- Nie. My płacimy, bezpośrednio albo pośrednio. Zaczekaj, to również będzie omówione dzisiaj. Tamci dwaj to eksperci budowlani.

Zespół Hamisha przygotowywał dokumenty mrużąc oczy w słońcu.

- Mieliśmy możliwość wykonać kawał dobrej roboty, zarówno jeśli chodzi o przedsiębiorstwo, jak i o gałąź przemysłu, w której działa - zaczął uprzejmie Hamish kładąc daleko przed sobą ręce na stole. - I oczywiście porozmawialiśmy z szanownymi panami o widokach firmy na przyszłość. Są one nadzwyczaj dobre. Tak. Ale są również bardzo poważne minusy; waszym dominującym klientem jest rada miejska w Dorrington i macie upartą, trudną konkurencję walczącą o tegoż klienta. To wpływa na obniżkę cen kontraktów, których możecie się spodziewać. Wiem, że planujecie rozszerzyć usługi na innych

klientów, ale to zabierze czas. Biorąc to wszystko pod uwagę, chciałbym usłyszeć, co Andrew i Michael mają do powiedzenia o tej gałęzi przemysłu.

Peter poruszył się w fotelu. Zacisnął wargi, bladeść na policzkach zamieniła się w szkarłat i Caroline ostrzegawczo dała mu znak pod stołem.

- Daj im się wygadać - rzekła ledwo poruszając wargami. Kiwnął głową, rozluźnił się i naśladowując jej zachowanie, wpatrywał się bez uśmiechu w dwóch ekspertów budowlanych, którzy za pomocą wykresów i kredek opisali trendy wysokości stóp procentowych, zamówień i wzrostu populacji.

- Więc tak my to widzimy - rzekł po kwadransie nadal serdecznie Hamish. - Fajne przedsięwzięcie, doskonale kierownictwo, ale trudny dział przemysłu i w waszej konkretnej sytuacji ograniczony rynek zamówień, co z pewnością zmniejszy przyszłe zyski.

Śmiesznie mówi „zyski”. Czemu nigdy wcześniej tego nie zauważyłam? - pomyślała Caroline gotując się do bitwy, ale Peter gładko wszedł do akcji logiczną, spójną wypowiedzią, podając jako przykład duży kontrakt zamówiony przez radę miejską dobrych kilka setek mil dalej. Przypomniał też o wielkiej redukcji kosztów własnych. Po dziesięciu minutach skończył i popatrzył na Caroline.

- Co po tym wszystkim myślicie o cenie, Hamish? - zapytała i druga strona stołu wyprostowała się.

- No cóż, dojdziemy do tego za chwileczkę. - Hamish okazał nieznaczne zdenerwowanie, ale była uparta.

- Chociaż miło się nam tu gawędzi, Hamish, to jednak nie zwalnia nas to od konieczności powiedzenia, że dziś rano jakieś dwadzieścia osiem grup otrzymało ogólne oferty sprzedaży. Z tego jakieś osiem czy dziewięć to w ocenie kierownictwa poważni chętni.

Kierownictwo, które nie rozważało szczegółowo składu listy oferentów, starało się przybrać zblazowane miny.

- Wiemy również, i wczoraj przekazałam to jednemu z twoich pracowników, Hamish, że Friern nieformalnie zaproponował sześćdziesiąt pięć milionów. Nie ma powodu do przypuszczeń,

że przesadnie ocenia widoki, jakie otwierają się przed firmą. Mam więc nadzieję, że to wszystko - machnięciem ręki zbyła piętnastominutową analizę - nie oznacza, że proponujecie sporo poniżej sześćdziesięciu pięciu milionów.

- Tyle właśnie proponujemy. - Hamish, początkowo zaskoczony, szybko się pozbierał.

- To znaczy ile?

Hamish wziął głęboki oddech i spojrzał na kartkę. Caroline i jej zespół wpatrywali się w nią jak banda kotów w mysia dziurę.

- Naszym zdaniem przedział czterdzieści pięć - pięćdziesiąt milionów jest właściwy.

Peter z wolna poczerwieniał jak burak. Caroline tylko westchnęła.

- Czyż to nie milutkie? Dziecinnie łatwe do sfinansowania; wszyscy, cholera, zbijemy fortunę. Jedyne problem, Hamish, to że nawet nie zostaniemy wzięci pod uwagę. Friern przebiję nas na starcie.

- Cholera, to śmieszne. Jeśli wy to sobie tak wyobrażacie, to musimy pogadać z kimś innym. - Peter nie był w stanie dłużej nad sobą zapanować.

- Ale oczywiście, że pogadamy - uspokoiła go Caroline. - Ale słuchaj, jak już tu jesteśmy, to możemy poświęcić jeszcze pięć minut na dowiedzenie się, dlaczego Hamish, który przecież już wcześniej przeprowadzał transakcje, uważa, że możemy zawrzeć tę umowę za dwadzieścia pięć procent mniej, niż proponują wszyscy inni.

Cztery głowy odwróciły się jednocześnie w kierunku drugiej strony stołu, z wyrazem uprzejmego, akademickiego zainteresowania, i najstarszy podwładny Hamisha wskoczył na ring.

- Założyliśmy, Caroline, że są specjalne czynniki natury politycznej, które umożliwią twojej grupie zdobycie tego przedsiębiorstwa za niewygórowaną cenę.

McMaster, McAndrew, McMurray? - zastanowiła się wpatrując w swój plan.

- Bo i są, Iain - potwierdziła radośnie. - Jak to zawsze mówiłam, polityczne plusy Prior i jego kierownictwa umożliwią

transakcję z opóźnionym terminem zapłaty i powinny zaoszczędzić nam na starcie dziesięć milionów. Ale żeby to uzyskać, musimy wnieść pewną potencjalną nadwyżkę - musimy się zgodzić na podział każdego niespodziewanego zysku. I nasza oferta mówiąca o odroczonej płatności winna być bardzo zbliżona do pozostałych. A czterdzieści pięć - pięćdziesiąt milionów to za mało.

- Więc te polityczne plusy nie są aż tyle warte? - zasugerował Iain McMurray. Wyraźnie był przekonany, że trafił w słaby punkt.

- No, nie wiem, jak wy, specjaliści z działu kapitału inwestycyjnego, oceniacie wartość tego, że można odroczyć spłatę dziesięciu milionów - ostro zareplikowała Caroline. - Przyjmując cenę pięćdziesięciu pięciu milionów plus dziesięć milionów odroczone i to, że za trzy lata uda nam się wejść na giełdę z niewygórowanym wskaźnikiem cena/zysk wynoszącym siedem, wasz dochód przed opodatkowaniem wyniesie ponad sto procent.

- Wedle naszych obliczeń sto dziesięć - wtrącił Graham.

- To sporo, jak sądzę - rzekł przez zęby Peter. - Czytałem, że większość banków inwestycyjnych szuka dochodu rządu czterdziestu procent rocznie, a jest szczęśliwa, kiedy wyciąga dwa-dzieścia.

Druga połowa stołu przyglądała mu się w ciszy tak gęstej, że można było ją krajać. Peter Cairns miał opuszczoną głowę. Caroline, kierując się długim doświadczeniem uznała, że pracuje nad inną sprawą- ale doradcy techniczni i zespół Hamisha cała uwagę skupili na dyrektorach Prior.

- Nie wątpię, że przyjęliście pewne wysokie założenia co do szans pożyczki pod zastaw waszych akcji? - spytał niechętnie Hamish przerywając milczenie.

- Nie wydaje mi się - odparła ostro Caroline. - Tak jak zasugerowałeś, stworzyliśmy strukturę dla NewCo - firmy, którą posłużylibyśmy się przy zakupie. Graham, zechciej przekazać projekt. - Uśmiechnęła się do Grahama, który rozdał małe stosy dokumentów. Pracownicy Martinsa rzucili się do lektury.

- Ta struktura wydaje mi się skądś bardzo znajoma - rzekł ciężko Hamish po pięciu minutach.

- Bo opiera się na naszych ostatnich wspólnych doświadczeniach, Hamish - potwierdziła Caroline. - Nie ma sensu pracować z wiodącymi bankami inwestycyjnymi, jeśli nie korzysta się z ich doświadczeń.

- W tamtym przypadku, Caroline, mogliśmy liczyć na większą gotówkę i wyższe zyski - zaproponował Hamish. - Przedsiębiorstwo miało wielu klientów i żadnych wątpliwych elementów tam, gdzie chodziło o przyływ gotówki.

- To zapewne dlatego ocenileś tamtą grupę na o wiele wyższy wskaźnik cena/zysk, niż ktokolwiek uznał za stosowny w przypadku tego przedsiębiorstwa.

Hamish chrząknął i jego najstarszy współpracownik, McMurray, pospieszył mu z pomocą.

- No, dobra, nie ma sensu rozwodzić się nad firmą, o której wielu z nas nic nie wie. Ale, Peter, czy nie uważasz, że wskaźnik pokrycia zobowiązań kapitałem akcyjnym jest nie najlepszy?

Peter, pouczony przez Caroline, że na tym etapie jakiegokolwiek ustępstwo co do wysokości planowanej pożyczki oznacza obniżenie o punkt akcji przeznaczonych dla kierownictwa, gładko powtórzył przewidywaną w prognozach nadwyżkę i podkreślił swoje przekonanie co do napływu gotówki z renegotjacji kontraktów. Od czasu do czasu korzystał z pomocy Grahama, który podsuwał właściwe dane. W godzinę później linia frontu biegła mniej więcej tak samo, ale dym nad okopami się rozwiął. Martins milcząco zgodził się na ofertę w wysokości pięćdziesięciu pięciu milionów plus odroczone dziesięć i uparł się przy obniżeniu pożyczki z banku o dziesięć procent, co oznaczało zmniejszenie akcji dla kierownictwa i pracowników z dwudziestu do piętnastu procent i redukowało akcje uprzywilejowane z piętnastu do dziesięciu milionów funtów. W tych dwóch punktach dyrektorzy Prior nie zamierzali ustąpić o włos. Za obopólną zgodą obie strony odstąpiły od sporu nad tymi sprawami, poświęcając uwagę technicznej stronie transakcji: kto co ma napisać i jakie honoraria będą płacone przez kogo. Dyskusję co do pierwszego punktu drużyna z Prior zwyciężyła bez walki, kładąc na stół roboczą wersję umowy między Martinsem i zespołem



kierowniczym oraz wersję roboczą statutu NewCo, przypuszczalnie przechrzczonej na spółkę akcyjną PBS. Ten skrót wydał się nowocześniejszy i bardziej przystający do lat osiemdziesiątych. Caroline zauważyła z wyższością, że Peter Cairns wygląda na mocno zaskoczonego tym obrotem sprawy, ale ona i jej współpracownicy zawsze pracowali szybciej i bardziej wydajnie niż większość kolegów płci męskiej. Spojrzała na Marka, wyrażając mu w ten sposób gratulacje, i z ulgą zagłębiła się w dyskusji o honorariach, wspierana w pełni przez dyrektorów Prior, przejętych wręcz zgrozą na widok kwot, które zawinszował sobie Martins.

Wreszcie Caroline i Hamish przerwali coraz bardziej zajadłe negocjacje, uznając bez słów, że poszukają kompromisu na osobności. Uczestnicy spotkania sztywno podnieśli się z foteli i usiłowali nawiązać kontakt ze swoimi odpowiednikami z drugiej strony, chociaż Peter Burwood był najeżony, a Peter Cairns wyraźnie poczuwał się do tego, że powinien się bardziej wykazać. Wyrósł przy boku Caroline, która usiłowała zebrać swoją grupę do odjazdu i ustalić następne kroki.

- Będę z tobą w kontakcie. Opracujemy wersje robocze umów - zaczął szumnie. - Chociaż oczywiście jest jeszcze masa czasu.

- Nie za bardzo. - Nie miała ochoty mu pomagać. - Prosimy o spotkanie ministra budownictwa. Nasz zespół nie chce się tam zjawiać bez dobrze udokumentowanego wsparcia ze strony banku inwestycyjnego i głównych pożyczkodawców.

Szczyty kości policzkowych Petera Cairnsa poróżwiały.

- Kiedy zobaczyłem cię na intymnym lunchu z Gerrym Willshawem, myślałem, że będziesz miała to wszystko pod kontrolą.

- Rząd mimo wszystko chciałby dostać forszę za to przedsięwzięcie. Takie to już staromodne dziwaki. Niech wiedzą, że mamy gotówkę - gwarantowaną przez Martinsa albo kogoś innego!

Była roztrzęsiona. Zespół z Prior skupił się wokół niej opiekuńczo. Rzecz jasna, nie kto inny, tylko Martin objął ją ramieniem i powiedział, żeby się ruszyła, gdyż muszą zdążyć na pociąg,

ale postawią jej drinka po tej całej żmudnej robocie. Wyszła z nimi czując na plecach oczy Petera Cairnsa.

Po czterech godzinach, o piątej po południu, razem z Markiem Dwyerem analizowali stos dokumentów dostarczony przez specjalnego posłańca tuż przed lunchem. Uznali, że nie dojdą do niczego sensownego bez pomocy, gdy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę nie odrywając oczu od pism.

- Pan Burwood do ciebie, Caroline. Przepraszam, że przeszkadzam, ale twierdzi, że musi się połączyć.

Caroline spojrzała nieprzyjaźnie na aparat.

- Zaczekaj, Peter, mam tu Marka, przełączę na głośnik. - Ogarnęła władczy, groźnym wzrokiem rzędy przycisków. Mark, który pracował z nią od ponad roku i wiedział, że nie zgłębiła tajników posługiwania się nowoczesnym telefonem, pochylił się i nacisnął stosowne dwa guziki, tak że nagle w pokoju rozległ się głos rozgorączkowanego Petera.

- ...kiedy wróciliśmy, okazało się, że cała fabryka stoi. Od malarni wszystko zależy, wiesz.

- Ale co się stało, Peter?

- Jeszcze nie wiemy. Usiłują tego dojść na budowie, ale cała sobotnia partia jest uszkodzona, farba łuszczy się i spada. Musimy oczyścić te płyty i zaczynać od nowa.

Mark spojrzał na Caroline z powątpiewaniem. Większość klientów Smitha Butlera nie uważała za konieczne dzwonić do kancelarii i informować z detalami o każdej usterce w fabryce.

- Więc straciliście lub stracie kilka dni produkcji. Ale słuchaj, czy takie rzeczy po prostu nie przytrafiają się w malarni? To znaczy, co można było zrobić w tym czasie? Jak można dokonać sabotażu w malarni?

- Jest wiele sposobów. I większość można zastosować u nas - jest akurat w ten sposób zaprojektowana.

- Na przykład wsypać cukru do farby?

Zapanowała głośniejsza od eksplozji cisza i Peter zaczął narzekać, że to mogło być coś w tym rodzaju, a jeśli tak, to niech Bóg pomoże kierownictwu, wszystkie instalacje trzeba będzie

rozbierać i czyścić ręcznie.

- Ale w piątek w fabryce jedynymi ludźmi z zewnątrz byli Macleansowie. Zaopatrują też Frierna. Pozbawiamy się ich - rzekł ponuro.

- Założmy, że masz rację - powiedziała opryskliwie, gdy się uspokoił. - Naprawicie to za jakiś czas, ale jeszcze bardziej spóźnicie się z kontraktem w Deighton Hall. Zapłacicie wtedy kary umowne; to nie koniec świata. Ale nawet nie próbujcie się usprawiedliwiać sabotażem.

Tak, wtedy by się wam dostało - pomyślał Mark. Nikt by wam nie uwierzył.

- Nie możesz mówić jak dziecko, które nie odrobiło zadania domowego, no nie? - naciskała bezlitośnie Caroline. - Pies zjadł mój zeszyt. Mama mi schowała.

Słuchali pełnej wściekłości ciszy po drugiej stronie.

- Tak - odezwał się wreszcie Peter. - Ale Friern spieprzył moją malarnię! - Był to okrzyk bólu i usta Caroline zadrgały współczująco.

- Ale dlaczego, Peter? Dlaczego teraz? W jakim celu? I czy to musi być Friern?

- Zaczekaj, Caroline, Graham właśnie wszedł.

Nastąpiła pauza, w czasie której słuchać było wiele przytłumionych głosów. Caroline gestem poprosiła o kawę.

- Caroline? Tu Graham. Friern rozsiewa po całym okręgu pogłoski, że mamy awarię w malarni. To nie zostało jeszcze przekazane do publicznej wiadomości, więc oni na pewno są w to zamieszani. Pamiętasz ten wielki kontrakt, o który składamy ofertę, Marsh Lane? Przetarg będzie za kilka tygodni.

- Zapomniałam o terminie.

- No, i Friern konkuruje z nami. Jeśli będzie miał podstawy powiedzieć, że nie jesteśmy wiarygodni, to nam nie pomoże, prawda? Będziemy żądać mniej od nich, już to wiemy, ale jeśli tak się sprawy potoczą, zarzucą nam niekompetencję. Biorąc pod uwagę przeszłość tej fabryki, łatwo w to uwierzyć. Nie potrzeba awarii w malarni.

Tak, wcale - pomyślał trzeźwo Mark.

- Caroline, przyda się każdy twój pomysł. - Peter wrócił do rozmowy.

- Zastanawiałam się, co każdy z nas mógłby zrobić - odparowała niezwłocznie. - Czy zdołacie to udowodnić? To znaczy, czy znajdziecie w urządzeniach coś, co mogłoby tam wylądować tylko wtedy, gdyby ktoś, kto wam źle życzy, się o to postarał?

- Właśnie stamtąd przyszedłem - powiedział Graham. - Martins myśli, że to coś chemicznego. To znaczy nie piasek, nie żwir. Ale trudno to udowodnić.

Caroline zamyśliła się wpijając wzrok w Marka. Nie robiło to na nim wrażenia. Znał ją na tyle, że wiedział, iż myślami jest daleko stąd.

- Słuchaj, to na nic - powiedziała nagle, skupiwszy spojrzenie. - Jeśli oskarżenia o sabotaż nie zostaną szczegółowo udowodnione, po prostu nic nie dadzą. Prawdziwe zmartwienie to wpływ tej awarii na nowy kontrakt. Myślę, że powinniśmy przedstawić bardzo proste wyjaśnienie. Śrubka się obłuzowała, jeśli są tam jakieś takie śrubki. Błahostka, która się więcej nie powtórzy. Tak to rozegramy na następnym zebraniu rady. W porządku?

- Caroline. Wierzysz nam, prawda?

- O, tak - powiedziała powoli. - Wierzę. Wierzę w Prior Systems, jego dyrektorów, plan rozwoju spółki i istnienie jej wrogów. To źli ludzie.

Usłyszała szelest w tle, a potem głos Martina.

- Caroline? Chodzi o renegeccje kontraktu. Rozmawiałem z Tedem Malvernem, radnym konserwatywnym. Tak jak się umawialiśmy. Zrobi co się da, ale mówi, że dwaj pozostali konserwatyści w komisji niewiele się starają. Czas wezwać naszego głównego sojusznika politycznego. Szczególnie po tym, co się zdarzyło w fabryce. To obrzydliwe.

- Dla mnie to też był wstrząs - powiedziała trzeźwo Caroline. Była bardzo zmęczona. - Zgadzam się, musimy poinformować naszych przyjaciół. Zrobię to najszybciej jak się da. Nie, rozumiem, że należy się spieszyć. Uważajcie wracając do domu i

nie rozmawiajcie z żadnymi nieznajomymi.

Uśmiechnęła się słysząc całą serię zabawnych odpowiedzi, ale kiedy wyłączyła głośnik, była pogrążona głęboko w myślach.

- Niespokojne czasy, Mark. Możesz to skończyć gdzie indziej? Muszę zatelefonować i chcę to zrobić bez świadków.

Zwolniony w ten sposób Mark zebrał papiery i niechętnie wyszedł. Caroline równie niechętnie spojrzała na telefon. Naprawdę nie chciała prosić Gerry'ego o pomoc; czuła w głębi duszy, że rękami i nogami będzie się opierał przed mieszaniem go w tę sprawę, ale musiała stanąć na głowie dla zaharowanego, wystawionego na ataki kierownictwa Prior Systems. Zagryzła zęby i podniosła słuchawkę. Nie cierpiała zostawiać mu wiadomości w sekretariacie, ale choć dał jej wiele różnych numerów, bezpośrednie połączenie się zakrawało na cud. Jeśli w ogóle kiedyś był w domu, to w mieszkaniu, i tylko wczesnym ranem albo późno w nocy. Kiedyś zebrała odwagę i poskarżyła się mu na te trudności. Wtedy dostarczył jej harmonogram zajęć wskazujący, gdzie go szukać. Przebiegła wzrokiem kartkę i uznała, że jeśli będzie miała łut szczęścia, zastanie go samego w Izbie Gmin. Zadzwoiła i czekała z palcem na widełkach, na wypadek gdyby po pięciu dzwonek została automatycznie przełączona na sekretariat. Odetchnęła. Gerry odezwał się osobiście po trzecim.

- Tu Caroline. Dysponujesz wolną półgodziną? Mam problem zawodowy i potrzebuję rady.

Jak zawsze podczas rozmów telefonicznych był spięty.

- Jestem umówiony na kolację.

Ukłuło ją to, ale kontynuowała.

- Wiem. Mówiłeś mi. Mam twój harmonogram. Ale ten problem dotyczy Prior i nie wiem, od czego zacząć.

- To do ciebie niepodobne. - Był chłodny i zniecierpliwiony.

Przez chwilę chciała cisnąć słuchawkę, ale myśl o drużynie Prior uspokoiła ją.

- Więc czy możemy spotkać się przy Cardinal?

- Nie. Przyjedź tutaj. Spotkamy się w głównym hallu.
- Załatwione. Będę za dwadzieścia minut.

Przyjechała dwie minuty przed czasem, co okazało się korzystne, bo musiała przejść przez całą procedurę przeszukiwania torebki i odczekać cierpliwie kolejkę, zanim minęła urządzenie do wykrywania bomb. Weszła po schodach, minęła długi korytarz, pełen nawet o tej porze rozgadanych turystów, i weszła do głównego hallu, wielkiej okrągłej sali z wysokim sklepieniem i ławkami pod ścianami. Skierowała się do małego biurka, tak jak jej to wcześniej polecono, i poprosiła o połączenie z Gerrym. Czekala, podczas gdy policjant telefonował. Wpatrywała się z zadumą w pięciokolorową, ułożoną ze smakiem mozaikę ze świętym Andrzejem, gdy Gerry dotknął jej ramienia. Odwróciła się, by go pocałować, ale miał urzędową minę „witam ważnego wyborcę”, jak ją nazywała, więc zapanowała nad sobą i z powagą uściśnęła mu dłoń, ponuro podziwiając własne zdolności aktorskie. Obciął włosy - pomyślała z rozpaczą - a już miał za krótkie. To wina tych czterestu lat w wojsku.

Poprowadził ją źle oświetlonymi korytarzami i mroczną klatką schodową. Po drodze kłaniał się znajomym. Wpuścił Caroline do małego biura.

- Cóż to za okropne miejsce - powiedziała nerwowo. - Nie twoje biuro, ale ta cała reszta.

- Och, upierne. Zakątek piekieł. Musimy zmienić cały ten gmach.

To była automatyczna odpowiedź. Czekala, aż Gerry się uspokoi.

Zajął się nalewaniem drinka, choć wolałaby pocałunek. To dziwne, iż przy Gerrym, którego kochała, nie potrafiła się zdobyć na normalne, obcesowe zachowanie. Zwykle widząc zakłopotanego mężczyznę była gotowa potrząsnąć nim za kołnierz, ale teraz czuła się bezradna; siedziała, patrzyła i dostosowywała się do niego. Zdała sobie sprawę, że się go trochę boi. Przelknął jednym łykiem połowę szklanki i odstawił ją na bok.

- Cześć. - Poglądził ją po policzku.
- Cześć, kochanie. Przepraszam, że zwałam ci się na głowę.

Odebrał jej drinka, objął i przytulił się do niego policzkiem, czując głęboką ulgę.

- Co to za rozkosz się z tobą zobaczyć, nawet na pół godziny.  
- Ucałował ją, wsuwając dłonie pod jej żakiet i Caroline oddała mu pocałunek odurzona rozkoszą.

- O Boże, Gerry. - Zsunęła buty, żeby być bliżej niego.

- To typowe, że nie wolno nam mieć tu łóżek. Opowiedz mi o Prior. Zechciej usiąść.

Przysunął niewygodny fotel i siadła w nim, czując dojmujący smutek i starając się go nie okazać. Wyjaśniła mu kłopoty z Prior najtreściwiej, jak to było możliwe, nie pomijając domniemanego ataku serca radnego Williamsona i nieoczekiwanych uników partyjnego kolegi Gerry'ego, Teda Malverna.

- Ale dlaczego Williamson to robi? Żeby zaoszczędzić pieniędzy laburzystowskiej radzie miejskiej?

Caroline zdziwiła się.

- No nie, kochanie. Podejrzewa się, że został oplacony. Przez Frierna albo innych - to nie zostało dowiedzione.

- To znaczy, że został przekupiony?

Caroline z niepokojem przyjrzała się kochankowi, rozważając przelotnie, czy z winy namiętności mocno nie przeceniła jego inteligencji.

- Przepraszam, kochanie. Najwyraźniej ciężko myślę - rzekł, z irytacją przestawiając rzeczy na biurku. - Więc to korupcja władz lokalnych.

- Po to ludzie wchodzą do takich rad.

Zamarł.

- To niemożliwe. To znaczy... chcę powiedzieć, że nie po to ludzie idą do Izby Gmin.

- Tak, bo posłowie parlamentu nie mają żadnej prawdziwej władzy. - Zobaczyła jego minę i pospiesznie dodała: - To znaczy, indywidualnie nie możecie wpłynąć na to, żeby wasi kumple dostali gotówkę albo kontrakty. Kochanie, gdy chcesz wprowadzić nowy program budowy dróg, to musisz przekonać mnóstwo

ludzi - na przykład większość gabinetu - i nawet jeśli ci się to uda, nie możesz przekazać zamówień konkretnym wykonawcom. Ale jeśli jesteś w lokalnych władzach, to sam decydujesz. Jak ten Williamson, który kieruje pracami komisji mogącej przyznać mojemu klientowi osiem milionów i wybierającej następnego kontrahenta. To właśnie ciągnie ludzi do rad miejskich - władza. Był pełen obrzydzenia, ale i ciekawości.

- Chcesz powiedzieć, że nawet na szczeblu rad miejskich przyjmuje się łapówki? Tak? Jakie łapówki?

- Tradycyjnie brązową kopertę wypchaną gotówką w używanych banknotach. Ja nigdy tego nie dawałam - to nie robota prawników. Ale wyrażenie „robota za brązową kopertę” oznacza zlecenie za łapówkę.

- Czemu „brązową” kopertę?

- Jest większa od białej. Gotówka w banknotach zajmuje sporo miejsca.

Głęboko zamyślony dopijał drinka.

- Kochanie, czy prosisz mnie, bym powstrzymał radnego Williamsona przed przyjmowaniem łapówek?

- Wiesz, myślałam, że konserwatywna mniejszość w Dorrington udzieli nam pomocy, ale się na to nie zapowiada. Dlaczego zajęła takie stanowisko? Czy wykrycie korupcji wśród laburzystowskich radnych nie przysłużyłoby się wam bardzo? Powiedz mi, co robić, Gerry, a ja się tym zajmę.

Natychmiast okazał znużenie, wszystkie rysy ruchliwej twarzy ułożyły się w ostre linie. Caroline westchnęła.

- Czy jest na to sposób polityczny, czy też przyjmiemy metodę mojego klienta, który chce wałnąć młotem kowalskim i podać całą rzecz do lokalnej prasy? Mam wrażenie, że to podziała jak bomba atomowa, a powinno się użyć łagodniejszego środka. - Zastanawiała się, czy nie nadać wagi problemowi, nie opowiedzieć o sabotażu w fabryce, ale zrezygnowała. Czuliła przez skórę, że Gerry wzdrygnie się na jakąkolwiek melodramatyczną wzmiankę. Miała rację doradzając kierownictwu, że samo musi przełknąć tę żabę.



Wyraz twarzy Gerry'ego oscylował między podziwem a potępieniem i uznała, że powinna zmienić temat.

- Nie miałabym nic przeciwko jeszcze jednemu drinkowi.

- Przepraszam. - Zerwał się i dopełnił szklanki. - Zgadzam się, należy sięgnąć po rozwiązanie polityczne - powiedział, z namysłem przyglądając się butelce. - Słuchaj, daj mi się nad tym zastanowić do następnego tygodnia, dobrze? Pomówię z kilkoma ludźmi. To może poczekać do tej pory?

Ukradkiem zerknął na zegarek i Caroline czując, że jej obecność staje się niepożądana, przełknęła połowę drugiego drinka, na którego naprawdę nie miała ochoty.

- O, tak. Dziękuję ci, kochanie. Muszę iść, żebyś miał czas się przygotować. - Skończyła drinka kolejnym łykiem i wstała. Pokój lekko zawirował wokół niej. Pracowała od siódmej tego dnia, a za cały lunch miała kanapkę. Gerry natychmiast znalazł się obok, łapiąc ją pod ramię, i uśmiechnęła się do niego przepraszająco. - Wybacz. Długi dzień.

Trzymając ją w objęciach wyznał nagle:

- Chciałbym zabrać cię do siebie, pójść z tobą do łóżka i patrzeć, jak zasypiasz. Ale nie mogę zawieść ludzi. Muszę iść.

- Oczywiście. Tacy jak my nie mogą wycofywać się w ostatniej chwili ze starannie zaprogramowanych przyjęć.

Nie mogą, ale byłoby cudowne, gdybyśmy byli choć trochę mniej pewni, kim jesteśmy i gdzie leżą granice naszych obowiązków - pomyślała tępo.

- Pójdę z tobą i wezwę taksówkę. - Pomógł jej włożyć płaszcz i odprowadził ją na dół. Czekala w wystawionym na przeciągi wyjściu dla posłów. Taksówka miała się pojawić w odpowiedzi na mrugające światło przy bramie.

Wysoki, ciężki, siwy mężczyzna, trochę znajomy Caroline, przeszedł obok kierując się do Izby. Skinął głową Gerry'emu, a ją ogarnął jednym spojrzeniem.

- Kto to był, Gerry? - spytała odprowadzając wzrokiem mężczyznę.

- Główny naganiacz. Będę musiał mu wyjaśnić, że miałem szczególnie interesujący pod względem prawnym problem. - Wyglądał na zmęczonego i uśmiechnęła się do niego smutno.

Podjechała taksówka i Gerry otworzył drzwi.

- Dobranoc. - Ucałował Caroline przelotnie, skinął dłonią i wrócił do budynku.

## Rozdział osiemnasty

Rozpoczął się Wielki Tydzień i Andy Eames Lewis pomyślał z wściekłością, że czekają go typowe cholerne święta wielkanocne. Śnieg z ostatniego tygodnia ustąpił obfitym deszczom i wizja pięciu dni z rodzicami Emmy w Hampshire, z niemowlęciem i pięcioletkiem, bez niańki, budziła w nim szczerą zgrozę. Przez ostatni tydzień żył potajemną nadzieją, że w spółkach akcyjnych wydarzy się na tyle poważne nieszczęście, że jego obecność stanie się nieodzowna. Po dziale szczącym się klientelą składającą się w dziewięćdziesięciu pięciu procentach ze spółek prawa handlowego, a obsługiwaną w dziewięćdziesięciu procentach przez zawodowy personel, wypadaloby się spodziewać, że wezwie do jakiejś nie cierpiącej zwłoki sprawy swojego szefa, ale była Wielkanoc i nawet ci drapieżcy, na których w normalnych okolicznościach można by polegać, udali się na wakacje. Z nadzieją przyciskał klawisze, przeszukiwał listę poważniejszych klientów. Wyglądało na to, że rynek ułożył się do snu; na rachunkach uwidaczały się nieznaczne ruchy w obie strony, zapewne ludzie równowazyli salda. Westchnął, czując się równie okropnie jak przy sporządzaniu rozliczeń kwartalnych, co nastąpi w tydzień po Wielkiejnocy, choć nawet wtedy będzie już lepiej. Położył kciuk na przycisku służącym do wzywania kierownika odpowiedzialnego; na tym stanowisku tradycyjnie zatrudnia się najmłodszego stażem pracownika lub pracowniczkę, jeśli u Walzheimsa kiedykolwiek zatrudni się na odpowiedzialnym stanowisku kobietę. Na razie wystarczająca liczba

naprawdę niegłupich mężczyzn walczyła o zatrudnienie u Walzheimsa, żeby firma nie musiała zawracać sobie głowy kobietami, w przeciwieństwie do koszmarnych kancelarii radcowskich, które były skazane na rekrutację wśród kobiet. Caroline Whitehouse stworzyła osamotnioną czołówkę, ale w następnych latach pojawiły się falangi kobiet i niektóre z nich będą wkrótce współnikami na wysokich, do tej pory wyłącznie męskich szczeblach drabin władzy. Nachmurzył się myśląc o Caroline. W tym momencie zadzwonił telefon.

- Pan Edwards do pana - powiedziała sekretarka i Andy ociągając się podniósł słuchawkę.

- Tak. Cześć, jak się miewasz.

- Całkiem nieźle, dziękuję, panie Eames Lewis. - Edynburski akcent był znajomy i uspokajający. - I jestem wdzięczny za przedstawienie Friernowi. Tak tylko pomyślałem sobie, że dam panu znać - choć nie wątpię, iż pan już o tym słyszał - że nie stoi w miejscu. Naturalnie to na razie wstępne rozpoznanie.

Gadając z Edwardsem przez telefon, człowiek jest nieuchronnie skazany na niemiłe uczucie - pomyślał Andy, chociaż ta linia, jak wszystkie linie u Walzheimsa, była rutynowo kontrolowana przez firmę ochroniarską. Są pewne działania, o których banki rebusowe wolałyby nie wiedzieć, na przykład płacenie nietypowych prowizji przy zamówieniach budowlanych, a *prima facie* należało nic nie wiedzieć o metodach, których używał Matthew Friern depreczując konkurencję. Święta racja, ale umywanie rąk też nie było bezpieczne. W przypadku tej bardzo politycznej sprawy każdy brud, który przyłgnie do Frierna, odcisnie się i na jego bankierach.

- Z przyjemnością pogadam z tobą od czasu do czasu, James - rzekł opryskliwie. - Nie chcę zawracać ci głowy dopytывaniem się o szczegóły i nie chciałbym się dowiedzieć, że wchodzimy sobie nawzajem w paradę. To skomplikowana sprawa.

Głos ze słuchawki zabrzmiał jeszcze ciepłej:

- Ze sprawami politycznymi zawsze tak jest. Moglibyśmy skrócić przekaz informacji, posyłając panu kopię każdego

raportu do sir Matthew, jeśli nie miałby nic przeciwko temu.

Andy nie od razu odpowiedział na tę sugestię. Może była wygodna, ale instynkt stanowczo podpowiadał mu, że winien powiedzieć „nie”. Po pierwsze, byłby skazany na rozmowy z Mattem, których wolał uniknąć, a po drugie, w razie kłopotów absolutnie nie chciał widzieć żadnych raportów.

- Wolałbym ich nie dostawać, James - powiedział uznając, że prawdopodobność czasem popłaca. - Słuchaj, może ustalmy, że od czasu do czasu będziesz mi mówił, co się dzieje. - Niech facet pamięta, dzięki komu smaruje swój chleb powszedni masłem. - Znasz na tyle dobrze charakter działalności Walzheimsa, żeby wiedzieć, gdzie nasze i twoje usługi nie idą w parze. A co teraz robisz?

- No cóż. Jeden z moich najlepszych ludzi węższy wokół Ministerstwa Środowiska. Stara się znaleźć byle co, każdy ślad świadczący o tym, że główny przeciwnik korzysta z niedozwolonego wsparcia. Szuka pozaprawnych kontaktów między nim i ministerstwem, takich spraw. Znalazł dobre źródło wiadomości we właściwym dziale - starszego faceta, który jest na wylocie.

- Nie wiedziałem, że pracownicy służby cywilnej w ogóle są zwalniani.

- To nieczęste. Wygląda na to, że gość ma problemy z alkoholem. I mam jeszcze jedną osobę, która draży temat w Dorington.

„Jedną osobę”. Pewnie kobietę - pomyślał przelotnie Andy.

- Rozumiem, że jesteś poinformowany o kontaktach Frierna z radą miejską? - spytał pośpiesznie.

- O, tak, niech się pan tym nie przejmuje. To jego słaby punkt, z tym że równocześnie użyteczny, więc szukamy, czy druga strona nie jest w podobnej sytuacji. Wie pan, w tej radzie jest pięciu konserwatystów i czterech liberałów.

- Nie wiedziałem - przyznał się Andy. - Masz coś jeszcze, co mogłoby się przydać?

- Nie, ale spotykam się z sir Matthew w przyszłym tygodniu, po świętach, i będę pana informował.

Spuście psy wojny ze szkockim akcentem\* - pomyślał z rzadkim u niego rozbawieniem Andy, odkładając słuchawkę i patrząc w przestrzeń. Uznał, że nie powie o tym ani słówka swojemu asystentowi. Niech dopina techniczne szczegóły finansowania i nie obciąża swojej pięknej głowy niczym innym.

\* Parafraza ustępu z *Juliusza Cezara* Williama Szekspira.

**T**rzy mile dalej na smaganych deszczem pustkowiach Marsham Street drużyna z Prior Systems schroniła się w Jaguarze. Peter, jak przystało na szefa, na przednim siedzeniu, Martin i Graham z tyłu, z wciśniętą między nich Caroline, której stopy po przyjacielsku i w sposób nieunikniony splątały się ze stopami Grahama.

- Wszyscy wyglądacie jak trzeba - rzekła stanowczo i trzech mężczyzn spojrzeli na nią nieprzyjaźnie.

- Zimno mi w uszy - poskarżył się Graham. - Czy ministra naprawdę obejdzie, że byliśmy u fryzjera? Czy w ogóle zwróci na to uwagę?

- Chodzi o zasady. Mamy wyglądać na zawodowców, którzy w każdej chwili mogą rzucić na stół drobne sześćdziesiąt melonów. - Caroline była krańcowo zdenerwowana, ale nie zamierzała tego ujawniać. - Ludzi godnych zaufania - dodała wpadając w zapał. - Budzących zaufanie. Takich, którzy nie narażą rządu na pośmiewisko plajtując przed samymi wyborami. Ludzi, którzy chodzą do fryzjera. Ale do rzeczy. Pamiętajcie, co potrzeba? Ja was przedstawiam, bo poznałam faceta i najstarszego pracownika służby cywilnej. Potem zagają Peter. Tak jak ustaliliśmy, nie odzywam się, tylko się uśmiecham i kiwam głową.

- Tak będzie najlepiej - ciepło ostrzegł Peter.

- No, nie powinnam się odzywać. To znaczy, nie za dużo - dodała, wyobrażając sobie różne przeszkody, i klienci wybuchnęli śmiechem. - Dobra, dobra. Słuchajcie, wypadaloby iść. Brian, sądzę, że wyjdziemy za jakąś godzinę - chyba wypiję kawę.

Kierowca Petera sklonił się jej niemrawo, spoglądając z ukosa na szefa, nieco zaskoczonego komenderowaniem jego pracownikiem, ale Caroline, nieświadoma tej pobocznej akcji, rozkazała Grahamowi otworzyć drzwi i, na litość boską, zabrać te długie nogi.

Dziesięć minut siedzieli w nędznej, przygnębiającej poczekalni ministerstwa. Caroline rozważała na głos, dlaczego uznano za konieczne lub za korzystne dobrać błady brąz ścian do ciemnego brązu sztucznej wykładziny. Podczas wygłaszania tej uwagi wyłonił się szef biura i wprowadził towarzystwo do gabinetu Winstanleya. Minister, Clive Fieldman, James Mather i Richard Watts czekali, gościnnie uśmiechnięci. W gwarze prezentacji, powitań i grzecznościowych propozycji wypicia kawy Caroline przechwyciła naganny wzrok Martina i zdała sobie sprawę, że Winstanley i jego główny doradca nie poszli do fryzjera przed spotkaniem, ale prawdę powiedziawszy, chyba zaniedbali to od miesięcy. Gęste blond włosy Winstanleya opadały na kołnierz, a Richard Watts musiał odgarniać z oczu ciemną grzywkę. Przełknęła duży łyk kawy, żeby nie zachichotać, i sparzyła się wrzątkiem. Jednakże Peter sprawnie zabrał głos.

- Panie ministrze, to uprzejmie z pańskiej strony, że zechciał się pan z nami spotkać - zaczął tak, jak to przepróbowali, po czym powtórnie przedstawił kolegów i wyjaśnił, dlaczego zdecydowali się wziąć udział w przetargu. Minister kiwał przyjaźnie głową, więc Caroline skoncentrowała się na Richardzie Wattsie, robiącym maczkę notatki.

Winstanley dał Peterowi skończyć przemówienie i zaczął swoją przygotowaną wcześniej wypowiedź, wyjaśniając, że oczywiście NEB jest odpowiedzialna za decyzję w sprawie sprzedaży zarówno Prior Systems jak i wszystkiego, co jest jej własnością, ale w równej mierze on, Winstanley, z racji ministerialnych obowiązków będzie musiał wyjaśnić parlamentowi podstawy decyzji NEB. Uznał więc, że będzie to korzystne, jeśli spotka się z kierownictwem Prior Systems i wyjaśni, jak ważne jest, by podatnik odzyskał poważne kwoty zainwestowane w przedsiębiorstwo.

- Jesteśmy gotowi zaferować godziwą cenę, panie ministrze. - Peter wprost umierał z chęci zabrania głosu.

Caroline miała nadzieję, że zapamiętał wielokrotnie powtarzane instrukcje.

Urzędnicza rutyna wymaga od ministra wygłoszenia pewnych uwag, by mogły zostać zapisane.

- Gdyby nie Gerry, nie wiedziałabym o tym - pomyślała. Nie wiedziałabym na czas, jak działa machina państwa.

- Mamy poparcie dużego banku inwestycyjnego - rzekł pewny siebie Peter.

- Do jakiego poziomu? - Richard Watts odgarnął włosy z czoła i pochylił się w przód.

- Do sześćdziesięciu milionów i wyżej.

Był na to przygotowany po dwóch godzinach bombardowania wszelkimi możliwymi pytaniami przez Caroline. Bezlitośnie przerywała za każdym razem, kiedy zaczynał dywagować. „Żaden minister nie będzie tak trudnym rozmówcą jak ja - zapewniła coraz bardziej zirytowanego Petera - ale żeby wygrać mecz, trzeba się spocić na treningu”. Drużyna Prior, prawdziwi zawodowcy, zagryzła zęby i ćwiczyła, aż Caroline była pewna, że tylko wybuch wojny odwróci uwagę Petera.

- W gotówce? - brwi Richarda Wattsa skoczyły w górę.

- Zamierzamy zaferować odroczenie części zapłaty. Uznaliśmy to za najbardziej uczciwy i czytelny rodzaj oferty, na wypadek gdyby w ciągu następnych trzech lat zysk przedsiębiorstwa mógł znacznie odbiec od prognoz.

Caroline zauważyła z dumą, że Winstanley jest pod wrażeniem. Zerknęła ostrożnie w kierunku Clive'a siedzącego przy końcu stołu. Poczula się mile pogłaskana jego uśmiechem i tym, że puścił do niej oko.

- Nie sprowadziliście ze sobą przedstawiciela banku inwestycyjnego. - Richard Watts nie uległ urokowi Petera, ale Caroline uznała, że za to przecież mu płacono.

- Uznaliśmy, że to niekonieczne - odparł Peter z doskonale wyważoną dawką łagodnego zaskoczenia. - Rzecz jasna, zaferował się pisemnie poświadczyć swoje poparcie.



Winstanley spojrział pytająco na Richarda Wattsa, który z pewnym rozdrażnieniem oznajmił, że Gruhners zapewne będzie wymagał tego rodzaju zapewnienia w trakcie procesu selekcyjnego ustalania ostatecznej, „krótkiej” listy. Po pauzie Peter zerknął buntowniczo na Caroline i oświadczył, że zapewne pan minister i NEB nie zapomną o tym, że każde przedsiębiorstwo używa technologii, której nie zamierza ujawniać konkurencji. Gdyby miał oprowadzać po fabryce każdego zainteresowanego, obniżyłby wartość firmy. Caroline wcześniej ostrzegła Petera, że taka wstawka, choć sama w sobie niewątpliwie słuszna, szczególnie biorąc pod uwagę akt sabotażu, będzie wyglądać na próbę storpedowania innych ofert. Teraz z rosnącym przygnębieniem spostrzegła, że miała rację. Ich akcje szły w dół jak przekłuty balon. Clive pilnie unikał jej wzroku. Winstanley kręcił się na fotelu, a Richard Watts przyglądał się Peterowi, jakby ten był szczególnie smacznym kawałkiem pieczenia. Jeśli nie powstrzyma Burwooda, gotów niebawem wziąć się do opisywania szkody w malarni.

- Peter, sądzę, że pan minister byłby bardzo zainteresowany waszym planem sprzedaży akcji pracownikom - rzekła z pogroźką w głosie.

Zastopowany Peter odwrócił się do niej z marszem na czole. W odpowiedzi spojrziała na niego jadowniczo, mając nadzieję przywołać go do porządku, i poprosiła Martina o przedstawienie planu akcjonariatu pracowniczego. Martin znakomicie wywiązał się z zadania. Spojrziała na Clive'a. Dusił się ze śmiechu.

- Bardzo interesujące - odezwał się z ociąganiem Winstanley.

Z całą uwagą zaczęła się przysłuchiwać wyjaśnieniom Martina, który opisywał sposoby wytłumaczenia pracownikom, co to są akcje i co się z nimi robi. Zamierzano użyć technik prezentacji publicznej i szeroko zastosować wideo.

- Naturalnie, to całkiem nowa problematyka dla siły roboczej w Dorrington - rzekł przepraszająco w konkluzji - ale znamy skalę problemu i wiemy, ile wysiłku musimy włożyć, by mieć pewność sukcesu.

- Niezwykle pasjonujące - powiedział Winstanley.

Chyba rzeczywiście tak myśli - uznała z uniesieniem. To do niego wyraźnie przemówiło, był zafrapowany. Gerry miał rację, za to sypią się punkty. Oczywiście tam, gdzie dostawało się punkty polityczne, Gerry był lotniejszy niż ktokolwiek inny - to była jego nieodłączna cecha - nawet jeśli nie rozumiał świata interesów i finansów lepiej niż ciężko myśląca klasa robotnicza. Słuchała z przyjemnością Grahama opisującego solidny plan finansowy i podkreślającego płynną naturę prognoz, co robił kompetentnie i elegancko. Przeprobował to na dziesiątą stronę; był rozluźniony i robił dobre wrażenie. Tak jak ustalono, potraktował lekko kłopoty z renegocjacjami kontraktów, spokojnie oznajmiając, że się nieco przewlekają, ale ma nadzieję, że zdoła donieść o postępach, nim proces sprzedaży przedsiębiorstwa się posunie.

Winstanley podziękował mu i zwięźle spytał doradców, czy mają jakieś pytania. Richard Watts najwyraźniej z poczucia obowiązku spytał o analizę prognoz pod kątem „wrażliwości” rynku i Graham natychmiast przedstawił mu czterostronicowy wynik swoich żmudnych analiz. Clive, który odzywał się tylko sporadycznie, machnięciem ręki zasygnalizował niechęć do zabierania głosu i Winstanley wypowiedział ustaloną wcześniej mowę kończącą, w której życzył kierownictwu powodzenia i ostrzegął, że musi dorównać konkurencji ceną. Jednakże w sposób znaczący odbiegł od ustalonego scenariusza - wyraził szczególne zainteresowanie akcjonariatem pracowniczym - i dyrektorzy Prior byli z siebie po cichu bardzo zadowoleni podczas drugiej rundy uścisków dłoni i wygłaszania uprzejmości.

- Bardzo dobra robota, Caro - pogratulował uśmiechnięty szeroko Clive, zagłuszany ogólnym gwarem, i przekazał ją Winstanleyowi, który żegnając się zlustrował kobietę uważnie.

Kierownictwo trzymało formę, dopóki nie znalazło się w samochodzie, po czym nastąpiła eksplozja poklepywania się po plecach i podziękowań dla Caroline, która wpadła na pomysł tego spotkania.

- Wszyscy byliście wspaniali i bardzo was przepraszam za fryzjera - powiedziała śmiejąc się. - Następnym razem nie będziemy się tym przejmowali. Zadzwoń do Hamisha i powiem, jak świetnie wypadliście, a potem możecie jechać do domu. Ja tymczasem uporządkuję swoje sprawy przed Wielkanocą.

- Malarnia ruszyła dziś rano - powiedział Peter.  
- Kapitalnie.  
- Ale straciliśmy pięć dni produkcji.  
- Peter - powiedziała ostrzegawczo. - Robię co mogę. Nie spuszczaaj nosa na kwintę. - Ucałowała ich wszystkich, pomachała ręką na pożegnanie i wymówiła się od podwiezienia do pracy.

**L**ucy? Jesteś gotowa? Musimy zaraz jechać.

Lucy Friern wściekła pomyślała, że prawdę mówiąc, powinni wyjechać dobrą godzinę temu. Podróż do szkoły chłopców, a potem do Dorrington, to będzie piekło. Była gotowa już od godziny i zadzwoniła do kamerdynera z ostrzeżeniem, że się spóźnią. Wyszła z kuchni jak burza, gotowa rzucić to wszystko w twarz mężowi, ale wystarczyło jej jedno spojrzenie i zrezygnowała. Był wkurzony jak rzadko i co więcej, najwyraźniej przed przyjściem wypił kilka głębszych.

- Kochanie... - Podeszła go pocałować. - Jadłeś lunch? Jestem gotowa, ale mogę zrobić ci kanapkę.

- Kanapkę jadłem. Dwie kanapki. Musimy startować. - Oddał jej pocałunek i poczuła, że nieco się rozluźnił. - Przepraszam, że się trochę spóźniłem - wymamrotał ponuro nie patrząc jej w twarz. - Obawiam się, że teraz będziemy wolno jechać.

Na pewno pił - czuła od niego koniak.

- Uznałam, że cię gdzieś zatrzymano.

- Zatrzymano, zatrzymano. Muszę się wysikać. - Przeszedł potracając żonę i zrzucił z siebie płaszcz. - Ten cholerny Williamson! - krzyknął. Jego głos przygłuszał plusk strumienia moczu.

- Radny Williamson?

- Tak, on. Durny cham.  
- Co takiego zrobił? - Miała nadzieję, że małżonek oszczędzi jej szczegółów.

- Raczej czego nie zrobił. Miał siedzieć cicho w domu, a ten co? Tynkuje piwnicę i wita kuzyna żony dźwigając rusztowanie pod pachą.

Wolałaby, żeby Matthew zlitował się nad nią i przestał kontynuować tę zagmatwaną opowieść, ale gdy nieco się zataczając wkroczył do pokoju, zapinając przy tym zamek od spodni, skonstatowała, iż nic z tego. Ale przynajmniej nie przypominał już wrzącego wulkanu.

- Udało się nam opóźnić renegocjacje tych kontraktów Prior - mówił, jakby była doskonale wprowadzona w całą sytuację. - Odwołaliśmy zebranie komisji, bo niby serce wysiada Williamsonowi. A ten otwiera drzwi kuzynowi żony, który, tak się składa, jest inżynierem w fabryce Prior, niosąc, cholera, wielkie dechy i kielnię. Głupie chamidło. Kazałem mu cicho siedzieć.

- No cóż, jeśli się lepiej... - zaczęła z ulgą, ale połapała się, w czym rzecz. Zaciśnęła usta, nasypała neskę i cukier do kubka, załała wrzątkiem i podała kawę mężowi.

Pił ostrożnie małymi łyżkami. Stwierdził, że kiedy tylko przyjadą do szkoły, znowu będzie musiał się wysikać.

- Matt, czy ty nie za bardzo ryzykujesz przy tej sprawie?

Była wściekła, ale obserwowała go uważnie, obawiając się wybuchu. Popijał kawę. Był jedynie nachmurzony, więc zdecydowała się kontynuować.

- Chodzi mi o to, kochanie, czy warto się nią zajmować. Wiem, interes przede wszystkim, ale ten Williamson jest zupełnie bez pojęcia. Wpakuje cię w kłopoty, jeśli nie będziesz uważał.

Podniósł oczy znad kubka. Z ulgą zdała sobie sprawę, że to do niego trafiło, i mądrze uznała, że nie należy bardziej kusić losu.

- Musiałeś zmarznąć. Na pewno nie chciałbyś czegoś do jedzenia?

- Prawdę mówiąc, zjadłbym zupe.

- Powinieneś jeść regularnie lunch. - Dobrze zorganizowana we wszystkich domowych sprawach znalazła puszkę zupy z

kweterek, przygotowała stylowy głęboki talerz, podstawkę, posmarowała masłem ciemny chleb. Położyła na stole łyżkę i serwetkę, podała Mattowi wodę mineralną, nie czyniąc żadnych wymówek o picie. Siadła dotrzymując mu towarzystwa. Zjadł zupę z wilczym apetytem, beknął i poklepał żonę po ręce.

- Przepraszam. To było mi potrzebne. Masz rację, Lucy, ten cholerny Williamson jest niebezpieczny. Ale to przewodniczący komisji mieszkaniowej. Muszę go wykorzystać, nawet jeśli jest katastrofalnie głupi.

- A może jest w niewesołej sytuacji. Po co sam się brał za tynkowanie?

Matthew z prawdziwym respektem wytrzeszczył oczy na żonę.

- Właśnie, dlaczego? Podejrzewam, że brakuje mu forsy.

- Czy jego córka nie wychodzi za mąż?

- Tak. - Matt wbił wzrok w stół. - Ale tym nie powinien się tak bardzo przejmować.

- Nie powinien?

Matt roześmiał się krótko i niewesoło.

- Masz rację. Przez jakiś czas nie dostawał od nas za dużo. Można by się po nim spodziewać rozsądniejszego zachowania, więc pewnie jego sytuacja finansowa nie jest różowa.

- To normalne w przypadku większości ludzi. - Wstała sprzątnąć nakrycie i stanęła przy zlewie, pewna, że Matt się podniesie i weźmie ją w objęcia.

- Powinienem wcześniej z tobą porozmawiać.

- Wolę nie wiedzieć o niektórych rzeczach. - W pewnych sferach zawsze byli uczciwi wobec siebie.

- Wiem o tym - powiedział muskając ustami włosy żony. - I zwykle nie musisz wiedzieć, ale narobiłem trochę zamieszania. Postaramy się, żeby stanął pewniej na nogach, i będziemy korzystać z niego dorywczo.

- Matt, w ogóle z niego zrezygnuj.

- Nie, nie. Ktoś inny się tym zajmie. Daj całuska. - Odwrócił ją i pocałował z wdzięcznością.

- Nie, nie mamy czasu, Matt. W szkole mnie zabiją.

Śmiała się i z ociąganiem ustąpił, więc wyjechali po synów, którzy nauczeni długim doświadczeniem wzięli sobie każdy po dwie książki i siedli przy kominku w salonie dyrektora.

**P**rzy Lincoln's Inn Fields koło trzeciej po południu biura Smitha Butlera wyraźnie zwalniały obroty przed Wielkanocą. Połowie firmy udało się już wyjść, w tym wszystkim sekretarkom i niższym pracownikom biurowym. W pokojach wysoko nad skwerem dwie sekretarki, zatrudnione do pracy w nietypowych godzinach, przepisywały długie umowy, a goniec - motocyklista ubrany w skóry, jak zwykle rozsiadł się wygodnie przy recepcji, położył hełm na fotelu obok i czytał „Daily Express” ignorując gaworzące radio. Część współpracowników zdołała wyjechać z biura i ugrzęzła w korkach na obwodnicy Londynu, ale Caroline Whitehouse pracowała w swoim gabinecie jak maszyna. Dyrektorzy Prior osiągnęli dobry czas w drodze powrotnej do Dorrington - wiedziała o tym, bo dzwoniła do nich dwukrotnie - a ona zajmowała się porządkowaniem swoich spraw. Koło piątej musiała pospieszyć do domu i przejąć opiekę nad dziećmi, bo nianka miała pociąg. Pracowała bez natchnienia i bez szczególnej chęci uporania się z zaległościami. Przed sobą miała długi, pusty okres świąt. Gerry już wyjechał do swojego okręgu nie żegnając się, a gdy próbowała się dodzwonić do jego samochodu, numer był stale zajęty. Spojrzała wojowniczo na milczący telefon i skoncentrowała uwagę na papierach, porządkując stare wersje trudnej umowy, i zaczęła mozolny proces ustalania wersji ostatecznej, by miała ręce i nogi.

Tak skupiła się na tym zajęciu, że gdy zadzwonił telefon, podskoczyła i mechanicznie podniosła słuchawkę.

- Caroline Whitehouse.

- Cześć. Słuchaj, kochanie, znalazłem kogoś, z kim mogłabyś pogadać. Działacz mojej partii na szczelbu okręgu. Zna życie od podszewki. Wyjaśniłem mu, że masz kłopoty i potrzebujesz

czegoś w rodzaju bomby atomowej, aby doprowadzić do zmiany sytuacji. Cholera. Przepraszam, ciężarówka zajęła mi drogę.

Przerwała pracę i chociaż była uradowana telefonem Gerry'ego, nie przeszkodziło jej to wytropić w umowie fragment sprzeczny z wcześniejszym akapitem.

- Gdzie on jest? W Dorrington?

- Nie. W drodze do Londynu. Wyjeżdża na weekend z rodziną. Obiecał, że zadzwoni do ciebie po południu. Musisz się z nim spotkać. Nie radziłbym ci załatwiać tego wszystkiego przez telefon.

- Nie ośmielę się, kiedy wszystkie Złe Moce podsłuchują.

Roześmiał się wymuszenie.

- Starszy sierżant Bailey. Na imię ma Tim. Zna twoje problemy. Powiedziałem, że spotkaliśmy się przypadkowo i poprosiłaś mnie o pomoc, bo wiesz, że jestem z sąsiedniego okręgu.

- Dobry tekst. Będę się go trzymała. - Pomyślała z furją, że to głupota i dowód braku dyscypliny cierpieć z tego powodu, iż Gerry dystansuje się od niej publicznie. Był żonaty, nigdy w żaden sposób nie dał do zrozumienia, że chce to zmienić, i musiał dbać o swoją karierę polityczną.

- Co robisz? - spytał jak zwykle z prawdziwą ciekawością.

Niestety na biurku nie miała niczego, czym mogłaby go roześmiać.

- Po prostu pracuję. Porządkuję umowę. Masa technicznych problemów. - Pomyślała niespokojnie, że to mężczyźni tradycyjnie mówią tego rodzaju rzeczy dziewczynom, które „okazują zainteresowanie”. Spytała pospiesznie: - A co ty robisz?

- Jadę autostradą, prowadzę zaległą rozmowę telefoniczną. Dziś wieczór mam przyjęcie, jutro będę spał do południa. I myślał o tobie.

Uśmiechnęła się rozluźniona i ponuro oceniła szansę spokojnego snu przy Timmym, który co trzecią noc miał koszmary, i Francisie budzącym się o trzeciej, a od piątej zwykle stawiającym na nogi cały dom.

- A co poza tym? Zamierzasz spotkać się z moim rywalem?

Wiedziała, że wcale nie jest zazdrosny o Clive'a; prawdę mówiąc, dzięki niemu czuł się zapewne mniej winny, wiedząc, że ona ma jeszcze kogoś bliskiego.

- Nie tym razem. Jutro wyjeżdżamy na wybrzeże. Będzie cudownie - skłamała dzielnie. Ani jej śniło się przyznać, że wcale nie ma ochoty tam jechać, skoro mężczyzna, na którym jej naprawdę zależy, jest wiele mil dalej na łonie rodziny.

Wszystkie te wyświechtane prawdy o romansowaniu z żonaty mi to absolutna prawda - pomyślała ponuro. Nie warto się w to wdawać, nawet kiedy się trafiło na kogoś znacznie wyrastającego ponad przeciętność.

- Kochana, muszę kończyć. Zaraz będę miał zjazd i powinienem się skupić. Spotykamy się za dziesięć dni, w poniedziałek, tak? Myślę, że to głosowanie potrwa krótko i będziemy mieli cały wieczór.

- Słyszałeś coś nowego na ten temat? - Znała go już na tyle, że wiedziała, iż nie lubi przekazywać złych wiadomości i woli robić to stopniowo.

- Sekretariat głównego naganiacza nie jest jeszcze całkiem pewny, co się wydarzy.

- To może spotkalibyśmy się wcześniej.

- Dobry pomysł. Jeśli tylko uda mi się wyrwać z biura. Muszę kończyć. Uwważaj na siebie.

Muszę, no nie? - pomyślała, choć wolałaby nie dopuszczać do siebie tej myśli. No cóż, on nie może na mnie uważać.

W ponurym nastroju wróciła do umowy. Nie zdążyła się skupić, gdy telefon znowu się odezwał. Zła podniosła słuchawkę.

- Tu Tim Bailey, pani Whitehouse. Gerry Willshaw dał mi znać, że powinienem zadzwonić do pani.

- Och, to bardzo uprzejme z pana strony. - Caroline zdecydowanie odsunęła umowę i sięgnęła po notatnik. - Obiecał, że to zrobi. Gdzie pan jest?

- Dzwonię z budki koło stacji metra Holborn. Możemy się spotkać? Niedaleko jest kawiarnia, w której moglibyśmy wypić herbatę. „U Luigiego”.

- Będę za pięć minut. Na pewno chce pan szybko wrócić do domu.

Zamknęła gabinet na klucz i dopiero gdy się znalazła za solidnymi frontowymi drzwiami Smitha Butlera, uświadomiła



sobie, że nie ma pojęcia, jak Tim Bailey wygląda. Jednakże kiedy weszła do kawiarni, natychmiast podniósł się na jej widok mężczyzna. Wymienili uścisk dłoni. Był od niej piętnaście lat starszy, solidnie zbudowany, z rumieńcami na policzkach, niski, bez pyłka na sportowej kurtce i szarych flanelowych spodniach. Brązowe buty lśniły wypastowane na wysoki połysk. Odbijał od ubranych w szare garnitury prawników i zatrudnionych w mniej dbałych o wygląd profesjach, których przedstawiciele nosili długie włosy i dzinsy. Wiedziała, że dziesięć lat temu opuścił w stopniu starszego sierżanta żandarmerię i twarda z niego sztuka, ma znakomite rozeznanie w okręgu. Ale sprawa, którą miał załatwić, była dla niego kłopotliwa i czuł się niepewnie wobec Caroline, więc starała się usilnie być dla niego miła, bo zależało jej na tym, by przekazał o niej dobrą opinię Gerry'emu. Doprowadziła go do śmiechu opowieścią o spotkaniu kierownictwa Prior w ministerstwie i niebawem gawędzili na tyle swobodnie, że mogła go spytać, co dokładnie Gerry mu powiedział i co on zamierza w związku z tym zrobić.

- Mój klient uważa, że wystarczy szepnąć słówko lokalnej prasie i sprawiedliwości stanie się zadość - wyznała.

- W oddziale zawsze był jeden taki, który tak myślał - rzekł ze swadą Tim Bailey. - Nie, nie, to żaden sposób, przynajmniej na razie. Williamson zwoła zebranie, niech pani o to głowa nie boli.

- I mam się nie pytać, jak pan zamierza to osiągnąć? - Jak zwykle męska pobłażliwość działała Caroline na nerwy.

Spojrzał na nią z zastanowieniem.

- Zamienię słowo z moim laburzystowskim odpowiednikiem. Nie uśmiecha się nam publiczne pranie brudów.

Skinęła głową ze zrozumieniem.

- Ani mnie.

- Zależy pani na wynikach, tak? - Odchylił się w tył i spoglądał na nią błyszczącymi oczyma.

- Zgadza się.

- I czemu nie? Pani Whitehouse, gdyby się coś spaprało, byle drobiazg, pani daje mi znać. Zostawię wizytówkę. Nasz Gerry to bardzo dobry poseł, ale ma załadowany program.

- I nie przebywa w okręgu - przytaknęła mu z ulgą Caroline.

- I jak wszyscy ministrowie jest zarżnięty czasowo. Dziękuję. Mam nadzieję, że już więcej nie będę musiała wzywać pomocy, ale mam niemile przeczucie, że może to być konieczne. Czy zechciałby pan mówić Caroline - tak byłoby mi swobodniej?

- Mnie jest Tim. Gerry wciąż mówi „starszy sierżancie”, ale to tylko z przyzwyczajenia.

- Był pan w jego oddziale? - spytała znając prawdę, ale chciała pomówić o Gerrym.

- Nie, ale to bez znaczenia. Zamówić ci jeszcze jedną filiżankę?

- Jeśli masz kilka minut. Nie chciałabym odrywać cię od rodziny.

- Ty też masz rodzinę, no nie?

- O, tak. Trójkę dzieci.

- Ale straciłaś męża?

- Tak. W katastrofie lotniczej.

- Gerry mi mówił. Wielka tragedia. Jesteś przecież młodą kobietą.

- Mam trzydzieści osiem - najeżyła się. - Nie jestem taka młoda.

- Dla mnie jesteś, z tym że ja mam pięćdziesiąt cztery. Ależ wyglądasz młodo - Gerry też. Poznałaś Susan, jego żonę?

- Nie. Jak sądzę, ona jest przeważnie w Dorrington, a ja tam spędzam zaledwie po kilka godzin, uwięziona na naradach. - Przerwała, bo zdała sobie sprawę, że za bardzo się tłumaczy.

- Bardzo miła osoba. Bardzo przydatna w biurze poselskim. Interesujesz się polityką?

- Może w twoich uszach zabrzmiało okropnie, ale chyba nie zniósłabym chóru narzekających wyborców.

- Nie można się od nich opędzić. - Tim Bailey wyraźnie był rozbawiony, lekko się zarumienił po gorącej herbacie. - Gerry tak czasem uważa. Ale Susan nigdy nie traci cierpliwości i dzięki niej wszystkie organizacje wyborcze pracują jak trzeba. Wojsko to znakomita szkoła dla żony posła.

- To dla mnie zrozumiałe - niechętnie zgodziła się Caroline.  
- Żony wojskowych muszą umieć się przystosowywać.

- Racja, i oczywiście od żon oficerów oczekuje się, że szczególnie będą się zajmować kobietami. Dużo młodych dziewcząt, siedemnastolatek, które nigdy nie były poza Anglią, nagle lądują w Niemczech. Muszą dawać sobie radę z dziećmi w obcym kraju, nie znając języka, a mężowie całe tygodnie są poza domem, na manewrach. Susanma w tym wszystkim duże doświadczenie.

Caroline siedziała bez ruchu i chcąc nie chcąc myślała o kobiecie, która była żoną Gerry'ego Willshawa przez dwadzieścia lat. Trudno sobie wyobrazić dwie bardziej różniące się osoby niż Caroline Whitehouse i Susan Willshaw. Pierwsza przez dwadzieścia lat wykorzystując intelekt i sporą życiową energię walczyła o to, by świat - męski świat - przyjął ją do swego grona. Susan Willshaw kroczyła wszędzie w ślad za Gerrym; miała tylko to, czym los ją obdarzył, i wspierała męża, zajmując się żonami jego podkomendnych lub bawiąc kolegów partyjnych i osłaniając go podczas lokalnych rozgrywek. Oczywiście, Caroline i Ben też szli przez życie razem, ale w zupełnie inny sposób niż Willshawowie, oboje osiągnęli sukcesy w pracy zawodowej, oboje byli odpowiedzialni za prowadzenie domu i opiekę nad dziećmi. Powoli, niechętnie zdała sobie sprawę, że ognisko domowe Gerry'ego było dla niego o wiele silniejszym oparciem niż jej dom dla niej - odpędzało wszelkie cienie, grzejąc jego samego, jego dzieci, jego podkomendnych, jego wyborców, którzy z kolei odpłacali mu poparciem. Dzięki temu mógł zmierzać ku wymarzonym celom. Susan Willshaw musiała być niezmiernie zdolną kobietą i jak wynikało z wszelkich uwag na jej temat - również niezmiernie miłą.

- Nad czym się tak zadumałaś?

Nagle zdała sobie sprawę, że Tim Bailey się jej przygląda. Zapewne dokładnie przejrzał jej myśli i zapewne on też był strażnikiem spokoju Gerry'ego. Zesztywniała i przeszła do ataku.

- To katorżnicza praca być działaczem konserwatystów w waszej części kraju? - spytała sucho.

- Tak. Ale jeśli ma się takich kandydatów jak Gerry, jest łatwiej. W lokalnych władzach też zaczyna nam przybywać dobrych ludzi.

- Jak Ted Malvern. Kierownictwo Prior dobrze się o nim wyraża. Chociaż teraz niezbyt się wykazał. Wyglądało, że nie za bardzo wie, jak się za to wziąć.

- No cóż, to dyplomowany geodeta. Czego się spodziewasz, Caroline? To pijane dziecko we mgle. - Bailey zdał sobie sprawę, że Caroline jest rozjuszona, ale gotował się dać jej odpór.

- Był dość obrotny, żeby wejść do komisji mieszkaniowej - powiedziała ostro i z przyjemnością zauważyła, że Bailey nagle spowaźniał.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Po prostu wyobraziłam sobie, że wszyscy siedzą w tej całej polityce dla pieniędzy, niezależnie od przekonań. Lepiej dla tego Malverna, żeby nie uprawiał polityki sprzecznej z interesami mojego klienta.

- Nie sądzę, żebyś miała rację. - Traktował ją zupełnie serio i z przyjemnością zauważyła, że ton dobroduszej wyższości znikł bez śladu. - Tak, naprawdę tak uważam. Ale rozejrzę się, już się nie przejmuj. - Kiwnął głową i sięgnął po pieniądze.

Być może tak dałam mu popalić, że zadzwoni w tej chwili - pomyślała ze złośliwą przyjemnością, ale przypomniała sobie, że go potrzebuje, i wyhamowała.

- Nie słyszałam o Malvernie złego słowa. Tylko trochę zaskakujące, że okazał taką bezradność. Może to dlatego, że wszyscy polegają na tobie i oczekują, iż ty zaprowadzisz porządek?

Uśmiechnął się do niej pochlebiony, ale nie dał się wziąć pod włos.

- Może trochę z tego powodu. Ty też możesz na mnie polegać, Caroline; zwykle wiem, jak zabrać się do roboty.

- Wierzę.

Stali i Bailey przyglądał się jej spod oka.

- Powinnaś pomyśleć o polityce. Byłabyś dla nas znakomitą

kandydatką, przydałabyś się na północy, ale pewnie wolałabyś być w Londynie.

- Zostałam wychowana przez ludzi inaczej myślących niż ty i Gerry.

- Nikt z nas nic na to nie poradzi, jak został wychowany. - Wyciągnął silną, wielką jak bochen chleba rękę, zgiętą sztywno w łokciu. - Miło było cię poznać. I zawsze dzwoń - łatwiej mnie dorwać niż Gerry'ego.

## Rozdział dziewiętnasty

**D**wa tygodnie później słońce wychynęło zza chmur i przyszła wiosna, spóźniona, ale za to zapanowała nad światem w ciągu jednego dnia. Przez całą Wielkanoc i następny tydzień zdawało się nie być końca deszczom i zimnym wiatrom. Pewnie dlatego Andrew Eames Lewis otarł się nieomal o otwartą kłótnię z teściami, gdy wszyscy byli uwiązani przy ząbkującym, niespokojnym maleństwie i hałaśliwym pięciolatku w wiejskim domu pozbawionym centralnego ogrzewania, ale za to przepelnionym drobnymi, kruchymi przedmiotami.

Caroline Whitehouse poszło znacznie lepiej, chociażby dlatego że jej dzieci były starsze i miały ząbkowanie za sobą. Spędziła przyjemne dziesięć dni z teściami w nadmorskim domu, który pojawił się w życiu Caroline razem z Benem i który on uwielbiał. Dzieci również lubiły tam przyjeżdżać, doskonale bawiąc się w miejscach znanych im od najmłodszych lat. Caroline, której to wszystko trochę za bardzo przypominało pełen przeciągów wiejski domek Henriquesów z czasów jej młodości, nieoczekiwanie odetchnęła, kosztując nie narzucającej się, serdecznej opieki ze strony okolicznych farmerów, znajomych Bena. Dzieci były szczęśliwe i poczuła się winna, bo od chwili pojawienia się Gerry'ego zaniedbała je i rodziców Bena może nie w czynach, ale w myślach. Podczas dwóch tygodni nieco to wyrównała.

Clive Fieldman i Friernowie nie musieli się przejmować angielską pogodą; Friernowie jak zawsze wyjechali na narty,

a Clive, mając wizję niewidzenia się Lucy przez dziesięć dni, zadbał o siebie i poleciał na Florydę do starego kumpla z LSE, korzystając z wyjątkowo taniego rejsu czarterowego z Luton o trzeciej rano. Kierownictwo Prior Systems niechętnie zrobiło czterodniową przerwę - tylko dlatego że wiedziało, iż utrzymanie ciągłości pracy w fabryce lub na budowach po kilkudniowych świątach byłoby okropnie drogie i bezproduktywne, ale zaraz po Wielkiejnocy ostro wzięło się do pracy.

Natomiast w biurze Winstanleya przeważał optymizm. Izba zawiesiła obrady w Wielki Czwartek i zamierzała wznowić je nie wcześniej niż w następny poniedziałek. Winstanley udał się na urlop i biuro, obsługiwane tylko przez dyżurnych pracowników, przetrwało jakoś całą Wielkanoc. Minimalna liczba tankowców rozlała ropę po morzach i odkryto niewiele błędów konstrukcyjnych w nowo wznoszonych budynkach - przypadki, za które zwykle winiono Ministerstwo Środowiska. Chociaż raz nie wzywano szefa biura ministra, a sekretarz parlamentarny, któremu powierzono nadzór nad ministerstwem, nie musiał wzywać na pomoc zwierzchników. Żony przypomniały sobie, jak wyglądają ich mężowie, a dzieci znów ujrzały ojców. Dwie trzecie biura wróciło do pracy i szykowało się rozpocząć zajęcia pełną parą w poniedziałek.

**J**ohn Winstanley, świeży i wypoczęty, z włosami zaczesanymi i wyraźnie krótszymi, spoglądał na pojedynczą kartkę papieru. Przeczytał ją dwukrotnie i podniósł wzrok na Richarda Wattsa, który błąd jak ściana walczył z ciężkim przeziębieniem.

- Więc tak to wygląda. To krótka lista kandydatów do przetargu o Prior Systems. Cała szóstka.

- Szczerze mówiąc, panie ministrze, ta krótka lista jest dosyć długa. Naszym zdaniem to sześciu wyłącznych kandydatów, ale nie jesteśmy pewni, czy dwaj faktycznie wezmą udział w przetargu. To ta dwójka - Greys i John Hegarty. Wiarygodni kupcy, rozporządzają środkami do nabycia Prior Systems.

Jednak produkcja Prior odbiega od ich specjalności. Oznacza to, że nie będą gotowi wyłożyć największej forsy. Wniosą ofertę, jeśli transakcja okaże się dla nich opłacalna, i postarają się, by przedsiębiorstwo zarabiał, ale nie wątpię, że nie będą wylażić ze skóry.

- Więc wygląda na to, że do prawdziwego wyścigu szykuje się czterech.

- To może nieco zbyt zawyżona ocena, panie ministrze. Kierownictwo na pewno chce kupić przedsiębiorstwo i jest do tego przygotowane - spotkaliśmy się z ich finansistami. Sir Matthew Friern jest niezmiernie chętny do zakupu i oczywiście jego zdanie jest wiążące dla zarządu jego firmy. Jeśli chodzi o pozostałych dwóch klientów, to dla Waltons kupno Prior byłoby drobną transakcją, ale nie jest on sławny z rozrzutności. I Shaw, który wydaje się chętny... no cóż, naprawdę nie wiem, dlaczego mu na tym zależy. To klient Gruhnersa, doradcy NEB, i muszę powiedzieć, że moim zdaniem został do tego namówiony.

- Czy Gruhnersowi wolno reprezentować obie strony?

- O ile to rozumiem, panie ministrze, uważa, że usunął wszelką możliwość konfliktu interesów mianując dwóch różnych kierowników transakcji. - Zastanowił się nad tym, co powiedział.

- Ale my zajmujemy w tej sprawie odmienne stanowisko, tak - zakonkludował z wyższością.

Winstanley spojrział na Clive'a.

- Więc tylko dwóch klientów.

Clive bez słowa uniósł brwi patrząc na Richarda Wattsa, który potwierdził, że tak w gruncie rzeczy uważa. Winstanley wyglądał na załamanego.

- Panie ministrze, mamy krótką listę sześciu ze wszech miar godnych szacunku kandydatów. Prezentuje się ona wystarczająco dobrze - oznajmił stanowczo Clive swoim najbardziej bojowym, tuż-przed-bitwą-pod-Azincourt \* tonem.

\* Miejsce zwycięskiej bitwy Anglików podczas wojny stuletniej.



- To prawda - poweselał Winstanley. - Co robi NEB? Jest gotowa do wydania ogłoszenia?

- Tak, panie ministrze, zakładając, że pan zatwierdzi listę, ma zamiar ogłosić ją za tydzień, we środę, w prasie. Sir Matthew Friern wrócił dopiero wczoraj i uważano, że wypada poczekać z tym na niego.

Ani słowa od Lucy - pomyślał zaalarmowany Clive. Żadnego listu czy telefonu. Po radzie zadzwoni do niej. Zawsze może odłożyć słuchawkę, jeśli zgłosi się Matthew - musiał to już robić wcześniej. Zastanawiał się ze zwieszoną głową; był odprężony, miał za sobą bardzo miły tydzień ze znajomą swojego przyjaciela z Florydy, przystojną rozwódką, która uczyła literatury angielskiej. Ale doszedł do wniosku, że osobą, na której naprawdę mu zależy, jest Lucy. Po dwóch tygodniach powinna mieć Matta po dziurki w nosie i być gotowa zmienić go na kogoś innego. W każdym razie żywił nadzieję, iż Matt będzie jutro w Dorrington i zakładając, że Lucy nie musiała jeszcze odwozić dzieci do szkoły, mogliby spędzić trochę czasu razem. Lunch! - pomyślał z nadzieją i ocknął się z marzeń właśnie w chwili, w której Winstanley rutynowo zapytywał, czy nikt nie ma nic więcej do powiedzenia lub nie chce spytać o coś Richarda, zanim ten wróci do banku. Clive spojrział na Jamesa Mathera, który przy odrobinie szczęścia był na tyle skoncentrowany, że znał odpowiedź na pytanie ministra, i dał znak Winstanleyowi, iż nie ma nic więcej do dodania.

Wyszedł po Richardzie Wattsie tak szybko, jak na to pozwalała przyzwoitość, zadzwonił do Friernów, porozmawiał z Lucy, która spieszyła się na lunch „z twoją przyjaciółką Caroline” - jak dodała uszczypliwie - ale zgodziła się na spotkanie następnego dnia. Zadowolony spojrział na koszyk z pismami przychodzącymi. Był prawie pusty. Na wierzchu leżała notatka z działu kadr, zawiadamiająca formalnie, że właściwa komisja uznała Michaela Watsona za osobę podlegającą procedurze ograniczonej użyteczności. Jak można się było spodziewać, Watson oznajmił, że zamierza skorzystać z prawa odwołania się do drugiego stałego sekretarza skarbu. Notatka zawierała uprzejme wyjaśnienie,

że wspomniany drugi stały sekretarz jest ostatnią instancją; od jego decyzji nie będzie już odwołania. Clive, który wśród innych talentów miał ten dar, że nie uchylał się od decyzji ani się nimi nie martwił, kiedy już zapadły, przełożył notatkę do koszyka pism wychodzących, ufając, iż panna Williams schowa ją gdzieś bezpiecznie. Odrzucił zamiar porozumienia się z kadrami i proszenia o zastępstwo; lepiej odłoży to na tydzień. Sam zje teraz coś na szybko; nie pójdzie do kafeterii, wyskoczy do pubu na przeciwko i przespaceruje się po parku, bo dzień jest piękny. Dopiero gdy stanął przy barze i złożył zamówienie, przypomniał sobie, co się wydarzyło za ostatnim tu pobytem, i prosząc o piwo rozejrzał się ostrożnie. Już myślał, że szczęście towarzyszy mu tym razem, gdy przy stoliku w kącie dojrzał Michaela Watsona, z zapalem rozmawiającego z trochę starszym mężczyzną, który potakiwał mu z przyjaznym zainteresowaniem. Tak przynajmniej można było sądzić z daleka. Clive pospiesznie odwrócił wzrok. Był zirytowany i chociaż się do tego nie przyznawał - zaniepokojony. Pozostawało mu tylko zachowywać się tak, jakby nie widział Watsona, ale trudno było nie zwracać uwagi na to, co dureń wyprawiał. Stolik był zastawiony kieliszkami, a wiszący na nim zaczerwieniony Watson wykonywał szerokie, nieporadne gesty. Na domiar wszystkiego, gdy Clive schował się za wieczorną gazetą, jeden z opróżnionych kieliszków Watsona, strącony śmiałym ruchem ręki, spadł na podłogę. Clive zdecydował, że zje lunch najszybciej jak to możliwe i wyjdzie, zanim będzie zmuszony do interwencji w wyniku kolejnej żenującej sceny. Ten plan został zniweczony; jakaś kobieta przeprosiła Clive'a przepychając się w głąb pubu i wynikłe stąd zamieszanie zwróciło uwagę Watsona. Clive rozmyślnie ignorował go patrząc w innym kierunku; liczył, że facet pomyśli, iż zwierzchnik go nie zauważył. Gdy jednak opadł na krzesło, z niepokojem dostrzegł, że Watson po kryjomu wskazuje go przyjacielowi. Zapewne w tej opowieści obsadzono mnie w roli czarnego charakteru - pomyślał ze znużeniem i narażając się na niestrawność pochłaniał *chilli con carne*. Kilkoma łykami dokończył piwo, mając przy tym marsowy i zdecydowany wyraz twarzy, co przychodziło mu

z łatwością, i zły na siebie wyszedł na ulicę myśląc ponuro, iż jeśli nie może zjeść w spokoju lunchu tuż obok miejsca pracy, to im szybciej stały sekretarz skarbu zostanie zmuszony do odrzucenia odwołania Watsona, tym lepiej.

**L**ucy Friern z pośpiechem minęła drzwi restauracji. Nałożyła okulary. Czuliła wyrzuty sumienia, gdyż spóźniła się na lunch. Rozejrzała się wkoło i zamarła na widok swojej przyjaciółki Caroline, która siedziała samotnie przy stoliku w kącie, wpatrzona w przestrzeń, smutna, młoda i bezbronna, z nieuprządkowaną fryzurą, pustymi rękami. Może jest „w dolku” - pomyślała Lucy chowając okulary do torebki i nakazała sobie spokój, gdy przepychała się do stolika, słodko przepraszając, jeśli wpadła na kogoś lub coś potrąciła.

- Kochanie... - Pochyliła się, ucałowała przyjaciółkę i z ulgą spostrzegła, że Caro otrząsa się z ponurych myśli. - Przepraszam za spóźnienie.

- Dopiero dziesięć minut, Lu. - Caroline nie wydawała się rozgniewana. - Czy wysłałaś chłopców?

- Szkolnym pociągiem z samego rana i jak zwykle Matt mi nie pomógł. Obiecał, że ich zawiezie, przysiągł, że to zrobi, a potem jakiś cholerny facet zadzwonił z informacją o Bartholomews. Coś się pogmatwało w bilansie przejściowym i Matt, nie mówiąc słowa, zabrał wóz i pojechał w te pędy. - Zauważyła spojrzenie Caroline. - A potem depilowałam nogi i kosmetyczka się guzdrała.

- No, depilacji nie można przerwać w połowie - przyznała Caroline. - Ach, dlaczego robiłaś sobie depilację?

Lucy spojrzała na nią skonfundowana, a potem wybuchnęła śmiechem.

- Tak, no cóż, kochanie, masz absolutnie rację, właśnie dlatego.

- Szczęściarz z drogiego starego Clive'a. - Caroline z niepokojem zdała sobie sprawę, że jest nastroszona; gdy po przyjeździe dopadła skrzynki na listy, licząc na wiadomość od Gerry'ego, znalazła tylko pocztówkę, którą mógłby przysłać swojej babci.

- Zamówimy coś? - spytała Lucy i jak zwykle kelner zmateria-  
lizował się natychmiast. Pod pewnymi względami ona i Gerry są  
do siebie podobni - zauważyła w myślach Caroline. Kelner wyco-  
fał się, nie odrywając oczu od Lucy, która wyglądała szczególnie  
korzystnie; jej fioletowe oczy pięknie współgrały z opalenizną.

- Śliczna bluzka. - Caroline podziwiała bladoniebieski je-  
dwab i złoty łańcuszek wyglądający kokieteryjnie z rozpięcia pod  
szyją.

- Milutka, prawda? Kupiłam ją dziś przed południem.

- Jeszcze większy szczęściarz z Clive'a.

- On mówi, że ty też kogoś masz, kochanie.

- Skąd może wiedzieć?

- Mówił, że kiedy był u ciebie na lunchu, zadzwonił jakiś  
gość i skakałaś pod sufit z radości. Kto to jest? - Patrzyła na  
przyjaciółkę oczyma lśniącymi z ciekawości. - Żonaty? Clive  
mówił, że tak, bo inaczej byłby na lunchu.

Zauważyła z zainteresowaniem, że Caroline jest wściekła.

- Clive zawsze był za wielki mądryla - rzekła gorzko po pau-  
zie. - Tak, kochanie, on jest żonaty i jeśli już pytasz, to wiedz, że  
to koszmar.

- Myślałam, że powinnam zapytać. - Lucy wcale się nie prze-  
jęła. - Kiedy cię zobaczyłam, wyglądałaś na zagubioną dziew-  
czynkę. Na Boga, Caro, nie mogłaś znaleźć kogoś wolnego?

- Nie mogłam, skoro takie egoistki jak ty się do nich przy-  
ssały.

- Kochanie, chyba nie chcesz Clive'a?

- Nie. Chcę tego, którego mam. Po prostu rozzłościłaś mnie.

- Bo gdyby tak było, to wiedz, że zamierzamy zerwać.

Caroline uniosła głowę znad szklanki wody mineralnej.

- Och, Lu. To znaczy, ty chcesz z nim zerwać. Oni nigdy nie  
zrywają z tobą.

- No cóż, chyba czasem chodzi im po głowie coś takiego, ale  
ja jestem pierwsza - rzeczowo stwierdziła Lucy.

- Biedny Clive - odezwała się chłodno Caroline. - O Boże,  
przypuszczam, że żonaci faceci w końcu zawsze zrywają.

- No cóż, kochanie, są na to skazani, jeśli zamierzają pozostać

żonaci. - Lucy z niepokojem przyglądała się przyjaciółce. - Caro, co z tym twoim facetem... to znaczy, czy to na serio? Chcesz za niego wyjść? Zresztą kto to?

Pytanie zawisło w powietrzu, gdy kelner przyniósł zamówione sałatki. Caroline, wpatrując się w zwykle uwielbianego wędzonego łososia, zastanawiała się, czy kiedykolwiek w życiu odzyska apetyt.

- Tak, to poważne. Kocham go. Nie, nie spodziewam się, bym mogła wyjść za niego. I nie mogę ci powiedzieć, kto to jest. To byłoby nieuczciwe.

- Znam go?

- Nie.

Lucy trawiła tę informację nie tknąwszy sałatki.

- To znaczy, że to ktoś znany. Caro! Powiedz. Jesteś wstręt-na.

Tak bardzo przypominała teraz osiemnastolatkę, że Caroline wybuchnęła śmiechem, zamiast zapłakać. Pomyślała z goryczą, że pod względem statusu kochanka prześcignęła drogą przyjaciółkę, którą bardzo to ubodło.

- Nie mogę, Lu. I uwierz mi, że to żadna korzyść mieć za kochanka kogoś znanego.

- Musisz się przemykać chyłkiem w przebraniu? Z Willia-mem było podobnie.

- No cóż, trochę tak. Tak, musimy strasznie się pilnować. I nie mamy wiele czasu dla siebie. - Dziobała łososia, a kiedy podniosła głowę, stwierdziła, że Lucy przypatruje się jej z prawdziwym niepokojem.

- Ale kochanie, dlaczego to robisz?

- Nie wierzę własnym uszom. Ty mnie o to pytasz? - Caroline odparła najzjadliwiej jak mogła.

Lucy niecierpliwie machnęła widelcem.

- Och, Caro. W moim przypadku to zupełnie coś innego. Mam męża. Romans jest dla mnie poboczną sprawą. W każdym razie nigdy nie byłam tak... poważnie zaangażowana jak ty. Trudno sobie wyobrazić bardziej nieodpowiednią kochankę dla mężczyzny, który ma żonę i bachory. Jeśli już się na to godzisz, musisz nauczyć się przyjmować go z całym dobrodziejstwem inwentarza.

- Nauczyłam się. Nauczyłam.
- Zachowujesz się jak pierwsza naiwna. Nie przejmuj się tak. W czym rzecz? No, a czemu nie miałabyś wyjść za niego? Chyba cię kocha?
- Ma żonę i dzieci. Myślę, że mimo to mnie kocha, ale to nie powód, dla którego ludzie się rozwodzą. Przecież ty byś tego nie zrobiła.
- Nie jest mi źle z Mattem. Często doprowadza mnie do wściekłości, ale lubimy się nawzajem. Kelner! Poproszę dwa kieliszki białego wina. Zamknij się, Caro, musisz się napić.
- Najpierw muszę złożyć ci oświadczenie. Nie mam żadnych powodów do przypuszczeń, że mój facet jest nieszczęśliwy ze swoją żoną.
- Nie mówi, że jest nieszczęśliwy? No, to nie jest, masz rację. Faceci, którym jest naprawdę źle w domu, mówią o tym w kółko.
- Chylę czoło przed twoim wielkim doświadczeniem.
- Caro! To naprawdę daje ci w kość, prawda?
- Tak, tak, daje. Kiedy go nie ma, jestem załamana. Jasny szlag! Niech to cholera i wszyscy diabli. - Z prawdziwie henriquesowska pogardą wobec konwenansów otarła lży restauracyjną serwetką, a potem zebrała nią rozlaną wodę mineralną.
- Lucy odchyliła się w tył, a kierownik sali w jednej chwili zmienił obrus, podał świeże serwetki i przyniósł wino, podczas gdy Caro grzebała w torebce szukając chusteczki do nosa.
- Przepraszam, Lu. Nie ma co udawać, to wyraźnie był zły pomysł, ale nie potrafię z niego zrezygnować. Kłopot w tym, że ma wszystko to, czego szukam u mężczyzny.
- Jest podobny do Bena?
- Przyjaciółka odłożyła widelec i spojrzała w przestrzeń.
- Nie - powiedziała niechętnie. - Jest o wiele bardziej apodyktyczny, bardziej samolubny i o wiele lepiej wie, na czym mu zależy.
- Jest o wiele trudniejszy do współżycia - rzekła autorytarnie Lucy. - Kochanie, takie układy nigdy się nie sprawdzają. Nie wyobrażam sobie siebie u boku takiego mężczyzny. Ty sama

podejmujesz decyzje, dobrze wiesz, czego chcesz. Klóciłbyście się bez przerwy. Ben sterował tobą, nie rozkazywał ci. No cóż, nie miał wyboru.

- To prawda. Nie masz pojęcia, Lu, jaka jestem przerażona, że w moim wieku spodobał mi się jeden z tych rozkazujących egocentryków. Zupełnie jakbym była jedną z heroin Georgette Heyer. - Caroline nie wiedziała, śmiać się czy płakać nad sobą, ale w gruncie rzeczy czuła ogromną ulgę, że może się komuś zwierzyć.

- Jest dobry w łóżku?

- Dobry.

- Tylko dobry?

- Bardzo dobry.

Caroline poróżwiała jak piwonie i Lucy spojrzęła z pobłażaniem na pochyloną głowę przyjaciółki.

- To świetnie. Potrzebujesz mężczyzny, Caro, i jeśli ten związek się nie utrzyma, przynajmniej nada ci rozpęd. Wiesz, chętnych mężczyzn jest na kopy, wystarczy gwizdnąć.

Caroline przerwała jedzenie. Te uwagi nie dotknęły sedna problemu.

- Ależ, Lu, ja naprawdę jestem w strasznej sytuacji - wyznała z rozpaczą. - Nie mogę za niego wyjść. Jest żonaty. I nie wyobrażam sobie, że mogłabym żyć z kimś innym. - Spojrzęła bezradnie na przyjaciółkę. - Zresztą jestem przeciwna rozbijaniu małżeństw. Nie chodzi mi wcale o względy moralne czy tym podobne krępujące sprawy - dodała pośpiesznie. - Po prostu nie wyobrażam sobie, bym potrafiła zniszczyć rodzinę i jak bym się wtedy czuła. Chyba bym się bała wywołać taki wstrząs. Obie strony mogłyby gorzko tego pożałować.

- Sądę, że tak - powiedziała krótko Lucy. - Dlatego nigdy nie kusilo mnie, żeby tego spróbować, zwłaszcza teraz, kiedy mam dzieci, chociaż często żałuję, że nie wyszłam za Jima - pamiętasz go? - zamiast za Matta.

- Naprawdę? - Caroline na moment porzuciła własne troski, przywołując wspomnienie starszego, ironicznego Amerykanina, profesora... czego to...? czegoś kompletnie niezrozumiałego. Cybernetyki?

- O, tak. Miłość mojego życia. Ale miał żonę i dzieci w Los Angeles. - Niebieskie oczy Lucy zalśniły jeszcze żywszym blaskiem.

- Zapomniałam. I nie chciałaś tego kontynuować?

- Och, poszłabym za nim na koniec świata. Brakowało mi rozumu; nie zapominaj, że miałam wtedy dwadzieścia dwa lata. On nie mógł.

- Czy myślisz, że to zwykła sprawa? - Caroline wysiąkała nos. - Że znajdujesz prawdziwą miłość swojego życia i nie możesz wyjść za mąż? Nie możesz, no nie? Chodzi mi o to, że ktoś ci w tym przeszkadza. Tak naprawdę nie zamieniłabyś Matta na kogoś innego, prawda?

- Miałam na to ochotę wiele razy - spokojnie zapewniła ją żona Matta. - Ale biorąc wszystko do kupy, to chyba bym tego nie zrobiła. Przecież gdybym miała na to ochotę, już by się to stało, no nie?

- Chyba tak.

Przyjaciółka spojrzała na nią z niepokojem.

- Kochanie, jeśli jakiś facet jest w stanie znowu obudzić w tobie takie mocne uczucie, to dobry znak. Możesz znaleźć innego. Jeśli to nie ma trwać wiecznie, ciesz się tym, co masz. - Lucy wzięła przyjaciółkę za rękę. - Nie łam się tak.

Caroline bez słowa pokiwała głową. Łzy znowu zakręciły się jej w oczach.

- Nigdy nie płacę - powiedziała zdumiona.

- Dobrze ci robi. Nie możesz pojechać do domu zamiast do pracy?

- W domu są dzieci i opiekunki. Gabinet w biurze mam przynajmniej dla siebie. Nic mi nie będzie, Lu. Szkoda, że ja i Matt poszliśmy na noże w sprawie Prior Systems, ale to nie do odkręcenia. Chłopaki są absolutnie zdezorientowani.

- Matt też. Usiłuję coś wymyślić, żeby przestał się zajmować tym przedsięwzięciem. - Spojrzały na siebie. - Ale jemu naprawdę na nim zależy.

- O rany. Mnie też.

- Tak, już taka jesteś - powiedziała Lucy podniecona i zirytowana. - Jak byś sobie radziła z mężczyzną, który jest tak zdecydowany jak ty?



- Myślisz o Matcie? To byłaby katastrofa. - Caroline śmiała się, rozbawiona pomysłem. - Co robisz po południu, Lu?
- Idę na zakupy. Z Clive'em jestem umówiona na jutro.
- Myślałam, że zamierzasz z nim zerwać. Ach, rozumiem, w dalszym ciągu lubisz z nim chodzić do łóżka. Biedaczysko.
- W dalszym ciągu to lubię - rzekła z godnością Lucy płacąc rachunek. - Po prostu uważam, że nadszedł czas, aby znalazł sobie żonę. - Popatrzyła przekornie na przyjaciółkę i po chwili uśmiechnęły się do siebie, gorzko rozbawione.

**S**ir Matthew Friern do ciebie, Andy.

- Matt? Cześć. Nie oczekiwałem, że dasz dzisiaj znak życia. Andy'emu Eamesowi Lewisowi wystarczyło wymienić powitanie, a już wiedział, że jest jakiś kryzys. Przysunął do siebie notatnik.
- Komisja wyraziła zgodę na spełnienie zaległych roszczeń na sumę... przepraszam, jaką? To trochę mniej, niż oceniałeś, prawda? W końcu nie dało się tego odkładać w nieskończoność.
- Andy, to zrobiła się bardzo polityczna sprawa. Trzej konserwatyści i dwaj liberałowie w komisji nalegali na zawarcie porozumienia i mniej czy bardziej jawnie grozili, że narobią zamieszania. Dranie.
- Andy uznał, że nosił wilka razy kilka, i postanowił nie tracić czasu na pocieszanie.
- Mniejsza z tym, to i tak specjalnie nie pomoże kierownictwu. W tej sytuacji każdy będzie gotów zapłacić trochę więcej.
- Pieprzyć to. Ktoś poszczuł tych gości z komisji. Ci wszyscy liberałowie to pijane dzieci we mgle. Mój człowiek uważa, że zostali poinformowani i trzymają sztamę z Malvernem - to konserwatysta. Ktoś się bawi w politykę.

Andy heroicznie powstrzymał się od komentarza, nie chcąc budzić furii politycznego mąciwody, który właśnie został załadowany własną bronią. Głośno zaczął się zastanawiać, jak drużynie Caroline się to udało.

- Oczywiście kierownictwo to ludzie stamtąd i ma swoje polityczne wtyczki, prawda? - dodał ostrożnie.

- Tak, ma. Jakże takie. Ale samo nigdy nie zorganizowałyby podobnej akcji. To robota Caroline Whitehouse.

Tak, zapewne - Andy, zgodził się bez słów, dokładnie przypominając sobie Caroline w wieku dwudziestu dwóch lat, kiedy starła się z rywalizującą kancelarią, usiłującą ostro przyduścić klienta Smitha Butlera. Rywal nie tyle się wycofał, ile wyczołgał, a później jeszcze musiał się tłumaczyć z formalnego zażalenia wysuniętego pod adresem głównego wspólnika. Nikt u Smitha Butlera nie marzył o dorównaniu Caroline, kiedy przywdziewała zbroję anioła zemsty.

- Zależy mi na tym przedsiębiorstwie, Andy. Rozmawiałem w Bluett z kimś, kto ma pomysł na to, jak trochę zbliżyć się do celu.

- Naturalnie. Tam ludzie pękają od nadmiaru entuzjazmu - rzekł zimno Andy, licząc na to, że wystarczająco mocno dał do zrozumienia, iż Bluett to konsorcjum groźnych, brutalnych i zapewne oszukańczych banków, które tylko od niechcenia udaje przyzwoitego członka społeczności finansowej.

- Andy, przydałoby mi się trochę entuzjazmu. Ta cholerna baba przypiera mnie do muru.

Uwaga, że facetom przydarzają się gorsze nieszczęścia, była by tu na nic. Andy skupił się na rozwiązaniu problemu.

- No cóż, korzystasz z usług Jamesa Edwardsa - zaczął ostrożnie.

- Tak. Przydał się. Jeden z jego ludzi odkrył, że ten gość ze służby cywilnej, Fieldman, jest w o wiele bardziej zażyłych stosunkach z Caroline, niż myślałem. To może coś być. Znaczy się, to wdowa i niewykłuczone, że daje dupy. Ci faceci muszą być bardzo ostrożni, no nie?

- On jest chyba rozwiedziony.

- Tak, ale przecież nie powinien jej rzucać, jeśli ona reprezentuje Prior, prawda?

- Jeśli tak jest. To znaczy, jeśli on ją rzuca.

- Warto by się dowiedzieć. Andy? Jesteś tam? A może wracam ci głowę?

- Jestem pewien, że James Edwards ci doradzi.
- Ale ty nie chcesz zabrudzić sobie rąk. A co ty robisz dla nas? Nie muszę stawać do tablicy - pomyślał Andy - to nie prezes wielkiego koncernu. Z drugiej strony jest ważnym klientem i poświęciliśmy mu wiele czasu.

Przesunął telefon z wydruku informującego, że jak do tej pory rachunek Matta Frierna wynosi dziewięćdziesiąt tysięcy funtów. A w razie udanej transakcji honorarium sięgnie pół miliona. Ostrożnie wciągnął oddech.

- Och, zajmuję się szukaniem pożyczek, rozmawiam z brokerami, rzeczy w tym stylu. I na bieżąco informuję mojego prezesa o stanie spraw z Prior, żeby mógł napomknąć o tym podczas lunchu z kanclerzem.

- To może się przydać. - Matt w dalszym ciągu był rozjuszony, ale wzmianka o kanclerzu go zaintrygowała i Andy wykorzystał chwilę przewagi.

- Wiesz, Matt, obawiam się, żebyśmy nie przesadzili. Kiedy na tapecie stanie sprawa gotówki i umiejętności zarządzania przedsiębiorstwem, Friern będzie niezmiernie atrakcyjnym kandydatem.

- Mhm. - Matt nie robił wrażenia przekonanego, ale uspokoił się. - W porządku, Andy. Zadzwoń do mnie, kiedy coś ci zaświta w głowie. Czekam. - Cisnął słuchawkę.

Andy spoglądał wojowniczo na aparat. Uspokajał się, zastanawiał, czy zadzwonić do Edwardsa, lecz doszedł do wniosku, że w tym momencie Matt blokuje połączenie. I lepiej niech Edwards zadzwoni pierwszy. Ale nie zamierzał potulnie znosić takiego traktowania ze strony klientów. Po namyśle wybrał inny numer. W razie potrzeby przerwie połączenie.

- Lucy. - Odetchnął. - Tu Andy. Jak się masz? Z przyjemnością dowiedziałbym się, jak było na nartach. Emma i ja chyba wyjedziemy później. Macie czas na drinka dziś wieczorem, ty i Matt? Och, jest w Dorrington, tak? A ty? Może bardziej odpowiadałby ci lunch jutro?

- Jesteś kochany, Andy. - Lekko ochrypli głos sprawił, że Andy'emu przeszedł dreszcz po kręgosłupie. Poprawił się na

krześle. - Nie mam czasu jutro na lunch, ale z rozkoszą wypiję drinka dzisiaj. Później jestem umówiona z przyjaciółką w teatrze.

- Z Caroline? - Poczul zawód i najeżył się. Liczył przez chwilę, że będzie miała wolny wieczór.

- Nie. Z Caro byłam na lunchu. - W jej głosie zabrzmiało niewinne zdziwienie.

Opanował się i ustalili miejsce spotkania.

**D**ziałacz partyjny z pańskiego okręgu, panie ministrze.

Ci cholerni pracownicy służby cywilnej zawsze mówią o tym takim tonem, jakby dzwonił twój ulubiony dostawca kokainy - pomyślał zirytowany Gerry Willshaw, sygnalizując, że przyjmie telefon. Na litość boską, co oni sobie myślą? Że niby jak zostaje się posłem? Oczywiście, wcale nie myślą. Polityczna neutralność i indeksowana emerytura to ich końskie okulary.

- Jak leci, starszy sierżancie?

- Cóż, nieźle. Sprawa dla Prior załatwiona. Ustalenie kontraktu przewidziane na popołudnie. Mamy u liberałów dług.

- Jezu.

- Wiem. - W głosie Baileya było rozbawienie i obłuda. - Ale myślałem, że ci na tym zależy.

- Nie myliłeś się. Dziękuję, Tim.

Odłożył słuchawkę i zerwał się na nogi. Chciał zadzwonić do Caroline, ale wiedział, że brak mu czasu przed następnym spotkaniem. I ona, chwała jej za to, nigdy nie dzwoniła do biura bez żelaznej wymówki. Sekretarka uznała, że Caroline należy do politycznych znajomych i doradców, z którymi się od czasu do czasu spotykał. Caro była bardziej zdyscyplinowana, bardziej ostrożna niż wszystkie poprzednie; nie trzeba było jej wiele wyjaśniać. Przez chwilę zapragnął jej mocno, ale zadzwonił telefon i Gerry odsunął na bok inne sprawy, przygładził krótko przстриżone włosy i podszedł do drzwi przywitać następnego gościa.

- John... Miło cię widzieć.

John Macdonald, jeden z młodszych naganiaczy, którego poznał jeszcze będąc w opozycji, podał mu rękę, przyjął propozycję drinka i usiadł w kącie gabinetu.

- Miło, że wpadłeś do ministerstwa. Jestem tu uwięziony, czekam na późną naradę.

- Tak mi powiedziano w sekretariacie. Pomyślałem sobie, że dawno się nie widzieliśmy. Chciałem się dowiedzieć, jak leci.

Gerry pociągnął spory łyk whisky i odchylił się w fotelu. Miał napięte nerwy. To tak, jakby się było w dżungli i usłyszało szeleszczące liście - pomyślał. Może powiał wiatr, ale to chyba nie wiatr.

- Susan ma się dobrze?

- Tak. Jest w niezłej formie. Rzecz jasna, jest bardzo zajęta wyborcami. Teraz, kiedy mam tę robotę, nie mogę przy nich skakać, więc przejęła wiele moich obowiązków.

- Miło byłoby znowu ją tu zobaczyć - powiedział łagodnie starszy mężczyzna i Gerry znieruchomiał.

- Tak. Będzie tu za dwa tygodnie.

- Och, to dobrze. - Macdonald wziął szklankę do ręki i rozejrzał się po pokoju. - Dobrze wyglądasz, Gerry. Wakacje się udały?

- Cieszę się, że udało mi się wyrwać. Wyjechaliśmy na tydzień. Stwierdziliśmy, że nie ma co próbować wypocząć w okręgu.

- Och, na pewno - zgodził się z nim Macdonald. - Ludzie chcą, żebyś wpadł na drinka, i naprawdę nie możesz powiedzieć: nie, jestem w domu i mam ochotę tylko rznąć żonę i warczeć na dzieci.

Gerry się roześmiał i zakrztusił się drinkiem. Nic się nie działo. Miał tylko złe przeczucia, a Macdonald przyjął do wiadomości zapewnienie, że wszystko toczy się we właściwym kierunku. Ale podczas tego przepytывania Gerry poczuł się nie tylko pochlebiany. Zdenerwowanie nie pozwalało zapomnieć, czemu służy urząd naganiacza. Macdonald przyszedł z wizytą; coś musi się za tym kryć. Gerry wstał wiedząc, że jeśli będzie siedział, zacznie monologować. Zaproponował następnego drinka.

- Tak na samo dno, dziękuję, Gerry. Przy okazji... wszyscy byli bardzo zadowoleni z tego, jak uporałeś się z tą katastrofą przy Engelfield.

- To było straszne.

Na moment powrócił myślą do osieroconych, oszołomionych rodzin. To prawda, spisał się dobrze, ale zawdzięczał to służbie w wojsku. Pocieszał płaczące kobiety, uspokajał zrozpaczone dzieci, podnosił na duchu opuszczonych przyjaciół - to należało do normalnych obowiązków. Nie ma co się bać rozpacz - takie rzeczy się zdarzają i pociągają za sobą rutynowe zabiegi: należy zadbać o trumny i pochówek, zaopiekować się tymi, którzy przeżyli, dać im dach nad głową, pomóc wrócić do normalnego życia, wszystko po kolei. Ale coś musiało się za tym kryć. Od katastrofy w Engelfield minął już tydzień i koledzy posłowie pogratulowali mu szczerze - albo raczej nieszczerze - i biuro naganiacza uznało, że się spisał. Macdonald nie zjawiał się dzisiaj z powtórными wyrazami uznania. Zajmował się również resor-tem pracy i osławionym cmentarzem polityków - przemysłem i handlem. Przecież chyba Peter Fleming - cudowne dziecko Partii Konserwatywnej - nie poszedł na dno? Nie miał odwagi spytać, nawet nie wprost. Okrężnymi drogami uspokajał Macdonalda, że jest w gotowości, trzyma rękę na pulsie. Jednakże wyglądało na to, że Macdonald nie potrzebował uspokojenia; sączył drinka, plotkował grzecznie o opozycji, więc Gerry siedział cicho, tak jak nauczył się dawno temu. Wreszcie odprowadził gościa do windy. Stali przy niej wymieniając grzeczności. Pojawił się sekretarz stanu transportu i łaskawie zatrzymał się przy nich. Gerry od-czekał, aż zamknęły się drzwi windy. Wrócił do gabinetu podpi-sać resztę korespondencji z tego dnia. Stawiał autografy z ledwo powstrzymaną niecierpliwością.

## Rozdział dwudziesty

**W**reszcie mamy wiosnę - pomyślał z aprobatą Clive, patrząc na jaskrawożółte forsycje przy furtce posiadłości Henriquesów. Widok tej furtki sprawił, że cofnął się o szesnaście lat; miała dziwny zardzewiały uchwyt, nadgryziony zębem czasu. Clive pochwycił go z takim zapalem, że pozostał mu w ręce razem z kawałkiem spróchniałego drewna.

- Och, tato! - Dzieci wpadły w panikę i w tym momencie wyłonił się Sholto Henriques, witając ich gościnnie.

- Co takiego napsociłeś, Clive? Ach, to. Przykręcam go co tydzień. Chyba jest już w takim stanie, że naprawdę przydałaby się nowa furtka. - Pchnął ją i okazała jawne nieposłuszeństwo. Spadła z zawiasów i runęła w poprzek ścieżki.

- Och, na litość boską, tato. Jeszcze nie naprawiłeś tej furtki?

Clive się odwrócił. Caroline wychylała się z okna Volvo kombi. Timmy siedział obok na przednim siedzeniu. Patrzyła na ojca, z odwiecznym grymasem zniecierpliwienia.

- To naprawdę nie ma takiego znaczenia, Caroline. Da się przejść. Naprawię ją w wolnym czasie.

Caroline zacisnęła usta. Zdecydowała się nie wydawać bitwy. Zamiast tego wzięła się za wyładowywanie chłopców i książek z wielkiego samochodu. Z irytacją pokrzykiwała na dzieci. Nagle pojawiła się piękna Susannah. Łagodnie pogładziła rękaw kurtki matki. Caroline odwróciła głowę i uśmiechnęła się, wyraźnie

rozluźniona. Dziecko odpowiedziało szerokim uśmiechem i Clive również się uśmiechnął, podchodząc, by zaoferować pomoc przy wyładunku. Caroline miała na sobie džinsy, buty na płaskim obcasie i Clive zauważył z przyjemnością, że jest od niej wyższy o pół cala.

- Cześć.
- Cześć, cześć. Jesteś z dziećmi?
- Tak. Znikły z twoim tatą.
- Lepiej zrobiłby każąc któremuś z nich naprawić furtkę. Każde, nawet Francis, zrobiłoby to lepiej niż on.
- Twój ojciec nie jest tu po to, żeby naprawiać furtki. Zajmę się tym, jeśli mi pozwoli. Mój tato był brygadzystą w fabryce. Wiem, jak się to robi.

Przyjrzała mu się uważnie, zastanawiając się nad tymi słowami. Odpowiedział uśmiechem; znał dobrze Caroline i wiedział, że to o wiele bardziej rozsądne niż wściekać się. Teraz umiał z nią postępować.

- Życie polega na naprawianiu cholernych furtek - oznajmiła stanowczo, podsumowując swoje przemyślenia. - Mężczyźni powinni się tym zajmować.

- Nie powinni. Tacy ludzie jak twój tato - a nie jest ich za wielu - są po to, żeby myśleć i pobudzać innych do myślenia.

- Jeśli zamierzacie tak tu sterczeć to może nie powinienem wam przeszkadzać? - Zaskoczeni unieśli głowy i zobaczyli Casa. W progu domu wydawał się ogromny. - Może jednak mimo wszystko napilibyście się czegoś?

Siostra podeszła i ucałowała go.

- Byliśmy zajęci filozoficzną dysputą na temat roli mężczyzny. Wygląda na to, że w tej sprawie Clive to przybrany Henriques. Uważa, że wcale nie ma potrzeby, aby ktokolwiek naprawiał furtki.

- Tego nie powiedziałem - sprostował Clive. Wręczył Casowi swój wkład w przyjęcie - dwie butelki wina.

- Jestem o tym przekonany. Ta okropna dziewczyna przesadza. Dzięki serdeczne, Clive. Chodźcie, przed lunchem napijmy się szampana. Caroline chciała błysnąć i przywiozła parę butelek. Dlaczego szampan, Caro?



Szli za nim przez ponury korytarzyk do kuchni.

- Moje chłopaki z Prior Systems i ja doprowadziliśmy do tego, że Martins - bank inwestycyjny zapewniający forszę na ten wykup, mówiłam ci, idioto - zgodził się zagwarantować ofertę i jesteśmy konkurencyjni. Załatwiliśmy to w piątek.

- Skąd wiesz, że to wystarczy do przebicia konkurencji. - Cas wręczył jej nóż i sprawdziła gotujące się marchewki.

- Moi szpiedzy są wszędzie. - Unikała wzroku Clive'a. - Są gotowe. Trzeba je zdjąć i włożyć do piekarnika.

- Ile oferujecie? - spytał Clive uznając, że nie zaszkodzi wcześniej się zapoznać z pozycjami wyjściowymi tego wyścigu.

- Pięćdziesiąt milionów gotówką i dziesięć później zależnie od dochodów. Matthew Friern zaoferował sześćdziesiąt pięć, ale trochę opuści podczas negocjacji.

Clive'owi nie drgnęła powieka, chociaż zastanawiał się, który szpieg jej o tym doniósł.

Z pokoju dziennego dobiegł ich kościelny śpiew i Sholto Henriques wpadł do kuchni.

*I wstrętne małe brzdące*

*Przed tobą korzą się*

- zaśpiewał piskliwym falsetem. Był wyraźnie wyprowadzony z równowagi. Cas i Clive wytrzeszczyli oczy, a Caroline powiedziała zimno, że dzieci nauczyły się tego na katechizacji i całkiem im się tam podoba.

- A po co w ogóle je tam posyłasz? - spytał z wściekłością pierwszy w kraju filozof moralistyki i jego córka odparła jadownicie, że jej zdaniem będzie to miało zbawienny wpływ na rodzinę pozbawioną ojca. Sholto przyjrzał się jej, po czym skapitulował przepraszając za przerwanie rozmowy i został poinformowany przez Casa o najnowszych wydarzeniach dotyczących transakcji.

- A co z innymi facetami?

Ponieważ profesor Sholto Henriques ostro wziął się do dzieła i zaczął stawiać córce pytania, których Clive jeszcze nie zadał,

ten ostatni uznał, że może spokojnie zostać w kuchni i posłuchać odpowiedzi.

- My i Friern jesteśmy poważnie zainteresowani. Shaw jest zainteresowany przynajmniej jako tako - powiedziała Caroline spoglądając z ukosa na Clive'a. - Z pozostałej trójki jedno przedsiębiorstwo dało do zrozumienia NEB, że wzięłoby Prior z łaski, z drobną dopłatą na dodatek, więc mamy je z głowy, bo są dwie autentyczne oferty. Pozostałe dwa są chętne, ale Prior nie mieści się w ich polu zainteresowań. Prawdę mówiąc, sześćdziesiąt milionów płatne od razu gotówką to bardzo uczciwa cena, więc zakładamy, że nie zapłacą jej za firmę będącą daleko poza ich głównym nurtem działalności.

O wiele bardziej jasne i klarowne podsumowanie niż to przedstawione ministerstwu przez drogich doradców - pomyślał Clive.

Ojciec Caroline zastanawiał się nad odpowiedzią. Wielki mężczyzna robił wrażenie swoim opanowaniem.

- To niekoniecznie musi się sprawdzić - rzekł. Jego błękitne oczy błyszczały. - Ale niezła hipoteza robocza. Czy jesteście w stanie zmienić strategię, jeśli to założenie lub jakiegokolwiek inne okaże się błędne?

Uzasadnione, głęboko analityczne pytanie na dobrym poziomie - pomyślał Clive. Czemu Caroline zrobiła się tak poirytowana i niecierpliwa? Wygląda zupełnie jak czternastolatka.

- Czy na przykład możecie podnieść cenę? - spytał Clive rezygnując z dyskrekcji.

Chciał zapobiec wygłupieniu się Caroline w obecności ojca. Z ulgą słuchał wyważonej odpowiedzi.

- Nie, nie, to nasz szczyt możliwości. Taką strategię ustaliliśmy - chyba nie muszę ci o tym mówić, Clive. Należy od razu przedstawić najwyższą ofertę i nie rezygnować. Chłopakom ciężko jest się do tego zastosować, bo są przyzwyczajeni do trzymania paru funtów za pazuchą, ale przekonałam ich, że lepiej wypadniemy mówiąc prawdę.

- Zakładam, że to nietypowa strategia? - spytał łagodnie profesor Henriques.

Spojrzała mu w oczy.

- Tak, to prawda. W prawdziwym świecie ludzie oczekują po tobie, że będziesz chował trochę za pazuchą. Jednakże doszłam do wniosku, że więcej zyskamy grając w otwarte karty i w ten sposób dystansując się od innych kupujących. W kategoriach politycznych to działa całkiem nieźle.

- Bo prawda też ma wartość. - Profesor Henriques był zły, lecz opanowany. Clive zdał sobie sprawę, że Cas obserwuje tę wymianę ciosów z równą jak on uwagą.

- Coś w tym rodzaju - przyznała niechętnie Caroline.

- Więc nie rozporządacie alternatywną strategią? - Cas wesoło przerwał pełną napięcia ciszę. - Wyszuliście ofertę i jeśli ktoś was przebiję, zapewne jesteście ugotowani. Jeśli zaproponują mniej więcej tyle samo, to zakładacie, że będziecie najbardziej atrakcyjnym kupującym pod względem politycznym, ze względu na to, że pracownicy dostaną akcje.

- Opowiedz, jak oni będą je dostawać - rzekł profesor Henriques. - Zgodzili się na zakup?

- Instytucje finansowe zagwarantowały transakcje. Są gotowe wyłożyć całą sumę bez względu na to, czy robotnicy kupią akcje, czy nie. Jednakże zgodziły się również na zarezerwowanie piętnastu procent akcji dla pracowników i kierownictwa.

- Czy istotnie jest przewidziane, że pracownicy dostaną te akcje? - naciskał profesor Henriques.

O rany, rany, tych dwoje naprawdę nie może się powstrzymać, żeby nie iść na udry - pomyślał Clive. - Co za sposób prowadzenia rozmowy.

- Wyobraź sobie, że tak, tato. Moje chłopaki naprawdę wierzą w akcjonariat pracowniczy i podczas gdy my tu siedzimy, zamknęli się z szefostwem trupy teatralnej i zastanawiają się, jak najskuteczniej nawiązać kontakt z załogą. Chcą mieć pewność, że wykupi wszystkie przeznaczone dla niej akcje.

- Miło mi to słyszeć. - Profesor zacisnął usta, nieugięty.

Clive ze podziwem patrzył na dwie twarze podobne nie tylko

w rysach, ale i w wyrazie - błąd zastąpił na nich rumieniec napięcia.

- Opowiedz mi o tych teatralnych sztuczkach, Caro - rzekł licząc na to, że odwróci uwagę uczestników sporu.

- To doprowadza mnie do szaleństwa - z ulgą zmieniła temat. - Peter Burwood zupełnie oszalał, jest zajęty wyłącznie scenariuszami i baletem. To przedstawienie muzyczne pod tytułem *Jak kupiliśmy nasze przedsiębiorstwo*. Kiedy ostatni raz się mu przysłuchiwałam, brzmiało jak skrzyżowanie średniowiecznej pasji i wieczornych wiadomości telewizyjnych. - Roześmiała się. - Burwood planuje zaprosić wszystkich, w tym twojego szefa i panią premier. Nie, nie przejmuj się, powiedziałam mu, że nie będzie mogła przyjść.

- Czy to przedstawienie ma na celu przekonanie robotników do zakupu akcji? - uparcie dopytywał się jej ojciec.

Clive doszedł do wniosku, iż inni mogą mieć wątpliwości, ale Peter Burwood jest w pełni przekonany, że na pewno dostanie to przedsiębiorstwo.

- W tekście będą wszelkie możliwe ostrzeżenia, tato - jestem niezłą prawniczką.

- Wiem o tym. - Patrzyli na siebie bez uśmiechu, nieustępliwie.

Clive i Cas równocześnie otworzyli usta, by doprowadzić do rozjemstwa.

- Lunch gotowy - rzekł zdecydowanie Cas i Clive zamilkł w pół słowa. - Zwołaj dzieci, Clive - są z mamą.

Odnalazł dzieci leżące na kanapach w wielkim pokoju dziennym, który wyglądał jak nie malowany od szesnastu lat, gdy Clive ostami raz go widział. Lady Henriques przywitała ciepło gościa i wracając z gromadką dzieci poczuł się zupełnie jak u siebie w domu, w każdym razie bardziej niż rozwścieczona jasnowłosa głuptaska, siedząca nachmurzona w jadalni, najdalej jak się tylko dało od ojca. Ostentacyjnie oglądała widelec, który się prosił o wypolerowanie. Cas wręczył Clive'owi butelkę. Ten podszedł z lewej strony Caroline i nalał wino z niskim ukłonem, by ją rozśmieszyć.

- Rozluźnij się - szepnął. - Nie ma potrzeby robić z siebie takiego gburą. Maluchy są przez ciebie niespokojne.

Niechętnie przyznała mu wzrokiem rację i skierowała uwagę na dzieci; sprawdziła, czy mają wszystko co potrzeba. Clive usiadł przy jej ojcu i swobodnie zagłębił się w rozmowę o Kambodży. Czuł się nieskończenie lepiej wśród tych ludzi niż w rodzinie w której się urodził.

**P**ili kawę w pokoju dziennym, patrząc na chłopców ganiających po ogrodzie, Samantha Clive'a i Susannah Caroline bawiły się na podłodze w jakąś zawiłą grę plastikowymi zwierzakami, gdy Sholto włączył telewizor mruczając, że naprawdę musi się dowiedzieć, co się dzieje w Kambodży. Na czarnobiałym ekranie ukazał się obraz ponurego morza i dwa trawlerzy pochylone pod dziwnym kątem.

- Zderzenie na Kanale - zauważył Sholto właśnie w chwili, w której reporter BBC powiedział, że Gerry Willshaw jest w naszym studiu w Dorrington.

Caroline, która szukała książki, zdecydowana nie zajmować się Kambodżą, przerwała i siadła w fotelu. Wpierw pojawiła się kipiąca energią, nadęta twarz typowego pracownika BBC, który pytał, czy ostatnia katastrofa nie wskazuje najwyraźniej, że natchmiast należy wdrożyć jakąś formę licencjonowania żeglugi. Ukazał się Gerry: zmęczony, niepewny, fatalnie oświetlony, w porządnej, ale znoszonej kurtce, której kolor ostro kontrastował z wyraźną bledością twarzy. Spokojnie i cierpliwie wyjaśniał, że zagraniczny trawler nie przekazał wcześniej swojego kursu i zupełnie niespodziewanie wpłynął w zatłoczony farwator. Żadne ustalenia nie mogą zapobiec podobnemu szaleństwu. Tak, zarządzi śledztwo. Prawdę mówiąc, już zostało wszczęte. I, tak, należy głęboko żałować ofiar, niezależnie od tego, z jakiego kraju ci ludzie pochodzili.

Caroline patrzyła na niego z coraz większą rozpaczą, rozumiejąc, że wbrew wcześniejszym ustaleniom nie zobaczy go w tym tygodniu ani on nie zatelefonuje do niej dziś wieczór, bo

będzie zajęty katastrofą. Patrzyła na niego z tęsknotą, zmrożona zawodem. Podciągnęła kolana, opasała je rękoma.

- Co za przystojny mężczyzna - zauważyła z namysłem matka. - Piękna twarz. Cudowny zarys szczęki.

Caroline raczej poczuła, niż zobaczyła, że ojciec spogląda kpiarsko na żonę, która wybuchnęła śmiechem i wzięła go pod ramię. Caroline poczuła, że ktoś klepie ją po ramieniu. To Susannah bez słowa dawała do zrozumienia, że chce usiąść na kolanie. Caroline niechętnie rozsunęła ramiona, patrząc dziecku przez ramię, by nie stracić ani jednego słowa Gerry'ego.

- Dziękuję, panie ministrze - powiedziała persona z BBC, zostawiając nieprzyjemne wrażenie kontrolowanego oburzenia. Gerry znikł z ekranu.

Susannah przyłgnęła policzkiem do matki. Caroline przytuliła ciepłe dziecko, a po kilku chwilach łagodnie zsunęła je z kolan. Powiedziała, że chce przynieść sobie kawę, cicho wymknęła się za drzwi, w błogosławioną samotność hallu. Stała tam patrząc na kolorowe plamy, jakie słońce kładło na podłodze wpadając przez witrażowe szkło drzwi wejściowych. Starła się odzyskać panowanie nad sobą. Usłyszała z tyłu lekki trzask drzwi, ale się nie odwróciła.

- O co chodzi, Caro?

- O nic, Cas. Po prostu potrzebowałam trochę świeżego powietrza.

- W hallu nie ma go za wiele. - Brat obszedł ją i zmierzył wzrokiem. - Co się stało? Susannah też to zauważyła - nagle wyglądałaś na załamana.

Nie mogła wydusić słowa. Wytrzeszczył oczy.

- Och, nie. Więc to on? - Z pokoju dobiegł taki hałas, że aż podskoczyli. - Chodź na górę.

Wepchnął siostrę do małej kwadratowej sypialni, z której korzystała w dzieciństwie. Opadła na łóżko, wsparła się o wezgłowie. Jak zwykle w oczy rzuciły się jej zacieki na tapetach i wyblakła, brudna farba. Brat stał groźnie w nogach łóżka.

- To z Gerrym Willshawem masz romans?

- Tak. - Wreszcie znalazła chusteczkę i wysiękała nos, ogarnięta głęboką ulgą, że może w końcu z kimś porozmawiać.

- Ale, Caro, dlaczego? Przecież inteligencją on nie dorównuje Benowi do pięt. Tobie zresztą też.

- Och, Cas - powiedziała z wściekłością. - Inteligencja jako taka to ostatnia rzecz, na której mi zależy i zależało. Na co ona komu? Gerry wie, czego chce, bierze to i nie cierpi katuszy podejmując decyzję. O Boże, to takie krzepiące. I nie stój tam jak archanioł Gabriel.

Cas siadł po drugiej stronie łóżka.

- Co zamierzasz zrobić? Przecież jest żonaty i nie wydaje się... nie wydaje się, żebyś była szczęśliwa.

- Nie wiem, co zrobić - odparła zimno. - Nigdy o tym nie mówiliśmy, ale nigdy nie zasugerował, że rzuci żonę. - Wbiła wzrok w tapetę. - I teraz długo się nie zobaczymy z powodu tego zderzenia. Tak, tylko o tym myślę. Niech szlag trafi dwunastu zabitych i sześciu umierających. Cas, do czego doszłam! - Zaczęła płakać.

- Nie załamuj się. - Objął ją niezręcznie. - Tak to jest, sam pamiętam. - Obejmował ją, poklepywał po ramieniu, aż się wypląkała. Zamoczył w poobijanej miednicy krótki ręcznik, wykręcił i podał siostrze. Przycisnęła kompres do twarzy, a potem spojrziała na brata.

- Lepiej zrób to jeszcze kilka razy. - Spojrzął na nią z powątpiewaniem. - A może tu zostaniesz? Powiem, że zasnęłaś.

- Chyba nie potrafię zostać sam na sam z myślami - wyjaśniła ze znużeniem. - Chociaż nigdy nie płakałam, to jak zostanę sama, będę lkała całe popołudnie.

Westchnął i znów zamoczył ręczniczek. Położyła go na twarzy i oddychała głęboko.

- Powinnaś się zastanowić, dlaczego się w to wpakowałaś - rzekł z namysłem. - Wiesz czemu?

- Naprawdę nie wiem - odparła ponuro. - Po prostu nie potrafiłam mu się oprzeć. Dalej nie potrafię.

- Musiał trafić w jakiś twój czuły punkt - powiedział z namysłem Cas. Zgrzytnęła zębami.

- Spędziłam za dużą część mojego życia słuchając, jak tato albo ktoś z was wdzięczy się szukając skomplikowanego wytłumaczenia dla jakiegoś całkiem prostego działania. Czemu wy wszyscy nie możecie się po prostu zamknąć i coś zrobić dla odmiany?

Dopiekła tym bratu do żywego.

- Biorąc pod uwagę, co myślisz na nasz temat, to Gerry Willshaw ma zapewne same przewagi; konserwatywny wiceminister po czternastu latach służby wojskowej, podczas gdy my wszyscy jesteśmy łagodnymi pacyfistami, zwolennikami Partii Pracy i obracamy się w środowiskach akademickich. Gdyby nie udało ci się go poznać, wymyśliłabyś go, prawda?

Złość przez chwilę odebrała Caroline mowę.

- On żyje w prawdziwym świecie! - odpowiedziała z wściekłością. - Ma do czynienia z ludźmi, używa władzy. Został wybrany, żeby działać, nie uzurpuje sobie tytułu największego teoretyka jak tato. Tak, tego chcę.

- Kochanie, obudź się, przejrzyj na oczy! - Złość sprawiła, że Cas spurpurowiał. - Na litość boską, to politykier. Znajdziesz się między nim i szczytem tego natłuszczonego słupa - i po tobie. Tym ludziom zależy na władzy i statusie i mają gdzieś jednostkę. To odnosi się nawet do polityków z naszej... cóż... mojej partii. A do twoich kolesiów konserwatystów odnosi się dwa razy mocniej.

Wpatrywali się w siebie rozwścieczeni i Caroline poczuła, jak gniew przejaśnia jej w głowie.

- Lepiej baw się dalej - rzekła chłodno. - Będę wdzięczna, jeśli powiesz, że odpoczywam.

Patrzyli na siebie ponuro, gdy nagle z głębin swojej rozpaczki przypomniała sobie, co się przydarzyło bratu.

- Wiem, że ty też to przeszedłeś - powiedziała z trudem.

Pogładziła go po ręce. Drgnął. - Gerry jest podobny raczej do kogoś z nas. W jakiś niewytłumaczalny sposób jest idealistą jak Sholto.



- Nigdy nie potrafiłaś zrozumieć, że tato jest nie tylko idealistą. Wie, czego chce, i sięga po to.

Zastanowiła się nad tym niechętnie. Pociągała nosem, starając się zrozumieć, co usłyszała.

- I mama była spychana na bok.

- Och, Caro, przejrzyj na oczy. Nie wiem, czemu ci się ona wyplakuje, ale powinnaś już zrozumieć, że to bzdury.

Caroline patrzyła bratu przez ramię, widząc tapetę, słysząc matkę narzekającą, że nigdy nie starcza pieniędzy i żyją w takim brudzie, i pamiętała, jak serce pękało jej z żalu. Ale jak się dobrze nad tym zastanowić - do czego w gruncie rzeczy była wyszkolona - to dom z sześcioma sypialniami w sercu Hampstead był wiele wart, mogli przecież mieszkać w mniej szykownym otoczeniu i mieć nowe tapety. Ojca by to nie obeszło, nie przywiązywał nigdy wagi do tego, gdzie mieszka ani jak. Wróciła spojrzeniem do brata; czuła się źle, zbuntowana i spętana.

- On cię kocha, biedak - rzekł ze znużeniem Cas. - A ty za każdym razem walisz go skutecznie w łeb. Nie musisz się przejmować, że rozpowiem o twoim kochanku. Jeśli chcesz podciąć ojcu nogi tą radosną wieścią, musisz zrobić to osobiście. Zejdź na dół, kiedy będziesz gotowa. Coś wymyślę.

**W**nieskazitelnym gregoriańskim domu koło Dorrington Lucy i Matthew Friernowie również pili kawę i oglądali telewizję, ale byli bez dzieci.

Matthew uniósł się z głębokiego fotela i zdecydowanym ruchem wyłączył odbiornik. Siadł na kanapie obok żony.

- Chodź na górę.

Lucy odstawiła filiżankę i pomyślała: Wszystko, co sprawi, że Matt będzie mniej napięty i łatwiejszy do współżycia, jest mile witane.

Przez cały weekend krążył po domu okazując na przemian niepokój i podniecenie. Powodem musiało być Prior Systems;

od przyjazdu w piątek żył w nieustannym napięciu.

- Kochanie, chłopcy wrócą za godzinę - nie zapominaj. Odwożę ich do szkoły - przypomniała, kiedy dotarli do sypialni.

- Wiem, że cię to wcale nie znuży.

- To zależy od programu - odparła prowokująco, zaczynając się rozbierać.

- Nie, zaczekaj. - Podszedł do niej i rozpiął guziki bluzki. - Nie ruszaj się! - powiedział ostro, gdy chciała mu pomóc. - Stój spokojnie. - Niespiesznie zdjął z niej bluzkę i spódniczkę, przyjrzał się żonie dokładnie. Poglądził ją po piersiach. Wyciągnęła dłoń.

- Przestań. Masz tylko stać. - Łagodnie pieszcząc Lucy, odpiął pończochy, zwinął je w dół, ostro nakazując, żeby się nie wierciła.

- Jestem cała mokra.

- Ani myślę się spieszyć. - Wsunął jej dłoń do majtek. - A jesteś, co? - Cofnął dłoń i zdjął biustonosz, łagodnie bawiąc się sutkami. Z przyjemnością obserwował swoje poczynania, podczas gdy Lucy zadygotała w wiosennym powiewie.

- Matt, jeśli się nie pospieszysz, skończę na stojąco.

- Nie, nie skończysz - powiedział zsuwając w dół jej majtki. - Postoisz i poczekaasz, aż będę gotowy. - Cofnął się, rozebrał, nie spuszczać oka z żony, która z rozszerzonymi oczami przyłgnęła do ściany. Zdjął spodenki i podszedł do Lucy.

- Tak? Na stojąco?

- O, tak. Musisz pomóc. O Boże. - Wszedł w nią i poczuł, jak jej mięśnie opasują członek; wytrzymał tak długo, jak tylko mógł, i skończył gwałtownie. - Nie ma to jak dwutygodniowa zaprawa na nartach - szepnął jej chełpliwie do ucha i niechętnie oderwał się od żony.

- Oczywiście. - Lucy była zadowolona. - Można utrzymać zgięte kolana odpowiednio długo. Musimy częściej jeździć. Prawdę mówiąc, to nierozsądne. Mogłabym na czymś stanąć, zamiast testować twoje kolana.

- Tak?

Rozejrzeli się krytycznie po pokoju.

- Poduszka byłaby nie dość twarda - uznała Lucy.  
- Trochę za śliska. Parę książek? W każdym razie, ile byśmy się nie najeździli na nartach, dziś się już nam nie uda. Chodź tu, chcę położyć się na chwilę.

- Dziesięć minut. Potem muszę wstać - chłopcy wrócą. Możesz tu zostać, sen ci się przyda. - Wtuliła się w męża. - Gdzie błąkałeś się wczoraj wieczór?

- Pracowałem.  
- Dlaczego? Nad czym?  
- Nad Prior Systems. Reorganizacja zarządzania. Westchnęła.

- Jesteś bardzo pewny, że ci się uda.

- Jestem zdania, że mamy wielką szansę.

Przypatrywała mu się ze znużeniem.

- Czy uzależniasz wynik od poczynąń Williamsona?

- Tylko częściowo. Może przegraliśmy pierwszą rundę, ale Prior nie wygra następnej - nie dostanie Marsh Lane. Tym razem jesteśmy gotowi. W komisji jest sytuacja patowa. I jeden z konserwatystów jest po naszej stronie.

- Kiedy rozstrzygnie się przyznanie tego kontraktu? - spytała ze znużeniem.

- Za tydzień, w poniedziałek. Zejdziemy poniżej ich ceny. - Rozluźniony i w dobrym nastroju ułożył się wygodnie obok żony, ale Lucy była niespokojna.

- Matt? Czy to mądre? Powiedziałeś mi, że oni i tak mogą zaoferować piętnaście procent mniej niż my dzięki swojej strukturze kosztów. Nie stracimy na tym?

- To nie tak. Dostaniemy kontrakt dla siebie, a kiedy będziemy mieli Prior, wykorzystamy ich fabrykę do realizacji kontraktu. I podczas budowy podbijemy cenę. Tak jak to chamidło Burwood.

- Ale sądziłam, że rada miejska dała im to wyrównanie, bo kilka razy zmieniała zdanie na różne sposoby i zabałaganiała umowę.

Zesztywniał.

- Rozmawiałaś z Caroline.
- Zawsze rozmawiam z Caroline, ale nie o tym, skoro wy dwoje zdecydowaliście się iść na noże. O tym dowiedziałam się z lokalnej prasy. Artykuł Jenny Michaelis.
- Głupia krowa pewnie nasłuchiwała się Burwooda. - Odwrócił się plecami do żony.

Westchnęła.

- Może lepiej zrobilibyśmy nie rozmawiając o tym, ale martwię się, że rozchorujesz się od tego. Wiesz, nie uśmiecha mi się być młodą wdową.

Pogładziła go po plecach i po chwili przysunął się do niej.

- Miałabyś sporo propozycji.
- A miałabym - powiedziała z wyższością. - Niemniej jednak nie chciałabym, żebyś z powodu tego przetargu dostał ataku serca albo wylewu. Są inne duże przedsięwzięcia.
- Nie lubię przegrywać. I nie zamierzam przegrać tym razem. Sama się przekonasz. Zaczekaj tylko do jutra albo do wtorku.

- Dlaczego? - Podciągnęła się wyżej i spojrzała podejrzliwie na męża zakopanego w poduszki.

- Mniejsza z tym. Chryste, zobacz, która godzina. Lepiej zacznij się ubierać.

- O Boże. - Prior natychmiast wywietrzało jej z głowy. - Muszę wziąć prysznic.

Przemknęła do łazienki. Zamknął mocno oczy i udało mu się zapaść w sen, zanim wynurzyła się z umytą i wysuszoną głową.

**W**Hampstead Caroline doprowadziła się do stanu, w którym mogła się pokazać towarzystwu. Jediną oznaką złego samopoczucia była bladeść i podpuchnięte oczy. Zdecydowała ponuro, że można to zwalić na popołudniową drzemkę. Ostrożnie zeszła na dół. Dom był cichy. Postawiła imbryk na rozsypującej się kuchence gazowej, jak zawsze zirytowana brakiem elektrycznego czajnika. Dała go kiedyś matce, ale ta nie używała go

twierdząc, że brak na niego miejsca, a gdyby nawet było, równie wygodnie grzeje się wodę na kuchence. Nagle przypomniała sobie, że zaatakowała ten argument zarzucając matce, że zużywa na ten cel dwa razy więcej energii i trwa to dwa razy dłużej, na co właśnie matka, a nie Sholto, niezbyt logicznie wyłgała się twierdząc, że lepiej ogrzewać wodę nie uzależniając się od elektryczności, bo co by się zrobiło w razie przerwania dopływu prądu? Z przygnębieniem musiała przyznać wiele racji Casowi. Być może straciła wiele energii popierając kogoś, kto nie potrzebował jej wsparcia.

Wszystkie dzieci były w ogrodzie i z pewnym poczuciem winy zerknęła na Clive'a, który cierpliwie rzucał piłkę krykietową Timmy'emu, podczas gdy William i Francis stali przy bramce. Sama będąc całkiem przyzwoitym graczem, serwującym ze średnią szybkością, przyglądała się grze i uśmiechnęła się widząc, jak Susannah ustawiona na pozycji biegającego rozmawia poprzez bramkę z córką Clive'a, która w równej mierze lekceważyła sportowe obowiązki. W tym momencie Timmy odbił piłkę. Frunęła obok Susannah, która odwróciła się, z ciekawością obserwując jej lot, podczas gdy mężczy uczestnicy zabawy ryknęli na dziewczynkę. Caroline roześmiała się zachwycona.

- Herbata! - krzyknęła przerywając grę.

Jej chłopcy i Clive spojrzeli na nią spode łba, ale Susannah przybiegła ucieszona widokiem matki. Ta objęła dziecko i spojrzała na Clive'a, który szukał piłki w trawie. Rozjaśnił się na widok Caroline, uśmiechnął. Rozpogodzona odpowiedziała uśmiechem.

- Dobrze się czujesz? - Podczas podwieczorku mógł zadać to pytanie nie zwracając uwagi reszty towarzystwa.

- Tak. Tak, przepraszam, że się tak wyłamałam, ale musiałam się przespać.

- Wyglądasz na zmęczoną.

Przypatrywał się uważnie i żadna replika nie przychodziła jej na myśl, więc tylko odpowiedziała mu spojrzeniem, patrząc z przyjemnością na ciemnopiwe oczy i głęboką zmarszczkę między ciemnymi brwiami.

- Z twojej dziewczyny nigdy nie będzie krykiecistka - oznajmił zdecydowanie ku jej zdziwieniu.

Zdała sobie sprawę, że Sholto im się przysłuchuje.

- Żałuję, Clive - odparła pokornie. - Szczerze mówiąc, nigdy nie zachęcałam jej w tym kierunku.

- Nigdy nie znajdzie dobrego męża - stwierdził ponuro.

Nastrój intymności przerwała Susannah, która pewna siebie i niedowierzająca spytała Clive'a, czy naprawdę, naprawdę trzeba dobrze grać w krykieta, by zwrócić na siebie uwagę mężczyzny.

**S**tarszy sierżant? Tu Gerry. Oglądałeś telewizję? Nie będę mógł przyjść na nasze spotkanie. W tej chwili jadę do Londynu. Muszę się postarać, żeby David zrobił coś z obsługą w pociągach, ale to innym razem. Jest jakiś problem nie cierpiący zwłoki?

Tim Bailey poprawił się w fotelu i sięgnął po leżące przed nim papiery.

- Jeśli nie możesz przyjść na spotkania wyznaczone na przyszły tydzień, to może wyniknąć kłopot, ale teraz nie musimy sobie tym łamać głowy. Pogadam z Susan.

- Jakaś sprawa w radzie?

- To trudny problem, ale będzie stawiany w poniedziałek. Chciałem go z tobą obgadać, bo w weekend może być za późno. Chodzi o kontrakt w sprawie nowego osiedla przy Marsh Lane: sto trzy mieszkania w dwudziestu blokach, czas budowy trzy lata.

- Pamiętam. W czym rzecz?

- Jest ktoś z tobą?

- Kierowca.

- No to będę ostrożny. Jest trzech starających się: Macys i nim nie trzeba sobie suszyć głowy, Friern i twoi przyjaciele.

- Ach. Kłopoty?

Tim Bailey przyjrzał się notatce nabazgranej na marginesie strony, wygładził kartkę i dopisał u góry „N”, żeby nie zapomnieć o wrzuceniu pliku do niszcarki po załatwieniu sprawy.

- Podobno twoi przyjaciele dali najniższą cenę - prowadzą o piętnaście procent.

- Więc powinni dostać kontrakt.

- Friernowi udało się znaleźć lukę w przepisach, co oznacza, że może zastosować drugie podejście. Domyślam się, że tym razem zamierza złożyć niższą ofertę.

Nastąpiła pauza. Zastanowił się, czy połączenie nie zostało przerwane.

- Gerry?

- Tak? Czy to zwyczajna procedura?

- Nie. Ale trudno argumentować przeciwko czemuś, co może przynieść radzie najniższe koszty. - Odpowiedziało mu milczenie, ale zdecydował się kontynuować. - Twoi przyjaciele są gotowi się kłócić, no nie?

- Tak. Są gotowi.

Znów zapadła gęsta cisza. Bailey zdecydował się ją przecze-kać. Gdy minęła pełna minuta, odezwał się ostrożnie:

- Jasne, nie kontrolujemy komisji. Niewiele się da zrobić. Może niech sami walczą w tej bitwie.

- Mhm.

Oho, to nie poskutkuje - pomyślał z zainteresowaniem Bailey.

- Zamienię słówko z Tedem Malvernem - zasugerował samorzutnie, zagłuszając drobny niepokój, który wynikał wprost z uwagi pani Whitehouse o dyplomowanych geodetach.

- Zrobiłbyś to? - Gerry'emu chyba ulżyło. - Mógłbym sam z nim pomówić, ale wiem, że w tym tygodniu nie będę miał w ogóle czasu.

- Lepiej, żebyś w ogóle się za to nie brał - powiedział otwarcie Bailey.

- To prawda.

Bailey wyczuł wahanie Willshawa, a potem usłyszał trzaski na linii. Zaniepokoił się.

- A szczególnie nie w tej chwili, starszy sierżancie. Coś się szykuje. Nie wiem dokładnie co.

- Więc się pilnuj. - Niepokój nakazał Baileyowi bezpośredniość.

- Będę się pilnował, nie ma obawy. Ale słuchaj, Tim, jeśli ludzie, o których mówimy, zostaną wyrolowani z tego kontraktu, to nie popuszczą. Wybuchnie straszna rozróżba, w którą mogę zostać wciągnięty. Dobrze byłoby tego uniknąć. Nie czas na to.

- Jest kilku ludzi, z którymi mogę pogadać, Gerry. Chwytam, o co ci chodzi.

- Dasz znać w tygodniu?



## Rozdział dwudziesty pierwszy

W środowe przedpołudnie, trzy dni po lunchu u Henriquesów, Clive Fieldman nie był w najlepszej formie i wiedział o tym. Poprzedniego wieczoru wytrzymał przez godzinę na pożegnalnym przyjęciu Michaela Watsona i uznawszy, że uprzejmości stało się zadość, udał się do domu, wypił trzy kieliszki koniaku w ciągu dwóch godzin bezmyślnego oglądania telewizji, zasnął głęboko w fotelu i obudził się zziębnięty, w podłym nastroju o pierwszej w nocy. Zawlókł się do łóżka, ale spał z przerwami, zmęczony i odwodniony wchłoniętym alkoholem. Była dopiero dziesiąta, ale myślał tylko o tym, żeby zwinąć się w kłębek i jeśli nie można inaczej, zasnąć pod biurkiem, na ministerialnej wykładzinie. Zdecydował się na rozwiązanie pośrednie; skrzyżował ramiona na biurku i wsparł policzek na tej niezbyt wygodnej poduszce, pozwalając sobie na chwilową ucieczkę w nieświadomość.

- Panie Fieldman.

Obudził się i jednym okiem spojrzął na sekretarkę.

- Troszkę kimałem - powiedział niepotrzebnie i uśmiechnęła się do niego ze skrepowaniem. Ku swojemu zdziwieniu dostrzegł w jej wzroku prawdziwe ciepło.

- Przepraszam, że przeszkadzam. Sekretarz chce się z panem widzieć.

Pomyślał, że niewielu pracowników służby cywilnej używa

prawidłowo tego tytułu. Wyprostował się zaskoczony, podciągnął krawat i zapiął kołnierzyk. Samo „sekretarz” oznaczało sir Francisca, stałego sekretarza, nazwanego tak w celu odróżnienia od niestałych sekretarzy stanu, nominowanych przez kolejne partie rządzące.

- Po co? Powiedział?

- Jego biuro nie wie, panie Fieldman. Pytano, czy jest pan wolny o wpół do jedenastej. - Spojrzała na niego z wahaniem.

Zerknęła na zegarek.

- Pójdę się umyć. I muszę wypić kawę. Proszę przekazać, że będę - mam jeszcze przecież dziesięć minut.

I o wpół do jedenastej stawił się umyty, wzmocniony filizanką kawy. Zajmował swoje stanowisko dopiero od roku, więc raczej nie chodziło o jakiś niebotyczny skok w górę. Zapewne kroily się kłopoty bliżej niewiadomego pochodzenia.

- Clive... Usiądź. - Sir Francis Templeton, komandor Orderu Łaźni, omiótł go krótkim spojrzeniem i wrócił do lektury trzech gęsto zapisanych stron.

Zdenerwowany Clive przysiadł na krawędzi fotela dla gości.

- Powinieneś to przeczytać. Jak widzisz, jest zaadresowane do Petera Wilsona w Ministerstwie Służby Cywilnej.

Skupiając wzrok na kartce papieru zdał sobie sprawę, że zna ten charakter pisma: nieskazitelnie wyraziste drobne literki człowieka, który zaczął pracować w służbie cywilnej jako kancelista i przeszedł długą drogę do stanowiska pozwalającego nakazywać innym, aby pisywali dla niego. Cała ta pisanina zajęła Michaelowi Watsonowi kilka stron, bo jego mętniactwo uniemożliwiałoby zwięzłe wyniszczenie sprawy. Clive zdziwił się, gdy nazwisko Caroline Whitehouse wyskoczyło z ciasnych linijek, i zaczął czytać jeszcze raz. Był to okropny list; Watson wylał w nim cały skumulowany żal, wściekłość, poczucie zawodu i odtrącenia. Rezultat był równocześnie żaloszny i pełen goryczy.

*...nie spodziewałem się, że podsekretarz tak dalece wykroczy poza nakazaną pracownikowi służby cywilnej neutralność... służalcza podległość politycznym celom ministra*

*zamiast obiektywnego doradztwa... faworyzowanie znajomej, podsuwanie propozycji odpowiadających wymaganiom polityka... pod pozorem modnej politycznie doktryny akcjonariatu pracowniczego rezygnacja z obiektywizmu kosztem preferowania niepewnej finansowo grupy... zasady bilansu przeinaczone, co umożliwiła chciwemu kierownictwu łatwe nabycie publicznego dobra... należy poinformować ogół.*

- Oczywiście jeśli spróbuje poinformować ogół, ryzykuje emeryturę - rzekł sucho stały sekretarz. - I niech nie liczy na jakąkolwiek inną reakcję. Jednakże muszą napisać notatkę do Ministerstwa Służby Cywilnej, w jakiś sposób odpowiadając na podniesione zarzuty.

Clive, który czuł się, jakby leciał w dół kopalnianym szybem, wziął głęboki oddech i stwierdził, że przede wszystkim musi przeczytać list ponownie. Za drugim razem było nieskończenie lepiej; serce przestało łomotać w piersiach i smak żółci głęboko w gardle ustąpił. Cholerny dziad utrzymywał, że Caroline Whitehouse i kierownictwo Prior Systems byli faworyzowani, co polegało na zachęcaniu oraz udostępnieniu informacji i kontaktu z ministrem, a wszystko to w wyniku działań jego, Clive'a Fieldmana, wspierającego niegodziwe, partyjne cele ministra. Friern nie zostało wymienione ani razu.

- Zapewne przypomina pan sobie, panie sekretarzu - rzekł używając szyfru oznaczającego, iż zwierzchnik doskonale zna fakty, które on, Clive, zaraz wyrecytuje - że Prior System to przedsiębiorstwo budowlane stosujące elementy prefabrykowane. Jest sprzedawane przez NEB.

- W istocie. A pani Whitehouse?

- Jest radcą prawnym reprezentującym kierownictwo firmy, chętne do wykupu własnego przedsiębiorstwa.

- I naturalnie ministrowie, kierując się programem wyborczym, są za wykupem przez kierownictwo - podsunął sir Francis.

- Tak.

- Więc co takiego zrobiłeś, Clive? Patrząc na sprawę w tym aspekcie?

- Kiedy kierownictwo Prior System poprosiło o spotkanie z ministrem, doradziłem mu, by je przyjął. Rozmawiałem w panią Whitehouse - z którą robiłem aplikację radcowską szesnaście lat temu i z którą nie spotkałem się od tamtej pory ani razu - o tym, co minister byłby rad widzieć w ofercie wykupu. Powiedziałem, że będzie się liczyła godziwa cena. Reszta moich uwag utrzymana była w tonie rutynowej zachęty wysuwanej pod adresem wszystkich zainteresowanych.

- W każdym razie to NEB jest odpowiedzialna za sprzedaż.

- W istocie - rzekł z wdzięcznością Clive, dostrzegając zarys spiżowych wałów obrony wyłaniających się z bagnistego podłoża.

Sir Francis przyjrzał mu się z uwagą.

- Jak dobrze znasz panią Whitehouse? Pamiętam, że jest bardzo atrakcyjna - znam jej ojca.

- Nigdy nie utrzymywaliśmy bardzo bliskiej znajomości. To znaczy, jedynie pracowaliśmy razem w młodości. Była bardzo zdolna. Potem spotkaliśmy się znowu... ile to?... trzy miesiące temu na konferencji poświęconej prywatyzacji. Dwa razy byłem na lunchu z nią i chyba z dziesięcioma osobami z jej rodziny, raz rozmawialiśmy w jej kancelarii. Raz sam zaprosiłem ją na lunch. I nie dostała ode mnie żadnych poufnych informacji. Nie potrzebuje ich. Ma własne metody.

- Czy inni mogą utrzymywać, że dzięki waszej znajomości Prior Systems zyskało jakikolwiek wgląd w transakcję?

- No cóż, panie sekretarzu, jest sześciu chętnych do zakupu, z czego trzech nigdy nie nawiązało kontaktu ze mną ani z ministrem. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Ale tak się przypadkiem składa, że nie tylko pani Whitehouse, ale i żona głównego dyrektora spółki akcyjnej Friern Constructions, najważniejszego konkurenta kierownictwa Prior, była ze mną na aplikacji u Smitha Butlera. Lady Friern nie skończyła aplikacji. - Przerwał i odchrząknął. Chętnie obyłby się bez tej chryпки. - Prawdę mówiąc, znam Lucy... lady Friern... lepiej niż Caroline

Whitehouse. Podczas ostatnich trzech miesięcy chyba częściej spotykałem się z nią niż z Caroline.

Bładoniebieskie oczy sir Francisa, spoglądające z namysłem na Clive'a wydały się jeszcze bardziej wylupiaście niż zwykle.

- To żaden plus. Jedyna pociecha, że jesteś zaprzyjaźniony z dwiema stronami, a nie z jedną.

- Nie zamierzałem szukać żadnych plusów, panie sekretarzu, stwierdzam fakty. Być może gdybym o tym pomyślał, to zupełnie ograniczyłbym kontakty z panią Whitehouse i lady Friern, ale nie widziałem powodu, dla którego miałbym unikać starych przyjaciół, zwłaszcza że nikt z nas nie był bezpośrednio odpowiedzialny za prowadzenie sprzedaży.

Na sir Francisie nie zrobiło to wrażenia.

- Clive, gdyby moimi starymi przyjaciółmi były dwie panie w moim wieku, każda związana z głównym konkurentem, to zrezygnowałbym z rozkoszy ich towarzystwa na odpowiedni czas. Dziwne.

W Clivie aż kipiało, ale zdał sobie sprawę, że sekretarz nie miał pojęcia o istocie sprawy. Kłopot polegał na tym, że on, Clive, nie chciał o tym pomyśleć z powodu jego... nie jego, nigdy nie jego i na pewno już nie jego Lucy. I zdał sobie sprawę, że nie był jedynym źródłem politycznych informacji Caroline, ale o tym też nie zamierzał mówić.

- Przepraszam, panie sekretarzu. Moim zdaniem nie udzieliłem nikomu żadnej informacji ani nie okazałem żadnych względów. Jednakże rozumiem, że można było odnieść w tej sprawie inne mniemanie, i jest mi bardzo przykro, że ten biedak Watson - który się nią nie zajmował i który, prawdę powiedziawszy, niewiele o niej wie - tak pomyślał.

Sir Francis lekko kiwnął głową.

- Tak. No cóż, coś takiego zamierzam powiedzieć. Napiszę odpowiedź, ale oczywiście pokażę ci ją przed wysłaniem. Biorąc pod uwagę autora listu, nie sądzę, żeby Ministerstwo Służby Cywilnej robiło jakiś niepotrzebny zamęt. Zakładam, że odwołanie,

jakie musiał rozpatrzyć Peter Wilson, było niezwykle niewdzięcznym zadaniem. - Zrobił pauzę, żeby Clive dobrze się skupił. - Clive, pamiętaj, ta piramida jest bardzo stroma. Jest konkurencja i niewiele trzeba, żeby znalazłszy się prawie u szczytu, polecieć w dół. A byłaby szkoda.

Clive, wściekły i zakłopotany, wymamrotał kolejne przeprosiny, ale zwierzchnik zbył je machnięciem ręki.

- Miejmy tylko nadzieję, że nie podrzucił kopii prasie bulwarowej - oznajmił krótko. - Jutro podeślę ci odpowiedź.

Clive poszedł do swojego gabinetu, czując się tak, jakby kroczył po jajkach albo szklanych kulkach, i osunął się na fotel, wstrząśnięty do głębi. Dzięki Bogu, że Watson zaatakował na złym odcinku, tam gdzie zachowanie Clive'a było bez zarzutu. Stały sekretarz miał rację i nawet nie wiedział, w jakim stopniu, i nigdy się nie dowie. Clive nieszlachetnie, wręcz wrednie, żywił nadzieję, że to Friern lub ktokolwiek inny wygra przetarg, byle nie kierownictwo Prior Systems. Ale z całą ostrością przypomniał sobie, że zwycięstwo Frierna też oznacza kłopoty, nawet bez Michaela Watsona. Ale nie warto się na nie narażać. Kochał Lu, ale ona nigdy nie zostawi Matthew dla niego.

Muszę z tym skończyć - pomyślał poważnie. Ślub albo zerwanie.

Chodził od drzwi do okna, otrząsając się z szoku doznanego pod wpływem myśli, że gabinet, który właśnie opuścił, gabinet na najwyższym piętrze gmachu, jest jego celem, ale ryzykował karierę dla kobiety, która nawet nie kochała go na tyle, by zaryzykować własne małżeństwo.

Siadł oparty łokciami o biurko i patrzył w blat. W głowie mu się kłębiło i z wolna przypomniał sobie, że Caroline też jest w to włączona i należy ją ostrzec. Zastanowił się przelotnie, dlaczego dopiero po dobrych dwudziestu minutach o niej pomyślał. Z goryczą zdał sobie sprawę, że poczucie winy doprowadziło do tego, że zachowywał się jak szczur w kołowrotku i obsesyjnie zamartwiał się inną kobietą, która nie była nawet wspomniana w liście Watsona. Ponieważ nie miał powodu wyrzucać sobie niedyskrecji popełnionych przy Caroline Whitehouse, gdyż w jej towarzystwie pozwalał sobie jedynie na zupełnie błahe wzmianki,

nawet się nie zastanowił, czy powinna być ostrzeżona. No cóż, powinna. I przyzwoitość nakazywała zrobić to oficjalnie. Mózg opornie wziął się do pracy i Clive zdał sobie sprawę, że sir Francis będzie oczekiwał po nim, że porozumie się z Caroline. Znakomicie, skonsultuje się z sir Francisem, spyta, jaką formę powinno mieć to porozumiewanie się, i od tej pory zapewni sobie osłonę ze strony ministerstwa. Wszystkie zasady będą rygorystycznie przestrzegane. Poprzez pannę Williams poprosił o następne dziesięć minut z sir Francisem i prawie natychmiast został dopuszczony przed jego oblicze. Czekał spokojnie, podczas gdy sir Francis podpisywał jakiś list. Clive grzecznie się podniósł.

- W sprawie tamtego listu, panie sekretarzu - rzekł urzędowo.

- Chciałbym zawiadomić panią Whitehouse przynajmniej o jego istocie. Wydaje mi się, że powinna zostać poinformowana.

Sir Francis przyjrzał mu się ze spokojem.

- Usiądź, Clive. - Ruchem ręki wskazał głęboki fotel. - Myślałem, że należałoby również powiadomić ministra - powiedział lekko, siadając za biurkiem.

Clive patrzył na zwierzchnika usiłując zapanować nad drżeniem szczęki. Co się ze mną dzieje? - pomyślał. Nerwy i lęk rozkładają mnie kompletnie.

- Przepraszam, sądziłem, że to zrobimy - powiedział opowijając się najszybciej, jak to było możliwe. Dodał z nadzieją: - Jednakże pamiętam, że nie ma go do wieczora. Czy jest cel telefonować do Manchesteru i przeszkadzać ministrowi?

Sir Francis nadal mu się przyglądał z głębokim namysłem.

- Nie. Wystarczy zatelefonować wieczorem. Ale musi być zawiadomiony, na wypadek gdyby ta sprawa wypłynęła gdzie indziej.

- Zrobił pauzę. - Prosiłem szefa działu kadr, żeby postarał się o przeprowadzenie rozmowy z Watsonem i ostrzegł go przed powtarzaniem tych zarzutów.

- Ach - bąknął nieco głupawo Clive. - Tak. - Ledwo zdołał się powstrzymać przed idiotyczną wypowiedzią, że to znakomity pomysł.

- Co do pani Whitehouse - rzekł sir Francis odczekawszy uprzejmie, na wypadek gdyby Clive miał jeszcze coś do dodania.  
- Główny wspólnik u Smitha Butlera to mój stary przyjaciel. Porozmawiam z nim. Myślę, że tak będzie lepiej.

- Och, z pewnością - wyjąkał pospiesznie Clive. - Tak.

Jeszcze jeden kretyński pisk z mojej strony i spyta, czy nie chcę pójść do domu i odpocząć - pomyślał przygnębiony.

- Dziękuję, panie sekretarzu.

Jakoś udało mu się wyjść z gabinetu i doczołgać do siebie, ukryć za panną Williams i pełnym koszykiem pism przychodzących.

**W** dwie godziny później Michael Appleton stał niezdecydowany w sekretariacie Caroline i z ponurą miną patrzył na podświetlony napis: „Nie przeszkadzać”. Z irytacją zauważył przy tym, że jasny blask przedpołudnia podkreśla warstwę kurzu na ekranie monitora komputerowego. Nie dość problemów, wygląda na to, że narzekania wspólników na niedbałość sprzętaczek są uzasadnione i będzie musiał coś z tym zrobić. Wiedział, że Caroline jest u siebie; nie musiał słyszeć głosu, wystarczał szelest papierów, ale nie cieszył się na to, co spotka go za progiem.

Jestem głównym wspólnikiem, odpowiedzialnym za czterdziestu innych tak samo, jak za tę wojowniczą srokę - udzielił sobie napomnienia i uzbrojony w tę myśl zapukał.

Przywitało go warknięcie, a potem rozkazujący okrzyk, że ma sobie iść i wrócić później. Zdecydowanym ruchem otworzył drzwi i zderzył się z najbardziej odpychającym wzrokiem Caroline, jaki można było sobie wyobrazić. Przeszedł on jednak w wyraz szczerego zdumienia, gdy poznała głównego wspólnika.

- Michael! Wejdz. Nie ma już kawy, ale mogę zaparzyć.

Wielki stół konferencyjny, przy którym pracowała, był zasłany uporządkowanymi plikami, zaczynającymi się od instrukcji



postępowania. Przeczytał najbliższą: było to zwięzłe podsumowanie problemów objętych tą umową i uprzejme wskazanie, w jaki sposób odpowiedzialny za nią aplikant powinien przystąpić do pracy. Z szacunkiem ogarnął wzrokiem osiem pozostałych plików: do tej akurat części jego nawy powrócił ład.

- Miałam zaległości - powiedziała wyzywająco - ale chyba żadna piłeczka nie spadnie na podłogę. Wyłapię je w ostatniej chwili.

- Nie przyszedłem narzekać na twoją pracę. Jak długo tu siedzisz?

- Od brzasku. Dokładnie biorąc, od szóstej. Nie mam dziś narad, więc mogę pracować. A na co przyszedłeś narzekać?

Jak zawsze bystra - pomyślał, od razu zmuszony do wyłożenia celu wizyty.

- Gadałem ze starym przyjacielem z Ministerstwa Środowiska. Złożono zażalenie, że my... że ty... wykorzystujesz poza-prawne wpływy polityczne, aby zapewnić kierownictwu Prior wykup przedsiębiorstwa.

Omijał ją wzrokiem czując skrępowanie, ale wydała cichy, stłumiony okrzyk, który zwrócił jego uwagę. Złapała się stołu; jej twarz stała się zielonkawo-błada. Instynktownie wyciągnął ręce, na co Caroline podniosła dłoń i dała znak, że nie potrzebuje pomocy. Przewróciła przy tym filiżankę z kawą, zalewając wersję roboczą umowy, nad którą właśnie pracowała. Oboje chusteczkami higienicznymi zaczęli osuszać kawową powódź.

- To na jutrzejszą naradę o dziesiątej - powiedziała chrapliwie i odchrząknęła. - Kto złożył zażalenie? I na co?

Wyjaśnił jej z niepokojem sens listu. Wzięła głęboki oddech. Krew wracała na blade policzki.

- Ach, tak. Och, to w porządku. Biedny Clive.

- Czego się spodziewałaś? - spytał widząc tylko pochylony czubek głowy.

- Kiedy prawnik dowiaduje się, że złożono na niego zażalenie, to czuje się tak, jakby usłyszał: „Chodu, wszystko się wydało!” - Nie podnosiła głowy. To o czymś świadczyło. Oparła się o stół i odetchnęła powoli, a potem uśmiechnęła się do Michaela

Appletona. - Ale to bardzo mgliste i ma bardzo wątle podstawy. - Zastanowiła się nad postawionymi zarzutami i pod wpływem ulgi z wolna się zaczerwieniła. - Prawdę mówiąc, chodzi jedynie o to, że naprawdę daję z siebie wszystko w interesie klienta.

- Nie zależy nam specjalnie, by takiego rodzaju listy sypały się jak z rogu obfitości.

Kiwnęła głową.

- Zgadzam się całym sercem. Przeprosiłabym, gdybym czymś zawiniła, ale tym razem jestem czysta jak łąza. Naprawdę nie zrobiłam w tej sprawie niczego niewłaściwego, podobnie jak Clive. Nie wątpię, że w robocie czekają go przykrości. Ale na litość boską, nie można się za bardzo przejmować listami od ludzi, którzy właśnie zostali wywaleni.

To przemawia córeczka Sholto Henriquesa - pomyślał że znużeniem Michael Appleton.

- Ministerstwo naturalnie obawia się, żeby coś z tego nie przedostało się do gazet. Na wszelki wypadek musimy mieć gotowe oświadczenie.

- No cóż, gdyby sprawa dostała się do prasy, niech najpierw ministerstwo rozgrywa piłkę. A jeśli ktoś nas spyta, powiemy tylko, że oczywiście nasz klient szukał informacji w sponsorującym ministerstwie i spotkał się zarówno z odpowiedzialnym za sprzedaż ministrem, jak i głównym pracownikiem służby cywilnej, Clive'em Fieldmanem. Zakładamy, że każdy, kto ma trochę oleju w głowie i chce kupić Prior Systems, zrobił to samo. Bo zrobił. Tak się składa, że akurat Matt Friern zaprosił Winstanleya na obiad, a Clive zna Lucy lepiej ode mnie. Utrzymuje częstsze kontakty z nią niż ze mną.

Michael Appleton zapisywał to wszystko pieczołowicie.

- Tak, to ma sens. Nie odzywamy się, zanim ktoś nie zahaczy kogoś z nas. I ja udzielam komentarzy, nie ty, Caroline.

Spojrzała na niego z uczuciem. Siedział i spokojnie kończył zdanie. Podsunął jej brudnopis i bez wahania naniósł dwie drobne poprawki.

- Czy wyjawiamy, że Clive miał u nas praktykę?  
- Jeśli będę pytany. I podkreślę, że było to szesnaście lat temu.

- I przecież musiał gdzieś praktykować.  
- Dziękuję, Caroline. - Ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się przy drzwiach. - Powiedziałaś, że tym razem jesteś czysta jak łąka?

Z jej spojrzenie zrozumiał, że nic nie powie.

- Michael, jestem znana z tego, że przytrafiają mi się dziwne pomyłki w karierze.

- Na litość boską, Caroline. Czy ty się dobrze czujesz?

Pokazała mu język. Miała minę siedmiolatki. Uśmiechał się zamykając drzwi, ale idąc do swojego gabinetu, nie był w wesołym nastroju.

Caroline zostawiona samej sobie nie potrafiła się skupić na pracy. Było wczesne popołudnie i wysoki stos pism nadal czekał na przerzucenie przed jutrzejszą naradą, ale zdała sobie sprawę, że jest zbyt zdekoncentrowana. Spojrzała na telefon, zawahała się i zadzwoniła do Clive'a. Biedaczysko, był bardzo roztrzęsiony, ale wykazała mu, że są oboje niewinni. Roześmiał się z trudem.

- Oni tu uważają, że zrobiłem z siebie głupka.

- Chyba nie wykazałeś się rozumem idąc ze mną na lunch. Ale nie mam pojęcia, co moglibyśmy zmałstrować w obecności dziesięciu osób z mojej rodziny. Clive, naprawdę siedzisz w gównie?

Zawahał się.

- To minie. Tak bywa z tymi sprawami. Mówimy o tym Winstanleyowi, będzie się pilnował. A temu gościowi, który napisał list, powiedziało się, że jeśli jeszcze raz to zrobi albo spróbuje tego samego gdzie indziej, ryzykuje nie tylko emeryturę. Powinien się zamknąć.

- Każdy by się zamknął - rzekła z naganą Caroline. - Walnęliście bidakowi z grubej rury.

Oto głos Henriquesówny - pomyślał rozjątrzony do żywego Clive. Ten bidak to nierób i pijaczyna, który mógł skończyć znakomitą karierę pracownika służby państwowej i zaprzepaścić wiele lat pracy.

- Przepraszam - powiedziała. - Ciebie to kosztuje dużo więcej

niż mnie. Ja zostałam tylko oskarżona o rozpychanie się łokciami, ty o niedopełnienie obowiązków służbowych.

- Ale jest jeszcze coś dziwnego. - Clive, ugłaskany dogłębną analizą i przeprosinami, zdecydował się podzielić kłopotem. - Nasi ludzie z bezpieczeństwa zadzwonili do niego. Mówi, że został do tego zachęcony przez gościa, z którym spotykał się w pubie naprzeciwko ministerstwa. I co jeszcze dziwniejsze, wydaje mi się, że pewnego dnia faktycznie widziałem tego gościa, ale nie mogę go dokładnie opisać. W każdym razie Watson miał wizytówkę służbową faceta, ale pod wskazanym adresem nigdy o nim nie słyszano. To znaczy firma była, a jakże, tylko że nigdy nie zatrudniała nikogo o tym nazwisku.

Caroline wpatrywała się w telefon.

- To nie jest dziwne, Clive. To bardzo dziwne. Prowokator. Nie chodzi tu o jakieś szpiegostwo?

- To niezbyt realne. Przecież mówimy o przedsiębiorstwie budowlanym, nie o producencie rakiet. Naturalnie skonsultowano się z odpowiednimi ludźmi, ale nikt nie wie, co o tym sądzić. - Zawahał się. - Z pewnością nie spodziewają się, że ci o tym wszystkim opowiem, Caro. Zachowaj to dla siebie.

- Och, bądź spokojny. Ale ja też jestem w to wplątana - rzekła zdecydowanym tonem. - Widzisz, to było skierowane nie przeciwko tobie - naprawdę chodziło o nas. Ktoś usiłuje zdystryktować ofertę kierownictwa. To sabotaż w mojej sferze działania.

- Ależ masz rację - powiedział z wolna Clive i ze wstydem poczuł wielką ulgę. - Taki przynajmniej jest skutek. Założyłem, że Watson usiłował utopić mnie w gnojówce najgłębiej jak mógł. Ale gość, który mu podsunął pomysł, chciał przysporzyć kłopotów Prior.

Oboje zamilkli zastanawiając się nad tym, do czego doszli. Clive uznał przedstawienie tej teorii sir Francisowi za ze wszelkich miar użyteczne.

- Cholerny Matthew Friern - powoli rzekła Caroline.

- Myślisz? Niemożliwe. - Clive był zaskoczony.

- Był gotów kupić całą grupę, byle tylko dostać Prior w swoje

ręce. Tak powiedział. Nie komentuj, Clive, wiem, że nie możesz, ale naprawdę słyszałam go, kiedy to mówił. I to on stoi za tymi wszystkim cudami, jakie dzieją się w Dorrington. Na przykład sabotaż u moich chłopaków w malarni i utrudnianie re negocjacji kontraktów. Nie, nie zamierzam cię tym nudzić.

Była podminowana jak za dawnych lat, kiedy rywalizująca kancelaria usiłowała pokrzyżować jej plany.

- Caroline! Upuść sobie trochę pary.

- Współczuję ci, Clive, tych przykrości - użyła krótkiej formułki grzecznościowej. - Jeśli nie będziesz nawet mógł zjeść ze mną lunchu, jesteś w zupełności rozgrzeszony, ale kiedy się to wszystko skończy, z rozkoszą się z tobą spotkam. Muszę spadać.

Zdecydowanym ruchem odłożyła słuchawkę i wzburzona podeszła do okna. Kłopot w tym, że przeciwnik miał całą ciężką artylerię; Friern dysponował o wiele większymi możliwościami finansowymi niż dyrektorzy Prior, związani bardzo ściśle wymaganymi przez instytucje finansowe ratami spłat. Rzecz jasna, mieli pewną możliwość manewru; rynek cierpiał głód dobrych transakcji, gospodarka wyraźnie wchodziła w recesję, co dostawcy władz lokalnych stwarzało dużą przewagę. Żadne laburzystowskie rady miejskie nie zamierzały zaprzestać budowy mieszkań dla swoich wyborców. Ale to wszystko miało i ciemną stronę. Matthew Friern chwycił się naprawdę brudnych sposobów i nie dość, że tak zależało mu na Prior, iż po nie sięgał; dysponował również zasobami finansowymi i wsparciem, które umożliwiały wysunięcie wysokiej oferty - o pięćdziesiąt procent wyższej niż precyzyjnie skalkulowana propozycja kierownictwa. I realistycznie patrząc, żadne wsparcie polityczne, na które Caroline mogła liczyć, nie zmusi nowego rządu do sprzedaży firmy państwowej jej kierownictwu, gdy prężna firma prywatna wysunie znacznie wyższą ofertę. Sama bym to mocno skrytykowała - uznała ponuro, myśląc o zapracowanych, cierpliwych, pojętych chłopkach z dalekiego Dorrington, którzy pokładali w niej takie nadzieje. Wyłowiła „FT” spod stosu papierów i znalazła notowania Friern. Cena akcji była tuż poniżej najwyższej tegorocznej,

a bilansu przejściowego można było się spodziewać za dwa tygodnie, chociaż z wczesnej analizy wynikało, że rezultaty przekroczą - chociaż w nikłym stopniu - zeszloroczne. Tu nie ma co szukać - pomyślała i nagle przypomniała sobie fragment rozmowy sprzed dwóch tygodni. Nagle siadła, wstrząśnięta tym, co przyszło jej do głowy, a potem pomyślała o Peterze i chłopakach męczących się z unieruchomioną malarnią, o radnym Williamsonie, pulchnym i zadowolonym z siebie, i o koszmarnym, choć wodzonym za nos podwładnym Clive'a, piszącym list, za który mógł zapłacić emerytura.

- Dobra, Matthew - odezwała się na głos w cichym pokoju.

Przez następne dziesięć minut siedziała nad notatnikiem, piła, a potem sięgnęła po telefon.

O wpół do piątej Andy Eames Lewis poczuł, że ma dość; poprzednio był na roboczym lunchu i wpuszczał klienta w maliny - z tym że żaden z wyższych dyrektorów w dziale spółek handlowych u Walzheimsa nie użyłby tego szczególnego określenia - i uznał za konieczne wypicie dwóch kieliszków wina zamiast jednego, który już stanowił jego absolutne maksimum. Stukał w klawisze komputera; giełda zakończy działalność za pół godziny i Andy przeglądał notowania poważnych klientów banku. Nie działało się nic specjalnie ekscytującego. Friern trochę zjechał, ale był już koniec notowań. Andy zdecydował, że wypije kawę, żeby się trochę obudzić. Miał w planie spotkanie z Emmą na wieczornym przyjęciu, na którym będą również Matthew i Lucy Friern, ale wcześniej musiał przejrzeć analizę fuzji przygotowaną przez podwładnych na zlecenie innego klienta. Pochylił się nad dokumentem. Po dwudziestu minutach oderwał go od pracy telefon.

- Jeremy Winnick, Andy.

Znał ten gardłowy głos, ale wyprostował się jak struna. Zwykle rozmawiał z asystentem faceta.

- Miło cię słyszeć. Widzę, że spokojny dzień na giełdzie.

- O tyle, o ile. Coś się wyprawia z akcjami Friern. W czym rzecz, jesteś zorientowany?

- Nie. Ile poleciały?

- Dwadzieścia punktów i wciąż lecą szybciotko. Niezbyt piękny widok.

Faktycznie, niezbyt. W każdym razie na tyle, żeby zaniepokoić trzeciego dyrektora w hierarchii Marquandsa i brokerów najbardziej prestiżowych firm na giełdzie.

- O ile się orientuję, Jeremy, wszystko układa się świetnie, zgodnie z tym, co opowiedziałem Williamowi, kiedy mówiliśmy o emisji, którą zapłacilibyśmy za Prior.

- Słyszysz się, że ma kłopoty z filią, która zajmuje się budownictwem lądowo-wodnym. Jak jej tam... Bartholomews?

Głos brzmiał łagodnie, ale Andy nie dał się oszukać; wybuchł kryzys i jeśli tylko pojawiła się jakaś fuszerka, o której Matthew nie powiedział, Marquands nie puści tego płazem. Był na tyle wielką firmą - i na tyle arogancką - że znakomicie da sobie radę bez Frierna. A jeśli cena akcji Matta ostro pójdzie w dół, można się pożegnać nie tylko z korzystną ceną nowej emisji, za którą spłaciłoby się Prior Systems, ale Friern utraciłby dotychczasowy status i pozycję na giełdzie. Niech to wszyscy diabli. Zmęczenie znikło, Andy szybko pożegnał się z rozmówcą i kazał sekretarce natychmiast odnaleźć Matthew.

- Wiem, że będzie na kolacji, na którą też jestem zaproszony, ale muszę w nim wcześniej porozmawiać. Spróbuj w biurze londyńskim, a potem w mieszkaniu.

**C**aroline? Tu Hamish. Właśnie uciąłem sobie pogaduszkę z innym działem twojej kancelarii. Podobno akcje Matthew Frierna lecą na łeb, na szyję. Co jest?

- Na Boga, Hamish, co ty mówisz? Ile spadły? O rany, ale przykrość. - Uśmiechnęła się szeroko.

- Jeśli tak dalej pójdzie, Friern może zostać wyłączony z walki z naszymi przyjaciółmi z Dorrington. Jak myślisz, dałoby

się trochę obniżyć ofertę?

- Nie, najdroższy Hamish. A - Friern to nie jedyny szczupak w stawie, B - jego akcje mogą zwyżkować i C - możemy stracić wszystko, jeśli zaczniemy się wycofywać i dostosowywać do sytuacji. Cała nasza przewaga polityczna oparta jest na ostentacyjnej szczerości co do ceny przedsiębiorstwa. Na dobre i złe.

- Mhm. No cóż, ty jesteś politycznym guru. - „Guru” wymawiane przez Hamisha miało długie „u” i sześć „r”. - Podobno budownictwo lądowo-wodne u Frierna ma kłopoty. Obiło ci się coś o uszy?

- Nie, ale te firmy zawsze mają kłopoty - odpowiedziała tak niedbale, jak tylko potrafiła. - W toku robót zwykły zawyżać koszty. Albo to, albo wyszło na jaw jakieś oszustwo zamawiającego - to bardzo możliwe.

- Mhm. No cóż, słyszałem, że nasi przyjaciele w Dorrington też mieli kłopoty.

- O ile wiem, ktoś parę tygodni temu nie dokręcił czegoś w malarni i kilka dni produkcji poszło w błoto. Cholernie uciążliwe. - Zdołała sprawić wrażenie, że jest zirytowana. - Mogłabym się obejść bez zwracania głowy za każdym razem, kiedy coś się tam zepsuje. Upierają się informować mnie na bieżąco, więc powiedziałam, niech mówią twoim chłopakom, żebyś też się miał czym martwić.

- Bardzo jesteś kochana, Caroline. Następnym razem pomyślę o tobie. - Hamish rozluźnił się i odsapnęła głośno. Przed pożegnaniem opowiedziała mu ostami dowcip zasłyszany w porze lunchu, dodając następną pozycję do jego starannie gromadzonego zbioru kawałów wygłaszanych podczas przemówień na bankietach.

Ostro zadzwonił telefon i podniosła słuchawkę.

- Cześć.

- Och, Gerry. - Odetchnęła. - Jak się masz?

- Przepraszam, że nie dzwoniłem przez cały tydzień, ale widziałeś, co się stało.

- Tak, zdałam sobie sprawę, że nie będziemy mogli się spotkać wieczorem.



- Wygospodarowałem godzinę. Powinienem głosować, potem mam spotkanie z inspektorami. Ale powiedziałem, że muszę pojechać do domu, wykąpać się i przebrać. Wpół do dziewiątej? Odpowiada ci? Przepraszam, że wcześniej nie mogłem dać znać.

- Tak - odparła zastanawiając się gorączkowo. - Teoretycznie idę na kolację. Zobaczymy się u ciebie?

- Och, dobrze, bardzo chcę się z tobą spotkać. Przepraszam, kochana. Ten tydzień dał mi w tyłek.

Jak zawsze, ale nic się na to nie poradzi - pomyślała odkładając słuchawkę. Kiedy był wolny, gnała na łeb, na szyję, żeby się z nim spotkać. No cóż, to oznaczało, że wieczór ma zajęty. Zaczęła porządkować dokumenty. Była jako tako przygotowana na następny dzień i to musiało wystarczyć, jeśli miała w planie Gerry'ego.

Telefon znów się odezwał. Tym razem dzwonił Peter Burwood. Wydawał się poruszony.

- Coś nowego u ciebie? - spytał ze zwodniczą swobodą i Caroline zrozumiała, że jak zawsze musi go wesprzeć na duchu.

- Tylko to, że akcje Friern lecą szybko w dół - odparła z pychą, odchylając się do tyłu.

- Co to oznacza?

- Panikę - rzekła zwięźle. - To oznacza, że Friern będzie musiał wypuścić o wiele więcej akcji, żeby was kupić. W najlepszym wypadku, jeśli akcje naprawdę spadną, może wcale nie będzie do tego zdolny. A zresztą ostry spadek cen akcji zawsze powoduje, że zarząd firmy dostaje pierdla... przepraszam, chciałam powiedzieć: jest naprawdę wystraszony... i skupia się na własnym interesie, a nie na czymś innym. Na przykład firma źle notowana na giełdzie jest łatwa do przejęcia.

- Dlaczego cena akcji spada, Caroline? - wtrącił się Martin.

- Prawdopodobnie ma to związek z pogłoskami o kłopotach w bilansie Bartholomews. Te filie zajmujące się inżynierią lądowodną zawsze mają kłopoty. - Uśmiechnęła się z wyższością. - W tej chwili ludzie na giełdzie są bardzo nerwowi, tak przynajmniej wynika z wczorajszego „FT”. Opowiedz mi o przedstawieniu, Peter. Pamiętaj, muszę zobaczyć scenariusz. Nie chcesz chyba

zarządzać firmą z celi więziennej?

- Musi być przejrzysty i robić wrażenie. - Tak jak tego oczekiwaliśmy, zdołała odwrócić uwagę Petera.

- I musi być prawdziwy i nieco bardziej niż prawdziwy, w tym znaczeniu, że nie może być pokrętny - powiedziała ostro i słuchała ciszy znamionującej upór. - Peter? Bo was zostawię - ostrzegła.

- Och, nie możesz tego zrobić, Caroline. - To był roześmiany Martin. - Co byśmy zrobili bez ciebie? Czy możemy tu powiedzieć, że cena akcji Friern leci w dół?

- Lepiej nie. Zaczekajcie do jutra rana; to będzie w gazetach. Ale reakcje ludzi uratowanych przed otchłanią piekielną, do której chciał ich zwabić Friern byłyby wcale na miejscu. Myślę o scenariuszu.

**E**mma Lewis natychmiast zdała sobie sprawę, że mąż jest w złym humorze. Zręcznie przesliznął się między gośćmi do kanapy, na której siedziała ze znajomą. Pocałował żonę, ale był bardzo spięty.

- O co chodzi, kochanie? Coś się stało?

- Mhm. Friernowie już są?

- Tylko Lucy. Wygląda na to, że Matthew się spóźni i mamy nie czekać.

Być może jest po prostu głodny - pomyślała z nadzieją, gdy mąż witał się z Lucy - wcieleniem elegancji w czarnej aksamitnej sukni - która wróciła właśnie z gospodynią po obejrzeniu jakiegoś nowego nabytku.

- Andy, jak miło. Myślałyśmy, że wszyscy panowie się spóźnią, jak mój potwór Matt. - Musnęła wargami jego policzek i mimo całego napięcia rozluźnił się nieznacznie. - Nie będziesz czekała, prawda, Susie? On jest okropny, po prostu za późno wyjechał z budowy, choć może się do tego nie przyzna. Przyjdzie. - Spojrzała spod rzęs na Andy'ego.

Natychmiast zrozumiał, że Matt wyjaśnił jej wszystko szczegółowo i wysłał żonę przodem, by godnie reprezentowała Friernów i ukryła gorączkowe zakulisowe zabiegi. Czekał cierpliwie i

wreszcie udało mu się odciągnąć ją od towarzystwa.

- Co robi Matt?

- Jest z głównym księgowym Bartholomews. Mamy tam kłopoty, wywaliliśmy poprzedniego głównego księgowego, ale Matt zawsze utrzymywał, że ten nowy gość nie znalazł nic strasznego.

- Cholera, nigdy mi o tym nie powiedział. Kiedy ten księgowy polecał?

- Jakieś trzy miesiące temu.

- Chryste! I ten nowy jest od...?

- Sześciu tygodni. Nie patrz tak, Andy. W ciągu sześciu tygodni każdy główny księgowy na poziomie potrafi się przekonać, czy wydarzyło się coś strasznego.

To zapewne prawda, kompetentny pracownik powinien już do tej pory odróżnić wielką masową mogiłę od kilku pojedynczych grobów. Ale Bartholomews jest odpowiedzialny za trzydzieści pięć procent obrotów Friern i jeszcze więcej dochodu. Mogło to grozić poważnymi kłopotami. Druga rozmowa z Jeremym Winnickiem, którą przeprowadził przed samym wyjściem z biura, wcale nie była uspokajająca. Po kilku godzinach cena Friern spadła o następne parę punktów i należało się spodziewać, że trend utrzyma się nazajutrz. Prawdę powiedziawszy, fakt, że Jeremy Winnick siedział w biurze o siódmej wieczór, był głęboko niepokojący. Kłopot w tym, że giełda wiele razy już słyszała historyjkę: „Kłopot z filią, nie ma się czym przejmować, przyszedł nowy człowiek”. I zbyt wiele razy rzecz kończyła się łzami, ujawnieniem prawdziwych okropności, rezygnacjami i ceną akcji idącą w dół jak kamień. Niemniej jednak Lucy wyglądała przepięknie i wydawała się zadowolona siedząc u jego boku - uznał dopijając kieliszek znakomitego szampana. Dosyć ma dzień swojej biedy\*.

\* Św. Mateusz, 6,24; tłumaczenie według *Biblii tysiąclecia*.

Właśnie w tym momencie zabrzmiał dzwonek przy drzwiach i usłyszano gospodarza witającego Matthew z serdeczną ulgą człowieka, który nie będzie musiał łagodzić złego humoru żony.

W krótką chwilę potem zjawił się Matt, z twarzą nabiegłą krwią, ale ubrany w nienaganny smoking. Postura Frierna sprawiała, że gospodarz wydawał się drobny i niepozorny. Matthew rozejrzał się po pokoju i zdecydowanie skierował się ku Lucy.

- Przepraszam, kochanie - powiedział i nie patrząc ucałował ją w policzek. - Andy. Musimy szybko zamienić słówko.

Prawdę mówiąc, parę słówek - pomyślał mściwie Andy, gdy kierowali się ku oknu. Lucy, pozostawiona samej sobie, pilnowała, by nikt nie zwracał im głowy.

- Mój gość przysięga, że nie ma żadnego bałaganu. Ponieważ jest nowy i tak dalej, chce się trochę zabezpieczyć, aby wykazać, że dochody Bartholomews nie spadły poniżej dziewięćdziesięciu procent zeszłorocznych. Ale nie musi się zabezpieczać. Jeśli damy mu wsparcie - i zmienimy system premiowania na następny rok - to może wywindować dochód do ubiegłorocznej wysokości.

- Jest pewien? Może lepiej popracujemy przez kilka dni i wprowadzimy tam porządek.

- To nie twoje pierdolone akcje. - Odpowiedź była szybka i pełna wściekłości. - Tak, jestem pewien. Ten księgowy to chytry skurwiel. Nie sądzi, że się coś poważnie pochrzało, po prostu nie ufa ostatniemu gościowi, myśli, że nie przykładał się jak należy, chociaż miał trudny rok. Bo się i nie przykładał, ale to tylko dziesięć procent różnicy i nie ma potrzeby tego ujawniać.

- Dobrze.

- Więc co robimy jutro? Oświadczenie?

- Niekoniecznie. Tylko w ostateczności. Jeśli cena akcji się ustabilizuje, to nie. W razie potrzeby będziesz mógł zwołać zarząd?

Matthew pomyślał odstawiając pusty kieliszek. Osuszył go, jakby była w nim woda.

- Zawsze jest zwracanie głowy z członkami nie pełniącymi obowiązków kierowniczych. - Wbił ponure spojrzenie w Andy'ego, przypominając mu, że to Walzheims upierał się przy wyznaczeniu dwóch wpływowych członków zarządu w miejsce

pozbawionego znaczenia lokalnego radcy prawnego i jeszcze bardziej pozbawionego znaczenia prezesa spółdzielni rolniczej w Dorrington.

- Ci skurwiele zawsze mają zebranie innego zarządu.

- Och, myślę, że jeśli będą potrzebni, to przekonasz się, że można ich ściągnąć - powiedział Andy. Był pewny siebie, gdyż obaj zawdzięczali stanowiska w zarządzie Friern i kilka innych rekomendacji Walzheimowski. Wpatrywał się w zasłony, metodycznie analizując kroki niezbędne do ochrony klienta, i uznał, że zrobił wszystko co mógł. Ale w ostatecznym rozliczeniu twoja obrona była tyle warta, ile fakty, i teraz wiele zależało od tego, czy kłopoty w filii były naprawdę drobne.

- Spodziewam się, że twoi ludzie w Bartholomews pracują dziś w nocy? - zaryzykował pytanie.

- Pracują - rzekł ponuro Matt. - Zadzwoń do mnie o północy; muszę jechać do domu, żeby odebrać telefon. O Chryste, jest Frank Lewis. Powiniennem zamienić z nim słowo. Pobaw Lucy. - Wziął kieliszek i okręzną drogą, porozmawiawszy chwilę z gospodarzem, który dolał mu szampana, zbliżył się do ostatniego przybysza, dyrektora cementowni będącej głównym dostawcą Friern.

Byłby to dobry klient dla Walzheimsa, gdyby udało się go wyrywać Fredericksowi, ale na razie mam dość - pomyślał Andy. Rzucił szybkie spojrzenie na drugą stronę pokoju, gdzie Emma rozmawiała z gospodynią, uznał, że ta wymiana zdań może jeszcze chwilę potrwać, i z ulgą skierował się do Lucy.

- Czy Matt spodziewał się tego wszystkiego?

- Absolutnie nie. Wczoraj był z siebie niesamowicie zadowolony. Nie powiedział mi dlaczego, ale był pewien, że wygrywa. Mam na myśli bitwę o Prior Systems. Mieli kłopoty w fabryce i dziś rano Matt był w siódmym niebie. Teraz to. Jestem wściekła; chciałam sprzedać kilka akcji, żeby sobie coś kupić, i teraz nie mogę. Nie za dwieście pięć punktów.

Oczywiście Lucy Friern była poważnym akcjonariuszem; prawdę mówiąc, miała dwa procent firmy, w części przekazane przez Matta, w części podarowane przez ojca ukochanej córeczce.

- Lucy, jeśli będziesz chciała sprzedać, powiesz nam, dobrze? W końcu jesteś żoną głównego dyrektora.

- Naturalnie, Andy, wiem o tym.

Przyjrzał się jej; ostatnie wydarzenia sprawiły, że była poruszona jak nigdy. Interesujące - pod delikatną powierzchownością kryła się prawdziwa córka swojego ojca. Spadek cen akcji naprawdę zrobił na niej wrażenie.

- Więc co Walzheims zamierza zrobić, Andy? - zadała pytanie, którego małżonek jeszcze nie postawił.

- Siedzieć cicho i przekonać się dokładnie o rozmiarach kłopotów w Bartholomews. Matt uważa, że to głupstwo?

- Jest o tym święcie przekonany. Zapewne ma rację - dorzuciła z roztargnieniem. - Można mu w zupełności wierzyć. Ma za sobą lata doświadczenia.

Andy zastanowił się przelotnie, czy mógłby się spodziewać takiej pochwały z ust żony, i wyraził w duchu nadzieję, że ta żywi jeszcze nieco złudzeń.

- Czy powinienem wiedzieć coś więcej o tych kłopotach w fabryce Prior?

Zastanawiała się przez chwilę, ponuro spoglądając w kierunku męża.

- Nie - powiedziała bez ogródek. - Wolałabym się nigdy nie dowiedzieć o tym cholernym Prior. Same kłopoty. Słuchaj, Andy, czy wasi ludzie sprawdzili Harrison? Tak? Pomówię z Mattem i dam ci znać. - Spojrzała na niego z ukosa. - Mógłbyś postawić mi lunch.

- Kiedy tylko zechcesz. Jutro? Jeśli się to na coś przydało, mógłbym opowiedzieć ci trochę o Harrison. - Podziwiał jej profil i znajome fale ciemnych włosów, stylowo podniesione do góry. - Wyglądasz dziś urzekająco. - Fiołkowe oczy przez dłuższą chwilę spoczęły na jego twarzy. Zaparło mu dech. Po chwili ruszył za nią do stołu, posłuszny wezwaniu gospodyni.

**T**uż po drugiej stronie Tamizy Caroline, stosując się do zasad dyskrecji, zatrzymała taksówkę w pewnej odległości od mieszkania Gerry'ego.

- Wejdz, kochanie. Jestem przy telefonie i muszę skończyć rozmowę. Przepraszam.

To pospiesz się, jeśli mamy tylko godzinę - pomyślała zdenerwowana. Ze złością zdjęła i rzuciła żakiet.

- Cześć - przywitał się Gerry biorąc ją w ramiona.

Jak zawsze poczuła, że opuszcza ją napięcie. Był w samej koszuli, wymięty kołnierzyk miał rozpięty pod szyją, węzeł krawata rozluźniony, jak zawsze w nieoficjalnej sytuacji. W przeciwieństwie do współników w wielkich kancelariach radcowskich, którzy ubierali się w szyte na zamówienie garnitury i koszule, nie prezentował się w swych marynarkach zbyt dobrze; seryjna produkcja nie przewidywała tak wydatnych mięśni i grubych kości, a kołnierzyki koszul się nie dopinały. Ale jego fizyczna tężyzna i uroda spychają to wszystko na plan dalszy - pomyślała, gdy całował ją chciwie. Ciekawe, że matka natychmiast zwróciła na niego uwagę, chociaż Sholto również był bardzo przystojny. Nosił okropne garnitury i nie dopasowane koszule, podobnie jak Gerry, i nie dbał o to.

- Kochana. - Gerry nie zauważył, że Caroline błądzi myślami daleko. - Czy mogę ci przekazać złe wiadomości?

- Czy wiesz, że kiedy zaczynasz zdanie od „kochana”, to zawsze potem idą złe wieści? - powiedziała uświadamiając sobie nagle tę prawidłowość.

Czy przy żonie też się tak zachowuje? - rozważała z nagłym chłodem, patrząc na niego, gdy zbity z tropu zastanawiał się nad pytaniem.

- Muszę na to zwrócić uwagę. Przepraszam. Ale, słuchaj, prawdę mówiąc, mam wrócić do tego domu wariatów za niecałą godzinę. Nie chciałem się do tego przyznawać, bo zależało mi na spotkaniu. Wypijmy chociaż drinka i opowiesz mi, co robiłaś. Jesteś zajęta?

Nie patrzył na nią i poczuła nagły przyływ dziecięcej złości; był z nią, jakby rutynowo odwalał jakiś obowiązek.

- Bardzo. Friern dokonał sabotażu w fabryce Prior i najlepiej jak potrafię starałam się mu odplacić pięknym za nadobne.

- Co? - Zaniepokojony odwrócił się ze szklankami w dłoniach.

Spojrzała na niego trzeźwo.

- Mniejsza z tym. Damy sobie radę - ja daję sobie radę - ale to wyjątkowo brudna wojna. Nie spodziewałam się, że Matt Friern okaże się takim pozbawionym skrupułów przeciwnikiem.

Jeśli już o tym mowa, to ja też jestem nie lepsza - pomyślała. Gerry nalał do szklanek.

- Opowiedz - rzekł rozkazująco i zrelacjonowała mu podejrzewany sabotaż w malarni.

- Nie, nie mogłam tego dowieść - zakończyła. - Ale prawdziwym celem Frierna jest uniemożliwienie nam... Priorowi... zawarcia następnego kontraktu.

Z powagą przyglądał się Caroline.

- Czy wszyscy prawnicy tak bardzo się angażują w sprawy klientów?

- Nie - odparła usprawiedliwiająco, czując krytyczny ton. - Ale moi klienci nie są klasy Frierna, a okazało się, że jest nie tylko bardzo wielki, ale i bardzo zły. Chłopaki mnie potrzebują.

- Bądź ostrożna - ostrzegł ją. - Co takiego zrobiłaś Friernowi?

- Nic wielkiego - skłamała uznając, że Gerry naprawdę nie ma czasu na wysłuchanie tego wszystkiego, zwłaszcza że finanse go nie interesują, a miała inne rzeczy do opowiedzenia. - Ale coś wymyślę.

Spojrzał na nią przeciągle. Pocałowała go i kolejny raz zdała sobie sprawę, że chociaż nie jest typem naukowca, to ma bardzo wyostrzony instynkt i niełatwo go oszukać.

- Nie przejmuj się.

- Ale, Caro, obiecujesz mi, że będziesz na siebie uważała? W razie gdybyś jeszcze potrzebowała pomocy, porozmawiasz z Tomem Baileyem?

- Tak, kochanie. Przepraszam, że w ogóle o tym wspomniałam. Zwłaszcza że mamy tak mało czasu. - Przepraszam. Na Boga, przepraszam. - Wiedziała, że zmuszony do przeprosin porzuci tamten temat. Przyciągnął ją do siebie.



- Musisz coś zjeść - rzekła z żalem.  
- Nie, nie muszę - oświadczył z wyższością. - Pomyślałem o tym, kazałem sekretarce podać kanapki między naradami.

Przyciągnął podbródek do piersi i patrzył na nią lśniąco oczami, zgadując, na co ma ochotę. Wybuchnęła śmiechem.

- Akurat czas na krótki numerek.  
- Boże, jakaś ty nieromantyczna.  
- Przestałam ci się podobać.  
- Nigdy. To trochę przesada - ściągać cię tu i rzucać się na ciebie. Ale chciałem się z tobą spotkać.

Zapewne na tym mu tylko zależało, ale ja go chcę - przełknęła jej przez myśl. Wysunęła mu koszulę ze spodni, wsunęła rękę wysoko, dotykając łopatek. Całował ją mocno, sięgnął pod bluzkę, żeby rozpiąć biustonosz.

- Do łóżka - rzekł przesuwając rękę na jej pierś.

Uwolnił Caroline z uścisku, jak zawsze porządny podniósł rzucony na podłogę żakiet i popędził ją do sypialni. Nie mógł się powstrzymać od niespokojnego spojrzenia na zegarek.

- Przestań - powiedziała zdenerwowana zdzierając z siebie bluzkę.

- Mamy przynajmniej dwadzieścia minut. Historycznie biorąc, tyle wystarczy.

Był w trakcie zdejmowania koszuli. Zamarł na te słowa i przez chwilę patrzyli na siebie jak obcy ludzie.

- To nieuczciwe względem ciebie. Powinniśmy gdzieś wyjechać.

- Och, Gerry - westchnęła ogarnięta nagłym bólem. - To senne marzenie. Jesteś za bardzo znany, nie możemy pokazać się tam, dokąd dociera telewizja - to znaczy nigdzie.

Zdjął koszulę, obszedł łóżko i objął Caroline.

- Potrzebuję cię - powiedziała z pełną szczerością, bliska łez.  
- Teraz.

- Ja też. Chodź. Ostatni w łóżku robi herbatę.

Był pierwszy, bo jednym ruchem ściągnął spodnie, spodenki i skarpetki, podczas gdy ona był wolniejsza, odpinała pończochy.

Jeszcze się z nimi męczyła, a on już leżał na plecach, z rękami pod głową, pyszniąc się ogromną erekcją.

- Och, bardzo dobrze - roześmiała się wzruszona tym wyrazistym obrazem męskiego samozadowolenia. - Och, Gerry, tak cię Kocham.

- I ja cię Kocham. I to wszystko jest straszne, ale jesteśmy skazani, żeby wyciągnąć z tego ile się da. Chodź tu. Aha, nie. Będę czekał, aż absolutnie nie będziesz mogła wytrzymać. - Całował ją po brzuchu i przesunął głowę niżej, pieszcząc językiem, aż rozluźniła się pod wpływem czystej błogości.

- Chodź tu, też chcę ci to zrobić - powiedziała wyciągając rękę, ale cofnęła się i zrozumiała, że zależy mu na tym, by skończyła pierwsza. Stało się tak, kiedy przekroczyła próg ostrej, czystej rozkoszy. Upewnił się, że doszła do końca, a gdy wygięła się w tył, nadal pieścił ją językiem i zakończył pocałunkiem na jej ustach. Chciała go objąć, ale pochylił się nad nią sięgając po prezerwatywę. Nietypowo dla siebie zaczynała czuć wzbierający drugi orgazm; skoncentrowała się, nie udało się jej, ale było to obojętne, bo nagle on wydał przenikliwy okrzyk rozkoszy.

Przez kilka chwil leżeli spleceni, ale poczuła, że Gerry zaczyna się wiercić, i zgodnie z ustalonymi warunkami wstała i zaparzyła herbatę. On tymczasem się ubrał i sprzątnął sypialnię. Stała w drzwiach patrząc na niego z mieszaniną miłości i rozdrażnienia.

- Spodziewasz się, że twój sekretarz stanu zrobi inspekcję?

Spojrzał na nią i zamarł, kiedy to sobie wyobraził, po czym wybuchnął śmiechem.

- Wojskowe nawyki zostają do końca życia. Kłopot w tym, że wielu posłów mieszka blisko i lubią wpadać, kiedy się mnie spodziewają w domu. Wypijmy herbatę w kuchni.

Usiadł; zerknął na zegarek i skrzywił się.

- Już jesteś spóźniony - powiedziała z wyższością.

- No cóż, ostrzegłem naganiaczy. W tym głosowaniu dadzą sobie radę, ale muszę być na następnym. - Spojrzał na nią trzeźwo i przelknął herbatę. - Kochana... wiesz, masz absolutną rację, muszę na to zwrócić uwagę... zła wiadomość brzmi tak,

że nie widzę sposobu spotkania się przez następne dwa tygodnie. W tym tygodniu objeżdżam Walię, będę usiłował ich przekonać, że nadal jesteśmy przy nich i ich kochamy; następny tydzień spędzam w Brukseli. Przepraszam, to straszne.

- Tak, to straszne - powiedziała ze smutkiem.

Wstał niecierpliwie.

- I masz rację, to senne marzenie, byśmy mogli się gdzieś wybrać. Nie możemy robić niczego, co robią kochankowie: budzić się razem, wyjeżdżać razem, nawet spędzać ze sobą dużo czasu razem.

Spoglądał przez okno na zmierzch wiosennego dnia. Widząc jego napiętą, tak zwykle ruchliwą twarz, ostro przypomniawszy sobie, jak mając piętnaście lat wzięła udział w konkursie recytacji starożytnej greki. Zapewne zrobiła to, by wyprowadzić z równowagi Sholto, który uważał, że powinna studiować fizykę. Jak to było w tym fragmencie z Homera? „I nadejdzie dzień, w którym święta Troja padnie i Priam, i jego lud jesionowej włóczni”. Z dumą wspomniawszy, że nie było suchego oka w auli. Nawet używając archaicznego języka potrafiła przekazać grozę ponurej przepowiedni, głoszonej przez dawno zmarłego wieszca.

- Gerry - zawołała nagle, przeniknięta lękiem.

Odwrócił się do niej.

- Damy sobie radę. Coś wymyślę.

Pocałował ją, a potem zaczął sprzątać, jak zawsze szybko się krzątając i złe przeczucie minęło, gdy wspólnie doprowadzali mieszkanie do porządku.

- Jest samochód - powiedział wyglądając na ulicę. - Wyjdę, daj mi pięć minut i potem zatrzaśnij tylko za sobą drzwi. W porządku?

- Powinno mi się udać.

- Zadzwoń do ciebie. - Ucałował ją i znikł.

Stała oparta o ścianę, odczekując wyznaczone pięć minut.

## Rozdział dwudziesty drugi

*Sp. Akc. Friern Constructions*

*Wyniki przejściowe:*

*Mimo pogłosek, które ostatnio wpłynęły na niżkę o 60 punktów cen akcji (obecnie 200 - tegoroczny rekord 246), wyniki przejściowe Friern Constructions wyglądają dobrze w porównaniu z zeszłym rokiem i przedsiębiorstwo powinno osiągnąć roczny zysk w wysokości 34 milionów funtów, o milion więcej niż w roku ubiegłym. Dodatni wynik finansowy spółki za I półrocze zamknął się kwotą 14.2 miliona funtów, to jest o blisko 700000 funtów wyższą niż za ten sam okres roku ubiegłego, zaś planowany dochód netto za drugą połowę roku winien przekroczyć poziom 19 milionów funtów zysku wygenerowanego przez spółkę w analogicznym okresie poprzedniego roku.*

*Przewodniczący zarządu, sir Matthew Friern, przyznał, iż w filii zajmującej się inżynierią lądowo-wodną, Bartholomews, wynikły problemy z bilansem, ale twierdzi, że nie wpłyną na ostateczne wyniki roczne. Jeśli Friern powiedzie się w przetargu o państwowe Prior Building Systems, sfinansuje zakup przez emisję akcji. Biorąc pod uwagę ostatnie niepokoje i potknięcia, każda emisja musi nastąpić przy poważnej obniżce cen akcji. SPRZEDAJCIE, jeśli kupowaliście na krótko, ale przedsiębiorstwo jest w dobrym stanie i cena może znacznie podskoczyć na średnim dystansie.*

Andy raz jeszcze przeczytał z przygnębieniem ten fragment „Investors Weekly” uznał, że należy stawić czoło przykrościom, i zadzwonił do Marquandsa, zanim brokerzy zadzwonili do niego.

- Niezbyt ładnie to wygląda - oświadczył jego zwykły kontakt z niewyczerpaną pewnością siebie, której opary unosiły się w całym gmachu Marquandsa, wdychane przez wszystkich tamtejszych dyrektorów. - Ale gość ma rację, Andy, tu u nas mówi się o co najmniej piętnastoprocentowej obniżce cen akcji.

Andy uznał, że należy się upewnić, iż zrozumiał dokładnie to, co usłyszał.

- Biorąc dzisiejszą cenę... ile tam macie? Dwieście dwa punkty, w porządku, nowe akcje będą po... powiedzmy, sto siedemdziesiąt. Dobrze cię rozumiałem, William?

- Nie zakładaj, że cena się utrzyma, Andy. Czy twojemu klientowi tak bardzo zależy na Prior? Te nagłaśniane politycznie sprzedaże to zawracanie dupy; zawsze jest koło nich sporo zamętu i akcjom Frierna to wcale nie wyjdzie na zdrowie. Co? Tak, oczywiście możemy zająć się emisją, mówiłem ci.

- Miło to słyszeć, William. Dziękuję za wsparcie i jestem pewien, że Matthew też będzie ci wdzięczny, kiedy się o tym dowie.

- Nadal się dowiadujemy, że w Bartholomews może być więcej bałaganu, niż ktokolwiek chce przyznać.

- Zapewniam cię, William, w tej sprawie nacisnęliśmy bardzo mocno Matthew i kierownictwo filii. Są w zupełności przekonani, że księgowość jest prowadzona prawidłowo.

- Mhm. No cóż, pogadamy z tym i owym i postaramy się, żeby rynek podzielił wasze przekonania.

- Liczę, że są to nasze przekonania, William.

- Przepraszam.

To były wyjątkowo niedbale przeprosiny i Andy zagryzł zęby, niemniej jednak zadał jeszcze pewne pytanie.

- Wiesz, skąd idą te plotki, William?

- Wczoraj znowu słyszałem je od gościa, z którym rozmawiałem w Fallons. Peter Lyms. Znasz go?

- Jest spokrewniony z Frankiem Lymsem z Martins? - ostro spytał Andy.

- To bracia. A w czym rzecz?
- Martins, bank inwestycyjny, finansuje wykup Prior przez kierownictwo - gładko odparł Andy.
- Chcesz powiedzieć, że to może być inspirowane? - William od razu skojarzył.
- Niekoniecznie. Martins pracuje dla paru wielkich firm z inżynierii lądowo-wodnej i plotki mogły przeniknąć stamtąd.
- Mhm. Przepraszam, Andy, czy to już wszystko? Wzywają mnie. Będziemy w kontakcie, tak?

No cóż, nowe plotki rozejdą się dziś przed południem - pomyślał z wściekłością Andy i zadumał się głęboko. Uparto plotki, które znowu wypłynęły, kiedy giełda nieco się uspokajała. To trochę za bardzo sprzyjające konkurencji, żeby było przypadkowe. Ale pogłoski nie wyglądały na robotę Hamisha Browna; dumny paw na rynku inwestycji kapitałowych często się przechwalał, że ni w ząb nie rozumie giełdy. Nawet odrzucając przesadę, o którą można by go słusznie podejrzewać, była to zapewne racja. Andy zmrużył oczy myśląc o innym liczącym się graczu z zespołu doradczego kierownictwa Prior, doświadczonej radczyni prawnej, która zawodowo znała się na działaniu giełdy. Caroline nie należała do osób, które znienacka zaatakowane nie odegrałyby się, i gdyby tylko klient był łaskaw się skonsultować, Andy ostrzegłby Matthew. Friernowi wymierzono celny, niszczycielski cios i jeśli tylko sprawca nie nadużyje swoich możliwości, będzie nie do wykrycia. A Caroline nie musiała nic więcej zrobić; akcje Friern straciły tyle w oczach maklerów, że nie było mowy o odzyskaniu solidnej opinii i zdobyciu przez Matthew i jego zarząd pola manewru umożliwiającego wysunięcie nokautującej oferty. Andy kreślił w notatniku mrużąc Oczy, a gdy sekretarka po cichu uchyliła drzwi i ujrzała, jak bardzo jest zamysłony, zamknęła je równie cicho.

**W** Ministerstwie Środowiska Clive przyglądał się swojemu ministrowi, który zapoznawał się z krótkim podsumowaniem

ostatnich wydarzeń związanych z Prior Systems. Winstanley zjawiał się w pracy zadowolony z siebie. Razem z Jamesem Ma-therem spędzili przedpołudnie w komisji pracującej nad ustawą o powszechnym prawie do dachu nad głową (Housing Bill) i osiągnęli nieoczekiwany postęp. Clive spojrzął raz na wzorowo sporządzoną notatkę Jamesa i wiedział, że poszło nadspodziewanie dobrze. Ale wiadomości o Friern podziały na ministra jak kubek zimnej wody.

- Czas sprzedać tę firmę - rzekł gniewnie Winstanley. - Mam nadzieję, że nie chcecie mi powiedzieć, że Friern jest w opałach?

- Spojrzął z ukosa na Richarda Wattsa, który jak zwykle przybył prosto z Heathrow.

- Nie, panie ministrze. Chodzi jedynie o to, że cena akcji Friern znacznie spadła, co uniemożliwia wysoką ofertę zakupu Prior.

- Chyba nie zrezygnują? - Winstanley był przejęty.

- Nie wygląda na to, żeby mieli takie zamiary. Wręcz przeciwnie; zgodnie z tym, co mówi Gruhners, bankierzy Friern - Walzheims

- specjalnie wybrali się do NEB, żeby przekonać radę o swoim zainteresowaniu sprzedażą i upewnić się, czy nie będzie trudności z emisją akcji.

- Więc kto jeszcze pozostał w szrankach? Poza kierownictwem.

- Winstanley był zaniepokojony.

- Formalnie biorąc, troje kandydatów. Jest mi wiadomo, że tylko Shaw mówi o cenie w odpowiednich widelkach. To znaczy sześćdziesiąt milionów. Ale, panie ministrze, nie należy skreślać Frierna; rzecz tylko w tym, że będzie go to kosztowało więcej, niż się spodziewał.

- I być może więcej, niż jest gotów zapłacić - z niechęcią stwierdził Winstanley.

- Jeden z moich ludzi wziął dane do obróbki dziś rano i przekazał na lotnisku. Nawet przy spadku ceny akcji o piętnaście procent Friern nadal dysponuje pięćdziesięcioma siedmioma, ośmioma milionami. Zysk na akcji nie ulega obniżce, a to jest podstawowy wskaźnik.

Clive wziął podsuniętą kartkę papieru i przyjrzał się obliczeniom.

- Ale powyżej pięćdziesięciu ośmiu milionów każdy bieżący zysk na akcji jednak spada.

- Tak. To oczywiście stały wzorzec, Clive; jeśli cena akcji się podniesie lub uda ci się wrócić do poprzedniego kursu, to możesz zapłacić nieco ponad pięćdziesiąt osiem milionów. Ale w innym przypadku to niemożliwe.

Mam nadzieję, że zauważył pan, panie ministrze, rzecz najważniejszą - pomyślał Clive odkładając starannie kartkę. Friern spadł z prowadzenia i jeśli oferta kierownictwa, pięćdziesiąt milionów na stół plus dziesięć potem, się utrzyma, to dorówna Friernowi i wszystkie racjonalne przesłanki każą preferować wykup przez kierownictwo, gdyż oferuje tylko marginalnie niższą cenę. Ma pan bardzo duże pole manewru, by dać wyraz tej preferencji.

Obserwował ministra. Wiercił się niespokojnie, najwyraźniej pragnąc mieć cały problem z głowy.

- Czy o czymś jeszcze zapomniałem? - spojrzał po doradcach.

Clive potrząsnął przecząco głową. Myślni był już przy wyznaczonym w porze lunchu spotkaniu. Kiedy pozwolił sobie na analizowanie sytuacji z Lucy, czuł głęboki niepokój. Kochał Lucy i myśl o rozstaniu z nią napawała go wstrętem, ale utrzymywanie tak zażyłych stosunków z żoną jednego z dwóch faktycznych kandydatów do Prior było co najmniej niedyskretne, szczególnie po niedawnym liście Watsona.

Zjechał windą z Richardem Wattsem. Zazdrościł mu czekającego samochodu i szofera; sam musiał jak zwykle łapać taksówkę. Na szczęście szybko nadjechała i podczas jazdy zajął się systematyczną analizą ustawy, którą komisji udało się przepchnąć dziś rano. Nie chciał myśleć o zbliżającym się spotkaniu.

Nacisnął dzwonek mieszkania Friernów i musiał odczekać kilka chwil, aż Lucy zjawiała się w pośpiechu, ale daleka od jakichkolwiek chęci przeprosin. Wyjaśniła gniewnie, że telefonuje. Siadł przy kuchennym stole w jasnym wiosennym słońcu, patrząc na nią, gdy rozwlekłe omawiała jakiś problem związany z zasłonami. Była bardzo elegancko ubrana w wielorakie odcienie



wyblakłego granatu, miała staranny makijaż i sporo błyskotek na sobie. Nie był to strój, który zdiera się w porywie namiętności, i Clive z bólem pojął, że już od ostatniego spotkania oddala się od niego. Łagodnie położył ręce na jej ramionach, ale zamiast przylgnąć do niego, wyraźnie zeszywniała. Nie cofnął ich podczas całej rozmowy, a potem odwrócił Lucy ku sobie.

- O co chodzi, Lu? Czy jesteśmy skazani na to, by powiedzieć sobie, że to wszystko jest zbyt trudne?

Okrągłe oczy rozszerzyły się i po raz pierwszy tego dnia spojrzała na niego szczerze. Poczul, jak coś ściska go w gardle. Była tak piękna i tak mu bliska, że bez względu na to, jak bardzo rozsądek kazał mu się sprzeciwić romansowi, nadal ogromnie jej pragnął.

- Och, Clive.

W pięknych oczach stanęły łzy i zrozumiał, że wywiera na nią zbyt wielki nacisk domagając się odpowiedzi. Pocałował ją smakując sól na gładkich policzkach, czuł, jak przylega do niego, i zanurzył ręce pod warstwę jedwabiu opasujące talię.

- Clive, powinnam wyjść za godzinę.

- Prawdziwa szkoda.

Odepchnęła go. Zły i zrozpaczony stawiał opór.

- Clive, musimy porozmawiać.

- W porządku, mów. - Nie wypuszczał jej z uścisku.

- Muszę usiąść. Przyciskasz mnie do tego stołu.

Puścił ją rozniewany i siadła elegancko na kanapie, upinając kosmyk włosów. Usiadł obok.

- Mów.

Fioletowe oczy zamrugały. Zdał sobie sprawę, że stracił inicjatywę, i czekał ponuro na to, co ona zrobi.

- Mam teraz wiele kłopotów z Mattem. Jest bardzo napięty w związku z Prior Systems i oczywiście ten tydzień był straszny z powodu spadku naszych akcji. On naprawdę mnie potrzebuje. I zrobił się bardzo podejrzliwy; nigdy nie przepadał za Caro i teraz ona naturalnie jest przeciw niemu, a on wie, że się przyjaźnicie.

Wydaje mu się, że sprzysięgliście się przeciwko niemu.

- Zwariował - powiedział spokojnie.  
- W każdym razie teraz bardzo trudno jest mi się z tobą spotykać. Musiałam naopowiadać najokropniejszych kłamstw, żeby w ogóle się z tobą zobaczyć. To wszystko jest uciążliwe i uważam, że powinniśmy zerwać, przynajmniej do czasu sprzedaży Prior. - Opuściła głowę, a potem spojrzała na niego ostrożnie, badając reakcję.

Clive, chociaż wiedział, że powinien zaznać ulgi po tym, jak powiedziała to wszystko za niego, czuł się koszmarnie.

- Moglibyśmy wyjechać - rzekł załamany.

- Och, kochanie. Jak? Chyba nie rozumiesz, co się teraz dzieje. Matt jest tu przez cały czas, ma zły humor, ciągnie mnie do Dorrington, gdzie mam być miłą dla hołoty z rady miejskiej, albo zmusza mnie do urządzania przyjęć dla jakichś nudnych brokerów. Brak mi teraz czasu.

Clive spojrzał na nią - piękną, zdenerwowaną, usilnie starającą się go przekonać. Wszystko nieważne, najpierw pobawię się żołnierzkami - pomyślał używając wyrażenia z dzieciństwa i objął ją.

- Masz rację. Rzeczywiście w tej sytuacji nie powinniśmy tego robić! - Nie zwracając uwagi na sprzeciwy, wyjął spinę z jej włosów i całował Lucy tak długo, aż rozluźniła się i zaczęła reagować na jego pocałunki.

Przerwał i spojrzał na nią.

- Naprawdę cię kocham - powiedziała smutno.

- Chodźmy do łóżka, prędko. - Zignorował wahanie Lucy i zaprowadził ją do sypialni. Zatrzymał się, pocałował ją, a potem sprawnym ruchem ściągnął znaną sobie kapę. - Lepiej żeby się powiodło, jeśli ma mi pomóc - ostrzegł smutno, siadając i zrywając krawat.

Uśmiechnęła się do niego z podziwem.

- Och, będzie dobrze. - Bez widocznych trudności zdjęła z siebie wszystko, a on, jeszcze szybszy niż ona, pomógł jej wydostać się z małych majteczek.

- Nie chcę, żebyś była na górze - ostrzegł ją ostro i wziął pod siebie.

- Wiesz, że tak też lubię. Czekaj, nie jestem gotowa, a ty już.  
- Zawsze możesz na mnie polegać - rzekł z pychą, a potem ogarnęło go przygniatające poczucie straty i czysty gniew.

Patrzyła mu w oczy. Zaparło jej dech, kiedy wszedł w nią. Poruszał się w znajomym ciepłym zakątku; wygięła się przywierając do niego i gniew dodał mu sił. Zareagowała jeszcze gwałtowniej. Skończyła całkiem szybko i normalnie pociągnęłaby go ze sobą, ale nic się nie udawało i mógł tylko kontynuować, coraz bardziej oddalając się od spełnienia. Zamarł, spoczął w jej uścisku i wybuchnął niepohamowanym płaczem.

- Clive - powiedziała też płacząc i przyciągając go do siebie.  
- O Boże, Clive, kochanie. Zaczekaj chwilę. - Przekreśliła się na bok i przytuliła go do siebie.

- Przepraszam - wymamrotał bezradnie. - To po prostu do mnie niepodobne, prawda? Chcesz zerwać. Masz kogoś innego?

- Nie, powiedziałabym ci.

Tak, pewnie by mi powiedziała, na swój sposób jest tak samo bezpośrednia jak Caroline - pomyślał. Czy któraś z tych cholerynych bab nie omieszkałaby jedną sylabą oznajmić facetowi, jakie ma szanse? To przez to prawo głosu - uznał, nagle przypominając sobie ojca, który zawsze tak wyjaśniał jakieś babskie fanaberie.

- No cóż, mnie było bardzo przyjemnie - powiedziała łagodnie.

- Spróbujemy inaczej?

- Nie.

Rozluźniony faktem, że żaden inny facet nie pojawił się na horyzoncie, poczuł napływ sił i podniesiony na duchu wszedł w nią znowu. Kiedy bardzo się skupił, miał wytrysk.

- Uff.

- Bardzo to miłe, kochanie. Wspaniale, że się tak udało.

- Wy, wszystkie wielkie damy, jesteście takie same. Chcecie, żeby to było pięknie opakowane. Tam, skąd pochodzę, to po prostu normalka.

- Wiem, kochanie. Właśnie dlatego zawsze byłam tak wdzięczna losowi za to, że tam nie mieszkam. - Z bólem pomyślał, że Lucy wygląda cudownie - wyciągnięta wygodnie, o

wąskiej talii podkreślonej łukiem bioder. Jak większość kobiet uważała, że ma za szerokie biodra. Nigdy nie potrafił jej przekonać, że takie właśnie kształty jemu i większości mężczyzn się podobają - zwłaszcza w łóżku.

Spojrzał na zegarek; udało mu się przesunąć wszystkie narażdy poza czwartą po południu. Zostało pół godziny. Spojrzał na Lucy. Nic nie wskazywało, że zamierza wyskoczyć z łóżka i pobieć na umówione spotkanie. Zdecydował się nie przypominać jej o niczym.

- Więc powiedz mi, dlaczego Matthew jest taki niemożliwy.

- Chodzi o cenę akcji. Jeśli spada, kupno Prior staje się trudniejsze.

- Właśnie mi to zostało wytłumaczone.

- Przez Caro?

Usiadł i nałożył okulary. Był poważnie zaskoczony.

- Ależ oczywiście, że nie. Przez przepłacanych doradców ministerstwa. Nie rozmawiałbym o tym z Caro - kosztowałyby mnie to posiadę. Za drogo. Matthew myśli, że to robię?

- Nie wiem, co myśli. Wiem tyle, że jego zdaniem Caro spowodowała tę zniżkę akcji.

- Jak mogła to zrobić?

Była zirytowana i przygnębiona.

- Powiedział, że puściła w obieg plotki o kłopotach w Bartholomews.

- Skąd by o nich wiedziała?

- Ma klientów w firmach inżynierii lądowo-wodnej. Coś mogło jej wpaść w ucho. Jest bardzo sprytna.

Clive spoglądał zamyślony na swoją ukochaną piękną metrese i uświadomił sobie nie po raz pierwszy, że ma cechy, które stale umykają jego uwagi. Jestem córką swojego ojca i będę pilnowała moich interesów - taki był sens jej wypowiedzi. W finalnym rozliczeniu wszystko zostanie poświęcone dla dobra interesów firmy Friern, bazy finansowej, na której Lucy opiera swe działania. Jeśli nie wkraczała w świat interesów, to nie z braku zdolności, leci z braku motywacji, i dokładnie wiedziała - teraz oraz zawsze - co robi.

- Spotkałaś się ostatnio z Caroline? - spytał zastanawiając się, czy przyjaźń również została tymczasowo zerwana.

- Zjadliśmy wspólny lunch w zeszłym tygodniu. Nie ośmieliłam się powiedzieć tego Matthew. Udusiłby się.

- To było brudne zagranie zaatakować cenę jego akcji. O ile Caroline ma z tym coś wspólnego.

Westchnęła.

- Matthew też nie jest wzorem uczciwego gracza.

- Co takiego zrobił? - spytał niechętnie. Zdał sobie sprawę, że uwaga Caroline o malarni nie była jedynie pobawioną znaczenia wzmianką.

Przekręciła się na bok i siadła na brzegu łóżka.

- Mniejsza z tym, Clive. Nie chcę o tym mówić. To w gruncie rzeczy mój mąż, choć trochę przesadził z tym wszystkim. Wolałabym, żeby porzucił ten pomysł, skoncentrował się na reszcie interesu i kupił później coś innego. Prior Systems to za słona cena za te wszystkie zmartwienia.

Pochyliła się zakładając biustonosz, a potem się wyprostowała, żeby Clive mógł go zapiąć. Spojrzał na te wąskie, eleganckie, dobrze mu znane plecy i położył dłoń na łopacie.

- Zrobimy to jeszcze kiedyś czy naprawdę mówimy sobie „do widzenia”?

- Och, Clive. To musiało kiedyś przyjść. Odwrócił ją i spojrzał w twarz.

- Kiedy przetarg się skończy, chciałbym jednak to kontynuować.

- Potrzebuję czasu do namysłu.

Popatrzył na nią ze smutkiem, lecz nawet żal nie mącił przyjemności oglądania jej idealnych rysów.

- Kiedy byłem młody, to znaczyło, że dziewczyna ma cię dość.

- Nie chciałem słyszeć odpowiedzi, więc odwrócił się kończąc ubieranie.

- Kochanie, masz ochotę na herbatę?

Stała w jedwabnym szlafroku, w smudze popołudniowego słońca, przy kuchennej ladzie. Jej ciemne włosy mocno kontrastowały z bielą kuchni. Zawahał się.

- Nie. Muszę wracać. Zadzwoń do ciebie. Płakała cicho.
- Przepraszam.
- Na litość boską, przestań przepraszać.

Pocałował ją delikatnie w usta i smutny wyszedł w jasność dnia.

Słońce późnego popołudnia padało ukośnymi promieniami na stół konferencyjny w Prior Building Systems, cały pokryty stosami papierów i rysunkami. Caroline przyjechała pół godziny temu zatłoczonym pociągiem bez wagonu restauracyjnego. Miała okropną migrenę i ukradkiem zażyła trzy tabletki przeciwbólowe.

- Peter, nie zwracaj mi głowy pieprzonymi szczegółami. Powiedz, w czym rzecz, i wtedy przekonam się, co mogę zrobić. Friern przedstawił ofertę co do Marsh Lane minimalnie lepszą od waszej, tak? To kontrakt, który decyduje o jednej trzeciej waszego przerobu w drugim i trzecim roku prognoz. Byliście przekonani, że macie piętnastoprocentową przewagę. W porządku? A jeśli nie dostaniemy Marsh Lane? - Czekala, kiedy rosnący ból z prawej strony czoła zelżeje, podczas gdy dwaj członkowie zarządu Prior zapewniali ją na różne sposoby, że dostaną ten kontrakt bez żadnych wątpliwości, że jest ich i sukinsynom z Frierna nigdy nie powinno się pozwolić na powtórne przedłożenie oferty, a jeśli dzięki jakimś machinacjom Friern go dostanie, to biorąc pod uwagę przedstawiony kosztorys, ponieście kolosalne straty.

- My jedyni możemy zarobić przy tej cenie - powtórzył Peter Burwood. - My mamy system i fabrykę.

Ból głowy pozbawił Caroline taktu.

- Friern mógł założyć, że zanim weźmie się do realizacji tego kontraktu, przejmie wasz system i waszą fabrykę.

- Zgadza się. - Martin nie uległ wściekłości i dostrzegł słuszność tego rozumowania, podczas gdy pozostała dwójka wybałuszała na nią oczy jak ryby na piasku.

- Ale nie może podjąć takiego ryzyka. - Peter był przerażony. - Jeśli nie uda mu się nas kupić - a na Boga, nie ma o tym mowy - to straci fortunę.

Caroline spojrzała na Martina, który nadal siedział bardzo spokojnie.

- Co zrobiłbyś, Martin, gdybyś miał kontrakt, na którym byś nie mógł zarobić, w przeciwieństwie do swojego konkurenta?

- Wziąłbym podwykonawcę. I wynagrodzenia za nadzór.

- Nigdy nie pomożemy tym sukinsynom i nigdy nie damy na sobie zarobić! - eksplodował Peter. Nagle zrobił się purpurowy.

- Czy nie chcielibyście mieć tego zlecenia w fabryce w roku przyszłym i za dwa lata?

Caroline stoicko przeczekwała pełną furii ciszę.

- Może. - Graham znów zaczął myśleć.

- Friern nie dostanie w swoje ręce tego przedsiębiorstwa ani tego kontraktu. Jest nasz. - Peter był rozjuszony i koledzy z zarządu spojrzeli na niego z niepokojem. Wbił w nich nieprzyjemne spojrzenie.

- Nie po to spędziłem tyle czasu z Hamishem Brownem i jego wesołkami, aby nie rozumieć, że jeśli nie dostaniemy tego kontraktu, to obniżą wartość przedsiębiorstwa. Nie podtrzymają oferty sześćdziesięciu milionów - dość się namęczyliśmy przekonując ich do tej sumy.

- To prawda. - Caroline zabrała głos po pauzie. - Waszą ofertę szlag trafi. I jeśli Friern stara się o kontrakt, to dlatego, że wie, iż może na nim zarobić, jeśli przejmie Prior. I wiele nie ryzykuje, bo jeśli nie przejmie Prior, może zlecić kontrakt komuś innemu - albo wam - i jeszcze każe sobie za to zapłacić.

- A jeśli go dostanie, to my nie możemy utrzymać naszej oferty, ale on w dalszym ciągu może nas przebić. Mimo spadku cen swoich akcji - podsumował Peter.

- W porządku. Więc Friern go nie dostanie. - Caroline wygrzebała kolejne dwa proszki przeciwbólowe. Rozlecę cię, jeśli je wezmę, ale jak mus, to mus - pomyślała.

- Moglibyśmy się spotkać jeszcze raz z Winstanleyem? -  
Wszyscy trzej mężczyźni przypatrywali się jej z nadzieją.

Odpowiedzialność sparaliżowała ją na moment.

- Nie - odparła zbierając siły. - To na nic. Gość nie odpowiada za korupcję lokalnych władz. Za długo mu tłumaczyć. Nie, musimy zaatakować u źródła. Przeróbmy to jeszcze raz. Dlaczego pozwolono Friernowi złożyć powtórna ofertę?

Martin westchnął.

- Utrzymują, że w dwóch miejscach dodali po pięć stron.

- Ale wystarczy sprawdzić oryginalną dokumentację przetargu.

- Teraz już jest inna numeracja, więc stron jest prawie tyle co naszych - powiedział ze znużeniem Peter.

Caroline zastanowiła się nad tym. Marzyła, żeby głowa przestała ją boleć.

- Zgadza się, powinno tak być. Możemy to sprawdzić? Nigdy nie ignorujcie oczywistości; może nie zdążyli zmienić numeracji.

- Caroline, przedłożyli całkiem nową dokumentację. Ja bym tak zrobił. To żadna przyjemność mocować się ze skoroszytami w magistracie - zaprotestował Graham.

- Podejrzewam, że to wiele nowych kopii. Ile musieliście dostarczyć? Sześć? Musieliście mieć walizkę. I drugą do zabrania starych kopii. Rzekłabym, że to trochę podejrzane. - Spojrzała po nich. - A może jestem naiwna? Pewnie ludzie bez przerwy biegają w tę i we w tę po magistracie z walizami.

Martin potrząsnął głową.

- Nie, nie biegają. Nie podczas przetargu. Nawet rada miejska Dorrington nie jest aż tak głupia.

- Radycy prawni noszą teczki. Podajcie mi tę. - Natychmiast zapomniała o bólu głowy. Sięgnęła po kopię oferty Prior Systems i teczkę. - Możecie wepchnąć dwie kopie, na tym koniec. A kiedy się to wszystko stało? Dzisiaj. No cóż, może nie udało im się zmienić wszystkich. Warto to teraz sprawdzić.

Cała czwórka patrzyła po sobie otwierając szeroko oczy.



- To mi się w głowie nie mieści - powiedział Graham i Caroline popatrzyła na niego z powagą.

- Mnie też. Nic równie skomplikowanego nie zdarza się największym londyńskim radcom prawnym, wierzcie mi. Więc kto włamuje się do biura rady miejskiej? Dobra, nie. No, to w takim razie, kogo możemy tam wysłać?

- Radnego? - głośno zastanowił się Graham.

- Jest Ted Malvern - rzekł z powątpiewaniem Martin.

- Był cholernie mało pomocny ostatnim razem. Dopiero kumpel Caroline zmusił go, aby się ruszył.

- I to jest odpowiedź - nagle oświadczyła Caroline. - Możecie wskazać mi jakiś wolny pokój? Wolałabym nie mieć słuchaczy, ale nie idźcie do domu, możecie mi być potrzebni.

Wśród zapewnień, że nikt w Prior Systems jeszcze nigdy nie poszedł do domu o piątej po południu, chyba że tego dnia pracowano pół dniówki, odprowadzono ją do pokoju, troskliwie zaopatrzone w herbatniki, herbatę i podsunięto dwa aparaty telefoniczne. No cóż, Gerry powiedział, że w razie gdyby potrzebowała kogoś miejscowego do pomocy, ma zadzwonić do Tima Baiieya i teraz pomoc była potrzebna - bardzo potrzebna. Zadzwoiła na jego numer w pracy i odetchnęła z ulgą. Zastała go i umówiła się w hotelu dworcowym. Dopija herbatę i dopiero wtedy krzyknęła, że prosi o podwiezienie.

- To rozmowa w cztery oczy - przeprosiła Petera, który zawiózł ją osobiście i zaparkował dyskretnie w pewnej odległości od hotelu.

- Wiem. - Uścisnął jej ramię. - Powodzenia. Wiesz, jakie to ważne.

Aż za dobrze - pomyślała wchodząc do hotelu. I oto jestem, a razem ze mną mój wściekły ból głowy.

Natychmiast zobaczyła Tima Baileya. Siedział spokojnie przy stoliku, tyłem do ściany, obserwując drzwi. Ku zaskoczeniu Caroline pocałował ją i uścisnął. Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Ale jesteś napięta, dziewczyno. W czym problem?

Opowiedziała mu, rezygnując z alkoholu na rzecz herbaty. Wysłuchał i zadał kilka pytań.

- Więc zastanawiałam się, Tim, czy mógłbyś pchnąć swojego człowieka, Malverna. Ostatnim razem nie udało się nam zmusić go do działania, chociaż go znamy.

- A jeśli nic nie będzie? Jeśli znajdziemy tylko sześć porządných kopii z odpowiednią numeracją?

- Wtedy pomyślimy o czymś innym. Może o prywatnym de-tektywie, bo to się tam właśnie zdarzyło, Tim, i gdzieś musiał zostać jakiś ślad. Ale twój człowiek nie musi nadstawiać karku; jest radnym, może poprosić o udostępnienie do wglądu.

- O tak, może to zrobić. Chciałem tylko wiedzieć, co planujesz potem. Czy Gerry wie o tym wszystkim?

- Nie, jest zajęty i nie chcę mu zawracać głowy. Zresztą powiedział mi, że mam zwrócić się do ciebie, gdybym potrzebowała pomocy na miejscu.

- I trzymaj się tego, dziewczyno. To moja działka.

To ją natychmiast rozsierdziło, ale przypomniała sobie, z kim rozmawia i co chce osiągnąć, i zdobyła się na właściwą, to jest głupawą reakcję.

- Rzecz jasna, starszy sierżancie. Rany, ale z pana uprzejmy człowiek.

- To minimum tego, co mogę zrobić, i tak dalej. - Przyjrzał się uważnie Caroline. - Boli cię głowa?

- Nieziemsko. Nie udało mi się zjeść lunchu i jestem tylko na herbacie i proszkach przeciwbólowych.

- Siedź tu spokojnie i czekaj. Zadzwoń w kilka miejsc i za-  
dbam o to, żebyś dostała jeść. - Wstał lekko, chociaż był tak solidnie zbudowanym mężczyzną.

Wyczerpana zamknęła oczy i od razu zasnęła.

- Caroline? Gdzie się zatrzymujesz? Tu?

Kompletnie zdezorientowana otworzyła oczy i zobaczyła twarz pochylającego się Tima Baileya.

- Nie - odezwała się po dłuższej chwili. - Muszę jechać do domu. Jutro z samego rana mam naradę.

Prychnął z naganą, ale nie usiłował skłonić jej do zmiany planów. Spytał tylko, jakim pociągiem wraca, i dowiedział się,

że nie ma rezerwacji. Znikł i z ulgą opuściła powieki, ale zdołała tylko zdrzemnąć się do jego powrotu.

- Boże, przepraszam, Tim - wymamrotała z trudem. - To silniejsze ode mnie. Muszę zadzwonić do chłopaków w Prior.

- Niczego nie obiecuj.

- Nie. Chcę im tylko przekazać, że staram się jak mogę i wsiadam wieczorem do pociągu.

- My się tym zajmiemy. Moja sekretarka przekaze wiadomość. Rezerwuje ci teraz miejsce. Chodź zjeść.

Poszła za nim oszołomiona, ale podniesiona na duchu. Chciała mu podziękować, ale zbył ją.

- Gerry powiedział mi, że mam pomóc. Jest twoim wielkim wielbicielem.

- Ja też. To znaczy jego. - Zastanowiła się nad tym beznaściejnie niegramatycznym oświadczeniem i poddała się, gdy wylądował przed nią talerz dymiącej zupy. Jadła szybko, nie starając się nawiązać rozmowy. Czowała, jak życie w nią wraca i umysł zaczyna funkcjonować.

Odsunęła talerz i napotkała spojrzenie Tima Baileya wyrażające niepokojącą mieszankę czułości i nagany.

- Widziałem Gerry'ego jedzącego podobnie po ciężkim tygodniu - rzekł niespodziewanie.

- Ma straszliwie zapakowany harmonogram - przytaknęła i poczuła, że musi uciec przed badawczym spojrzeniem Baileya.

- Zapowiada się, że będzie gorzej, nie lepiej.

- Och? - zareagowała uprzejmie. - Dlaczego?

- Mówi się, że pójdzie w górę przy następnym przetasowaniu. Czowała na sobie jego wzrok.

- Naprawdę?

- Tak. Ludzie tutaj chyba będą mile połączani, chociaż jest im bardzo potrzebny na miejscu.

Ostrożnie kładła musztardę obok steku, który właśnie jej podano. Podniosła głowę i spojrzała prosto w oczy Timowi Baileyowi.

- Będzie bardzo dobry. Podoła wszystkimu.

Pokiwał głową, wziął musztardę i władował sporą jej ilość prosto na mięso.

- Jaki jest twój następny krok, Caroline? Chodzi mi o to, czy dostaniesz awans, jeśli zapniesz tę transakcję?

- Tak i nie. Mój szczyt to stanowisko głównego wspólnika. Mam do niego jeszcze trochę wspinaczki. Poniżej głównym wskaźnikiem różnicującym są pieniądze. W przyszłym roku może dostanę marginalnie większy udział i sporo punktów honorowych za hart ducha i wytrzymałość. Ale nie w tym rzecz. Chcę, żeby to kierownictwo uczciwie dostało swoje przedsiębiorstwo, i jestem gotowa połamać kości każdemu z tych pokrętnych złamasów, który usiłują wejść nam w drogę.

- Caroline! Jak ty się wyrażasz!

- Tak o nich myślę.

- Wiem. Jeśli da się coś zrobić, zrobię. O tak, wierzę ci. Jestem pewien, że było, jak mówisz, ale tego rodzaju sprawy zdarzają się cały czas.

- Nie będą się zdarzały. To nieuczciwe, a poza tym, że bardzo nieuczciwe, to nieefektywne i wypaczające prawdę - odparła. Dopiero, gdy to powiedziała, zrozumiała, że używa słów ojca.

- Nie lubię gmatwaniny - rzekł Tim Bailey, metodycznie kończąc stek.

Zdała sobie sprawę, że to oświadczenie jest skierowane przeciwko niej, i zdecydowała się potraktować je wprost.

- Nie przejmuj się, Tim. Wiem, co robię.

- Być może w pracy. - Zdziwiła się i uśmiechnął się skąpo.

- Wiem. Nie znam cię na tyle, żeby mówić ci takie rzeczy.

Przepraszam.

- Nie przepraszasz mnie na serio.

- Zgadza się. - Odchylił się do tyłu i spojrzał na nią z namysłem.

- Grasz w otwarte karty z mężczyznami, prawda? Żadnych ustępstw, traktujesz ich jak równych sobie. Tak mówi Gerry. O tak, zwierzał mi się. Wiem o tobie.

- Ale to nie ma przyszłości?  
- Caroline, on jest szczęśliwie żonaty od dwudziestu lat. I kocha ją.

- Nigdy nie wyobrażałam sobie, że jest inaczej. - Siedziała zgarbiona.

Tim Bailey zamilkł na chwilę.

- Czas na twój pociąg.

- Dziękuję za wszystko. Zadzwoń.

Odeszła z ramionami lekko obwisłymi pod ciężarem teczki. Odprowadził ją wzrokiem do drzwi.

## Rozdział dwudziesty trzeci

**A**ndy? Jeremy Winnick. Chciałem ci tylko przekazać, że na dzisiejszej naradzie będę ja, a nie William. Liczę, że masz dla nas dobre wiadomości.

- Owszem, wieści są dobre, Jeremy. Matt Friern jest zupełnie pewny wyniku. Ale sam ci opowie.

- Dobrze, dobrze. Więc do zobaczenia.

Andy w kwaśnym nastroju odłożył słuchawkę i wzniósł w myślach modlitwę, by Matthew Friern postarał się być tak przekonujący, jak to tylko możliwe. Cena akcji po spadku o piętnaście procent ustabilizowała się, lecz obecność jednego z głównych wspólników Marquandsa wskazywała na głębokie zaniepokojenie emisją. A kiedy Marquands okazywał niepokój, twarde chłopy miękły jak wosk. Niemniej jednak Andy zrobił co mógł. Gdy telefon znowu zadzwonił, podniósł słuchawkę z pośpiechem, rad, że nie musi myśleć o tej sprawie.

- Tu James Edwards, panie Eames Lewis. Zastanawiałem się, czy mógłbym zająć panu dziesięć minut na rozmowę o naszym wspólnym znajomym. Teraz? Nie jest to temat, który byłbym chętny omawiać przez telefon.

Andy poczuł, że krew mu się ścina.

- Czy ma to jakiś związek z firmą inżynierii lądowo-wodnej naszego znajomego? - spytał natarczywie. - Wie pan, mamy naradę przed południem.

- To nie ma nic wspólnego z danymi firmy. Prawdę mówiąc, to dotyczy firmy zaledwie pośrednio, ale jest nie pozbawione znaczenia.

Andy z pośpiechem oświadczył, że z przyjemnością przyjmie pana Edwardsa, i krzyknął do sekretarki, by zarezerwowała pokój, po czym zajął się oczyszczaniem swojego koszyka pism przychodzących. Zadzwoił brzęczyk informujący o przybyciu Edwardsa i Andy pospieszył do pokoju przyjąć na siódmym piętrze; ze względu na bezpieczeństwo ludzie z zewnątrz nie są dopuszczani do wydziałów prowadzących sprawy spółek. Kiedy dotarł na miejsce, jego gość siedział spokojnie i pił kawę. Pod ręką miał grubą kopertę.

- To uprzejme z pańskiej strony, że zechciał się pan ze mną spotkać - rzekł wstając grzecznie. - Mam pewien problem i byłbym bardzo wdzięczny za radę.

Andy otworzył usta, gotów rozpocząć bankierskie zastrzeżenie co do swoich ograniczonych umiejętności, ale nie wygłosił go. W przypadku tego kutego na cztery nogi rozmówcy szkoda było strzępić język. Edwards nie przyszedłby, gdyby nie wydały się coś zupełnie nietypowego.

- Tytułem wstępu - powiedział Edwards zdejmując okulary i przecierając je pracownice skrawkiem żółtej flaneli. - Sir Matthew Friern polecił nam podjąć obserwację kierownictwa Prior, czym zajmowaliśmy się bezowocnie przez pięć tygodni. Następnie zlecił sprawdzenie, czy któryś z pracowników służby cywilnej, zajmujących się obsługą ministrów sprzedających Prior Systems, nie jest aby w zbyt bliskich stosunkach z którymś z rywali starających się o to przedsiębiorstwo. Po przeprowadzeniu dochodzenia jeden z moich wspólników poinformował mnie, że najstarszy rangą pracownik służby cywilnej zaangażowany w sprzedaż, niejaki pan Clive Fieldman, zdaje się pozostawać na przyjacielskiej stopie z radcą obsługującym kierownictwo Prior Systems, panią Caroline Whitehouse. - Zrobił pauzę, nałożył okulary. - Mój wspólnik przekonał swojego informatora, żeby powiedział to zwierzchnikom, ale ci jedynie zwarli szeregi. - Omiótł spojrzeniem Andy'ego. - W dyskusji z sir Matthew

zostało ustalone, że przez kilka tygodni utrzyma się obserwację zarówno pana Fieldmana, jak i pani Whitehouse. - Andy starał się zachować kamienną twarz, zastanawiając się przy tym, co, na Boga, zaraz jeszcze usłyszy. Edwards tymczasem kontynuował niewzruszony: - W tym okresie pan Fieldman raz odwiedził mieszkanie przy Knightsbridge, a także dom w Hampstead, który należy do rodziców panny Whitehouse. Pani Whitehouse była tam obecna. Zjadł również lunch z pewną damą w „San José”.

Przerwał, być może dla nabrania oddechu, i popił kawę.

- I tu zaczyna się głupota - rzekł przeplukawszy gardło i znieścacka rezygnując z recytacji typowej dla policjanta w sądzie. - Byłem poza miastem i wspólnik, który za moim pozwoleniem zajmował się zleceniem, pan rozumie, spytał sir Matthew o zgodę na następny tydzień obserwacji, otrzymał ją i w tym okresie pan Fieldman powtórnie odwiedził mieszkanie przy Knightsbridge. Wróciłem wczoraj, przejrzałem raporty i wydawało mi, że poznaję - tu liczę na pańską pomoc - zdjęcie damy, która za pierwszym razem otworzyła drzwi panu Fieldmanowi i pożegnała go na progu dwie i pół godziny później. Jak pan widzi, jest to ta sama dama, która była z nim na lunchu w „San José”. - Z brązowej koperty wyjął dwie fotografie i rzucił je na stół. Andy spojrział. Przez chwilę w uszach mu dzwoniło i mroczki latały przed oczami.

- To lady Friern.

- Ach, dziękuję. Otóż nie ma nic niewłaściwego we wspólnym lunchu ani w witaniu znajomego pocałunkiem - w istocie, zdaję sobie sprawę, że jest to utrwalony zwyczaj towarzyski - lub nawet w zapraszaniu go do domu. Ale w moim wspólniku, który ma duże doświadczenie, pan rozumie, ten związek wzbudził pewne wątpliwości. I wszystkie one rozwiały się, gdy pan Fieldman odwiedził to mieszkanie po raz wtóry. Poza tym było kilka rozmów telefonicznych.

- Mój Boże, Edwards, nie założyłeś podsłuchu Mattowi Friernowi!

- Nie, chwalić Boga, wygląda na to, że w tej sprawie skrupulatność mojego wspólnika zawiodła. Ale udało się nam



wysłuchać kilku rozmów, które pan Fieldman przeprowadził w ministerstwie. Nie dało to wielkich wyników i nie musi się pan przejmować, panie Eames Lewis, urządzenie zostało usunięte.

- Co jeszcze twój wspólnik zrobił?

- No cóż, zadbał o sfotografowanie tej dwójki w sypialni na tyłach mieszkania. - Andy ze zgrozą i fascynacją patrzył, jak Edwards sięga do brązowej koperty po następne zdjęcie.

- Znow nie dzieje się nic bardzo dramatycznego; obie strony są kompletnie ubrane, ale przebywają w sypialni i się obejmują.

To było niewyraźne zdjęcie, lecz Andy poczuł, jak wewnątrzności mu się skręcają, kiedy patrzył na siedzącą profilem Lucy, zarzucającą Clive'owi Fieldmanowi rękę na szyję.

- Co go powstrzymało? To znaczy, dlaczego nie zrobił następnych, lepszych zdjęć?

Urażony Edwards spojrział na niego koso.

- Wyobrażam sobie, że obie strony wycofały się w głąb sypialni i przestały być widoczne - rzekł z wyższością. Jego szkocki akcent zabrzmiał wyjątkowo ostro.

To się zgadza - pomyślał rozwścieczony Andy. Ale gdyby to on obejmował Lucy Friern w sypialni, nie traciłby czasu na szukanie miejsca, w którym nie byłiby widoczni z zewnątrz. Zadowoliliby się skrawkiem łóżka. Albo podłogą. Odetchnął głęboko, dochodząc do siebie, i odsunął fotografie.

- Czy twój wspólnik sprawdził adres?

- O tak, sprawdził. Mieszkanie jest wynajęte na Lumina Properties, firmę zarejestrowaną w Jersey. Przyjąłbym, iż należy do bogatego osobnika, który przechowuje gotówkę w zagranicznych „rajach podatkowych”, jak jest to teraz każdemu dozwolone. Wszystkie rachunki idą do biura Frierna i mój wspólnik sprawdził tylko adres w Jersey. Następnym razem już nie zrobi tego błędu.

- No cóż, dostrzegam istotę twojego problemu.

Andy sięgnął po papierosa, zapalił za trzecią próbą i poniewczasie poczęstował Edwardsa, który odmówił sarkastycznie.

- Drugi mój problem polega na tym, że obserwowanie pani Whitehouse też nie dostarcza nam wiele rozkoszy - rzekł, nagle wyznając wszystko. - Nie możemy kontrolować jej rozmów telefonicznych, biurem opiekuje się konkurencja i groziłoby nam zbyt wielkie ryzyko. Połączenia telefoniczne są regularnie sprawdzane, w tym podczas kontroli wyrwykowych. Poddaliśmy ją obserwacji i muszę powiedzieć, że przez pierwsze dwa tygodnie wyglądało na to, że nic nie robi, tylko pracuje i wraca do domu do dzieci. Nie było żadnych dalszych kontaktów z panem Fieldmanem.

To się też zgadza - pomyślał Andy. Jeśli skurwiel mógł się zabawiać z Lucy Friern, to Caroline Whitehouse nie była mu już do szczęścia potrzebna.

- Jednakże pewnego wieczoru zadzwoniła wracając do domu. Co raczej dziwne, wzięła taksówkę i zrobiła spacer, zanim weszła do małego bloku mieszkalnego obejmującego tylko cztery mieszkania. Mój człowiek nie potrafił ustalić, do którego z mieszkań na pierwszym piętrze weszła, ale w jakąś godzinę później nadjechał rządowy samochód - co było widać po numerach rejestracyjnych zarezerwowanych dla obsługi rządu - i z bloku wyszedł mężczyzna, w którym mój człowiek rozpoznał Gerry'ego Willshawa, ministra transportu, i wsiadł do tego samochodu. W pięć minut później wyłoniła się pani Whitehouse i skierowała się ku głównej ulicy. Wsiadła do taksówki. Jedno z dwóch mieszkań na górnej kondygnacji należy do wzmiankowanego dżentelmena. - Czekał, aż Andy przetrawi wiadomości.

- Mogła pójść do innego mieszkania.

- O tak, w samej rzeczy, mogła. Jest wynajmowane przez niejakiego pana Al Khafi. Wydawało się nam bardziej prawdopodobne, że taka dama jak pani Whitehouse towarzysko zna raczej pana Willshawa, chyba że pan Al Khafi jest jej klientem.

- Ona naprawdę zna Willshawa - rzekł z wolna Andy. - Ktoś powiedział mi kiedyś, że widział ich razem na lunchu. Puściłem to mimo uszu.

- Tak. No cóż, jest radcą, nieprawdaż, i niewątpliwie jada lunchy z wieloma różnymi ludźmi.

Patrzyli na siebie.

- To warto kontynuować - powiedział Andy.

- W istocie. - Milczenie przedłużało się. W końcu Edwards rzekł z namysłem: - No cóż, zastanawiam się, co będę mógł zgłosić sir Matthew.

- Będzie bardzo zadowolony z informacji o pani Whitehouse i panu Willshawie. Sądzę, że udzieli ci zezwolenia na dalszą obserwację. I możesz również zgłosić o lunchu pana Fieldmana z panią Whitehouse. Nie ma przecież nic złego w tym, że pan Fieldman spotyka się z paroma kobietami.

- Ależ oczywiście. No cóż, jestem wdzięczny, panie Eames Lewis, rozjaśnił mi pan w głowie i nie mogę dłużej zabierać pańskiego czasu. - Sięgnął po fotografie, lecz Andy położył na nich rękę.

- Rozwiązałeś swój problem - rzekł.

James Edwards przyglądał mu się przez krótką chwilę, po czym opuścił wzrok.

- Zgadza się. Zgadza. No cóż, zbieram się.

Zgodnie ze stylem obowiązującym w siedzibie Walzheimsa Andy z pełną powagi grzecznością odprowadził gościa do windy. Wrócił do gabinetu i zamknął kopertę z fotografiami w górnej szufladzie po prawej stronie. Spojrzał na swoje trzęsące się ręce i poszedł do godnej pałacu toalety na siódmym piętrze. Chwalić Boga, była pusta. Wszedł do jednej z kabin, usiadł na sedesie i ukrył twarz w dłoniach. Krótki moment poświęcił na refleksję o życiu w dwudziestym wieku: jeśli chcesz samotności, to jedynym miejscem, w którym możesz jej zaznać, jest biurowa ubikacja. Po pewnym czasie dźwignął się ze znużeniem i doszedł do wniosku, że jeśli już tu przyszedł, to może się wysikać.

Mechanicznie opłukiwał ręce, nadal czując pieczenie w żołądku na wspomnienie rozmowy z Edwardsem i usiłując zebrać siły na następną naradę, gdy John Michaels, drugi dyrektor zajmujący się sprawą Friern, wszedł do toalety.

- Przepraszam, że cię przesładuję, Andy. Zjawił się sir Matthew

Friern z Jeremym Winnickiem z Marquandsa. Zatrzymaliśmy Winnicka w poczekalni, a Matthew zaprosiliśmy na górę.

- Dobra robota. - Andy spuścił kurtynę na gryzącą zazdrość, poczucie zawodu i wściekłość; całą uwagę należało poświęcić następnemu kryzysowi. - Masz prognozy? Znakomicie. Potrzeba nam pięciu minut na rozmowę z Mattem - niech ktoś zejdzie do Winstanleya i wyjaśni mu, że jestem w drodze. Postaraj się, żeby dostał kawę i papier na notatki.

Osuszył ręce, przejechał grzebieniem po włosach i spojrzął uważnie w lustro. Po wstrząsach, jakim został poddany tego przedpołudnia, spodziewał się zobaczyć kogoś całkiem innego, ale ujrzał znajomego szatyna o kwadratowej twarzy. Był bardziej pulchny niż w latach, w których robił aplikację, i bardziej zdecydowany. No cóż, dzisiaj wiedział o wiele więcej, był blisko maszynowni najważniejszego banku reńbursowego w Londynie i ani myślał dawać się wodzić za nos komuś w rodzaju Lucy Friern. Co ta głupia suka sobie wyobraża?! Romansować z tym ambitnym dorobkiewiczem z północy, zwłaszcza gdy jest uwikłany w sprzedaż przedsiębiorstwa jej mężowi?! A sam Fieldman - cóż on sobie myśli podejmując takie ryzyko? Spadł z księżycy! Zdrowy rozsądek Andy'ego przemógł wściekłość. Kto jak kto, ale on rozumiał, czemu ludzie ryzykują dla Lucy Friern, lecz w sytuacji, w której męża Lucy opętało do tego stopnia, że był gotów podeptać zasady uczciwego prowadzenia interesów, byle dopiąć swego, zakrawało to na szaleństwo. A jeśli Caroline Whitehouse i jej banda wpadną na ślad? Wpatrywał się w lustro, czując skurcz żołądka. Chryste, nietęgo ruszał głową. Jest prawie pewne, że Caroline już wie. Przyjaźniły się z Lucy, a kobiety opowiadają sobie takie rzeczy, że mężczyzna o zdrowych zmysłach prędzej poszedłby na stos, niż je wyjawiał. Miał nadzieję, że Caroline z racji dwuznaczności swoich stosunków z Clive'em na razie nie wykorzystала informacji. Ale jeśli Matthew uda się zadać następny mocny cios Prior Systems, to ten niekobiecy, ambitny, utalentowany, wojowniczy łamignat poświęci przyjaźnię. Oceniając wszechstronnie romans Lucy z Clive'em, należało go przerwać i byłoby miło... nie, było rzeczą

absolutnie podstawową mieć coś brudnego na Caroline Whitehouse. I niech Bóg da, żeby James Edwards to coś znalazł. Wziął głęboki oddech, kiwnął swojemu odbiciu w lustrze i poszedł do sali konferencyjnej.

Tego przedpołudnia ani samopoczucie, ani wygląd Caroline nie wskazywały, by mogła stanowić zagrożenie dla kogokolwiek. Spała niespokojnie w drodze z Dorrington i po powrocie do domu wymiotowała większość posiłku, który Tim Bailey w nią wpechnął. Takie były koszty podróżowania i zażycia zbyt wielu środków przeciwbólowych. Nagromadziło się wiele zaległej pracy. Gdyby nie Mark Dwyer, który zjawił się w gabinecie i siedział naprzeciwko panując nad wszystkim, ugrzęzłaby sześć stóp w bagnie, a tak trzymała jeszcze podbródek nad powierzchnią. Przyznała to kartkując staranne pliki przygotowanych umów.

- Odetchniesz, kiedy sprawa Prior Systems będzie z głowy - zauważył słusznie.

Rzadko była tak wycieńczona. Przykłapnięte włosy miały niezachęcający wygląd.

- Nie liczę na to - stwierdziła. - To jedna z tych spraw, które nigdy się nie kończą. Kłopoty przez cały czas i to naprawdę nie wina naszego klienta. To cholerny Friern., no cóż, sam wiesz. I chłopaki mają rację; Hamish nie poprze naszej oferty, jeśli nie dostaniemy kontraktu na Marsh Lane. Chcą, żebym poszła do niego i spytała, co sądzi, ale to wydaje mi się niecelowe.

- Tak. O wiele lepiej nie budzić jego czujności. Zrobisz to w ostateczności.

- Bóg sprawił, że pozostałe transakcje Hamisha kuleją, więc naprawdę zależy mu na tej.

Mark Dwyer zgodził się, że na tym fakcie muszą oprzeć największe nadzieje, i skupili się nad papierami, które należało dostarczyć na poradę zaczynającą się za dziesięć minut. Caroline w myślach odsunęła na bok wszelkie pozostałe sprawy,

skoncentrowała się i została nagrodzona znalezieniem pewnego drobiazgu na stronie czwartej, a na stronie dwudziestej piątej poważnego, ale dającego się naprawić byka. Dzięki Bogu, wiek i doświadczenie muszą gdzieś zaprocentować - pomyślała prostując się nad papierami i dostrzegając minę swojego asystenta.

- Mark, całość to, cholera, popisowy numer. Tylko ja już wiem, czym on pachnie; jeśli zrobisz to po swojemu, będzie miało ręce i nogi, ale doprowadzi do sporów przy omawianiu ubezpieczeń.

Z punktu widzenia klienta nieodpowiedni ludzie będą wykonywać tę pracę. Rozumiesz?

- Tak, rozumiem. Przepraszam, siedziałem nad tym całą noc.

Uśmiechnęła się do niego szeroko, rozbawiona typowo męską automatyczną obroną będącą od razu atakiem. Wchłonęła tę szczególną umiejętność prowadzenia sporów razem z płatkami śniadaniowymi, w rodzinie z trzema kłótliwymi, panoszącymi się braćmi, więc nie poczuła się przyciśnięta do muru ani zirytowana. Było to coś znajomego i podnoszącego na duchu.

- W bój - powiedziała i z nadzieją, że mdłości nie będą jej towarzyszyły przez całe przedpołudnie, wzięła papiery i wyszła z gabinetu. Wszystkie myśli o Prior zepchnęła głęboko poniżej poziomu świadomości. Została na naradzie przez dwie godziny, dopóki rozmowa nie utknęła na ośmiostronicowych ustaleniach dotyczących ubezpieczeń. Wiedząc, że Mark Dwyer i asystent drugiej strony są w stanie sporządzić szybciej następną wersję roboczą, jeśli liczba uczestników narady ulegnie redukcji, wyszła zabierając radcę przeciwnej strony. Nadal czuła się jak mokra szmata; filiżanka kawy, na którą się odważyła, omal nie wywołała katastrofy i od tej pory pozwalała sobie tylko na wodę mineralną. Odetchnęła z ulgą zasiadając za własnym biurkiem i przejrzała zgłoszenia. Trzy od kierownictwa Prior Systems, nic od Tima Baileya i niestety jedno od Hamisha Browna, od niego samego, a dołączony szczegółowy rozkład zajęć na resztę dnia wskazywał, że Hamishowi naprawdę zależy na tym, by oddzwoniła.

Najpierw połączyła się z Prior Systems - żadnych nowych

wieści. Najwyraźniej telefon miał posłużyć tylko rozładowaniu napięcia, klient zachowywał się typowo w nerwowym okresie, ale dzisiejszego przedpołudnia mogła się bez tego obejść. Zawałała się, spojrzała na zegarek i spróbowała dodzwonić się do Tima Baileya, który okazał się absolutnie nieuchwytny. Zrezygnowana zatelefonowała do Hamisha.

- Caroline, miło cię słyszeć. O ile się orientuję, sprawy naszych przyjaciół w Dorrington nie układają się nadzwyczajnie.

Uznawszy „o ile się orientuję, sprawy nie układają nadzwyczajnie” za szczególnie złowróźbne określenie, nie ugięła się, wyraziła zainteresowanie i zaskoczenie i spytała, co też takiego usłyszał.

- Pojawiły się wątpliwości, czy uda im się dostać ten kontrakt... gdzie to jest, Iain...? Przy Marsh Lane. Jesteśmy zaniepokojeni, Caroline, bo to wpłynęłoby na prognozy w roku drugim i trzecim.

- Trudno mi wprost wyrazić mój zachwyt tym, że osobiście zajrzałeś do prognoz, Hamish - powiedziała zjadliwie.

- Tak, no cóż, ta chwila zawsze nadchodzi. - Hamish nie dał się onieśmielić. - No, co z tym kontrakcikiem?

- Wiesz, Hamish, nigdy nie liczyli na to, że sam wpadnie im do ręki. Zgłoszono rutynową konkurencyjną ofertę, ale o ile się orientuję, nie przejmują się.

Westchnął.

- Z tego, co słyszę, Caroline, to Friern wysunął korzystniejszą ofertę niż Prior. Domyślam się, co Matthew knuje. Uznał, że wkrótce będzie właścicielem Prior. Ale zakładam, że jesteście gotowi pokazać mu, gdzie raki zimują.

Cholerny Hamish, nikt lepiej od niego nie analizuje skomplikowanych negocjacji. Jak ci wszyscy surowi szkoccy protestanci, umie przewidzieć każdy brudny chwyt - pomyślała kwaśno.

- Jesteśmy gotowi, Hamish - oświadczyła z pewnością siebie, której wcale nie czuła. - Dlatego uznaliśmy, że nie warto ci zwracać głowy szczegółami.

- Macie jakieś wsparcie polityczne?
- Tak.
- Caroline, rzecz w tym, że jeśli Prior nie dostanie tego kontraktu, to nasze poparcie dla oferty, którą uważaliśmy już za wygrywającą, nie jest takie pewne.
- Na Boga, Hamish, czy w dzisiejszych czasach klienci płacą ci taczkami złota? Wygrywające sześćdziesiąt milionów za takie aktywa i przy takich prognozach? To przecież najlepsza transakcja jak City długie i szerokie. Tak przynajmniej można sądzić po zachowaniu innych banków inwestycyjnych, które aż się palą, żeby podebrać wam klienta.

Zapanowała oznaczająca namysł cisza. Caroline siedziała napięta.

- To całkiem niezła transakcja - przyznał ostrożnie Hamish - ale oparliśmy wszystkie obliczenia na założeniu, że ten kontrakt jest pewny. Jeśli nie, to fabryka w przyszłym roku nie będzie miała za dużo do roboty.

- Hamish, wszyscy się zgadzamy, że szukanie klienta to cholerna uciążliwość, i jak zawsze staramy się nadać sprawom najszybszy bieg. Jak ruch u was? Wyobrażam sobie, że nie za duży, bo inaczej nie dzwoniłbyś do mnie i nie przejmował się tym wszystkim.

Ponuro wysłuchiwała Hamisha opisującego z oburzeniem różnorodność transakcji, których podjęcie obecnie rozważa bank inwestycyjny Martins.

- Bardzo miło mi to wszystko słyszeć. Lecz czy ci się aby nie narzucam? - spytała troskliwie za pomocą gładkiej formułki używanej przez mieszkańców zachodniej Szkocji.

Roześmiał się niechętnie.

- Mam dzisiaj mnóstwo czasu. Ale trudno nie poczuć, kiedy się dostaje kopniaka w tyłek. Tylko postaraj się załatwić ten kontrakt i pamiętaj, że decyduje o wielkiej części zysku.

Bo odejmiemy co najmniej dziesięć milionów od zaproponowanego przez nas finansowania, o które trzeba było nas maglować na dziesiątą stronę - zrozumiała dziękując mu uprzejmie za zainteresowanie.



Prawdę mówiąc, mimo że w City przeprowadzano niewiele transakcji, poszukiwanie na tym etapie innego banku inwestycyjnego, który zapełniłby dziurę po Martinsie, byłoby bardzo nierozsądne. Inne banki wdziękowały się na potęgę wobec kierownictwa Prior Systems, ale Martins odwalił całą robotę, rozumiał dane i był gotów do współpracy. Już nawet nie licząc kosmetycznych przeszkód, wywołanych zmianą kapitału finansującego w trakcie przeprowadzania transakcji, nabranie rozpędu przez inny bank i przebrnięcie przez różne procedury autoryzacyjne trwałoby co najmniej dziesięć dni.

Zacisnęła wargi i kolejny raz zadzwoniła do Tima Bailey'a. Mówił z dystansem i tak, jakby spieszył się zakończyć rozmowę. Duch w niej upadł.

- Nie udało się. Zajrzeliśmy do dwóch kopii i są w porządku. To znaczy, nie są w porządku, brakuje paru stron. Nie dostanę pozostałych czterech, nie mogę ryzykować.

Napięła szczęki jak wtedy, gdy była małą dziewczynką i stawiła czoło trzem starszym braciom.

- Tim, musimy mieć ten kontrakt i powinniśmy go mieć. Jeśli nie dostaniemy go w ten sposób, to przekażę całą sprawę „Private Eye”. Znam właściciela. Już prasa tak narozrabia, że Friern się wycofa. Jeśli takie są zasady tej gry, to moje chłopaki zgłoszą powtórna ofertę.

- Nie chcemy kłótni - padła natychmiastowa odpowiedź.

- Czemu nie? To nie wasza partia kontroluje radę. - Nie odezwał się. - Tim? Starszy sierżancie?

- Nie wiesz, ile możesz namieszać.

- Nie ja zaczęłam. Całe to gówniane zamieszanie zaczęła druga strona. Ja tylko zdałam sobie sprawę, że też musimy wziąć w nim udział. Kiedy zamierzasz sprawdzić pozostałe cztery kopie?

- Jest z tym kłopot.

- Gerry kazał mi zwrócić się do ciebie, ale jeśli będę musiała, zadzwonię do niego. Ostatnim razem byłeś dla mnie bardzo dobry i uprzejmy. Czemu nie możesz się postarać o te pozostałe cztery kopie?

- Bo nie mogę.
- Więc co złego jest w moim pomysśle z „Private Eye”?
- Nie zrobią tego. Wiesz, są prawa przeciw zniesławieniu.
- Mgliście przypominam sobie ze studiów prawniczych, że prawda jest dobrą obroną przeciwko każdemu oskarżeniu o zniesławienie. Słuchaj, Tim, „Private Eye” ma gdzieś naciski ze strony rady miejskiej z hrabstwa Dorrington. Jasne, że wydrukują taką bombę. Zwróć uwagę, że czas jest na wagę złota. Drukują w piątek, więc mam tylko jutrzejszy dzień na rozmowę z redakcją.

Tim Bailey rozważał to w milczeniu przez długą chwilę. Caroline czekała, mocno ściskając słuchawkę, zgarbiona nad biurkiem.

- Caroline, uważam to za bezproduktywne. Jeśli tylko wyhamujesz i zdasz się na mnie, nie będziesz robiła szumu, to wszystko samo się wyjaśni.

- Mój ojciec powtarza, że gdy ludzie zaczynają ci mówić, że powinnaś się uspokoić i zdać się całkowicie na nich, to wyraźny sygnał, że zaczynają kombinować, jak ci tu podłożyć nogę.

- Myślałem, że twój ojciec jest profesorem.

- Bo jest. Jest poza tym filozofem. Klóćmy się na okrągło i doprowadza mnie do szaleństwa. Ale on ma rację, no nie, Tim? - Zerwała się na nogi. - Zgadza się. - Odetchnęła. - Mam ci do zakomunikowania następującą wiadomość: jutro o szóstej wieczór dzwonię do Gerry'ego i mojego dobrego znajomego z „Private Eye”. Od tej pory bierzemy to w swoje ręce. Tim, w Dorrington urzęduje skorumpowana rada miejska i nie wiem, czy idziesz z nią ręką w rękę, czy ją osłaniasz, ale tak czy inaczej to hańba, a ja muszę dbać o klienta.

Skrzywiła się i odsunęła słuchawkę od ucha, kiedy Tim Bailey rozłączył się z hukiem.

Stała z opuszczoną głową i drżącymi rękoma, gdy w drzwiach pojawił się Mark Dwyer. Brodą przytrzymał niesiony stos dokumentów.

- Wybacz, Mark, ale znowu zebrało mi się na wymioty - powiedziała grzecznie i minęła go pędem.

Milę dalej Andy Eames Lewis postanowił, że nic nie przy-  
pawi go o wymioty. Spokojnie przyjrzał się fotografiom dostar-  
czonym tego rana przez Edwardsa, przetarł je starannie i włożył  
wszystkie trzy do nowej koperty. Upewnił się, że sekretarka  
poszła na lunch, i wypisał na maszynie naklejkę adresową. Przy-  
lepił znaczek pamiętając o nieużywaniu biurowej maszyny do  
stemplowania, przetarł chusteczką do nosa kopertę i wrzucił list  
do skrzynki pocztowej pięćset jardów od gmachu. Prawie nie  
zwracał uwagi na piękny majowy dzień, ogrzany łagodnym wie-  
trykiem, ledwo marszczącym wezbraną Tamizę, na świeże li-  
ście, które z rzadka pojawiły się na drzewach. Miały nierealny  
bladzielony odcień, który zachowa się tylko przez kilka dni,  
zanim ściemnieją pod wpływem słońca. No cóż, jednym z tych  
majowych pączków wstrząśnie doprawdy srogi wichur. Co ją  
napadło, że uwodziła go kontynuując na całego romans z cho-  
lernym Clive'em Fieldmanem? I to właśnie z nim! Zastanowił  
się przez chwilę, czy Clive również był uszczęśliwiany za daw-  
nych dni, i zatrzymał się ze złamanym sercem, łzami w oczach,  
patrzając ślepo na błyszczącą, wezbraną rzekę.

- Andy! - rozległo się z daleka rozkazujące wołanie.

Wyszarpnął z kieszeni chusteczkę i zasłonił twarz, jakby  
chciał wysiąkać nos.

- Peter.

Wołał go szef działu, człowiek o pięć lat starszy, posiadający  
wszędzie niezliczone kontakty i przenikliwy, żywy umysł.

- Słuchaj... - Peter rozejrzał się wkoło, sprawdzając, czy nikt  
nie podsłuchuje. - Właśnie byłem na drinku z Jeremym Winnic-  
kiem. Chyba przyniósł nam nie najlepsze wieści tego przedpołu-  
dnia. O Friern.

- Zgadza się. - Andy wysiąkał nos i schował chusteczkę. W  
jego oczach nie było łez, kiedy się odwrócił ruszając na wspólny  
spacer. - Mówił, że przy obecnej cenie swoich akcji Matthew  
Friern będzie zmuszony przebijać oferty powyżej pięćdziesięciu  
pięciu milionów funtów, odpierając konkurencję w osobach  
kierownictwa przedsiębiorstwa, na którym mu zależy.

- Prior Systems?
- Tak.
- Ma rację, prawda?
- O tak. Ale możemy nie załatwić tej transakcji.
- Mhm. Zapomniałem... jakie jest honorarium w razie fiaska?

- Dwadzieścia pięć tysięcy.

Sam dobrze o tym wiesz - pomyślał z wściekłością Andy.

- Szkoda. Miałem nadzieję, że uda się nam zapewnić sobie solidniejsze honorarium w razie przegranej.

Andy zagryzł zęby.

- Była spora konkurencja - rzekł powściągliwie. - Wywindowałem honorarium do maksymalnej wysokości. Wyżej groziła strata klienta. I uważam, że negocjacje o honorarium w razie wygranej powiodły się wyjątkowo dobrze.

- No cóż, honorarium za wygraną jest bardzo przyjemne - uprzejmie przychylił się do tej oceny zwierzchnik. - Uda się wam dostać to przedsięwzięcie?

- Nadal mamy taką nadzieję. Byłoby dobrze móc pójść w razie potrzeby do sześćdziesięciu pięciu milionów, ale z drugiej strony wiemy, że kierownictwo też ma problemy z finansowaniem.

- Martins się tym zajmuje, tak? Hamish Brown nie jest sławny z rozrzutności. Potrzebujesz jakiejś pomocy, Andy? Rzecz jasna, znam ludzi w NEB. I kilku w obecnym gabinecie.

Andy zastanawiał się nad tą propozycją. Ten człowiek wiedział, co może osiągnąć dzięki swoim kontaktom.

- Znasz wiceministra o nazwisku Willshaw?

- Gerry'ego? O tak. Powiadają, że podróżuje. Dlaczego?

- Jest posłem z okręgu sąsiadującego z Prior. Może mieć kontakty z radcą kierownictwa.

- Uroczą Caroline Whitehouse? Jeśli to prawda, wcale bym się temu nie dziwił. Jeśli już o tym mowa, Andy, to widziałem ich razem. W Izbie, w głównym hallu. Nic w tym niestosownego, mogła tam wpaść na drinka. Jestem w stanie się popytać. Czy to coś da?

- Tak. Prior czerpie skądś wsparcie polityczne i przydałoby się to udowodnić.

- Ale nie za bardzo chcemy się mieszać w takie sprawy.

- Nie, nie. Zależy nam tylko na tym, aby odsunąć Caroline.

- Zadzwoń w parę miejsc. Idziesz jutro na krykieta?

Andy stwierdził gorzko, że zapomniał, jak wygląda boisko do krykieta, na co jego rozmówca się roześmiał i zauważył pogodnie, że z nim było tak samo kilka lat temu, chłopie, i że wszystko mija. Oby cię ta rzeka pochłonęła - pomyślał Andy, na głos grzecznie się godząc z tą opinią zwierzchnika.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Nazajutrz Caroline Whitehouse, która poprzedniego wieczoru do późna rozmawiała z kierownictwem Prior, a od ósmej rano uczestniczyła w naradzie poświęconej sporządzaniu umowy, wreszcie uświadomiła sobie z ulgą, że nadeszła pora, w której może wyjść na lunch. Skinęła głową swojemu odpowiednikowi po, drugiej stronie, przez chwilę zatrzymała się przy Marku Dwyerze, kładąc mu dłoń na ramieniu, i wyszła zahaczając po drodze o swój sekretariat, gdzie zapytała, czy są jakieś zgłoszenia.

- Właśnie dzwonił pan Willshaw.
- Niech to diabli. Czy mówił, gdzie jest?
- Nie. Ale zadzwoni po czwartej po południu.
- Dzięki, Susie. Jeśli będę akurat na naradzie ze Smythsonem, wyciągnij mnie na chwilkę. Chciałabym się z nim zobaczyć, a jak się człowiek nie wpasuje w harmonogram tych facetów, to nigdy się z nimi nie spotka. - Na użytek Susie wymyśliła, że są z Gerrym dwójką zajętych, lubiących się ludzi, którzy od czasu do czasu spotykają się na drinku albo w restauracji, i że to ona musi o to zabiegać. Poszła do toalety, aby się doprowadzić do porządku, kąciki ust unosząc mimowolnie w uśmiechu na myśl, że zobaczy kochanego Gerry'ego może dziś wieczorem. Dopiero co wrócił przed południem z Brukseli i na pewno od razu zadzwonił. W ostatnim tygodniu rozmawiała z nim tylko raz i konwersacja nie była zbyt intymna, gdyż Caroline uszanowała jego

obawy w odniesieniu do rozmów telefonicznych. Bardzo za nim tęskniła. Ale lunch z Lucy w przyjemny sposób wypełnił czas, zanim Gerry znów się odezwie. Wybiegła z ciężkich frontowych drzwi, ledwo łapiąc równowagę na stopniach. Wylądowała na skwerze pełnym jasnego słońca i jadowicie ostrej zieleni świeżych liści. Lucy zadzwoniła tego rana. Była wyraźnie poruszona. Gdy okazało się, że Caroline ma niewiele czasu, zaledwie godzinę pomiędzy naradami, Lucy zdobyła się na wyprawę z Knightsbridge, co niewątpliwie znaczyło, że naprawdę musi z kimś porozmawiać. Oczywiście, to sygnalizuje jakieś trudności na froncie męsko-damskim - pomyślała pogodnie Caroline, rozanielona wieścią o powrocie Gerry'ego. Zapewne jakiś uroczy, trudno dostępny facet był bardzo chętny i Lucy potrzebowała nieco wsparcia, by powiedzieć „tak”. Tanecznym krokiem weszła do restauracji i zatrzymała się jak wryta na widok przyjaciółki spowitej w apaszkę od Hermesa, z ciemnymi okularami na nosie, siedzącą w kącie.

- Maż ze zobą dajne blany? - zasyczała składając pocałunek na jedwabnym słoneczniku.

- Och, Caro. To nie jest śmieszne.

Caroline zajęła miejsce naprzeciwko Lucy.

- O co chodzi, Lu? Czemu te okulary?

- Płakałam całe przedpołudnie.

- Powiedz mi. Dzieciom nic nie jest? Tak? A straszny Matt? Szkoda. Więc co?

- Dostałam tę okropną rzecz pocztą.

- List łańcuszkowy? Daj mi go, ja go wyrzucę.

- To fotografie. - Łzy wymknęły się spod ciemnych szkieł i pocięły po policzkach.

- Lu, chowanie. Weź chusteczkę... wiem, że masz swoją. Jakie fotografie? Pokaż mi. A może są zbyt okropne?

Lucy przełknęła głośno ślinę i otarła łzy niezbyt czystą chusteczką Caroline.

- Nie, nie są straszne. Nie są nieprzyzwoite. Chodzi tylko o szok.

Caroline naląła jej trochę wody i ruchem głowy odprawiła

wiszącego nad nimi kelnera. Z niepokojem obserwowała przyjaciółkę.

- Kochanie, możesz je pokazać? Będę mogła ci bardziej pomóc.

Lucy kiwnęła głową, nieelegancko pociągnęła nosem i wyjęła z torebki zwyczajną brązową kopertę.

- Uważaj, wyjmuj je ostrożnie - ostrzegła.

Caroline wyjmowała odbitki jedną po drugiej, zasłaniając je torebką, i przyjrzała się im uważnie.

- Jak one mogły zostać zrobione, Caro? - spytała Lucy siłkując nosem. - Przecież ktoś musiał nas obserwować.

- O tak. Ktoś musiał to robić. Użył obiektywu teleskopowego. Ostatni raz widziałam coś takiego, kiedy odwałam cztery miesiące praktyki w sądzie zasuwając dla starego Rega Lyttona. Pamiętasz go? - Zaciśnęła razem dłonie, żeby nie było widać, jak się trzęsą. Oby tylko nie złapały ją mdości. Spróbowała lżejszego tonu: - Bardzo jesteście grzeczni, ty i Clive. Tak jak mówiłaś - nie ma w tym nic nieprzyzwoitego. Ale za to wszystko wiadomo.

Łzy znowu pociekły po policzkach Lucy i Caroline przeprosiła.

- Czy był dołączony jakiś list? - spytała.

- Nie. Tylko one. Żadnego listu.

- Kochanie, czy Matt też dostał taką kopertę?

Lucy zdjęła okulary, żeby wytrzeć dokładniej oczy.

- Pomyślałam o tym. Otworzyłam całą jego pocztę. Nic.

- Podejrzewam, że mogło pójść do biura. Ale dlaczego?

Lucy opuściła głowę, pociągała nosem i czyściła okulary.

- No cóż, Caro. Zastanawiałam się, czy ktoś z waszej strony nie stosuje brudnych chwytów.

- Szanujący się radcy prawni jak ja nie robią takich rzeczy. I nie wierzę, aby moi klienci zdobyli się na coś takiego. Oni chyba nawet nie wiedzą, że prywatni detektywi są na świecie. Wierzysz mi?

- Tak. Przepraszam, Caro, to przedpołudnie było straszne; ten szok nasunął mi takie myśli. Wiedziałam, że to nie możesz



być ty. Przecież wiesz o mnie i Clivie; mogłabyś po prostu powiedzieć Mattowi albo posłać anonimowy list. Mogłaś też zawiadomić Ministerstwo Środowiska, a wcale tego nie zrobiłaś. - Delikatnie wysiąkała nos i dała znak kelnerowi, że może już podejść. - Poproszę džin z tonikiem. Co dla ciebie, Caro - jak zwykle woda?

- Nie, poproszę džin z tonikiem.

Kelner odszedł i Lucy znowu zdjęła okulary.

- Co ja mam zrobić, Caro?

- Głęboko odetchnąć i pomyśleć. - Caroline zawzięcie skupiła się na bieżącym problemie, zdecydowanie odsuwając na bok inne zmartwienia.

- Jeśli te zdjęcia nie zostały posłane Mattowi, to wiadomość jest przeznaczona osobiście dla ciebie, prawda? Co oznacza?

Dwie kobiety wpatrywały się w siebie.

- Nie mam pojęcia - odparła bezradnie Lucy.

Caroline zawahała się.

- Kochanie, nigdy nie miałam ochoty o to pytać, ale sytuacja jest kryzysowa. Czy to możliwe, że Matthew już wie i wybrał taki sposób nakazania ci, żebyś z tym skończyła? - Lucy spojrzała na nią bez wyrazu i Caroline się zarumieniła. - Jedyne pytam. Czy wcześniej mówił ci, żebyś z tym skończyła?

- O tak. Ciskał się, tłukł talerze i mówił, że ma dosyć tego gówna.

- Uosobienie subtelności - zauważyła kwaśno Caroline i ugięła się pod pełnym wyrzutem spojrzeniem przyjaciółki. - Przepraszam. Więc to nie znak od Matthew. Więc on nie wie. Może w takim razie to ktoś inny powiedział Mattowi o tobie i Clivie. Czy wtedy byłby... hm... bardzo zdenerwowany? To znaczy, wiem, że byłby, ale co by się stało? Czy chciałby się z tobą rozwieść?

- Nie - odparła z chłodną pewnością siebie Lucy. - Poprzednio nigdy się tego nie domagał i nie wydaje mi się, żeby potraktował Clive'a jako poważnego rywala.

- Chcesz powiedzieć, że gdybyś miała romans z przewodniczącym zarządu rywalizującego przedsiębiorstwa, wtedy by się

zdenerwował, podczas gdy wysoki rangą pracownik służby cywilnej mu nie przeszkadza?

- Tak, trochę tak. - Spoglądały na siebie. - Czy mężczyźni nie są tacy? - spytała z ciekawością Lucy i Caroline zacisnęła usta.

- Niektórzy. Zastanówmy się jeszcze. Dlaczego ktoś płaciłby tyle, żeby cię śledzić? To kosztuje majątek.

Zamyślona Lucy sączyła dzin z tonikiem. Łzy przestały płynąć.

- A jeśli to Clive jest obserwowany, nie ja?

Caroline się zaniepokoiła.

- O tak, to o wiele bardziej prawdopodobne, biorąc pod uwagę ten list do ministerstwa. - Opowiedziała o tym Lucy, zakładając, że Clive zrobił to wcześniej. - I tak się złożyło, że ty wpadłaś w sieć. No cóż, kto chce dać Clive'owi do wiwatu, nie licząc twojego kochanego męża?

Podano sałatki i obie panie zamilkły, podczas gdy kelnerzy krzatali się, sprawnie dodając czarnego pieprzu, oliwy i octu winnego. Caroline spojrzała na powstałą błyszczącą masę. Nie była w stanie przelknąć nawet kęsa. Odwróciła wzrok i zacisnęła dłonie na podółku.

- Caro? Wszystko w porządku? Zzieleniałaś. Co się stało?

Caroline odepchnęła talerz.

- Przepraszam, czuję się trochę nie najlepiej. Lu, kiedy zrobiono te fotografie? Możesz powiedzieć?

- O tak, jestem pewna. Jedna została zrobiona we czwartek dwa tygodnie temu - byłam na lunchu z Clive'em w „San José”... popatrz, to „San José”... popatrz na liście na drzewach. - Oddała z powrotem fotografię Caroline, która wzięła ją niezręcznie. - A w ubiegłym tygodniu jedliśmy lunch w domu we czwartek. Tu też widać liście.

- Tak, tak, widzę. To musi być dla ciebie straszne.

- To prawda. Nie za bardzo mi współczułaś, a to zupełny koszmar dowiedzieć się, że jesteś obserwowana.

- Co zamierzasz? - spytała Caroline. Skończyła dzin jednym łykiem i poczuła, jak żołądek kurczy się protestując.

- No cóż, na tym polega ironia sytuacji, rozumiesz. Na zdjęciu - na tym z sypialni - żegnamy się. To był koniec. Więc

naprawdę nie mogę nic więcej zrobić, prawda? Nie mogę nic poradzić na te zdjęcia, ale i tak skończyłam z Clive'em.

Caroline siedziała bez ruchu, spoglądając na piękną twarz po drugiej stronie stolika, której urody nie zniszczyły nawet zapuchnięte powieki i czerwony nos.

- Musisz ostrzec Clive'a.
- Powinam, prawda? Choćby przyzwoitość tego wymaga.
- Tak. Choćby przyzwoitość.
- Caro, ty naprawdę nie wyglądasz dobrze. Nie możesz pojechać do domu po południu?

- Nie.
- To okropne, prawda? Przecież każdy może wynająć prywatnego detektywa. Wiedziałybyś, jak to zrobić?

- Osobiście nie znam żadnego. Ale wiedziałabym, do kogo się zwrócić. - Skupiła się na obrusie licząc kwadraciki na desenie.

- Mogę zjeść twoją sałatkę? Jeśli ty nie jesz. Lepiej się czuję, kiedy mogłam porozmawiać. Ten samotny poranek w domu to było coś strasznego. Caro?

Caroline zdała sobie sprawę, że skoncentrowanie się na obrusie nic nie dało. Łzy spływały jedna za drugą po policzkach i nie było im końca.

- O co chodzi, Caro? Co się stało? - Lucy przykryła dłonią jej dłoń. - Powiedz! - Zacisnęła mocniej palce. - O Boże, wiem. Ale ze mnie egoistyczna suka. Chodzi o ciebie i twojego faceta? Och, Caro, ty przecież nie dostałaś fotografii?

- Nie, ale każdy może wynająć prywatnego detektywa. A ponieważ wiemy, że ktoś to zrobił, to muszę go ostrzec. - Wysunęła dłoń z uścisku i zaczęła szukać chusteczki do nosa.

- Co on zrobi?
- Zerwie. Natychmiast. Musi to zrobić.

Patrzyły na siebie świadome nagiej prawdy.

- Kto to jest, Caro?
- Nie mogę ci powiedzieć. Ale on nie poświęci kariery.
- To okropne. - Oszczędnym gestem poprosiła o kawę. - Ale,

Caro, może za kilka tygodni, kiedy to wszystko się uspokoi? - Przerwała. Przyjaciółka nie słuchała, wbijała niebieskie oczy w obrus.

- Mam tylko nadzieję, że nie jest już za późno - mówiła, obsesyjnie ogarnięta jedną myślą - ale nie spotykałam się z nim przez dwa tygodnie, bo wyjechał, więc jeśli jacyś obserwatorzy zajmowali się tym dopiero przez ostatnie dwa, trzy tygodnie, jak wynika ze zdjęć, to przy odrobinie szczęścia mógł umknąć ich uwagi.

- A jeśli oni - bez względu na to, kim są - zajmowali się tobą? Czy to mogłoby wymusić zmianę sytuacji? To znaczy, czy zostawiłby żonę?

- Nie, to byłaby katastrofa.

- Och, Caro, tak mi przykro. Ci cholerni mężczyźni! Jesteśmy naciskane z dwóch stron, czyż nie?

- Tak przez tego koszmarnego Matta i moich klientów. Tak.

- Matt jest moim mężem. Wiem, że w tej sprawie nie zachowuje się porządnie, ale ty też nie. Ten przeciek o Bartholomews to twoja robota, prawda? - Zdjęła okulary i patrzyła oczami krótkowidza na przyjaciółkę, która z wolna poczerwieniała jak burak.

- Nie ja zaczęłam tę wojnę - usprawiedliwiła się. - A Matt nadal stosuje swoje metody w Dorrington starając się o kontrakt na Marsh Lane. Jeszcze mi za to zapłaci.

Lucy odchyliła się, oceniając wzrokiem swoją przyjaciółkę, którą знаła od dwudziestu pięciu lat.

- Zupełnie przypominasz swojego ojca.

- Jeszcze tego mi było trzeba. Gdyby tu był, przypomniałby mi, że najszlachetniejsze cele nie usprawiedliwiają nieszlachetnych środków. Dlaczego moim ojcem jest filozof moralności, a nie jakiś rozpychający się łokciami człowiek interesu?

- Jak mój - podsunęła nie obrażona Lucy.

- Dokładnie. Zjadłaś moją sałatkę?

- Tak. Jesteś teraz głodna?

- Tak. Bóg wie dlaczego. Podaj mi chleb i zjem omlet. A potem wrócimy do siebie i zrobimy porządek z naszymi kochankami. Lu,

chciałabym tu posiedzieć i pomyśleć. Sama. Wybaczysz?

- Pobędę tu z tobą. Nie będę gadała, ale wolę towarzyszyć ci przy lunchu.

Zajęła się lekturą czasopisma, podczas gdy Caroline pałaszowała omlet.

- Lepiej. Dziękuję ci - rzekła krótko, odkładając widelec.  
- Dobrze, zapłaciłam. - Lucy wstała i ucałowała ją. - Przepraszam - powiedziała łagodnie i Caroline przytuliła policzek do jej policzka, nie mogąc wydobyć słowa.

**W** Ministerstwie Środowiska Clive Fieldman pracował bez zapału. Czuł się fatalnie po stracie Lucy, a rozpacz pogłębiała świadomość, iż jest wyraźnie niedoceniany w pracy. Winstanley, poinformowany o liście Watsona, przyjął przeprosiny ponuro i od tej pory Clive czuł się skrępowany w jego obecności. Miał nadzieję, że Winstanley nie uważa go za odpowiedzialnego za wszystkie kłopoty hamujące sprzedaż Prior, począwszy od przecieku w „Financial Times”, który zniweczył możliwość sprzedaży łącznej, do nieoczekiwanego spadku cen akcji Friern, ale Clive wiedział z doświadczenia, że ministrowie mają skłonność obwiniania doradców za każde niepowodzenie. I namnożyło się tych niepowodzeń: zamknięcie Davecata i O'Briena ciągle nie schodziło z łamów prasy, sprzedaż Carr i SLG przeciągała się, nie mówiąc już o kłopotach z Prior. Nadchodził weekend; Clive będzie miał na głowie dzieci, ale oczywiście nie ma mowy o połączeniu sił z Caroline Whitehouse i jej rodziną. Nie była to wcale zachęcająca perspektywa, ale lepiej już zrobi nie pchając się nikomu w oczy.

Z tych rozmyślań nagle wyrwał go dzwonek telefonu.

- Pan Watts do pana.  
- Richard! Jak się masz?  
- Och, dziękuję. Właśnie rozmawiałem z Johnem Martinsem z Gruhnersa. Zostaną rozpatrzone oferty od Shawa i Waltonsa, ale niepodobna, żeby przekroczyły czterdzieści pięć

milionów. Więc pozostaje nam kierownictwo, proponujące pięćdziesiąt milionów na rękę i dziesięć odroczone, i Friern, który daje zapewne około pięćdziesięciu siedmiu milionów.

Clive pomyślał ponuro, że gdyby Friern wygrał współzawodnictwo, zarzuty Michaela Watsona zostałyby jednoznacznie odparte. Odsunął na bok marzenia, wspominając Caroline i jej zawziętych klientów, którzy pod względem politycznym byli bardziej interesującym oferentem niż Friern.

- Nie odkryję Ameryki mówiąc, że idą łeb w łeb.

- Tak. - Richard Watts wprost płonął chęcią podzielenia się wieściami. - Ale wygląda na to, że są komplikacje. Oferta kierownictwa jest oparta na założeniu, że zawrze ono duży kontrakt, który właśnie jest przyznawany.

- Chcesz powiedzieć, że się wycofają, jeśli go nie dostaną?

- Nie, nie. Ale to zepchnie ich ofertę sporo poniżej Frierna.

Clive rozważył ten scenariusz.

- Nie mów mi, że Friern też startuje do tego kontraktu.

- Zgadza się. - Richard Watts był nieco zaskoczony analitycznymi umiejętnościami Clive'a. - I co więcej, wygląda na to, że trwa tam wściekła kłótnia co do sposobu prowadzenia przetargu.

- O rany, rany.

- Tak. Współczuję. Wiem, że dla was, chłopaki, to trudna sprawa. Może nie miałyby to takiego znaczenia, ale najwyraźniej te dwie firmy to jedyni poważni chętni.

- Wolałbym nie usłyszeć tego wszystkiego, Richard.

- No cóż, przypuszczam, że to sprawa NEB.

- Będzie jutro lkała na moim ramieniu.

- Z pewnością, John Martins dał do zrozumienia, że jego klienci zamierzają się skonsultować z twoim ministerstwem.

- Oni są bardzo chętni do konsultowania, kiedy jest afera. W każdym razie dziękuję, Richard.

Odłożył słuchawkę. Siedział wpatrując się w przestrzeń i myślał, że zamiast narzekać, powinien się cieszyć tym, co jest, a raczej było.

Romans z Lucy był na tyle dyskretny lub długotrwały (czy też jedno i drugie), że umknął uwagi Michaela Watsona. Telefon znowu się odezwał.

- Lady Friern chciałyby z panem mówić, panie Fieldman.

Poczuł, jak włosy na karku mu się jeżą, i mało nie upuścił słuchawki.

- Połączyć - zachrypiął i odchrząknął.

- Clive... Musimy się spotkać na pół godziny. Nie tu.

- Co się stało?

- Nie będę o tym mówiła przez telefon. Musimy się spotkać w jakimś uczęszczanym publicznym miejscu i zachowywać się z dużym dystansem.

- Zapowiada się dramatycznie. - Zaszło mu w ustach, ale usiłował zachować lekki ton.

- Bo jest. Byłam na lunchu z Caro i mówi, że muszę cię ostrzec. Spotkamy się w „Carltonie” przy barze, kiedy tylko tam dotrę.

- Zrobię tu porządek i już jestem. - Poczuł chłód na całym ciele.

Schował automatycznie papiery. Uznał spokojnie, że bez względu na to, jakiej potworności będzie musiał stawić czoło, i tak go to nie ominie. Teraz, kiedy przejrzał na oczy, zdał sobie sprawę, ile miał cholernego szczęścia, tak długo unikając kłopotów. Było wielką niedyskrecją kontynuować romans z Lucy Friern, kiedy jej mąż ujawnił intencje wobec Prior Systems. Szaleństwem było nie wycofać się, gdy tylko pojął zaciętość współzawodnictwa między Matthew i kierownictwem Prior. Przeklinał się nieustannie, sprząając biurko z wdrożoną pracownikowi służby cywilnej długoletnią dyscypliną. Sprawdził, czy żaden tajny dokument nie pozostał na wierzchu. Ironia sytuacji dotarła do niego z taką siłą, że zabrakło mu powietrza w płucach i musiał przerwać. Oparł się o biurko i stał z pochyloną głową, gdy weszła sekretarka.

- Miałby pan ochotę na filiżankę kawy, panie Fieldman?

- Nie, dziękuję. Muszę szybko wyjść. Przekazuje pani rzecznikowi prasowemu, że po siódmej mogą mnie łapać w domu? Gdyby chcieli ze mną rozmawiać, będą mieli czas się przygotować.

Możliwe, że do tej pory nie zostanie mi żaden wybór, tylko rozmowa z sir Francisem - pomyślał otepiały.

Panna Williams przyjrzała mu się uważnie, wysłała pospiesznie i jednak przyniosła kawę. Postawiła filiżankę na biurku. Wypił z wdzięcznością. Kawa była lepka od cukru, za którym Clive zwykle nie przepadał, ale który teraz dał mu zastrzyk energii. Zatrzasnął sejf, zamknął drzwi gabinetu i zatrzymał się patrząc na sekretarkę, która w pełni skoncentrowana, z oczami utkwionymi w brudnopis, stukła nieomylnie w klawisze. To wyjątkowa umiejętność, powinna być wyżej opłacana - pomyślał patrząc jak zaczarowany. Nie spojrzała na Clive'a. Zrozumiał, że wyraża w ten sposób nadzieję, iż zostawi ją w spokoju, gdyż ona nigdy nie narzucała się z pytaniami czy komentarzami, chyba że wprost ją zagadnął.

- Dziękuję, panno Williams - rzekł sygnalizując tymi słowami wdzięczność i zrozumienie. - Do zobaczenia jutro.

- Dobranoc, panie Fieldman. - Jej dłonie zamarły na moment i spojrzała na niego z grzecznym, opanowanym uśmiechem, którym zawsze witała zwierzchnika.

Proszę, Boże, proszę, pozwól mi jutro i każdego następnego dnia słyszeć to znajome, chłodne przywitanie - pomyślał, wdzierając płaszcz z szybkością i gracją, których nawrót za wdzięczał dawce kofeiny i cukru.



## Rozdział dwudziesty piąty

**M**ark Dwyer zawahał się przed szczelnie zamkniętymi drzwiami gabinetu Caroline. Było wpół do siódmej, sekretarka poszła do domu, więc nikt nie mógł pokierować gośćmi pani Whitehouse. Stał niepewny, patrząc na jasny wieczór za oknem. Usłyszał za sobą kroki. Odwrócił się i ujrzał głównego wspólnika.

- Miałem właśnie nadzieję pogadać z Caroline - rzekł pośpiesznie Mark. - Chodzi o transakcję Voulosów - dodał pamiętając, że kontakt z tą rodziną został nawiązany przez Michaela Appletona.

- Była na naradzie?  
- Przez jakiś czas. Narada nadal trwa.  
- Mhm. Chciałbym zamienić z Caroline słowo w innej sprawie. Ale może chcesz się z nią spotkać pierwszy?

Właściwie to tak; utknęli i bardzo potrzebowali jej energii i siły oddziaływania, by ruszyć z miejsca. Ale nie zamierzał się przyznać głównemu wspólnikowi, że nie potrafi sobie poradzić bez Caroline. Musi własnymi sposobami wypłacać coraz bardziej zirytowanych klientów z zawilości paragrafu pięćdziesiątego szóstego (podpunkty IV oraz VII) mówiącego o prawach głosu inwestorów strategicznych. Od kilku godzin tkwili w martwym punkcie. Volusowie pienili się po turecku na swoich doradców, którzy następnie z przyciężkim chicagowskim akcentem tłumaczyli ich poglądy na angielski. W takiej właśnie sytuacji klasa Caroline w połączeniu z nieulekłą bezpośredniością i brakiem

respektu dla bogactwa reprezentowanego w sali konferencyjnej okazała się skuteczna zeszłego popołudnia i była znów potrzebna teraz. Z żalem się oddalił.

Michael Appleton zapukał, pokonał zamknięte drzwi i stanął jak wryty. Jego zwykle niezawodna, twarda Caroline spojrzała na niego jak umęczone, zaszczone zwierzę. Tak wyglądała po śmierci męża; pogrążona w głębokiej rozpacz i żałości, z której nie dawało się jej wyciągnąć; żywa zwykle twarz obwisła, wszystkie rysy stały się grube jak na rysunku dziecka lub masce pośmiertnej.

- Tak, Michael - powiedziała krótko bez żadnych powitań, usprawiedliwień czy przeprosin.

- Mogę w czymś pomóc? - spytał siadając. Cel wizyty przestał się liczyć.

- Nie sądzę.

- Co się stało? - Przyglądał się jej, gdy otwarcie usiłowała znaleźć najlepszy sposób, by o wszystkim opowiedzieć. Rozumiał, że na dobrą sprawę nie jest intruzem; problem, który ją przygniatał, był tak ogromny i tak wyczerpał jej siły vitalne, że naprawdę nie miało znaczenia, kto jest w gabinecie. Podobnie jak w przypadku kogoś niebezpiecznie chorego, walczącego o życie, obecność świadków jest bez znaczenia - pomyślał nagle. Spytał: - Czy chodzi o Prior Systems?

- Tak. Czekam na telefon, ale wiem, co usłyszę. Potem muszę wyjść i odbyć bardzo trudną rozmowę w cztery oczy. Przepraszam, Michael, to ten telefon.

Uparcie nie ruszał się z krzesła. Uznał, że to, czy zostanie, czy nie, jest jej obojętne.

- Ach. To wspaniale. Numeracja zupełnie się nie zgadza? Dobrze. Nie, nie przekazujcie tego nikomu w Dorrington, aż dam wam znać. Coś tam jest schrzaniłone. Nie staję wam na drodze, ale muszę jeszcze zadzwonić w jedno miejsce. Odwołajcie spotkanie z wydawcą do dwunastej w południe jutro i nie zgadzajcie się na jakakolwiek wcześniejszą porę. - Nie ugięła się wobec protestów, które zapewne wybuchły. - Zrób, jak mówię, Peter. Do tej pory wszystko szło tak, jak trzeba - oświadczyła

nie znoszącym sprzeciwu tonem, który zawsze bywa przekonujący.

To przemawia osoba dorosła, stojąca o klasę wyżej od utalentowanej, ale okazującej nieuzasadnione sympatie i antypatie młodej gwiazdy, którą kiedyś była - pomyślał Michael Appleton. Spokojnie odłożyła słuchawkę, zrobiła notatkę i podniosła głowę, spoglądając na niego tak, jak się patrzy na przedmiot. Zrozumiał, że ten telefon wcale nie rozwiązał jej problemu.

- Caroline, od tego są wspólnicy - próbował ją przekonać.
- Proszę cię, może zechcesz powiedzieć mi choć tyle, żebym mógł ci pomóc?

Skupiła na nim wzrok. Siedział absolutnie bez ruchu, a ona z otwartością, jakiej używa wyczerpanie emocjonalne, zastanawiała się, czy może jej się do czegoś przydać.

- Friern nielegalnymi metodami doprowadził do tego, że zezwolono mu złożyć powtórny ofertę w przetargu o kontrakt, który ma decydujące znaczenie dla przyszłości Prior Systems - powiedziała wreszcie. - Należy zająć się tą ofertą, z tym że atak Prior może wyglądać na publiczne pranie brudów - i może być nieefektywny.

- Wiele zależy od lokalnych układów politycznych - rzekł ostrożnie.

- Właśnie. Więc zamierzam spróbować jeszcze jednego podejścia i rozwiązać to metodami politycznymi. Mam teraz znakomitą amunicję dzięki mojemu szacownemu klientowi.

Odezwał się telefon. Nie poruszyła się.

- Przepraszam, Michael. Muszę odebrać telefon sama. - To nie była prośba, tylko oświadczenie.

Podniósł się do wyjścia.

- Wróć za dziesięć minut, jeśli to nie za wcześnie.

Wyszedł, zanim zdążyła odpowiedzieć. Zamknął drzwi nie chcąc słyszeć protestów. Obejrzał nowe reprodukcje w korytarzu przy windzie i doszedł do wniosku, że komisja od spraw wystroju wnętrz zbyt ulega skłonności starszych członków do jasnokolorowych różności. Wreszcie usłyszał kroki za plecami.

Odwrócił się. Caroline bez teczki wydawała się jakby niekompletnie ubrana.

- Michael, muszę teraz wyjść, żeby doprowadzić to do porządku - oświadczyła wkładając na siebie szkarłatny trencz, w którym wyglądała na jeszcze bledszą.

- Dokąd idziesz?

- Do „Reform”.

- Pójdę z tobą. Odbiorę cię później. Ktoś powinien być przy tobie.

Wygląda, jakby miała się rozbić się przy dotknięciu - pomyślał z niepokojem. Była straszliwie blada, jasne włosy miała pozbawione połysku, jak ktoś, kogo czeka poważna operacja.

- Dziękuję - powiedziała, nie okazując nawet cienia zwyczajnej u niej wyniosłej niecierpliwości. - Ale, proszę, nie rób tego. Będę się czuła skrępowana. Nic innego nie mogę zrobić i potem pojadę do domu.

Zrezygnował z kilku pytań i propozycji.

- Jak się mają dzieci? - spytał.

- Okropnie - odparła rzeczowo. - To moja wina... moje zachowanie wyprowadza je z równowagi. To się niebawem skończy.

Odprowadzał ją wzrokiem. Nie pędziła korytarzem jak zwykle, powiewając włosami, połami płaszcza, czym się dało, ale szła spokojnie, ciężko, z pochyloną głową, przygarbionymi ramionami, w nie pasującym do jej nastroju jasnoczerwonym trenczu.

Caroline przekroczyła próg znajomego przedsionka klubu „Reform”. Skinęła głową paru kolegom. Po zastanowieniu zeszała do źle oświetlonej szatni damskiej mieszczącej się w suterenie i skierowała się do znacznie lepiej oświetlonej toalety, gdzie nie spiesząc się poprawiła makijaż i uczesanie. Stoicko uznała, że to jeden z tych dni, w których nie zostaje ci nic innego, jak tylko założyć zbroję i modlić się, żeby dotrzeć do końca. Wróciła na górę i rozejrzała się wkoło; Gerry'ego jeszcze nie było, więc poszła do wielkiej tablicy przy drzwiach, aby się zapoznać z

przypiętymi do niej najświeższymi wydrukami agencji prasowych. Szukała zajęcia, które by jej pomogło wypełnić czekanie.

- Caroline?

Serce uderzyło jej żywiej, potem zwolniło rytm.

- Sholto. Co ty tu robisz?

- Wiesz, to mój klub. Umówiłem się z Peterem Jellicoe, pamiętasz go?

- Bez specjalnej przyjemności.

- Więc nie ma potrzeby, bym znowu was przedstawił. Z kim się spotykasz?

Otworzyła usta, aby mu powiedzieć, i nagle zabrakło jej słów. Patrzyła bezradnie na ojca, na znajome, pomarszczone rysy będące powiększoną kopią jej własnych, pod gęstą szopą włosów, z tym że już siwych, a nie blond, jak jej, i poczuła łyzy w oczach. Jego twarz nagle zmieniła wyraz, jak zawsze błyskawicznie odbijając emocję.

- O co chodzi? - Wydawał się zirytowany, lecz tym razem poza irytacją usłyszała zaniepokojenie i zachowała spokój.

- Wołałabym ci o tym nie mówić.

Wyciągnął nieśmiało rękę i poprawił kołnierzyk jej zakietu. Zastygła rozpoznając w tym niezdarnym geście przemożną, nie spełnioną miłość.

- Mogę się przydać - powiedział ostrożnie. - Nauczono mnie panowania nad sobą.

Spojrzała na niego i wreszcie ujrzała go takim, jaki był: wysoki mężczyzna, trochę przygarbiony, z zasobami intelektualnymi i uczuciowymi, które zwycięsko oparły się czasowi i inspirowały pokolenia studentów.

- Tato, źle ze mną.

Przestał przestępować z nogi na nogę i stał zupełnie nieruchomo, całkowicie skupiony na córce.

- Opowiedz mi.

- Nie mam wiele czasu.

- Tylko zarys.

Obrócił ją łagodnie i otoczywszy ramieniem zaprowadził do

spokojnego kąta. Bez ogródek opowiedziała mu o Prior Systems i jego kłopotach.

- To była brudna walka, tato, i czarne charaktery wygrywały.

- Twoja strona też nie ma czystych rąk.

- Oni zaczęli.

- Zapewne wiesz, że to pozbawione znaczenia.

Zesztywniała, lecz zasady dyscypliny wzięły górę.

- To prawda. Ale w moim przekonaniu nie ma wątpliwości, że kontrakt słusznie należy się Prior.

Jak dobrze wiedzieć, że mówi się do człowieka, którego definicja tego, co słuszne, a co niesłuszne, pokrywa się z moją, bo to on mnie jej nauczył - pomyślała oszołomiona.

- Tak, ale nie możesz walczyć o realizację tego przekonania wątpliwymi środkami.

Stara niecierpliwość wzięła w niej górę.

- Co to znaczy „nie możesz”? Uważam, że mogę. Takie są moje zamiary.

- Zapewne dobrze wiesz, że zasady moralne to informacje o tym, co jest skuteczne, a nie narzucony system. Aksjomat, że cele nie uświęcają środków, jest w istocie praktycznym ostrzeżeniem. Jeśli zastosujesz niszczące środki, zniszczysz swój cel. To fakt, nie wskazówka moralna.

Nie wydaje się zagniewany, raczej zniecierpliwiony moją niespodziewaną tępotą, jak trzydzieści lat temu, kiedy wzbudziłam jego źle ukrywane zaskoczenie, nie mogąc od razu pojąć zasad równań równoległych - pomyślała. Uparcie wróciła do obecnego problemu. Ojciec wziął ją za rękę.

- Więc, tato, wedle twojego zdania jedyne rozwiązanie to zmusić ludzi do właściwego zachowania, w zgodzie z najlepszymi zasadami.

- Tak. I nie jest to moje zdanie, jak to określiłaś. To podstawa moralistyki; nie można inaczej osiągnąć słusznych celów, jak używając słusznych środków. - Spojrzał na nią z powagą. - To nie ma się okazać pomocne - przyznał.

- Jest pomocne, tato. - Jakimś sposobem ciężar spadł z jej

ramion i wyprostowała obolałe plecy. Instynktownie obejrzała się i zobaczyła Gerry'ego, który z wyteżoną uwagą przeglądał wydruki wiadomości. Jak zwykle, przyciągał rzucane chyłkiem spojrzenia, nawet ze strony wyrafinowanych bywalców „Reform”.

- Jestem umówiona z Gerrym Willshawem. Na drinka. Chodź, przywitasz się z nim.

- Wiceminister transportu? Powiadają mi, że pnie się w górę.

Tego, że ojciec udziela konsultacji wielu przywódcom politycznym, którzy je sobie chwala, też udało mi się nie dostrzec - pomyślała Caroline ze stoicką maską. Trzymała go za rękę jak dziecko, ale cóż, bała się tego, co ją czeka.

- Gerry...

Odwrócił się z gotowym uśmiechem zawodowego polityka na ustach i podszedł wpatrując się w Sholto. Odwróciła uwagę Gerry'ego, swobodnie dając mu towarzyskiego całusa. Powinien się ogolić - pomyślała ni w pięć, ni w dziewięć.

- Tato, znasz Gerry'ego Willshawa? Gerry, mój ojciec, Sholto, który umówił się na drinka z innym profesorem, ale pomyślałam sobie, że mogę cię przedstawić.

- Wiele o panu słyszałem, sir Sholto - rzekł Gerry. - Od mojego głównego naganiacza.

- Davida Craddocka. Tak. Mój student.

Jak połowa kraju - poniewczasie uświadomiła sobie Caroline. Gerry przestępował z nogi na nogę, odpowiadając na śmiałe i dociekliwe pytania ojca. Podała dłoń profesorowi lordowi Jellioce, wspominając z żalem, że powzięła do niego antypatię, gdy wygłosił natchnioną krytykę prawicowej polityki transportu - krytykę, która okazała się absolutnie słuszna. W obecności Gerry'ego trudno było jej to przyznać. Poczula, że odkłada moment prawdy, i wzięła głęboki oddech.

- Może lepiej ruszamy się, Gerry?

Był trochę zaskoczony, ale zgodził się z nią i uprzejmie pożegnał się z jej ojcem. Przeszli sztywno ramię w ramię do wielkiej biblioteki, w której jak zwykle przebywała grupka dobrze

znanych członków „Reform”. Gerry postarał się o dwa toniki z dżinem. Sztywno zasiedli w głębokich, niewygodnych fotelach.

- Jak się masz? - Lyknął drinka i obdarzył ją ledwie przelotnym spojrzeniem. Serce w niej zamarło. Celowo odczekała, zmuszając go, by na nią popatrzył, i dostrzegła, że spodziewa się sceny, zbiera siły, sprawdzając nerwowo, czy w pobliżu nie ma żadnych znajomych. Niecierpliwie zapytał: - Dlaczego tu? To znaczy, dlaczego w takim publicznym miejscu?

- Bo muszę z tobą porozmawiać gdzieś, gdzie nie można nas podsłuchać i gdzie równocześnie jesteśmy całkowicie niewinni w oczach ogółu. Mamy kłopoty, Gerry. Niewykluczone, że jestem śledzona. - Bezradna patrzyła, jak szklanka drgnęła w jego ręce. Czekala nie wiedząc, jak kontynuować.

- Od jak dawna?

Dobre pytanie, w samo sedno - pomyślała.

- Sądzę, że tylko przez ostatnie dwa, trzy tygodnie. Oznacza to, że mogłam być śledzona podczas jednej wyprawy do ciebie, ale jak pamiętasz, spędziliśmy wtedy razem zaledwie godzinę – niecałą - i o przyzwoitej porze. Koło ósmej wieczór. Więc nie powinno być z tym kłopotów.

- Niech to szlag. - Nigdy nie kłął. Spojrzała na niego z niepokojem. - Skąd wiesz? To znaczy, kto obserwował?

- Och. To ma związek z Prior Systems. Wygląda na to, że również wzięto pod lupę Clive'a Fieldmana.

- Jak na to wpadłaś?

- Dziewczyna, z którą Clive miał romans, dostała fotografie.

- O Boże.

- Naturalnie, nie ma kompromitujących fotografii Clive'a z mną - kontynuowała spokojnie. - I oprócz dziewczyny Clive'a nikt się ze mną nie porozumiał.

- Kim ona jest?

- Nie mogę ci powiedzieć. Ale to przyjaciel.

Odstawił ciężko szklankę na stolik. Patrzyła na znajome, ciemne sterzące włosy, zbyt krótko, niedobrze obcięte, co



miało ukryć, że się kręcą, i zielone skupione oczy.

- Czy ona lub Clive wie coś o mnie... o nas?

- Jedyńy, który wie - ale wydaje mi się, że sam na to wpadł - to mój brat, który jest ze mną najbliżzej związany. Nie doniesie; nie pochwała tego, co robimy, ale jest gotów mnie chronić. - Nie mogła się powstrzymać, by nie wbić tej szpili, i Gerry drgnął, kiedy ją poczuł.

- Twój ojciec nie?

- Nie. Nie jesteśmy - nie byliśmy - sobie szczególnie bliscy. Dziś wieczór spotkaliśmy się przypadkowo. - Nastąpiła kolejna ciężka, bolesna pauza. Gerry wpatrywał się w dno szklanki. Caroline zdecydowała się kontynuować. - Więc dlatego jesteśmy tu dzisiaj. Trudno komukolwiek nabrać podejrzeń widząc nas pijących drinka w „Reform”. Albo podsłuchując naszą bardzo krótką rozmowę telefoniczną.

Uf, lepiej z tym skończę, póki jeszcze potrafię - pomyślała.

- Muszę się jeszcze napić - rzekł i poderwał się, poruszając się z utajoną sprężystością lekkoatlety. Wziął szklankę Caroline. Patrzyła za nim, gdy szedł przez bibliotekę i zatrzymany przez kogoś, pochylał głowę w jakże znajomy sposób. Przez chwilę zabrakło jej oddechu. Wrócił szybko. Miał pozbawioną wyrazu twarz. - Przepraszam. Przyniosłem ci to samo co poprzednio. Mam nadzieję, że może być.

- Tak. Przepraszam, Gerry, widzę, że jesteś wstrząśnięty. Myślałam o tym od lunchu i nie posunęłam się wiele. - Przerwała, ale nie popatrzył na nią. - Gerry? - Podniósł wzrok, zaskoczony i gotów do obrony. - Wiem, że musimy zerwać.

Napięte rysy jego twarzy lekko się rozluźniły.

- Zerwiemy, prawda, kochana? - Po raz pierwszy spojrzał jej prosto w oczy.

Zgarbiła się, skrzyżowała ręce na piersiach, żeby zagłuszyć ból. Gerry zaniepokojony pochylił się ku niej.

- Zapewne nie na zawsze, na jakiś czas. Ta burza minie - powiedział z niepokojem.

- Nie - odparła znając prawdę. - Nie możemy tak mówić. To, co się stało, było jak spuszczenie flary nad naszą pozycją. Albo twoją pozycją. Nie możesz sobie pozwolić na romans, a romans to wszystko, na czym ci zależało.

- Jestem od dawna żonaty - powiedział bezbarwnym głosem. Mięśnie wokół jego ust stężyły. - I są dzieci.

- Wiem o tym dobrze. Tak się składa, że nie pochwalam mężów, którzy rzucają żonę i dzieci, naprawdę nie pochwalam.

Urwała, splotła dłonie, patrzyła na nie i myślała, że nigdy by nie wpadła na to, iż wspólne dwadzieścia minut w łóżku prawie dwa tygodnie temu to był koniec, finał i że już nigdy nie poczuje dotyku jego ciała spoczywającego przy niej; wszystko to przepadło bez żadnego ostrzeżenia, nie dano jej czasu na jakiegokolwiek pożegnanie. Tu nie mogła nawet pogłaskać Gerry'ego. Przez chwilę nie potrafiła wypowiedzieć słowa, ale przypomniała sobie cel spotkania.

- Gerry, nadal mamy nóż na gardle i dlatego musiałam się spotkać z tobą dzisiaj, a nie jutro. Twój Tom Bailey zawiódł mnie. Nie zamierza przeciwstawić się ostatniemu świństwu Frierna. - Przerwała zaalarmowana jego grymasem. - Rozmawiałeś z nim? I powiedział, że wpadłam w histerię? No cóż, trochę przegięłam, przyznaję. - Wzięła głęboki oddech i spuściła głowę. - Ale problem zostaje i chłopaki z Prior są umówione na jutro z „Private Eye”. Sądzę, że nie uda mi się ich powstrzymać, a poza tym byłoby to niewłaściwe. Słuszność jest po ich stronie.

- Co są gotowi powiedzieć? - Pytanie padło bardzo szybko i spojrzała na Gerry'ego uważnie, zdając sobie sprawę, że jest na terytorium wroga.

- Że Friern zamienił dokumentację oferty. W drugiej wersji podał niższą cenę niż w pierwotnej. Dokumentacja została prawdopodobnie zmieniona przez trzech radnych, z których jeden to twój znajomy konserwatysta, Ted Malvern.

- Mogą tego dowieść?

- Zapewne nie w sądzie. Ale w pomieszczeniu rady miejskiej, które twój Malvern dzieli z liberałem, znaleźli kopię

wersji pierwotnej z podstemplowanym znaczkim. To wygląda strasznie.

Patrzyła na niego uparcie i po długiej chwili milczenia ode-  
rwał wzrok od szklanki i spojrzał jej w oczy.

- Nie rób tego - powiedziała z bólem.

- Czego?

- Nie zastanawiaj się, jak mną manewrować, Gerry. To się już nie uda. Przybył archanioł Gabriel i jego zastęp. Chłopaki z Prior mają rację, ja mam rację, więc nic nas nie powstrzyma. Zapewne to twój pan Malvern jest skorumpowany, ale to nie ma znaczenia, musimy dochodzić swego.

- Caroline, jeśli zainterweniuję, to wzbudzi straszne plotki. Tim Bailey nie ma żadnych wątpliwości co do charakteru łączących nas stosunków, ale można mu zaufać. Nie brak mi tam wrogów. - Miała nieustępliwy wyraz twarzy. - Też nie chciałabyś, żeby twoje nazwisko zjawiało się w gazetach.

- Nie - odparła spokojnie. - Wcale mi się do tego nie spieszy. Ale nie jesteśmy w tej samej sytuacji. Nie pozostaję z nikim w związku małżeńskim. - Patrzyła owładnięta zgrozą na swoje ręce, słuchała gęstej ciszy i widziała, jak długie palce Gerry'ego zaciskają się na szklance. Wydusiła przez zęby: - Przepraszam, ale to tylko dlatego, że jestem strasznie zrozpaczona i zła, bo muszę z ciebie zrezygnować. - Przerwała i wciągnęła oddech. - Nie chciałabym stawiać cię w ryzykownej sytuacji, bo cię Kocham. Ale niezależnie od tego wszystkiego nie należy zapominać, że uczciwi ludzie starają się prowadzić uczciwy interes, i to jest najważniejsze albo nic nie ma sensu. - Znów przerwała. - To cena, którą musisz zapłacić za poderwanie córki najwybitniejszego filozofa moralistyki w kraju - powiedziała bezradnie.

Był wściekły.

- Dlaczego uważasz, że się z tobą nie zgadzam?

- No cóż, nikt nie sprzeciwiłby się sformułowanej przeze mnie zasadzie. Ale widzę, że zastanawiasz się, czy cię na nią stać. Cholera. Nie powinnam pić dżinu. Sam musisz to rozstrzygnąć, Gerry.

- Nie zająłem się polityką, żeby pilnować mętnych zakulisowych interesów władz lokalnych. Dostarcz kopię kontraktu Timowi. - Odstawił z brzękiem szklankę i rozejrzał się za swoją kurtką.

- Masz czas do jutra do południa, Gerry. Przepraszam - rzekła ostatkiem sił. - Obiecałam chłopakom, że potem mogą robić swoje.

- Zrozumiałem to. - Wstał i sięgnął po kurtkę. Caroline zdała sobie sprawę, że jego rutynowe dobre maniery znikły. Spojrzał na nią i się zreflektował. - Przepraszam. Przywołać ci taksówkę?

- To uprzejme z twojej strony - powiedziała, z trudnością dźwigając się na nogi. - W milczeniu minęli tablicę z wydrukami. Jakiś starszy pan chciał zagadnąć Gerry'ego, ale zastygł widząc jego minę. U szczytu długich schodów Gerry i Caroline zatrzymali się twarzą w twarz. Jak rywalizujący prawnicy, którzy stoczyli wyczerpującą batalię, ale wiedzą, że życie musi toczyć się dalej i transakcja tak czy siak zostanie zawarta - pomyślała znużona.

- Wezmę płaszcz z szatni.

- Tam był twój ojciec - powiedział z nagłą łagodnością. - Sam. Udawał, że czyta wydruki. Czekał na ciebie?

- Nie. To znaczy, nie powinien. Nie planowałam tego.

- Ale on chyba zaplanował.

- Zawsze byłeś bardziej spostrzegawczy ode mnie - rzekła smutno. - Idź. Ja zostanę i porozmawiam z biednym staruszką.

- Dziwne, żadne z tych określeń jakoś do niego nie pasuje.

- Och, Gerry - wymknęło się jej, tak była poruszona tym kolejnym dowodem spostrzegawczości. Zawahała się. - Możesz zadzwonić i powiedzieć, co się stało?

- Tim Bailey to zrobi - odparł opryskliwie, odwracając wzrok, i zrozumiała, że zdecydował się wznieść jak najszybciej mur obcości.

- Zgadza się. Pójdę po tatę. Masz rację - czyta tak szybko jak ja, więc pewnie zna już tablicę na pamięć. Cześć, Gerry.

Nagle zrozumiała, że jest zmuszona do byle jakiego publicznego pożegnania z pierwszym mężczyzną, którego pokochała od

czasu Bena i z którym już nigdy się nie spotka, chyba że w podobnych okolicznościach. Też to zrozumiał i przez chwilę patrzyli na siebie wstrząśnięci.

- Zadzwoń do ciebie - powiedział z naciskiem. - Za kilka tygodni, kiedy wszystko ucichnie.

- To będzie miłe - odparła ze spokojem. Od razu zdała sobie sprawę, że ta przyjemna opcja oznacza dokładnie to samo co nieprzyjemna. - Pocałujemy się?

Ucałował ją ceremonialnie w oba policzki i przez chwilę znajomy zapach i dotyk niemal zniweczyły jej staranną grę, ale zebrała się w sobie i nawet zdobyła na uśmiech, kiedy machała mu na pożegnanie. Odwróciła się szukając ojca i nagle pociemniało jej w oczach, poczuła mdłości. Zatrzymała się, zachwiała. Ojciec podszedł i ujął ją pod rękę.

- Mam ciemno przed oczami - powiedziała mu z absolutnym spokojem - ale muszę zatelefonować.

- Gdzie masz płaszcz? W suterenie? Pójdę po niego, ty zatelefonuj. - Zaprowadził ją do automatu i posadził na ławce.

- Tato, mężczyznom nie wolno wchodzić do damskiej garderoby.

Znikł. Dzwoniła do Petera Burwooda i zastanawiała się w oszołomieniu nad głupotą tamtej uwagi. Wrócił, pomógł jej włożyć płaszcz, zejść po schodach i wsiąść do taksówki, gdzie wreszcie załamała się, lkała nie panując nad sobą, wtulona w płaszcz ojca, i bębniła pięściami w jego ramiona ogarnięta bezsilnym gniewem. Stoicko wytrzymał to wszystko, podczas gdy taksówka przemykała przez londyński wieczór. Od czasu do czasu ocierał jej twarz, podsuwał chusteczkę, by wysmarkała nos.

Zanim dotarli do jego domu, uspokoiła się, pochlipywała tylko od czasu do czasu. Usadził ją przy kuchennym stole i zmusił do zjedzenia zupy. Siadł obok.

- Muszę jechać do domu. Dzieci...

- Nie. Pojadę tam dziś na noc i dopilnuję porządku. Ty masz dosyć. Albo twoja matka pojedzie. Jest na spotkaniu swojej grupy.

- Ale wcześniej nie pojedzie.

Przyjrzał się jej uważnie. Dokroił chleba.

- Nie rozumiesz stosunków między matką i mną, ale mniejsza z tym. A może nie musimy składać sobie wyjaśnień. Wiesz, ja jej nie gnębię.

- Prawdę mówiąc, gnębisz, ale ona ci na to pozwala.

- No cóż, nie robię tego celowo. I nie udało mi się zgnębić ciebie. Wręcz przeciwnie. - Podsunął jej chleb. - Zauważ, że o nic nie pytam.

Wbiła wzrok w talerz, czując gorący rumieniec występujący na policzki.

- Sądzę, że raczej nie musisz tego robić.

- Zgadza się. - Zamyślony Sholto żuł chleb. - Prawdę mówiąc, spodobał mi się. Słyszałem o nim dobre opinie. O wiele lepszy człowiek niż ci przeciętni młodzi konserwatyści. Może pójść w górę. Ma na to zadatki. Och, kochanie, przepraszam, no, nie płacz.

- Nie wydaje mi się, żebym miała jeszcze czym płakać - odparła ponuro. - Żegnaliśmy się. - Usta ojca zadrgały mimowolnie. - Zauważyłeś?

- O rany, tak. Sam to przeszedłem.

- Tato!

- Ale wcale nie gnębiłem w ten sposób twojej matki. Dołożyłem wszelkich starań, by się o niczym nie dowiedziała.

- I dzięki temu byłeś w porządku, tak?

- Wszyscy filozofowie moralisci potrzebują córki jako krzyża. Naturalnie, że nie byłem w porządku. Cudzołóstwo i oszustwo nigdy nie są w porządku. To odcisnęło się na wszystkim w moim życiu i w rezultacie przez tamten rok miałem okropne wyniki w pracy. Więc jesteś gotowa iść spać? Wyglądasz, jakbyś potrzebowała trzech dni snu. Zadzwoń do Appletona w twoim imieniu.

- Przez te wszystkie lata wciąż zapominałam, że był twoim studentem. Czy to dlatego przyjął mnie na aplikację?

- Nie. To Hewson, który był wtedy głównym wspólnikiem, cię przyjął.

- Też twój uczeń?

- Obawiam się, że tak. Co z tym Appletonem?

- Nie dzwoń do niego. Muszę tam być jutro, żeby się przekonąć, jak się to skończy. Potem wypada z nim porozmawiać.

Michael był w pracy - to znaczy dziś wieczór, zanim wyjechałam. Zaproponował, że podwiezie mnie do „Reform”, chociaż nie miał pojęcia, o co chodzi. Dobry z niego człowiek.

- Miałem o nim takie zdanie, kiedy był studentem.

Sholto napelniał termofor. Caroline obserwowała ojca i myślała, jak długo nie umiała spojrzeć na niego obiektywnie. Poczul jej wzrok na sobie i uniósł głowę.

- Rusz się - rzekł łagodnie. - Jutro nadal będziesz to czuła, ale nie tak mocno, będzie mniej bolało.

- Albo pojawi się we wszystkich gazetach. W całości.

- Nie sądzę - zbył to przypuszczenie autorytatywnym tonem.

- Myślę, że twój pan Willshaw znajdzie sposób. Twardziel. Ma coś bardzo bezwzględne w twarzy. Wie, czego nie może zrobić czy mieć.

- Jeśli nie było go stać na mnie, nie powinien mnie uwodzić - wyrwało się jej z głębin rozpacz. Zobaczyła reakcję ojca. - Przepraszam, wiem, co to jest odpowiedzialność za własne czyny, jak mogłabym tego nie wiedzieć.

- Muszę jednak zgodzić się z tobą, kochanie. Kobiety są o wiele bardziej bezbronne erotycznie niż mężczyźni i ci nie powinni o tym zapominać. Przepraszam, kochanie, starzeję się, że tak gładzę. - Wziął w swoją wielką łapę poznaczoną starczyimi, brązowymi plamami jej rękę i coś chwyciło ją za gardło. - Dasz sobie z tym radę - powiedział zdecydowanie. - A następnym razem musisz wybrać uczciwego mężczyznę, który nie jest już żonaty od dwudziestu lat. To nigdy nie wypala. Zamykam gębę na kłódkę. Chodź. Puszczę ci wodę do kąpieli.

**D**wie mile dalej Clive Fieldman siedział przed telewizorem i nie widzącymi oczami wpatrywał się w wieczorne wiadomości. Na języku czuł kwaśny smak whisky wypitej z Lucy. Wciąż usiłował ogarnąć zagrażającą mu katastrofę. Jeśli się z tego wypłaczę, to nigdy już nie zrobię takiego cholernego głupstwa, ale to

wszystko stało się tak szybko - pomyślał i natychmiast dodał: - Proszę cię, Boże, żebym nie musiał mówić tego nikomu.

Problem był prosty: czy jest zobowiązany donieść stałemu sekretarzowi o istnieniu zdjęć jego i Lucy, co pozwoli ministerstwu i całej służbie rządowej Jej Królewskiej Mości przygotować się na wypadek jakiegoś ataku? Biorąc pod uwagę zaufanie, jakim go obdarzono, i to, jak sekretarz przyjął jego zapewnienie, odpowiedź była tylko jedna: ponieważ nie miał pojęcia, skąd się wzięły fotografie, nie wolno mu chować głowy w piasek. Coś szeptało mu, że przecież wyznał sir Francisowi, iż zna Lucy Friern lepiej niż Caroline, ale takie wyważone sformułowanie w żaden sposób nie pokrywało się z sytuacją, o której fotografie wręcz krzyczały. Więc zamknij się, ty, ty mały pierdoło - nakazał szepczącemu głosowi - i nie zwlekając ulóż coś, co się da jutro powiedzieć sir Francisowi.

Przez dwadzieścia minut starał się naszkicować notatkę, a potem w przeblysku zdrowego rozsądku uświadomił sobie, że nie potrafi zrobić tego inaczej, jak wyznając sir Francisowi prawdę w cztery oczy. Doszedłszy do tego wniosku, poczuł ulgę i zdołał wziąć kąpiel, pójść do łóżka i z pomocą kolejnej nie rozcieńczonej whisky zanurzyć się w niespokojny sen.

**N**achmurzona Lucy Friern wpatrywała się krótkowzrocznie w lustro. Johnowi coś nie wyszło z jej włosami i wyglądały na sztywne; zgubiła ołówek do powiek, a substytut wcale nie chciał rysować; złamała paznokieć, bo spieszyła się po spotkaniu z Clive'em, i ogólnie była poważnie wzburzona. Machnęła na wszystko ręką, wzięła kilka głębokich, kontrolowanych oddechów i spryskawszy się „Diorissimo”, poszła do kuchni zwołać służącą do domu. Sprawdziła, czy najlepsze skarpetki Matta są w wirówce, a gdy się przekonała, że tak, rzuciła je na jego stronę łóżka.

- Matt, powinniśmy wyjść za dziesięć minut. Nie zamierzam znowu stać i oglądać pierwszego aktu na monitorach. Andy i



Emma są zbyt uprzejmi, żeby wejść bez nas. Zepsujemy wszystkim wieczór.

W odpowiedzi usłyszała z łazienki warczenie męża i szum bieżącej wody, ale wiedziała, że się pospieszy; poprzednio spóźnił się do Covent Garden, napotkał uprzejmy, ale niewzruszony opór przy wejściu, czekał aż do przerwy i musiał przełknąć gorzką prawdę, że są miejsca, w których jego nazwisko nie robi najmniejszego wrażenia. Niepodobna, by drugi raz naraził się na taką sytuację.

Szofer dowiózł ich na miejsce siedem minut przed czasem. Andy i Emma Lewisowie czekali z nieskazitelną wyćwiczoną bankierską cierpliwością i biletami Walzheimsa. Jak większość czołowych banków dyskontowych i rembursowych, Walzheims był stałym abonentem i darczyńcą uznając, że posiadanie czterech biletów na parter podczas sezonu jest bardzo opłacalne, pozwala bowiem zabawić obecnych i przyszłych klientów. Choć Lucy miała humor popsuty wydarzeniami dnia, poczuła się podniesiona na duchu reakcją Andy'ego, gdy podczas przywitalnego pocałunku wziął głęboki oddech.

- Masz program, Matt? - spytała nerwowo Emma, którą obecność Matthew zawsze wprawiała w niepokój.

- Bądź błogosławiona, Emmo. Dziś wieczór czekają nas tańce czy śpiewy?

Jest bardzo spięty - pomyślała Lucy chmurząc się, podczas gdy Emma i Andy roześmieli się uprzejmie. Ale wyglądało na to, że nastrój męża nie ma z nią żadnego związku. Podczas jazdy samochodem ostrożnie wysondowała temat Clive'a, zaczynając od powiedzenia Mattowi, że właśnie była na drinku z Fieldmanem, ale mąż nie wydawał się szczególnie zainteresowany, wyraźnie myślał o czymś innym.

Clive wcale mi nie pomógł, martwił się tylko swoją sytuacją - pomyślała zagniewana. Wcale nie interesował się moimi zgryzotami. Nie pomógł nic a nic.

Zajęli miejsca tuż przed zgaszeniem świateł. Lucy siedziała między Andym a Emmą Matt z drugiej strony Emmy. Przypaływała się z namysłem Andy'emu, rozważając, czy mógłby jej

pomóc. Nim hrabia Almaviva zaczął czynić awanse Zuzannie, Lucy podjęła decyzję. W trakcie przerwy odczekała, aż dotarli do drinków zamówionych przez Walzheimsa, a potem poprosiła wdzięcznie Andy'ego o pomoc przy zakupie programów, które chciała mieć na pamiątkę dla synków.

- Andy, mam ci coś nadzwyczaj trudnego do powiedzenia. O, dobrze, tu są te programy - potrzebuję dwóch. - Z przyjemnością patrzyła, jak szybko i zręcznie kupił programy. Wyprowadził ją z tłumu w spokojniejsze miejsce przy drzwiach. - To strasznie żenujące. - Niezbyt zażenowana opowiedziała mu o fotografiach. - Prawdziwy idiotyzm sytuacji polega na tym, że to był koniec. To znaczy, było po wszystkim. Więc nie muszę niczego zrywać, już zerwałam. I to nie Matt przesłał te zdjęcia. Nie zrobiłby tego. Więc widzisz, one mnie martwią. Czy powinniśmy zrezygnować z kupna Prior Systems? Mogę powstrzymać Matta.

Ku jej zdziwieniu Andy zbladł jak ściana i zacisnął szczęki.

- O Boże - rzekł wściekły.

- Co, Andy?

- Nie, to nie był Matt, i nie, nie musimy zrezygnować z zakupu Prior.

- Dlaczego, Andy?

- Ja nadałem te cholerne zdjęcia. Matt nasłał detektywów na Clive'a Fieldmana, ale to myśmy mu ich przedstawili. Więc kiedy cię rozpoznali, woleli pójść z tym raczej do mnie niż do Matta.

Lucy wbiła w niego wzrok.

- Skurwiel z ciebie, Andy. Miałam okropny dzień. Dlaczego po prostu mi nie powiedziałeś?

- Bo byłem tak głupi, że wyobraziłem sobie, iż będziesz zażenowana. Chciałem cię ostrzec anonimowo. Nie zamierzałem cię straszyc. - Zaczerwieniony nie patrzył na nią. - I byłem tak kurewsko zazdrosny, że nie mogłem tego znieść - powiedział z naciskiem. Wzrok wbijał w swoje buty. - To też. Ale nie musisz się martwić. Wszystkie wzmianki o tobie zostały wycofane z raportu. Tylko ja wiem o tobie i Fieldmanie. Wolalbym nic nie

wiedzieć. To tak, jakbym przeżywał to po raz drugi. Dlaczego on, Lucy? - Spojrzał na nią. Był równocześnie wściekły i roztrzęsiony. - Nie chciałaś mnie tym razem. Miałaś Fieldmana.

Zapadła między nimi cisza. Piękne oczy Lucy z wolna napełniły się łzami.

- Musimy wracać do Matta i Emmy. Mają bilety. I nie umiemy się dogadać - powiedziała z godnością, szukając chusteczki, i Andy niechętnie, z bólem skupił się nad tym, co powiedziała.

- Ach, tak? Emma się boi Matta. Och, Lucy, ja też wolalabym nigdy nie mieć do czynienia z Friernem. - Z roztargnieniem kiwnął głową znajomemu bankierowi, najwyraźniej umierającemu z chęci poznania jego towarzyszkę. Zdecydowanie przedzierał się przez tłum. Lucy, piękna i opanowana jak zawsze, szła za nim w kierunku Matthew i Emmy, którzy siedzieli nad drinkami w pełnym skrzepowaniu milczeniu. Andy rzucił żałośnie: - Nie masz się czym martwić, Lu.

Lucy ocknęła się.

- Więc to Matt wynajął detektywów.

- Tak. Bankierzy reimbursowi się tym nie zajmują.

- Tylko wystawiają rekomendację. Kogo jeszcze śledzą?

Zawahał się.

- Bóg wie.

- Caroline?

- Ostatecznie jest główną doradczynią Prior i ma silne wsparcie polityczne nie wiedzieć skąd.

- Jadłam z nią dziś lunch. Wie o fotografiach. Wie o Clivie. Mogła to wykorzystać w dowolnej chwili, ale nigdy tego nie zrobiła. Więc lepiej zapamiętaj sobie, Andy, że ostrzegłam Caro - niczego nie znajdziecie. - Była tak zła, że mówienie przychodziło jej z trudem.

Spojrzał na nią z miną winowajcy.

- Zapamiętam, Lu. Wiesz, że nie zrobiłbym tego, to pomysł Matta.

- Matt robi to, co mu się każe - powiedziała opryskliwie i z lekceważeniem żona Matthew Frierna. - I jeśli chce tracić swoje

pieniądze, niech je traci, ale opowiem Caro całą tę historię. -  
Zawahała się. Była tak piękna i stanowcza, że dech mu zaparło. -  
Nie, nie mogę tego zrobić, ale żaden z was, chłopów, nie będzie  
miał tego, czego chce.

Szybko podeszła do Matta i Emmy i przeprosiła ich wdzięcz-  
nie. Andy szedł za nią słysząc ostatni dzwonek.

## Rozdział dwudziesty szósty

**S**kończę i przyjadę po ciebie o pierwszej. Zabiorę cię do domu, jeśli skończysz pracę, a jeśli nie, zapraszam cię na lunch. Nie ruszaj się. Te drzwi otwierają się od zewnątrz.

Sholto Henriques uderzył kołami o krawężnik koło Smitha Butlera, ignorując przypadającą się parę funkcjonariuszy służby ruchu, i obszedł samochód, by otworzyć drzwi od strony pasażera.

- Bardzo znaczące, profesorze Henriques. Chce pan uwięzić pasażerkę? Jak pajak - powiedziała córka wychodząc ostrożnie z auta.

- Nie, kochanie, naprawdę. Po prostu nie udało mi się zreperować tej klamki.

Popatrzył na nią z niepokojem i zdobyła się na uśmiech. Czuli się tak, jakby miała wypchaną twarz i nadmuchaną skórę wokół oczu. Spała i budziła się płacząc, znowu zasypiała i gdy wstała w pewnym momencie, ojciec natychmiast pojawił się w drzwiach z herbatą i kompresem na twarz. Zapadła w niespokojny sen, od szóstej rano usnęła na dobre i została zbudzona o wpół do dziewiątej. Ledwo oderwała głowę od poduszki, poczuła ból głowy. Ojciec usiłował ją przekonać, żeby nie szła do pracy, ale ustąpił natychmiast, gdy zdesperowana i ogarnięta paniką zaczęła szlochać.

Nie rozglądając się weszła ciężko po schodach, zapomniała przywitać się z recepcjonistką i na ślepo skierowała się do swojego gabinetu.

- Nie czuję się dobrze, Susie - złożyła najkrótsze z możliwych wytłumaczenie przejętej sekretarce. - Ale muszę wytrzymać, żeby doprowadzić do porządku Prior. W porze lunchu przyjdzie po mnie tato. Zechciej znaleźć mi proszek od bólu głowy.

Siedziała ściskając pękającą głowę i czekała na Susie.

- Mark Dwyer mówi, że w razie potrzeby jest pod ręką. Ma naradę o jedenastej. Twój ojciec przystojny jak zawsze - powiedziała Susie stawiając filiżankę z kawą.

Caroline zakrzuszyła się kawą.

- Tak, ale skąd wiesz?

Susie spojrzała na nią zdziwiona.

- Był z panem Appletonem. Właśnie zostałam mu przedstawiona na korytarzu.

Caroline usiłowała wzbudzić w sobie znajomą niechęć, ale poczuła jedynie najgłębszą ulgę, że ktoś ją wytłumaczy, bo sama za nic nie potrafiłaby tego zrobić. Nagle przypomniały się jej rodzinne wczasy w Konwalii. Musiała mieć około jedenastu lat i była chuda jak szczapa; po łatwym zwycięstwie na Jarmarku Halstońskim w wyścigu pływackim w kategorii do czternastu lat sama zgłosiła się w kategorii do osiemnastu lat - wyścig miał być rozstrzygnięty podczas przyływu na dystansie ponad czterystu jardów. Wystraszona i drżąca czekała wśród dryblasowatych zawodników, zerkając niespokojnie na szare morze pod wieszczącym deszcz szarym niebem, gdy zjawił się ojciec, natychmiast skreślił córkę z listy startowej, wycofał dwa szylingi startowego i zaniósł ją do samochodu. „Dałabym radę!” - wrzeszczała i tupiała, za nic w świecie nie chcąc okazać wdzięczności i ulgi. Przez całą drogę do domu klócili się zawzięcie, dopóki łyzy matki nie przerwały awantury. No cóż, od tamtej pory nabrała trochę rozumu i nie zamierzała wpadać do gabinetu Michaela Appletona tupiąc i wrzeszcząc. Niech tato odbierze dwa szylingi i uwolni ją od ułamka tego zamieszania. Z tym że naturalnie była już dorosła i musiała wytrzymać resztę.

Odezwał się telefon i Caroline ubiegła Susie podnosząc słuchawkę. Czowała tłukące się boleśnie serce.

- Tu Tim Bailey, pani Whitehouse.

- Tak. - Ścisnęło ją w dołku, ale powiedziała sobie spokojnie, że to było do przewidzenia. Gerry zapowiedział, że nie zadzwoni. W jego imieniu zrobi to Tim Bailey.

- Mam wiadomość, że strona przeciwna wycofuje ofertę.

- Na ile pewna ta wiadomość, Tim?

- Na sto procent. Inspektor z rady miejskiej został powiadomiony.

- Czy powiadomi moich klientów? Skąd będą wiedzieć, że nie muszą działać?

Milczenie w słuchawce było znaczące, ale nie zrobiło na niej wrażenia. Rozwiązanie tej sprawy ma być jej dostarczone przez posłańca i w ładnym opakowaniu - dość się namęczyła.

- Postaram się, żeby inspektor im powiedział. Czy to wystarczy? - spytał ledwo wstrzymując nerwy na wodzy.

- Nikt niższej rangi ich nie przekona. To nie tobie nie ufają; nie wiedzą o twoim istnieniu. Chodzi o Frierna - i mają słuszne powody.

- Lepiej nie używać nazwisk przez telefon.

- Połączenie z mojej strony jest bezpieczne. Kazałam wczoraj sprawdzić. Mam nadzieję, że zrobiłeś to samo.

- Prawdę mówiąc, tak. - Zawahał się. - Dobrze się czujesz?

- Nie. Ale jestem ci wdzięczna, Tim, i przepraszam, że darłam się na ciebie ostatnim razem. Przeciężenie.

- Ja też nie powinienem tracić nerwów. Te skurwiele oszukiwały. Skaptowały jednego z naszych.

- Przykro mi to słyszeć.

- Tak. - Zamilkł i przyznał z niechęcią: - Pokazaliśmy mu dowody - ja i mój zastępca. Rzecz jasna, mieliśmy już dokument, twoje chłopaki dostarczyły go i powiedziały, gdzie był. Trochę to potrwało, ale w końcu się poddał. Zrezygnował z mandatu niby ze względów zdrowotnych, a Friern wycofał drugą ofertę.

- Dziękuję za wiadomość - rzekła krótko, rozumiejąc jego wściekłość.

- Gerry mało nie dostał szału. Wczoraj wieczór nadstawił za ciebie karku i przysporzył tym sobie kilku wrogów.

- Mój kochany ojciec mawia, że kiedy stajesz po stronie aniołów, to musi się opłacić na długim dystansie.

- Oby miał rację. No cóż, ale same dobre chęci nie wystarczą. Zadzwoń, jeśli będziesz jeszcze czegoś potrzebowała. Myślę o Prior.

- Dziękuję, Tim - powiedziała spokojnie. - Mam nadzieję, że nie będzie potrzeby.

Łagodnie odłożyła słuchawkę i z akademickim zainteresowaniem spjrzała na papiery na biurku. Klan Voulosów miał zjawić się w południe na całodzienną naradę. Pomyślała spokojnie, iż za skarby świata tego nie wytrzyma. Zawiadomi Marka Dwyera, niech się tym zajmie. Sięgnęła po telefon, ale wcześniej usłyszała na linii Michaela Appletona.

- Ja zajmę się tą naradą z Voulosami. Ściągnąłem ich i wygląda na to, że są wyjątkowo uciążliwi. Dwyer wprowadzi mnie w meritum.

- Dziękuję, Michael.

- Mogę się do czegoś przydać w sprawie Prior?

- Nie. Teraz wszystko gra. Czy nadal gościsz mojego ojca?

- Wyszedł, ale wróci niebawem. Przekazał mi dowództwo.

- „Proszę się nie dowiadywać, zawiadomimy pana w razie potrzeby”. - Odłożyła słuchawkę słysząc pełen ulgi śmiech. Siedziała wpatrzona w telefon starając się o niczym nie myśleć, czekała cierpliwie, aż chłopaki z Prior zadzwonią i będzie mogła pojechać do domu. Błyskające światełko było znakiem, że Susie przyjęła telefon. Caroline czekała na połączenie.

- Caroline. To lady Friern.

- Och. No cóż, połącz ją, Susie, ale przerwij, gdyby tylko ktoś z Prior zadzwonił.

Zebrała siły i delikatnie uniosła słuchawkę, zastanawiając się, czy Lucy zamierza odplacić się za porażkę męża, do której Caroline właśnie doprowadziła.

- Caro? Wszystko w porządku. - Lucy była odprężona. - Znaczący, z fotografiami. Wiem, skąd się wzięły. Właśnie powie-działam Clive'owi, że nie musi się martwić - jest po wszystkim.

- A skąd się wzięły? - Poczula wahanie przyjaciółki. - Więc to nie był Matt?



- Tak jakby. Rzecz w tym, że ci ludzie - detektywi - zgłosili najpierw raport Andy'emu Eamesowi Lewisowi.

- Walzheims wynajmuje detektywów...?

- Nie, nie. Obawiam się, że to Matt, ale rzecz w tym, że Andy zna tych ludzi i szef firmy zgłosił się wprost do niego, kiedy zdał sobie sprawę, kogo sfotografowali. Rozumiesz, o co mi chodzi. Więc Andy wysłał te fotografie, żeby mnie ostrzec.

Caroline z niedowierzaniem wpatrywała się w telefon, przez moment zapominając o złym samopoczuciu.

- Dlaczego ten głupi skurwiol po prostu ci nie powiedział? Och, zaczekaj. Wiem dlaczego... tysiąc lat temu miałaś z nim romans, a potem rzuciłaś go dla Matta, prawda? Oni nigdy nie zapominają o czymś takim. Pomyślał sobie, że ci trochę przykręci śrubę.

Cisza w słuchawce znamionowała urazę i namysł. Caroline było obojętne zarówno jedno, jak i drugie, ale zrozumiała, że zachowała się co najmniej nietaktownie.

- Tak, spodziewam się, że trochę o to chodziło - wreszcie przyznała Lucy. Była przejęta, lecz nie sprawiała wrażenia załamanej. - Poza tym powiedział, że był wściekle zazdrosny - dodała z niewinnym zadowoleniem.

Caroline westchnęła.

- Lepiej postaraj się o negatywy, Lu.

- Postarałam się. Przyszły dziś rano.

Caroline wsparła głowę na dłoni i uznała, że nikt tak jak Lucy nie umie dbać o własne sprawy.

- Andy był kochany, nie sądzisz?

- Do pewnych granic. - Caroline zimno zastanowiła się nad bankierem Frierna i uznała, że wszelkie środki ostrożności były konieczne. - Czy oni nadal mnie obserwują, Lu?

- Właśnie dlatego dzwonię. Nie wiem. Ale naprawdę, jeśli chodzi o tę transakcję z Prior, to Matt zachowuje się jak chory na umyśle. Przez całe przedpołudnie wisiał w pracy na telefonie - chciałam go zapytać o wakacje, lecz pani W. powiedziała, że nie można go oderwać od słuchawki.

- Ale lepiej zrobię zakładając, że jestem obserwowana.
  - Przecież o tym wiesz, no nie?
  - Tak, wiem. Nie ma potrzeby mówić mu, że mnie ostrze-  
głaś, Lu. Niech marnuje pieniądze.
  - Możesz być spokojna - zapewniła ją żona Matthew jedno-  
znacznie radosnym tonem. - Może zdołałabyś sfabrykować kilka  
fałszywych śladów?
  - Chyba mnie na to nie stać. Ale dziękuję, Lu. Jadę do domu  
w porze lunchu.
  - Kochanie, jesteś chora?!
  - Chyba tak.
  - Przepraszam. Świnia ze mnie, wcale o tym nie pomyśla-  
łam. Byłam tak zdenerwowana, Caro. Andy okazał się kochany.
  - Nie rób tego. - Caroline zmusiła się do pouczenia przyja-  
ciółki. - To podpada pod tę samą kategorię co sypanie z pomocą  
domową. - Zdała sobie sprawę, że strzała sięgnęła celu, i zdecy-  
dowała się nie pozostawić w tym względzie żadnych wątpliwości.
  - Jak mężczyzna pieprzący dziewczynę do dzieci.
  - Doprawdy? - spytała chłodno Lucy tonem dziecka, które-  
mu zniweczono nadzieję na skrycie wymarzoną zabawkę.
  - Nie zrobiłaś już tego, Lu?
  - Nie. - W jej głosie była zarówno irytacja, jak i żal. Caroline  
przez chwilę poczuła wielką mściwą rozkosz, ale zapanowała  
nad nią. - To naprawdę nie jest dobry pomysł, Lu. Rzadko ci to  
mówię. Matt byłby w sporym kłopotcie. Podobnie Andy, bo Mat-  
thew zrezygnowałby z Walzheimsa i to nie poszłoby w smak  
Andy'emu. Zawsze był z niego ambitny osobnik. - Pomasowała  
kark, co nie przyniosło ulgi. - Lu, dziękuję, że mi to powiedzia-  
łaś, ale tak się składa, że czekam na pilny telefon od kierownic-  
twa Prior.
  - Jesteś równie okropna jak Matt.
  - Nigdy w świecie - powiedziała stanowczo Caroline i zdoby-  
ły się na śmiech. Lucy odłożyła słuchawkę.
- Caroline przelotnie pomyślała o Clivie, ale zdecydowała, że  
podobnie jak ona biedaczek przeżywa w samotności odtrącenie.

Odetchnęła głęboko, by przegnać ból na myśl o Gerrym. Wreszcie doczekała się rozmowy telefonicznej. Wszyscy trzej dyrektorzy Prior byli szaleńczo podnieceni.

- Caroline? Friern wycofał ofertę względem Marsh Lane. Jak ci się udało go do tego zmusić?

- Nigdy się nie dowiecie. Ale to wy, dżentelmeni, dostarczyliście kul, ja tylko nacisnęłam spust. A co z resztą konkurencji?

- Było tylko Macys i zażądało więcej od nas - dużo więcej. W przyszłym tygodniu przyniesiemy ci taką butelkę szampana, jakiej jeszcze nie widziałaś na oczy.

- To miłe.

Pomyślała z goryczą, że może akurat uda się jej dotrzeć do następnego tygodnia i popracować, gdyż życie się toczy, bez względu na to, co się wydarzyło. Chwile szczęścia trwają dziesięć sekund; reszta - mozolna praca - nigdy się nie kończy. Jeszcze przez kilka minut wysłuchiwała radosnych okrzyków dobiegających ze słuchawki i udało się jej znaleźć stosowną odpowiedź, a przynajmniej taką, której niestosowność przeszła nie zauważona. Rozłączyli się i wyczerpana spojrzała na zegarek; był dopiero kwadrans po jedenastej i czekał ją nie kończący się dzień. Mechanicznie spakowała papiery do teczki. Gdy podniosła głowę, ujrzała Michaela Appletona, który przyglądał się jej w milczeniu. Zaniepokojona natychmiast zalała go potokiem słów.

- Moi klienci dostali kontrakt. A raczej Friern się wycofał i mają zapewnioną przewagę. Co z Voulosami?

- Są niepoprawni. Wyszedłem, bo nie mogłem się skupić widząc twojego ojca w tym okropnym samochodzie, pertraktującego z dwójką parkingowych. Jeśli skończyłaś, byłoby uprzejme z twojej strony, gdybyś go zabrała.

- Skończyłam.

- Nie oczekujemy cię przed początkiem przyszłego tygodnia.

- Prior mnie potrzebuje. Wtorek to ostatni dzień zgłaszania ofert do NEB. Naszą dostarczyliśmy, ale pozostałe zapewne wpłyną w ostatniej chwili.

- We wtorek koniec zabawy? Więc do środy nie jesteś im potrzebna. Jedź do domu, Caroline, odpocznij. Wszyscy potrzebujemy cię tu w dobrej formie. Sama wiesz, że nie będę mógł panować nad klanem Voulosów w nieskończoność.

**D**zisiaj jest środa, prawda? W porządku. Widzę z waszych roześmianych twarzy, że są dobre wieści - powiedział z ogniem Winstanley. - Więc co się wczoraj stało po otwarciu kopert z ofertami? Chętnie dowiem się od razu.

- Zostawiliśmy panu wiadomość, panie ministrze.

Clive nadal czuł się niepewnie, jakby otrzymał wyrok z zawieszeniem, nawet cztery dni po tym, jak Lucy poinformowała go o zniszczeniu fotografii. Zakomunikowała mu to w biurze, zaledwie dziesięć minut przed zamierzonym spotkaniem z sir Francisem i przyznaniem się do romansu. W dalszym ciągu oblewał go zimny pot na myśl o tym, jak o włos uniknął nieszczęścia. Od tamtej pory zachowywał chorobliwą ostrożność w kontaktach ze zwierzchnikami i ministrami - i w sekundę po tym, jak wypowiedział te słowa, przeklął się za okazywanie tak niewolniczej służalczości. Richard Watts, który zasiadał po jego lewej ręce i był jak zwykle blady z wyczerpania, rzucił mu zaciekawione spojrzenie.

- Umknęła mi. - Winstanleyowi w przeciwieństwie do wielu ministrów wcale nie przeszkadzało przyznanie się, że czegoś nie przeczytał. Clive jako najstarszy rangą urzędnik wziął na siebie obowiązek wyjaśnień.

- Kierownictwo podtrzymuje ofertę: pięćdziesiąt milionów na rękę i dziesięć odroczone, pod różnymi warunkami, z których jeden to podpisanie poważnego kontraktu z władzami lokalnymi. Domyślałem się, że rada miejska zaakceptowała ich ofertę. Shaw zaproponował pięćdziesiąt milionów pod różnymi warunkami.

- A co z Friern? Nie mówcie mi, że się wycofał.

- Oferta Friern wynosi pięćdziesiąt pięć milionów, bez żadnych odroczeń, ale towarzyszy jej niejasny list, z którego

wynika, że firma może zapłaci więcej. Zakładam, że jej intencje są obecnie badane.

Winstanley spojrział na niego przeciągle.

- Czy to nie dziwne? Richard, czy wiemy, co się dzieje?

- Rozmawiałem z Johnem Martinsem z Gruhnersa. Też jest zdumiony, ale uważa, że Friern waha się z powodu spadku cen swoich akcji i ponieważ to właśnie Prior, a nie Friern, zawarło kontrakt z władzami lokalnymi. Ale intencje są niejasne i John zamierzał porozmawiać z Walzheimsem.

- Powiedz mu, niech jego klient się zdecyduje - sra czy oddaje nocnik.

- Sądzę, panie ministrze, że to sformułowanie trafnie oddaje sytuację. - Zaskoczony spojrział na sekretarkę, która weszła na palcach niosąc wiadomość. Jednym rzutem oka ogarnął tekst. - Chryste! Przepraszam, wybacz mi pan, panie ministrze.

- Chodzi o Prior?

- Nie, o Friern. Że użyję prawniczego sformułowania - zesłał się. Przedstawił Harrisonowi uzgodnioną ofertę. Gotówka i akcje wartości osiemdziesięciu pięciu milionów. Wygląda na to, że u mnie w robocie mają to na ekranie.

Z nadzieją, jakby licząc na to, że znajdzie coś nowego, przeczytał wiadomość po raz drugi, a potem spojrział ostrożnie na Winstanleya i otaczających go pracowników służby cywilnej, z których żaden nie wiedział, co rzec.

- No, niech mnie szlag trafi - wreszcie odezwał się Winstanley i zgromadzeni wokół stołu mężczyźni roześmieli się z ulgą i zrozumieniem. Zmienili pozycję rąk, wyprostowali plecy.

- Jeśli wolno mi tak powiedzieć, to oddaje nastrój chwili, panie ministrze - powiedział Clive z głęboką, niewiarygodną ulgą.

- Po tym wszystkim... - zaczął Winstanley. - Po tym całym zamieszaniu i naciskach... - Głos go zawiódł i grupa przy stole dała wyraz zgodnemu potępieniu. - No, następnym razem to może sobie prosić o naszą pomoc - rzekł przechodząc od niedowierzania do chęci zemsty.

Clive pomyślał sucho, że temu idealnie trzeźwo myślącemu mężczyźnie wystarczy zaledwie kilka godzin na uświadomienie sobie, iż zadaniem administracji państwowej, w której stanowi maleńki trybik, wcale nie jest działanie na przekór przemysłowi, więc okazywanie ministerialnego niezadowolenia i niechęć do przekazywania informacji przedstawicielom biznesu są szalenie niewygodne. Co więcej, Winstanley po chłodnym zastanowieniu się nie zechce odwrócić się plecami do darczyńcy, hojnie wspomagającego fundusz partyjny. Teraz cała sztuka polegała na tym, by powstrzymać go od chlapania czegoś, czego potem pożałuje. Clive stłumił ogromną ulgę wywołaną tym, że jego romans z Lucy przestał wiązać się ze sprawami politycznymi, i przeornie zwrócił się do Richarda Wattsa.

- Więc, Richard, przepraszam za wygłaszanie oczywistości, ale to znaczy, że Friern mimo wczorajszych zapowiedzi nie może ubiegać się o Prior.

- Zgadza się. Wysunął wiążącą ofertę. Harrison prezentuje się dobrze, więc można rzec, że to dobra transakcja.

Sekretarka znowu się pojawiła i wręczyła Clive'owi wiadomość. Przeczytał ją starannie.

- Friern właśnie formalnie wycofał się z przetargu o Prior, panie ministrze. Wiadomość od Jenkinsa z NEB.

- Więc kto nam został? Kierownictwo.

- I Shaw.

- Z niższą ofertą.

- Tak, panie ministrze.

- Richard, co robimy?

Bankier zachował zimną krew i zareagował metodycznie.

- No cóż, Gruhners będzie rozmawiał z Shawem. To przecież jego klient. Ale zakładając, że Shaw nie podniesie oferty, Gruhners poradzi NEB negocjowaną transakcję z kierownictwem. I tak zostawi sobie Shawa w odwodzie. Jednakże o ile pamiętam, przekazałem panu ministrowi swoje wątpliwości co do powagi intencji Shawa.

- Chcesz powiedzieć, że został popchnięty do tego przez Gruhnersa?

- Tak, to wydaje się możliwe.

- Więc naprawdę została nam jedna oferta. Mój Boże, to nie wygląda dobrze.

Clive skupił się czując, jak sflaczałe zwoje intelektu zaczynają się prężyć.

- Panie ministrze, my - lub raczej NEB - przeszliśmy cały proces publicznej oferty i takie są wyniki. Mogą wydawać się nieco rozczarowujące, ale każdy miał uczciwe, równe szanse i jeśli na końcu został tylko jeden klient, to znaczy, że tak rynek ocenił przedsiębiorstwo.

- Absolutna racja - oświadczył prosto z mostu w idealnym momencie Richard, heroicznie powstrzymując się od przypominienia, że to on cały czas mówił, iż skończy się na negocjowanej transakcji z jednym klientem. - A jeśli NEB to się nie spodoba, no to może odłożyć przedsiębiorstwo na półkę na kilka lat i przekonać się, czy zrobi coś lepszego w przyszłości.

- Czy tak postąpiłaby komercyjna agencja - odwołała przetarg i wznowiła za dwa lata? - spytał ze zgrozą Winstanley i zaniepokojony Clive był gotów się odezwać, ale zdecydował, że obecny przedstawiciel komercyjnej firmy winien zabrać głos pierwszy.

- Nie w przypadku uczciwej oferty, zapewniającej godziwą cenę za przedsiębiorstwo. - Richard Watts ujrzał przepaść pod stopami.

- W każdym razie, panie ministrze, ta sprzedaż jest częścią zainicjowanej długofalowej polityki. Nie rozgrywa się w izolacji. Bardzo trudno byłoby zezwolić NEB na wyhamowanie tempa prywatyzacji. - Clive zdecydował się wtrącić swoje trzy grosze i został nagrodzony wsparciem ze strony Richarda Wattsa, który rzekł autorytatywnie:

- Rzecz w tym, panie ministrze, że szczerze mówiąc, NEB jest w tej samej sytuacji co reprezentant sektora prywatnego, który oświadczył publicznie, iż zamierza sprzedać kilka filii. Jeśli tylko nie zaproponowano śmiesznych cen, rynek spodziewa się, że sprzedaż dojdzie do skutku, oferujący się nie wycofa. Prawdę

mówiąc, takie postępowanie zaszkodziłoby cenie jego akcji.

Winstanley wyraźnie się rozluźnił, słysząc oświadczenie tej treści płynące prosto z ust przedstawiciela sektora prywatnego. Clive kiwnięciem głowy podziękował Richardowi Wattsowi.

- Więc mówimy NEB, żeby jechała z tym koksem?
- Tak, panie ministrze.
- Czy powinienem złożyć oświadczenie?
- Jeszcze nie - odparli *unisono* Clive i James Mather.
- Uważam, że właściwy moment powiadomienia Izby nadziejcie, gdy NEB zawrze ramowe porozumienie z Prior. Zakładam przy tym, że Shaw wypadnie z gry - dodał ostrożnie Clive, który przemyślał tę radę dużo wcześniej. - Jeśli NEB widzi taką potrzebę, może podać do prasy wiadomość o prowadzeniu negocjacji.

- No cóż, kierownictwo przedsiębiorstwa nie zrezygnuje. A sporządzenie umowy nie powinno zająć więcej niż trzy tygodnie - dodał Richards Watts. - Pełne ustalenie zabiera trochę czasu. W tych transakcjach jest masa dokumentacji.

Wszyscy obecni zajrzeli do terminarzy.

- Będzie jeszcze sporo czasu do końca sesji - zapewnił James Mather.

Winstanley zdecydowanym ruchem zamknął akta.

- Zgadza się. Dobrze. No cóż, muszę powiedzieć pani premier. Ktoś może napisać mi notatkę? Cudownie. Dziękuję, Richard, za przybycie. Dziękuję, dżentelmeni.

**W**idziałaś, Caroline? Friern zgłosił ofertę Harrisonowi. Na uzgodnionych zasadach.

- Co? Hamish, jesteś pewien?
- Mam to przed nosem na ekranie. Podejrzewam, że wy, radcy prawni, nie macie takich urzędzeń. Nie wiedziałaś o tym? Myślałem, że lady Friern to twoja przyjaciółka.

- Jest za mądra, żeby mówić o tym przed złożeniem oświadczenia- automatycznie odparła Caroline, nadal oszołomiona



wieściami. Ścisnąc słuchawkę wpatrywała się w przestrzeń. - Zastanawiam się, kiedy doszli do porozumienia - rzekła pośpiesznie, myśląc o Gerrym.

- Jezu, gdyby zrobili to dwa tygodnie temu, zaoszczędziliby nam sporo zmartwień.

Podczas pauzy, która nastąpiła, przypomniała sobie, z kim rozmawia, lecz to już nie miało znaczenia.

- Ale w dalszym ciągu potrzebowaliście tego kontraktu na budowę przy... jak się to nazywa?

- Marsh Lane.

- No. Więc musiałaś wyjść ze skóry, żeby Friern się odwalił.

- Hamish, czy wierzysz, że cel uświęca środki?

Zamyślił się.

- Przeważnie tak. Nie zamierzaliśmy poprzeć tej oferty bez Marsh Lane. A utrata Marsh Lane mogła być ostatnią kroplą dla Frierna i zdecydował, że zajmie się Harrisonem zamiast Prior. Tak doszedłem do celu mojego telefonu. Caroline, czy nie moglibyśmy ociupinkę zredukować naszej oferty natychmiastowej wypłaty?

- Hamish, nie. Nie zredukujemy oferty. Pamiętaj, za kogo chcemy uchodzić? Za tych, którzy proponują uczciwą ofertę i się jej trzymają. Postarajmy się tylko, żeby nie zapłacić za dużo tej odroczonej płatności. Nie zapominaj, że Shaw jest blisko i jeśli zaczniemy kręcić, inni mogą wkroczyć. Jakkolwiek by na nią patrzeć, to cholernie dobra transakcja. Zadzwoń do ciebie, kiedy będę wiedziała trochę więcej.

Caroline spędziła cztery poprzednie dni w domu, przeważnie w łóżku, bez przerwy uspokajając dzieci, że nie jest chora. Chłopcy grymasili i rozrabiali; Susannah potraktowała zachowanie matki w nieco innych kategoriach i po prostu władowała się do wielkiego podwójnego łóża. Wstawała, aby się pobawić, podać herbatę albo wyjść na spacer z dziadkami. Niebawem chłopcy się uspokoili i też dołączyli do siostry, tak że Caroline w końcu była zmuszona wstać, wypchnięta z łóżka przez dzieci. Podczas tamtych dni wciąż czuła się tak, jakby została wyrzucona

z pędzącego samochodu, więc bardzo pieściła się ze sobą. Nie wyglądało na to, by przyszłe dni miały przynieść radość lub rozrywkę, ale jakoś wiedziała, że kiedyś wyjdzie z cienia.

- Cześć, tato - powiedziała do telefonu. Większą część ostatnich czterech dni przesiedział u jej łóżka i po trochu uznała jego obecność za naturalną.

- Kochanie, jestem w „Reform”. Właśnie popatrzyłem na tablicę.

- Dzięki, ale dowiedziałam się o Friernie i Harrisonie. To dobre wieści. Nasz najgroźniejszy konkurent się wycofał.

- Nie wiedziałem tego. To dobrze. Nie, chodzi o coś innego. Było przetasowanie.

- Czego?

- Gabinetu. Przywódca większości do Izby Lordów - no cóż, tego można było się spodziewać. Sekretarz stanu handlu i przemysłu zajmuje jego miejsce. Brown z pracy do handlu i przemysłu, a Gerry Willshaw zastąpi go w pracy. Więc jest w gabinecie. Pomyślałem, że lepiej, abym ja ci o tym powiedział, zanim zobaczysz to w gazetach.

Przez kilka chwil nie mogła się odezwać, myślała o Gerrym mówiącym o prawie do pracy, Gerrym siedzącym z wyprostowanymi długimi nogami, na przykład w Izbie, Gerrym nerwowo zapinającym koszulę. Wszystkie rany znów się otworzyły.

- Mówiono mi, że coś takiego się kroi - rzekła dzielnie.

- Więc i tak musiałabyś zerwać.

- Tak. Och, tato, bez niego jestem absolutnie załamana. I naprawdę, to nie trwało tak długo. Jeśliby to podliczyć, było tego naprawdę niewiele.

- Ale za to sporo duchowych przeżyć.

- Dziękuję, profesorze Henriques. Czy ma pan coś jeszcze do przekazania naszym słuchaczom, czy mogę zająć się czymś innym, zadzwonić do chłopaków?

- Przyjadę i zabiorę cię do domu, kiedy tam skończysz. Koło piątej. Do tej pory będziesz miała ich dosyć.

**P**rawie dokładnie trzy tygodnie później Mark Dwyer przepychał się ku wyjściu z galerii dla publiczności, idąc pod prąd różnojęzycznego strumienia turystów, i dotarł do automatu.

- Z panem Burwoodem proszę. Peter, tu Mark Dwyer. Caroline jest w drodze do ciebie, ale prosiła, bym zadzwonił i powiedział, że w Izbie złożono oświadczenie i możesz teraz rozmawiać z prasą.

- Godzinę później, niż zapowiadano. Ledwo zdążymy na pierwsze strony.

Peter Burwood zapewne czuł się oburzony i Mark Dwyer westchnął w duchu. Był wyczerpany, ale miał powody do zadowolonia, gdyż w ciągu dwóch i pół tygodnia samodzielnie negocjował umowę sprzedaży i zakupu wszystkich akcji Prior Systems. Caroline Whitehouse, która zajmowała się tym klientem, wniosła bardzo niewiele; pewnie wraz z głównym współnikiem uznali, że ze względu na insynuacje o związku między nią i Clive'em Fieldmanem będzie o wiele zrzęczniejsze, jeśli ktoś inny przejmie kierownictwo w ustaleniach z ministerstwem. Michael Appleton, który nominalnie zajmował się transakcją w miejsce Caroline, był naturalnie zbyt zajęty, więc cały ciężar spadł na Marka. Chwalić Boga, zawsze lubił Clive'a Fieldmana i Jamesa Mathera. Łatwo znaleźli wspólny język. Prawdę mówiąc, przy cichej pomocy Caroline napisał połowę oświadczenia wygłoszonego właśnie przez Johna Winstanleya. Chciał mieć pewność, że wszystkie prawne terminy będą prawidłowo użyte. I Mark oraz w końcu Caroline wyjaśnili kilka razy, na kilka różnych sposobów poszczególnym członkom kierownictwa Prior Systems indywidualnie i grupowo, że każde oświadczenie o zawarciu transakcji poprzedzające wystąpienie ministra spowoduje, że dyrektorzy Prior Systems wraz ze swoimi doradcami prawnymi po bokach zawisną na szubienicach wystawionych specjalnie w tym celu pod oknami Izby Gmin.

- To się nazywa złamanie przywileju parlamentarnego - cierpliwie tłumaczył Clive Fieldman - i ministrowie są niewiarygodnie przeczuleni na tym punkcie, bo muszą przeproszać przed

Izbą. Trudno wyobrazić sobie gorszy los i nas też przerobiono by na kotlety, więc weź w karby swoich klientów, Mark.

Dyrektorzy Prior Systems do końca byli pełni niedowierzania, puszczali ostrzeżenia mimo uszu i tylko nadzwyczajny apel wystosowany przez Caroline, która po męsku przypomniła im długi polityczne, zaprowadził porządek. Mark usiłował grzecznie pożegnać się z Peterem, który rozmawiał na drugiej linii z lokalną prasą, ale musiał zadowolić się powiadomieniem sekretarki, że też będzie tego wieczora na prezentacji dla pracowników, chociaż przyjedzie dużo późniejszym pociągiem niż Caroline. Popędził do taksówki, która zabrała go na dworzec King's Cross. Nie miał pretensji do Caroline, że obciążyła go obowiązkiem wysłuchania oświadczenia. Wyjaśniła, że raz w życiu chce zjawić się na przyjęciu punktualnie, po kąpieli i odpowiednio przygotowana, zamiast nakładać pełny makijaż w pociągowej toalecie. Odpoczywając w taksówce, kolejny raz wspomniiał to wytłumaczenie i uznał, że jest w nim element dezinformacji. Caroline Whitehouse przez lata uwielbiała zgrane co do sekundy harmonogramy i przebieranie się w schowkach na miotły, ale nie zamierzał dociekać, dlaczego się to zmieniło. Jej rezygnacja w ostatnich stadiach transakcji z Prior w niemalym stopniu zwiększyła jego szanse na zajęcie pozycji wspólnika; pracował bezpośrednio z Michaeliem Appletonem, co było wcale korzystne.

Płacił za taksówkę, gdy ktoś klepnął go w ramię. Obejrzał się. Za nim stał Clive Fieldman, ciemnowłosa i jak zawsze opanowany. Dźwigał teczkę i obity czerwoną skórą kuferek. Wyraziste rysy twarzy Clive'a podkreślał szeroki uśmiech.

- Powinniśmy cię podwieźć. Byłem na obradach. Panie ministrze, czy zna pan Marka Dwyera ze Smitha Butlera, radców Prior? Również wybiera się na prezentację.

Winstanley wymienił z nim uścisk dłoni.

- Nie ma z panem pani Whitehouse?

- Nie, pojechała wcześniej. Chciała mieć czas na przygotowanie.

- Tak jest, tak jest - pokiwał głową z dostojeństwem. - Do zobaczenia na przyjęciu - rzucił Markowi i ruszył z pośpiechem.

Za nim kroczyli Clive i osobisty sekretarz ministra, każdy dźwigając czerwony kuferek. Tłum z szacunkiem rozstępował się przed tym orszakiem.

**W**ięc nie będziesz darł kotów z Caroline, dobrze, Matt? Bo jeśli tak, to wolę nie jechać. Mówię poważnie. A zresztą, po co jedziesz? - Lucy Friern, ubrana w eleganckie spodnie z granatowego płótna, z włosami mokrymi jeszcze po wyjściu z basenu, włączyła czajnik elektryczny.

- Bo John Harrison i ja uważamy, że za dwa, trzy lata wszystkie inwestujące instytucje i część kierownictwa będą chcieli upłynnić akcje i zgarnąć kasę. Wtedy zamierzamy się zjawić i przejąć firmę. - Matthew Friern miał na sobie swoje ulubione weekendowe ubranie - stare płócienne spodnie i obwisły sweter. - Więc zamierzamy pokazać nasze gęby inwestorom i grać dobrych kumpli, a ty, ja, John i Vicki przyjrzymy się Burwoodowi, jak będzie się wdzięczył do pracowników, żeby kupili akcje.

Lucy zmierzyła wzrokiem małżonka.

- Przepraszam, kochanie, ale zamierzasz kupić przedsiębiorstwo, w którym jest akcjonariat pracowniczy? - Była autentycznie zdumiona. Poglądy Matthew na stosunki pracodawca-pracobiorca opierały się na modelu stosunków feudalnych w ich najczystszej dwunastowiecznej krasie.

- Och, wszyscy będą sprzedawać. Jeśli tylko umieją podpisać dokumenty i kupią akcje, zamiast wydać całą gotówkę na wódę.

- Mhm. Nie musimy zostawać do późna, prawda? Caroline mówi, że główna część przyjęcia kończy się całkiem wcześnie, ale kierownictwo liczy na to, że zabawa potrwa do białego rana. Zastanawiała się, jak się wymknąć nie wywołując urazy.

Matthew mruknął i spojrzała na niego spod oka. Prawdopodobnie nigdy nie przebaczy Caroline tak gruntownej kłębki.

- Winstanley się zjawi i twój przyjaciel Clive - rzekł.

- Och. Miło będzie się z spotkać i z jednym, i z drugim. - Zdecydowanym ruchem uniosła czajnik i zalała herbatę.

Caroline Whitehouse spojrzała w lustro hotelowej łazienki i uznała, że wygląda przynajmniej lepiej niż ostatnio. W tym tygodniu wreszcie zaczęła sypiać. Po trzech tygodniach nocnych katuszy, kiedy ból był tak dotkliwy, że często musiała wymykać się z uśpionego domu i bez końca krążyć cichymi ulicami, zrozumiała, że musi narzucić sobie ścisły reżim, uprawiać ćwiczenia gimnastyczne, jeść proste potrawy i unikać telewizji, w której wizerunek Gerry'ego mógł pojawić się w każdej chwili. Zagroził kryzys gospodarczy i monotonne zdjęcia gabinetu wmaszerowującego z zatroskanymi minami do siedziby pani premier pojawiały się całymi dniami we wszystkich dziennikach telewizyjnych, a Gerry, którego naturalna energia przyciągała uwagę kamerzystów, wyglądał na jednego z najbardziej przejętych. Skrzywiła się z bólu wyobrażając sobie jego postać i dzielnie zajęła się ubiorem: jedwabnym kostiumem w kolorze żywej zieleni, na tle której błyszcząły jej jasne, świeżo umyte włosy.

- W porządku - powiedziała dodając sobie animuszu i zоставiła teczkę w szafie. Zawahała się przed telewizorem, ale zdecydowała się nie wystawiać na próbę swojej wątłej równowagi duchowej. Zeszła do czekającego samochodu Petera z kierowcą i pojechała do auli miejscowej politechniki, aby wziąć udział w zabawie.

Po przyjeździe zaczekała, aż kierowca otworzy jej drzwi, co zrobił zdumiony, bo normalnie zawsze sama wyskakiwała z auta. Obserwował ją z podziwem. Kroczyła z uniesioną głową długim podejściem, wyścielonym na tę okazję dywanem, i znikła w objęciach głównego księgowego przedsiębiorstwa. Obowiązkiem Gougha było witanie gości.

- Graham... - powiedziała z przyjemnością, całując go. - Och, Boże, program ze złoconym sznurkiem.

- Musiałem dodać trochę blichtru - rzekł uśmiechnięty. - Wyglądasz wspaniale.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością, słysząc lekką ulgę w jego głosie. Ci ludzie są sprytni - pomyślała, witając się z następnymi, rozpoznając znajome twarze kadry kierowniczej. Nie uszło ich

uwagi, że znikła z pierwszego szeregu. Wcale nie wierzyli podsuniętym wyjaśnieniom, ale nie naciskali. Jak wszyscy dobrzy ludzie interesu, byli wrażliwi na niuanse negocjacji. I dzięki Markowi Dwyerowi zostali bardzo profesjonalnie obsłużeni na ostatnich etapach. Po drugiej stronie wielkiego hallu zauważyła grupę ludzi, przy której skupiała się cała reszta. Podeszła bliżej, grzecznie rozmawiając z jednym z przedsiębiorców i jego żoną, i zatrzymała się jak wryta na widok girls w kabaretkach, obcisłych jedwabnych bluzkach i czarnych melonikach. Tłoczyły się kompletnie zasłaniając jakiegoś przybysza.

- To niby są meloniki biznesmenów z City - usłyszała znajomy szkocki akcent.

- Co? - Odwróciła się.

Barczysty Hamish na tę okazję włożył elegancki ciemny garnitur.

- Myślałam, że jesteś autorką tej prezentacji, Caroline.

- Też tak myślałam. Spisałam te wszystkie solenne uwagi o kupowaniu akcji i ostrzegłam przed bessą. Ale naprawdę nie miałam pojęcia, że będą wygłaszane przez młode kobiety w kabaretkach.

- O ile się orientuję, będą raczej wyśpiewywane niż wygłaszane - ponuro sprostował Hamish. - To musical, Caroline, aktorzy też tu występują.

- Nabierasz mnie.

- Wcale nie. Dziwi mnie, że o tym nie wiedziałaś. Te dziewczątka właśnie są przedstawiane ministrowi - panu Winstanleyowi - a potem cały interes rusza. Sprowadziłam sir Williama i resztę inwestorów. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie jak należy. Wyglądasz przepięknie - też występujesz?

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Zafascynowana patrzyła na rząd girls otaczający Winstanleya. Minister był oszołomiony, ale zadowolony, nie zapominając przy tym o obecności lokalnego fotografa.

Rząd dziewcząt pękł i nagle ujrzała roześmianego Clive'a. Odwrócił głowę i dojrzała siwiznę na ciemnych włosach. Stał się niezwykle przystojnym mężczyzną. Odchylił głowę śmiejąc się z czegoś, co powiedziała ładniejsza z dwóch najbliższych tłoczących

się dziewcząt, energiczna blondynka, a kiedy odwrócił się do ministra, Caroline kiwnęła mu ręką. Był to drobny przyjazny gest, taki jakiego używała sygnalizując swoją obecność dzieciom występującym w szkolnym przedstawieniu - „tu jestem, ale nie zwracajcie na mnie uwagi, jeśli tak będzie najlepiej” - i twarz Clive'a rozjaśnił szeroki uśmiech. Minister przywołał go do siebie i Clive podszedł, machnięciem ręki dając znak Caroline, że dołączy do niej później. Przyłapała się na tym, że uśmiecha się równie szeroko, nieco podniesiona na duchu jego widokiem. Skierowała uwagę na Friernów. Lucy popisywała się niezwykłą siłą charakteru, skutecznie holując w kierunku Caroline wyraźnie boczącego się Matthew.

- Kochanie, jak miło cię widzieć - rzekła zdecydowanie Lucy całując przyjaciółkę.

Caroline oddała uścisk i wzruszona oraz rozbawiona przyjrzała się Lucy. Wyglądała oszłamiająco w bladoniebieskiej jedwabnej kreacji, ciemne włosy miała starannie upięte wysoko. Lady Friern zdawała się zupełnie ignorować fakt, że wszyscy stojący w pobliżu pracownicy Prior i ich małżonki obserwują ją kątem oka.

- Ach, Matthew, jak miło - powiedziała rezolutnie Caroline, stając na palcach i całując niedawnego przeciwnika. Starsi współpracownicy wbili jej do głowy zasadę City, że należy zawsze, ale to zawsze okazać współczucie w dniu wiktorii, by zaskarbić sobie trochę tego samego na dzień klęski. - Gratuluję transakcji z Harrisonem. Sprawia znakomite wrażenie.

Matthew tonem człowieka łykającego potłuczone szkło zrewanżował się gratulacjami. Milczący Andy Eames Lewis pojawił się u boku Lucy.

- Gdzie Emma? - Lucy spytała go wdzięcznie i Caroline przyjrzała się obojgu. Zastanowiła się, czy Lucy poszła za jej radą, ale uznała, że absolutnie nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie. I nigdy nie będzie potrafiła - stwierdziła trzeźwo.

- Przyjedzie późniejszym pociągiem. Będzie za chwilę - odparł Andy okazując jedynie bankierską grzeczność. - Muszę zamienić słowo z Hamishem Brownem. Widzę go tam. To już



chyba ostatni dzwonek. - Z niedowierzaniem spojrzął na tłum wlewający się na salę i pospieszył do Hamisha.

- Gdzie siedzisz, Caroline? - spytał Matthew przerywając niezręczną ciszę.

- Na honorowym miejscu. Z kierownictwem. Tylko ja będę prawdziwym widzem, bo oni oglądali to już dwadzieścia pięć razy na próbach. - Caroline z opóźnieniem smakowała fakt, że to zbiorowisko ponad dwóch tysięcy ludzi zgromadziło się uczcić owoc pracy jej rąk - i rzecz jasna wielu innych, napomniała się. Pozwoliła sobie wreszcie poczuć radość twórcy i uśmiechnęła się do Matthew, który zdobył się na skąpy, niechętny grymas.

- No cóż, mam nadzieję, że kierownictwu i tobie się powie-dzie. Jeśli nie, wiesz, dokąd możesz przyjść. - Skinął głową zaci-skając mocno usta. Stojąca za nim Lucy wzniosła oczy w górę.

- Och, wiem. - Caroline uśmiechnęła się szelmowsko, ale cnotliwie powstrzymała się od wszelkiej mściwej repliki. Zado-woliła się wymruczanym: - Drogi Matthew, zawsze do rany przy-lóż - co sprawiło, że Lucy musiała walczyć z rozsadzającym ją chichotem.

Gdy Caroline się odwróciła, stanęła twarzą w twarz z Pete-rem Burwoodem - bladym, spoconym i ze szminką na ustach. Uściskał ją mocno i poczuła zapach pudru.

- Najdroższy Peterze, czyżbyś grał w tym przedstawieniu? Którą rolę?

- Rzecz jasna, samego siebie. To opowieść o tym, jak prze-prowadziliśmy wykup.

- Ach, dlaczego więc mnie tam nie ma? - spytała groźnie.

- Jesteś - pojawił się szczerzący zęby Graham. - Ty to ta wy-soka. Tam.

- W niebieskich kabaretkach? I w piórach. I niczym więcej? No, bardzo wam dziękuję. - Nie mogła powstrzymać się od śmiechu i weszła po schodach, czując przyjemny ciężar ręki Grahama na ramieniu. Zajęła miejsce w środku enklawy kie-rownictwa i inwestorów. Gdy siadała, Peter zjawił się nie wia-domo skąd i zdecydowanie zajął miejsce obok niej.

- Nie będę do końca - wyjaśnił dając znak Hamishowi, żeby siadł po jego drugiej stronie.
- Co z ministrem, Peter? - spytała cicho Caroline.
- Tylko wpadł życzyć nam szczęścia. Jedzie po coś tam do Edynburga. Miło, że się pokazał.
- Niezwykły zaszczyt - przyznała.

Światła lekko przygasły i reszta kierownictwa Prior w pośpiechu zajęła miejsca. Gdy się ściemniło jeszcze bardziej, była już otoczona ze wszystkich stron - Peter po lewej dotykający jej ramieniem, Martin po prawej i Graham tuż za plecami. Kiedy oparła się plecami o fotel, czuła jego kolana wciśnięte w oparcie. Dostrzegła kątem oka Clive'a, jak zbliża się od strony Martina przepychając się koło szatni. Pochyliła się i posłała mu uśmiech. Odpowiedział uśmiechem i wyciągnął rękę przed Martinem, gratulując jej sukcesu. Światła zgasły zupełnie i dziewczęta z baletu wyskoczyły na scenę z radosną piosenką o City, zgrabnie machając pod sznurek melonikami. Caroline z rozbawieniem i podziwem śledziła show, przeplatające się piosenki i tańce, aktorów odtwarzających poszczególne postaci z kierownictwa i potrafiących nadać słowom, które tak bezlitośnie poprawiała, werwę i spontaniczność. Wyjaśniali sobie nawzajem, jak działa przedsiębiorstwo, co to są akcje i jak się je kupuje. Rozejrzała się uważnie po zachwyconych twarzach za grupą kierownictwa i dotknęła ręki Petera.

- Wspaniale - powiedziała cicho. - Nigdy bym nie uwierzyła, że coś takiego jest możliwe.

Ścisnął mocno jej dłoń i siedzieli tak jak dzieci aż do finałowej piosenki. Szepnął jej na ucho, że musi iść za kulisy.

- Powodzenia - powiedziała i odprowadziła go wzrokiem, kiedy przepychał się obok Hamisha.

Wszystko inne mogło się nie udać, ale w tym wypadku powodzenie dopisało; był szczęśliwym człowiekiem, początek przedsięwzięcia był udany, ona też miała w tym swój udział. Przez moment, gdy siedziała otoczona sojusznikami, wybiegła myślą poza bieżące smutki i uświadomiła sobie, że jutro wszystko to będzie w gazetach i czeka ją powódź gratulacji od współników.

Girlaski były teraz ubrane w jasnokolorowe spódniczki baletowe; uosabiają zapewne pojedyncze akcje - pomyślała mętnie, zdając sobie sprawę, że zgubiła wątek, lecz gdy starała się go odnaleźć, zbiegły ze sceny i pojedynczy reflektor wyłowił Petera, bladego i wyraźnie zdenerwowanego. Wyjaśnił w epilogu, że marzenia się spełniły i przedsiębiorstwo przeszło na własność kierownictwa (z wyjątkiem siedemdziesięciu pięciu procent należących do Hamisha i jego *confreres*, jak szeptem zauważył sam Hamish), i wydukał resztę należącego do niego tekstu o kupowaniu akcji. Skończyła się ostatnia piosenka, zgasły reflektory, zapaliły się światła na widowni i audytorium wstało z ulgą, prostując plecy i szukając wyjścia, żeby wypić obiecanego szampana. Caroline podniosła się ze wszystkimi. Jedna stopa jej zdrętwiała i chwyciła się Martina, by nie upaść na następny rząd.

- Do diabła. Idź, Martin, zaraz przyjdę.
- Pomogę jej - powiedział rozbawiony Clive. - Po tym wszystkim, co przeszliśmy wspólnie, jestem jej winien chociaż tyle. - Machnięciem ręki popędził kierownictwo i pewnie wziął Caroline pod ramię. - W porządku?
- Prawie. Czy nie było świetne?
- Cholera, znakomite. Żałuję, że minister nie mógł zostać - siedziałby jak zaczarowany. I ty też spisałaś się na medal, Caro, nie dałaś sobie w kaszę dmuchać. Dobrze się spisałaś.

Spojrzała na niego ostro i zauważyła, że wygląda na zmęczonego.

- A ty dobrze się czujesz, Clive?
- Trochę poobijany - rzekł wprost, decydując się na szczerść - Zerwaliśmy na jakiś czas.
- Tak. Tak musiało się stać. - Oderwała od niego wzrok i spojrzała po reszcie widzów, po mężczyznach w ciemnych garniturach i kobietach w najlepszych sukienkach, pchających się do wyjścia.
- Twoja stopa działa? Chodź, wypijemy szampana. - Wziął ją mocno za rękę i szła za nim, rozbawiona i posłuszna.

Weszli do wielkiego hallu i skierowali się do pomieszczenia zarezerwowanego dla przybyłych dygnitarzy, gdzie przywitał ich Peter i kelnerki z kieliszkami szampana na tacach.

- Caroline, chodź szybko. - Spojrzała na niego pytająco i biorąc kieliszek dostrzegła dziesięć stóp dalej ciemną głowę pochyloną w jakże boleśnie znajomy sposób, przysłuchującą się rozmówcy. - Twój przyjaciel, Gerry Willshaw. Miał nie przyjść, ale udało mu się wyrwać z jakiejś kolacji. - Peter jaśniał radością i ulgą, bezpieczny na mostku swojego statku, uwolniony od kłopotów, otoczony przyjaciółmi.

- Ależ to bardzo miło - zdołała powiedzieć Caroline i mentalnie zrobiło się jej ciemno przed oczami. Peter oddalił się pospiesznie, ale ktoś wyjął jej z ręki kieliszek i poczuła opiekuńczą dłoń Clive'a.

Wzięła głęboki oddech, spojrzała w znajome, piwne oczy o szczerym wyrazie.

- Nie przyszło mi do głowy, że tu będzie. Jestem głupia - zwróciła się do niego jak do brata.

Zmienił się na twarzy, kiedy zdał sobie sprawę ze znaczenia jej słów.

- To on? - spytał trzymając ją za rękę. - Twój chłop?

- Już nie. Musieliśmy zerwać. Jak ty. Muszę stąd wyjść.

Ścisnęła mocniej jej dłoń.

- Nie, nie musisz - rzekł z naciskiem, jego północny akcent zabrzmiał bardzo wyraźnie. - To twój triumf, twój wieczór, każdy chce z tobą porozmawiać i życzyć ci dobrej zabawy. Zostaniesz.

Wbiła w niego wzrok usiłując sformułować protest, ale przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta.

- Grzeczna dziewczynka - powiedział stanowczo. - Odwaliłaś znakomitą robotę. Ciesz się z tego.

Nagle zdobyła się na to, żeby się roześmiać, wziąć kieliszek i spokojnie przyjmować wyrazy podziwu od inwestorów i kierownictwa. Kiedy pogratulował jej McMurray, prawa ręka Hamisha, przesunęła wzrok - i oto stał przed nią Gerry, otoczony spojrzeniami połowy obecnych, ubrany w smoking i zdenerwowany, z grymasem napięcia na ustach.

- Caroline... - Ucałował ją w policzek. - Peter Burwood był tak uprzejmy, że nas zaprosił, ale Susan ma grype.

- Z pewnością jest zachwycony, że przyszedłeś - odparła spokojnie. - Był... wszyscy byliśmy bardzo zadowoleni, kiedy wszedłeś w skład gabinetu.

- Miałem dużo szczęścia.

Poczuła skurcz żołądka słysząc tę jakże do niego przystającą, wymijającą formułkę. Clive stał trochę z boku. Rozmawiał z Grahamem i nie spuszczał z niej oka. Zaczepnęła uspokajający oddech.

- Każdy potrzebuje szczęścia - rzekła lekko. - Dziękuję ci za pomoc w tym wszystkim. Oni na nią zasłużyli.

- Ty również - powiedział i dodał tak cicho, że przez moment nie dotarło do niej: - Przepraszam, że nie mogłem tego dalej ciągnąć.

Uczciwe przyjęcie odpowiedzialności - pomyślała.

- Żadne z nas nie mogło - rzekła biorąc na siebie część winy i mięśnie wokół jego ust rozluźniły się, gdy uśmiechnął się z ulgą.

- Może zjedlibyśmy razem lunch?

- A może wpadłbyś i zjedlibyśmy lunch u moich rodziców? Byliby zachwyceni. Kiedy znajdziesz czas. - Zdobyła się na uśmiech i spojrzeli na siebie. - Połowa ludzi czeka, żeby z tobą porozmawiać, Gerry - powiedziała możliwie najłżejszym tonem. - Lepiej zacznij kursować.

- Już odrobiłem swoje. Powinienem być w domu dwadzieścia minut temu.

Pocałował ją na pożegnanie i poczuła na sobie zazdrosne spojrzenia innych kobiet. Potem oddalił się, zręcznie torując sobie drogę do wyjścia, rozdając uśmiechy na prawo i lewo, rzucając słowo każdej mijanej osobie, poklepując po ramieniu mężczyzn lub całując w policzek kobiety ze swobodą zawodowego polityka. Patrzyła za nim przez kilka chwil, aż Clive pojawił się obok i objął ją ramieniem.

- Chodź. Utopimy razem nasze smutki.

- Tak. Zróbmy to. Chyba że chcesz obcałować wszystkie dziewczyny z baletu?

Z powagą zastanowił się nad tą propozycją.

- Nie, wydaje mi się, że mam ich już dość. Ale muszę porozmawiać z Friernami.

- Tym razem ja mogę potrzymać cię za rękę - zasugerowała i wyszczerzył do niej zęby.

- To niekonieczne. Przeżyliśmy miłe chwile.

- Dłuższe niż my.

- Tak. To musi boleć.

- Boli. Ale minie - któregoś dnia.

Spojrzał na nią z powagą, chciał coś powiedzieć, ale wyraźnie uznał to za nie najlepszy pomysł.

- Pójdiesz ze mną jutro do kina? - zasugerował.

- Chętnie. Ale mam dzieci na głowie.

- Ja też. Zabierzemy wszystkie.

Zawahała się, ale wziął ją za rękę i pociągnął do Petera, Hamisha i sir Williama Eyre'a. Składali sobie nawzajem gratulacje i zapowiadali świetlaną przyszłość firmie. Peter zaczerwieniony od wina i emocji zapewniał słuchaczy, że za trzy lata jego przedsiębiorstwo będzie najjaśniejszą gwiazdą na północnym zachodzie, inspiracją dla przyjaciół i wieczną zgryzotą dla wrogów.

- W życiu nigdy tak nie jest - zauważyła cicho Caroline, kiedy dołączyli do grupy.

- Ale on ma szansę, no nie? - ostro zareagował Clive. - Chcę przez to powiedzieć, że żyje w realnym świecie, a tam piętrzy się tyle barier. Głową muru nie przebijesz.

- To ty tak myślisz - rzekła nieprzyjaźnie, tupiąc nogą w podłogę.

- Tak myślę, lecz bynajmniej nie mam prawa narzekać. Chodź, przyglądź piórka i wróć do przyszłości.

Przez chwilę poczuła się niepewnie, a potem wybuchnęła śmiechem, pocałowała go i wmieszała się w tłum gości, chcąc się upewnić, czy sir William i Hamish udzielili wywiadów lokalnej prasie.